

CLIVE BARKER

IMAJICA

PIĄTE DOMINIUM

Przełożył Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2002

Tytuł oryginału:

Imajica

Copyright © 1991 by Clive Barker

Copyright for the Polish translation

© 2002 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Maria Rawska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:

© Michael Whelan /via Thomas Schlück GmbH

Opracowanie graficzne okładki:

Jarosław Musiał

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 83-89004-00-3

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Cypryjska 54, 02-761 Warszawa

tel./fax (0-22) 642 45 45 lub (0-22) 642 82 85

e-mail: kurz@mag.com.pl

<http://www.mag.com.pl>

Spis treści

<u>Spis treści</u>	3
<u>ROZDZIAŁ 1</u>	7
<u>ROZDZIAŁ 2</u>	17
<u>ROZDZIAŁ 3</u>	24
<u>ROZDZIAŁ 4</u>	31
<u>1</u>	31
<u>2</u>	33
<u>3</u>	34
<u>ROZDZIAŁ 5</u>	45
<u>1</u>	45
<u>2</u>	47
<u>ROZDZIAŁ 6</u>	51
<u>1</u>	51
<u>2</u>	52
<u>ROZDZIAŁ 7</u>	60
<u>1</u>	60
<u>2</u>	61
<u>3</u>	67
<u>4</u>	70
<u>ROZDZIAŁ 8</u>	72
<u>ROZDZIAŁ 9</u>	81
<u>1</u>	81
<u>2</u>	83
<u>3</u>	88
<u>ROZDZIAŁ 10</u>	90
<u>1</u>	90

<u>2</u>	91	
<u>ROZDZIAŁ 11</u>		96
<u>ROZDZIAŁ 12</u>		105
<u>1</u>	105	
<u>2</u>	112	
<u>ROZDZIAŁ 13</u>		116
<u>1</u>	116	
<u>2</u>	118	
<u>3</u>	119	
<u>ROZDZIAŁ 14</u>		122
<u>1</u>	122	
<u>2</u>	124	
<u>3</u>	130	
<u>ROZDZIAŁ 15</u>		133
<u>1</u>	133	
<u>2</u>	137	
<u>3</u>	139	
<u>ROZDZIAŁ 16</u>		147
<u>1</u>	147	
<u>2</u>	149	
<u>ROZDZIAŁ 17</u>		155
<u>ROZDZIAŁ 18</u>		161
<u>1</u>	161	
<u>2</u>	162	
<u>ROZDZIAŁ 19</u>		178
<u>1</u>	178	
<u>2</u>	179	
<u>3</u>	184	
<u>ROZDZIAŁ 20</u>		187
<u>1</u>	187	
<u>2</u>	190	

<u>3</u>	195	
<u>4</u>	197	
<u>5</u>	200	
<u>ROZDZIAŁ 21</u>		205
<u>1</u>	205	
<u>2</u>	206	
<u>3</u>	211	
<u>4</u>	217	
<u>ROZDZIAŁ 22</u>		221
<u>1</u>	221	
<u>2</u>	227	
<u>ROZDZIAŁ 23</u>		232
<u>1</u>	232	
<u>2</u>	235	
<u>ROZDZIAŁ 24</u>		248
<u>1</u>	248	
<u>2</u>	250	
<u>ROZDZIAŁ 25</u>		265
<u>1</u>	265	
<u>2</u>	276	
<u>3</u>	283	
<u>ROZDZIAŁ 26</u>		287
<u>1</u>	287	
<u>2</u>	289	
<u>ROZDZIAŁ 27</u>		303
<u>1</u>	303	
<u>2</u>	305	
<u>3</u>	312	
<u>ROZDZIAŁ 28</u>		319
<u>1</u>	319	
<u>2</u>	325	

<u>ROZDZIAŁ 29</u>	336
<u>1</u>	336
<u>2</u>	341
<u>ROZDZIAŁ 30</u>	343
<u>1</u>	343
<u>2</u>	346
<u>3</u>	349
<u>ROZDZIAŁ 31</u>	355
<u>1</u>	355
<u>2</u>	360
<u>3</u>	368
<u>ROZDZIAŁ 32</u>	375
<u>1</u>	375
<u>2</u>	379
<u>ROZDZIAŁ 33</u>	389
<u>ROZDZIAŁ 34</u>	400
<u>1</u>	400
<u>2</u>	405
<u>ROZDZIAŁ 35</u>	410
<u>1</u>	410
<u>2</u>	416
<u>ROZDZIAŁ 36</u>	421
<u>1</u>	421
<u>2</u>	425

ROZDZIAŁ 1

Kluczowe twierdzenie Pluthero Quexosa, najslynniejszego dramtopisarza Drugiego Dominium, brzmiało następująco: W każdym dziele, bez względu na to, jak byłoby ambitne i głębokie, jest miejsce tylko dla trzech postaci. Dwóch zwaśnionych królów - i rozjemca; dwoje kochających się małżonków - i uwodziciel lub dziecko; bliźnięta - i duch matczynego łona; dwoje kochanków - i śmierć. Przez utwór mogą się naturalnie przewinąć setki, a nawet tysiące innych osób, wyłącznie jednak jako widma, słudzy i - z rzadka - odbicia trojga rzeczywistych, obdarzonych wolną wolą głównych bohaterów. Co więcej, wedle nauk Quexosa nawet to kluczowe trio nie ma prawa ostać się nietknięte. W miarę rozwoju fabuły będzie się zmniejszać - z trzech postaci zostaną dwie, potem jedna, a na końcu scena całkiem opustoszeje.

Rzecz jasna, wielu pisarzy próbowało podważyć jego dogmaty. Autorzy bajek i komedii szczególnie głośno wyrażali swoją pogardę, przypominając świetnemu Quexosowi, że ich utwory nieodmiennie kończą się ślubem i ucztą. On jednak pozostał nieugięty. Miał ich za oszustów, którzy pozbawiają widzów tego, co nazywał ostatnią wielką procesją: po odśpiewaniu weselnych pieśni i odtańczeniu radosnych piasów pogrążeni w melancholii bohaterowie powinni odejść i zniknąć w mrokach zapomnienia.

Był w swej filozofii bezlitosny, utrzymywał jednak, że jest ona absolutnie niezmienna, uniwersalna - prawdziwa i w Piątym Dominium, zwanym Ziemią, i w Drugim.

A co najważniejsze, obowiązywała z taką samą bezwzględnością zarówno w sztuce, jak i w życiu.

*

Jako człowiek z natury skryty i opanowany Charlie Estabrook nie miał cierpliwości do teatru. Jego zdaniem - a wyrażał się prosto - teatr był stratą czasu: kaprysem, kłamstwem, stekiem bzdur. Gdyby jednak w tę zimną listopadową noc jakiś uczeń Quexosa zacytował mu pierwsze prawo dramatyczne, Charlie pokiwałby ponuro

głową i powiedział: - Szczera prawda. Szczera prawda.

Jego osobiste doświadczenie potwierdzało słowa dramaturga. Wszystko zaczęło się od trojga bohaterów: był on, był John Furie Zacharias - i Judith pomiędzy nimi. Układ ten nie utrzymał się długo. W kilka tygodni po poznaniu Judith Charlie zajął miejsce Zachariasia w jej sercu i trio zmieniło się w błogi duet. Ożenił się z nią, przez pięć lat wiedli szczęśliwy żywot - do czasu aż z przyczyn dotąd dla niego niepojętych ich radość gdzieś zniknęła i na scenie został tylko jeden bohater.

Czyli on sam, naturalnie. Noc zastała go na tylnej kanapie samochodu. Krążył po śnieżnych mrozem londyńskich ulicach, szukając kogoś, kto pomógłby mu dokończyć opowieść - w stylu, którym Quexos nie byłby pewnie zachwycony, ale który pomógłby Charliemu zaleczyć rany.

Nie był w tych poszukiwaniach osamotniony. Towarzyszył mu jedyny w miarę godny zaufania człowiek, kierowca, przewodnik i alfons w jednej osobie, tajemniczy pan Chant. Jednakże mimo współczucia, jakie okazywał Charliemu, był tylko zwyczajnym służącym: chętnie opiekował się swoim panem, dopóki terminowo dostawał pensję. Nie miał pojęcia, jak okrutny ból dręczy Estabrooka; na to był zbyt oschły i pełen rezerwy. Estabrook próżno by też szukał pociechy w szacownym rodzie, z którego się wywodził. Mógł wprawdzie wskazać swoich przodków wstecz aż do czasów Jakuba I, nie znalazł jednak w drzewie genealogicznym ani jednego (choćby dojrzał się aż do samych przeklętych korzeni!), który - osobiście lub obcymi rękoma - dopuściłby się tego, co on teraz planował. Zamordowania żony.

Gdy o niej myślał (a kiedy tego nie robił?), zasychało mu w gardle i dłonie zaczynały się pocić. Oddychał ciężko, drżał na całym ciele. Widział ją oczyma wyobraźni jako istotę z innego, doskonalszego świata. Miała idealnie gładką skórę, zawsze chłodną i bladą; gibkie ciało, długie włosy, smukłe palce; lubiła się śmiać, a jej oczy... Ach, oczy potrafiły mienić się wszystkimi odcieniami liści: soczystą zielenią wiosny i późnego lata, złotem jesieni, a w gniewie - czernią zimowej zgnilizny.

Charlie natomiast był zupełnie przeciętnym człowiekiem - przyzwoitym, z ogładą, ale przeciętnym. Dorobił się fortuny na sprzedaży wanien, bidetów i sedesów, co bynajmniej nie dodawało mu uroku. Dlatego też gdy pierwszy raz ujrzał Judith - siedziała przy biurku w gabinecie jego księgowego, olśniewając urodą w tym raczej zgrzebnym

otoczeniu - pomyślał najpierw: „Chcę mieć tę kobietę”, a zaraz potem: „Ale ona mnie nie zechce”. Kiedy jednak zbliżył się do niej, doznał uczucia, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył. Poczuł, że Judith należy do niego i że jeśli trochę wysili mózgowicę, zdobędzie ją bez trudu.

Zaloty rozpoczął tego samego dnia, którego się poznali; na biurko Judith trafił pierwszy z licznych dowodów jego uczucia. Charlie szybko jednak się zorientował, że przekupstwem i pochlebstwami niewiele wskóra. Podziękowała mu grzecznie i dała do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych prezentów. Przestał więc je przysyłać, próbując wszystkiego się o niej dowiedzieć. Nie było tego dużo. Prowadziła spokojne życie, miała wąski krąg znajomych, trącający lekko cyganerią. W tym kręgu znalazł jednak mężczyznę, który pierwszy zaczął się ubiegać o względy Judith - i najwyraźniej je zdobył. Nazywał się John Furie Zacharias, był powszechnie znany jako Gentle i cieszył się reputacją takiego lowelasa, że Charlie zmyłby się jak niepyszny, gdyby nie przepełniająca go niezwykła pewność siebie. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i czekać na odpowiednią chwilę, która musiała kiedyś nadejść.

Tymczasem zaś obserwował swoją wybrankę z oddalenia, aranżując krótkie, niby przypadkowe spotkania, i cały czas próbował poznać przeszłość rywala. I tym razem niewiele udało mu się ustalić. Zacharias najczęściej pędził żywot żigolaka, a w wolnych chwilach próbował bez większego powodzenia malować obrazy. Miał opinię rozpustnika - spotkawszy go przypadkiem, Charlie odniósł wrażenie, że uzasadnioną. Gentle istotnie okazał się niezwykle przystojnym facetem, ale zdaniem Estabrooka wyglądał jak człowiek, który dopiero co otrząsnął się z gorączki. Miał w sobie coś pierwotnego, surowego, jakby wypocił wszystko co zbędne ze swojej istoty i została mu sama jej esencja. Na jego pięknej twarzy malowały się jakieś tajemne żądze, przywodzące na myśl człowieka opętanego przez diabła.

Kilka dni po tym spotkaniu Charlie dowiedział się, że jego ukochana odeszła od Gentle'a i, pogrążona w smutku, potrzebuje czulej opieki. Czym prędzej pospieszył jej z pomocą. Wdzięczność, z jaką Judith przyjęła uczucie, zdawała się potwierdzać prawdziwość przekonania, że są dla siebie stworzeni.

Rzecz jasna, wspomnienie tego triumfu zbladło, gdy odeszła. Teraz twarz Charliego przybrała taki sam tęskny, pożądliwy wyraz, który wcześniej widział u

Zachariasa, tylko że do niego grymas ten znacznie mniej pasował. Twarz Estabrooka nikomu nie wydałaby się piękna. W wieku pięćdziesięciu sześciu lat wyglądał na sześćdziesiąt, rysy miał równie toporne, jak Gentle subtelne, równie mocne, jak Gentle łagodne. Jedyńm ustępstwem na rzecz osobistej próżności był delikatnie podkreślony wąsik, tuż pod patrycjuszowskim nosem. Zastaniał górną wargę, którą w młodości Charlie uważał za nazbyt pełną i wyrazistą. Dolna wystawała lekko nad podbródkiem.

W czasie przejażdżki po skrytych w mroku ulicach dostrzegł odbicie swojej twarzy w szybie. Co za maskara! Zacerwienił się na myśl o tym, jak bezwstydnie paradował po mieście z Judith u boku; jak żartował, że żona kocha go za zamiłowanie do czystości i dobry gust, jeśli idzie o bidety. Ci sami ludzie, którzy słuchali jego dowcipów, teraz śmiali się z niego w najlepsze. Uważali go za durnia. Nie mógł tego znieść. W jeden tylko sposób mógł ukoić ból upokorzenia - musiał ukarać Judith za to, że go zostawiła.

Oparł się czołem o szybę i wyjrzał na zewnątrz.

- Gdzie jesteśmy?

- Na południowym brzegu rzeki, proszę pana - odparł Chant.

- To wiem, ale gdzie?

- W Streatham.

Mimo że nieraz tędy przejeżdżał - mieli w pobliżu magazyn - nie poznawał okolicy. Nigdy dotąd miasto nie wydawało mu się tak obce i paskudne.

- Jak ci się wydaje, jakiej płci jest Londyn? - zagadnął.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Kiedyś był damą - stwierdził Estabrook. - Ale już nie wygląda kobieco.

- Teraz nie - odparł Chant. - Co innego wiosną.

- Parę krokusów w Hyde Parku niewiele zmieni. Londyn stracił swój urok - westchnął Estabrook. - Daleko jeszcze?

- Zaraz będziemy na miejscu.

- Twój człowiek na pewno będzie na nas czekał?

- Oczywiście.

- Nieraz już to robiłeś, prawda? Grałeś rolę pośrednika czy... Jak ty to mówisz?

Ułatwiasz?

- Naturalnie - przytaknął Chant. - Mam to we krwi.

A nie była to w pełni angielska krew. Skóra i gramatyka Chanta zdradzały jego imigrancką przeszłość. Mimo to Estabrook przekonał się, że można mu czasem zaufać.

- Nie jesteś ciekawy, co planuję? - zapytał.

- To nie moja sprawa, proszę pana. Pan płaci za usługę, ja ją wykonuję. Gdyby chciał mi pan wyjawiać swoje motywacje...

- Tak się składa, że nie mam na to ochoty.

- Rozumiem. Więc moja ciekawość nie ma chyba sensu, prawda?

Zgrabnie powiedziane, uznał Estabrook. Kiedy człowiek nie pragnie tego, czego i tak nie może mieć, na pewno łatwiej mu się żyje. Kto wie, czy nie powinien nauczyć się tej sztuczki, nim za bardzo się zestarzeje - nim zacznie marzyć o czasie, którego nikt mu nie podaruje. Nie żeby miał wygórowane wymagania; na przykład nie wymagał seksu od Judith. Patrzenie na nią sprawiało mu tyle samo przyjemności, co kochanie się z nią. Nie wiedziała o tym, ale na jej widok czuł, że coś przesywa go do głębi, tak jakby to ona w niego wchodziła. Chociaż... Może i wiedziała. Może uciekła od jego bierności, od łatwości, z jaką ulegał jej urodzie. Jeżeli tak było, to po dzisiejszej nocy zmieni zdanie. On, Estabrook, pokaże, że jest mężczyzną - wynajmie mordercę; ona zaś w chwili śmierci zrozumie swój błąd. Ta myśl sprawiała mu przyjemność. Pozwolił sobie na nikły uśmiešek, który jednak zniknął mu z ust, gdy tylko samochód zaczął zwalniać.

Przed maską wozu ciągnęła się porzewiała żelazna ściana, na całej długości pomazana sprayem. Za nią - co było widać przez dziury wydarte w przeżartym korozją metalu - znajdowało się złomowisko, na którym stały przyczepy kempingowe. Najwyraźniej tam właśnie mieli się udać.

- Zwariowałaś?! - Estabrook pochylił się i złapał Chanta za ramię. - Tu jest niebezpiecznie!

- Obiecałem panu najlepszemu płatnego zabójcę w całej Anglii, panie Estabrook. Tu właśnie go znajdziemy. Może mi pan wierzyć.

Estabrook odburknął coś wściekle. Spodziewał się dyskretnej atmosfery, zasłoniętych okien i szczelnie zamkniętych drzwi, a nie obozowiska Cyganów. Byłby to szczyt ironii losu: zostać zamordowanym, próbując zlecić morderstwo.

- Zawiodłem się na tobie - stwierdził Estabrook.

- Obiecuję panu, że to naprawdę niezwykły człowiek - powiedział Chant. - W całej

Europie nie ma nikogo, kto mógłby się z nim równać. Pracowałem dla niego, zanim...

- Byłbyś tak miły i podał mi nazwiska paru waszych ofiar?

Chant odwrócił się do swojego pracodawcy.

- Ja nie nalegałem, kiedy chciał pan zachować dyskrecję. Proszę tylko o to samo.

Estabrook chrząknął cicho.

- Czy chce pan, żebyśmy wrócili do Chelsea? - ciągnął Chant. - Mogę znaleźć panu kogoś innego. Nie będzie może równie dobry, ale spotkacie się w przyjemniejszym otoczeniu.

Sarkazm w słowach kierowcy był wyraźny. Estabrook rozumiał, że jeżeli chce być czysty, nie może podjąć tej gry.

- Nie, nie, skoro już tu jesteśmy, spotkam się z nim - zapewnił Chanta. - Jak się nazywa?

- Ja go nazywam Pie.

- Pie?! To imię czy nazwisko?

- Po prostu Pie.

Chant wysiadł i otworzył Estabrookowi drzwi. Mroźny wiatr dmuchnął do środka śniegiem. Tego roku zimie naprawdę było spieszno. Estabrook postawił kołnierz, wcisnął ręce głęboko do pachnących miętą kieszeni i wszedł za swoim przewodnikiem w najbliższą wyrwę w skorodowanej ścianie. W powietrzu unosił się zapach palonego drewna - pomiędzy przyczepami dogasało ognisko. Woń spalenizny mieszała się z odorem zjełczałego tłuszczu.

- Proszę iść blisko mnie, żywym krokiem - poradził Chant. - I niech się pan nie rozgląda. Ci ludzie bardzo sobie cenią prywatność.

- Co ten twój as tu robi? - zdziwił się Estabrook. - Ukrywa się?

- Twierdził pan, że chce wynająć człowieka, którego nikt nie zdoła wytropić. Użył pan słowa „niewidzialny”. Taki właśnie jest Pie. Nie ma go w żadnych kartotekach. Ani policyjnych, ani ubezpieczeniowych, ani nawet w rejestrze urodzeń.

- Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

- Specjalizuję się w sprawach nieprawdopodobnych.

Do tej pory Estabrook nigdy się nie przeląkł złowrogiego błysku w oku Chanta, ale tym razem nie potrafił kierowcy spojrzeć w twarz. Chant musiał kłamać. Jaki dorosły

człowiek w dzisiejszych czasach mógłby się uchować poza wszelkimi rejestrami? Jednak myśl o spotkaniu z człowiekiem, który się za takiego uważa, była intrygująca. Estabrook skinął głową na Chanta, żeby szli dalej.

Znaleźli się na słabo oświetlonym terenie. Wszędzie wałały się śmieci i złom, mijali zardzewiałe szkielety samochodów, sterty gnijących odpadków, których smrodu nie był w stanie przytłumić mróz, niezliczone wygasłe ogniska. Zwracali na siebie powszechną uwagę. Jakiś pies, w którego krwi zmieszało się więcej ras, niż miał kudłów na grzbiecie, jazgotał jak opętany, szarpiąc się na napiętym powrozie. Piana kapała mu z pyska. W kilku przyczepach niewidoczne ręce odsunęły firanki. Dwie młode dziewczyny, o włosach tak jasnych i długich, jakby ochrzczono je w płynnym złocie (w takim miejscu wyglądały wręcz niewiarygodnie pięknie), wstały od ogniska. Jedna gdzieś pobiegła, jakby chciała zawiadomić straż, druga obserwowała przybyszów z na wpół anielskim, na wpół debilnym uśmiechem na twarzy.

- Proszę na nią nie patrzeć - upomniał Estabrooka Chant, ale Charlie nie mógł się powstrzymać.

Z przyczepy wynurzył się albinos z białymi dreadami, ciągnąc za sobą blondynkę. Na widok obcych krzyknął głośno i ruszył w ich stronę. Otworzyło się jeszcze dwoje drzwi. Na plac wychodziło coraz więcej ludzi, ale Estabrook nie dojrzał, czy są uzbrojeni.

- Niech pan idzie prosto, nie rozgląda się - przypomniał mu Chant. - To ta przyczepa ze słońcem wymalowanym na ścianie, widzi ją pan?

Zostało im jeszcze jakieś dwadzieścia metrów. Albinos z dreadami wydawał rozkazy - nie wszystkie brzmiały sensownie, ale na pewno miały na celu zatrzymanie intruzów. Estabrook zerknął na Chanta, który zacisnął zęby i szedł ze wzrokiem utkwionym w przyczepę. Za ich plecami rozlegał się coraz głośniejszy tupot nóg. Sekundy dzieliły ich od ciosu w głowę albo pchnięcia nożem pod żebra.

- Nie uda nam się - mruknął Estabrook.

Kiedy zbliżyli się na dziesięć metrów do przyczepy i albinos deptał im już po piętach, drzwi się otwały. Wyrzała przez nie kobieta w nocnej koszuli, z dzieckiem na ręku. Była niska i tak drobna, że chyba tylko cudem mogła podnieść malucha. Dzieciak rozplakał się, gdy dosięgnął go mróz.

Żałosne kwilenie przyspieszyło reakcję goniących ich ludzi. Albinos zatrzymał

Estabrooka, kładąc mu dłoń na ramieniu. Chant - tchórz perfidny - nawet nie zwolnił kroku, gdy albinos odwrócił Estabrooka do siebie. Tak właśnie wyglądały najgorsze koszmary Charliego: stał naprzeciwko paskudnych, ospowatych facetów, którzy nie mieli nic do stracenia i mogli go śmiało wypatroszyć. Albinos przytrzymał go, a drugi mężczyzna, błyskając złotymi siekaczami, rozchylił mu płaszcz i z wprawą iluzjonisty przeszukał kieszenie. Tu nie chodziło o zwykły profesjonalizm - chcieli szybko zakończyć robotę, zanim ktoś zdąży im przeszkodzić. Kieszonkowiec wyciągnął właśnie portfel Estabrooka, gdy z przyczepy rozległ się głos:

- Puście tego dżentelmena. Jest prawdziwy.

Bez względu na to, co znaczyło ostatnie stwierdzenie, rozkaz został natychmiast wykonany. Złodziejaszek zdążył jednak przełożyć portfel Estabrooka do swojej kurtki, po czym cofnął się i podniósł ręce, pokazując puste dłonie. Mimo opieki, którą Pie - bo to zapewne Pie - najwyraźniej otoczył gościa, upominanie się o portfel byłoby chyba nierozsądne. Estabrook odsunął się od napastników z lekkim sercem i kieszenią.

Odwrócił się i ujrzał stojącego w drzwiach przyczepy Chanta. Kobieta z dzieckiem i człowiek, który przed chwilą się odezwał, zniknęli w środku.

- Nie zrobili panu krzywdy? - upewnił się Chant.

Estabrook obejrzał się przez ramię. Złodzieje wrócili do ogniska, pewnie zamierzali w jego świetle podzielić się łupem.

- Nie - odparł. - Sprawdź, co z samochodem, zanim go ze wszystkiego oskubią.

- Najpierw chciałbym pana przedstawić...

- Idź do auta. - Wysłanie Chanta w pojedynkę na ziemię niczyją, ciągnącą się aż do żelaznej ściany, sprawiło Estabrookowi pewną satysfakcję. - Sam się przedstawię.

- Jak pan sobie życzy.

Chant oddalił się, a Estabrook wszedł po schodkach do przyczepy. Powitał go zapach i dźwięk, oba równie słodkie. Woń niedawno obranych pomarańczy unosiła się jeszcze w powietrzu. Ktoś - jakiś Murzyn siedzący w ciemnym kącie przyczepy - grał na gitarze kołysankę. Obok niego spało jedno dziecko, a w łóżeczku leżał maluch, którego matka wyniosła na zewnątrz. Gulgotał radośnie i wyciągał pulchniutkie rączki do góry, jakby chciał paluszkami chwycić melodię z powietrza. Z drugiej strony przy stole siedziała kobieta uprzątająca skórki pomarańczowe. Wnętrze przyczepy było urządzone i

posprzątane z taką samą precyzją, z jaką wykonywała to zadanie; wszystkie powierzchnie lśniły.

- Pan musi być Pie - stwierdził Estabrook.

- Proszę, niech pan zamknie drzwi - powiedział gitarzysta. Kiedy Estabrook to zrobił, dodał: - Proszę usiąść. Thereso, podaj naszemu gościowi coś do picia. Na pewno jest zmarznięty.

Brandy w porcelanowym kubeczku smakowała jak najśłodszy nektar. Estabrook wypił ją duszkiem, a Theresa od razu napełniła kubek ponownie. Kiedy i tym razem pochłonał brandy kilkoma haustami, dostał drugą dolewkę. Pie przez ten czas uspił swoją grą dzieci i przysiadł się do stołu. Alkohol przyjemnie szumiał Estabrookowi w głowie.

W całym swoim życiu znał z nazwiska tylko dwóch Murzynów: jeden był kierownikiem fabryki płytek ceramicznych w Swindon, drugi - kolegą jego brata. Żadnego z nich nie miał ochoty poznawać bliżej. Ludzie w jego wieku i z jego klasy społecznej wciąż napawali się wspomnieniami ery kolonialnej. Fakt, że w żyłach Pie płynęła czarna krew (chyba nie tylko czarna, pomyślał Estabrook), dodatkowo przemawiał przeciw Chantowi. A jednak - może to przez brandy - facet, który siedział po drugiej stronie stołu, wydał się Charliemu intrygujący.

Pie nie wyglądał na zabójcę. Jego twarz nie była może pozbawiona wyrazu, ale wydawała się niepokojąco delikatna, nawet (choć to słowo nie przeszłoby Estabrookowi przez gardło) piękna. Wysokie kości policzkowe, pełne usta, ciężkie powieki. Włosy, w których czarne pasemka przeplatały się z jasnymi, opadały mu na ramiona drobnymi loczkami. Musiał być chyba starszy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Zwłaszcza biorąc pod uwagę wiek jego dzieci. A może nie, może miał dopiero trzydziestkę, tylko życie dało mu w kość? Sepiowy odcień gładkiej skóry ledwie maskował jej chorobliwy, dziwnie metaliczny połysk. Trudno było się zdecydować, jaki właściwie ma kolor, zwłaszcza gdy oczy przesłaniała człowiekowi mgiełka brandy. Najłżejszy ruch głowy Pie sprawiał, że po jego skórze przebiegały delikatne fale, mieniając się ulotnymi barwami, jakich Estabrook nigdy nie widział u żywej istoty.

Theresa zostawiła ich samych i usiadła przy kojcu. Po części przez wzgląd na śpiące dzieci, a po części ze strachu przed wyrażeniem głośno swoich myśli Estabrook mówił szeptem:

- Czy Chant powiedział panu, dlaczego tu jestem?

- Naturalnie. Chce pan, żeby ktoś został zamordowany. - Pie wyjął paczkę papierosów z kieszeni dżinsowej koszuli. Poczęstował Estabrooka, który odmówił ruchem głowy. - Po to właśnie pan tu przyjechał, prawda?

- Tak - przytaknął Estabrook. - Tylko...

- Patrzy pan na mnie i myśli, że się do tego nie nadaję - podsunął mu Pie. Włożył papierosa do ust. - Niech pan będzie ze mną szczery.

- Inaczej sobie pana wyobrażałem.

- To świetnie. - Pie zapalił papierosa. - Gdybym był taki, jak pan się spodziewał, wyglądałbym na zawodowego mordercę, a pan by wtedy stwierdził, że za bardzo się rzucam w oczy.

- Może i tak.

- Jeżeli nie chce pan skorzystać z moich usług, nie ma sprawy. Chant na pewno znajdzie kogoś innego. Jeżeli jednak chce mnie pan wynająć, proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Estabrook spojrział, jak dym przesłania szare oczy mordercy, i ani się obejrzał, jak zaczął zwierzać się ze wszystkiego. Na śmierć zapomniał o zasadach, które miały rządzić tym spotkaniem. Zamiast wypytać Pie o wszystko i ukryć co tylko się da z własnej biografii, żeby nie dawać mu niepotrzebnie jakiegoś punktu zaczepienia, przedstawił swoją tragedię ze wszystkimi niechlubnymi szczegółami. Kilkakrotnie próbował się powstrzymać, ale tak dobrze się czuł, pozbywając się tego brzemienia, że przełamał barierę rozsądku. Gospodarz ani razu mu nie przerwał. Dopiero kiedy rozległo się pukanie do drzwi, oznajmiające przybycie Chanta, Estabrook przypomniał sobie, że tej nocy na świecie są jeszcze inne żywe istoty poza nim i jego spowiednikiem. Zresztą już skończył.

Pie otworzył drzwi, ale nie wpuścił Chanta do środka.

- Odprowadzę go do samochodu - powiedział. - To nie potrwa długo. - Zamknął drzwi i wrócił do stołu. - Napije się pan czegoś jeszcze?

Estabrook odmówił, ale przyjął papierosa. Pie wypytywał o szczegóły dotyczące miejsca pobytu i zwyczajów Judith, a Estabrook monotonnym głosem udzielał wyjaśnień. Na koniec poruszyli kwestię zapłaty. Zgodzili się na dziesięć tysięcy funtów, płatne w

dwóch ratach: zaliczka, kiedy dobiją targu, reszta po wykonaniu zadania.

- Chant ma pieniądze - dodał Estabrook.

- W takim razie możemy chyba iść?

Zanim wyszli, Estabrook zajął do dziecinnego łóżeczka.

- Ma pan śliczne dzieci - powiedział, gdy znaleźli się na dworze.

- Nie są moje. Ich ojciec zmarł przed rokiem, w Boże Narodzenie.

- Co za tragedia.

- To stało się bardzo szybko. - Pie zerknął przelotnie na Estabrooka, który znalazł w jego spojrzeniu potwierdzenie, że to jest sprawca osierocenia dzieci. - Na pewno pragnie pan śmierci tej kobiety? W tych sprawach nie wolno mieć wątpliwości. Jeżeli jeszcze się pan waha...

- Nie waham się - przerwał mu Estabrook. - Przyszedłem tu, żeby znaleźć człowieka, który zabije moją żonę. Pan nim jest.

- Nadal ją pan kocha, prawda? - spytał Pie, gdy ruszyli do samochodu.

- Oczywiście. Dlatego chcę, żeby zginęła.

- Zmartwychwstania nie będzie, panie Estabrook. W każdym razie nie dla pana.

- To nie ja mam umrzeć.

- Chyba się pan myli. - Mijali właśnie ognisko, którego nikt już nie podsycił. - Kiedy człowiek zabija to, co kocha, w nim też coś musi umrzeć. To chyba jasne?

- Jeżeli mam umrzeć, zgoda. Pod warunkiem, że ona będzie pierwsza. Chcę, żeby stało się to jak najszybciej.

- Powiedział pan, że jest teraz w Nowym Jorku. Mam tam za nią polecieć?

- A zna pan Nowy Jork?

- Tak.

- W takim razie niech pan to tam załatwi. Byle szybko. Każę Chantowi uregulować rachunek za przelot. To wszystko. Więcej się nie zobaczymy.

Chant czekał na nich przy żelaznej ścianie. Wyjął zza pazuchy kopertę z pieniędzmi, którą Pie przyjął bez pytań i bez podziękowań. Uścisnął Estabrookowi rękę na pożegnanie i pozwolił intruzom bezpiecznie wrócić do samochodu. Zapadając się w wygodne, skórzane siedzenie, Estabrook zdał sobie sprawę, że ręka, którą podał na pożegnanie, drży. Splótł palce obu dłoni i trzymał je ściśnięte przez całą podróż do domu.

ROZDZIAŁ 2

„Zrób to dla wszystkich kobiet tego świata”, głosiła kartka, którą John Furie Zacharias podniósł z podłogi. „Poderżnij sobie gardło, łgarzu”.

Obok karteczki Vanessa i jej przybocznicy (miała dwóch braci; prawdopodobnie do spółki z nimi wyczyściła dom) zostawili zgrabną kupkę potłuczonego szkła, na wypadek gdyby jej prośba poruszyła go na tyle, żeby od razu chciał pożegnać się z życiem.

Wpatrywał się tępo w jej słowa, czytając je po raz setny i szukając w nich - na próżno, rzecz jasna - śladu pocieszenia. Poniżej ptaszka i bohomazu, łączących się w podpis Vanessy, papier był lekko pofałdowany. Czyżby płakała, pisząc to pożegnanie?

Niewielka byłaby to pociecha, a jeszcze mniejsze prawdopodobieństwo, że to prawda.

Vanessa do płaczących nie należała. John nie wyobrażał też sobie, żeby kobieta, która żywiłaby wobec niego jakiegokolwiek cieplejsze uczucia, potrafiła tak metodycznie ograbić go ze wszystkiego. Co prawda ani mieszkanie w zapomnianym zaułku, ani żaden mebel zgodnie z prawem do niego nie należały, ale przecież mnóstwo sprzętów wybrali razem: ona ceniła jego zmysł estetyczny, on - jej pieniądze, za które kupowali wszystko, co wpadło mu w oko. Wszystko zniknęło, włącznie z perskim dywanem i lampą w stylu art deco. Dom, który razem urządzili i którym cieszyli się przez rok i dwa miesiące, został dokumentnie ogołocony. John też czuł się nagi, jak odarty z ciała. Nie miał nic.

Nie stała się żadna tragedia. Vanessa nie była pierwszą kobietą gotową zaspokajać jego zamiłowanie do ręcznie tkanych koszul i jedwabnych kamizelek; nie będzie też ostatnią. Była jednak jedyną w ostatnich czasach - przeszłość ulatniała się z pamięci Gentle'a po mniej więcej dziesięciu latach - która w pół dnia zaplanowała i przeprowadziła taką grabież.

Jego błąd nie pozostawiał wątpliwości. Kiedy obudził się obok niej w łóżku, Vanessa upomniała się, żeby sprawił jej przyjemność swoją poranną erekcją. Odmówił, wiedząc, że po południu spotka się z Martine. Roztrząsanie kwestii, skąd Vanessa wiedziała, gdzie opróżnia swoje jądra, było bezcelowe. Wiedziała i już. W południe

wyszedł z domu, przekonany, że kobieta, którą w nim zostawił, jest mu bez reszty oddana. Pięć godzin później wrócił i zastał dom w takim stanie jak teraz.

Potrafił być sentymentalny w najdziwniejszych chwilach. Na przykład teraz, kiedy chodził po pustych pokojach i zbierał drobiazgi, które czuła się zobowiązana mu zostawić: notes z telefonami, ubrania kupione za swoje, nie za jej pieniądze, zapasowe okulary, papierosy. Nie kochał Vanessy, ale przez te czternaście wspólnie spędzonych miesięcy było mu z nią dobrze. Na podłodze w jadalni zostawiła jeszcze trochę śmieci, pamiątek wspólnego życia: kółko z kluczami - nigdy nie znaleźli drzwi, do których by pasowały; instrukcję obsługi miksera, który spalił się któreś nocy, gdy John przyrządzał w nim koktajl z tequili; plastikową buteleczkę olejku do masażu. Wszystko to razem stanowiło żalną kolekcję. Nie zamierzał się oszukiwać i wmawiać sobie, że ich związek był czymś więcej niż sumą tych śmieci. Miał inny problem - gdzie powinien iść i co zrobić teraz, kiedy wszystko się skończyło. Martine była mężatką w średnim wieku. Jej mąż, bankier, trzy dni w tygodniu spędzał w Luksemburgu, więc miała dość czasu na flirtowanie. Zdarzało się, że wyznawała Gentle'owi miłość, ale bez przekonania. Nie ludził się, że gdyby chciał - a z pewnością nie chciał - namówiłby Martine do rozwodu. Znał ją od ośmiu miesięcy; prawdę mówiąc, poznali się na kolacji wyprawianej przez Williama, starszego brata Vanessy, i tylko raz się przez ten czas pokłócili, ale była to kłótnia znacząca. Martine miała pretensje, że ciągle ogląda się za innymi, gapi się i gapi, jakby cały czas szukał nowej zdobyczy. Chyba niezbyt mu na niej zależało, bo odpowiedział - zgodnie z prawdą - że zgadła. Miał fioła na punkcie przedstawicielek jej płci. Cierpiał, gdy ich nie widział, znajdował się w siódmym niebie, gdy go otaczały. Był chory z miłości. Stwierdziła, że chociaż jego obsesja jest zdrowsza od manii jej męża, którego interesowały wyłącznie pieniądze i obracanie nimi, to i tak zachowuje się jak nerwicowiec. Po co ci to niekończące się polowanie? - zapytała. Zaczął coś bełkotać o poszukiwaniu idealnej kobiety, ale wciskając jej ten kit, wiedział, że prawda wygląda inaczej. I że jest gorzka. Zbyt gorzka, żeby przeszła mu przez gardło. Odpowiedź sprowadzała się do jednego: Gentle czuł się pusty, jakby nic nie znaczył, jakby nie istniał, jeżeli chociaż jedna kobieta (lub więcej) się w nim nie podkochała. Owszem, wiedział o tym, że ma delikatne rysy twarzy, szerokie czoło, czarujące spojrzenie, usta tak ukształtowane, że nawet gniewnie skrzywione wyglądały urzekająco, ale potrzebował

żywego lustra, które by to potwierdzało. Więcej - miał nadzieję, że któreś z tych lusterek znajdzie pod jego olśniewającą fasadą coś, co tylko druga para oczu może dostrzec, jakieś ukryte „ja”, które wyzwoli go z bycia Gentle'em.

*

Jak zwykle, kiedy czuł się samotny, poszedł do Chestera Kleina, mecenasa sztuki wychodzącej spod ręki różnych artystów. Klein twierdził, że dorównuje Byronowi, jeśli idzie o liczbę szacownych biografii, z których wycięli go zawistni prawnicy. Mieszkał w Notting Hill Gate, w domu kupionym za grosze pod koniec lat pięćdziesiątych, i ostatnio rzadko go opuszczał. Cierpiał na agorafobię, czy raczej, jak to ujmował: „całkowicie racjonalny lęk przed każdym, kogo nie mógł szantażować”. W tym udzielnym księżstewku urządził się doskonale. Ze względu na swój fach miał kontakt tylko z garstką wybranych klientów; poza tym liczyło się wycucie zmian trendów kształtujących ich gust i zdolność ukrycia zadowolenia z tego, co osiągnął. Mówiąc krótko, handlował fałszywkami.

Najbardziej brakowało mu ostatniej z wymienionych zalet. Niektórzy z zaufanych odbiorców twierdzili, że to właśnie przywiedzie go do zguby, ale krakali tak już od trzydziestu lat, a Kleinowi wiodło się lepiej niż im wszystkim razem wziętym. Luminarze, którzy przez te dziesięciolecia korzystali z jego usług - zbiegli na Zachód tancerze i pomniejsi szpiedzy, uzależnione od narkotyków parweniuszki, gwiazdy rocka o mesjanistycznych zapędach, biskupi, którzy uwielbiali młodych uliczników - wszyscy mieli swoje pięć minut chwały, po których następował upadek. Klein zaś przetrwał, by opowiedzieć ich historie. Kiedy czasem jego nazwisko pojawiło się w brukowcu albo czyjeś szczerzej do bólu biografii, zawsze był przedstawiany jako święty, patron zagubionych duszyczek.

Gentle, taka właśnie zagubiona duszyczka, mógł mieć pewność, że zostanie w rezydencji Kleina życzliwie przyjęty, ale nie tylko dlatego się tam udał. Klein cały czas szukał środków na swoje machinacje, a skoro potrzebował pieniędzy - potrzebował i malarzy. W domu przy Ladbroke Grove można było znaleźć pocieszenie, ale i coś więcej - zatrudnienie. Minęło jedenaście miesięcy, odkąd ostami raz rozmawiał z Chesterem, ale został powitany jak zwykle wylewnie i zaproszony do środka.

- Szybko! - ponaglił go Klein. - Pospiesz się! Gloriana znów jest w rui! - Zdołał zatrzaskać drzwi, zanim spasiona Gloriana, jeden z jego pięciu kotów, zdołała wyskoczyć

na ulicę w poszukiwaniu towarzystwa. - Za wolna jesteś, skarbie! - powiedział do niej, kiedy miauknęła żałośnie. - Specjalnie ją tak tuczę, żeby nie mogła za szybko biegać - wyjaśnił. - Poza tym przy niej czuję się szczuplejszy.

Klein poklepał się po brzuchu, a ostatnio wyraźnie utył. Koszula, która - tak jak i on sam - była czerwona i pamiętała lepsze czasy, opinała się na nim i marszczyła na szwach. Włosy nadał nosił spięte w kucyk i przewiązane wstążką. Na łańcuszku na szyi miał zawieszony krzyż ankh, ale powierzchowność przekwitłego dziecka-kwiatu kryła naturę zachłanną jak u australijskiego altannika. Nawet przedpokój, w którym przywitał gościa, był dosłownie zavalony bibelotami: drewniany piesek, plastikowe róże w psychodelicznym nadmiarze, wyłożone na talerzach głowy cukru.

- Boże, ale przemarzłeś! - stwierdził Klein. - W ogóle fatalnie wyglądasz. Ktoś ci dał po łbie?

- Nie.

- To czemu oczy masz podsiniaczone?

- Jestem po prostu zmęczony.

Gentle zdjął gruby płaszcz i przerzucił go przez oparcie krzesła przy drzwiach. Wiedział, że kiedy po niego wróci, płaszcz będzie ciepły i cały pokryty kocią sierścią.

Klein czekał już na niego w salonie i nalewał wina. Czerwonego, jak zawsze.

- Nie zwracaj uwagi na telewizor - powiedział. - Ostatnio w ogóle go nie wyłączam. Rzecz w tym, żeby nie podkrecać głosu. Niema telewizja jest znacznie ciekawsza.

To było nowe dziwactwo Kleina. Telewizor nie pozwalał się skupić. Gentle wziął wino i usiadł na rogu sfatygowanej kanapy, skąd prawie nie widział ekranu - a i tak go kusiło, żeby tam zerkać.

- No, gnojku - odezwał się Klein. - Jakiej to katastrofie zawdzięczam ten zaszczyt?

- Żadnej, po prostu się nudzę. Szukałem kogoś, kto mnie rozweseli.

- Zostaw je, Gentle.

- Co mam zostawić?

- Dobrze wiesz. Płeć piękną. Odpuść sobie. Ja tak zrobiłem i wiem, że to ogromna ulga. Te wszystkie desperackie próby uwodzenia, rozmyślania o śmierci, żeby opóźnić orgazm... Strata czasu. Mówię ci, pozbyłem się zbędnego brzemienia.

- Ile masz lat?

- Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Nie zadaję się z kobietami, bo łamały mi serce.

- A cóż to za serce?

- Też mógłbym cię o to zapytać. Tak, tak, kwiczysz żałośnie, wyłamujesz sobie palce, a potem wracasz i popełniasz te same błędy. To nużące. One są nużące.

- W takim razie ratuj mnie.

- Znów się zaczyna.

- Nie mam pieniędzy.

- Ja też nie.

- Razem możemy coś zarobić, żebym nie musiał być na ich utrzymaniu. Wracam do pracowni, Klein. Namaluję ci, co zechcesz.

- Oho, gnojek przemówił.

- Wolałbym, żebyś mnie tak nie nazywał.

- Przecież to prawda. Nie zmieniłeś się przez osiem lat. Świat się starzeje, a gnojek zachowuje dawną doskonałość. A skoro o tym mowa...

- Daj mi pracę.

- Nie przerywaj mi, kiedy plotkuję. Skoro o tym mowa, w poprzednią niedzielę widziałem Clema. Pytał o ciebie. Bardzo przytył. Jego życie uczuciowe jest prawie równie beznadziejne jak twoje. Taylor złapał syfa. Mówię ci, Gentle, celibat to jest to.

- Więc znajdź mi zajęcie.

- To nie takie proste! Na rynku jest dołek, a poza tym... No, będę brutalny: mam nowego wunderkinda. - Klein wstał. - Chodź, pokażę ci. - Zaprowadził Gentle'a do pracowni. - Chłopak ma dwadzieścia dwa lata i daje słowo, gdyby miał trochę oleju w głowie, zostałby świetnym malarzem. Tylko że jest taki jak ty. Ma talent i nic więcej.

- Dzięki - odparł oschle Gentle.

- Wiesz, że to prawda.

Klein włączył światło. W pokoju znajdowały się trzy nieoprawione płótna. Jedno przedstawiało kobiecy akt w stylu Modiglianiego. Obok znajdował się krajobraz skopiowany z Corota, ale trzeci, największy obraz był najlepszy. Sielska scenka - klasycznie odziani pasterze, zalęknieni, stojący przed drzewem, w którego pniu widać ludzką twarz.

- Odróżniłbyś go od prawdziwego Poussina?
- Farba jeszcze świeża?
- Bystry jesteś.

Gentle podszedł do obrazu, żeby obejrzyć go z bliska. Nie był ekspertem od tej akurat epoki, ale znał się na sztuce wystarczająco, żeby płótno wywarło na nim wrażenie. Gęsto tkany materiał, farba kładzona ostrożnymi, regularnymi pociągnięciami pędzla, kolory narastające w cienkich, połyskliwych warstwach.

- Precyzyjna robota, co? - zachwycił się Klein.
- Tak precyzyjna, że aż mechaniczna.
- No, no, tylko bez kwaśnych winogron proszę.

- Mówię serio. Taka perfekcja nie mieści się w słowach. Jeśli wystawisz go na sprzedaż, będziesz skończony. Ten Modigliani to zupełnie inna sprawa...

- To wprawka - przerwał Klein. - Nie mogę go sprzedać. Facet namalował tylko kilkanaście obrazów. Tak naprawdę stawiam na Poussina.

- To błąd. Sparzysz się na nim. Mogę się jeszcze napić?

Gentle wrócił do salonu. Klein szedł za nim, pomrukując coś do siebie.

- Masz niezłe oko, Gentle - przyznał. - Szkoda, że nie mogę na tobie polegać.

Znajdziesz sobie inną kobietę i zaraz się ulotnisz.

- Nie tym razem.
- Nie żartowałem, mówiąc o zapaści na rynku. Nie ma na nim miejsca na gnioty.
- Miałeś kiedyś kłopoty z moimi obrazami?

Klein się zamyślił.

- Nie - przyznał po chwili.
- Mój Gauguin jest w Nowym Jorku. Moje szkice FUSELEGO...
- Wiem, w Berlinie. Nie ukrywam, widać cię tu i ówdzie.
- I nikt nigdy nie odkryje prawdy.

- Kiedyś odkryją. Za sto lat twój FUSELEGO będzie zbyt młody. Ludzie zaczną węszyć i znajdą cię, gnojku. Rozpoznają też KENNY'EGO SOAMESA, GIDEONA i wszystkich moich kanciarzy.

- A ciebie zniszczą za to, że nam płaciłeś. Za to, że odebrałeś dwudziestemu wiekowi całą jego oryginalność.

- Gówno prawda. Dobrze wiesz, że oryginalność nie jest dziś w cenie. Mógłbyś udawać wizjonera i malować Najświętsze Dziewice.

- Tak właśnie zrobię. Celibat i całymi dniami Najświętsze Dziewice, w każdym możliwym stylu: z Dzieciątkiem, bez Dzieciątka, płaczące, rozanielone. Jądra mi odpadną z wysiłku, Klein. To zresztą nic nie szkodzi, bo nie będą mi już potrzebne.

- Daruj sobie Dziewice, są niemodne.

- Zapomniane, a nie niemodne.

- Najlepszy jesteś w dekadencji.

- Jak sobie życzysz. Tylko powiedz.

- Nie próbuj mnie wyruchać. Kiedy znajdę klienta i coś mu obiecuję, malujesz bez gadania.

- Jeszcze dziś wracam do pracowni i zaczynam od nowa. Zrób dla mnie jedną rzecz, dobrze?

- Co takiego?

- Spal Poussina.

*

Nawet mieszkając z Vanessą, zaglądał czasem do pracowni. Dwa razy spotkał się tam z Martine, kiedy jej mąż odwołał wyjazd do Luksemburga, a ona była zbyt napalona, żeby przepuścić okazję do schadzki. Atelier wyglądało jednak przygnębiająco, tak że chętnie wracał do domu przy Wimpole Mews. Tym razem było inaczej. Surowy wystrój tego wnętrza sprawił mu przyjemność. Gentle włączył kuchenkę elektryczną, zaparzył sobie kubek fałszywej kawy, dodał fałszywego mleka i zaczął myśleć o naturze oszustwa.

Ostatnie sześć lat jego życia - czyli od czasu Judith - składało się z samych fałszerstw. Niby nie było w tym żadnej tragedii (bądź co bądź, od dziś znów zacznie w ten sposób zarabiać na życie), ale o ile malarstwo dawało przynajmniej namacalne efekty - podwójne, jeśli liczyć wynagrodzenie - polowanie i uwodzenie zawsze kończyło się tak samo. Zostawał sam, nagi, z pustymi rękoma. Od dziś koniec z tym. Spełnił toast lurowatą kawą i złożył obietnicę bogu kanciarzy (kimkolwiek był), że zostanie kimś naprawdę niezwykłym. Skoro był geniuszem wśród fałszerzy, dlaczego miałby marnować swój talent na oszukiwanie mężów i kochanek? Powinien raczej zwrócić się ku poważniejszym celom, tworzyć arcydzieła podpisane obcymi nazwiskami. Klein miał

rację. Czas zweryfikuje wartość jego daru. Kiedy wszystkie obrazy zostaną odkryte, potwierdzą jego reputację wizjonera. A jeżeli nie, jeśli Klein się mylił i nikt nigdy nie pozna prawdziwego autora tych prac, tym lepiej. Będzie niewidzialny, a jednak widoczny, nieznany, lecz wpływowy. To wystarczyło, żeby całkiem zapomniał o kobietach.

W każdym razie na tę jedną noc.

ROZDZIAŁ 3

Chmury nad Manhattanem, które przez cały dzień straszły śniegiem, o zmierzchu rozwiały się i odsłoniły czyste niebo o barwie tak nieokreślonej, że patrząc w nie, można by wszcząć filozoficzną dysputę o naturze błękitu. Nie bacząc na ciężar całodziennych zakupów, Jude postanowiła wrócić pieszo do mieszkania Marlina na rogu Park Avenue i Osiemdziesiątej. Ręce jej omdlewały, ale miała przynajmniej okazję pomyśleć spokojnie o spotkaniu, które zdominowało jej dzień. Mogła się też zastanowić, czy chce o nim opowiadać Marlinowi. Niestety, facet miał umysł prawnika. W najlepszym razie rozumował chłodno i analitycznie, w najgorszym - wszystko przesadnie upraszczał. Wiedziała, że jeśli się jej uczepi, ona straci cierpliwość i ich stosunki, które (poza chwilami jego wybryków) układały się miło i sympatycznie, gwałtownie się pogorszą. Musiała wyrobić sobie własną opinię na temat wydarzeń sprzed dwóch godzin, zanim podzieli się nimi z Marlinem. Wtedy będzie mógł śmiało pastwić się nad jej relacją.

W miarę, jak obracała to spotkanie w myślach na wszystkie strony, jego obraz stawał się - jak niebo nad Manhattanem - coraz bardziej niejednoznaczny. Starła się trzymać niezbitych faktów. Była w dziale męskim Bloomingdales, szukając swetra dla Marlina. Tłum był straszny, nie znalazła nic odpowiedniego, więc schyliła się po torby z wcześniejszymi zakupami. Kiedy się wyprostowała, z ludzkiej masy wyjrzała znajoma twarz. Ile to mogło trwać? Sekundę, góra dwie. W sam raz, żeby serce zdążyło jej mocniej zabić, a policzki się zarumieniły; w sam raz, żeby usta złożyły się do słowa „Gentle”. Potem Gentle zniknął w tłumie. Zapamiętała miejsce, w którym się znajdował, zgarnęła zakupy i ruszyła w tamtą stronę.

Wolno przeciskała się pomiędzy ludźmi, ale po chwili znów go dostrzegła. Szedł do wyjścia. Zawołała go po imieniu - nic jej nie obchodziło, czy wyjdzie na idiotkę, czy nie - i rzuciła się za nim w pościg. W pełnym pędzie musiała robić spore wrażenie, bo ludzie się rozstąpili i gdy znalazła się przy drzwiach, on był dosłownie kilka metrów przed nią. Na Trzeciej Alei panował ścisk jak w sklepie, ale widziała, jak Gentle

przechodzi przez ulicę. Kiedy doszła do przejścia dla pieszych, światło się zmieniło, wpadła jednak na jezdnię, żeby nie stracić go z oczu. Wykrzyknęła jego imię. W tej samej chwili zderzył się z jakimś zaaferowanym przechodniem. Odbił się od niego, odwrócił - i drugi raz dostrzegła jego twarz. Roześmiałaby się pewnie na głos, widząc absurdalność swojej pomyłki, gdyby nie była nią taka poruszona: albo pomieszało się jej w głowie, albo pobiegła za niewłaściwym facetem. W każdym razie Murzyn o długich, opadających na ramiona lokach na pewno nie był Gentle'em. Zawahała się, nie wiedząc, czy powinna dalej się rozglądać, czy od razu darować sobie pościg, ale przez moment nie odrywała wzroku od twarzy czarnoskórego mężczyzny. W tym ułamku sekundy jego rysy rozmyły się i w błysku słońca, może odbitym od skrzydła samolotu w stratosferze, zobaczyła Gentle'a: włosy rozwiane nad szerokim czołem, rzewne szare oczy, układające się do uśmiechu usta, za którymi tak tęskniła, nie zdając sobie z tego sprawy. Uśmiech się nie pojawił. Samolot skręcił, mężczyzna odwrócił się, Gentle zniknął. Jeszcze chwilę stała w tłumie, a potem wzięła się w garść i ruszyła do domu.

Naturalnie, nie potrafiła o nim zapomnieć. Wierzyła swoim zmysłom, toteż martwiła się, że tak ją zawiodły. Jeszcze bardziej niepokoił ją fakt, że z obszernego katalogu twarzy jej pamięć wybrała właśnie tę jedną i odmalowała ją w obliczu obcego człowieka. „Gnojek” Kleina zniknął z jej życia. Minęło sześć lat, odkąd przeszła po moście na drugą stronę dzielącej ich, wzburzonej rzeki. Nurt tej rzeki przyniósł, a potem porwał ze sobą jej małżeństwo z Estabrookiem; niósł też wiele bólu. Gentle został na drugim brzegu, jako część jej historii, nie do odzyskania. Dlaczego zatem teraz go przywołała?

Przecznicę od domu Marlina przypomniawszy sobie coś, co przez te sześć lat całkiem wyleciało jej z głowy - mignięcie twarzy Gentle'a, podobne do tego, którego doświadczyła dzisiaj. Poznali się na przyjęciu u Kleina, całkiem przypadkowo, i nie poświęciła mu ani jednej świadomej myśli. Dopiero trzy noce później przyśnił się jej erotyczny sen, który potem nawiedzał ją dość regularnie. Scenariusz był zawsze taki sam: leżała naga na drewnianej podłodze w pustym pokoju, nie związana, ale w jakiś sposób skrepowana. Kochała się namiętnie z jakimś mężczyzną. Twarzy nigdy nie widziała, a jego usta miały tak słodki smak, że przy pocałunkach miała wrażenie, jakby jadła cukierek. Wreszcie w blasku ognia na kominku dostrzegła twarz widmowego kochanka.

To był Gentle. Obudziła się, wstrząśnięta tym nagłym objawieniem; żal niespełnienia w tym stosunku był tak silny, że do rana nie mogła zasnąć. Następnego dnia wyciągnęła adres Gentle'a od Kleina, który bez ogródek uprzedził ją, że kobiety o czułym sercu źle znoszą znajomość z Johnem Zachariasem. Zignorowała ostrzeżenie i tego samego wieczoru spotkali się z Gentle'em w jego pracowni przy Edgware Road. Przez następne dwa tygodnie prawie z niej nie wychodzili. Przy ich namiętności jej najśmielsze sny wypadały blado.

Dopiero później, kiedy beznadziejnie się zakochała i zdrowy rozsądek stał się bezużyteczny, dowiedziała się o Gentle'u czegoś więcej. Miał reputację kobieciarza, która naprawdę robiła wrażenie - nawet jeśli była w dziewięćdziesięciu procentach fałszywa, jak przypuszczała Judith. Mimo plotek zawsze znalazł się ktoś, kto powiedział o nim coś miłego. Miał wiele przezwisk; niektórzy nazywali go Furie, inni Zach, Zacho, Mister Zee albo Gentle (tak jak ona), jeszcze inni mówili o nim Boski John. Samych imion starczyłoby dla pół tuzina ludzi. Była mu tak ślepo oddana, że nie godziła się z prawdą zawartą w plotkach, on zaś nie robił nic, żeby im zaprzeczyć. Lubił na wpół legendarną atmosferę, która go otaczała. Twierdził na przykład, że nie wie, ile ma lat. Podobnie jak Judith, nie umiał radzić sobie ze wspomnieniami, przeszłość mu się wymykała. Nie ukrywał, że ma obsesję na punkcie kobiet; słyszała i o niemowlętach porwanych z kołyski, i o spólkowaniu z kobietami na łożu śmierci. Nie był wybredny.

Gentle, którego znali portierzy wszystkich hoteli i ekskluzywnych klubów w mieście, który przez dziesięć lat na topie doświadczył wszystkich możliwych tragedii, który wciąż żył i ośniewał swoją urodą - ten sam człowiek powiedział, że ją kocha, i powiedział to tak pięknie, że zapomniała o wszystkim, co wcześniej słyszała.

Mogłaby go słuchać bez końca, gdyby nie fakt, że i ona miała swoją legendarną reputację. Wszyscy wiedzieli, co znaczy jej gniew. Jej złość była ulotna, nieuchwytna, wzbierała w niej, nawet gdy Judith nie zdawała sobie z tego sprawy. Tak było z Gentle'em. Po pół roku romansu i błogiego pławienia się w czułościach zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, żeby człowiek, którego przeszłość stanowiła nieprzerwane pasmo zdrad, nagle się nawrócił. Stąd blisko już było do podejrzenia, że może to nieprawda, chociaż musiała przyznać, że nie dawał jej powodów do podejrzeń. Jego oddanie i wierność graniczyły z obsesją, jakby dostrzegał w niej kobietę, z której istnienia

sama nie zdawała sobie sprawy, swoją odwieczną towarzyszkę. A może była zupełnie inna od kobiet, które znał wcześniej, może miłość do niej zmieniła jego życie? Byli przecież ze sobą tak blisko - to niemożliwe, żeby ją zdradzał, a ona się nie zorientowała. Wyczułaby rywalkę, rozpoznałaby jej zapach na jego skórze, jej smak na jego języku. Jakieś subtelne oznaki zwróciłyby jej uwagę.

Nie doceniła go. Kiedy zbiegiem okoliczności odkryła, że Gentle ma na boku nie jedną, ale dwie kochanki, mało nie postradała zmysłów ze złości. Najpierw zniszczyła całe wyposażenie pracowni, pocięła płótna - i czyste, i zamalowane - a potem wytropiła drania i tak mu dołożyła, że dosłownie padł na kolana, bojąc się o swoje jądra.

Gniew płonął w niej przez tydzień, potem na trzy dni zaniemówiła. To były trzy dni ciszy przepełnionej smutkiem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Gdyby nie przypadkowe spotkanie z Estabrookiem, mogłaby odebrać sobie życie.

Oto historia Judith i Gentle'a: o jedną śmierć od tragedii, o jedno małżeństwo od farsy.

*

Zastała Marlina już w domu. Był bardzo zaniepokojony. - Gdzie byłaś? Jest szósta trzydzieści dziewięć. Natychmiast zorientowała się, że nie czas opowiadać, jak wyprawa do Bloomingdales zburzyła jej spokój ducha.

- Nie mogłam złapać taksówki - skłamała. - Musiałam wracać pieszo.

- Jeżeli ci się to jeszcze raz przydarzy, zadzwoń. Wyślę po ciebie którąś z limuzyn. Nie chcę, żebyś się tak włóczyła po ulicach, to niebezpieczne. Zresztą nieważne, jesteśmy spóźnieni. Zjemy po przedstawieniu.

- Po jakim przedstawieniu?

- W Village. Wczoraj Troy cały wieczór o nim gadał, nie pamiętasz? To jakaś nowoczesna sztuka o Narodzeniu Pańskim, podobno najlepsza rzecz od czasów prawdziwego Betlejem.

- Dawno już nie ma biletów.

- Mam swoje dojscia - rozpromienił się Marlin. - I dziś idziemy?

- Nie pójdziemy, jeśli nie ruszysz tyłka.

- Czasem jesteś taki subtelny, Marlinie...

Judith rzuciła zakupy na podłogę i pobiegła się przebrać.

- A kiedy nie jestem subtelny, to jaki?! - krzyknął za nią. - Seksowny? Warty grzechu? Nie można mi się oprzeć?

*

Jeżeli Marlin traktował bilety jak łapówkę, dzięki której zaciągnie Jude do łóżka, to został skarcony za swoją żądzę. Przez pierwszy akt udawało mu się ukryć znudzenie, ale w przerwie nie mógł się doczekać, żeby wrócić do domu i odebrać nagrodę.

- Naprawdę musimy zostać do końca? - zapytał. Siedzieli w maleńkim foyer i popijali kawę. - No wiesz, nie ma w tym nic niezwykłego. Dzieci się rodzą, dorastają, a potem się je krzyżuje.

- Mnie się podoba.

- Ale to bez sensu - poskarżył się. Mówił poważnie. Eklektyczne przedstawienie obrażało jego racjonalną naturę. - Dlaczego anioły grały jazz?

- A kto ma wiedzieć, co robią anioły?

Pokręcił głową.

- Nie wiem już, czy to komedia, czy satyra, czy coś jeszcze innego, do diabła! A ty wiesz?

- Uważam, że sztuka jest bardzo zabawna.

- Więc chcesz zostać?

- Tak, chciałabym.

Druga część okazała się jeszcze gorszym zlepkim przypadkowych motywów. Jude miała coraz silniejsze wrażenie, że parodia i pastisz pełnią rolę zasłony dymnej dla artystów, którzy nagle zawstydzili się własnej szczerości. Pod koniec, kiedy anioły na dachu stajenki zawodziły w rytm melodii Charliego Parkera, a Święty Mikołaj mrucał coś nad żłóbkiem, wszystko się rozlało. Ale i tak efekt był dziwnie wzruszający. Dzieciątko się narodziło, a światło znów spłynęło na ziemię, mimo akompaniamentu stepujących elfów.

Kiedy wyszli, zaczął deszcz ze śniegiem.

- Co za ziąb - mruknął Marlin. - Odpryskam się jeszcze.

Wrócił do teatru i stanął w kolejce do toalety. Jude została przy drzwiach, patrząc, jak grube płatki mokrego śniegu migają w blasku latarń. Teatr nie był duży i w kilka minut prawie całkiem opustoszał. Ludzie ze spuszczoneymi głowami i ukryci pod

parasolami szybkim krokiem zmierzali w stronę swoich aut lub lokali, w których mogliby wprowadzić do organizmu trochę płynów i zabawić się w krytyków. Światło nad wejściem zgasło, z widowni wyszedł człowiek ze szczotką i czarnym workiem na śmieci. Zaczął zamiatać foyer. Nie zwracał uwagi na Jude - nie rzucała się zresztą w oczy - dopóki nie znalazł się tuż obok. Wtedy posłał jej tak jadownicze spojrzenie, że postanowiła rozłożyć parasol i wyjść na pograżone w mroku schody. Marlin nie spieszył się z opróżnianiem pęcherza. Miała nadzieję, że nie mizdrzy się do lustra, nie przylizuje włosów i nie psika sobie odświeżaczem do ust, oczekując, że się z nią prześpi.

Kątem oka dostrzegła ruch. Jakaś postać zbliżała się szybkim krokiem, ledwie widoczna w zadymce. Jude odwróciła się w jej stronę. Ledwie zdążyła rozpoznać człowieka z Trzeciej Alei, gdy rzucił się na nią.

Otworzyła usta do krzyku i zrobiła krok w tył, próbując cofnąć się do środka. Człowiek z miotłą i workiem zniknął. Żaden dźwięk nie wydobył się z jej gardła, zduszony uściskiem dłoni napastnika. Bardzo fachowych dłoni. Ścisnęły mocno, brutalnie, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza. Ogarnęła ją panika. Zaczęła młócić na oślepek rękoma i straciła równowagę. Złapał ją, zanim upadła. Rozpaczliwym ruchem rzuciła parasol w głąb korytarza.

Miała nadzieję, że może poza zasięgiem jej wzroku, w kasie, siedzi ktoś, kogo w ten sposób zaalarmuje. Kiedy mężczyzna wciągnął ją głębiej w mrok, zrozumiała, że jest już za późno na ratunek. Kręciło się jej w głowie, nogi i ręce ciążyły jak ołów. W cieniu twarz napastnika znów stała się rozmazaną plamą, w której ziały dwie ciemne dziury. Były coraz bliżej. Żałowała, że nie ma dość siły, by oderwać od nich wzrok, ale gdy mężczyzna przyciągnął ją bliżej, w niespodziewanym błysku światła dostrzegła - w każdym razie tak się jej wydawało - płynące z ciemnych oczodołów łzy. Światło zaraz zgasło i nie tylko jego twarz, ale cały świat pograżył się w ciemności. Odpywając w niebyt, Jude nie mogła opędzić się od myśli, że napastnik ją zna.

- Judith?

Ktoś ją obejmował. Ktoś do niej krzyczał. Nie napastnik. Marlin. Zwiotczała mu w ramionach, z trudem rejestrując obraz uciekającego bandyty, któremu jakiś drugi człowiek deptał po piętach. Z wysiłkiem obróciła oczy ku Marlinowi, który pytał, czy nic się jej nie stało. Zgrzytnęły hamulce, zapiszczały opony. Niedoszły morderca wpadł pod

rozpędzony samochód. Wozem zarzuciło i na zablokowanych kołach sunął śliską od śniegu ulicą. Napastnik spadł z jego maski na zaparkowane obok auto. Goniący go człowiek uskoczył na bok, a pędzący samochód odbił się od krawężnika i uderzył w latarnię.

Jude wyciągnęła przed siebie rękę, szukając innego oparcia niż ramiona Marlina. Natrafiła palcami na ścianę i nie zwracając uwagi na słowa Marlina, który kazał jej zostać, nigdzie nie iść, na miękkich nogach ruszyła w kierunku leżącego mężczyzny. Ktoś pomagał wysiąść z rozbitego wozu kierowcy, który bluzgał najgorszymi możliwymi obelgami. Zbiegło się trochę ludzi, ale Jude zignorowała ich zdziwione spojrzenia i weszła na jezdnię. Marlin nie odstępował jej na krok. Chciała zobaczyć zwłoki pierwsza, chciała spojrzeć w martwe oczy i zapamiętać śmiertelny grymas.

Najpierw natknęła się na kałużę krwi rozbryźniętej w szarej brei, dopiero kawałek dalej, przy krawężniku, leżało bezwładne ciało. Miała do przejścia jeszcze parę kroków, gdy okazało się, że ofiara wypadku żyje. Ranny zadrżał, odwrócił się na plecy, wystawiając twarz na padający śnieg. A potem, chociaż wydawało się to niemożliwe po takim uderzeniu, zaczął się podnosić. Był cały pokrzwawiony. Wstał z jezdni.

To nie jest człowiek, przeszło jej przez myśl. Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie człowiek. Stojący za nią Marlin stęknął z odrazą, jakaś kobieta na chodniku wrzasnęła. Ranny niepewnie odwrócił się w jej stronę, zachwiał się na nogach i spojrzał na Jude.

Nie wyglądał już jak tamten napastnik, ale i nie przypominał Gentle'a. Jeżeli miał jakąś prawdziwą twarz, może tak właśnie wyglądała: zakrwawiona, poźłobiona wątpliwościami, żałosna, zagubiona. Otworzył i zamknął usta, jakby próbował coś powiedzieć. Marlin ruszył w jego stronę, a on wtedy rzucił się do ucieczki. Zakrawało na cud, że po takim wypadku nogi w ogóle były w stanie go nieść. Oddalił się jednak z taką szybkością, że Marlin nie miał szans go dogonić - biegł wprawdzie przez chwilę, ale na pierwszym skrzyżowaniu zatrzymał się i bez tchu wrócił do Jude.

- Cholerny ćpun! - stwierdził, zły, że nie dane mu było się popisać. - Facet jest najebany po uszy, więc nie czuje bólu. Kiedy przestaną działać, zdechnie jak pies. Skurwiel! Skąd on cię znał?

- A znał mnie?

Jude drżała na całym ciele. Łzy napłynęły jej do oczu - po części z ulgi, że ocalała, po części ze strachu, że tak blisko otarła się o śmierć.

- Nazwał cię Judith - odparł Marlin.

Przypomniała sobie, jak napastnik poruszył ustami. Mogła odczytać sylaby tworzące jej imię.

- To ćpun - powtórzył Marlin.

Nie chciało jej się z nim kłócić, chociaż była przekonana, że Marlin nie ma racji. Tym, co napędzało napastnika, była świadomość misji, którą musi wykonać. A ta świadomość nie przestanie działać - ani tej nocy, ani w przyszłości.

ROZDZIAŁ 4

1

Jedenaście dni po zawiezieniu Estabrooka do obozowiska w Streatham Chant zdał sobie sprawę, że niedługo będzie miał gości. Mieszkał nieopodal pubu „Elephant and Castle” - sam, anonimowo, w jednopokojowym mieszkanku, w budynku komunalnym, który wkrótce miał być przeznaczony do rozbiórki. Tego adresu nie podał nikomu, nawet pracodawcy. Nie żywił nadmiernej nadziei, że uda mu się w tak prosty sposób zgubić prześladowców. W przeciwieństwie do gatunku homo sapiens, który jego dawno zmarły mistrz Sartori z upodobaniem nazywał „kwiatem na małpim drzewie genealogicznym”, istoty rodzaju Chanta nie mogły ukryć się przed wysłannikami zagłady, zamykając drzwi i zasłaniając okna. Przyciągały tych, którzy na nich żerowali.

Ludziom było o wiele łatwiej. Zwierzęta, które dawniej się nimi żywiły, wystawiano teraz w ogrodach zoologicznych ku uciechu zwycięskiej małpy. Małpa nie miała pojęcia, jak blisko znajdowała się krainy, w której żarłoczne bestie z młodzieńczych lat historii Ziemi znaczyłyby nie więcej niż pchły. Kraina ta nosiła nazwę In Ovo, a po jej drugiej stronie leżały cztery inne światy, tak zwane Pojednane Dominia. Były niezwykle. Żyły w nich istoty obdarzone atrybutami, dzięki którym tutaj, w Piątym Dominium, czekałby je albo los świętych, albo stos inkwizycji - albo jedno i drugie; kwitły kultury, których sekrety i wiedza w mgnieniu oka wywróciłyby do góry nogami dogmaty wiary i fizyki; istniały piękności zdolne urodą przyćmić słońce i zesłać księżycowi sny o płodnych związkach. Wszystko to oddzielała od Ziemi - Piątego, Odłączonego Dominium - otchłań In Ovo.

Oczywiście można było przemieszczać się między nimi, lecz siła, która to umożliwiała, zwana zazwyczaj (pogardliwie) magią, w Piątym Dominium osłabła znacznie od czasu przybycia Chanta. Obserwował, jak obudowuje się ją murem rozumu i

rozsądku, cegła po cegle; widział, jak uprawiających magię ludzi zaszczuwa się i wyśmiewa; śledził dekadenski rozkład jej teorii, które zmieniały się w parodię samych siebie; patrzył, jak cel jej istnienia popada w zapomnienie. Piąte Dominium dusiło się w swoich ciasnych przekonaniach i chociaż myśl o utracie życia wcale Chanta nie bawiła, wiedział, że gdy zostanie usunięty z tego okrutnego i prozaicznego dominium, wcale nie będzie żałował.

Podszedł do okna i wyjrzał na leżące pięć pięter niżej podwórko. Było puste. Zostało mu jeszcze kilka minut, żeby ułożyć wiadomość dla Estabrooka. Wrócił do stołu i ponownie wziął się do pisania - dziewiąty albo dziesiąty raz. Chciał napisać o wielu sprawach, ale zdawał sobie sprawę, że Estabrook nie wie kompletnie nic o związkach jego rodziny, której nazwisko porzucił, z losem dominiów. Zostało za mało czasu, żeby nadrobić braki w jego edukacji. Musi wystarczyć ostrzeżenie. Tylko w jakiej formie je przedstawić, żeby nie brzmiało jak bełkot wariata? Usiadł i zaczął pisać. Próbował przedstawić fakty w najprostszy możliwy sposób, chociaż wątpił, żeby jego słowa ocaliły Estabrookowi życie. Jeżeli siły, które tej nocy zstąpiły na świat, chciały jego śmierci, mogłyby go uratować tylko osobista interwencja Niewidzianego, Hapexamendiosa, wszechmocnego mieszkańca Pierwszego Dominium.

Chant schował list do kieszeni i wyszedł. Rozpłynął się w mroku klatki schodowej. Czas był po temu najwyższy. W mroźnej ciszy rozległ się warkot silnika, zbyt równy i elegancki jak na samochód któregoś z mieszkańców tego domu. Kiedy Chant wychylił się przez okno korytarza, na dole z wozu wysiadali ludzie. Nie miał cienia wątpliwości, że to jego goście - jedyne równie wypucowane samochody, jakie widywał w okolicy, to karawany. Zaklął pod nosem. Zmęczenie sprawiło, że zrobił się leniwy i pozwolił, by wróg podszedł niebezpiecznie blisko. Zbiegł na schody prowadzące do tylnego wyjścia, pierwszy raz zadowolony, że na półpiętrach z rzadka świecą się żarówki. Goście szli w stronę frontowych drzwi. Z mijanych mieszkań dochodziły bożonarodzeniowe kolędy, jakaś kłótnia, śmiech dziecka, który szybko przeszedł w płacz, jakby maluch wyczuł zbliżające się niebezpieczeństwo. Chant nie znał nikogo z sąsiadów. Widywał tylko przelotnie ich twarze w oknach i teraz tego żałował. Nie miał już szans niczego zmienić.

Nie niepokojony przez nikogo zbiegł na parter. Przyszło mu do głowy, że mógłby

zabrać z podwórka swój samochód, ale szybko porzucił tę myśl i skierował się w stronę Kensington Park Road, na której o tej porze powinien panować największy ruch. Przy odrobinie szczęścia uda mu się złapać taksówkę, chociaż tak późno w nocy nie było to łatwe; przy Kensington Park Road trudniej o pasażerów niż w Covent Garden czy na Oxford Street, a ci, którzy się trafiają, bywają nieprzyjemni. Pozwolił sobie na ostatni rzut oka w tył, na dom, a potem skupił się na kwestii ucieczki.

Mimo że tradycyjnie uważa się, że światło dnia najlepiej ukazuje artyście braki jego dzieł, Gentle lubił malować w nocy, jakby zaprzęgał do pracy instynkt kochanka. Po mniej więcej tygodniu, odkąd wrócił do malowania, pracownia znów zaczęła przypominać miejsce pracy. Zapach farb i terpentyny kręcił w nosie, na wszystkich półkach i talerzach leżały niedopałki. Codziennie rozmawiał z Kleinem, ale zamówienia na razie nie przychodziły, zabijał więc czas przypominaniem sobie dawnych umiejętności. Jak okrutnie - i słusznie - zauważył Klein, Gentle był mistrzem techniki pozbawionym wizji, przez co z trudem godził się na beczynność. Dopóki nie wiedział, jaki styl ma podrobić, nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu, niczym jakiś współczesny Adam, który świetnie naśladuje innych, ale nie ma żadnych obiektów do naśladowania. Wyznał więc sobie ćwiczenie. W myślach podzielił płótno na cztery części: kubistyczną północ, impresjonistyczne południe, wschód w stylu Van Gogha i zachód i la Dali. Na tak poszatowanym płótnie postanowił skopiować „Wieczerną w Emaus” Caravaggia. Zapewnił sobie w ten sposób zdrową rozrywkę i wciąż jeszcze pracował, kiedy o pół do czwartej rano zadzwonił telefon. W słuchawce strasznie coś szumiało, a głos brzmiał chrapliwie i smętnie. I z całą pewnością należał do Judith.

- To ty, Gentle?

- Tak. - Ucieszył się, że są takie zakłócenia na linii. Głos zaczął mu drżeć, a nie chciał, żeby to słyszała. - Skąd dzwonisz?

- Z Nowego Jorku. Przyjechałam tu na parę dni.

- Miło cię znowu słyszeć.

- Właściwie nie mam pojęcia, po co dzwonię. Po prostu miałam dziś taki dziwny dzień i pomyślałam, że może... Nieważne. - Judith zaśmiała się pod nosem, jakby była leciutko pijana. - Nie wiem, co myślałam... To głupie. Przepraszam.

- Kiedy wracasz?

- Tego też nie wiem.

- Moglibyśmy się znów spotkać?

- Raczej nie, Gentle.
- Tak tylko, żeby pogadać.
- Coraz słabiej cię słyszę. Przepraszam, że cię obudziłam.
- Nie obu...
- Trzymaj się, dobrze?
- Judith...
- I przepraszam, Gentle.

Połączenie zostało przerwane, chociaż szumy nie umilkły, zupełnie jakby trzymał przy uchu muszlę. Nie słyszał oczywiście prawdziwego szmeru fal, to było tylko złudzenie. Odłożył słuchawkę. Wiedząc, że tej nocy już się nie położy, wycisnął kilka świeżych glist farby na paletę i wrócił do pracy.

3

Gdy w mroku za jego plecami rozległ się głośny gwizd, Chant zrozumiał, że nie udało mu się wymknąć niepostrzeżenie. Takiego dźwięku nie mogły wydać ludzkie wargi. Przypominał przenikliwy zgrzyt skalpela na szkło. Chant słyszał go w Piątym Dominium tylko raz, mniej więcej przed dwustu laty, gdy jego ówczesny właściciel, maestro Sartori, przywołał z In Ovo Chowańca. Ten stwór wydał z siebie właśnie taki gwizd, od którego Sartoriemu krwawe łzy napłynęły do oczu. Trzeba go było czym prędzej odesłać z powrotem. Kiedy później o tym rozmawiali, Chantowi udało się zidentyfikować potwora - w Pojednanych Dominiach nazwano by go pustkowcem. Takie właśnie okrutne bestie nawiedzały bezludne tereny na północ od Postnej Drogi. Występowały pod wieloma postaciami, ucieleśniając zbiorowe pragnienia, co Sartoriego głęboko poruszyło.

- Muszę kiedyś przywołać jeszcze jednego - stwierdził. - Porozmawiam z nim.

Chant odparł, że wobec tego następnym razem powinni się lepiej przygotować, gdyż pustkowce są śmiertelnie niebezpieczne i tylko najpotężniejsi maestrowie mogą je okiełznać. Do drugiej próby nigdy jednak nie doszło, ponieważ wkrótce potem Sartori zniknął. Od tego czasu Chant nieraz się zastanawiał, czy maestro nie próbował sam

przywołać pustkowca i nie padł jego ofiarą. Może ten sam potwór, który teraz go gonił, był odpowiedzialny i za tamtą śmierć. Od zniknięcia Sartoriego minęły wprawdzie dwa stulecia, ale pustkowce, podobnie jak większość istot z pozostałych dominiów, żyły znacznie dłużej od ludzi.

Chant obejrzał się przez ramię i zobaczył gwizdzącą postać. Wyglądała jak zwykły człowiek w popielatym, dobrze skrojonym garniturze z czarnym krawatem i kołnierzem postawionym dla ochrony przed zimnem. Trzymała ręce wciśnięte głęboko w kieszenie i bynajmniej nie biegła - przeciwnie, szła niemal od niechcienia, a jej gwizd mącił Chantowi myśli i płatał nogi. Kiedy odwrócił się, by spojrzeć do przodu, na chodniku stał już drugi z jego prześladowców i właśnie wyjmował coś z kieszeni. Pistolet? Nie. Nóż... Też nie. Na dłoni pustkowca poruszyło się coś maleńkiego jak pchła. Ledwie Chant zdołał skupić na niej wzrok, skoczyła w jego stronę. Z odrazą zasłonił twarz ręką, nie chcąc, by dostała mu się do ust albo oczu. Wylądowała na dłoni. Próbował zgnieść ją drugą ręką, ale nie zdążył. Wpełzła mu pod paznokieć kciuka. Podniósł dłoń do oczu, patrząc, jak pchła wgryza mu się w ciało i porusza pod skórą. Złapał mocno za nasadę kciuka, mając nadzieję, że w ten sposób nie pozwoli jej przedostać się wyżej. Nagle poczuł ból nie do zniesienia, zupełnie nieodpowiadający mikroskopijnym rozmiarom insekta. Zacisnął palce na kciuku i desperacko powstrzymywał łkanie, zdecydowany za wszelką cenę zachować resztki godności w obliczu prześladowców. Potykając się, zszedł z chodnika na jezdnię i spojrzął w stronę skąpanego w blasku lamp skrzyżowania. Schronienie, jakie obiecywały światła, było może wątpliwe, ale mógłby w ostateczności rzucić się pod samochód. Nie chciał, żeby pustkowce napawały się jego powolną śmiercią.

Zaczął biec, z całej siły ściskając kciuk. Tym razem się nie oglądał. Nie musiał. Gwizd ucichł, a rozległ się warkot silnika. Chant włożył w szaleńczy bieg wszystkie rezerwy energii, ale kiedy dotarł do jasno oświetlonej ulicy, nie było na niej ani jednego samochodu. Skreślił na północ, mijając stację metra i kierując się w stronę „Elephant and Castle”. Teraz pozwolił sobie na rzut oka w tył. Zobaczył, że samochód jedzie za nim. Widział trzech pasażerów - dwa pustkowce i kogoś jeszcze, na tylnym siedzeniu. Biegł dalej, targany rozpaczliwym łkaniem, aż wreszcie - chwalcie Pana! - zza rogu wyjechała taksówka. Żółte światelko oznaczało, że jest wolna. Starając się nie dać po sobie poznać,

jak cierpi - zdawał sobie sprawę, że kierowca może się nie zatrzymać, jeśli będzie się bał, że Chant jest ranny - zszedł na jezdnię i zamachał ręką. Musiał w tym celu zwolnić uścisk na kciuku. Insekt natychmiast wykorzystał okazję i przegryzł się aż do nadgarstka, ale taksówka się zatrzymała.

- Dokąd, kolego?

Chant sam się zdziwił, gdy zamiast adresu Estabrooka podał inny, zupełnie inny:

- Clerkenwell - powiedział. - Gamut Street.

- Nie wiem, gdzie to jest - odparł taksówkarz.

Chantowi serce mocniej zabiło na myśl, że może zostać sam na ulicy.

- Powiem panu, jak jechać.

- No to wskakuj.

Ledwie zdążył zatrzaskać za sobą drzwi wozu, taksówka nabrała szybkości.

Dlaczego podał adres przy Gamut Street? Nie mógł liczyć na to, że zostanie tam wyleczony. Na to nie było lekarstwa: pchła - czy co to tam było - dotarła już do łokcia. W zgięciu ręka bolała potwornie, przedramię całkiem zdrętwiało, skóra pomarszczyła się i zaczęła łuszczyć.

Dom przy Gamut Street kiedyś był widownią cudów. Bywali w nim wielcy ludzie; może jakiś drzemiący tam duch ukoji Chanta, który znalazł się o krok od śmierci. Sartori uczył, że żadna, nawet najmniejsza istota nie przemyka przez to dominium niezauważona. Dziecko, które umiera zaraz po przyjściu na świat, płód, który ginie w łonie matki, topi się w wodach płodowych - nawet taki nienazwany byt ma swoje miejsce w rejestrach, a jego istnienie pociąga za sobą określone konsekwencje. Co więc zostało po wielkich ludziach z Gamut Street? Jakie echa kołatały się po tym domu?

Chantem wstrząsały dreszcze, serce waliło mu jak młotem. Bał się, że niedługo straci panowanie nad własnym ciałem. Wyjął z kieszeni list do Estabrooka i pochylił się do kierowcy. Odsunął dzielącą ich szybę.

- Kiedy wysiądę w Clerkenwell, chciałbym, żeby doręczył pan list. Będzie pan tak uprzejmy?

- Przykro mi, kolego, zjeżdżam do domu. Żona czeka. Chant wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel i rzucił go na przednie siedzenie pasażera.

- Co to jest? - zdziwił się taksówkarz.

- Moje wszystkie pieniądze. Ten list musi dotrzeć do adresata.

- Wszystkie pieniądze, co? - Kierowca wziął portfel do ręki i zajrzał do środka, dzieląc uwagę pomiędzy jego zawartość i samochód. - Sporo tej kasy.

- Proszę ją wziąć. Mnie się nie przyda.

- Chory jesteś?

- I zmęczony. Proszę wziąć te pieniądze. Niech panu służą.

- Jadą za nami jacyś klienci w daimlerze. Znasz ich?

Nie było sensu kłamać.

- Tak - odparł Chant. - Pewnie nie da się od nich odskoczyć, co?

Taksówkarz schował portfel do kieszeni i wcisnął pedał gazu. Wóz skoczył do przodu jak wyścigowy koń, a śmiech kierowcy zagłuszył gardłowy ryk silnika. Nie wiadomo, czy taksówkarz poczuł zapach świeżo zarobionych pieniędzy, czy też zdopingowała go propozycja zgubienia daimlera, ale pokazał, co potrafi; jego wóz okazał się znacznie ruchliwszy, niż wskazywałyby na to przysadzista sylwetka. W niespełną minutę potem skręcili dwa razy ostro w lewo i raz, z piskiem opon, w prawo. Pędzili przed siebie zaułkiem tak wąskim, że najdrobniejszy błąd kosztowałby ich utratę klamek, felg i lusterek. A to wcale nie był koniec jazdy przez labirynt. Skręcili jeszcze raz, i jeszcze, by za chwilę znaleźć się na moście Southwark. Gdzieś po drodze uciekli daimlerowi. Chant pewnie biłby kierowcy brawo, gdyby miał dwie sprawne ręce, ale przyniesiona przez pchłą zaraza rozprzestrzeniła się w jego ciele z szybkością błyskawicy. Korzystając z faktu, że ma jeszcze pięć sprawnych palców, nachylił się do okienka i rzucił list na siedzenie. Podając adres, czuł się tak, jakby miał dziwnie zdeformowany język.

- Co z tobą? - zdziwił się taksówkarz. - To kurewstwo chyba nie jest zaraźliwe, co? Bo jeśli...

- Nie... - stęknął Chant.

- Wyglądasz beznadziejnie, facet. - Kierowca zerknął w lusterko. - Na pewno nie chcesz jechać do szpitala?

- Nie. Gamut Street. Chcę na Gamut Street.

Ulice zmieniły się nie do poznania. Zniknęły drzewa, wyburzono całe szeregi domów, ascetyczna forma zajęła miejsce elegancji, piękno ustąpiło przed

funkcjonalnością, stare wymieniono na nowe - i to po nie najlepszym kursie. Chant nie zaglądał tu od ponad dziesięciu lat. Czy to możliwe, żeby Gamut Street zniknęła, a na jej miejscu postawiono stalowy fallus?

- Gdzie jesteśmy? - zapytał.

- W Clerkenwell. Przecież chciałeś jechać do Clerkenwell, nie?

- Gdzie dokładnie?

Kierowca rozejrzał się w poszukiwaniu tabliczki z nazwą ulicy.

- Flaxen Street - odparł. - Brzmi znajomo? Chant wyjrzał przez okno.

- Tak! Tak! Do końca i w prawo.

- Mieszkałeś tu kiedyś, co?

- Dawno temu.

- Kiedyś ta okolica wyglądała lepiej. - Taksówkarz posłusznie skręcił. - Jak dalej?

- W pierwszą w lewo.

- Proszę bardzo, Gamut Street. Który numer?

- Dwadzieścia osiem.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Chant niezdarnie sięgnął do klamki.

Otworzył drzwi i omal nie upadł na chodnik. Zachwiał się, oparł całym ciężarem o drzwi, żeby się zamknęły, i pierwszy raz znalazł się twarzą w twarz z kierowcą. Nie miał pojęcia, co wyczynia pchła w jego organizmie, ale sądząc po odrazie malującej się w oczach taksówkarza, skutki musiały być makabryczne.

- Dostarczy pan ten list?

- Spokojna głowa, kolego.

- Potem niech pan jedzie do domu. Proszę powiedzieć żonie, że ją pan kocha, i zmówić modlitwę dziękczynną.

- Za co?

- Za to, że jest pan człowiekiem. Kierowca postanowił tego nie komentować.

- Jak chcesz, kolego - odparł. - Cmoknę żonę i od razu zmówię paciorek, dobra? A ty nie rób nic, czego ja sam bym nie zrobił, w porządku?

Po tej dobrej radzie odjechał, zostawiając pasażera na cichej ulicy.

Chant rozejrzał się dookoła. Wzrok mu szwankował. Domy, które pamiętały czasy Sartoriego, wyglądały w większości na opuszczone; pewnie czekały na rozbiórkę. Ale

Chant wiedział, że miejsca święte - a Gamut Street na swój sposób była święta - mogły czasem przetrwać, ponieważ nie rzucały się w oczy. Nikt ich nie zauważał. Gładkie i szkliste od magii, odbijały groźne spojrzenia i znajdowały mimowolnych sprzymierzeńców w osobach tych, którzy rozumieli, co to świętość. Stawały się sanktuariami dla wtajemniczonych.

Wszedł po trzech stopniach i pchnął drzwi, ale były zamknięte na klucz. Podeszedł do najbliższego okna. Zastłaniała je brudna pajęczyna. Przycisnął twarz do szyby. Mimo że jego oczy słabły z każdą chwilą, wciąż widział lepiej niż cywilizowana małpa. Z pokoju zniknęły wszystkie ozdoby i meble. Jeżeli ktoś mieszkał tu od czasów Sartoriego - a przecież dom nie mógł przez dwieście lat stać pusty - odszedł, zabierając wszystkie ślady swojej obecności. Chant zamachnął się zdrową ręką i łokciem stłukł szybę. Wystarczyło jedno uderzenie. Nie zwracając uwagi na to, że kaleczy się o szkło, wgramolił się na parapet, wybił dłonią resztę odłamków i osunął się na podłogę.

Wciąż jeszcze pamiętał rozkład pokoi. W snach nieraz po nich wędrował, słysząc głos maestra, który wzywał go na górę - wysoko, na samą górę, gdzie Sartori pracował. Tam też Chant chciał się teraz udać, ale z każdą chwilą jego ciało wykazywało coraz silniejsze objawy atrofii. Ręka, od której pchła rozpoczęła inwazję, uschła; paznokcie odpadły od palców, a na knykciach i nadgarstku kości wyzierały spod skóry. Nie musiał zdejmować kurtki, by wiedzieć, że cały rozpada się w podobny sposób; kiedy szedł, kawałki ciała odrywały się od żeber. Niedługo w ogóle nie będzie mógł się poruszać. Nogi niosły go coraz bardziej niechętnie. Z najwyższym trudem zachowywał przytomność. Wszedł na schody.

- Zostańcie ze mną - mamrotał błagalnym tonem, niczym stary człowiek, którego własne dzieci chcą zostawić na pastwę losu. - Jeszcze chwilę. Proszę...

Nogi zanosły go na półpiętro, ale tam odmówiły posłuszeństwa i dalej wciągał się, przesuając zdrową ręką po poręczy.

Był w połowie ostatniego odcinka schodów, gdy z ulicy dobiegł go gwizd pustkowca - wwiercał się w czaszkę, nie sposób go było pomylić z innym dźwiękiem. Nie spodziewał się, że tak szybko go wywęszą na skrytych w mroku ulicach. Myśl o tym, że może już nie zobaczyć sanktuarium na górze, dodała mu sił. Resztki ciała starały się dorównać jego ambicjom.

Na parterze trzaskały wyłamywane drzwi, a potem rozległ się kolejny, głośniejszy gwizd. Jego prześladowcy weszli do domu. Chant zaczął ponaglać swoje kończyny, chociaż język ledwie formował słowa:

- Nie zawiedźcie mnie teraz! Ruszajcie się, do cholery! Szybciej!

Posłuchały go. Spazmatycznymi ruchami pokonał kilka ostatnich stopni. W tej samej chwili na dole schodów usłyszał tupot stóp pustkowców. Na górze panował mrok. Chant nie miał pojęcia, czy jest ciemno tylko dlatego, że trwa noc, czy raczej wzrok go zawodzi. Nie miało to zresztą znaczenia. Drogę do drzwi znał dobrze. Przeczougał się do nich na łokciach i kolanach; deski skrzypiały pod jego ciężarem. Nagle ogarnął go strach, że drzwi będą zamknięte i nie zdoła ich sforsować. Sięgnął do klamki. Spróbował ją przekręcić, ale bez skutku. Spróbował ponownie - i upadł twarzą naprzód, gdy drzwi otworzyły się na oścież.

Wreszcie miał na czym zaczepić osłabione oczy. Przez okna w dachu sączyło się światło księżyca. Do tej pory kołatała mu się po głowie myśl, że tylko stare sentymenty kazały mu wrócić tutaj, teraz jednak zrozumiał, że to nieprawda. Znalazłszy się na Gamut Street, zatoczył pełny krąg - to od tego pokoju zaczął poznawać Piąte Dominium. Tu była jego kolebka i tu pobierał nauki; tutaj pierwszy raz poczuł zapach angielskiego powietrza, ostrego, zimnego, październikowego; tutaj pierwszy raz jadł i pił, pierwszy raz śmiał się i - później - płakał. W przeciwieństwie do niżej położonych pomieszczeń, w których brak sprzętów świadczył o opuszczeniu, ten pokój zawsze był skąpo umeblowany, a czasem wręcz zupełnie pusty. Na tych samych nogach, które teraz ciągnął za sobą martwe, tańczył, gdy Sartori powiedział mu, jak zamierza przejąć władzę nad tym nędznym dominium i zbudować w nim miasto, przy którym zblednie Babilon. Tańczył z radości. Jego maestro był wielkim człowiekiem i miał moc, która pozwalała mu zmienić świat.

Te ambicje przepadły. Wszystko przepadło. Zanim październik ustąpił przed listopadem, Sartori zniknął - albo którejś nocy odfrunął w mrok, albo zginął z ręki wrogów. Jego sługa został sam w mieście, którego prawie nie znał. Jakże Chant wtedy marzył o tym, żeby wrócić do eteru, z którego został wezwany, pozbyć się ciała, które narzucił mu Sartori, uciec z tego dominium! Jedyną osobą, która mogła to sprawić, był ten, który go przywołał. Kiedy Sartoriego zabrakło, Chant został skazany na wieczne zesłanie na Ziemię. Nie nienawidził go za to. Przez te kilka tygodni, które spędzili razem,

Sartori niczego mu nie skąpił. Gdyby pojawił się teraz w zalanym księżycową poświatą pokoju, Chant nie oskarżyłby go o zaniedbanie, tylko ukłonił się należycie i ucieszył, że jego mentor wrócił.

- Maestro... - wymamrotał z twarzą wtuloną w zalatujące pleśnią deski.

- Nie ma go tutaj - rozległ się głos za jego plecami. Głos, który nie należał do pustkowca. Pustkowce potrafiły gwizdać, ale nie mówić. - Należałeś do Sartoriego, tak? Nie pamiętałem o tym.

Sądząc po głosie, człowiek, który mówił, był ostrożny, opanowany i stanowczy. Chant nie mógł się odwrócić, więc go nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że pozory mogą mylić - on, który nie miał własnego ciała, dopóki maestro mu go nie stworzył, wiedział o tym najlepiej. Wreszcie intruz stanął przed nim. Wyglądał na człowieka, ale towarzyszyły mu pustkowce, a w dodatku mówił o rzeczach, o jakich mało który człowiek mógłby wiedzieć. Jego twarz wyglądała jak nadmiernie dojrzały ser; z oklapniętymi policzkami i workami pod oczami do złudzenia przypominał klauna na pogrzebie. Widać było po nim, że jest pewny siebie - z namysłem oblizał wargi, zanim się odezwał, i wystudiowanym gestem zetknął dłonie czubkami palców, patrząc na leżące u jego stóp żywe szczątki. Miał na sobie znakomicie uszyty, trzyczęściowy garnitur w kolorze kremu morelowego. Chant wiele by dał za to, żeby rozkwasić mu nos i zobaczyć, jak krew plami nieskazitelny materiał.

- Nie miałem okazji poznać Sartoriego osobiście - ciągnął intruz. - Co się z nim stało? - Przykucnął obok Chanta i gwałtownym ruchem złapał go za włosy. - Pytałem, co się stało z twoim maestrem. Jestem Dowd. Ty nie znałeś mojego pana, lorda Godolphina, ja nie znałem twojego, ale ich obu już nie ma, a ty szukasz pracy. No, przynajmniej już nie będziesz się długo męczył, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Czy to ty... Czy to ty go do mnie przysłałeś?

- Byłoby mi cię łatwiej zrozumieć, gdybyś zechciał mówić nieco bardziej konkretnie.

- Estabrooka.

- Ach tak... Estabrook.

- Przysłałeś go. Dlaczego?

- To skomplikowane, kochaniutki. Chętnie opowiedziałbym ci tę gorzką historię

od początku do końca, ale ty nie masz czasu mnie słuchać, a ja nie mam cierpliwości wszystkiego ci wyjaśniać. Usłyszałem o człowieku, który szuka płatnego zabójcy. Znałem też człowieka, który wiedział, gdzie szukać takich zabójców. I na tym poprzestańmy.

- A skąd dowiedziałeś się o mnie?

- Nie jesteś zbyt dyskretny. Upijasz się z okazji urodzin królowej i paplasz jak Irlandczyk na festynie. A to, mój drogi, wcześniej czy później musi zwrócić czyjąś uwagę.

- Od czasu do czasu...

- Wiem, dopada cię melancholia. Wszyscy znamy to uczucie, kochaniutki, wszyscy. Tylko że niektórzy popłakują sobie w samotności, a inni... - Dowd puścił głowę Chanta. - A inni robią z siebie pośmiewisko. Wszystko ma swoje konsekwencje. Sartori ci nie mówił? Zawsze są konsekwencje. Zacząłeś na przykład kombinować coś z tym Estabrookiem, a ja teraz będę musiał go mieć na oku, bo inaczej tylko patrzeć, jak po całej Imajice rozejdą się fale.

- Imajica...

- Zgadza się. Stąd do granicy Pierwszego Dominium. Do terytorium Niewidzianego.

Chant stęknął i Dowd - widząc, że trafił w czuły punkt - nachylił się ku niemu.

- Czyżbym wyczuwał jakiś niepokój? Boisz się chwały naszego pana Hapexamendiosa?

- Tak... - odparł Chant łamiącym się głosem.

- Dlaczego? - zainteresował się Dowd. - Popełniłeś jakieś zbrodnie?

- Tak.

- A co to za zbrodnie? Proszę, powiedz mi. Nie zwracaj sobie głowy drobiazgami, wystarczą te najbardziej wstydlive.

- Zadawałem się z Eurhetemekiem.

- Doprawdy? Jakim cudem udało ci się wrócić do Yzordderrex, żeby to zrobić?

- Nie wróciłem - przyznał Chant. - Spotkałem go... tutaj, w Piątym.

- No proszę... - mruknął Dowd. - Nie wiedziałem, że tu też są Eurhetemecowie.

Codziennie uczę się czegoś nowego. Wiesz, kochaniutki, to jeszcze żadna zbrodnia. Niewidziany wybaczy ci takie małe, paskudne grzeszki. Chyba że... - Dowd umilkł,

rozważając w myślach nową możliwość. - Chyba że ten Eurhetemec był mistyfm... - Zawiesił głos, lecz Chant milczał. - Ale nim nie był, prawda, skarbie? - Znów chwila ciszy. - Jednak był. Był! - powtórzył Dowd z zachwytem. - W Piątym Dominium jest mistyf. I co dalej? Zakochałeś się w nim? Lepiej mi to powiedz, nim zabraknie ci tchu, kochaniutki. Za parę minut twoja nieśmiertelna dusza zapuka do wrót domu Hapexamendiosa.

Chant się wzdrygnął.

- Ten zabójca...

- Co zabójca? - spytał Dowd. Dopiero kiedy połączył słowa Chanta w całość, wziął głęboki wdech. - Zabójca jest mistyfm?

- Tak.

- Słodka Hyo! - wykrzyknął Dowd. - Mistyf! - Tym razem w jego głosie nie było zachwytu. - Wiesz, do czego są zdolne mistyfy? Jakie znają sztuczki? Zapowiadało się anonimowe mieszanie w gównie, a patrz, co narobiłeś! - Dowd zniżył głos. - Był piękny? Nie, nic nie mów. Chcę się zdziwić, kiedy go zobaczę. - Odwrócił się do pustkowców. - Podnieście skurwiela.

Pustkowce ujęły Chanta pod pachy. Z nosa i ust ciekła mu żółtawa flegma, mięśnie karku zwiótzczały zupełnie, bo głowa opadła bezwładnie na pierś.

- Jak często w pleminiu Eurhetemeców trafia się taka boska istota? - zamyślił się Dowd na głos. - Raz na dziesięć lat? Raz na pięćdziesiąt? Na pewno bardzo rzadko. A ty, proszę bardzo, jak gdyby nigdy nic wynajmujesz sobie mistyfa jako płatnego zabójcę! Jakie to żałosne. Tak nisko upadł. Muszę wiedzieć, jak to się stało... - Na rozkaz Dowda jeden z pustkowców podniósł głowę Chanta za włosy. - Gdzie on jest? Jak się nazywa?

- Proszę... - chlipnął Chant, krztusząc się flegmą. - Chciałem... Ja... chciałem...

- Wiem, wiem, nikogo nie chciałeś skrzywdzić. Wykonywałeś tylko swoje obowiązki. Niewidziany ci na pewno przebaczy. Ale wróćmy do mistyfa, kochaniutki. Powiedz, gdzie go znajdę. Wypowiedz te parę słów, a więcej nie będziesz musiał o nim myśleć. Spokojny jak dziecko udasz się na spotkanie z Niewidzianym.

- Naprawdę?

- Naprawdę, zaufaj mi. Powiedz mi tylko, jak się nazywa i gdzie mogę go znaleźć.

- Imię... i... miejsce...

- Właśnie. Tylko się pospiesz, kochaniutki, zanim będzie za późno!

Chant nabrał powietrza w rozklejające się płuca.

- Nazywa się Pie'oh'pah - rzekł.

Dowd cofnął się o krok, jakby dostał w twarz.

- Pie'oh'pah? Jesteś pewien?

- ...pewien...

- To Pie'oh'pah żyje? I Estabrook go wynajął?

- Tak.

Dowd przestał się bawić w spowiednika.

- Co to wszystko znaczy? - mruknął zirytowany do siebie.

Chant jęknął z bólu; jego organizm rozpadał się coraz szybciej. Zdając sobie sprawę, że zostało naprawdę niewiele czasu, Dowd spróbował go przycisnąć:

- Gdzie jest ten mistyf? Szybko!

Twarz Chanta zaczynała się rozkładać; wysuszone mięso odpadało od oślizłych kości. Kiedy przemówił, została mu już tylko połowa ust - ale odpowiedział, żeby pozbyć się brzemienia.

- Dziękuję ci - powiedział Dowd, wysłuchawszy szczegółów. - Dziękuję. Puśćcie go - polecił pustkowcom.

Rzucili bezwładne ciało. Resztki twarzy Chanta rozbryznięły się na podłodze, ochlapując buty Dowda, który przyglądał się temu z niesmakiem.

- Wyczyśćcie to.

Pustkowce natychmiast rzuciły mu się do stóp, pracowicie usuwając szczątki z ręcznie szytych butów.

- Co to wszystko znaczy? - powtórzył Dowd.

Ostatnie wydarzenia musiały być jakoś ze sobą powiązane. Za niespełna pół roku Imajica będzie obchodziła rocznicę Pojednania; minie dwieście lat od chwili, gdy maestro Sartori podjął nieudaną próbę użycia magii na skalę niespotykaną ani tutaj, ani w innych dominiach. Plany tej uroczystości układano właśnie tutaj, przy Gamut Street 28. Mistyf był jednym z obserwatorów przygotowań.

Ambicje, które nimi kierowały w tych szalonych czasach, doprowadziły oczywiście do tragedii. Rytuały, mające zaleczyć rany Imajiki i połączyć Piąte Dominium

z pozostałymi czterema, zakończyły się klęską. Zginęło wielu słynnych teurgów, szamanów i teologów. Ci, którzy przeżyli, postanowili nie dopuścić do powtórzenia się takiej katastrofy. Połączyli siły, żeby na zawsze oczyścić Piąte Dominium z wszelkiej wiedzy magicznej. Jednakże ich starania poszły na marne. Przeszłości nigdy nie da się całkiem wymazać. Ślady magii pozostały w snach i marzeniach ludzi; ocalały fragmenty poematów sławiących Związek, chociaż nazwiska ich autorów metodycznie usunięto ze wszystkich zapisków. Dopóki zaś takie odpryski nie zginęły, przetrwać musiał i duch Pojednania.

Tylko że sam duch nie wystarczył. Potrzebny był jeszcze maestro, arogancki mag, wierzący, że odniesie sukces tam, gdzie porażkę ponieśli Christos i niezliczeni inni czarownicy, których imiona przepadły w pomroce dziejów. Dowd zdawał sobie sprawę, że nastały ciężkie czasy, ale nie odrzucał całkowicie możliwości, że ktoś taki jednak się pojawi. Zdarzało mu się spotykać ludzi, którzy umieli przejrzeć na wylot powłokę pozorów, zwodzącą słabsze umysły. Tacy jak oni tęsknili za objawieniem, które wypali tę pozłotę, za Apokalipsą, która odsłoni przed Piątym Dominium chwałę, o jakiej jego mieszkańcy do tej pory mogli tylko marzyć.

Jeżeli jednak maestro miał się zjawić, to powinien się spieszyć. Próby Pojednania nie da się zaplanować z dnia na dzień, a jeśli przegapi się następne letnie przesilenie, Imajica pozostanie podzielona przez następne dwieście lat. Piąte Dominium będzie miało dość czasu, by z nudy i frustracji dokonać samozagłady, a wtedy idea Pojednania przepadnie na zawsze.

Dowd spojrzał na swoje wypolerowane do połysku buty.

- Wyglądają doskonale - uznał. - Czego nie da się powiedzieć o reszcie tego przeklętego świata.

Podszedł do drzwi. Pustkowce kręciły się niepewnie przy zwłokach; miały dość rozumu, by wiedzieć, że jeszcze nie dopełniły swoich obowiązków. Dowd wezwał je do siebie.

- Zostawimy ciało tutaj - powiedział. - Kto wie, może obudzi jakieś duchy?

ROZDZIAŁ 5

1

Dwa dni po wczesnoporannym telefonie od Judith - dwa dni, w czasie których w pracowni zepsuł się bojler i Gentle miał do wyboru: kąpać się w wodzie lodowatej jak Ocean Arktyczny albo nie kąpać się w ogóle (wybrał tę drugą możliwość) - Klein wezwał go do siebie. Miał dobre wieści. Namierzył kupca, którego gustów nie zaspokajała podaż dzieł sztuki na konwencjonalnych rynkach. Dał mu do zrozumienia, że może znaleźć coś naprawdę atrakcyjnego. Gentle z powodzeniem namalował już kiedyś Gaugina - nieduży obrazek, wystawiony oficjalnie do sprzedaży i upłynniony bez zbędnych pytań. Czy mógłby to powtórzyć? Gentle odparł, że namaluje takiego Gaugina, przy którym sam artysta popłakałby się ze szczęścia. Klein wypłacił mu pięćset funtów zaliczki, żeby miał z czego opłacić czynsz za pracownię, i kazał brać się do roboty. Zauważył jeszcze, że Gentle wygląda o niebo lepiej niż poprzednio, za to pachnie znacznie gorzej.

Gentle'a nieszczęśliwie to interesowało. Dwa dni bez kąpieli to pestka, kiedy mieszkasz sam; zarost jest w porządku, dopóki żadna kobieta się na niego nie skarży. Na nowo odkrywa się stary, dyskretny sposób na seks: własny fiut, ręka i odrobina fantazji. Człowiek szybko się przyzwyczaja do takiego życia, zaczyna lubić swój nieco wypukły brzuszek, zapocone pachy i jądra. Dopiero w weekend zaczęło Gentle'owi brakować rozrywki bardziej wyrafinowanej niż widok własnego odbicia w lustrze w łazience. Przez cały rok nie było ani jednego piątku lub soboty, kiedy nie udzielałby się towarzysko w gronie znajomych Vanessy.

Ich numery telefonów nadal miał zapisane w notesie, wystarczyło sięgnąć po słuchawkę - ale na samą myśl o kontakcie z nimi robiło mu się niedobrze. W porządku, oczarował je, ale wciąż były jej przyjaciółkami i z pewnością trzymały z nią sztamię.

Większość jego znajomych, dziewczyn, które poznał, zanim zaczął spotykać się z

Vanessą, gdzieś zniknęła. Stały się częścią jego przeszłości, równie niepewną jak tyle innych wspomnień. Podczas gdy ludzie tacy jak Klein potrafili bezbłędnie odtworzyć z pamięci wydarzenia sprzed trzydziestu lat, Gentle nie umiał sobie przypomnieć, gdzie i z kim był marne dziesięć lat temu. A gdy próbował zajrzeć jeszcze głębiej w przeszłość, okazywało się, że ma dziurę w pamięci, tak jakby jego umysł zachowywał akurat tyle wspomnień, żeby teraźniejszość prezentowała się w miarę wiarygodnie. Reszta była nieistotna. Gentle ukrywał tę dziwną przypadłość przed znajomymi, w razie potrzeby zmyślając fakty na poczekaniu. Nie przeszkadzało mu to; nie wiedział, co znaczy dla człowieka przeszłość, więc nie mógł żałować jej braku. Z rozmów z ludźmi wywnioskował, że chociaż z dużą pewnością siebie wspominają dzieciństwo i młodość, to jednak na ich wiedzę składają się głównie plotki, teorie, a czasem czystej wody wymysły.

Nie był w swojej niewiedzy osamotniony. Judith wyznała mu kiedyś, że też nie bardzo potrafi uchwycić przeszłość - chociaż była wtedy pijana i gdy później wrócił do tego tematu, wszystkiemu stanowczo zaprzeczyła. Błąkając się między straconymi i zapomnianymi przyjaciółmi, Gentle czuł się w sobotę bardzo samotny, więc kiedy zadzwonił telefon, trochę się nawet ucieszył.

- Słucham, tu Furie. - Rzeczywiście czuł się jak Furia. Ktoś był na linii, ale milczał. - Kto mówi? - Cisza się przedłużała, więc zirytowany odłożył słuchawkę.

W chwilę później telefon zadzwonił ponownie.

- Kto mówi, do cholery?! - wrzasnął Gentle.

Tym razem w słuchawce zabrzmiał męski, modulowany głos. Odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Czy rozmawiam z Johnem Zachariasem?

Rzadko tak go nazywano.

- Kto mówi? - powtórzył Gentle.

- Spotkaliśmy się kiedyś, tylko raz. Pewnie mnie pan nie pamięta. Charles Estabrook.

Niektórzy ludzie na dłużej zahaczali się w pamięci Gentle'a, Estabrook był jednym z nich. To on złapał Jude, kiedy nie wyszedł jej taniec na linie. Klasyczny Anglik, efekt chowu wsobnego, jeden z mniej znacznych arystokratów, nadęty, pompatyczny i...

- Jeżeli to możliwe, chciałbym się z panem pilnie zobaczyć.
- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia.
- Panie Zacharias, chodzi o Judith. Zobowiązany jestem zachować rzecz całą w ścisłej tajemnicy, lecz proszę mi wierzyć, to sprawa najwyższej wagi, nie do przecenienia.

Wydumana forma ostatniego zdania sprawiła, że Gentle rzucił sucho:

- Mów pan, o co chodzi.
- Nie przez telefon. Zdaję sobie sprawę, że moja prośba jest raczej niespodziewana, ale błagam, by ją pan rozważył.
- Rozważyłem. Odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam się z panem spotykać.
- Nawet żeby się rozkoszować?
- Czym?
- Tym, że ją straciłem. Zostawiła mnie, panie Zacharias, tak jak przedtem rzuciła pana. Trzydzieści trzy dni temu. - Precyzja jego słów wyrażała najwięcej. Ciekawe, czy liczył także godziny. I minuty. - Nie musi pan przychodzić do mnie do domu, jeśli sobie pan tego nie życzy. Szczerze mówiąc, byłoby nawet lepiej, gdybyśmy spotkali się gdzieś indziej.

Estabrook mówił w taki sposób, jakby jego rozmówca już zgodził się na spotkanie, Gentle zaś wiedział, że chociaż nie powiedział tego wprost, to rzeczywiście chce się z nim widzieć.

2

Oczywistym okrucieństwem było wyciągać człowieka w wieku Estabrooka z domu w taki zimny dzień i kazać mu wdrapywać się na wzgórze, ale Gentle z doświadczenia wiedział, że warto korzystać z każdej okazji, by sprawić sobie przyjemność. Poza tym z Parliament Hill roztaczał się piękny widok na Londyn, nawet w taki ponury i pochmurny dzień. Wiatr przenikał do szpiku kości. Jak w każdą niedzielę, na wzgórzu zebrały się gromady miłośników latawców. Ich zabawki szybowały pod zimowym niebem niczym wielobarwne świece. Estabrook dostał zadyszki, ale chyba

podobało mu się wybrane przez Gentle'a miejsce spotkania.

- Od lat nie zaglądałem na Parliament Hill - powiedział. - Moja żona lubiła tu przychodzić i oglądać latawce.

Wyjął z kieszeni piersiówkę z brandy i podał Gentle'owi, który odmówił.

- Nie potrafię już wygnać mrozu z kości. To jedna z wad mojego wieku; zalet na razie nie odkryłem. A ile pan ma lat?

Gentle nie miał pojęcia, ale wolał się do tego nie przyznawać.

- Prawie czterdzieści - odpowiedział.

- Młodo pan wygląda. Ba, praktycznie nic się pan nie zmienił, odkąd się poznaliśmy. Pamięta pan, kiedy to było? Na aukcji. To pan z nią przyszedł, nie ja. W tej dzielącej nas różnicy zawierał się cały świat, pan z nią, ja bez niej. Zazdrościłem jej panu. Nikomu niczego tak nie zazdrościłem, jak panu tej kobiety. Później, naturalnie, widywałem ten sam wyraz na twarzach innych mężczyzn...

- Nie przyszedłem tu po to, żeby słuchać takich bredni.

- Wiem o tym. Po prostu próbuję wyrazić, jak wiele dla mnie znaczyła. Lata, które spędziłem z nią, to najlepszy okres mojego życia. Ale nic, co najlepsze, nie trwa wiecznie, prawda? Inaczej nie byłoby najlepsze. - Estabrook pociągnął kolejny łyk brandy. - Wie pan, że nigdy nic o panu nie mówiła? Próbowałem ją do tego sprowokować, ale twierdziła, że zupełnie wymazała pana z pamięci, zapomniała o panu, co oczywiście było bzdurą...

- Ja w to wierzę.

- To błąd. Był pan jej wstydliwą tajemnicą.

- Dlaczego tak mi pan pochlebia?

- Bo to prawda. Cały czas pana kochała, cały czas, kiedy była ze mną. Ja o tym wiem, i pan chyba też. Dlatego teraz rozmawiamy.

Ani razu nie padło jej imię, prawie jakby obaj czuli się skrepowani jakimś przesądem. Była po prostu „nią”, kobietą, niewidzialną, wszechmocną siłą. Mogło się wydawać, że jej mężczyźni twardo stąpają po ziemi, lecz w rzeczywistości szybowali bezwolnie jak latawce, a jej wspomnienie stanowiło jedyną nić wiążącą ich z rzeczywistością.

- Zrobiłem coś strasznego, John - powiedział Estabrook, po raz trzeci

przytknąwszy piersiówkę do ust. Tym razem wypił kilka haustów, zakręcił ją i schował. - I strasznie tego żałuję.

- Co takiego?

- Może się przejdziemy? - Estabrook zerknął w stronę puszczej latawce zapaleńców: znajdowali się zbyt daleko i byli zbyt pochłonięci swoimi zabawkami, żeby podsłuchiwać, ale uspokoił się dopiero wtedy, gdy dwukrotnie zwiększyli dzielącą ich odległość. Wtedy powiedział wprost: - Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale niedawno wynająłem kogoś, żeby ją zabił.

- Słucham?!

- Jesteś wstrząśnięty?

- A jak ci się wydaje?! Pewno, że jestem wstrząśnięty!

- Wiesz, to najwyższa forma wierności: chcieć końca czyjogoś życia tylko dlatego, że ten ktoś nie może żyć przy tobie. Miłość wyższego rzędu.

- Według mnie to najgorsze draństwo.

- Owszem, to także. Nie mogłem znieść... Po prostu nie mogłem znieść myśli, że ona żyje, a mnie przy niej nie ma... - Estabrook mówił coraz mniej składnie, dławili go łzy. - Znaczyła dla mnie... tak wiele...

Gentle przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Judith. Dzwoniła z Nowego Jorku, telefon szumiał, jakby siedziała pod wodą i właściwie nic sobie nie powiedzieli. Czy wiedziała wtedy, że jej życie jest zagrożone? A teraz? Boże, czy ona żyje?! Złapał Estabrooka za kłapy płaszcza z siłą zrodzoną ze strachu.

- Chyba nie po to mnie tu wyciągnąłeś, żeby mi powiedzieć, że nie żyje.

- Nie. Nie - powtórzył Estabrook, nie próbując się wyrwać. - Wynająłem człowieka, którego chciałbym teraz odwołać...

- No to zrób to. - Gentle go puścił.

- Nie mogę.

Estabrook wyjął z kieszeni kartkę papieru. Sądząc z tego, jak była pognieciona, ktoś musiał ją wcześniej zmiąć i wyrzucić.

- Dostałem ten list od człowieka, który zaprowadził mnie do zabójcy - mówił dalej. - Przedwczoraj w nocy. Musiał być pijany albo na haju, gdy to pisał, przekonany, że kiedy ja będę czytał list, on nie będzie żył. Przypuszczam, że miał rację. Nie odezwał

się od tej pory. Bez niego nie mogę się skontaktować z mordercą.

- Gdzie go poznałeś?

- Sam mnie znalazł.

- A gdzie spotkałeś się z zabójcą?

- Gdzieś na południowym brzegu Tamizy, nie wiem dokładnie. Było ciemno, pogubiłem się po drodze. Poza tym wiem, że go tam nie będzie. Pojechał za nią.

- To ją ostrzeż.

- Próbowałem. Nie odbiera moich telefonów. Ma już nowego kochanka, który jest równie zaborczy, jak ja byłem. Listy i telegramy wracają do mnie nie otwarte. Ale on jej nie uratuje. Ten człowiek, którego wynająłem, nazywa się Pie...

- Jak to: Pie? To jakiś szyfr?

- Nie wiem. Nic nie wiem poza tym, że zrobiłem coś niewybaczalnego, a ty musisz mi pomóc to odkręcić. Po prostu musisz. Ten Pie jest śmiertelnie niebezpieczny.

- Dlaczego myślisz, że Judith ze mną zechce się spotkać, skoro ciebie nie chce widzieć?

- Pewności nie mam, ale jesteś młodszy, sprawniejszy i masz... Lepiej ode mnie wiesz, jak funkcjonuje umysł przestępcy. Łatwiej będzie ci znaleźć Pie. Dam ci pieniądze, będziesz mógł zapłacić mu za rezygnację ze zlecenia. Zapłacę, ile zechcesz. Jestem bogaty. Tylko ją ostrzeż, Zacharias. Przekonaj ją, żeby wróciła do domu. Nie chcę jej mieć na sumieniu.

- Trochę za późno, żeby o tym myśleć.

- Staram się odkupić ten grzech. Umowa stoi?

Estabrook zdjął skórzaną rękawiczkę i podał Gentle'owi rękę.

- Chciałbym zobaczyć list, który dostałeś od swojego łącznika.

- To bazgrały bez sensu.

- Ale będą jedynym dowodem w tej sprawie, jeżeli łącznik nie żyje i jeśli ona też zginie. Daj mi list, bo inaczej się nie dogadamy.

Estabrook sięgnął do wewnętrznej kieszeni, ale się zawahał. Mimo tego, co mówił o czystym sumieniu i o tym, że tylko Gentle może ją uratować, nie miał ochoty oddawać mu listu.

- Tak myślałem - stwierdził Gentle. - Chcesz mieć pewność, że kiedy coś się

pochrzani, to ja oberwę. W takim razie pierdol się.

Odwrócił się i zaczął schodzić ze wzgórza. Estabrook rzucił się za nim, wołając go po imieniu, ale Gentle nie zwolnił kroku. Pozwolił Estabrookowi trochę się przebiec.

- Dobrze! - usłyszał w końcu. - Zgoda! Weź ten list. Weź!

Zwolnił, ale się nie zatrzymał. Estabrook poszarzał na twarzy z wyczerpania, zanim go dogonił. Gentle wziął kartkę i nie rozkładając, schował do kieszeni. Zdąży się nią jeszcze nacieszyć.

ROZDZIAŁ 6

1

Dziewięćdziesięcioletni Albert Burke znalazł zwłoki Chanta następnego dnia, szukając swojego wścibskiego kundla imieniem Kipper. Kipper już na ulicy wywęszył to, co jego właściciel poczuł dopiero na schodach, kiedy na przemian kłął i gwizdał na nieposłusznego psa: gnijące ciało w pokoju na poddaszu. Jesienią 1916 roku Albert walczył w obronie swojej ojczyzny nad Sommą. Zdarzało się wtedy, że po kilka dni siedział w okopach przy martwych towarzyszach broni; widok i zapach śmierci specjalnie go nie wzruszały. Jego sangwiniczna reakcja dodawała smaku relacji, która trafiła do wieczornego wydania wiadomości i zajęła w nim więcej miejsca, niż można by się spodziewać. Zaczęły się spekulacje na temat tożsamości zmarłego. Dzień później opracowano jego prawdopodobny portret, a w środę kobieta z komunalnej kamienicy na południowym brzegu Tamizy rozpoznała w nim swojego sąsiada, pana Chanta.

Z przeszukania mieszkania zmarłego wyłonił się kolejny obraz - tym razem nie jego twarzy, lecz życia. Policja doszła do wniosku, że Chant był wyznawcą jakiegoś tajemniczego kultu religijnego. Z doniesień w mediach wynikało, że w pokoju znajdował się mały ołtarzyk przyozdobiony zasuszonymi głowami zwierząt, których eksperci od medycyny sądowej nie potrafili zidentyfikować. Główny motyw ołtarza miał tak oczywisty kontekst seksualny, że żadna gazeta nie odważyła się opublikować nawet jego rysunku, nie wspominając już o zdjęciu. Brukowce z rozkoszą rozpisywały się o całej sprawie, zwłaszcza że tajemnicze przedmioty należały do człowieka, który - jak przypuszczano - został zamordowany. Naczelnicy wstępniaków, niemal nie kryjąc się ze swoim rasizmem, opluwali zboczone religie importowane do Anglii przez imigrantów. W połączeniu z historią Alberta znad Sommy śmierć Chanta zajęła w gazetach całkiem sporo miejsca. Fakt ten miał pewne konsekwencje. W Londynie prawicowi ekstremiści

zaatakowali kilka meczetów, podniosły się głosy żądające wyburzenia kwartału, w którym mieszkał Chant, a Dowd został wezwany do pewnego wieżowca w Highgate, w zastępstwie swojego nieobecnego mistrza, brata Estabrooka - Oscara Godolphina.

2

W latach osiemdziesiątych XVIII wieku, kiedy wzgórze Highgate Hill było tak strome i pośliznione koleinami, że mało który powóz mógł wjechać na górę, a droga do miasta tak niebezpieczna, że lepiej było nie rozstawać się na niej z pistoletem, pewien kupiec, Thomas Roxborough, kazał wybudować przy Hornsey Lane elegancki dom według projektu niejakiego Henry'ego Hollanda. W tamtych czasach z jego okien roztaczał się piękny widok: na południu płynęła rzeka, na północy i wschodzie, w stronę maleńkiej wioski Hampstead, ciągnęły się soczyste zielone pastwiska. Turysta nadal mógł podziwiać Tamizę z mostu nad Archway Road, ale piękny dom Roxborougha zniknął. Pod koniec lat trzydziestych zastąpił go dziesięciopiętrowy wieżowiec, bezstylowy i cofnięty w głąb parceli. Od ulicy oddzielał go rząd wypielęgnowanych drzew, wystarczający, by zamaskować niejaki budynek, ale nie dość gęsty, by całkowicie go ukryć. Poczta dostarczała tam tylko okólniki i różne oficjalne pisma; lokali nie wynajmowały ani osoby prywatne, ani firmy. Mimo to właściciele bardzo dbali o Roxborough Tower. Spotykali się mniej więcej raz w miesiącu w sali zajmującej całe ostatnie piętro, w imieniu człowieka, który dwieście lat wcześniej był właścicielem tego kawałka ziemi i zapisał go w spadku założonemu przez siebie stowarzyszeniu.

Mężczyźni i kobiety (razem było ich jedenaścioro), którzy zbierali się tutaj, rozmawiali przez kilka godzin i wracali do swojego zwyczajnego życia, byli potomkami garstki pasjonatów, jakich Roxborough zgromadził wokół siebie w mrocznych dniach po nieudanej próbie Pojednania. Pasja w nich wygasła, pozostała tylko niejasna świadomość celu, jaki przyświecał Roxboroughowi, gdy zakładał Tabula Rasa, Stowarzyszenie Czystej Tablicy. Spotykali się jednak regularnie - po części dlatego że każde z nich zostało w dzieciństwie uprzedzone przez któreś z rodziców (zwykle przez ojca, chociaż nie było to regułą), iż na jego barki spadnie wielka odpowiedzialność: zachowanie pilnie

strzeżonego rodzinnego sekretu, a po części dlatego że Tabula Rasa opiekowała się swoimi członkami. Roxborough był człowiekiem bogatym i przewidującym. Skupił w swoich rękach znaczne posiadłości ziemskie, a korzyści, jakie z nich uzyskiwał, rosły błyskawicznie wraz z rozwojem Londynu. Jedynym beneficjentem było stowarzyszenie, chociaż pieniądze trafiały doń okreśną drogą, przez firmy i pośredników, którzy nie mieli zielonego pojęcia o swojej roli w systemie. W efekcie nikt, kto służył stowarzyszeniu, nie zdawał sobie sprawy z jego istnienia.

Mimo że pozbawiona jasno określonego celu, Tabula Rasa prosperowała świetnie. Zgodnie z poleceniem Roxborougha jej członkowie spotykali się, by dyskutować o tajemnicach, których strzegli, i podziwiać panoramę miasta z Highgate Hill.

*

Kuttner Dowd odwiedził Roxborough Tower kilkakrotnie, chociaż nigdy nie trafił na obrady stowarzyszenia. Jego pracodawca, Oscar Godolphin, należał do jedenastki wybrańców, którzy podtrzymywali tradycję Roxborougha. Był wśród nich największym hipokrytą - należąc do stowarzyszenia zajmującego się tropieniem i tłumieniem wszelkiej magicznej działalności, zatrudniał (on sam powiedziałby raczej: posiadał) istotę przywołaną za pomocą magii w tym samym czasie, gdy zdarzyła się tragedia, która doprowadziła do powołania Tabula Rasa.

Tą istotą był, rzecz jasna, Dowd. Członkowie stowarzyszenia wiedzieli o jego istnieniu, ale nie o tym, skąd pochodzi. Gdyby zdawali sobie z tego sprawę, nie zostałyby wpuszczony do świętego wieżowca. Byliby zobowiązani edyktem Roxborougha do zniszczenia Dowda, bez względu na konsekwencje dla swoich ciał, dusz i zdrowia psychicznego. Posiadali odpowiednią wiedzę, a w każdym razie wiedzieli jak ją zdobyć. W Roxborough Tower mieściła się ponoć niezrównana biblioteka starych traktatów, pamiętników, encyklopedii i sympozjonów, zgromadzona przez Roxborougha i grupę magów z Piątego Dominium, którzy pierwsi wystąpili z poparciem dla idei Pojednania. Jednym z nich był Joshua Godolphin, hrabia Bellingham. Podobnie jak Roxborough, przed dwoma wiekami wyszedł cało z katastrofy, jaka wydarzyła się w dzień przesilenia letniego; większość ich przyjaciół nie miała tyle szczęścia. Ponoć po tej tragedii Godolphin przeprowadził się do swojej wiejskiej posiadłości i do końca życia nie wyściubił z niej nosa. Roxborough natomiast, jako największy w tym gronie pragmatyk,

w kilka dni po kataklizmie przejął księgozbiory tragicznie zmarłych kolegów i przeniósł tysiące woluminów do piwnicy swojego domu. Tak ukryte nie mogły przynajmniej (jak pisał później w liście do hrabiego) „plugawić niechrześcijańskimi ambicjami umysłów porządnych ludzi, takich jak nasi przyjaciele. Musimy od tej pory pilnować, by ta godna potępienia magia nie skaziła ponownie naszych brzegów”. Fakt, że nie zniszczył ksiąg, tylko je ukrył, dowodzi jednak, że sam nie wyzbył się niepewności. Mimo potworności, jakich doświadczył, i odrazy, jaką potem żywił do sił magicznych, pozostała w nim fascynacja, która zbliżyła go do Godolphina i innych przyjaciół.

Dowd wzdrygnął się nerwowo, stojąc w surowym hallu wieżowca. Wiedział, że gdzieś tutaj znajduje się największe zbiorowisko pism magicznych poza Watykanem, a wiele z nich opisuje rytuały, które pozwalają przywoływać i odsyłać takie istoty jak on. Nie można go było, rzecz jasna, porównywać ze zwyczajnymi Chowańcami, różnił się znacznie od tych głupawo uśmiechniętych, bezmyślnych sług wyciąganych z In Ovo - przestrzeni dzielącej Piąte Dominium od pozostałych - jak homary z akwarium w restauracji. Kiedyś był zawodowym aktorem, i to słynnym. To nie wrodzona głupota sprawiła, że dostał się pod władzę człowieka, lecz ból. Kiedy na własne oczy zobaczył twarz samego Hapexamendiosa, widok ten omal nie przyprawił go o utratę zmysłów. Nie zdołał się oprzeć wezwaniu i próbie spętania. Joshua Godolphin przywołał go do Piątego Dominium i kazał usługiwać sobie po wsze czasy. Po przeprowadzce na wieś Dowd mógł przynajmniej swobodnie poruszać się po świecie, czekając na zgon Joshuy, kiedy to musiał wrócić i zaoferować swoje usługi jego synowi, Nathanielowi. Postanowił, że ujawni swoją prawdziwą naturę dopiero wówczas, gdy przekona swojego nowego pana, jaki potrafi być przydatny. Obawiał się, że jeśli zrobi to zbyt szybko, znajdzie się w potrzasku: z jednej strony był związany warunkami Joshuy, z drugiej zagrażała mu chrześcijańska gorliwość Nathaniela.

Zanim jednak do tego doszło, Nathaniel wyrósł na kompletnego degenerata i nic go nie obchodziło, kim jest Dowd, dopóki zapewniał mu należyte towarzystwo. I tak to szło przez kolejne pokolenia. Od czasu do czasu Dowd zmieniał twarz (to była prosta sztuczka), żeby ukryć swoją długowieczność w wędzącym świecie ludzi. Nigdy jednak nie zapominał o tym, że Tabula Rasa może pewnego dnia odkryć jego tożsamość i podstęp, a następnie znaleźć w swojej bibliotece jakąś paskudną influencję, żeby go

unicestwić. W tej chwili, czekając, aż członkowie stowarzyszenia wezwą go do siebie, był szczególnie świadom tego zagrożenia.

Wezwali go po półtorej godzinie. Przez ten czas starał się zająć sobie myśli rozważaniem premier teatralnych, które zapowiedziano na nadchodzący tydzień. Kochał teatr nie mniej niż dawniej; nie przepuścił prawie żadnego znaczącego przedstawienia. Na wtorek miał kupione bilety na cieszącego się świetnymi recenzjami „Leara” w National Theatre, a dwa dni później zarezerwowaną łóżę na wznowienie „Turandot” w Coliseum. Cieszył się już na oba spektakle i chciał jak najszybciej mieć z głowy to żałosne spotkanie.

Wreszcie winda zaszumiała i wysiadł z niej Giles Bloxham, jeden z młodszych członków Tabula Rasa. Miał czterdzieści lat, chociaż wyglądał na dwa razy więcej. Trzeba być swoistym geniuszem, jak stwierdził kiedyś Godolphin (uwielbiał opowiadać o absurdach panujących w stowarzyszeniu, zwłaszcza kiedy trochę sobie podpił), żeby wyglądać na takiego rozpustnika, i to zupełnie bez pokrycia.

- Jesteśmy gotowi cię przyjąć - oznajmił Bloxham. Skinął na Dowda, żeby wszedł do windy. - Zdajesz sobie sprawę - odezwał się, gdy winda ruszyła - że gdyby kiedyś kusiło cię szepnąć choć słówko o tym, co tu widziałeś, stowarzyszenie zlikwiduje cię szybko i skutecznie. Nawet twoja matka zapomni, że cię urodziła.

Przesadna groźba brzmiała śmiesznie, gdy Bloxham wypowiadał ją swoim nosowym, jęklwym głosem, ale Dowd wszedł w rolę pokornego sługi.

- Wiem o tym - przytaknął.

- To niezwykle, wezwać na zebranie kogoś, kto nie jest członkiem stowarzyszenia - ciągnął Bloxham. - Ale i czasy nastały niezwykle. Chociaż to oczywiście nie powinno cię obchodzić.

- Naturalnie - zgodził się Dowd, wcielenie niewinności.

Postanowił, że tym razem zniesie ich pogardę spokojnie. Z dnia na dzień nabierał pewności, że zbliżają się wydarzenia, które wstrząsną fundamentami Roxborough Tower. A wtedy on się zemści.

Winda stanęła i poszli korytarzem surowym, ciemnym i ponurym, podobnie jak pokój, do którego Bloxham wprowadził Dowda. Zasłony w oknach były zaciągnięte. Wiszące lampy oświetlały olbrzymi stół z marmurowym blatem i siedzące przy nim sześć

osób - czterech mężczyzn i dwie kobiety. Sądząc po stojących wszędzie butelkach, kieliszkach, przesypanych się popielniczkach, a także po zmęczeniu na twarzach obecnych, debata ciągnęła się ładnych parę godzin. Bloxham nalał sobie wody i usiadł. Jedno miejsce przy stole było puste: krzesło Godolphina. Nikt nie poprosił Dowda, żeby usiadł, stał więc u szczytu stołu, lekko tylko zmieszany. Przeciętny obywatel nie znalazł żadnego z tych ludzi. Wszyscy pochodzili z zamożnych, wpływowych rodów, które nie udzielały się zbytnio na arenie publicznej. Regulamin stowarzyszenia zabraniał jego członkom zajmować stanowiska rządowe i wiązać się z osobami, które przyciągałyby uwagę prasy. Tabula Rasa działała w sekrecie, dążąc do zlikwidowania innego sekretu. Może właśnie ten paradoks miał ostatecznie doprowadzić do jej zagłady.

Naprzeciw Dowda, przed stosem gazet, w których drukowano zapewne raporty Burke'a, siedział przypominający profesora mężczyzna po sześćdziesiątce, o gładko zaczesanych siwych włosach. Dowd kojarzył go z opowieści Godolphina - Hubert Shales, przez Oscara nazywany Leniwcem. Mówił i poruszał się z ostrożnością teologa, który w dodatku ma szkielet ze szkła.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - zapytał.

- Wie - odpowiedział za Dowda Bloxham.

- Jakiś kłopot z panem Godolphinem? - zaryzykował Dowd.

- Nie ma go - odezwała się siedząca z prawej strony kobieta. Miała wychudzoną twarz i wyszukaną fryzurę z farbowanych na czarno włosów. Alice Tyrwhitt, domyślił się Dowd. - W tym cały kłopot.

- To widzę.

- Gdzie w takim razie jest, do diabła?! - krzyknął Bloxham.

- W podróży - odparł Dowd. - Chyba nie spodziewał się tego spotkania.

- My też nie - zauważył Lionel Wakeman, zaczerwieniony od wypitej szkockiej.

W zagięciu łokcia trzymał butelkę.

- Dokąd wyjechał? - spytała Tyrwhitt. - Musimy koniecznie go znaleźć.

- Niestety, tego nie wiem. Jeździ w interesach po całym świecie.

- Czy to chociaż przyzwoite interesy? - zabełkotał Wakeman.

- Poczynił pewne inwestycje w Singapurze i w Indiach. Czy życzą sobie państwo, żebym przygotował dokumentację? Pan Godolphin z pewnością byłby...

- Na gówna dokumentacja? - uciął Bloxham. - To on jest nam potrzebny. I to zaraz!

- Przykro mi, ale nie wiem, gdzie dokładnie przebywa. Gdzieś na Dalekim Wschodzie.

Poważna, ale nie pozbawiona wdzięku kobieta, siedząca na lewo od Wakemana, zdusiła niedopałek w popielniczce. To musiała być Charlotte Feaver, czyli Czerwona Charlotte, jak mówił o niej Oscar. Ród Roxborougha miał na niej wygasnąć, jeśli nie znajdzie sposobu na zapłodnienie którejś ze swoich dziewczyn.

- To nie jest jakiś tam klubik towarzyski, do którego można wpaść, kiedy się ma ochotę - powiedziała.

- Racja - przytaknął Wakeman. - Cholerna racja.

Shales rzucił jedną z gazet na stół przed Dowdem.

- Czytałeś pewnie o zwłokach, które znaleźli w Clerkenwell?

- Tak... Tak mi się wydaje.

Shales umilkł, spoglądając ptasimi oczami po kolei na wszystkich w pokoju. Cokolwiek chciał powiedzieć, ustalili przed przybyciem Dowda.

- Mamy powody podejrzewać, że Chant nie pochodził z tego dominium - stwierdził.

- Słucham? - zdziwił się Dowd. - Nie rozumiem... Z jakiego dominium?

- Daruj sobie ten nadmiar dyskrecji - skarciła go Charlotte Feaver. - Wiesz, o czym mówimy. Pracujesz dla Oscara od dwudziestu pięciu lat. Niemożliwe, żeby przez cały ten czas trzymał język za zębami.

- Niewiele wiem na ten temat - zastrzegł się Dowd.

- Ale wystarczająco dużo, by wiedzieć, że zbliża się rocznica - powiedział Shales.

O kurczę, pomyślał Dowd, wcale nie są tacy głupi, na jakich wyglądają.

- Rocznicę Pojednania, tak? - spytał.

- To właśnie mam na myśli. Najbliższe letnie przesilenie...

- Czy naprawdę musimy tyle o tym mówić? - przerwał Shalesowi Bloxham. - On już i tak za dużo wie.

Shales postanowił nie zwracać na niego uwagi i już otwierał usta, żeby powtórzyć swoją kwestię, gdy zabrzmiał nowy głos. Dowd już od dłuższej chwili czekał, aż siedząca

poza kręgiem światła masywna postać się odezwie. Matthias McGann. Jeśli Tabula Rasa miała w ogóle jakiegoś przywódcę, był nim właśnie McGann.

- Pozwolisz, Hubercie?

- Oczywiście - mruknął Shales.

- Panie Dowd - zaczął McGann. - Nie wątpię, że Oscar bywał niedyskretny; wszyscy mamy jakieś słabości. On pana lubi. Nikt z nas nie ma pretensji o to, że go pan słuchał. Jednakże nasze stowarzyszenie powstało w konkretnym celu i w dążeniu do niego musi działać z całą możliwą bezwzględnością. Nie będę wchodził w szczegóły; jak powiedział Giles: już wie pan więcej, niżbyśmy sobie tego życzyli. Proszę mi jednak wierzyć, że uciszymy każdego, kto będzie zagrażał temu dominium. - Pochylił się w przód. Miał twarz pogodnego człowieka, który nie jest zadowolony z tego, co mu się przytrafiło. - Hubert wspominał, że rocznica szybko się zbliża. To fakt. Siły zainteresowane zniszczeniem tego dominium mogą szykować się do jej uczczenia. Na razie ten artykuł - wskazał gazetę - jest jedynym dowodem na to, że coś się dzieje, ale jeżeli na jaw wyjdą inne przygotowania, członkowie i wysłannicy stowarzyszenia natychmiast położą im kres. Czy to jasne? - Nie czekał na odpowiedź. - Ludzie wężą. Naukowcy, ezoterycy... zadają pytania i zaczynają marzyć.

- Zdaję sobie sprawę, że to może być niebezpieczne - wtrącił Dowd.

- Tylko bez wazeliny, cwaniaczku! - wybuchnął Bloxham. - Wszyscy wiemy, co knujecie z Godolphinem! Powiedz mu, Hubercie!

- Natrafiłem na ślad pewnych artefaktów, które... które nie pochodzą z Ziemi. Tak się składa, że trop prowadzi do Oscara Godolphina.

- Nie mamy pewności - zauważył Wakeman. - Te dranie łżą jak psy.

- Ja tam uważam, że to robota Godolphina - oznajmiła Alice Tyrwhitt. - A ten facet jest jego współnikiem.

- Protestuję - powiedział Dowd.

- Zabawiacie się magią! - wrzasnął Bloxham. - Nie kłam! - Zerwał się na równe nogi i uderzył pięścią w stół. - Przyznaj się!

- Usiądź, Giles - mitygował go McGann.

- Spójrz na niego! - Bloxham wskazał Dowda kciukiem. - Ma łgarstwo wypisane na twarzy!

- Powiedziałem: usiądź - powtórzył McGann leciutko podniesionym głosem. Zastraszony Bloxham posłusznie usiadł. McGann zwrócił się do Dowda: - To nie jest rozprawa w sądzie. Chodzi nam o Godolphina.

- Znajdź go - dodała Feaver.

- I powiedz mu, że mam parę przedmiotów, które powinny wydać mu się znajome - powiedział Shales.

Zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na Matthiasa McGanna.

- To chyba wszystko - powiedział McGann. - Chyba że chce pan coś dodać od siebie.

- Raczej nie - odparł Dowd.

- Jest pan wolny.

Dowd wyszedł bez dyskusji. Charlotte Feaver odprowadziła go do windy, ale nie wsiadła i sam zjechał na dół. Wiedzieli więcej, niż podejrzewał, ale trochę im jeszcze brakowało, żeby odkryć prawdę. Jadąc samochodem na Regent's Park Road, odtwarzał z pamięci wybrane fragmenty przesłuchania, żeby wrócić do nich później: pijacki bełkot Wakemana, Shales, który za dużo mówi, McGann, gładki jak aksamitna pochwa od miecza... Powtórzy wszystko Godolphinowi; zwłaszcza pytania o miejsce jego pobytu powinny go rozbawić.

Gdzieś na Dalekim Wschodzie, powiedział Dowd. Może na wschodzie Yzordderrex, w kesaratach nieopodal portu, w którym Oscar kupował za grosze kontrabandę z Hakarideku. Może tam właśnie był, a może nie - w każdym razie Dowd nie miał jak go tu sprowadzić. Wróci w swoim czasie, a Tabula Rasa niech poczeka. Problem polegał na tym, że kiedy jego nieobecność się przedłużała, rosło ryzyko, że ktoś wyartykułuje podejrzenia, które z pewnością już żywili: handel talizmanami i spotkania z rozwiązłymi kobietami to tylko wierzchołek góry lodowej. Może domyślali się nawet, że urządzi sobie wycieczki.

Rzecz jasna nie był jedynym mieszkańcem Piątego Dominium, który podróżował pomiędzy dominiami. Z Ziemi do Pojedynych Dominów prowadziło wiele szlaków - jedne bardziej bezpieczne, inne mniej, ale wszystkie uczęszczane, i to nie tylko przez magów. Poeci sami znajdowali sobie drogę (czasem nawet udawało się im wrócić i opowiedzieć, co widzieli), podobnie jak niektórzy księża, a także pustelnicy, którzy tak

uparcie rozmyślali o naturze bytu, że In Ovo zagarniało ich i wypluwało w innym świecie. Każda dusza wystarczająco zdesperowana lub natchniona mogła opuścić Piątę Dominium, ale mało który z ludzi znanych Dowdowi czynił to tak regularnie jak Godolphin.

Dla podróżników nastały ciężkie czasy - i to po obu stronach In Ovo. Od ponad stu lat w Pojednanych Dominiach rządził autarcha Yzordderrex. Za każdym razem, gdy Godolphin wracał na Ziemię, przynosił nowe, niepokojące wieści. Od obrzeży Pierwszego Dominium po Patashoqua i jego miasta satelickie w Czwartym - wszędzie szykował się bunt. Na razie nie było zgody co do metod obalenia tyranii autarchy. Rebelia tliła się jednak nieustannie, regularnie przeradzając się w wybuchy zamieszek i strajków, których przywódców znajdowano i skazywano na śmierć. Prawdę mówiąc, bywały czasy, gdy autarcha stosował jeszcze okrutniejsze represje, niejeden naród unicestwiono ku większej chwale Machiny Yzordderrex. Pewne plemiona traciły swoich bogów, ziemie i prawo do istnienia, inne społeczności ginęły bez śladu w pogromach kierowanych osobiście przez autarchę. Te makabryczne wydarzenia nie powstrzymały jednak Godolphina przed wyprawami do Pojednanych Dominiów. Być może, pomyślał Dowd, powstrzymają go dzisiejsze wydarzenia - przynajmniej do czasu uśpienia podejrzeń członków Tabula Rasa.

*

Było to męczące, ale Dowd wiedział, że nie ma wyboru, musi udać się do wiejskiej posiadłości Godolphina i znajdującego się na jej terenie pawilonu, z którego Oscar wyruszał na swoje wojaże. Tam zamierzał na niego czekać jak pies na swojego pana. Nie tylko Oscar musiał napędzić wymyślić sobie jakieś usprawiedliwienie, on, Dowd, również. Zabicie Chanta wydawało mu się w swoim czasie mądrym rozwiązaniem - zwłaszcza że tamtej nocy w teatrach nie grano nic godnego uwagi - ale nie przewidział, że jak powszechnym zainteresowaniem się spotka. Teraz rozumiał, że była to z jego strony naiwność. Anglia uwielbiała doniesienia o morderstwach, najlepiej takie z planem sytuacyjnym. Poza tym miał pecha - wszędobylski pan Burke znad Sommy i sezon ogórkowy w świecie politycznych skandali przysłużyli się pośmiertnej sławie Chanta. Powinien przygotować się na gniew Godolphina. Miał tylko nadzieję, że niepokój wywołany podejrzeniami stowarzyszenia trochę przytępi jego ostrze. Dowd będzie

Godolphinowi potrzebny, żeby uciszyć głosy zwątpienia w Tabula Rasa, a człowiek, który potrzebuje psa, wie, że nie należy go zbyt mocno kopać.

ROZDZIAŁ 7

1

Gentle zadzwonił do Kleina z lotniska na kilka minut przed odlotem. Przedstawił mu poważnie okrojona wersję wydarzeń: nie wspomniał o morderczych zamiarach Estabrooka, powiedział natomiast, że Jude jest chora i prosi go, żeby przyjechał. Klein, o dziwo, nie wygłosił żadnej tyrady. Zauważył tylko ze znużeniem, że jeżeli słowo Gentle'a jest tak mało warte, i to po tym wszystkim, co on dla niego zrobił, to może powinni od razu zerwać współpracę na gruncie zawodowym. Gentle zaczął prosić o wyrozumiałość, na co Klein odparł, że za dwa dni zadzwoni do pracowni. Jeśli nikt nie odbierze telefonu, uzna ich umowę za nieważną.

- Twój fiut kiedyś cię zabije - dodał na zakończenie.

W czasie lotu Gentle miał dość czasu, żeby przemyśleć tę ostatnią uwagę, jak również rozmowę na Parliament Hill, której wspomnienie nie dawało mu spokoju. Estabrooka słuchał najpierw podejrzliwie, potem z niedowierzaniem i obrzydzeniem, a na koniec zgodził się spełnić jego prośbę. Estabrook dotrzymał słowa i przekazał mu dość pieniędzy, by starczyło na wycieczkę do Nowego Jorku. A jednak Gentle nie mógł wyzbyć się podejrzeń. Dwa elementy opowieści Estabrooka budziły jego największe wątpliwości: postać zabójcy (pana Pie, który znikąd pojawił się w tej historii) oraz - nawet w większym stopniu - osoba pośrednika, który ich sobie przedstawił. Wszystkie media żerowały na jego zgonie przez ostatnie kilka dni.

Estabrook miał rację. List, który Chant mu zostawił, był kompletnie niezrozumiały, przypominał mieszaninę profesorskiej retoryki i majaczeń palacza opium. Sam fakt, że Chant, przeczuwając swoją tragiczną śmierć (to przynajmniej trzymało się kupy), postanowił spisać ten stek bzdur i przedstawić go jako informacje najwyższej wagi, dowodził poważnych zaburzeń umysłowych. Jak bardzo musiał być szalony

człowiek, który - tak jak Estabrook - zadawał się z kimś takim? A idąc dalej tym tropem: czy Gentle nie był największym wariatem z nich wszystkich, skoro dał się przekonać pracodawcy Chanta?

Jednakże w całej tej płątaniu fantazji i niedorzeczności liczyły się tylko śmierć i Judith, obie jak najbardziej realne. Śmierć dopadła Chanta w zrujnowanym domu w Clerkenwell, to było jasne. Judith, nieświadoma złowrogiemu planu męża, prawdopodobnie miała być kolejną ofiarą. Gentle miał proste zadanie - nie dopuścić do tego.

*

Niedługo po piątej nowojorskiego czasu zameldował się w hotelu na rogu Pięćdziesiątej Drugiej i Madison. Z okna na czternastym piętrze miał widok na całe centrum miasta, ale nie było się czym zachwycać. Rzęsisty deszcz, który w każdej chwili mógł zmienić się w śnieg, zaczął padać już podczas drogi z lotniska Kennedy'ego; prognozy zapowiadały dalsze oziębienie. Szary półmrok, dźwięk klaksonów i pisk hamulców na skrzyżowaniu pod hotelem świetnie pasowały do nastroju Gentle'a. Czuł się w Nowym Jorku obco. Kiedyś tak jak w Londynie miał tu przyjaciół, ale wszystkich stracił. Jedyna twarz, jakiej zamierzał teraz tu szukać, należała do Judith.

Nie było sensu zwlekać z rozpoczęciem poszukiwań. Zamówił kawę do pokoju, wziął prysznic, wypił kawę, włożył najgrubszy sweter, skórzaną kurtkę, sztruksy i ciężkie buty - i wyszedł. Taksówek było jak na lekarstwo, więc po dziesięciu minutach czekania pod rozpiętą nad wejściem markizą postanowił przejść się kawałek pieszo. Może po drodze złapie taksówkę. W każdym razie chłodne powietrze na pewno rozjaśni mu w głowie. Kiedy różnym krokiem dotarł do Siedemdziesiątej, deszcz ze śniegiem zelżał i przeszedł w drobną mżawkę. Dziesięć przecznic dalej Judith zajmowała się jakimiś wieczornymi sprawami - kąpała się pewnie albo stroiła przed wyjściem.

Dziesięć przecznic, minuta na przecznicy. Dziesięć minut później stał pod jej domem.

Od czasu napadu Marlin zrobił się troskliwy, jak przykładowy mąż, który zdradza żonę. Mniej więcej co godzina dzwonił do Judith z biura; kilka razy proponował jej wizytę u psychoanalityka albo przynajmniej spotkanie z którymś ze swoich licznych przyjaciół, których napadnięto na Manhattanie. Odmówiła. Pod względem fizycznym czuła się całkiem dobrze, jej psychika też chyba nie ucierpiała. Słyszała wprawdzie, że ofiary napaści reagują czasem z opóźnieniem, między innymi depresją i bezsennością, ale na razie ani na jedno, ani na drugie nie mogła się uskarżać. Nie spała po nocach tylko dlatego, że cała sprawa wyglądała tak tajemniczo. Kim był człowiek, który znał jej imię? Przeżył wypadek, z którego nie miał prawa wyjść cało, w dodatku potem uciekł zdrowemu, sprawnemu mężczyźnie. Dlaczego przybrał twarz Johna Zachariasza? Dwa razy zaczynała już opowiadać Marlinowi o spotkaniu przed Bloomingdales - i dwa razy w ostatniej chwili zmieniała temat, niezdolna stawić czoła jego łagodnej pobłażliwości. Sama musiała rozwikłać tę zagadkę. Gdyby tak szybko się nią z kimś podzieliła - a może gdyby w ogóle kogoś dopuściła do tajemnicy - rozwiązanie mogło wymknąć się na dobre.

Na razie najbezpieczniej czuła się w mieszkaniu Marlina. Na portierni zmieniali się dwóch ludzi, Sergio siedział tam za dnia, Freddy dyżurował nocą. Marlin dokładnie opisał im napastnika i zakazał wpuszczać wszelkich obcych na drugie piętro bez zgody pani Odell. Nawet gdyby zaprosiła kogoś na górę, portierzy powinni towarzyszyć gościowi do samych drzwi mieszkania, a gdyby pani Odell nie zechciała jednak się z nim widzieć, mieli odprowadzić go do wyjścia. Dopóki siedziała za zamkniętymi drzwiami, nic jej nie groziło.

Tego wieczoru Marlin miał zostać w pracy do dziewiątej, potem planowali późną kolację w restauracji. Postanowiła poświęcić trochę czasu na porządki i pakowanie prezentów nagromadzonych podczas wypadów na Piątą Aleję. Dla osłody naląła sobie wina i puściła muzykę. Kolekcja płyt Marlina składała się głównie z miłosnych piosenek z czasów jego młodości, czyli lat sześćdziesiątych, co bardzo jej odpowiadało. Słuchając pościelowego soulu i sącząc mocno schłodzone sauvignon, niespiesznie grzebała w ozdobnych papierach i wstążkach. Chwilami wstawiała od tego bałaganu i wyglądała przez okno. Szyby zachodziły mgiełką, ale nie przecierała ich, zadowolona, że obraz świata rozmywa się jej przed oczami. Dziś wieczór nie miała ochoty go oglądać.

Kiedy Gentle dotarł do skrzyżowania, w oknie na drugim piętrze dostrzegł kobietę, która patrzyła w dół, na ulicę. Przyglądał się jej przez chwilę, aż niedbały gest, jakim odrzuciła włosy z karku, pozwolił mu ją rozpoznać. Judith. Nie odwróciła się od okna, tak jakby w pokoju nikogo poza nią nie było. Popijając z kieliszka, poprawiała włosy i oglądała Nowy Jork w wieczornym deszczu. Gentle myślał dotąd, że łatwo będzie mu się z nią spotkać twarzą w twarz, ale teraz, gdy obserwował ją z oddali, zrozumiał, że się mylił.

Kiedy pierwszy raz ją zobaczył - ile to już lat minęło? - nie wiedział, co się z nim dzieje. Spanikował, nogi zrobiły mu się miękkie. Próbując ją potem uwieść, jednocześnie składał jej hołd i mścił się; chciał zapanować nad kobietą, mającą nad nim władzę. Wymykała się wszelkiej racjonalnej analizie, wciąż nie rozumiał jej istoty. Naturalnie, była czarująca, ale znał wiele kobiet nie mniej uroczych od niej, a przy żadnej nie wpadał w panikę. Co takiego miała w sobie, że zarówno wtedy, jak i teraz wprawiała go w takie zmieszanie? Przyglądał się jej do chwili, gdy cofnęła się od okna, a później patrzył w puste okno. W końcu jednak miał dość tego widoku i przejmującego, kąsającego w stopy zimna. Musiał się jakoś zabezpieczyć - przed chłodem i przed tą kobietą. Przeszedł kawałek na wschód, do pierwszego z brzegu baru, gdzie wypił dwa burbony. Z całego serca żałował, że jest uzależniony od kobiet, a nie od alkoholu.

*

Na dźwięk obcego głosu Freddy, nocny portier, mruknął coś niechętnie i wynurzył się z przytulnego kąta obok szybu windy. Za żelazną kratką i pancernym szkłem frontowych drzwi majaczyła niewyraźna sylwetka. Nie widział twarzy, ale na pewno nie znał tego człowieka, co było dość niezwykle. Pracował w tym budynku od pięciu lat i znał z imienia większość gości, jacy odwiedzali jego stałych mieszkańców. Pomrukując, przeszedł przez wyłożony lustrami korytarz. Ujrawszy swoje odbicie, wciągnął brzuch, po czym zmarzniętymi palcami otworzył zamek w drzwiach. Kiedy je uchylił, zrozumiał swój błąd. Mimo że od lodowatego podmuchu pociekły mu łzy i przesłoniły twarz gościa, znał go doskonale. Jak mógł nie poznać własnego brata? Właśnie miał do niego zadzwonić i zapytać, co słyhać w Brooklynie, gdy usłyszał pukanie i głos za drzwiami.

- Co ty tu robisz, Fly?

Fly uśmiechnął się, odsłaniając niekompletne uzębienie.

- Pomyślałem, że wpadnę cię odwiedzić.

- Jakież kłopoty?

- Nie, nie, wszystko gra.

Mimo oczywistego świadectwa zmysłów Freddy czuł jakiś niejasny niepokój. Cień na progu, podmuch wiatru, sam fakt, że Fly się tu zjawił, chociaż w powszedni dzień nigdy nie zaglądał do centrum... Jakieś nieuchwytnie przeczucie nie dawało mu spokoju.

- To czego chcesz? Nie powinieneś tu przychodzić.

- No, ale przyszedłem. - Fly wyminął Freddy'ego i wszedł do hallu. - Myślałem, że się ucieszysz na mój widok.

Freddy puścił drzwi, które zamknęły się automatycznie. Wciąż nie mógł zebrać myśli, jakby śnił. Nie potrafił zrozumieć, skąd się biorą jego wątpliwości i co Fly ma z nimi wspólnego.

- Chyba się trochę rozejrzę - oznajmił Fly, kierując się w stronę windy.

- Zaczekaj! Tam nie wolno!

- Czego nie wolno? Co ty myślisz, że ja chcę podpalić tę chałupę?

- Powiedziałem: nie! - powtórzył z naciskiem Freddy. Nie bacząc na fakt, że wzrok znów miał mętny, zagroził bratu drogę do windy. Łzy spłynęły mu na policzki i kiedy podniósł wzrok, ujrzał wyraźnie twarz intruza. - Ty nie jesteś Fly!

Chciał się cofnąć do portierni, gdzie trzymał broń, ale przybysz był szybszy. Złapał go i lekko skręciwszy rękę w nadgarstku, cisnął nim przez cały korytarz. Freddy krzyknął głośno, ale nikt nie mógł mu przyjść z pomocą. Strażnik nie miał strażnika. Był już trupem.

Stojący po drugiej stronie ulicy, skulony dla ochrony przed wiatrem Gentle (który dosłownie przed chwilą wrócił na swój posterunek), dostrzegł portiera czołgającego się po korytarzu. Przebiegł na drugą stronę, wymijając jadące samochody, i ujrzał, jak jakiś człowiek wsiada do windy. Grzmotnął pięścią w drzwi i zaczął krzyczeć, żeby wyrwać portiera z otępienia:

- Otwieraj! Na miłość boską, otwieraj, człowieku!

Dwa piętra wyżej Judith usłyszała krzyki, wzięła je za kłótnię rodzinną i - nie chcąc, żeby czyjeś małżeńskie nieporozumienia zepsuły jej dobry humor - wstała do

gramofonu, żeby nastawić głośniej. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam?

Pukanie powtórzyło się, ale nikt nie odpowiedział. Ściszyła muzykę i podeszła do drzwi, które wcześniej uczciwie pozamykała. Pod wpływem wina zrobiła się jednak nieostrożna. Niezdarnym ruchem zdjęła łańcuch i zaczęła otwierać drzwi, zanim pojawiły się pierwsze wątpliwości.

Za późno. Stojący za drzwiami człowiek natychmiast wykorzystał jej wahanie. Pchnął drzwi, które uderzyły o ścianę, i rzucił się na nią z szybkością samochodu, pod kołami którego powinien był zginąć dwie noce wcześniej. Po ranach, od których cały zalał się krwią, zostały ledwie widoczne blizny; w jego ruchach nie było znać żadnych obrażeń. Musiał w cudowny sposób się uleczyć. Tylko jego twarz przypominała tamtą noc. Była tak samo zagubiona i zboląta - nawet w tej chwili, gdy zamierzał zabić Judith - jak wtedy, gdy napadł na nią na ulicy. Zatkanął jej dłonią usta.

- Proszę - powiedział.

Jeżeli prosił ją, żeby szybko umarła, to miał pecha. Zamachnęła się kieliszkiem, celując mu w twarz, ale wyrwał go jej z ręki.

- Judith! - powiedział.

Na dźwięk swojego imienia przestała się szarpać. Cofnął dłoń z jej ust.

- Skąd wiesz, jak się nazywam, do kurwy nędzy?

- Nie chcę cię skrzywdzić - odparł.

Miał miły, ciepły głos i pachnący pomarańczami oddech. Przyszedł jej do głowy niewyobrażalnie perwersyjny pomysł, ale natychmiast wyrzuciła go ze swoich myśli. Ten człowiek przyszedł ją zabić, a teraz próbował ją zagadać i uciszyć, zanim spróbuje ponownie.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Muszę ci powiedzieć...

Nie odsunął się od niej, ale i nie dokończył zdania. Kątem oka dostrzegła za jego plecami jakiś ruch. Zauważył to i odwrócił się w samą porę, żeby dostać pięścią w twarz. Zachwiał się, ale nie upadł: płynnie, z gracją tancerza baletowego zaatakował. Teraz dopiero Judith się zorientowała, że to nie Freddy przybył jej z odsieczą, lecz Gentle. We własnej osobie. Po ciosie napastnika zatoczył się na ścianę, aż książki pospadały z półek.

Zanim intruz zdążył mu sięgnąć do gardła, Gentle uderzył go w korpus. Musiał trafić w jakiś czuły punkt, bo napastnik cofnął się i pierwszy raz spojrzął mu w oczy.

Na jego twarzy, do tej pory wyrażającej głównie ból, odbił się strach, nabożny szacunek, a przede wszystkim jakieś uczucie, którego Judith nie potrafiła nazwać. Sapiący ciężko Gentle nie zwrócił na to uwagi, tylko odepchnął się od ściany, by ponowić atak. Napastnik był jednak szybszy. Wybiegł z mieszkania. Upewniwszy się, że Judith nic się nie stało, Gentle rzucił się za nim w pościg.

*

Znów zaczął padać śnieg i szaro-biała zasłona rozdzielała Gentle'a i Pie. Napastnik, mimo że trochę poobijany, poruszał się bardzo szybko, ale Gentle był zdecydowany nie dać mu uciec. Przebiegł za nim przez Park Avenue i skręcił na zachód w Osiedzię, ślizgając się na mokrym chodniku. Ścigany dwukrotnie obejrzał się przez ramię; za drugim razem wydawało się, że nieco zwolnił, jakby chciał się zatrzymać i zaproponować zawieszenie broni, ale zaraz przemyślał sprawę i przyspieszył. Biegł w stronę Central Parku i Gentle wiedział, że jeśli pozwoli mu się tam schronić, przegra. Wykrzesał z siebie resztki sił i zbliżył się do intruza na odległość wyciągniętej ręki. Kiedy jednak próbował go chwycić, pośliznął się i upadł na twarz, młócąc bezradnie ramionami. Trochę go zamoczyło. Kiedy otworzył oczy i poczuł w ustach ostry smak krwi, spodziewał się ujrzeć, jak napastnik znika wśród drzew parku, tymczasem niezwykle pan Pie stał przy krawężniku i przyglądał mu się ze współczuciem.

- Nie ścigaj mnie - powiedział.

- To daj... jej... spokój... kutasie - wysapał Gentle, wiedząc, że w obecnym stanie do niczego go nie zmusi.

Tym bardziej zdziwiła go odpowiedź.

- Dobrze. Tylko proszę... błagam, zapomnij, że mnie widziałeś. Mówiąc to, cofnął się i oszołomiony Gentle nie zdziwiłby się zbytnio, gdyby napastnik rozpułnął się w ciemności niczym duch.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Nazywam się Pie'oh'pah - odparł intruz głosem równie miękkim i delikatnym jak brzmienie tych trzech sylab.

- Ale kim jesteś?

- Nikim i niczym.

Pie zrobił następny krok w tył, potem kolejny, jeszcze jeden. Oddzielała ich coraz grubsza kurtyna mokrego śniegu. Gentle zaczął iść za nim, ale od upadku bolały go wszystkie kości. Wiedział, że nie ma szans, brnął jednak naprzód. Przystanął na krawężniku Piątej Alei - Pie w tym czasie przeszedł na drugą stronę. Ulica była pusta, lecz Pie podniósł głos, jakby przekrzykiwał szum wzburzonej rzeki:

- Wracaj już. A jeśli chcesz iść za mną, przygotuj się...

Było to absurdalne, ale Gentle też zachowywał się tak, jakby oddzielała ich spieniona kipiela.

- Na co?! - krzyknął.

Pie pokręcił głową. Mimo dzielącej ich odległości i niesionego wiatrem śniegu Gentle widział, ile jest w jego rysach rozpacz i niepewności. Nie rozumiał, dlaczego na widok tej twarzy żołądek podchodzi mu do gardła. Zszedł z krawężnika, zanurzył stopę w wymaglinowanej rzece. Na twarzy zabójcy zaszła nagła zmiana, rozpacz ustąpiła niedowierzaniu, a potem przerażeniu. Gdy Gentle znalazł się na środku jezdni, Pie zaczął coraz gwałtowniej kręcić głową i z jego piersi dobył się dziwny szloch. Znow się cofnął, jakby miał nadzieję, że zaraz stanie się niewidzialny. Jeżeli magia istniała na świecie, a w taką noc Gentle byłby skłonny w to uwierzyć, Pie nie był w niej mistrzem. Nieznajomość magii nadrabiał szybkością. Zanim Gentle znalazł się na drugim brzegu rzeki, Pie'oh'pah przeskoczył mur okalający park, najwyraźniej nie przejmując się tym, co może się znajdować po drugiej stronie. Zrobiłby wszystko, byle tylko zniknąć Gentle'owi z oczu.

Gentle był posiniaczony i przemarznięty. Nie mógł go dalej ścigać. Zanim wrócił do mieszkania Jude - dwie przecznice od parku - przemókł do suchej nitki. Z przylizanymi deszczem włosami, szczękając zębami i krwawiąc z rozbitej wargi, stanął w drzwiach. Nie mógł chyba wyglądać gorzej. Jude czekała w hallu w towarzystwie zakłopotanego portiera. Gdy tylko Gentle się pojawił, podeszła do niego. Zamienili dwa zdania, krótko i konkretnie. Nic ci się nie stało? Nie. Tamten uciekł? Tak.

- Chodź na górę - powiedziała. - Trzeba cię opatrzyć.

3

Spotkaniu Gentle'a i Judy towarzyszyły tak dramatyczne okoliczności, że postanowili tego bardziej nie upiększać i oboje powstrzymywali się od zbyt wylewnego okazywania uczuć. Nie chciał wziąć prysznic, przemył tylko twarz i ręce, ostrożnie wyflukując piasek z ran. Potem przebrał się w suche ubrania z szafy Marlina, mimo że był od niego wyższy i szczuplejszy. Jude zapytała, czy chce, żeby obejrzał go lekarz. Podziękował grzecznie, zapewniając, że nic mu nie będzie. I rzeczywiście na to wyglądało - umyty, w suchym ubraniu, był obolały, ale cały i zdrowy.

- Dzwoniłaś na policję? - zapytał, stojąc w drzwiach do kuchni i patrząc, jak parzy herbatę.

- Nie warto. Od poprzedniego razu wiedzą już o tym facecie. Może później poproszę Marlina, by dał im znać.

- To był jakiś poprzedni raz?

Skinęła głową.

- Nie wiem, czy to cię pocieszy - rzekł - ale ten gość już cię chyba nie będzie niepokoił.

- Dlaczego tak mówisz?

- Wyglądał, jakby miał ochotę rzucić się pod samochód.

- Co specjalnie by mu nie zaszkodziło - zauważyła i opowiedziała mu o zdarzeniu w Village, kończąc relację opisem błyskawicznego ozdrowienia napastnika. - Powinien nie żyć. Zamiast twarzy miał miazgę... Nie wiem, jakim cudem w ogóle się pozbierał. Chcesz cukru albo mleka?

- Kropelkę szkockiej. Marlin pije?

- Nie jest takim koneserem jak ty.

- Gentle alkoholik? Tak mnie przedstawiłaś? - roześmiał się.

- Nie. Właściwie w ogóle cię nie opisywałam - przyznała z wahaniem. - To znaczy, na pewno wspomniałam mu o tobie, ale ty... Sama nie wiem. Jesteś moją wstydliwą tajemnicą.

Wspomnienie spotkania na Parliament Hill sprawiło, że pomyślał o człowieku, który go tu przysłał.

- Rozmawiałaś ostatnio z Estabrookiem?

- A po co?

- Próbował się z tobą skontaktować.

- Nie chcę z nim rozmawiać. - Jude postawiła herbatę na stole w salonie, znalazła butelkę whisky i postawiła ją obok filiżanki. - Częstuj się.

- Ty się nie napijesz?

- Tylko herbaty. I bez whisky mam wystarczający mętlik w głowie. - Wzięła swoją filiżankę i podeszła do okna. - Nic nie rozumiem. Skąd się tu wzięłeś?

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało melodramatycznie, ale chyba naprawdę powinnaś usiąść, nim zaczniemy rozmawiać.

- Po prostu powiedz mi, co jest grane. Od jak dawna mnie śledzisz?

- Kilka godzin.

- Wydawało mi się, że widziałam cię już parę dni temu.

- To niemożliwe. Dziś rano wyleciałem z Londynu.

Zdziwiła się.

- Co wiesz o człowieku, który usiłuje mnie zabić?

- Powiedział, że nazywa się Pie'oh'pah.

- Gównu mnie obchodzi, jak się nazywa. - Nareszcie przestała udawać, że ta sprawa właściwie jej nie dotyczy. - Kto to jest? Dlaczego chce mi zrobić krzywdę?

- Został wynajęty.

- Słucham?

- Ktoś mu za to zapłacił. Estabrook.

Judith wzdrygnęła się. Herbata chlapnęła na dywan.

- Zapłacił mu? Wynajął go, żeby mnie zabił? Nie wierzę. To jakiś obłąd.

- On ma obsesję na twoim punkcie, Jude. W ten sposób chce sobie zagwarantować, że nie będziesz z nikim innym.

Podniosła filiżankę od ust. Trzymała ją w obu rękach. Knykcie jej zbieleły, aż dziw, że porcelana nie pękła.

- Nie wierzę - powtórzyła głosem wypranym z emocji.

- Chciał cię ostrzec. Wynajął tego faceta, ale zmienił zdanie.
- Skąd ty to wszystko wiesz?
- Przysłał mnie, żebym powstrzymał mordercę.
- Ciebie też wynajął?

Przykro było to słyszeć z jej ust, lecz przytaknął. Tak, był kolejnym najemnikiem. Tak jakby Estabrook poszczuł Judith dwoma psami, jeden niósł jej śmierć, drugi życie. Ślepy los miał zdecydować, który pierwszy ją dopadnie.

- Może jednak się napiję - stwierdziła Judith i podeszła do stołu.

Gentle wstał, żeby napełnić jej szklanę, ale wystarczyło, że się poruszył, by stanęła jak wryta. Zdał sobie sprawę, że się go boi. Wyciągnął do niej rękę z butelką.

- Chyba powinienes już iść - powiedziała. - Marlin niedługo wróci. Wolałabym, żebyś...

Rozumiał jej zdenerwowanie, ale ubodła go ta nagła zmiana tonu. Kiedy obolały włókł się do niej w śniegu i mrozie, miał cichą nadzieję, że z wdzięczności przytuli go albo chociaż powie kilka ciepłych słów, na dowód tego, że jeszcze coś do niego czuje. Ale jako wspólnik Estabrooka nie był jej wybawicielem, lecz wysłannikiem wroga.

- Jeśli tego chcesz...
- Właśnie tego chcę.
- Mogę mieć jedną prośbę? Jeżeli powiesz policji o Estabrooku, spróbuj mnie w to nie mieszać.

- Niby dlaczego? Znowu pracujesz dla Kleina?
- Nie wchodźmy w szczegóły. Po prostu udawaj, że mnie tu nie było.

Wzruszyła ramionami.

- To się chyba da zrobić.
- Dzięki. Gdzie moje ubranie?
- Jeszcze nie wyszło, więc lepiej zostań w tym, co masz.
- Wolałabym nie. - Nie mógł sobie darować małej uszczypliwości: - Nie wiadomo, co by sobie Marlin pomyślał.

Nie zareagowała, ale pozwoliła mu się przebrać. Ubranie znalazł na kaloryferze w łazience. Trochę się rozgrzało, lecz gdy poczuł na skórze jego wilgoć, pożałował swojego uporu i zamarzył o suchych ciuchach nieobecnego kochanka Judith. Cóż, postanowił być

twardy. Przebrał się, a kiedy wrócił do salonu, Judith stała przy oknie, jakby oczekując powrotu napastnika.

- Mówiłeś, że jak się nazywa?

- Pie'oh'pah. Coś w tym guście.

- Co to za język? Arabski?

- Nie wiem.

- Wspomniałeś mu o tym, że Estabrook zmienił zdanie? Powiedziałeś, żeby zostawił mnie w spokoju?

- Nie miałem okazji - odparł niepewnie.

- Czyli może tu jeszcze wrócić?

- Już mówiłem. Nie sądzę, żeby to zrobił.

- Dwa razy próbował. Może właśnie siedzi pod domem i myśli, że do trzech razy sztuka. Jest w nim coś... nienaturalnego, Gentle. Jak to możliwe, żeby rany mu się tak szybko goiły?

- Może nie było z nim tak źle, jak się wydawało?

Nie przekonał jej.

- Takie nazwisko... Powinno go być łatwo namierzyć.

- No, nie wiem... Tacy ludzie... są praktycznie niewidzialni.

- Marlin będzie wiedział co robić.

- To dobrze. Odetchnęła głęboko.

- Powinnam ci chyba podziękować - stwierdziła tonem tak niewdzięcznym, jak to tylko było możliwe.

- Nie ma za co. Jestem najemnikiem. Zrobiłem to dla pieniędzy.

4

Ukryty w cieniu na schodach domu przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Pie'oh'pah patrzył, jak John Furie Zacharias wychodzi od Judith, stawia kołnierz i rozgląda się w poszukiwaniu taksówki. Od bardzo dawna oczy zabójcy nie oglądały tak miłego widoku; wiele się przez ten czas na świecie zmieniło, ale nie ten człowiek. Ułomna pamięć

chroniła go przed przeobrażeniem. Dla siebie był niezmienny - a przez to wieczny. Pie mu zazdrościł. Dla Gentle'a czas był jak obłok gazu, w którym rozpuszczały się krzywdy i samoświadomość; Pie pojmował czas jako worek, do którego każdy dzień i każda godzina dorzucały swój kamień, aż dźwigającemu go człowiekowi grzbiet pękał pod ciężarem. Dopiero dziś w nocy przyszło mu do głowy, że może jednak istnieje dla niego wybawienie. Człowiek, który przemierzał teraz Park Avenue, miał moc naprawiania wszystkiego, co zniszczone i pęknięte - mógł nawet uleczyć duszę Pie. Zwłaszcza ją. Pie nie wiedział, czy to przypadek, czy dyskretne działania Niewidzianego doprowadziły do ich spotkania, ale z pewnością było ono znaczące.

Jeszcze niedawno, przerażony skalą wyłaniających się możliwości, próbował odpędzić Gentle'a, a kiedy mu się nie udało, uciekł. Teraz ten strach wydawał mu się idiotyczny. Czego miał się bać? Zmiany? Powitałby ją z radością. Objawienia? Też by go ucieszyło. Śmierci? Czy zabójca martwi się śmiercią? Przyjdzie, kiedy przyjdzie. Nie było sensu rezygnować przez nią z takiej szansy. Wzdrygnął się. Powiało chłodem. Cała ta epoka była zimna, zwłaszcza dla kogoś takiego jak on. Pie kochał porę roztopów, kiedy słońce mocniej grzało, krew żywiej tętniła w żyłach i nie było rzeczy niemożliwych. Porzucił już nadzieję, że taki czas jeszcze kiedyś nadejdzie. Zbyt wiele zbrodni musiał popełnić w tym ponurym świecie, zbyt wiele złamał serc. Gentle pewnie też. Jaki jednak mieli wybór, jeśli przeznaczone im było sprowadzić na świat wiosnę dla dobra tych, których skrzywdzili i osierocili? Co mogli zrobić, jeżeli ich powinnością było mieć nadzieję? Unikanie tego spotkania stałoby się jeszcze jedną zbrodnią, którą miałby na sumieniu. Czy przez te długie lata samotności stał się tchórzem? Na pewno nie.

Otarł łzy i zszedł ze schodów, kierując się w ślad za znikającą postacią. Odważył się uwierzyć, że nadejdzie jeszcze wiosna, a po niej nastanie lato połączenia.

ROZDZIAŁ 8

Wróciwszy do hotelu, Gentle miał przede wszystkim ochotę zadzwonić do Jude. Nie pozostawiła mu wprawdzie cienia wątpliwości, co do niego czuje, i zdrowy rozsądek podpowiadał, że powinien poczekać, aż emocje same wygasną, ale ten wieczór przyniósł za dużo niespodzianek, żeby tak po prostu się z nich otrząsnąć. Ulice były solidne i materialne jak zawsze, domy miały swoje numery i nazwy, w alejach świeciło się dość latarń, żeby mimo późnej pory czuł się bezpiecznie - a jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że kroczy skrajem jakiegoś nieznanego terytorium i w każdej chwili może do niego przeskoczyć, nie zdając sobie z tego sprawy. A gdyby tak się stało, czy Jude by za nim poszła? Mogła sobie postanowić, że ich ścieżki się już nie przetną, lecz Gentle podejrzewał skrycie, iż ich losy są nierozzerwalnie splecione.

Nie potrafił tego logicznie wytłumaczyć. Przeczucie, na którym się opierał, stanowiło jedną wielką tajemnicę, a on nie był mocny w tajemnicach. Dobrze rozmawiało się o nich po kolacji, kiedy goście, rozleniwieni brandy i światłem świec, przyznawali się do fascynacji, o jakich godzinę wcześniej wstydziliby się powiedzieć. Słyszał, jak zatwardziali racjoniści wyznawali wtedy, że studiują horoskopy w brukowcach; ateiści twierdzili, że objawiały im się niebiańskie istoty; znał opowieści o nadnaturalnym pokrewieństwie dusz i prorocत्वach wygłaszanych na łożu śmierci. Wszystkie go na swój sposób bawiły, tym razem jednak było inaczej. Sam doświadczył czegoś niezrozumiałego - i zaczynał się bać.

W końcu się poddał. Znalazł numer do mieszkania Marlina i zadzwonił. Sam kochaś odebrał telefon. Był zaaferowany, a kiedy Gentle się przedstawił, wściekł się.

- Nie wiem, w co pogrywasz, do ciężkiej cholery...
- To nie jest żadna gra.
- Ale trzymaj się z dala od tego mieszkania...
- Nie zamierzam...
- ...bo jak cię tu spotkam, to przysięgam...

- Czy mogę rozmawiać z Jude?
- Judith nie...
- Jestem przy drugim aparacie - odezwała się Judith.
- Judith! Odłóż słuchawkę! Nie będziesz chyba rozmawiać z tym gnojem!
- Uspokój się, Marlinie.
- Słyszałeś, Mervinie? Uspokój się. Marlin rzucił słuchawkę.
- Strasznie podejrzliwy, co? - odezwał się Gentle.
- Uważa, że to wszystko twoja robota.
- Powiedziałaś mu o Estabrooku?
- Na razie nie.
- Chcesz wszystko zwalić na najemnika, co?
- Posłuchaj, żałuję tego, co powiedziałam. Miałam mętlik w głowie. Gdyby nie ty, może już bym nie żyła.
- Żadne „może”. Nasz przyjaciel, pan Pie, to konkretny gość.
- Konkretny, ale wcale nie jestem przekonana, że chciał mnie zamordować.
- Przecież próbował cię udusić, Jude!
- Tak? A może tylko uciszyć? Miał taki dziwny wyraz twarzy...
- Chyba powinniśmy się spotkać i porozmawiać. Może urwałabyś się swojemu kochasiowi na późnego drinka? Przyjadę po ciebie pod dom, nic ci się nie stanie.
- To chyba nie jest dobry pomysł. Muszę się spakować. Jutro wracam do Londynu.
- Planowałaś to wcześniej?
- Nie. Po prostu w domu będę się czuła bezpieczniej.
- Mervin leci z tobą?
- Marlin. Nie, zostaje.
- Prawdziwy dureń z niego.
- Słuchaj, muszę kończyć. Dzięki, że o mnie pomyślałeś.
- To nie boli. Gdybyś przez noc poczuła się samotna...
- Nie poczuję się.
- Nigdy nic nie wiadomo. Zatrzymałem się w „Omni”, pokój sto trzy. Jest tu podwójne łóżko.
- To się wygodnie wyśpisz.

- Będę myślał o tobie. - Zawahał się i dodał: - Cieszę się, że się spotkaliśmy.
- Cieszę się, że się cieszysz.
- A ty nie?
- Ja muszę się spakować. Dobranoc, Gentle.
- Dobranoc.
- Baw się dobrze.

*

Miał mało rzeczy, więc szybko się spakował i zamówił skromną kolację - dużego sandwicza, lody, burbona i kawę. Po powrocie z lodowatych ulic panujące w pokoju ciepło działało rozleniwiająco. Rozebrał się, zasiadł przed telewizorem i nago zjadł kolację, wybierając sobie okruszki jak wszy z włosów łonowych. Zmęczył się jedzeniem, zanim przyszła pora na lody. Jednym haustem wychylił burbona, który natychmiast zaczął działać, i poszedł do łóżka. Telewizor zostawił włączony, ściszył tylko dźwięk, tak że głośnik buczał usypiająco.

Jego ciało i umysł zajęły się swoimi sprawami. Ciało, pozbawione pęt świadomych poleceń, oddychało, trawiło, przewracało się na łóżku i pociło, umysł zaś zaczął śnić. Najpierw o Manhattanie, precyzyjnie odwzorowanym i podanym na talerzu. Później o kelnerze, który szeptem pytał, czy życzy pan sobie nocy. I o nocy, która przyszła pod postacią syropu z jagód rozlanego z wysoka na talerz, kleistymi fałdami pokryła ulice i wieżowce. Gentle spacerował tymi ulicami wśród drapaczy chmur, trzymając za rękę cień. Cieszył się, że ma go przy sobie. Na skrzyżowaniu cień się zatrzymał, odwrócił do niego i przytknął mu delikatny jak puch palec do czoła, jakby właśnie nastał świt środy popielcowej.

Ten dotyk był cudowny. Gentle wysunął język i leciutko polizał nasadę kciuka widmowej dłoni. Cień pogłaskał go znowu, a wtedy Gentle zadrżał z rozkoszy. Zapragnął przeniknąć wzrokiem ciemność i spojrzeć cieniowi w twarz. Z wysiłkiem otworzył oczy. Ciało i umysł znów połączyły się w jedność. Znajdował się w hotelowym pokoju, migotliwa poświata telewizora odbijała się w połyskliwych, półotwartych drzwiach. Obudził się, ale dotyk na czole nie ustał. W dodatku usłyszał podniecające, jedwabiste westchnienie. W pokoju była kobieta.

- Jude?

Położyła mu chłodną dłoń na ustach. Uciszyła jego wątpliwości, zarazem je wyjaśniając. Nie widział jej w mroku, ale resztki niepewności, że mogłaby należeć do świata snów, zniknęły, gdy zsunęła rękę na jego nagą pierś. Wyciągnął ręce, ujął jej twarz w dłonie i zbliżył jej usta do swoich, zadowolony, że ciemność skrywa wyraz satysfakcji na jego twarzy. Przyszła. Wszystkie sygnały, jakie wysyłała, wskazywały na to, że ma go dość, a jednak przyszła - mimo Marlina, niebezpiecznych ulic, późnej pory i gorzkiej historii ich związku. Przyniosła mu do łóżka dar swojego ciała.

Nie widział jej, ale mrok był dla niego jak płótno, na którym malował ją w myślach, doskonale piękną. Pod palcami czuł jej gładkie policzki, chłodniejsze od dłoni, które oparła mu na brzuchu. Ledwie pomyślał o jej języku, już czuł jego smak; kiedy wyobraził sobie jej piersi, położyła na nich jego dłonie; chciał, żeby coś powiedziała, a ona się odezwała (i to jak!), wypowiadając słowa, które tak bardzo chciał usłyszeć, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał:

- Musiałam... - wyszeptwała.

- Wiem. Wiem.

- Wybacz mi...

- Co tu jest do wybaczenia?

- Nie mogę istnieć bez ciebie, Gentle. Należymy do siebie jak mąż i żona.

Kiedy po tak długiej rozłące znów miał ją przy sobie, idea małżeństwa wcale nie wydawała mu się głupia. Może powinien już na zawsze zachować ją dla siebie?

- Wyjdiesz za mnie? - spytał.

- Kiedy indziej mnie o to zapytaj.

- Pytam teraz.

Znów przytknęła mu dłoń do czoła, jakby chciała go namaścić.

- Ciii... Jutro już możesz nie chcieć tego, czego pragniesz w tej chwili.

Otworzył usta, żeby wyrazić swój sprzeciw, ale ta myśl rozplynęła się gdzieś po drodze z mózgu do języka, rozproszona kolistymi ruchami, jakimi Jude gładziła jego czoło. Z miejsca, w którym go dotykała, emanował spokój, spływał w dół, do tułowia, i dalej, aż do czubków palców. Znikał gdzieś ból świeżych sińców. Gentle podniósł ręce nad głowę i przeciągnął się, żeby ta błogość mogła swobodnie przez niego przepływać. Uwolniony od bólu, czuł się jak nowo narodzony. Miał wrażenie, że promienieje

niewidzialną poświatą.

- Chcę być w tobie - powiedział.
- Jak głęboko?
- Do końca.

Próbował wyłowić z mroku jakiś cień reakcji, lecz wzrok go zawiódł. Migotanie telewizora dało mu złudzenie, że dostrzega, jak przez jej ciało przepływa opalizujący blask. Chciał usiąść i odszukać jej twarz, ale już zaczęła się zsuwać w dół łóżka. Sekundę później poczuł jej usta na swoim brzuchu, a potem na żołądki członka. Brała go do ust powoli, po kawałku, bawiąc się z nim językiem, aż do chwili gdy wydawało mu się, że dłużej nie wytrzyma. Kiedy mruknął ostrzegawczo, uwolniła go - i zaraz znów pochłonęła.

Absolutna ciemność potęgowała wrażenia dotykowe. Czuł każde drgnienie jej języka i zębów. Członek, który pieściła tak żarliwie, w jego wyobraźni rósł i rósł, aż zrobił się wielki jak całe jego ciało: miał żylasty tors, ślepa główkę i leżał na jego brzuchu jak na łóżku, cały wilgotny i rozedrgany, podczas gdy połykała go ona, ciemność. Gentle stał się czystą esencją odczuwania, a ona dawcą; rozkosz zniewoliła jego ciało, niezdolne przypomnieć sobie swój początek i wyobrazić, jaki czeka je koniec. Mój Boże, ona naprawdę wiedziała, jak zrobić mu dobrze. Uważała, żeby go nie znużyć powtarzalnością bodźców, a zarazem sprawiała, że napełnione do granic możliwości komórki nabrzmiewały jeszcze bardziej, aż z własnej woli gotów był spłynąć krwią i zginąć, byle tylko dojść.

Następny ledwie uchwytny błysk pozwolił mu wyrwać się spod jej czaru i wrócić do rzeczywistości. Interes skurczył mu się do przeciętnych rozmiarów, ona zaś nie była już ciemnością, lecz ciałem, przez które kolory tęczy zdawały się przepływać falami. Wiedział, że to tylko złudzenie, wytwór stęsknionych światła oczu. Ale iluzja się powtórzyła - rozfalowany blask prześliznął się po jej ciele i zgasł. Złudzenie? Chciał ją wreszcie lepiej zobaczyć. Ściągnął ją z siebie, zaczął rozbierać. Kiedy leżała przed nim na białej pościeli, rozróżniał przynajmniej niewyraźny zarys jej ciała. Poruszyła się, podsunęła pod jego dłoń.

- ...w tobie... - powtórzył, płacząc się w wilgotnych fałdach jej ubrania.

Znieruchomiła, zaczęła równie oddychać. Obnażył jej piersi i sięgnął ręką w dół,

do paska spódnicy, jednak zdążyła się przebrać w dzinsy. Złożyła dłonie na sprzączce paska, jakby broniąc mu dostępu, ale nie zamierzał ani czekać, ani tym bardziej dać się odepchnąć. Ściągnął jej spodnie z bioder, muskając palcami skórę tak gładką, że zdawała się półpłynna. Całe jej ciało składało się z gładkich krzywizn, jak fala, która zaraz go pochłonie.

Pierwszy raz od przyjścia wymówiła jego imię - ostrożnie, niepewnie, jakby bała się, że w tej ciemności jest mniej rzeczywisty.

- Jestem przy tobie - szepnął. - Zawsze.

- Czy chcesz tego?

- Oczywiście - odparł. - Oczywiście.

Położył dłoń na jej sromie.

Kiedy tym razem pojawiła się opalizująca poświata, utrwaliła w umyśle Gentle'a magiczny obraz jej rozłożonych nóg i jego palców prześlizgujących się po wargach sromowych. Gdy blask zniknął, zostawiając po sobie oślepiający powidok, rozległo się natrętne dzwonicie, z początku odległe, ale powtarzające się i coraz bliższe. Telefon, do diabła! Najpierw ze wszystkich sił starał się go zignorować, ale na próżno. Sięgnął ręką do nocnego stolika, gdzie stał aparat, zrzucił słuchawkę z widełek i niezgrabnym ruchem wrócił do kobiety na łóżku. Leżała nieruchomo. Wszedł na nią i wśliznął się do jej jedwabistego wnętrza. Objęła go mocno za szyję i pocałowała. Mimo to słyszał, że powtarza jego imię takim samym pytającym tonem jak przed chwilą. Nie mógł pozwolić, żeby to wspomnienie oderwało jego uwagę od nadciągającej rozkoszy. Znalazł swój rytm, długie, powolne pchnięcia. Pamiętał, że lubiła w nim to, że się nie spieszył. W szczytowym okresie ich związku potrafili się kochać kilkakrotnie od zmierzchu do świtu; pieścili się, drażnili, przerywali, żeby wziąć kąpiel i zaznać przyjemności ponownego podniecenia. To spotkanie nie miało jednak w sobie nic z dawnej delikatności, wbijała mu palce mocno w kark, przyciągając go bliżej przy każdym pchnięciu. Nadal słyszał jej głos, stłumiony, dobiegający przez mgiełkę namiętności.

- Gentle? Jesteś tam?

- Jestem - mruknął.

Wzbierała w nich nowa fala światła. Z każdym ruchem stawało się coraz silniejsze, przepływając po ich ciałach jak widmowa sieć.

- Jesteś tam? - zapytała ponownie.

Jak mogła w to wątpić? Nigdy nie był bardziej obecny; najlepiej pojmował swoją istotę, gdy znajdował się we wnętrzu kobiety.

- Jestem.

A ona znów zapytała. Tym razem, mimo że jego umysł trwał zatopiony w rozkoszy, cichutki głosik zdrowego rozsądku podszeptał mu, że to nie jego partnerka zadaje to pytanie, lecz kobiecy głos w telefonie. Zrzucił słuchawkę z widełek, ale tamta kobieta wciąż domagała się odpowiedzi. Wsłuchał się i poznał - to była Jude. A skoro Jude do niego zadzwoniła, to kogo, kurwa, posuwał?

Kimkolwiek była, zorientowała się, że jej podstęp się wydał. Wbiła palce mocniej w plecy i pośladki Gentle'a i uniosła biodra, wciągając go głębiej w siebie. Zaciśnęła się na jego członku, jakby nie chciała go wypuścić, dopóki nie dojdzie. Panował jednak nad sobą na tyle, żeby się powstrzymać, i wysunął się z niej. Serce miało mu się w piersi jak szalenie zamknięty w celi.

- Kim jesteś, do diabła?! - ryknął.

Czuł ciepło i nacisk jej dłoni, które jeszcze przed chwilą tak go podniecały, a teraz tylko drażniły. Strząsnął je i sięgnął do wyłącznika nocnej lampki. Złapała go za członek i poruszyła dłonią w dół i w górę. Zrobiła to tak przekonująco, że miał ochotę w nią wrócić, pogodzić się z jej anonimowością i w ciemności zaspokoić resztki żądy. Przytknęła usta do miejsca, w którym trzymała rękę, i zaczęła go ssać. W sekundę odzyskał poprzednią twardość.

Z telefonu dobiegło monotonne buczenie. To Jude porzuciła próby nawiązania z nim kontaktu. Może słyszała jego chrapliwy oddech i wypowiedane w mroku czułe słówka. Na tę myśl ogarnął go gniew. Ujął głowę kobiety w dłonie i odsunął od siebie. Co go opętało, że zapragnął kogoś, kogo nawet nie widział? Jaka dziwka mogła w ten sposób zdobywać klientów? Zasyfiona? Okaleczona? Szurnięta? Musiał ją zobaczyć. Mogła być odrażająca, ale musiał ją zobaczyć!

Drugi raz sięgnął do lampki. Poczuł, jak łóżko się zatrzęsło, gdy wiedźma zaczęła zbierać się do ucieczki. Nie mogąc namacać wyłącznika, niechcący ściągnął lampkę z haka. Nie rozbiła się, lecz odwróciła do góry nogami i rzuciła na pokój łagodną, odbitą od sufitu poświatę. Nagle zdjął go lęk, że dziwka może się na niego rzucić. Ona jednak

chwyciła swoje ubranie z pościeli i znajdowała się już przy drzwiach sypialni. Jego oczy zbyt nawykły do ciemności i majaków, nie umiał sobie poradzić z rzeczywistością. Na wpół ukryta w cieniu kobieta była kłębowiskiem ruchliwych form - rozmazana twarz, rozciągnięte w smugi ciało, pulsujące, opalizujące kolory, które wolno przepływały od stóp do głowy. Jedyny niezmienny element tego chaosu stanowiły jej oczy, bezlitośnie utkwione w Gentle'u. Przetarł twarz dłonią w nadziei, że miraż się rozwieje.

Wykorzystała tę chwilę, by otworzyć drzwi. Zeskoczył z łóżka, zdecydowany za wszelką cenę przejrzeć iluzję i poznać okrutną rzeczywistość, z którą kopulował, ale kobieta już wybiegała z pokoju.

Nie wiedział, jaka moc wypacza jego zmysły, ale chwytając kobietę za ramię, wystawił ją na próbę. Wzburzone fragmenty jej twarzy układały się jak elementy trójwymiarowych puzzli, przesuwały się i wskakiwały na swoje miejsca, ukrywając niezliczone inne konfiguracje - niezwykle, paskudne, potworne, oszałamiające - pod powłoką harmonijnej rzeczywistości. Rysy twarzy uspokoiły się, nabrały wyrazu. Znał ją. Znał to okolone lokami, idealnie symetryczne oblicze, rany, które zbliżniały się z nadnaturalną szybkością, wargi, które kilka godzin wcześniej opisywały swojego właściciela jako nic i nikogo.

Kłamały. To „nic” grało co najmniej dwie role: zabójcy i dziwki; ten „nikt” miał imię. - Pie'oh'pah!

Gentle puścił jego rękę, jakby była wysmarowana trucizną. Stojąca przed nim postać nie rozmyła się ponownie. Wszystkie erotyczne wizje, których doświadczył po ciemku - twarz Judith, jej piersi, brzuch, srom - okazały się złudzeniem. Istota, z którą się połączył, w którą prawie się spuścił, nie była nawet kobietą.

Gentle nie zaliczał się ani do hipokrytów, ani do purytanów. Zanadto uwielbiał seks, żeby potępiać jakiegokolwiek sposoby zaspokajania żądzy, i choć odrzucał homoseksualne zaloty, których obiektem bywał, robił to nie z odrazy, lecz z obojętności. Teraz doznał szoku po prostu dlatego, że tak dał się nabrać.

- Co ty ze mną zrobiłeś? - wykrztusił. - Co ty ze mną zrobiłeś?

Pie'oh'pah przyglądał mu się nieporuszony. Musiał zdawać sobie sprawę, że nagość jest dla niego najlepszą obroną.

- Chciałem cię uleczyć - odparł. Głos mu drżał, ale brzmiał jak upojna muzyka.

- Nafaszerowałeś mnie jakimś świństwem!

- Nie!

- Jak to nie?! Wziąłem cię za Judith, a ty pozwoliłeś, żebym tak myślał! - Gentle spuścił wzrok na swoje dłonie, a potem przeniósł go na stojące przed nim szczupłe, mocne ciało. - Czułem ją, nie ciebie. Co ty ze mną zrobiłeś? - powtórzył żałośnie.

- Dałem ci to, czego chciałeś.

Na to Gentle nie znalazł odpowiedzi - w pewnym sensie Pie'oh'pah miał rację. Zmarszczył brwi i powąchał sobie dłonie, szukając w pocie woni narkotyku, ale poczuł tylko ciężką woń seksu i nagrzanego łóżka.

- Odeśpisz to - pocieszył go Pie'oh'pah.

- Wypierdalaj stąd! A jeśli jeszcze raz zbliżysz się do Jude, przysięgam...

Przysięgam, że rozszarpie cię na strzępy.

- Masz na jej punkcie obsesję, co?

- Nie twój interes, kutasie.

- Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Stuł pysk!

- Uwierz mi, będziesz tego żałował.

- Nie słyszałeś?! - ryknął Gentle. - Zamknij ten swój zasrany ryj.

- Ona nie należy do ciebie.

Gentle wpadł w szal, złapał go za gardło. Pie'oh'pah wypuścił ubranie z rąk, odsonił się całkowicie, ale się nie bronił, tylko położył Gentle'owi dłonie na ramionach. Gentle wściekł się jeszcze bardziej. Bluznął obelgami, wbił mu kciuki w gardło, chcąc zmiażdżyć tchawicę. Pie'oh'pah ani się nie opierał, ani nie osuwał na ziemię. Stał wyprostowany jak święty w obliczu męczeńskiej śmierci.

W końcu Gentle, wykończony własnym gniewem i bezsilnością, odepchnął go od siebie z przesądnym lękiem. Dlaczego ten facet nie padł trupem ani nie próbował się bronić? Wszystko byłoby lepsze niż ta ohydna bierność.

- Wynoś się - powiedział Gentle.

Pie nie ruszył się z miejsca. Patrzył na niego łagodnie.

- Pójdiesz sobie wreszcie? - Gentle zniżył głos. Tym razem męczennik zareagował:

- Jeśli chcesz.

- Chcę.

Pie'oh'pah pochylił się i zebrał ubranie z podłogi. Jutro jakoś to sobie w głowie poukładam, pomyślał Gentle. Wysram ten obłąd z mózgu i będę mógł całą historię - o Jude, pościgu i o tym, jak uwiódł mnie płatny zabójca - opowiedzieć Kleinowi, Clemowi i Taylorowi, kiedy wrócę do Londynu. Rozbawi ich.

Kiedy zdał sobie sprawę, że jest nagi, odwrócił się do łóżka i owinął prześcieradłem. To była dziwna chwila. Ten drań ciągle stał w jego sypialni i patrzył na niego, a on mógł tylko czekać, aż wyjdzie. Dziwna, bo przypominała inne sypialniane rozstania - skłębiona pościel, stygnący pot, wstyd i poczucie winy oddzielające go od niechętnych spojrzeń. Czekał i czekał, aż w końcu trzasnęły drzwi. Nawet wtedy nie odwrócił się, lecz nasłuchiwał, by upewnić się, że w pokoju rozbrzmiewa tylko jeden oddech. Kiedy wreszcie przekonał się, że Pie'oh'pah zniknął, udrapował prześcieradło na sobie jak togę, osłaniając się przed pustką sypialni, która za bardzo przypominała jego spokój ducha. Zamknął drzwi apartamentu na klucz i płacząc się w todze, wrócił do łóżka. W głowie buczał mu sygnał z telefonu.

ROZDZIAŁ 9

1

Oscar Esmond Godolphin zawsze odmawiał krótką modlitwę ku czci demokracji, gdy wracał z dominiów na angielską ziemię, mimo że wyprawy te były niezwykle, a on sam - mile widziany w wielobarwnych kesaratach Yzordderrex. W tym mieście-państwie panowała autokracja tak surowa, że bladły przy niej wszystkie represje państwowe, jakich dopuszczał się jego rodzinny kraj. Zwłaszcza ostatnio. Miał w Drugim Dominium bliskiego przyjaciela i partnera w interesach, Heberta Nuits-St-Georges, przez znajomych nazywanego Peccable. Peccable był kupcem, robił znakomite interesy na przesądnych i nieszczęśliwych mieszkańcach Drugiego Dominium. Regularnie narzekał, że w Yzordderrex szerzy się chaos, prawo słabnie z każdym dniem i niedługo będzie zmuszony opuścić miasto, może wręcz wynieść się z dominium i znaleźć sobie nowy dom gdzieś, gdzie otwierając rankiem okna nie będzie czuł smrodu palonych ciał. Na razie tylko narzekał, a Godolphin znał go na tyle, by wiedzieć, że dopóki źródło dostaw bożków, relikwii i juju z Piątego Dominium nie wyschnie, Peccable nie ruszy się z miejsca. A ponieważ to Godolphin dostarczał mu towar (w większości zwykle ziemskie drobiazgi, cenione w dominiach wyłącznie ze względu na pochodzenie) i nie zamierzał się wycofać, bo namiętnie kolekcjonował wytwory mieszkańców Imajiki, na które wymieniał bibeloty z Ziemi - interes Peccable'a kwitł. Żaden z nich nie znudzi się szybko handlem talizmanami.

Godolphina nie nudził też żywot Anglika w najbardziej nieangielskim z miast. W małym, lecz wpływowym kręgu znajomych wszyscy natychmiast go rozpoznawali. Był pod każdym względem człowiekiem wielkim - wysoki, z okazałym brzuszyskiem, zarazem porywczy i układny, serdeczny i nieuprzejmy. Miał pięćdziesiąt dwa lata, dawno stworzył swój niepowtarzalny styl i czuł się z nim świetnie. Fakt, ukrywał potrójny

podbródek pod ciemną, siwiejącą brodą, którą przycinać mogła tylko Hoi-Polloi, najstarsza córka Peccable'a. Prawdą było też, że nosił okulary w srebrnych oprawkach, żeby trochę mądrzej wyglądać; prawie ginęły na jego ogromnej twarzy i nie dodawały mu uroku, ale - jego zdaniem - tym bardziej mógł się kojarzyć z profesorem. Takie drobne sztuczki pozwalały mu wyróżniać się z tłumu, co lubił. Przerzedzone włosy obcinał krótko, nosił wysokie kołnierzyki i prążkowane koszule do gładkich tweedowych marynarek. Zawsze miał krawat, obowiązkowo kamizelkę. Doprawdy, trudno byłoby go nie zauważyć - i o to mu właśnie chodziło. Nic go tak nie cieszyło, jak fakt, że ludzie o nim mówią. A zwykle mówili dobrze.

Teraz jednak się nie uśmiechał. Wyszedł z pawilonu - eufemistycznie nazywanego Azylem - w którym podjęto próbę Pojednania, i zastał Dowda siedzącego na przenośnym stołeczku parę metrów od drzwi. Dopiero niedawno minęło południe, ale słońce zsunęło się już nisko po niebie, a powietrze było równie chłodne jak reakcja Dowda. Właściwie miał ochotę okręcić się na pięcie i wrócić do Yzordderrex, nie bacząc na szykującą się tam rewolucję.

- Mam przecucie, że nie przynosisz wspaniałych wieści. Nie mylę się?

Dowd wstał, jak zwykle poruszając się z teatralną przesadą.

- Obawiam się, że ma pan absolutną rację - przyznał.

- Niech zgaśnie. Rząd upadł! Dom się spalił! - Nagle w oczach Godolphina pojawił się strach. - Chyba nie chodzi o mojego brata? - Z twarzy Dowda nic nie mógł wyczytać.

- Nie o Charliego, prawda? Mów! Nie żyje? Rozległy zawał, tak? Kiedy pogrzeb?

- Spokojnie, żyje. Ale jest z nim pewien problem.

- Jak zwykle. Jak zwykle. Weź towar i moje drobiazgi z pawilonu. Porozmawiamy po drodze. Możesz wejść do środka, nic cię nie ugryzie.

Czekając na Godolphina (czyli przez całe trzy dni, które wlokły się bez końca), Dowd nie zaglądał do Azylu, mimo że mógłby się w nim schronić przed kęsającym mrozem. Był wprawdzie całkowicie nieczuły na takie niewygody, ale uważał się za istotę, która rozumie odczucia innych. Długie lata spędzone na Ziemi nauczyły go pojmować chłód jako koncept intelektualny, jeśli nie fizyczny, i właściwie miał ochotę się przed nim ukryć - gdziekolwiek, byle nie w Azylu. Nie dość że zginęło w nim wielu ezoteryków (a Dowd nie lubił bliskości śmierci, jeśli sam nie był jej sprawcą), to jeszcze był

przystankiem na drodze z Piątego Dominium do czterech pozostałych, w tym jego rodzinnego, z którego został na wieki wygnany. Cierpiałby okrutnie, znalazłszy się tak blisko drzwi prowadzących do domu i nie mogąc ich otworzyć - nie pozwalały mu na to zaklęcia pierwszego właściciela, Joshuy Godolphina. Wolał marznąć.

Teraz jednak wszedł do środka, bo nie miał wyboru. Azyl wybudowano w stylu neoklasycystycznym. Dwanaście marmurowych kolumn wspierało pustą kopułę, która aż się prosiła o dekorację. Surowość przydawała powagi i funkcjonalności wnętrzu będącemu po prostu stacją przesiadkową, zaprojektowaną do obsługi tłumów pasażerów, chociaż obecnie służyła tylko jednemu. Na podłodze, pośrodku mozaiki, która zdawała się stanowić jedyne ustępstwo budowniczych na rzecz upiększenia pawilonu, a w istocie dowodziła prawdziwego celu jej istnienia, znajdował się stosik przywiezionych przez Godolphina pakunków. Hoi-Polloi Nuits-St-Georges opieczętowała je szkarłatnym woskiem. Wosk stał się ostatnio jej ulubioną zabawką i Dowd kłął ją za to w żywy kamień, kiedy przychodziło mu rozsypywać węzły. Przeszedł ostrożnie na środek pawilonu; wiedział, że porusza się po niepewnym terenie. Po chwili wynurzył się jednak z budynku z naręczem skarbów Godolphina, który tymczasem wyszedł już z zagajnika oddzielającego pawilon od domu (opustoszałego, rzecz jasna, i w ruinie). Drzewa zasłaniały też pawilon przed spojrzzeniami przypadkowych ciekawskich, którzy wspiełliby się na mur. Dowd odetchnął głęboko i ruszył w ślad za mistrzem. Czekają go nieprzyjemne wyjaśnienia.

2

- Wezwali mnie do siebie, tak? - powtórzył Oscar, gdy wracali do Londynu. Ruch na drodze nasilał się, jak zwykle pod wieczór. - No to sobie poczekają.

- Nie powiadomi ich pan o swoim powrocie do miasta?

- Sam zadecyduje, kiedy to zrobić. Mamy tu straszny bałagan, Dowdy. Paskudna sprawa.

- Kazał mi pan w razie potrzeby pomóc Estabrookowi.

- Ale nie chodziło mi o to, żebyś pomógł mu znaleźć zabójcę.

- Chant nikomu nie pisnął słówka.
- Bo zginął. Schrzaniłeś sprawę na całej linii.
- Nie zgadzam się - zaprotestował Dowd. - Co miałem zrobić? Wiedział pan, że on chce zabić tę kobietę, i umył pan od tego ręce.
- To wszystko prawda. Rozumiem, że ona faktycznie nie żyje?
- Wątpię. Czytam gazety i nie znalazłem nekrologu.
- No to dlaczego kazałeś zabić Chanta?

Tu Dowd musiał zachować ostrożność. Gdyby zbyt dużo przemilczał, Godolphin zacząłby podejrzewać, że coś przed nim ukrywa; gdyby zaś się rozgadał, jego pracodawca mógłby za wiele się dowiedzieć. Im dłużej mistrz nie miał pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra, tym lepiej. Dowd przedstawił więc dwa gotowe wyjaśnienia:

- Przede wszystkim był bardziej nieodpowiedzialny, niż sądziłem. Pół dnia pracował, drugie pół pił i rozklejał się nad butelką. Poza tym wiedział za dużo i mógł zaszkodzić zarówno panu, jak i pańskiemu bratu. W końcu pewnie dowiedziałby się o pana wycieczkach.

- A tak stowarzyszenie nabrało podejrzeń.
- Mieliśmy pecha, że sprawy przybrały taki obrót.
- Gówno prawda. Po prostu wszystko spieprzyłeś.
- Bardzo mi przykro.
- Wiem, Dowdy. Mamy teraz inny problem. Skąd wziąć kozła ofiarnego?
- Pański brat?
- Może... - Godolphin nie dał po sobie poznać, jak bardzo podoba mu się ta sugestia.
- Kiedy mam im powiedzieć, że pan wrócił?
- Jak wymyślę kłamstwo, w które sam uwierzę.

*

Wróciwszy do domu przy Regent's Park Road, Oscar dokładnie przeczytał wszystkie artykuły na temat śmierci Chanta. Dopiero później wszedł do skarbca na trzecim piętrze, zabierając ze sobą towar i spory materiał do przemyśleń. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien raz na zawsze wynieść się z tego dominium. Mógłby zamieszkać w Yzorderrex i przystąpić do spółki z Peccable'em,

ożenić się z Hoi-Polloi (co z tego, że miała zeza?), spłodzić stadko dzieciaków, a potem przenieść się na Wzgórza Świadomego Obłoku w Trzecim Dominium i hodować papugi. Wiedział jednak, że prędzej czy później zatęskniłby za Anglią, a tęsknota bywa okrutna. Skończyłoby się na biciu żony, terroryzowaniu dzieci i jedzeniu papug. Zatem, skoro musiał wracać do Anglii - chociażby na sezon krykietowy - a przebywając tu, rozliczać się przed stowarzyszeniem, tym razem też powinien stawić im czoło.

Zamknął się w skarbcu, usiadł pośród swoich eksponatów i czekał na natchnienie. Ciągące się pod sufit półki uginały się pod ciężarem kolekcji. Tworzyły ją przedmioty zebrane na całym obszarze od skraju Drugiego Dominium po granice Czwartego. Wystarczyło, że wzięłyby któryś z nich do ręki, a w wyobraźni przeniósłby się do miejsca i chwili, w których go nabył. Posążek Etook Ha'chiit pochodził ze Slew, małej miejsciny, która - niestety - została zmieciona z powierzchni ziemi, a wszyscy jej mieszkańcy zgładzeni za rozpowszechnianie piosenki sugerującej w miejscowym dialekcie, że autarcha Yzordderrex nie ma jaj.

Innym skarbem był siódmy tom „Encyklopedii Znaków Niebieskich” Gaud Maybellome, pierwotnie napisany w naukowym żargonie Trzeciego Dominium, lecz przełożony później na wiele języków ku uciesze plebsu. Ten egzemplarz kupił od kobiety imieniem Jassick, która zaczepiła go w kasynie, gdy próbował przybliżyć tubylcom zasady krykieta. Twierdziła, że rozpoznała go z opowieści jej męża, który służył w armii autarchy w Yzordderrex.

- Jest pan tym angielskim samcem - powiedziała.

Nie było sensu zaprzeczać.

Pokazała mu książkę, prawdziwy biały kruk. Encyklopedia nigdy nie przestała fascynować Godolphina, ponieważ intencją Maybellome było zgromadzić w jednym dziele opisy całej flory, fauny, wszystkich języków, osiągnięć naukowych, idei i poglądów moralnych - inaczej mówiąc, wszystko, co jej przyszło do głowy - jakie trafiły z Piątego Dominium, Kraju Soczystej Skały, do innych światów. Podjęła się pracy godnej Herkulesa i zmarła przy początku dziewiętnastego tomu, nie widząc końca swego zadania. Ale wystarczył jeden tom, żeby Godolphin do końca swoich dni szukał pozostałych. Encyklopedia była niezwykła, niemal nierzeczywista. Nawet jeśli tylko połowa haseł mówiła prawdę (albo niewiele się z nią mijała), Ziemia wywarła wpływ na

chyba wszystkie aspekty życia w światach, od których była oddzielona. Weźmy na przykład faunę: Maybellome wymieniała w encyklopedii niezliczone gatunki zwierząt, które, jak twierdziła, powędrowały z Ziemi do innych dominiów. Do oczywistych przykładów należały zebry, krokodyle i psy; oprócz nich opisywała mieszanki genetyczne, które część DNA zawdzięczały ziemskim przodkom. Wiele istot jednak, przedstawionych na rysunkach jakby żywcem wyjętych ze średniowiecznych bestiariuszy, wyglądało tak niesamowicie, że Godolphin wątpił, by mogły istnieć naprawdę - słoń żyjący w olbrzymiej muszli; robak, który umiał pisać i układał swoje kilometrowe, cienkie jak nić ciało w przepowiednie; wilki wielkości ludzkiej dłoni, o skrzydłach kanarków. Prawdziwe cuda. Wystarczyło, że wziął encyklopedię do ręki, a już był gotów wkładać buty i wracać do dominiów.

Wystarczyło pobieżnie przejrzeć księgę, by zorientować się, jak przemożny wpływ wywierało jedno nie połączone dominium na cztery pozostałe. Różne odmiany ziemskich języków, szczególnie angielskiego, włoskiego, hindi i chińskiego, były znane dosłownie wszędzie, chociaż wyglądało na to, że autarcha, który doszedł do władzy w zamieszaniu po nieudanym Pojednaniu, upodobał sobie angielski i doprowadził do jego największego rozpowszechnienia. Angielskie imiona uchodziły za wyjątkowo szczęśliwe, mimo że mało kto przejmował się ich znaczeniem. Stąd brały się takie potworki jak Hoi-Polloi - i tak jedno z mniej dziwacznych, jakie poznał Godolphin w czasie swoich wędrówek.

Pochlebiał sobie, że sam jest w jakiejś maleńkiej części odpowiedzialny za takie rozkoszne dziwadła. Przez lata podróżował przecież między Soczystą Skałą a dominiami i wywierał wpływ na ich życie. W dominiach był stały popyt na gazety i kolorowe magazyny (większy niż na książki). Słyszał o chrzcicielach z Patashoqua, którzy nadając dziecku imiona, przekłuwali szpilką egzemplarz londyńskiego „Timesa” i wybierali pierwsze trzy słowa, na które trafiło ostrze, nie bacząc na sens i brzmienie takiej zbitki. Oczywiście nie on jeden przyczyniał się do zmian; nie on sprowadził krokodyla, zebreczy psa (choćby mógłby zgłaszać pewne pretensje do papugi). Co to, to nie, szlaki łączące Ziemię z dominiami istniały zawsze, ten wychodzący z Azyłu nie był jedynym. Niektóre musiały zostać otwarte przez maistrów i ezoteryków z różnych społeczeństw i kultur, którzy chcieli swobodnie poruszać się pomiędzy światami. Inne mogły otworzyć się przypadkiem, a miejsca, w których się zaczynały, uchodziły za nawiedzone lub

święte; ludzie unikali ich lub zazdrośnie strzegli. Jeszcze inne, najmniej liczne, zostały stworzone dzięki nauce innych dominiów jako drogi do nieba - do Kraju Soczystej Skąły.

W takim właśnie miejscu, przy murach Iahmandhas w Trzecim Dominium, Godolphin zdobył najcenniejszy ze swoich skarbów: Puchar Bostoński i czterdzieści jeden kamieni do kompletu. Sam nigdy go nie używał, ale słyszał, że to jedno z najdokładniejszych narzędzi profetycznych we wszystkich światach. Godolphin siedział wśród swoich skarbów z narastającym przekonaniem, że wydarzenia, jakie mają ostatnio miejsce na Ziemi, prowadzą do jakiegoś znaczącego zakończenia. Ściągnął Puchar z najwyższej półki, odwinął go z papieru i postawił na stole. Na dno wysypał kamienie z woreczka. Prawdę powiedziawszy, nie wyglądało to zbyt obiecująco. Puchar przypominał jakieś naczynie kuchenne - gładka miska z pokrytej szkliwem ceramiki, w sam raz, żeby ubić w niej parę jajek na suflet. Kamyki były kolorowe, miały najróżniejsze kształty i rozmiary - od małych, płaskich otoczków, aż do idealnie toczonych kul wielkości gałki ocznej.

Kiedy włożył je do misy, naszły go wątpliwości. Czy w ogóle wierzył w przepowiednie? A jeśli nawet, to czy rozsądnie będzie znać przyszłość? Raczej nie. Śmierć czekała go prędzej czy później; tylko bogowie i maestrowie żyli wiecznie, a człowiek mógł zakłócić równowagę swojego życia, wiedząc, kiedy ma ono dobiec końca. No dobrze, a gdyby jednak dzięki Pucharowi Bostońskiemu dowiedział się, jak rozwikłać sprawę stowarzyszenia? Kamień spadłby mu z serca.

- Bądź dzielny - przykazał sobie i przytknął środkowe palce obu dłoni do krawędzi naczynia. Peccable mówił mu, jak należy to robić. Sam miał kiedyś podobny puchar, ale żona rozbiła mu go podczas rodzinnej kłótni.

Nic się nie stało. Peccable uprzedzał go, że puchary potrzebują zwykle trochę czasu, żeby się rozgrzać. Godolphin czekał więc i czekał. Pierwszą oznaką działania Pucharu było grzechotanie, gdy kamienie zaczęły się poruszać; drugą - wyraźna kwaśna woń; trzecią - najbardziej widowiskową - gwałtowne podskoki kamieni. Odbijały się od ścianek, wyskakiwały nawet ponad krawędź - najpierw jeden, potem dwa, dziesięć, dwadzieścia, aż wszystkie śmigały z taką szybkością, że misa drgnęła i zaczęła się przemieszczać po stole. Godolphin musiał ją mocno przytrzymać, żeby się nie przewróciła. Kamyki obijały mu boleśnie palce, ale widok, jaki ujrzał, osłodził mu ból. Z

ruchu kamieni w powietrzu ponad misą wyłaniały się obrazy.

Jak to zwykle bywa z prorocत्वami, o ich kształcie decyduje oko patrzącego. Być może, inny obserwator dostrzegłby w tych samych plamach kolorów coś zupełnie innego. Godolphin nie miał wątpliwości, co widzi. Przede wszystkim był tam Azyl, na wpół schowany w zagajniku. Potem on sam, stojący na środku mozaiki - albo wracał z Yzordderrex, albo właśnie się tam udawał. Obrazy zmieniały się szybko, grad kamyków rozbił Azyl i z chaosu wyłoniła się nowa budowla: wieżowiec, w którym urzędowała Tabula Rasa. Początkowo Godolphin oglądał budynek z ulicy, teraz znalazł się w środku. Oto oni - mędrcy zebrani przy stole, pogrążeni w kontemplacji swojego boskiego obowiązku. Mogą sobie pogrzebać w pępku i podlubać w nosie, pomyślał. Tylko na to ich stać. W zaułkach na wschodzie Yzordderrex - w pobliżu portu, gdzie nawet koty mają swoich alfonsów - nie przeżyliby nawet godziny. Patrzył, jak sam pojawia się w tym obrazie. Zrobił albo powiedział coś takiego, że wszyscy zerwali się z miejsc. Nawet Lionel.

- Co to znaczy? - mruknął.

Ich twarze wyrażały ogromne emocje. Śmiali się? Co on takiego zrobił? Opowiedział im kawał? Pierdnął głośno? Nie, nie śmiali się, byli śmiertelnie przerażeni.

- Proszę pana?

Dobiegający zza drzwi głos Dowda wyrwał go z zamyślenia. Godolphin oderwał wzrok od misy i kamieni.

- Odejdź - burknął.

- Dzwoni McGann.

- Powiedz mu, że nie wiesz, gdzie jestem - prychnął Oscar.

Przez tę chwilę, gdy nie patrzył w Puchar, wydarzyło się coś okropnego. Członkowie Tabula Rasa wciąż wyglądali na wystraszonych, ale Godolphin zniknął. Odesłali go? Tak szybko? Boże, a może leżał martwy na podłodze? Niewykluczone, plama na stole połyskiwała jak świeża krew.

- Proszę pana!

- Spadaj, Dowdy!

- Wiedzą, że pan tu jest.

Wiedzieli. Oczywiście, że wiedzieli. Obserwowali dom.

- Dobrze. Powiedz mu, że zaraz zejść.

- Co pan powiedział?

Oscar podniósł głos, żeby przekrzyczeć stukot kamyków. Kiedy tym razem odwrócił wzrok, zrobił to świadomie.

- Dowiedz się, gdzie jest. Oddzwonię.

Wrócił spojrzeniem do Pucharu, ale zdekoncentrował się na dobre i nie umiał już zinterpretować obrazów tworzonych przez ruchome kamienie. Poza jednym. Kiedy zaczęły zwalniać, na mgnienie oka wyłowił z zamętu kobiecą twarz. Nie wiedział, czy ogląda swojego następcę przy stole stowarzyszenia, czy raczej zabójcę.

3

Czuł, że przed rozmową z McGannem musi się koniecznie czegoś napić. Dowd, jak zwykle zapobiegliwy, zawczasu przyrządził mu whisky z sodą, ale Oscar nie przyjął jej, bojąc się, że rozwiąże mu język. Niejasna wizja z Pucharu Bostońskiego - paradoksalnie - pomogła mu w rozmowie z McGannem. W najtrudniejszych sytuacjach umiał zachować niemal patologiczną rezerwę i oschłość, co stanowiło jedną z najbardziej angielskich cech jego charakteru. Teraz więc też, chłodny i opanowany jak rzadko, tłumaczył McGannowi, że tak, istotnie trochę podróżował, i nie, stowarzyszenie nie powinno się interesować, gdzie i w jakiej sprawie wyjechał. Naturalnie, z przyjemnością pojawi się następnego dnia na spotkaniu w Roxborough Tower, ale czy McGann zdaje sobie sprawę (czy w ogóle go to obchodzi), że to będzie Wigilia?

- A ja zawsze chodzę na pasterkę do St Martin's-in-the-Field - dodał Oscar. - Byłbym zatem wdzięczny, gdyby spotkanie skończyło się na tyle wcześniej, żebym zdążył zająć dobre miejsce w kościele.

Głos ani przez chwilę mu nie zadrżał. McGann próbował się dowiedzieć, gdzie Godolphin podziewał się przez ostatnie kilka dni. Co go to obchodzi?

- Czy mnie interesują twoje sprawy prywatne? - spytał Oscar lekko urażony. - Tak czy nie? Nawiasem mówiąc, nie szpieguję cię i nie sprawdzam, kiedy wychodzisz z domu i kiedy wracasz. Przestań się pieniść, McGann. Wy mi nie ufacie, ja wam nie ufam. Jutro

na spotkaniu podniosę kwestię prywatności członków stowarzyszenia. Będzie to świetna okazja, by przypomnieć pozostałym, że nazwisko Godolphin to opoka Tabula Rasa.

- Tym bardziej powinieneś być szczery - zauważył McGann.

- I będę. Dostarczę wam dość dowodów na swoją niewinność. - Dopiero teraz, po zwycięskim pojedynku intelektów, Oscar wziął do ręki szklaneczkę z whisky. - Niepodważalnych dowodów.

Skinął szklanką Dowdowi i wychylił ją w kilku łykach. Zdawał sobie sprawę, że zanim nastanie Boże Narodzenie, dojdzie do krwawej rzezi. Perspektywa była ponura, ale nie do uniknięcia.

- Chyba włożę jutro garnitur w jodełkę - oznajmił, odkładając słuchawkę. - I białą koszulę, gładką. Z wykrochmalonym kołnierzykiem.

- A krawat? - spytał Dowd, podając mu drugą szklankę, pełną.

- Później idę prosto na pasterkę.

- W takim razie czarny.

- Czarny.

ROZDZIAŁ 10

1

Następnego dnia po zjawieniu się napastnika w mieszkaniu Marlina, po południu w Nowym Jorku rozszalała się śnieżycą. Zbiegła się w czasie z coroczną gorączką wyjazdową, przez co znalezienie wolnego miejsca na lot do Anglii graniczyło z niemożliwością. Ale Jude łatwo się nie poddawała, zwłaszcza kiedy powzięła jakieś mocne postanowienie. W tej chwili była przekonana, że - mimo protestów Marlina - najrozsądniej będzie wynieść się z Manhattanu. Zdrowy rozsądek kazał przyznać jej rację. Zabójca dwa razy próbował ją zamordować i nadal przebywał na wolności. W Nowym Jorku będzie stale zagrożona. A nawet jeśli nie (nie mogła pozbyć się wrażenia, że za drugim razem chciał ją przeprosić i coś wyjaśnić), znalazłaby inne wytłumaczenie szybkiego powrotu do Anglii, byle tylko pozbyć się Marlina. Robił się obrzydliwie sentymentalny, sypał przesłodzonymi komunałami rodem ze świątecznych staroci telewizyjnych i wodził za nią oczami spaniela. Rzecz jasna, zawsze taki był, ale po napadzie te cechy się w nim uwypukliły, a tolerancja Judith, podbudowanej spotkaniem z Gentle'em, spadła do zera.

Odłożywszy słuchawkę poprzedniego wieczoru, natychmiast pożałowała swojej płochości, a po szczerzej rozmowie z Marlinem - kiedy zapowiedziała mu, że wraca do Anglii, on odparł, że rano wszystko będzie inaczej wyglądało, na razie niech łyknie pigułkę i się prześpi - postanowiła oddzwonić do Gentle'a. Marlin chrapał już w najlepsze. Wstała z łóżka, poszła do salonu, włączyła jedną jedyną lampkę i zadzwoniła. Czuła się jak szpieg.

Marlin bynajmniej nie ucieszył się na wieść, że jeden z jej dawnych kochanków popisywał się u niego w domu i zgrywał bohatera; nie byłby też zadowolony, widząc, jak Jude dzwoni do Gentle'a o drugiej nad ranem. Do tej pory nie miała pojęcia, co się

właściwie wydarzyło, kiedy uzyskała połączenie. Ktoś podniósł słuchawkę i wypuścił ją z ręki. Z narastającą złością mogła więc słuchać, jak Gentle się z kimś kocha. Zamiast natychmiast się rozłączyć, nasłuchiwała przez dłuższą chwilę, trochę im zazdroszcząc. Ostatecznie jednak, nie mogąc się dowołać Gentle'a, odłożyła słuchawkę i w paskudnym humorze wróciła do wyziębionego łóżka.

Zadzwonił następnego dnia. Marlin odebrał telefon. Pozwoliła mu powiedzieć Gentle'owi, że jeśli jeszcze raz go zobaczy w tym domu, wezwie policję i oskarży go o współudział w próbie zabójstwa.

- Co odpowiedział? - zapytała, kiedy rozmowa dobiegła końca.

- Niewiele. Chyba się schlał.

Więcej do tej sprawy nie wracali. Marlin był przygnębiony jej poranną deklaracją, że upiera się przy natychmiastowym powrocie do Anglii. Nie przestawał się dopytywać, dlaczego chce to zrobić. Czy mógłby zrobić dla niej coś, żeby poczuła się lepiej tu, na miejscu? Może zainstalować dodatkowe zamki? Obiecać, że nie będzie jej odstępował ani na krok? Te pomysły nie zwiększały oczywiście jej entuzjazmu. Ze dwadzieścia razy powtarzała mu, że jest doskonałym gospodarzem, że nie powinien brać sobie tego tak do serca, ale chciałyby wrócić do siebie do domu, do miasta, w którym czułaby się bezpieczniej. Wtedy zaproponował, że poleci z nią, by nie musiała sama wracać do pustego domu. Odparła - czując, że jej zapas cierpliwości i uprzejmości jest na wykończeniu - że o niczym tak nie marzy jak o chwili samotności.

Postawiła na swoim. Z powodu śnieżycy w żółtym tempie dojechała taksówką na lotnisko, poczekała na opóźniony o pięć godzin samolot i odbyła lot wklonowana między zakonnice, która modliła się głośno za każdym razem, gdy samolot wpadał w dziurę powietrzną, i dzieciaka, którego należałoby odrobaczyć. Była panią samej siebie, w pustym mieszkaniu. W Wigilię.

2

Obraz namalowany w czterech różnych stylach czekał w pracowni. Gentle spóźnił się z powodu tej samej śnieżycy, która omal nie uniemożliwiła Judith opuszczenia

Manhattanu. Przekroczył wyznaczony przez Kleina termin, lecz podczas podróży tylko przez krótką chwilę myślał o interesach. Cały czas głowę zaprzętało mu spotkanie z zabójcą. Nadal nie miał pojęcia, co Pie'oh'pah namieszał mu w głowie, ale mimo że rankiem wszystko wróciło do normy - widział nie gorzej niż zwykle i myślał na tyle jasno, żeby poradzić sobie z załatwieniem lotu do Anglii - echa nocnej wizyty pozostały. Drzemiąc w samolocie, czuł jedwabistą twarz mordercy pod swoimi palcami, muskające go po dłoni włosy, woń wilgotnej skóry i ciężar ciała Pie'oh'paha na biodrach - wspomnienie było tak żywe, że erekcja, jakiej doznał, zwróciła uwagę stewardesy. Doszedł do wniosku, że musi chyba oddzielić się od wspomnień jakimś nowym doznaniem - wyruchać je z siebie, wypocić do czysta. Od razu mu ulżyło. Kiedy znów zasnął, a wspomnienia wróciły, nie opierał się. Wiedział, jak się ich pozbędzie, gdy wróci do Londynu.

Siedział teraz przed czterostylowym obrazem i przeglądał notes z telefonami, szukając partnerki na noc. Zadzwoił do paru dziewczyn, ale wybrał najgorszy możliwy moment na odnawianie przelotnych znajomości. Mężowie wrócili do domów, szykowały się zjazdy rodzinne... Święta.

W końcu porozmawiał także z Kleinem, którego przekonał do przyjęcia przeprosin. Dowiedział się, że następnego dnia u Taylora i Clema szykuje się przyjęcie i będzie na nim mile widziany, o ile, naturalnie, nie ma innych planów.

- Wszyscy mówią, że to ostatnie święta Taylora - dodał Chester. - Myślę, że chciałby cię zobaczyć.

- W takim razie chyba powinienem pójść.

- Powinieneś. Taylor jest bardzo chory. Wyszedł z zapalenia płuc, ale dostał raka. Wiesz przecież, że darzy cię sympatią.

Nagle przejście sprawiło, że Gentle zaczął myśleć o sympatii jak o nowej chorobie, ale nie skomentował tego. Ustalił szczegóły, umówił się z Kleinem, że wpadnie po niego, i odłożył słuchawkę. Znalazł się w jeszcze głębszym dołku. Wiedział o chorobie Taylora, ale nie zdawał sobie sprawy, że jego dni są policzone. Nastaly ponure czasy. Gdzie spojrzeć, świat się walił, a w przyszłości czaił się mrok, pełen rozmazanych kształtów i litościwych spojrzeń. Może to właśnie był Wiek Pie'oh'paha. Czas zabójcy.

Mimo że był zmęczony, nie położył się, lecz do drugiej nad ranem siedział nad ciekawostką, którą wcześniej odrzucił jako steek bzdur - nad pożegnalnym listem Chanta. Kiedy w samolocie do Nowego Jorku czytał go pierwszy raz, wydał mu się absurdalny. Od tej pory przeżył jednak kilka dziwnych doświadczeń i stronice, które kilka dni temu wyglądały na bezużyteczne, teraz uznał za warte wnikliwych dociekań. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś wskazówkę, zaszyfrowaną w fantazyjnej, egzaltowanej i zmanierowanej epistole Chanta. Szukał klucza do tajemniczych czasów i tożsamości tych, którzy pociągali za sznurki. Czyim bogiem, na przykład, był ten cały Hapexamendios, którego Chant kazał Estabrookowi czcić? Gentle wyszukał synonimy: Niewidziany, Pierwotny, Wędrowiec. Jaki boski plan Chant miał na myśli? W ostatnich godzinach życia żywił nadzieję, że jest jego częścią.

„Byłbym gotów na śmierć w tym DOMINIUM, wiedząc, że stałem się INSTRUMENTEM w rękach Niewidzianego”, napisał. „Chwała niech będzie Hapexamendiosowi, albowiem on to zostawił swe dzieci w Kraju Soczystej Skały, by CIERPIAŁY, i ja tu cierpiałem, i moje cierpienie DOBIEGŁO KOŃCA”.

W tym przynajmniej miał rację. Wiedział, że śmierć jest blisko, a to sugerowało, że znał też swojego zabójcę. Czy oczekiwał przyścia Pie'oh'paha? Raczej nie. Pisał o nim, ale niejako o tym, który wykona wyrok. Szczerze mówiąc, kiedy Gentle pierwszy raz czytał list, nie zorientował się nawet, że następne słowa odnoszą się właśnie do Pie'oh'paha. Teraz jednak nie miał wątpliwości.

„Zawarł pan pakt z istotą RZADKĄ nie tylko w tym DOMINIUM, ale we wszystkich, ja zaś nie wiem, czy śmierć, która nadchodzi, jest moją karą czy nagrodą za pośrednictwo w tej sprawie. Proszę zachować czujność. Taka siła bywa kapryśna. Jest mieszaniną cech i możliwości, nie rzeczą OSTATECZNĄ, choćby w części, lecz zmienną i wielobarwną jak pawie pióra, jak tęcza w pryzmacie.

Nigdy nie byłem jej przyjacielem - ona ma tylko CZCICIELI I NIWELATORÓW - ale ufała mi jako swojemu przedstawicielowi, ja zaś wyrządziłem jej przy tym tyleż samo krzywdy co panu. Może nawet więcej. Jest bowiem samotna i cierpi w tym DOMINIUM tak jak ja. Ma pan przyjaciół, którzy dobrze pana znają i przed którymi nie musi pan ukrywać swojej PRAWDZIWEJ NATURY. Proszę się ich trzymać i cieszyć się ich miłością. Kraj Soczystej Skały niebawem zatrzęsie się i zadrzy, a w takich chwilach

dusza może liczyć tylko na wsparcie tych, którzy ją kochają. Wiem to, bo widziałem taki czas i CIESZĘ SIĘ, że jeżeli znów ma nadejść w PIĄTYM DOMINIUM, ja będę już martwy, a moje oblicze zwróci się ku glorii NIEWIDZIANEGO.

Chwała niech będzie HAPEXAMENDIOSOWI.

Do pana w tej chwili kieruję moją modlitwę i skrucę".

List na tym się nie kończył, ale pismo robiło się niewyraźne, a struktura zdań jeszcze bardziej skomplikowana, tak jakby Chant wpadł w panikę i dopisywał końcówkę, wkładając w pośpiechu płaszcz. Kilka w miarę składnych akapitów zawierało jednak dość wskazówek, by Gentle'owi odechciało się spać. Najbardziej niepokojąco brzmiał opis Pie'oh'paha:

„RZADKA istota... mieszanina cech i możliwości...".

Jak należało to interpretować, jeśli nie jak potwierdzenie tego, co na własne oczy widział w Nowym Jorku? Czym wobec tego była ta istota, która stała przed nim naga, niezwykła, kryjąc w sobie mnogość form? Chant twierdził, że „ta siła" nie ma przyjaciół (tylko „CZCICIELI I NIWELATORÓW", jak pisał) i że wyrządzono jej „tyleż samo krzywdy" (znów cytata z Chanta) co Estabrookowi, któremu ofiarował modlitwę i żal. Na pewno nie była człowiekiem, nie przysłała na świat w żadnym pleminiu ani narodzie, które znał Gentle. Czytany wielokrotnie list za każdym razem brzmiał coraz bardziej wiarygodnie. Gentle był gotów go zaakceptować. Czuł, że prawda przychodzi do niego z krainy, której istnienia domyślał się już w Nowym Jorku. Wcześniej się jej bał, ale teraz nie - może dlatego że był świąteczny poranek, czas cudów i niezwykłych przemian na świecie.

Im bliższy był zrozumienia - i poranka - tym bardziej żałował, że pozbył się zabójcy, który tak pożądał jego towarzystwa. Jedyne wskazówki dotyczące jego tajemnicy pochodziły z listu Chanta, ale po setnym odczytaniu go wiedział, że nic więcej z nich nie wycisnie. Potrzebował czegoś więcej. Wciąż miał przed oczami mozaikową twarz Pie'oh'paha, ale znał słabość swojej pamięci. Musiał ten obraz utrwalić! Tak, to było teraz najważniejsze, zatrzymać tę wizję, zanim całkiem się rozplynie.

Odłożył list i wbił wzrok w swoją wersję „Wieczerzy w Emaus". Czy w którymś z tych stylów zdołałby odtworzyć to, co widział? Wątpliwe. Musiał więc wymyślić coś nowego. Ambicja popchnęła go do działania. Postawił „Wieczerzę" pionowo na

blejtramiem i zaczął wyciskać na płótno sjenę paloną prosto z tubki. Rozprowadził ją szpachlą, aż całkowicie zamazał namalowaną scenę. W grubo nałożonym tle zaczął wyciskać zarys sylwetki. Nigdy specjalnie nie studiował ludzkiej anatomii. Estetyka męskiego ciała niezbyt go interesowała, a ciało kobiety było tak zmienne, tak uzależnione od gry światła, od ruchu, że wszelkie próby jego statycznego odwzorowania były z góry skazane na niepowodzenie. Teraz jednak, choć zdawałoby się to niemożliwe, chciał nakreślić kształt wiecznie zmienny, znaleźć sposób na zamrożenie na płótnie tego, co widział w hotelowej sypialni, kiedy twarze Pie'oh'paha migały mu przed oczami jak karty w dłoniach iluzjonisty. Gdyby mu się to udało, gdyby chociaż wiedział, jak się do tego zabrać, mógłby z czasem poznać istotę, która go nawiedziła.

Przez dwie godziny pracował jak w transie. Stawiał farbie wymagania, jakie przedtem nie przysłyby mu do głowy, lepił ją szpachlą i palcami, próbując uchwycić przynajmniej kształt i proporcje głowy i szyi. Pamiętał wyraźny obraz tej istoty (od zeszłej nocy myślał o niej prawie bez przerwy), ale nie umiał stworzyć nawet najprostszego szkicu. Nie był należycie przygotowany do takiego zadania, zbyt długo żył jak pasożyt, kopista, który powiela wizje innych. Tym razem sam doświadczył wizji - tylko jednej, ale przez to tym cenniejszej - i nie umiał jej wyrazić. Chciało mu się płakać. Z rękami ubrudzonymi farbą położył się w zimnej pościeli i czekał, aż sen przyniesie mu ukojenie.

Zanim ześliznął się w otchłań marzeń sennych, dwie myśli przysły mu do głowy. Po pierwsze, z rękami po łokcie umazanymi sjeną paloną wygląda, jakby babrał się we własnym gównie. Po drugie, jedyne, co mógł zrobić, aby rozwikłać dręczący go problem artystyczny, to spotkać się ponownie z modelem. Odpłynął w sen wolny od kłamstw i nabożnej czci. Z uśmiechem rozmyślał o tym, że znów ujrzy twarz rzadkiej istoty.

ROZDZIAŁ 11

Mimo że z domu Godolphina w Primrose Hill do siedziby Tabula Rasa nie było daleko i znaleźli się w Highgate punktualnie o szóstej, Oscar zaproponował, żeby przejechali się jeszcze do Crouch End i przez Muswell Hill wrócili pod wieżowiec. W sam raz, żeby dziesięć minut się spóźnić.

- Nie powinniśmy się przed nimi płaszczyć - stwierdził, gdy drugi raz zajężdżali pod gmach. - Zrobią się arogancy.

- Mam poczekać na dole?

- Sam, na mrozie? Nie ma mowy, mój drogi Dowdy. Wejźmy na górę razem. Z darami.

- Jakimi darami?

- Z naszym sprytem, naszym dobrym gustem, jeśli chodzi o dobór marynarek... No, właściwie to z moim dobrym gustem. My będziemy tym darem.

Wysiedli i podeszli do wejścia. Kamery znad drzwi rejestrowały każdy ich ruch. Zamek szcęknął i znaleźli się w środku. Skierowali się do windy.

- Cokolwiek się dziś wydarzy, Dowdy - szepnął Godolphin - pamiętaj, że...

Nie skończył. Drzwi windy się otworzyły. W kabinie stał Bloxham, elegancki jak nigdy.

- Ładny krawat - zauważył Oscar. - Do twarzy ci w żółtym. - Krawat był niebieski. - Dowd chyba nie będzie wam przeszkadzał, prawda? Nigdzie się bez niego nie ruszam.

- Dla niego nie ma tu dziś miejsca - odparł Bloxham.

Dowd powtórzył, że może poczekać, ale Oscar nie chciał o tym słyszeć.

- Broń cię Panie Boże! Poczekaś na górze. Stamtąd jest ładny widok.

Wszystko to ogromnie irytowało Bloxhama, ale nie umiał się postawić Godolphinowi. W milczeniu wjechali na górę. Kiedy wysiedli, zostawili Dowda przy windzie i Bloxham zaprowadził Oscara do sali narad. Wszyscy już czekali, wpatrzeni w niego oskarżycielsko. Niektórzy - na pewno Shales i Charlotte Feaver - nie kryli

satysfakcji, że najbardziej niepokorny członek stowarzyszenia został przywołany do porządku.

- Och, przepraszam... - powiedział Oscar, gdy zamknęły się za nim drzwi. - Długo czekacie?

*

W jednym z mniejszych, pustych pokoi na ostatnim piętrze Dowd siedział pogrążony w rozmyślaniach, słuchając małego radjka. O siódmej w wiadomościach podano informację o wypadku na autostradzie, w którym zginęła cała rodzina wybierająca się na święta. W więzieniach w Bristolu i Manchesterze wybuchły zamieszki. Skazańcy twierdzili, że strażnicy przetrzepali ich paczki od rodzin, niszcząc zawartość. Nie obyło się bez obowiązkowych doniesień z wojen i prognozy pogody, która zapowiadała szare ponure Boże Narodzenie i wiosenny wietrzyk. W Hyde Parku ciepły zefirek pewnie spowoduje do zakwitnięcia krokusy, które parę dni później zetnie mróz. O ósmej Dowd wciąż wyglądał przez okno. W serwisie skorygowano jedną z wiadomości sprzed godziny - ktoś jednak ocalał z karambolu na autostradzie. Trzymiesięczny berbecz wyszedł z niego osierocony, ale bez szwanku. Siedząc w ciemnym pokoju, Dowd zapłakał cicho, chociaż płacz był równie obcy jego psychice, jak uczucie zimna jego nerwom. Wyćwiczył się jednak z sztuce odgrywania smutku z tym samym zaangażowaniem, z którym nauczył się udawać dreszcze - wszystko w celu stworzenia pełnej iluzji człowieczeństwa. Jego nauczycielem był Szekspir, a ulubioną czytanką - „Król Lear”. Zapłakał nad dzieckiem i krokusami. Miał jeszcze oczy mokre od łez, gdy w pokoju zebranych rozległ się jazgot podniesionych, gniewnych głosów. Drzwi otworzyły się z rozmachem i Godolphin wezwał go do siebie, niepomyślny protestów pozostałych.

- To gwałt, Godolphin! - wykrzyknął Bloxham.

- Zmusiliście mnie do tego - odparł nie mniej wzburzony Oscar. Spotkanie wyraźnie nie układało się po jego myśli. Ściągnięta na karku wystąpiły mu pod skórą jak postronki, przy każdym słowie z ust tryskały kropelki śliny, pot perlił się w workach pod oczami. - Nie znacie nawet połowy prawdy! Nawet połowy! Padliśmy ofiarą spisku sił, których nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Ten Chant z pewnością był ich wysłannikiem. Oni potrafią przybierać ludzką postać!

- Nonsens - stwierdziła Tyrwhitt.

- Nie wierzysz mi?

- Nie wierzę, a już na pewno nie mam ochoty, żeby twój przydupas przysłuchiwał się naszej rozmowie. Czy mógłbyś wyprosić go z Izby?

- On ma dowody na poparcie moich słów - upierał się Oscar.

- Czyżby? - spytał z powątpiewaniem Shales.

- Sam wam pokaże. - Godolphin odwrócił się w stronę Dowda. - Chyba nie mamy wyjścia - dodał i sięgnął za pazuchę.

Dowd zrozumiał, co się święci, na ułamek sekundy przed tym, jak w dłoni Oscara błysnął nóż. Zaczął się cofać, ale Godolphin był szybszy. Błysnęła stal. Dowd poczuł rękę Godolphina na szyi. Zewsząd dobiegały okrzyki przerażenia. Dowd padł na stół z rozpostartymi ramionami, niczym oporny pacjent przed operacją. Chirurg zadał mu jedno błyskawiczne pchnięcie nożem - w sam środek klatki piersiowej.

- Chcecie dowodów?! - ryknął Oscar, przekrzykując krzyk Dowda i hałas panujący przy stole. - Tak? Dowodów?! Proszę bardzo!

Oparł się całym ciężarem ciała na nożu i ciął mocno na boki - najpierw w prawo, potem w lewo. Ostrze nie napotkało żadnego oporu, nie natrafiło ani na żebra, ani na mostek. Nie popłynęła krew, lecz jakaś brudnawa, wodnista ciecz, która ściekła na blat. Dowd miotał się i szarpał głową na boki, nie mogąc znieść takiego upokorzenia. Przez moment patrzył oskarżycielsko na Oscara, zbyt zajętego, by się tym przejąć. Mimo protestów wszystkich zebranych Godolphin nie przerywał zabiegu, dopóki nie rozciął leżącego przed nim ciała od pępka do gardła. Dowd przestał się rzucać. W Izbie rozszedł się wstrętny zapach - ostra mieszanina odorów ścieków i aromatu wanilii. Dwoje świadków rzuciło się do wyjścia. Jednym z nich był Bloxham, mdłości pokonały go, zanim wybiegł na korytarz. Jego jęki nie powstrzymały jednak Godolphina, który bez wahania zanurzył rękę w rozciętym ciele i wyciągnął garść wnętrzności, splątaną masę błękitnej i czarnej tkanki, która ostatecznie dowodziła nieludzkiej natury Dowda. Triumfalnym gestem rzucił dowody obok ciała, cofnął się od stołu i cisnął nóż do wnętrza rany. Całe przedstawienie trwało niespełna minutę, ale Izba przypominała teraz rynsztok na targu rybnym.

- Zadowoleni?

Protestów nie było. Ciszę mącił tylko rytmiczny plusk wyciekającej z rozciętej

arterii cieczy.

- Pogięło cię - wyszeptał McGann.

Oscar ostrożnie sięgnął do kieszeni w spodniach i wyjął chusteczkę. Jej wyprasowanie było jedną z ostatnich rzeczy, jakich dokonał biedny Dowd. Wyglądała doskonale. Strząsnął ją, rozprostował ostre jak brzytwa kanty i zaczął wycierać ręce.

- A jak inaczej miałem wam udowodnić, że mam rację? Sami mnie do tego zmusiliście. Proszę, oto dowód w całej swojej krasie. Nie wiem, co stało się z Dowdem, moim przydupasem, jak go nazwałaś, Alice, ale to coś zajęło jego miejsce.

- Od jak dawna o tym wiedziałeś? - spytała Charlotte.

- Podejrzewałem go od mniej więcej dwóch tygodni. Nie wyjechałem z miasta. Śledziłem go. A wy wszyscy myśleliście, że wygrzewam się gdzieś na słoneczku.

- Co to właściwie jest? - zdziwił się Lionel. Szturchnął palcem strzępek ciała Dowda.

- Bóg jeden wie - odparł Godolphin - ale na pewno nie pochodzi z tego świata.

- Należałoby chyba zapytać, czego tu szukało - podsunęła Alice.

Godolphin powiódł wzrokiem dookoła.

- Mogę tylko zgadywać, że chciało wkraść się do Izby, co, jak rozumiem, udało mu się trzy dni temu. Mam nadzieję, że żadne z was się nie wygadało. - Kilka osób wymieniło przelotne spojrzenia. - A jednak? Szkoda. Miejmy nadzieję, że nie zdążyło o niczym powiadomić swoich przełożonych.

- Co się stało, to się nie odstanie - stwierdził McGann. - Odpowiedzialność spada na nas wszystkich. Na ciebie też, Oscarze. Nie powinieneś ukrywać przed nami swoich podejrzeń.

- A uwierzylibyście mi? Sam z początku nie wierzyłem, dopóki nie zacząłem zauważać pewnych zmian u Dowda.

- Dlaczego ty? - zdziwił się Shales. - To naprawdę chciałbym wiedzieć. Dlaczego akurat ciebie wybrali na swoją ofiarę? Musieli uznać, że jesteś bardziej podatny na ich wpływy niż my; może liczyli, że do nich dołączysz. Może już dołączyłeś.

- Jak zwykle, Hubercie, jesteś za bardzo przekonany o własnej racji, żeby dostrzec luki w swoim rozumowaniu. Kto mówi, że jestem jedynym celem? Czy mógłbyś mi przysiąc, że wszyscy, których znasz, są poza wszelkim podejrzeniem? Jak bacznie

obserwujesz swoich przyjaciół? A rodzinę? Każdy może być w spisku.

Sianie wątpliwości sprawiało mu perwersyjną przyjemność. Widział, że trafiają na podatny grunt. Twarze, pół godziny temu nadęte pewnością siebie, flaczały teraz jak przekłute baloniki. Warto było zaryzykować ten spektakl, choćby po to, żeby zobaczyć, jak się boją. Shales jednak łatwo nie odpuścił.

- Co nie zmienia faktu, że to ty zatrudniałeś tę istotę.

- Dość już słyszeliśmy, Hubercie - wtrącił spokojnie McGann. - Nie czas na spory. Musimy walczyć i bez względu na to, czy pochwalamy metody Oscara, czy nie - nawiasem mówiąc, ja jestem im przeciwny - nie możemy chyba wątpić w jego lojalność. - McGann popatrzył po zebranych. Zewsząd odpowiedziały mu pomruki aprobaty. - Bóg jeden wie, do czego zdolny byłby taki stwór, gdyby odkrył, że go zdemaskowano. Godolphin wiele ryzykował w naszym imieniu.

- Zgadzam się - przytaknęła Lionel. Stał obok Oscara i włożył mu w świeżo wytartą dłoń szklanekę dobrej słodowej whisky. - Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Pij.

- Zdrowie. - Oscar opróżnił szklanekę jednym haustem.

- Nie mamy sobie czego gratulować - stwierdziła Charlotte Feaver. Pierwsza usiadła z powrotem przy stole, nie przejmując się tym, co na nim leży. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się i wydmuchnęła dym, wydymając wargi. - Jeżeli Godolphin ma rację i ten stwór rzeczywiście chciał się zbliżyć do stowarzyszenia, powinniśmy zadać sobie pytanie: po co?

- Śmiało, pytaj - zasugerował oschle Shales. - On niewiele nam powie. Co na pewno dla niektórych jest bardzo wygodne.

- Jak długo mam jeszcze znosić te insynuacje? - zdenerwował się Godolphin.

- Powiedziałem: dość, Hubercie - powtórzył McGann.

- To jest demokratyczne spotkanie. - Shales sprzeciwił się nieoficjalnemu przywództwu McGanna. - Jeżeli chcę coś powiedzieć...

- Już powiedziałeś - wtrącił Lionel z pijackim sprytem. - Możesz się już zamknąć.

- Co teraz? - spytał Bloxham. Otarł już brodę i wrócił do stołu. Chciał zatrzeć złe wrażenie wywołane niegodną męczyzny postawą. - Nastają niebezpieczne czasy.

- Dlatego tu jesteśmy - powiedziała Alice. - Oni wiedzą, że zbliża się rocznica i

chęcią od nowa zacząć całą tę szopkę z Pojednaniem.

- Ale po co mieliby infiltrować stowarzyszenie? - nie rozumiał Bloxham.

- Żeby włożyć nam kij w szprychy - odparł Lionel. - Gdyby wiedzieli, co zamierzamy, mogliby pokrzyżować nam plany. Dużo dałeś za ten krawat?

Bloxham spuścił wzrok na krawat - był cały zarzygany - i zerwał go z szyi. Posłał Lionelowi wściekle spojrzenie,

- Nadal nie rozumiem, czego mogliby się od nas dowiedzieć - mówiła Alice Tyrwhitt. - Nie wiemy nawet, co to jest Pojednanie.

- Ależ wiemy - zaoponował Shales. - Nasi przodkowie chcieli wprowadzić Ziemię na orbitę niebios.

- To bardzo poetycka wizja - mruknęła Charlotte. - Tylko co konkretnie oznacza? Wiemy czy nie? - Zapadła cisza. - Raczej nie. Siedzimy tu, bo przysięgliśmy strzec tajemnicy, o której nie mamy pojęcia.

- To był jakiś eksperyment - przypomniał Bloxham. - Nieudany.

- Czy oni wszyscy byli nienormalni? - spytała Alice.

- Miejmy nadzieję, że nie. To bywa dziedziczne - zauważył Lionel.

- Ja nie zwariowałam. Jestem cholernie pewna, że moi przyjaciele są równie zdrowi na umyśle jak ja. I że są ludźmi. Wiedziałabym, gdyby było inaczej.

- Milczysz, Godolphin - powiedział McGann. - To do ciebie niepodobne.

- Chłonę waszą mądrość.

- Do jakich wniosków cię doprowadziła?

- Świat ma naturę cykliczną - odparł z namysłem Godolphin. Słuchali go nad podziw uważnie. - Zbliża się koniec tysiąclecia. Rozum ustępuje przed głupotą, naukowa ostrożność przed sentymentami. Gdybym był początkującym ezoterykiem, który ma dryg do historii, bez trudu chyba ustaliłbym szczegóły tego... eksperymentu, jak nazwał go Bloxham. Może przyszłoby mi przy okazji do głowy, że czas spróbować ponownie.

- To bardzo prawdopodobne - przytaknął McGann.

- Kto by mu to wszystko powiedział? - zapytał Shales.

- Musiałby być samoukiem.

- A skąd czerpałby wiedzę? Wszystkie książki są zakopane tutaj, pod nami.

- Wszystkie? Skąd ta pewność? - zadrwił Godolphin.

- Ponieważ od dwustu lat na Ziemi nie odnotowano żadnej znaczącej próby użycia magii. Ezoterycy są zagubieni i bezradni. Gdyby czegoś próbowali, wiedzielibyśmy o tym.

- Nowy przyjaciel Godolphina uniknął naszej uwagi - zauważyła Charlotte, pozbawiając Oscara frajdy wytknięcia im tego osobiście. - Czy mamy przynajmniej pewność, że biblioteka jest nienaruszona? Że nikt nie ukradł ksiąg?

- Niby kto? - zdumiał się Bloxham.

- Na przykład Dowd. Nie skatalogowaliśmy ich nigdy. Leash próbowała to zrobić, ale wszyscy wiemy, co się z nią stało.

Historia pani Leash należała do wstydliwych sekretów stowarzyszenia, a składała się z tragicznie zakończonej serii wypadków. Clare Leash miała obsesję na punkcie spisania wszystkich ksiąg, które znalazły się w posiadaniu Tabula Rasa. Nie zdążyła, bo dostała zawału i dwa dni przeleżała na posadzce w piwnicy. Kiedy ją znaleziono, była ledwie żywa i postradała rozum. Przeżyła jednak i obecnie, jedenaście lat później, mieszkała w hospicjum w Sussex. Nigdy nie doszła do siebie.

- Mimo to powinniśmy móc stwierdzić, czy ktoś się tam włamał - upierała się Charlotte.

- To prawda - zgodził się z nią Bloxham. - Należałoby się tym zająć.

- Rozumiem, że zgłaszasz się na ochotnika. - McGann spojrział na niego pytająco.

- Poza tym podziemia Roxborough Tower nie są jedynym źródłem takiej wiedzy - ciągnęła Charlotte. - Chyba nikt nie twierdzi, że mamy u siebie wszystkie książki na temat Imajiki, prawda?

- Oczywiście, że nie, ale dwa stulecia działalności stowarzyszenia doprowadziły do zaniku tradycji - odparł McGann. - W kraju nie ma żadnych liczących się tajnych kultów, to wiemy. Te, które są, zbierają informacje z różnych ochłapów, które im się trafiają. Robota głupiego. Nie mają środków, które pozwalałyby im myśleć poważnie o Pojednaniu; mało który zdaje sobie sprawę, czym właściwie jest Imajica. Ćwiczą swoje uroki na przełożonych w banku.

Godolphin od lat słyszał te same przechwałki: twierdzenia, że magia w świecie zachodnim się wyczerpała, i gratulacje z okazji rozpracowania sekretnych kultów. Nie było żadnych kultów. Pseudonaukowcy przierzucali się tajemniczymi teoriami, używając

języka, którego sami nie rozumieli; maniacy seksualni wymuszali na podwładnych usługi, do których nie umieli ich inaczej przekonać; najczęściej zaś trafiało się na wariatów tworzących mitologie, które - choć godne pożałowania - pozwalały im nie stoczyć się na samo dno psychozy. Może jednak wśród oszustów i świrów był jakiś człowiek, który umiał trafić do Imajiki, kierując się wyłącznie instynktem? Urodzony maestro, w którego genach tkwiła zakodowana wiedza o Pojednaniu. Godolphin nigdy dotąd o tym nie myślał - zanadto absorbowwała go tajemnica, z którą przeżył prawie całe dorosłe życie - ale pomysł był intrygujący. I niepokojący.

- Nie możemy lekceważyć zagrożenia - odezwał się. - Nawet jeśli wydaje się nam mało prawdopodobne.

- Jakiego zagrożenia? - zdziwił się McGann.

- Że gdzieś tam istnieje maestro, o którym nie wiemy. Ktoś, kto rozumie ambicje naszych przodków i może próbować na własną rękę powtórzyć eksperyment. Może nie chodzi mu o księgi, może wcale ich nie potrzebuje. Siedzi sobie w domu i rozpracowuje problem.

- To co robimy? - spytała Charlotte.

- Czystkę - odparł Shales. - Przykro mi to mówić, ale Godolphin ma rację. Nie wiemy, co się dzieje. Śledzimy rozwój wydarzeń na odległość i bywa, że załatwiamy komuś dożywotnią kurację psychiatryczną, ale unikamy czystek. Czas to zmienić.

- Jak się do tego zabrać? - zapytał Bloxham z fanatycznym błyskiem w wodnistych oczach.

- Mamy szwamierzeńców. Wykorzystajmy to. Zajrzemy pod każdy kamień, a gdy znajdziemy coś, co się nam nie spodoba, zabijemy to.

- Nie jesteśmy szwadronem śmierci.

- Ale mamy pieniądze, żeby sobie taki szwadron kupić. I przyjaciół, którzy w razie potrzeby zatuszują sprawę. Osobiście uważam, że naszym najważniejszym zadaniem jest za wszelką cenę powstrzymać ewentualną próbę Pojednania. Po to przyszliśmy na świat.

Shales mówił bez śladu melodramatycznej przesady, jakby recytował listę zakupów, co zrobiło spore wrażenie na słuchaczach. Ostatnia uwaga również. Któż nie dałby się porwać myślom o tak szczytnym celu, sięgającym dwa stulecia wstecz, do ludzi, którzy pierwsi zebrali się w tym miejscu? Nieliczni ocaleli z katastrofy przysięgli, że oni

sami, ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci i ich potomstwo aż do końca świata będzie żyć i umierać, mając na względzie tylko jedno - niedopuszczenie do powtórzenia się tragedii.

McGann zaproponował głosowanie, które natychmiast przeprowadzono. Decyzja zapadła jednogłośnie. Całe stowarzyszenie było zgodne, że jedynym wyjściem z sytuacji jest likwidacja wszelkich osób, które mogłyby - obecnie lub w przyszłości - odprawić rytuały otwierające drogę do tak zwanych Pojedynych Dominiów. Postanowienie nie dotyczyło tradycyjnych organizacji religijnych. Były z natury nieszkodliwe, a mogły odciągnąć uwagę części ludzi, których kusily praktyki ezoteryczne. Odpuszczali sobie też szarlatanów i spekulantów, wróżbitów, rzekome media i spirytualistów, którzy piszą nowe koncerty dawno zmarłych kompozytorów i sonety nieżyjących poetów. Liczyli się tylko ci, którzy mogli natrafić na ślad Imajiki i jakoś ten fakt wykorzystać - tych należało się pozbyć. Zapowiadała się żmudna, czasem brutalna robota, ale stowarzyszenie było na to przygotowane. Nie pierwszy raz opracowało założenia czystki (choć nigdy jeszcze nie przeprowadziło akcji na taką skalę); jego struktura świetnie nadawała się do takich dyskretnych, a przy tym szeroko zakrojonych akcji. Zamierzali uderzyć w tajemne kultury, rozproszyć ich członków, przekupić lub aresztować przywódców. Kiedyś już pozbyto się z Anglii wszystkich znaczących ezoteryków i cudotwórców. Teraz zapowiadała się powtórka.

- Czy na tym możemy zakończyć spotkanie? - zapytał Oscar. - Spieszę się na pasterkę.

- Co mamy zrobić z ciałem? - spytała Alice Tyrwhitt.

Godolphin miał gotową odpowiedź.

- Ja narobiłem bałaganu, ja posprzątam - odparł z należytą pokorą. - Dziś w nocy zostanie spalone na autostradzie. Chyba że ktoś ma lepszy pomysł.

Nikt się nie sprzeciwił.

- Byle stąd zniknęło - rzuciła tylko Alice.

- Potrzebuję pomocy, żeby jakoś je zawinąć i znieść do samochodu. Bloxham?

Bloxham, nie wiedząc, jak odmówić, poszedł poszukać czegoś do opakowania zwłok.

- Nie widzę sensu, żebyśmy wszyscy tu siedzieli - zauważyła Charlotte, wstając od stołu. - Jeżeli to koniec, wracam do domu.

Była przy drzwiach, kiedy Oscar postanowił wykręcić ostatni, triumfalny numer.

- Dziś w nocy pewnie wszyscy będziemy myśleć o tym samym - powiedział.

- To znaczy? - zdziwił się Lionel.

- Skoro te istoty tak świetnie udają ludzi, może nie powinniśmy ufać sobie nawzajem. Zakładam, że w tej chwili wszyscy jesteśmy ludźmi, ale kto wie, co przyniesie Gwiazdka?

*

Pół godziny później Oscar był gotów wybrać się na pasterkę. Bloxham, który początkowo wyglądał na mięczaka, spisał się całkiem nieźle - wepchnął Dowdowi do brzucha rozwleczone po stole wnętrzności i za pomocą folii oraz taśmy klejącej zmajstrował z niego przyzwoitą mumię. Z Oscarem zawlekli trupa do windy, a potem przenieśli go do samochodu. Noc była pogodna, na rozgwieżdżonym niebie lśnił cieniutki sierp księżyca. Wyczulony na piękno Godolphin przystanął, podziwiając ten widok.

- Czy to nie wspaniałe, Giles?

- Rzeczywiście. Aż mi się w głowie kręci.

- Tyle światów...

- Nic się nie martw. Postaramy się, żeby do tego nie doszło - odparł Bloxham.

Zmieszany tymi słowami Oscar spojrzał na niego. Bloxham wcale nie patrzył w gwiazdy, lecz cały czas mocował się z ciałem. Rozmyślał o planowanej czystce.

- To powinno wystarczyć. - Bloxham zatrzaskał bagażnik i podał Godolphinowi rękę na pożegnanie.

Oscar uścisnął ją, ciesząc się, że w ciemności nie widać, jak bardzo jest zdegestowany. Pożegnał się z Gilesem, wiedząc, że już wkrótce będzie musiał zdecydować po czyjej stronie stanąć. Mimo sukcesu przedstawienia, które urządził dziś wieczorem, i poczucia bezpieczeństwa, jakie dzięki niemu zyskał, nie mógł mieć pewności, że członkowie Tabula Rasa uznają go za swojego. Z drugiej strony - gdzie było jego miejsce, jeśli nie wśród nich? To była prawdziwa zagadka i cieszył się, że pasterka pozwoli mu o niej zapomnieć.

Dwadzieścia pięć minut później wchodził po schodach kościoła St Martin's-in-the-Field. Zmówił krótką modlitwę w intencji zbliżonej do tych, które przepelniały serca wiernych szykujących się do śpiewania kolęd. Modlił się o nadzieję, która oczyściłaby

jego duszę z wątpliwości i wahania, i o blask, który płonąłby nie tylko w jego piersi, ale rozprzestrzenił się na wszystkie dominia i rozświetlił całą Imajicę. Jeżeli jednak ta światłość rzeczywiście się zbliżała, modlił się, by wierni się mylili. Opowieści o Narodzinach Pańskich brzmiały pięknie, ale czas biegł nieubłaganie i jeśli dziś nadzieja była dopiero dzieciątkiem, to zanim osiągnie wiek odkupienia, światy, które przyszła zbawić, umrą.

ROZDZIAŁ 12

1

Taylor Briggs powiedział kiedyś Judith, że odmierza swoje życie porami letnimi. Na łożu śmierci, mówił, będzie pamiętał każde lato i poczytywał je sobie za błogosławieństwo. Pamiętał całą swoją młodzieńczą karierę, od młodzieńczych miłości do ostatnich wielkich orgii w zacisznych gabinetach i łaźniach Nowego Jorku i San Francisco. Wtedy Judith mu tego zazdrościła. Podobnie jak Gentle, sięgała pamięcią nie dalej niż dziesięć lat wstecz. Nie pamiętała nic ze swego dzieciństwa i młodości, nie potrafiła wyobrazić sobie swoich rodziców, nie wiedziała, jak mieli na imię. Ta niezdolność do wiązania się z przeszłością nie przeszkadzała jej zbytnio (nie rozumiała, jak można żyć inaczej), dopóki nie spotykała kogoś takiego jak Taylor, który rozkoszował się wspomnieniami. Miała nadzieję, że to się nie zmieniło - wspomnienia były jedną z niewielu przyjemności, jakie mu w życiu pozostały.

Pierwszy raz usłyszała o jego chorobie rok wcześniej, w lipcu, od Clema, jego kochanka. Mimo że obaj prowadzili podobnie rozwiązłe życie, choroba go ominęła. Jude strawiła kilka nocy, przekonując Clema, by nie czuł się winny, iż niezasłużenie wyszedł z tego cało. Później, jesienią, ich drogi się rozeszły, toteż zdziwiła się, gdy po powrocie z Nowego Jorku znalazła w skrzynce zaproszenie na przyjęcie bożonarodzeniowe. Wciąż roztrzęsiona po tym, co ją spotkało, zadzwoniła, by odmówić, Clem jednak zdradził jej półgłosem, że Taylor prawdopodobnie nie dożyje najbliższej wiosny, o lecie nie wspominając. Wobec tego może by jednak przyszła, ze względu na niego? Naturalnie, zgodziła się. Jeżeli ktokolwiek z jej znajomych naprawdę umiał wyciągnąć ją z dołka, to właśnie Clem z Taylorem, czuła się więc zobowiązana poświęcić im trochę czasu. Ciekawe, czy dlatego, że miała tyle kłopotów z heteroseksualnymi facetami, znajdowała ukojenie w towarzystwie mężczyzn, dla których jej płeć nie stanowiła powodu do wojny?

Było krótko po ósmej wieczorem w pierwszy dzień Bożego Narodzenia, kiedy Clem otworzył drzwi i zaprosił ją do środka. W korytarzu pod jemiota skradł jej całusa - zanim, jak powiedział, rzucą się na nią barbarzyńcy. Dom był przystrojony jak dziewiętnastowieczna rezydencja, bez cynfolii, sztucznego śniegu i migocących lampek, za to cały w jedlinie porozwieszanej na ścianach i kominkach. Człowiek czuł się jak w lesie. Clem, którego młodość długo opierała się wiekowi, nie prezentował się tego dnia najlepiej. Przed pięcioma miesiącami w korzystnym świetle mógł uchodzić za korpulentnego trzydziestolatka, teraz wyglądał co najmniej o dziesięć lat starzej. Entuzjazm i komplementy nie były w stanie zamaskować zmęczenia.

- Ubrałaś się na zielono - powiedział, prowadząc ją do salonu. - Wiedziałem, że tak zrobisz; mówiłem Taylorowi. Zielone oczy, zielona sukienka.

- Podoba ci się?

- Naturalnie! W tym roku mamy pogańskie święta. *Dies Natalis Solis Invictus*.

- Co to znaczy?

- Narodziny Niezwycięzonego Słońca. Światłości świata. Przydałaby się.

- Znam tu kogoś? - zapytała Judith, zanim weszli w tłum.

- Wszyscy znają ciebie, skarbie - odparł pieszczotliwie Clem. - Nawet ci, którzy na oczy cię nie widzieli.

Dostrzegła sporo znajomych twarzy, tak że pięć minut trwało, nim przebiła się do Taylora, siedzącego niczym udzielny książę na miękkim fotelu przy kominku, na którym buzował ogień. Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo na jego widok jest wstrząśnięta. Taylor stracił niemal kompletnie swoją słynną lwią grzywę i każdy gram zbędnego ciała z twarzy. Oczy, zawsze tak przenikliwe (jedna z wielu cech, które łączyły go z Jude), zdawały się olbrzymie, jakby chciał w tym krótkim czasie, jaki mu pozostał, pochłonąć wszystko, co śmierć mu odbierze. Rozłożył ramiona.

- Moja kochana - powiedział. - Przytul mnie. Wybacz, że nie wstaję.

Objęła go. Skóra i kości. Był przemarznięty, mimo że tuż obok huczał ogień.

- Clem podał ci coś do picia?

- Już się robi - powiedział Clem.

- To i mnie przynieś jeszcze jedną wódkę - polecił Taylor swoim zwykłym, rozkazującym tonem.

- Chyba ustaliliśmy...

- Wiem, że mi szkodzi, ale na trzeźwo czuję się jeszcze gorzej.

- To cię zabije - rzekł Clem. Jego szczerłość wstrząsnęła Judith, ale kiedy Clem i Taylor zmierzyli się wzrokiem, dostrzegła w ich oczach zapalczliwość i czułość zarazem. Zrozumiała, że okrucieństwo Clema jakoś tam pomaga im zmagać się z tragedią.

- Chciałbyś - powiedział Taylor. - Napiję się soku pomarańczowego. Nie, czekaj, Krwawą Mary bez wódki. Lepiej pasuje do świąt.

- Podobno to pogańska uroczystość - zauważyła Jude, gdy Clem się oddalił.

- Nie wiem, po co komu w święta Matka Boska. Ludzie nie wiedzą, z czym ją jeść. Weź sobie krzesło, kochanie. Doszły mnie plotki, że balowałaś za granicą.

- To prawda. Tylko co wróciłam. Miałam pewne kłopoty w Nowym Jorku.

- Czyje serce złamałaś tym razem?

- Nie o to poszło.

- A o co? Bądź plotkara, powiedz Taylorowi.

To był ich stary, prywatny żart. Uśmiechnęła się i zaczęła opowieść, którą solennie obiecywała sobie zatrzymać dla siebie.

- Ktoś chciał mnie zamordować.

- Żartujesz.

- Niestety nie.

- Co się stało? Mów. Jestem w takim nastroju, że chętnie słucham, co się innym złego przydarzyło. Im gorzej, tym lepiej.

Wzięła go za rękę.

- Najpierw ty mi powiedz, jak się czujesz.

- To groteska. Clem jest oczywiście cudowny, ale najczulsza opieka na świecie nie wróci mi zdrowia. Bywają dni lepsze i gorsze; ostatnio więcej jest tych gorszych. Jak mówiła moja mama, niedługo już tu zabawię. - Taylor podniósł wzrok. - No proszę, idzie święty Klemens od nocnika. Zmieńmy temat. Clem, czy Jude mówiła ci, że ktoś chciał ją zabić?

- Nie. Gdzie to było?

- Na Manhattanie.

- Bandyta?

- Nie.

- Ktoś znajomy? - spytał Taylor.

Widziała wyczekujące spojrzenie Taylora, nie mogła go zawieść. Kiedy zaczęła mówić, od czasu do czasu przerywał jej okrzykami zachwytu i niedowierzania, aż zauważyła, że sama zapala się do swojej historii, jakby nie opowiadała mu ponurej prawdy, lecz idiotyczną bajeczkę. Tylko raz, wspomniawszy Gentle'a, straciła trochę impetu i Clem wykorzystał okazję, by wtrącić, że Gentle też został zaproszony. Serce Jude zawahało się, ale zaraz przyspieszyło i nadgoniło zgubione uderzenie.

- Co było potem? - ponaglił ją Taylor. - Co się działo?

Mówiła dalej, ale łapała się na tym, że cały czas wstrzymuje oddech i czeka na Gentle'a. Nie mogła się skupić, co odbiło się niekorzystnie na jej opowieści. Z drugiej strony każda chyba historia morderstwa, relacjonowana przez ofiarę, jest na swój sposób przewidywalna. Jude zakończyła swoją z przesadnym pośpiechem:

- Najważniejsze, że żyję.

- Wypiję za to - rzekł Taylor, oddając Clemowi nietknięty kieliszek. - Może jednak kropelkę wódki?

Clem bez entuzjazmu wzruszył ramionami, wziął od Jude pusty kieliszek i zaczął się przeciskać przez tłum do barku. Jude miała okazję rozejrzeć się po salonie. Odkąd usiadła, pojawiło się kilka nowych twarzy, lecz nie było wśród nich Gentle'a.

- Szukasz pana Porządnickiego? - zainteresował się Taylor. - Jeszcze go nie ma.

Odwróciła się do niego. Przyglądał się jej z rozbawieniem.

- Nie wiem, o kim mówisz.

- O panu Zachariasie.

- Co w tym zabawnego?

- Wy dwoje. Najstydniejszy romans ostatnich lat. Wiesz, że kiedy o nim mówisz, głos ci się zmienia? Staje się...

- Jadowity.

- Chrapliwy. Tęskny.

- Nie tęsknię za Gentle'em.

- Pomyliłem się - mruknął ironicznie Taylor. - Dobry był w łóżku?

- Miewałam lepszych.

- Chcesz wiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem? - Taylor nachylił się do niej z uśmiechem, który wcale nie wyglądał wesoło. Myślała, że nagły ruch sprawił mu ból, dopóki nie usłyszała: - Zakochałem się w Gentle'u od pierwszego wejrzenia. Za wszelką cenę chciałem go mieć w łóżku, próbowałem go upić, próbowałem nafaszerować prochami. Nic z tego. Ale nie rezygnowałem i jakieś sześć lat temu...

Clem podał im szklanki i zaraz się oddalił, by powitać nową grupę gości.

- Przespałeś się z nim? - spytała Jude.

- Niezupełnie. Powiem tak: namówiłem go, że zrobię mu laskę. Był na strasznym haju, uśmiechał się, jak to tylko on potrafi. Wielbiłem go za ten uśmiech. Wyobraź sobie... - ciągnął Taylor. Jude nigdy nie słyszała, żeby opowiadał o swoich podbojach z tak pikantnymi szczegółami. - Robię, co mogę, żeby mu stanął, a on... Nie wiem, jak to powiedzieć. Zaczyna gadać, jakby coś go opętało. Leży na moim łóżku na wznak ze spodniami ściągniętymi do kostek i nagle odzywa się w jakimś dziwnym języku. Nie potrafiłem rozpoznać, ani to hiszpański, ani francuski... I wiesz co? Mnie opadł, a jemu stanął. - Taylor zaśmiał się hałaśliwie, ale zaraz spoważniał i mówił dalej: - Nagle się go przestraszyłem. Naprawdę przestraszyłem. Nie mogłem skończyć tego, co zaczęłem, więc wstałem i zostawiłem go samego, ze sterczącym fiutem, gadającego jak w transie.

Wyjął Jude drinka z ręki i pociągnął solidny łyk. To wspomnienie wyraźnie go poruszyło. Oczy miał błyszczące, na szyi wystąpiły mu czerwone plamy.

- Opowiadał ci kiedyś o tym?

Pokręciła głową.

- Pytam, bo wiem, że szybko się rozstaliście. Myślałem, że może ciebie też przepłoszył.

- Nie, po prostu rznął wszystko, co napotkał.

Taylor chrząknął niezobowiązująco.

- Ostatnio strasznie się pocę. Czasem o trzeciej rano muszę wstawać, żeby Clem mógł zmienić pościel. Przez pół nocy nie wiem nawet, czy śpię. Wracają wspomnienia sprzed wielu lat. To było jedno z nich. Słyszę go, stojąc w sypialni w kałuży potu. Mówił, jakby był opętany.

- Martwi cię to?

- Sam nie wiem. Wspomnienia mają dla mnie teraz różne znaczenie. Gdy śni mi

się matka, mam ochotę wpełznąć w nią z powrotem i narodzić się na nowo. Kiedy myślę o Gentle'u, zastanawiam się, dlaczego odpuściłem sobie w życiu tyle tajemnic. Teraz jest za późno, żeby je rozwikłać. Co to znaczy, być zakochanym, mówić tak jak Gentle, obojętne... Nic z tego nie rozumiałem. - Taylorowi po twarzy pociekły łzy. -
Przepraszam, w święta zawsze się rozklejam. Zawołaj Clema, dobrze? Muszę iść do łazienki.

- Może ja ci pomogę?

- Są rzeczy, do których wciąż jest mi potrzebny. Ale dziękuję.

- Nie ma za co.

- I za to, że mnie wysłuchałaś.

Jude przepchnęła się do Clema, który rozmawiał z jakąś dziewczyną, i szepnęła mu do ucha, że Taylor czegoś od niego chce.

- Znasz Simone, prawda? - rzucił na odchodnym i zostawił je same.

Istotnie, znała Simone, chociaż niezbyt dobrze, a po rozmowie z Taylorem nie czuła się na siłach, żeby dotrzymać komuś towarzystwa i bić pianę. Simone jednak gadała jak nakręcona, jakby miała ochotę poflirtować; śmiała się do rozpuku z najmniejszego nawet żartu i głaskała po szyi, jak gdyby wskazując miejsce, w które lubi być całowana. Jude przygotowywała sobie właśnie w myśli grzeczną odmowę, gdy ujrzała, jak Simone zerka gdzieś w bok, niezręcznie maskując się przesadnym wybuchem śmiechu. Niezadowolona z roli marionetki, spytała:

- Kto to jest?

- Kto? - Simone zmieszała się i zarumieniła. - Przepraszam. Jakiś facet mi się przygląda.

Wróciła spojrzeniem do adoratora i Jude nabrała nagle absolutnej pewności, że jeśli się teraz odwróci, spojrzy prosto w oczy Gentle'a. Przyszedł i od razu zaczął swoje sztuczki. Skupiał na sobie spojrzenia kobiet, żeby później wybrać jedną, najładniejszą.

- To idź z nim porozmawiaj.

- Nie wiem, czy powinnam.

- Zawsze możesz jeszcze zmienić zdanie, jeśli trafi się coś lepszego.

- Może masz rację.

Bez dalszych prób podtrzymywania rozmowy Simone poszła się śmiać gdzie

indziej.

Jude przez dwie sekundy walczyła z pokusą, żeby podążyć za nią wzrokiem, ale w końcu się odwróciła. Uwodziciel Simone stał obok choinki i uśmiechał się szeroko do obiektu swoich żądz, który przebijał się przez tłum w jego stronę. Nie był to jednak Gentle, lecz - o ile dobrze pamiętała - brat Taylora. Ulżyło jej, za co sama się na siebie zezłościła. Przy barku dołała sobie wina i wyszła, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Na półpiętrze ktoś grał na wiolonczeli, udało mu się uzyskać wyjątkowo melancholijny efekt. Frontowe drzwi były otwarte. Wiało zza nich chłodem. Chciała je przymknąć, ale któryś ze słuchaczy szepnął:

- Ktoś źle się poczuł i wyszedł.

Wyrzała na ulicę. Rzeczywiście, ktoś siedział na krawężniku w pozie człowieka pogodzonego z kaprysmi żołądka - głowa spuszczone, łokcie oparte na kolanach. Czekał na kolejną falę mdłości.

Może ją usłyszał, może tylko poczuł na sobie jej spojrzenie. Podniósł głowę.

- Gentle! Co ty tu robisz?

- A jak myślisz? - Kiedy ostatnio się widzieli, wyglądał kiepsko, teraz jednak wyglądał znacznie gorzej. Wychudzony, nieogolony, zielony na twarzy od mdłości.

- W domu jest łazienka - powiedziała.

- I wózek inwalidzki - dodał Gentle z niemal przesadnym błyskiem w oku. - Wolę rzygać tutaj.

Otarł usta wierzchem dłoni. Ręce miał całe w farbie, podobnie jak koszulę i spodnie.

- Nie próżnowałeś.

Źle ją zrozumiał.

- Nie powinienem był nic pić.

- Chcesz, żebym ci przyniosła wody?

- Nie, dzięki. Wracam do domu. Pożegnaj ode mnie Taylora i Clema, dobrze?

Niedobrze mi się robi na myśl o tym, że miałbym tam wrócić. Wyglupiłbym się. - Wstał i zachwiał się na nogach. - Ostatnio spotykamy się w dość przykrych okolicznościach, prawda?

- Chyba powinnam cię odwiedzić. Albo kogoś rozjedziesz, albo sam się zabijesz.

- Wszystko w porządku. - Podniósł ubrudzone farbą ręce w uspokajającym geście.
- Drogi są puste. Nic mi nie będzie. - Zaczął szukać kluczyków w kieszeni.

- Ocaliłeś mi życie. Pozwól, żebym ci się odwdzieczyła.

Podniósł na nią wzrok. Oczy mu się zamykały.

- Może to nie taki głupi pomysł...

Jude wróciła, żeby pożegnać się w imieniu swoim i Gentle'a. Taylor już znowu siedział w fotelu; dostrzegła go pierwsza. Patrzył w dal niewidzącym wzrokiem. Jego spojrzenie nie wyrażało smutku, lecz zmęczenie tak ogromne, że wyparło wszystkie inne uczucia - może poza żalem za nierozwiązanymi zagadkami. Podeszła do niego i wyjaśniła, że Gentle źle się czuje i ona musi go odwiedzić do domu.

- Nie przyjdzie się pożegnać? - zdziwił się Taylor.

- Chyba się boi, że zrzyga ci się na marynarkę albo na dywan. Albo jedno i drugie.

- Powiedz mu, niech do mnie zadzwoni. Chcę się z nim niedługo spotkać. - Taylor uścisnął dłoń Jude. Zdumiała ją jego krzepa. - Niedługo!

- Powtórzę mu.

- Chcę jeszcze raz zobaczyć, jak się uśmiecha.

- Będziesz miał wiele okazji.

Taylor pokręcił głową.

- Jeden raz musi mi wystarczyć - odparł cicho.

Pocałowała go i obiecała, że zadzwoni, kiedy bezpiecznie wróci do domu. Po drodze do wyjścia natknęła się na Clema, któremu powtórzyła swoje przeprosiny. Pożegnała się z nim.

- Zadzwon, gdybym mogła wam jakoś pomóc.

- Dzięki, ale teraz to już można chyba tylko czekać.

- Możemy poczekać razem.

- Lepiej będzie, jak zostaniemy z tym sami, ja i on. Ale zadzwonię. - Clem zerknął w stronę Taylora, który znów patrzył w pustkę. - Uparł się, że doczeka wiosny. Jeszcze jedna wiosna, powtarza. Nigdy dotąd krokusy go nie interesowały. Wiesz, co jest w tym wszystkim cudowne? Od nowa się w nim zakochałem.

- To wspaniałe.

- I muszę go stracić właśnie teraz, kiedy zaczynam rozumieć, ile dla mnie znaczy.

Nie zrób tego błędu, pamiętaj. - Clem przyjrzał się jej badawczo. - Wiesz, o kim mówię.
Pokiwała głową.

- To dobrze - powiedział Clem. - Zawieź go do domu.

2

Na drogach było pusto. W piętnaście minut zawiozła Gentle'a do pracowni. Nie kontaktował normalnie. Rozmowa w samochodzie rwała się i nie kleiła, jakby jego umysł stale albo wyprzedzał język, albo za nim nie nadążał. Nie chodziło o alkohol. Jude widziała go pijanego po różnych drinkach - robił się hałaśliwy, potem lubieżny, wreszcie świętszy od papieża. Nigdy nie wyglądał tak jak teraz: odchylony do tyłu, z głową na zagłótku i zamkniętymi oczami, mówił jak z głębi studni. W jednej chwili dziękował, że się nim zajęła, a w następnej zapewniał, że ręce ma umazane farbą, a nie gównem. To nie gówno, powtarzał, to sjena palona, pruski błękit, kadmowa żółć, ale zawsze, jak się zmiesza kolory, upodabniają się do gówna. W końcu ucichł, by za minutę czy dwie podjąć nowy temat.

- Nie mogę na niego patrzeć, rozumiesz, na to jak...

- Na kogo?

- Na Taylora. Nie mogę patrzeć, jest tak ciężko chory. Wiesz, jak nie znoszę chorób.

Zapomniała, że w jego wypadku lęk przed chorobą graniczy z paranoją, co wiązało się pewnie z faktem, że chociaż nie dbał o zdrowie, to nie tylko nigdy nie chorował, ale praktycznie się nie starzał. Kryzys, który przecież musiał nadejść, będzie druzgocący. Nieumiarkowany tryb życia, nadmiar emocji i upływ lat nagle upomną się o Gentle'a. Do tego czasu jednak nie chciał, by cokolwiek przypominało mu, jaki jest kruchy.

- Taylor jest umierający, prawda? - zapytał.

- Clem twierdzi, że tak.

Gentle westchnął ciężko.

- Powinienem poświęcić mu trochę czasu. Kiedyś bardzo się przyjaźniliśmy.

- Krążyły o was plotki.
- To on je rozpowiadał.
- Ale to tylko plotki, prawda?
- A jak ci się wydaje?
- Wydaje mi się, że próbowałeś wszystkiego, co się nawinęło pod rękę.

Przynajmniej raz.

- On nie jest w moim typie - odparł Gentle, nie otwierając oczu.
- Powinieneś się z nim jeszcze zobaczyć. Prędzej czy później też się posypiesz.

Jak każdy.

- Ja nie. Kiedy poczuję, że się rozkładam, popełnię samobójstwo. Słowo honoru. -
Zacisnął pięści i potarł nimi twarz. - Nie pozwolę, żeby mi się to przydarzyło.

- Życzę powodzenia.

Więcej się po drodze nie odzywali, chociaż jego milczenie niepokoiło Judith. Po głowie chodziła jej usłyszana od Taylora historia i czekała, aż Gentle zacznie mówić, sypnie swoimi idiotyzmami. Dopiero kiedy zajechali pod pracownię, zorientowała się, że zasnął. Patrzyła na niego przez chwilę. Gładkie czoło, delikatnie zarysowane wargi. Ciągle coś do niego czuła, bez wątpienia, ale co ją czekało, gdyby się zaangażowała? Rozczarowanie, frustracja i złość. Mimo zachęty ze strony Clema była prawie pewna, że sprawa jest z góry przegrana.

Obudziła go i zapytała, czy może skorzystać z łazienki; pęcherz upominał się o swoje prawa. Gentle zawahał się, co trochę ją zdziwiło. Nagle zaczęła podejrzewać, że wprowadziła się do niego jakaś kobieta, przelotny ptaszek - w sam raz, żeby w święta go wypchać, a przed Nowym Rokiem wyrzucić. Ciekawość dodała jej pewności siebie. Najwyraźniej było to Gentle'owi nie w smak, ale musiał się zgodzić. Weszła za nim po schodach, rozmyślając o tym, jak wygląda jego nowa zdobycz, ale w pracowni nie było nikogo. Zobaczyła obraz, od którego tak ubrudził sobie ręce. Gentle zaniepokoił się, gdy spojrzała na płótno, i popędził ją do łazienki chyba z większym jeszcze zmieszaniem, niż gdyby jej podejrzzenia okazały się prawdziwe i na wysiedzianej sofie wylegiwała się jakaś panienka. Biedaczysko. Z dnia na dzień coraz bardziej dziwaczał.

Kiedy wyszła z toalety, obraz był zasłonięty poplamioną szmatą. Gentle zerkał nerwowo, jakby chciał się pozbyć jej jak najprędzej. Nie widziała powodu, żeby się z nim

cackać.

- Pracujesz nad czymś nowym? - zapytała.

- To nic takiego.

- Chciałabym zobaczyć.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Dla mnie nie gra roli, czy to fałszywka, czy nie. Wiem, co kombinujecie z Kleinem.

- To nie fałszywka. - Tak zaciętego wyrazu twarzy jeszcze dziś u niego nie widziała. - To moje dzieło. - A tak zapalczego głosu nie słyszała.

- Prawdziwy Zacharias? Tym bardziej muszę zobaczyć.

Sięgnęła po szmatę, zanim zdążył ją powstrzymać. Wchodząc, zdążyła przelotnie zerknąć na obraz, w dodatku z daleka. Z bliska widać było, że Gentle dosłownie szalał przy płótnie. W niektórych miejscach zostało przebite na wylot, jakby przedziurawił je pędzlem czy szpachlą; gdzie indziej nałożył farbę bez umiaru, a potem ugniół ją palcami, naginając do swojej wizji. I to wszystko po to, żeby uzyskać podobiznę... Czego właściwie? Dwojga ludzi stojących twarzą w twarz pod brutalnym niebem. Skórę mieli białą, lecz prześwieconą rozbłyskami jaskrawych barw.

- Kim oni są? - spytała.

- Oni?! - Gentle zdziwił się chyba, że tak właśnie zinterpretowała jego dzieło, ale zamaskował zmieszanie wzruszeniem ramion. - Nikim. To tylko taki eksperyment. - Zasłonił obraz.

- Na zamówienie?

- Wolałbym o tym nie mówić.

Jego poruszenie było dziwnie urokliwe; zachowywał się jak dziecko przyłapanie podczas jakiegoś tajemnego rytuału.

- Nie przestajesz mnie zaskakiwać - powiedziała z uśmiechem.

- Przesadzasz.

Gentle bynajmniej się nie uspokoił i Jude zdała sobie sprawę, że rozmowa na temat obrazu i jego znaczenia dobiegła końca.

- To ja już pójdę - stwierdziła.

- Dzięki, że mnie podwiozłaś.

Odprowadził ją do drzwi.

- Nadal masz ochotę na drinka? - zapytała.

- Nie wracasz do Nowego Jorku?

- Na razie nie. Za parę dni zadzwonię. Nie zapomnij o Taylorze.

- Jesteś moim sumieniem? - próbował zażartować Gentle, ale nie udało mu się ukryć poważnej nuty w głosie. - Nie zapomnę.

- Zostawiasz ślad na ludziach, Gentle. Nie możesz udawać, że za nic nie odpowiadasz.

- Spróbuję od dziś być niewidzialny.

Nie odprowadził jej na dół; zamknął drzwi, zanim pokonała kilka pierwszych stopni. Sama zeszła po schodach. Nie mogła zrozumieć, skąd wzięła ten poroniony pomysł, żeby umówić się z nim na drinka. Trudno, w razie potrzeby łatwo będzie się z tej propozycji wymigać - nawet gdyby pamiętał, w co była skłonna wątpić.

Na ulicy podniosła wzrok, szukając go w oknie. Musiała przejść na drugą stronę jezdni. Stał przed obrazem, który znów był odsłonięty. Przechylił lekko głowę i przyglądał mu się z natężeniem. Nie miała pewności, ale wydawało jej się, że Gentle porusza wargami. Zupełnie jakby rozmawiał z tym, co przedstawił na płótnie. Ciekawa była, co mówi. Czy próbował wywołać z chaosu jakiś konkretny obraz? A jeśli tak, to w jakim języku mówił?

ROZDZIAŁ 13

1

Zobaczyła dwie osoby tam, gdzie on namalował jedną. Nie zapytała o „nią” ani o „niego”, lecz o „nich”. Spojrzała na obraz i dostrzegła jego prawdziwe znaczenie, którego Gentle sam nie widział. Stał teraz przed sztalugami, odsłonił płótno i spojrzał na nie jeszcze raz, jej oczami. Rzeczywiście, widział dwoje ludzi. W swoim dążeniu do uchwycenia jakiegoś obrazu Pie'oh'paha namalował go, jak wynurza się z cienia (albo w nim znika); smuga ciemności przecinała mu twarz i pierś, dzieląc postać na pół. Jej zewnętrzne krawędzie, rozmyte i poszarpane, układały się w kształt widzianych z profilu, zwróconych ku sobie twarzy, wyciętych białą linią z tego, co w zamierzeniu Gentle'a było jednym obliczem. Twarze zdawały się mieć po jednym oku, jak na egipskich malowidłach, a tyły głów rozplływały się w cieniu. Kim były te dwie osoby? Co chciał wyrazić, ustawiając je w ten sposób?

Gentle przyglądał się obrazowi długą chwilę po wyjściu Judith, szykując się do następnego ataku na płótno, ale w kluczowym momencie zabrakło mu sił. Dłonie miał spocone, ręce mu się trzęsły, nie mógł skupić wzroku. Bał się dotknąć portretu, żeby nie zepsuć tego, co już udało mu się uzyskać. Dzieło tak łatwo może się wymknąć swemu twórcy - wystarczy kilka niewprawnych maźnięć pędzlem (na twarzy, na obrazie innego malarza) i jest nie do odzyskania. Postanowił na razie je zostawić, odpocząć i zebrać siły na następny dzień.

*

Śniło mu się, że jest chory. Leżał w łóżku nagi, przykryty cienkim prześcieradłem i wstrząsany dreszczami, od których zęby mu szczękały. Z sufitu od czasu do czasu padał śnieg, który nie topił się na jego skórze, bo była zbyt zimna. Przyszli do niego goście, którym próbował wytłumaczyć, jak bardzo marznie, ale jego głos nie miał żadnej mocy;

słowa ulatywały mu z piersi jak westchnienia, jakby rozpaczliwie walczył o ostatni oddech przed śmiercią. Zaczął się bać, że zapadł na jakąś śmiertelną chorobę i zaraz umrze. Przysypie go śnieg. Musiał coś zrobić, musiał wstać z łóżka i udowodnić żałobnikom, że za bardzo się pospieszyli.

Z wysiłkiem przesunął dłonie na skraj materaca, próbując się dźwignąć, ale pościel była wilgotna i śliska od potu. Nie mógł znaleźć solidnego oparcia. Wpadł w panikę i zrozpaczony zaczął dyszeć jeszcze gwałtowniej niż do tej pory. Drzwi były otwarte, wszyscy żałobnicy wyszli. Słyszał ich, jak rozmawiają i śmieją się w sąsiednim pomieszczeniu. Słońce padało na próg jego pokoju. Po sąsiedzku panowało lato, a tu - ziąb, który mroził mu serce, z każdą chwilą coraz bezwzględniej biorąc go w posiadanie. Przestał udawać Łazarza. Rozluźnił się, położył dłonie płasko na pościeli, przymknął oczy. Serce biło mu coraz mniej rytmicznie. Gwar w pokoju obok ścichł do niewyraźnego pomruku, na dworze zerwał się wiatr, gałęzie chrobotwały o szyby. Czyjś głos wzbił się ponad inne w modlitwie; ktoś inny szlochał. Czym był spowodowany ten smutek? Na pewno nie jego śmiercią. Zbyt mało znaczył, żeby zasłużyć na taki lament. Otworzył oczy. Łóżko zniknęło, śnieg również. W blasku pioruna ujrzał sylwetkę mężczyzny, który wyglądał przez okno. Szalała burza.

- Możesz sprawić, bym zapomniał? - Gentle usłyszał swój głos. - Znasz taką sztuczkę?

- Naturalnie - dobiegła go cicha odpowiedź. - Ale nie chcesz tego.

- Nie, chcę śmierci, ale dziś za bardzo się jej boję. To właśnie jest prawdziwa choroba, lęk przed śmiercią. Zapominając, jakoś wytrzymam. Pozwól mi zapomnieć.

- Na jak długo?

- Do końca świata.

Następna błyskawica wypaliła sprzed jego oczu sylwetkę mężczyzny, a chwilę później całą scenę. Wszystko zniknęło. Zamrugał, żeby pozbyć się spod powiek powidoku okna i mężczyzny. W tej samej chwili przekroczył granicę snu i jawy.

W pokoju było zimno, ale nie tak lodowato, jak na jego łożu śmierci. Usiadł i wbił wzrok najpierw w swoje brudne ręce, a potem w okno. Była jeszcze noc, ale z Edgware Road dobiegał uspokajający warkot samochodów. Koszmar rozptywał się, rozwodniony widokami i odgłosami świata.

Gentle wyplątał się z pościeli i poszedł do kuchni poszukać czegoś do picia. W lodówce znalazł karton mleka. Wypił duszkiem, chociaż było na wpół skwaśniałe, otarł usta i wrócił obejrzeć obraz. Intensywność przeżyć sennych nie pozwoliła mu jednak niczego w nim zobaczyć; nie dało się przywołać postaci zabójcy za pomocą tak prostackiej magii. Mógłby namalować dziesięć, dwadzieścia, sto portretów i nie uchwycić zmienności Pie'oh'paha. Beknął i poczuł w ustach smak kwaśnego mleka. Co powinien zrobić? Zamknąć się gdzieś i czekać, aż wypali się w chorobie, którą zaszczepił w nim widok zabójcy? Czy raczej obmyć się, wypachnić i poszukać twarzy, które oddzieliłyby go od wspomnień? Oba pomysły były skazane na klęskę. Zostawało mu jeszcze jedno, najbardziej niepokojące, wyjście: znaleźć Pie'oh'paha, wypytać o wszystko, nasycić się nim i rozproszyć wszelkie wątpliwości.

Nie odrywając oczu od obrazu, rozważał w myślach tę możliwość. Jak go znaleźć? Na pewno należało zacząć od rozmowy z Estabrookiem, co nie powinno być trudne. Potem musiałby przeczesać miasto w poszukiwaniu miejsca, którego Estabrook, jak twierdził, nie pamiętał. Właściwie też prosta sprawa. Lepsze to niż kwaśne mleko i jeszcze kwaśniejsze sny.

Zdawał sobie sprawę, że światło poranka może odebrać mu klarowność myśli, i postanowił zawczasu odciąć sobie przynajmniej jedną drogę ucieczki. Wycisnął na dłoń grubą gąsienicę kadmowej żółci i wtarł ją w jeszcze wilgotne płótno. Twarze kochanków natychmiast zniknęły, ale nie poprzestał na tym i rozmazał farbę po całym obrazie. Żółć przez chwilę walczyła o należyty jej blask, ale wkrótce zbladła, zmieszana z mrokiem, który usiłowała przesłonić. Kiedy skończył, płótno wyglądało tak, jakby nikt nigdy nie próbował malować na nim Pie'oh'paha.

Zadowolony cofnął się i znów beknął. Mdłości już mu nie dokuczały. Czuł się dziwnie podniesiony na duchu. Może jednak skwaśniałe mleko wyszło mu na dobre.

2

Pie'oh'pah siedział na schodkach swojej przyczepy i patrzył w niebo. W przyczepie spała jego przybrana żona i adoptowane dzieci. Gwiazdy świeciły na nocnym niebie, za

zasłoną żółtawej od lamp sodowych chmury. W swoim długim życiu Pie'oh'pah rzadko bywał tak samotny jak w tej chwili. Odkąd wrócił z Nowego Jorku, trwał w stanie dziwnego wyczekiwania. Coś miało się wydarzyć, coś ważnego dla niego i dla jego świata, a on nie wiedział co. Cierpiał z tego powodu. W obliczu nadchodzących zdarzeń będzie bezradny, dawne umiejętności w nim zanikły. Skończyły się dni, kiedy umiał z powietrza odczytać przyszłość. Stawał się coraz bardziej więźniem terażniejszości - a i ona, i ciało, które obecnie zajmował, były dalekie od niegdysiejszej wspaniałości. Tak dawno z nikim nie czuł takiej wspólnoty jak z Gentle'em, nie traktował czyichś pragnień jak świętej mowy ciała, że niemal zapomniał, jak to się robi. Żądza płonąca w Gentle'u była jednak dość silna, żeby mu to przypomnieć. Co prawda, koniec był niezbyt udany, ale Pie'oh'pah nie żałował tych skradzionych życiu minut. Drugie takie spotkanie mogło się nigdy nie zdarzyć.

Wyszedł na granicę obozu. Brzask zaczynał z wolna zwyciężać mrok. Któryś z obozowych kundli wrócił właśnie po nocy pełnej przygód, przecisnął się między arkuszami zardzewiałej blachy i podbiegł, merdając ogonem. Pie pogłaskał psa po pysku i za potarganymi w bojach uszami. Żałował, że sam nie potrafi tak łatwo odnaleźć drogi do domu i swojego pana.

3

Esmond Bloom Godolphin, świętej pamięci ojciec Oscara i Charlesa, często powtarzał, że człowiek nigdy nie ma za wiele kryjówek. Z wielu maksym E.B.G. ta właśnie najbardziej podziałała Oscarowi na wyobraźnię. W Londynie miał cztery miejsca zamieszkania. Oprócz domu w Primrose Hill, swej głównej rezydencji, miał kawałek ziemi w Maida Vale, nieduże mieszkanie w Notting Hill oraz lokal, w którym obecnie się znajdował - pozbawiony okien magazyn ukryty w labiryncie rozsypujących się ruder nad Tamizą.

Niechętnie odwiedzał to miejsce - zwłaszcza zaraz po świętach - ale na przestrzeni lat magazyn nieraz udowodnił swą przydatność jako schronienie dla pustkowców, teraz zaś służył jako kaplica dla Dowda. Jego nagie, okryte całunem zwłoki leżały na zimnym

betonie. W misach stojących przy głowie i stopach dymiły aromatyczne zioła ze zboczy Jokalaylau, zgodnie z tamtejszym obyczajem. Pustkowców nie zainteresowało zbyt wiele pojawienie się ciała ich pana. Były prostymi funkcjonariuszami i w ich umysłach zachodziły tylko najbardziej elementarne procesy myślowe. Nie znały żadnych pragnień i żądz, nie czuły głodu ani pragnienia, nie miały ambicji. Całe dnie i noce przesiadywały w magazynie i czekały na polecenia Dowda. Oscar czuł się w ich towarzystwie bardzo nieswojo, ale nie mógł się zmusić do wyjścia przed dokończeniem rytuału. Przyniósł sobie do czytania almanach krykietowy, przy którym zawsze się uspokajał. Od czasu do czasu wstawał i dosypywał ziół do misek. Poza tym mógł tylko czekać.

Minęło półtora dnia, odkąd w pokazowym stylu odebrał Dowdowi życie. Słusznie był dumny ze swojego występu, stratę odczuł jednak boleśnie. Dowd, który leżał teraz przed nim na ziemi, od dwóch stuleci przechodził w spadku z ojca na syna wśród Godolphinów i miał im służyć do końca świata lub do wygaśnięcia rodu Joshuy. A był dobrym sługą. Któż inny przyrządziłby taką świętą whisky z sodą? Kto potrafiłby tak jak on wycierać i pudrować skórę między palcami Oscara, który był szczególnie podatny na grzybicę stóp? Nikt go nie zastąpi i Oscar naprawdę cierpiał, kiedy musiał się posunąć do tak drastycznych środków. Zrobił to jednak, zdając sobie sprawę, że chociaż zachodzi minimalne ryzyko śmierci Dowda, istota taka jak on może przeżyć wypatroszenie - pod warunkiem że szybko i we właściwy sposób odprawi się nad nią rytuał wskrzeszenia. Oscar trochę się na tym znał. Niejeden leniwy wieczór w Yzordderrex spędził na dachu domu Peccable'a, patrząc, jak ogon komety chowa się za wieżami pałacu autarchy. Dyskutowali wtedy o teorii i praktyce znanych w Imajice sztuk, kanonów, pneum i rytuałów. Wiedział, jakimi olejkami nasycić zwłoki Dowda i jakie kwiaty spalić przy ciele. Miał nawet w swoim skarbcu fonetyczny zapis formuł, spisany przez Peccable'a na wypadek śmierci Dowda. Nie wiedział, ile rytuał może potrwać, ale nie był na tyle głupi, żeby przedwcześnie zaglądać pod całun. Mógł tylko czekać i mieć nadzieję, że wszystko zrobił, jak należy.

Cztery minuty po czwartej wreszcie się doczekał. Spod materiału dobiegł go zduszony oddech, a w chwilę później Dowd usiadł. Poruszył się tak gwałtownie i tak - po długim oczekiwaniu - niespodziewanie, że Oscar zerwał się na równe nogi, wypuszczając z rąk almanach i przewracając krzesło. Widział w swoim życiu wiele rzeczy, które

mieszkańcy Piątego Dominium uznaliby za cuda, ale nigdy w tak ponurych okolicznościach - w pustym, ciemnym magazynie, za którego drzwiami zwykły świat ze zgrzytem toczył się naprzód. Wziął się w garść, próbując coś powiedzieć, ale w ustach tak mu zaschło, że językiem mógłby jak bibułą osuszyć zapisaną kartkę. Gapił się bez słowa na Dowda, który ściągnął z siebie całun. Twarz miał całkiem bez wyrazu, jak oczy siedzących pod ścianą pustkowców.

Popelniałem jakiś straszny błąd, pomyślał Oscar. Odtworzyłem ciało, ale duch zniknął bezpowrotnie. Chryste Panie, co teraz?

Dowd patrzył tępo przed siebie, aż nagle - jak pacynka, w którą ktoś włożył dłoń, nadając jej pozory życia i wolnej woli - podniósł głowę i jego twarz nabrała wyrazu. A wyrażała tylko jedno: wściekłość. Dowd zmrużył oczy i powiedział, odsłaniając zęby:

- Pan mnie skrzywdził. Wyrządził mi wielkie zło.

Oscar poruszył językiem i do ust napłynęła mu odrobina śliny gęstej jak błoto.

- Zrobiłem to, co uznałem za konieczne.

Postanowił, że nie da się potworowi zastraszyć. Joshua spętał Dowda swoją mocą tak, że nie mógł skrzywdzić żadnego Godolphina. Nawet jeśli - tak jak w tej chwili - bardzo chciał.

- Co ja panu zrobiłem, żeby mnie tak upokarzać? - spytał Dowd.

- Musiałem dowieść swojej lojalności wobec Tabula Rasa. Sam rozumiesz.

- Czy moje upokorzenie musi trwać? Czemu jestem nagi?

- Twój garnitur jest brudny.

- Lepszy taki niż żaden.

Ubranie leżało obok, ale Dowd nie ruszył się, by po nie sięgnąć. Oscar zdawał sobie sprawę, że lokaj sprawdza, jak daleko sięga skrucha jego pana, lecz postanowił podjąć grę. Przesunął garnitur bliżej Dowda.

- Wiedziałem, że nożem cię nie zabiję - powiedział.

- Ja nie - odparł Dowd. - Ale nie w tym rzecz. Odegrałbym tę scenę razem z panem, jeśli o to panu chodziło. Zrobiłbym to chętnie, byłbym niewolniczo posłuszny. Wszedłbym na scenę i zginął dla pana. Ale pan zaplanował wszystko za moimi plecami. Musiałem cierpieć jak zwyczajny bandyta.

- Nie mogłem ryzykować, że połapią się w naszej grze. Gdyby zaczęli

podejrzewać, że wszystko ustawiłem...

- Ach, rozumiem... - mruknął Dowd. Oscar nie zdawał sobie sprawy, że tym usprawiedliwieniem mimowolnie pograżył się jeszcze bardziej. - Nie wierzył pan w mój talent aktorski. Grałem główne role we wszystkich dramatach Quexosa, w komediach, tragediach, farsach, a pan nie ufał mi na tyle, żeby dać mi odegrać scenkę z umieraniem!

- Zgoda, myliłem się.

- Wydawało mi się, że rana od noża była wystarczająco bolesna, ale to...

- Proszę, przyjmij moje przeprosiny. Zachowałem się grubiańsko i niepotrzebnie cię skrzywdziłem. Jak mogę ci to wynagrodzić, co? Mów śmiało, Dowdy. Czuję, że zawiodłem twoje zaufanie i muszę to naprawić. Mów, zrobię, co zechcesz.

- To nie takie proste. - Dowd pokręcił głową.

- Wiem, ale od czegoś trzeba zacząć. Mów.

Dowd długo dumiał ze wzrokiem utkwionym w ścianę.

- Zacznę od tego zabójcy - powiedział w końcu. - Pie'oh'paha.

- Czego chcesz od mistyfa?

- Chcę go dręczyć, upokorzyć, a potem zabić.

- Dlaczego?

- Powiedział pan, że mam wolny wybór. Miałem mówić śmiało.

- Masz wolną rękę w tej kwestii - zgodził się Oscar. - To wszystko?

- Na razie, bo nie wątpię, że z czasem wypłynie coś jeszcze. Po śmierci przyszły mi do głowy różne dziwne pomysły, ale wrócę do nich w swoim czasie.

ROZDZIAŁ 14

1

O ile wydobyć z Estabrooka szczegółów nocnej eskapady, która zawiodła go do Pie'oh'paha, miało jeszcze przysporzyć Gentle'owi kłopotu, o tyle samo spotkanie z Estabrookiem wydawało się dość proste. Kiedy w południe udał się do jego domu, wszystkie zasłony w oknach były starannie zaciągnięte. Przez kilka minut na przemian pukał i dzwonił, ale nie doczekał się odpowiedzi. Doszedł do wniosku, że Estabrook widocznie udał się na przechadzkę, toteż poszedł coś zjeść. Burczenie w brzuchu, tak lekceważąco potraktowanym poprzedniego wieczoru, odbijało się echem w pustym żołądku. W Boxing Day, naturalnie, wszystkie kafejki i restauracje były pozamykane, ale udało mu się znaleźć mały sklepik prowadzony przez rodzinę Pakistańczyków, która robiła złoty interes, zaopatrując chrześcijan w czerstwy chleb, żeby mieli się czym przełamać. Mimo że większość towarów zdażyła zniknąć z półek, sklepik kusił paradą stymulatorów próchnicy. Gentle kupił czekoladę, biszkopty i ciasto, zamierzając opchać się słodyczami. Znalazł sobie ławeczkę, usiadł i zaczął zaspokajać głód. Ciasto było jak na jego gust nieco zbyt ciężkie i wilgotne, pokruszył je więc na kawałki i rzucił gołębiom. Wieści o darmowej wyzerce szybko się rozeszły i prywatny piknik zmienił się w hałaśliwe zebranie. Zamiast chleba i ryb, które uspokoiłyby tłum, Gentle rzucił między uczujących resztki biszkoptów i wrócił do domu Estabrooka, pocieszając się czekoladą. W jednym z okien na piętrze dostrzegł ruch, toteż nie bawił się już w dzwonienie do drzwi, lecz zawołał:

- Chcę pogadać, Charlie! Wiem, że jesteś w domu. Otwórz!

Estabrook nie dawał znaku życia, więc Gentle podniósł głos. W wolny dzień nie musiał przekrzykiwać samochodów; jego głos brzmiał donośnie i czysto jak dźwięk rogu.

- Charlie, otwórz! A może chcesz, żebym opowiedział sąsiadom o naszej cichej

umowie?

Tym razem zasłonę odciągnięto na bok i Gentle'owi mignęła twarz Estabrooka - tylko mignęła, gdyż okno natychmiast zostało zasłonięte. Gentle czekał cierpliwie. W chwili, gdy gotów był znów zacząć pokrzykiwać na gospodarza, usłyszał szcęk zamka w drzwiach frontowych. Estabrook stanął na progu, bosy i łysy. Gentle przyglądał mu się zaskoczony. Nie wiedział, że Estabrook nosi tupecik. Teraz jego twarz była okrągłutka i błada jak talerz, a jej rysy upodabniały się do składników dziecięcego śniadania: oczy jak jajka, nos jak pomidor, wargi jak cienkie kielbaski. Wszystko to polane tłustym sosem strachu.

- Chyba czas, żebyśmy porozmawiali - stwierdził Gentle i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka.

Nie zamierzał Estabrooka oszczędzać. Od razu na wstępie dał mu jasno do zrozumienia, że nie wpadł z towarzyską wizytą. Chciał się dowiedzieć, gdzie może znaleźć Pie'oh'paha, i nie zamierzał dać się zbyć byle czym. Przyniósł nawet stary, podniszczony plan Londynu, żeby wspomóc kulejącą pamięć gospodarza.

- Będziemy tu siedzieć tak długo, aż mi powiesz, gdzie wtedy pojechaliście. Jeśli mnie okłamiesz, przysięgam, że wrócę i skręcę ci kark.

Estabrook zachowywał się jak człowiek, który przeżył wiele dni w strachu, że lada chwila usłyszy czyjeś kroki na progu, i ulżyło mu, kiedy jego gość okazał się zwyczajnym człowiekiem. Oczy wychodziły mu z orbit, przez co jeszcze bardziej upodabniały się do jajek. Ręce mu się trzęsły, gdy przeglądał indeks ulic. Powtarzał półgłosem, że niczego nie jest pewien, ale spróbuje sobie przypomnieć. Gentle nie naciskał zbytnio, pozwolił mu odbyć całą podróż we wspomnieniach i śledził ruch jego palca po planie.

Usłyszał, że jechali Lambeth, potem Kensington i Stockwell. Estabrook nie przypominał sobie, żeby mijali Clapham Common, więc musieli przejechać na wschód od niego, w kierunku Streatham Hill. Pamiętał kościół, zaczął więc szukać na mapie krzyżyka, który by go oznaczał. Znalazł kilka, ale tylko jeden w pobliżu innego charakterystycznego obiektu, który sobie przypominał: torów kolejowych. Stwierdził, że od tego punktu nie potrafi już podać wskazówek, jak jechali. Mógł tylko opisać miejsce, do którego dotarli - porzewiały parkan, przyczepy, ogniska.

- Znajdzie je pan - zapewnił Gentle'a.

- Dobrze by było.

Gentle na razie nie wspomniał, co sprowadza go do Londynu, mimo że Estabrook pytał kilkakrotnie o Judith. Teraz też ponowił pytanie:

- Niech mi pan powie, bardzo proszę. Ja byłem z panem szczerzy, słowo honoru.

Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak ona się czuje?

- Jude ma się znakomicie.

- Mówiła coś o mnie? Na pewno. Co powiedziała? Powtórzył jej pan, że nadal ją kocham?

- Nie jestem pańskim alfonsem - zauważył Gentle. - Sam jej to może pan powiedzieć, jeżeli będzie chciała słuchać.

- Co powinienem zrobić? - Estabrook złapał go pod łokieć. - Pan jest ekspertem w sprawach kobiet, prawda? Wszyscy tak mówią. Jak mógłbym ją przeprosić?

- Byłaby pewnie zadowolona, gdyby pan wysłał jej swoje jaja. Myślę, że mniej poważny gest nie wchodzi w grę.

- Bawi to pana.

- To, że kazał pan zabić żonę? Nie, wcale nie uważam tego za śmieszne. Co innego zmienić zdanie i próbować wszystko odkręcić, żeby znów było cacy. To histeria.

- Proszę poczekać, aż pokocha pan kogoś tak, jak ja kochałem Judith. O ile w ogóle jest pan do tego zdolny, w co wątpię. Aż zapragnie pan kogoś tak bardzo, że będzie pan odchodził od zmysłów. Sam się pan wtedy przekona.

Gentle nie zareagował. Słowa Estabrooka zbyt dobrze opisywały jego obecny stan ducha, czego nawet sam przed sobą nie chciał przyznać. Kiedy jednak wyszedł z domu z planem Londynu w rękę, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Znalazł punkt zaczepienia. Ściemniało się już, zimowy wieczór zamykał miasto w swojej pięści, ale ciemność jest łaskawa dla kochanków, nawet jeśli świat już ich nie lubi.

2

W południe, gdy nocny niepokój bynajmniej nie ustępował, Pie'oh'pah podsunął Theresie myśl, że może powinni wynieść się z obozowiska. Przyjęła jego propozycję bez

entuzjazmu. Młodsze dziecko nabawiło się kataru i płakało bez przerwy, odkąd się obudziło, a starsze właśnie dostało gorączki. Nie pora wyjeżdżać, stwierdziła Theresa zdecydowanie, nawet gdyby mieli gdzie się podziać - a nie mieli. Zabierzemy przyczepę, powiedział Pie'oh'pah; pojedziemy za miasto, choćby na wybrzeże, gdzie jest świeże powietrze. Dzieciom dobrze by zrobiło. To się Theresie spodobało. Jutro, powiedziała, może pojutrze. Nie dziś.

Pie upierał się jednak przy swoim, aż zapytała, czym się tak denerwuje. Nie miał gotowej odpowiedzi - w każdym razie nie taką, którą by zaakceptowała. Właściwie go nie znała, nie wypytywała o przeszłość. Był dla niej opiekunem, człowiekiem, dzięki któremu jej dzieci nie głodowały, a ona miała się do kogo przytulić w nocy. Pytanie jednak pozostało, postarał się więc odpowiedzieć najlepiej, jak mógł:

- Boję się o nas.

- Chodzi o tego starucha, prawda? Tego, który tu niedawno do ciebie przyjechał.

Kto to był?

- Miał dla mnie robotę.

- Wykonałeś ją?

- Nie.

- Boisz się, że wróci, tak? Poszczujemy go psami.

Słuchanie jej prostych, rozsądnych pomysłów wpływało na niego kojąco, nawet jeśli - tak jak w tym wypadku - niczego nie rozwiązywały. Jego umysł mistyfa zbyt łatwo dawał się czasem ponieść wątpliwościom, które drzemały w duszy. Theresa go powstrzymywała, przypominała, że przybrał twarz, konkretną rolę i płęć; należał do stałego świata dzieci, psów i zapachu pomarańczy. Tu nie było miejsca na poezję. Między brutalnym świtem i niepewnym zmierzchem brakowało czasu na luksusy wątpliwości i spekulacji.

Zapał właśnie jeden z takich zmierzchów. W przyczepie Theresa usypiała maleństwa. Dobrze sypiały. Pie'oh'pah znał zakłęcie, które zostało mu z czasów, gdy władał wielką mocą. Dbał o nie. Nasycał poduszkę modlitwą, żeby osłodziła sny tego, kto przyłoży do niej głowę. Jego maestro często prosił o tę przysługę, a Pie nadal - po dwustu latach - potrafił ją wyświadczyć. Theresa kładła dzieci na puchu przesyconym kołysankami, które zabierały je do lepszego, jasnego świata.

Kundel, którego w porannej szarudze spotkał przy ogrodzeniu, rozszczeł się jak opętany. Jego właściciela Pie prawie nie znał; porywczy Szkot znęcał się nad psem, ilekroć udało mu się go dogonić. Pie podszedł do kundla, by go uciszyć; hałas mógł zwabić zapitego Szkota.

- O co chodzi, piesku? - szepnął Pie'oh'pah, drapiąc go między potarganymi w bojach uszami. - Masz tam gdzieś panienkę?

Zerknął w stronę parkanu. W cieniu za jedną z przyczep mignęła mu ludzka sylwetka. Pies również ją dostrzegł i zaczął ujadać. Pie wstał.

- Kto tam?! - zawołał.

Z drugiego krańca obozu dobiegł go plusk wody. Nie, nie wody. Poczł zapach benzyny. Odwrócił się w stronę swojej przyczepy. Na rolecie odbijał się cień Theresy, która wyłączała właśnie nocną lampkę przy dziecinnym łódeczku. Stamtąd też załatywało benzyną. Pie spuścił psa z uwięzi.

- Bierz go, mały! Bierz go!

Pies ujadając popędził za człowiekiem, który przecisnął się właśnie przez dziurę w ogrodzeniu. Pie rzucił się biegiem do przyczepy, wołając Theresę.

Ktoś z tyłu krzyknął, żeby się zamknął, do cholery, ale jego głos zginął w huku podwójnego wybuchu i blasku dwóch ognistych obłoków, które rozświetliły całe obozowisko. Pie usłyszał krzyk Theresy. Wokół ich przyczepy wykwitły płomienie. Rozlane paliwo było tylko zapalnikiem - zanim Pie przebiegł następne dziesięć metrów, pod przyczepą eksplodował zbiornik z benzyną. Siła wybuchu uniosła przyczepę z ziemi i przewróciła na bok.

Ściana gorąca odrzuciła go do tyłu. Zanim pozbiarał się i wstał na nogi, przyczepa zmieniła się w ognisty stos. Rzucił się w jej stronę, nie bacząc na rozpalone powietrze. Usłyszał czyjś płacz i dopiero po chwili zorientował się, że szloch wydarł się z jego piersi. Zapomniał już, że jest zdolny wydać taki odgłos, ale dźwięk brzmiał znajomo. Był przepojony bezbrzeżnym smutkiem.

*

Gentle dostrzegł właśnie kościół, który był ostatnim punktem orientacyjnym Estabrooka, gdy z przodu nagle rozkwitł dzień, jakby słońce postanowiło zniecka wypalić noc. Jadący przed nim samochód skręcił ostro i Gentle, chcąc uniknąć zderzenia,

musiał wjechać na chodnik. Ledwie wyhamował, zatrzymując się dosłownie o centymetry od ściany kościoła.

Wysiadł i szybkim krokiem ruszył w kierunku pożaru. Kiedy skręcił na skrzyżowaniu, znalazł się na wprost chmury dymu, która kłębiła się i pełzła po ziemi, cały czas zasłaniając mu widok. Zaczął biec. Zobaczył zardzewiały metalowy parkan, a za nim skupisko przyczep kempingowych. Większość z nich stała już w ogniu. Poznał z opisu Estabrooka, że tu właśnie mieszka Pie'oh'pah. Śmierć uprzedziła go niczym cień, który kładł się przed nim na ziemi - za jego plecami płonęło światło jeszcze jaśniejsze niż ogień w obozowisku. Wiedział, że ta druga poświata ma coś wspólnego z nim i Pie'oh'pahem. Pierwsza iskra przeskoczyła, gdy spotkali się na Piątej Alei. Ta właśnie iskierka rozpałała gniew, który zmusił go do rozprawy z płótnem na sztalugach. Ogień zapłonął najjaśniej we śnie, w tym pokoju, który sobie wymyślił (albo przypomniał) i w którym błagał Pie'oh'paha o zapomnienie. Jakie potworne doświadczenia ich łączyły, że wolał zapomnieć całe życie, niż żyć z takimi wspomnieniami? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że tragedia, której jest świadkiem, stanowi ich przedłużenie. Żałował, że nie może cofnąć decyzji o pozbyciu się wspomnień i dowiedzieć się, jaką popełnił zbrodnię. Zbrodnię, za którą niewinni ludzie muszą tak cierpieć.

Obozowisko zmieniło się w piekło. Wiatr podsycił płomienie, które pochłaniały kolejne ciała. Gentle biegł w stronę ognia. Oczy piekły od dymu, łzy ciurkiem płynęły mu po twarzy. Nie interesowało go, czy przeżyje - wiedział tylko, że gdzieś w tym piekle znajduje się Pie'oh'pah. Gdyby teraz go stracił, równie dobrze mógłby umrzeć.

Ocalała żałosna garstka mieszkańców. Minał ich, kierując się ku wyrwie w ogrodzeniu, przez którą uciekli. Chwilami widział, dokąd biegnie, chwilami poruszał się na oślep; wiatr to rozwiewał dym, to dmuchał nim w twarz. Gentle zarzucił sobie skórzaną kurtkę na głowę, żeby jakoś osłonić się przed gorącym, i zanurkował w dziurę w parkanie. Zaraz za nią napotkał ścianę ognia, nie miał szans się przedrzeć. Skręcił w lewo, gdzie udało mu się znaleźć lukę między dwoma płonącymi samochodami. Schylił się, przemknął między nimi i znalazł się w samym środku obozu. Czuł odór spalonej skóry. Plac, na którym się zatrzymał, był względnie wolny od ognia, ze wszystkich stron otaczał go jednak wściekły żywioł. Tylko trzy przyczepy nie płonęły, ale zanosilo się na to, że zmienny wiatr lada chwila poniesie ogień w ich stronę. Gentle nie miał pojęcia, ilu

ludzi zdołało uciec, zanim pożar rozszalał się na dobre, teraz jednak dla nikogo nie było już nadziei. Żar stał się niemal nie do zniesienia, bił ze wszystkich stron, gotował mu mózg i roztopiał myśli. Gentle wciąż miał jednak przed oczami istotę, której szukał. Był zdecydowany nie opuszczać pogorzeliiska, dopóki nie dotknie jej twarzy - lub nie zdobędzie pewności, że zmieniła się w popiół.

Z chmury dymu wybiegł ujadający pies. Kiedy mijał Gentle'a, nowy słup ognia przeciął mu drogę i spanikowany kundel zawrócił. Gentle podążył jego śladem w ognisty chaos. Biegając, wykrzykiwał imię Pie, chociaż każdy kolejny wdech palił go w płucach i głos brzmiał coraz bardziej chrapliwie. Nawet jeśli istniała jakaś droga ucieczki, nie wiedział, gdzie jej szukać. Zewsząd otaczał go ogień.

Gdzieś z przodu znów usłyszał szczekanie. Przyszło mu do głowy, że może jedyną istotą, jaką dane mu będzie ocalić z pożogi, jest pies. Pognał za kundlem. Łzy płynęły mu po policzkach. Bez przerwy się potykał, bo nierówny grunt rozmazywał mu się przed oczami. Szczekanie ucichło, stracił punkt odniesienia, ale mógł tylko biec naprzód i mieć nadzieję, że pies jeszcze żyje. Żył. Śmiertelnie przerażony przysiadł na zadzie.

Gentle nabrał powietrza w płuca, żeby go zawołać, i w tej samej chwili ujrzał postać wynurzającą się z dymu. Ogień nie oszczędził Pie'oh'paha, ale przynajmniej go nie zabił. Oczy mu łzawiły, miał krew na wargach, szyi i rękach. W ramionach trzymał jakieś smętne zawiniątko. Dziecko.

- Jest ktoś jeszcze?! - krzyknął Gentle.

Pie obejrzał się przez ramię na płonące szczątki przyczepy. Zamiast parzyć sobie płuca i odzywać się ponownie, Gentle ruszył biegiem w jej kierunku. Pie złapał go za ramię i podał mu dziecko.

- Weź ją.

Gentle odrzucił kurtkę i wziął małą na ręce.

- Uciekaj! - powiedział Pie. - Zaraz pobiegnę za tobą!

Nie czekając, aż Gentle go posłucha, zawrócił w stronę płonącej przyczepy.

Gentle spojrzał na dziecko - miało poczerniałą skórę i było całe we krwi, prawdopodobnie nie żyło, ale jeżeli się pospieszy, może jeszcze uda się je reanimować. Tylko którądy biec? Nie mógł zawrócić, przed sobą także miał ścianę ognia. Po krótkim wahaniu skręcił w lewo - stamtąd dobiegało czyjeś pogwizdywanie. Nie rozumiał, po co

ktoś miałby teraz gwizdać, ale to przynajmniej dowodziło, że gdzieś tam można swobodnie zaczerpnąć tchu.

Pies biegł mu przy nodze, lecz po paru krokach stanął jak wryty i zaczął się cofać, mimo że z przodu powietrze z każdym krokiem robiło się coraz chłodniejsze, a tuż-tuż rysowała się przestrzeń wolna od ognia.

Wolna od ognia, ale nie pusta. Zza jednego ze stosów wynurzyła się jakaś postać. Cały czas pogwizdywała, mimo że włosy jej płonęły, a dłonie, które trzymała w górze, zmieniły się w dymiące kikuty. Idąc, odwróciła głowę i spojrzała w stronę Gentle'a.

Melodia, którą gwizdała, była zupełnie nijaka, ale w porównaniu z tym spojrzeniem mogła wydawać się piękna. Oczy tej dziwnej istoty przypominały zwierciadła, w których odbijał się pożar - same płonęły i dymiły. Gentle zdał sobie sprawę, że ma przed sobą podpalacza. Dlatego stwór pogwizdywał, chociaż jego ciało płonęło - dla niego to był raj. Odwrócił wzrok ku płomieniom i wszedł w chmurę dymu. Droga do ogrodzenia stała otworem. Gentle'owi od chłodniejszego powietrza zakręciło się w głowie. Potknął się, ale nie wypuścił dziecka z rąk. Postanowił za wszelką cenę wynieść je bezpiecznie na ulicę, w czym pomogli mu dwaj strażacy w maskach tlenowych, którzy wybiegli mu na spotkanie. Jeden odebrał od niego małą, a drugi podtrzymał go, gdy nogi się pod nim ugięły.

- Tam są jeszcze żywi ludzie! - krzyknął Gentle, skinieniem głowy wskazując piekło za plecami. - Trzeba ich ratować!

Strażacy wyprowadzili go za parkan, na ulicę. Tam zajęli się nim pielęgniarze z noszami i kocami. Powtarzali mu, że jest bezpieczny i wszystko będzie dobrze, ale wiedział, że nic nie będzie dobrze, dopóki Pie pozostaje w samym środku pożaru. Zrzucił koc i odsunął podtykaną mu pod nos maskę tlenową, twierdząc uparcie, że nie potrzebuje pomocy. Nikt nie tracił czasu, by go przekonać, że się myli. Potrzebujących było zbyt wielu - wszędzie kręcili się zapłakani, zrozpaczeni ludzie. Syreny karetok wyły ogłuszająco. Gentle widział wiele ciał leżących na chodniku, przykrytych zaimprovizowanymi naprędce całunami, spod których sterczały zwęglone kończyny. Odwrócił się plecami do tej makabrycznej sceny i zaczął iść wzdłuż ogrodzenia.

Strażacy zrywali arkusze blachy z płotu, żeby zrobić miejsce dla węży strażackich, które kłębiły się na ulicy jak parzące się żmije. Silniki pomp ryczały głośno, tłocząc

wodę. Niebieskie, migające światła wozów strażackich ginęły w oślepiającym blasku ognia. Na ulicy zebrał się tłum, który wiwatował głośno, gdy udało się obalić znaczny kawał parkanu i snop iskier strzelił w niebo. Strażacy podeszli bliżej i wycelowali węże w serce żywiołu. Gentle ruszył dalej. Kiedy znalazł się naprzeciwko wyrwy w parkanie, ogień w kilku miejscach już udało się opanować. W niebo wzbijały się słupy dymu i pary. Wypatrywał znaku życia na pogorzeli, aż pojawienie się następnej ekipy i dwóch wozów strażackich zmusiło go do powrotu na poprzednie miejsce.

Nigdzie nie dostrzegł śladu Pie'oh'paha - ani wśród ofiar, ani wśród tych, którzy przeżyli. Ogień przegrywał walkę z wodą, dym jednak gęstniał i kiedy Gentle zatrzymał się przy leżących na chodniku ciałach - ich liczba przez ten czas się podwoiła - niewiele było widać. Czy gdzieś tu leży Pie'oh'pah? Nagle poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Policjant o twarzy śpiewającego sopranem chłopca - gładkiej, a przy tym zatroskanej - zapytał:

- Czy to ty wyniosłeś małą dziewczynkę z pożaru?

- Ja. Co z nią?

- Przykro mi, stary, nie żyje. To twój dzieciak?

- Nie. - Gentle pokręcił głową. - Widziałem jeszcze jedną osobę, czarnoskórego faceta z długimi kręconymi włosami. Miał krew na twarzy. Wyszedł stamtąd?

- Nikogo takiego nie widziałem.

Gentle spojrział na ułożone na ziemi zwłoki.

- Tu nie ma sensu szukać - uprzedził go policjant. - Zresztą teraz oni wszyscy są czarni.

- Muszę ich obejrzeć.

- Powtarzam, to nie ma sensu. Nikogo nie rozpoznasz. Może pójdziesz ze mną do karetki? Trzeba cię opatrzyć.

- Nie, muszę szukać - uparł się Gentle. Chciał odejść, ale policjant złapał go za ramię.

- Nie zbliżaj się do parkanu. Coś jeszcze może wybuchnąć.

- Ale on tam może tam być.

- Jeśli rzeczywiście masz rację, to chyba już po nim. Jest niewielka szansa, że jeszcze ktoś przeżył. Cofnij się za nasz kordon. Stamtąd możesz bezpiecznie patrzeć.

Gentle uwolnił się z jego uścisku.

- Sam pójdę - burknął. - Nie potrzebuję eskorty.

Po godzinie udało się opanować pożar. Przez ten czas Gentle mógł tylko stać i patrzeć. Karetki przyjeżdżały i odjeżdżały, zabierając ostatnich poszkodowanych, a potem zmarłych. Sopranista miał rację, że zgłiszcz nikogo już nie wyniesiono - żywego ani martwego, mimo że Gentle odczekał, aż tłum (nie licząc największych spóźnialskich) rozproszył się, a strażacy ugasiли ogień. Dopiero kiedy z pogorzelniska wyszedł ostatni strażak, a wężom odcięto wodę, stracił resztki nadziei. Dochodziła druga nad ranem. Nogi i ręce ciążyły mu ze zmęczenia, ale w porównaniu z ciężarem, jaki zaległ mu w piersi, ważyły tyle co nic. „Ciężkie serce” to nie tylko poetycka metafora, Gentle miał wrażenie, jakby zmieniło mu się w ołów i kaleczyło wnętrze.

Wracając do samochodu, usłyszał gwizd - ten sam monotony świst, przenikający gęste od dymu i sadzy powietrze. Zatrzymał się i rozejrzał na wszystkie strony, ale nie zobaczył nikogo. Nie miał siły na poszukiwania i gonitwę. Zresztą gdyby tego kogoś dopadł, potrząsnął za klapy i zagroził, że połamie mu wszystkie osmolone gnaty, co by to dało? Jeżeli nawet istota przejęłaby się jego groźbą (a stwór, który pogwizduje sobie, kiedy jego ciało płonie, bólu się pewnie nie boi), nie zrozumiałby jej odpowiedzi. Z podobnych przyczyn nie rozumiał listu Chanta. I Chant, i tajemniczy stwór uciekli z jakiegoś nieznanego kraju, o którego granicę Gentle otarł się w Nowym Jorku; ze świata, w którym mieszkał bóg imieniem Hapexamendios i w którym urodził się Pie'oh'pah. Obiecał sobie, że prędzej czy później dowie się, jak tam trafić, a wtedy pozna wszystkie tajemnice - sekret gwizdzącego, sekret listu i sekret kochanka. Może nawet uda mu się przeniknąć tę tajemnicę, którą prawie codziennie widywał w lustrze przy goleniu. Do niedawna wydawało mu się, że świetnie zna tę twarz. Dopiero ostatnio zrozumiał, że zapomniał do niej szyfru i bez pomocy nieznanego bogów nigdy go nie odzyska.

3

Wróciwszy do domu w Primrose Hill, Godolphin nie położył się spać, lecz do rana słuchał doniesień z miejsca tragedii. Liczba ofiar rosła z każdą godziną. Każdy miał

swoją teorię na temat przyczyn pożaru; eksperci wykorzystywali okazję, żeby skomentować niewystarczające środki bezpieczeństwa na polach kempingowych, gdzie koczują robotnicy sezonowi. Żądali też powołania parlamentarnej komisji śledczej, której ustalenia pozwoliłyby uniknąć podobnych tragedii w przyszłości.

Doniesienia mediów były wstrząsające. Zgadza się, pozwolił Dowdowi pozbyć się mistyfa - swoją drogą ciekawe, dlaczego tak mu na tym zależało? - ale Dowd nadużył ofiarowanej mu swobody i należała mu się kara. Nie miał jednak ochoty myśleć o tym w tej chwili. Postanowił poczekać, wybrać odpowiedni moment... Bo laki moment na pewno nadejdzie. Tymczasem przemoc, którą stosował Dowd, potwierdzała, zdaniem Godolphina, niepokojącą prawidłowość. Zmieniały się rzeczy, które wydawały mu się wieczne i niezmiennie. Władza wyslizgiwała się z rąk tym, którzy tradycyjnie ją dzierżyli, i trafiała się ich podwładnym - pomagierom, Chowańcom i funkcjonariuszom, którzy nie umieli się nią posługiwać. Dowodziła tego dzisiejsza katastrofa.

Zaraza dopiero zaczynała się rozprzestrzeniać. Kiedy rozpleni się we wszystkich dominiach, nic jej nie powstrzyma. W Vanaeph i L'Himby już wybuchły powstania, mówiło się o buncie w Yzordderrex, Tabula Rasa szykowała w Piątym Dominium czystkę, która świetnie wpisywała się w krwawą wendetę Dowda. Wszędzie pojawiały się oznaki rychłego rozpadu.

Paradoksalnie, najgroźniejsze z tych objawów przypominały z pozoru próby odbudowy. Na przykład Dowd zmienił twarz, żeby w razie spotkania nikt z członków Tabula Rasa go nie rozpoznał. Robił to przy każdej zmianie właściciela, ale Oscar był pierwszym Godolphinem, który widział przemianę na własne oczy. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że Dowd specjalnie chciał się popisać swoimi zdolnościami zmiany kształtu, które potwierdzały jego rosnące wpływy. Udało mu się. Widok tak znajomych rysów, które rozpływają się i zastygają zgodnie z wolą właściciela, był jednym z najbardziej wstrząsających spektakli w życiu Godolphina. Twarz, na którą ostatecznie zdecydował się Dowd, nie miała wąsów ani brwi, była smuklejsza i młodsza od poprzedniej. Idealne oblicze faszysty. Dowd musiał się zorientować, jakie robi na ludziach wrażenie, bo utlenił włosy i kupił kilka nowych garniturów - morelowych, ale znacznie bardziej tradycyjnie skrojonych niż te, które nosił dotychczas. Równie wyraźnie jak Oscar wyczuwał zbliżające się zaburzenia, czuł zepsucie toczące państwo i szykował

się na nadejście Nowej Prostoty.

A jakie narzędzie nadawało się lepiej do jej zaprowadzenia niż ogień - szczęście dla palacza ksiązek i rozkosz dla inkwizytora? Oscar wzdrygnął się na myśl, jaką przyjemność sprawił Dowdowi nocny pożar i zamordowanie z zimną krwią niewinnych ludzi. Wszystko po to, by dopaść mistyfa. Dowd na pewno przyjdzie do domu zapłakany i powie, że żałuje krzywdy, jaką wyrządził dzieciom, ale będzie grał, udawał. Był ucieleśnieniem oszustwa i Godolphin wiedział, że od tej pory musi się mieć na baczności. Lata spokoju dobiegły końca. Musi zacząć zamykać drzwi do sypialni.

ROZDZIAŁ 15

1

Wściekła na Estabrooka Judith rozważała kilka możliwych wariantów zemsty - od krwawej i nad wyraz osobistej, po bardziej klasyczną i bezosobową. Jednak jej własna natura znów ją zaskoczyła. Pomysły, w których główną rolę odgrywały sekatory i inne narzędzia kary, szybko ustąpiły miejsca świadomości, że najbardziej skrzywdzi Estabrooka - pod warunkiem że jej samej nic już nie groziło - ignorując go całkowicie. Po co dawać mu satysfakcję, że w ogóle się nim interesuje? Niech stanie się niegodny nawet jej pogardy. Opowiedziawszy całą historię Taylorowi i Clemowi, nie potrzebowała nowych słuchaczy. Od tej pory jego imię nie zbruka więcej jej ust. Tak poprzysięgła sobie w duchu. Trudniej było dotrzymać słowa - w Boxing Day zadzwonił po raz pierwszy, dając początek całej serii telefonów. Rozłączyła się, gdy tylko rozpoznała jego głos. Nie brzmiał tak stanowczo jak dawniej i musiała chwilę porozmawiać, zanim zorientowała się, kto dzwoni. Pstryknęła w widelki i do końca dnia zostawiła słuchawkę obok aparatu. Rano zadzwonił ponownie. Tym razem, na wypadek gdyby miał jednak jakieś wątpliwości, powiedziała wprost:

- Nigdy więcej nie chcę słyszeć twojego głosu.

I rozłączyła się.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że płakał w słuchawkę. Sprawilo jej to niemałą przyjemność i dało nadzieję, że więcej się nie odezwie. Myliła się. Tego wieczoru - wyszła wówczas na imprezę urządzaną przez Chestera Kleina - zadzwonił jeszcze dwukrotnie i zostawił dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. U Kleina usłyszała nowinę o Gentle'u, z którym nie rozmawiała od czasu ich dziwnego rozstania w pracowni. Chester, który po wódce robił się wręcz nieznośny, powiedział jej bez ogródek - Gentle jest na skraju załamania nerwowego. Od świąt rozmawiali dwukrotnie i coraz

trudniej było się z nim dogadać.

- Co się z wami dzieje, mężczyźni? - zdziwiła się. - Tak łatwo się poddajecie.

- To dlatego że jesteśmy bardziej tragiczną z dwóch płci. Boże, kobieto, czy ty nie widzisz, jak cierpimy?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Ale cierpimy. Uwierz mi na słowo. Cierpimy.

- A macie po temu jakieś konkretne powody, czy może jest to takie cierpienie swobodne?

- Jesteśmy odgradzeni od świata. Nic nie może się do nas przebić.

- Tak jak do kobiet. O co...

- Kobiety się rżnie - przerwał jej Klein, wymawiając ostatnie słowo z pijacką przesadą. - A wy to uwielbiacie. Wiem, biadolicie, ale uwielbiacie. No, śmiało, przyznaj się.

- Chodzi ci o to, że mężczyźni też by chcieli, żeby ktoś ich rżnął? Czy mówisz tylko za siebie?

Odpowiedziała jej salwa śmiechu. Otaczała ich spora grupka gości, którzy oderwali się od niezobowiązującej pogawędki, by śledzić fajerwerki.

- Nie dosłownie - odburknął Klein. - Nie słuchasz mnie.

- Słucham, ale mówisz od rzeczy.

- Weźmy na przykład Kościół...

- W dupie mam Kościół!

- Nie, zaczekaj. Ja tu mówię szczerą prawdę, do cholery! - Klein zacisnął zęby. - Jak ci się wydaje, po co mężczyźni wymyślili Kościół? Co?

Jude rozzłościła się do tego stopnia, że nic nie odpowiedziała. Klein mówił więc dalej, powoli, z namaszczeniem, jak do skretyniałej uczennicy:

- Mężczyźni wymyślili Kościół po to, żeby mogli krwawić za Chrystusa. Żeby Duch Święty mógł w nich wejść i ocalić ich przed samotnością. - Skończywszy wykład, odchylił się na oparcie krzesła i uniósł kieliszek. - In wódka veritas - dodał.

- Gównu in wódka - odparła Jude.

- Typowa reakcja - skomentował Klein. - Jak tylko dostajecie w dupę, zaczynacie bluzgać.

Pokręciła z niesmakiem głową, ale Klein miał jeszcze jedną tajną broń:

- Czy nie w ten sposób doprowadziłaś Gentle'a do obłądu?

Zabolało.

- Jego w to nie mieszaj - warknęła.

- Chcesz zobaczyć, co to znaczy, że ktoś jest odgradzony? No to masz gotowy obiekt. On zwariował, wiesz?

- Kogo to obchodzi? Jeśli chce się załamać, droga wolna.

- Jakie to humanitarne z twojej strony.

Jude spięła się cała na te słowa. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze chwila i zupełnie straci panowanie nad sobą.

- Wiem, na czym polega problem Gentle'a - ciągnął Klein. - To anemik. Ma za mało krwi, żeby wystarczyło jednocześnie na mózg i na fiuta. Kiedy mu staje, zapomina, jak się nazywa.

Jude zakręciła kostkami lodu w szklance.

- Nie wiedziałam.

- Z tobą też tak jest? Masz tam, poniżej pasa, coś, o czym nam nie powiedziałaś?

- Nawet gdyby tak było, ty dowiedziałabyś się o tym ostatni. - Chlusnęła drinkiem na odsłonięty w rozcięciu koszuli tors Kleina.

Później oczywiście tego żałowała. Jadąc do domu, zastanawiała się, jak bez przeprosin pogodzić się z Kleinem. Ponieważ nic nie przychodziło jej do głowy, postanowiła na razie o tym zapomnieć. Kłóciła się z nim nie raz i nie dwa, na trzeźwo i po pijanemu; sprzeczki szły w niepamięć po miesiącu, najdalej dwóch.

W domu zastała wiadomości od Estabrooka. Już nie płakał; jego głos brzmiał jak bezosobowy lament, wyprany z prawdziwej rozpacz. Za pierwszym razem nagrał na sekretarkę te same błagania, które słyszała już wcześniej. Mówił, że bez niej postrada zmysły. Błagał o chwilę rozmowy, żeby mógł wszystko wytłumaczyć. Druga wiadomość była mniej spójna - opowiadał, że nie zdawał sobie dotąd sprawy, ile skrywa sekretów, że pogrążają go coraz głębiej i dusi się wśród nich. Może zgodziłaby się z nim spotkać, wpaść z wizytą, chociażby po to, żeby zabrać swoje rzeczy?

To prawdopodobnie był jedyny fragment sceny rozstania, który rozegrałaby inaczej, gdyby ktoś dał jej drugą szansę. W złości zostawiła Estabrookowi sporą kolekcję

osobistych drobiazgów, biżuterii i ubrań. Widziała w wyobraźni, jak płacze nad nimi, obwąchuje je... Cholera! Może nawet je przymierza?! Ale mimo że była zła na siebie za ten moment nieuwagi, nie zamierzała się teraz targować. Kiedy ochłonie, opróżni mu komody i szafy. Ale jeszcze nie teraz.

Tego wieczoru nikt więcej nie dzwonił. Nowy Rok zbliżał się wielkimi krokami i Jude uznała, że najwyższy czas się zastanowić, jak zarobi na życie w styczniu. Kiedy Estabrook się jej oświadczył, rzuciła pracę w Vandenburgu. Dopóki byli razem, swobodnie korzystała z jego pieniędzy, wierząc - naiwnie, bez wątplenia - że jeżeli kiedyś się rozstaną, Estabrook załatwi sprawę, jak przystało na dżentelmena. Nie przewidziała ani dręczącego niepokoju, który kazał jej od niego odejść (nie mogła pozbyć się wrażenia, że stała się jego własnością i jeśli zostanie z nim choćby chwilę dłużej, nigdy już nie wyzwoli się z okowów), ani jego bezlitosnej zemsty. Czuła, że nadejdzie czas, kiedy będzie gotowa na wzajemne obrzucanie się błotem przy okazji rozwodu, ale (podobnie jak z ubraniami) na razie wołała z tym poczekać, mimo że pewnie byłyby z tego jakieś pieniądze. Tymczasem musiała znaleźć jakąś pracę.

Trzydziestego grudnia zadzwonił do niej Lewis Leader, adwokat Estabrooka, którego spotkała tylko raz w życiu, ale taki był wygadany, że na dobre zapadł jej w pamięć. Tym razem jednak zrobił się małomówny. Zaznaczył tylko delikatnie, że jest zde gustowany stylem, w jakim rozstała się z jego klientem. Jego zdaniem jej zachowanie graniczyło z chamstwem. Czy wie o tym, zapytał, że Estabrook jest w szpitalu? Kiedy zaprzeczyła, napomknął, że jest pewien, iż nic jej to nie obchodzi, ale kazano mu przekazać taką właśnie informację. Zapytała, co się stało. Leader odparł krótko, że Estabrooka znaleziono wczesnym rankiem dwudziestego ósmego na ulicy, odzianego tylko w jedną część garderoby. Nie powiedział w jaką.

- Został ranny? - spytała Judith.

- Fizycznie nie, ale psychicznie jest wykończony. Uznałem, że powinna to pani wiedzieć, chociaż on na pewno nie chciałby się z panią spotkać.

- Z pewnością ma pan rację.

- Zasługiwał na coś lepszego.

Tym truizmem Leader zakończył rozmowę, zostawiając Jude do przemyślenia pytanie, dlaczego wszyscy mężczyźni, z którymi się wiązała, popadali w obłąd. Dwa dni

wcześniej usłyszała, że Gentle lada chwila się załamie; teraz Estabrook był na prochach. Czy to jej obecność w ich życiu do tego doprowadziła, czy raczej wrodzone szaleństwo? Pomyślała, że mogłaby zadzwonić do pracowni i spytać Gentle'a, jak się miewa, ale porzuciła ten zamiar. Mógł się kochać ze swoim obrazem i niech ją diabli, jeśli będzie rywalizowała z kawałkiem szmaty o jego względy.

Z telefonu od Leadera wyniknęła przynajmniej jedna użyteczna możliwość działania. Skoro Estabrook znalazł się w szpitalu, mogła spokojnie pojechać do niego do domu i zabrać rzeczy. Był to doskonały pomysł na ostatni dzień grudnia - pozbiere pamiątki swojego życia z legowiska męża i przygotuje się na samotne powitanie Nowego Roku.

Nie zmienił zamków; może miał nadzieję, że któregoś dnia ona wróci i wejdzie mu do łóżka. Mimo to nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że zachowuje się jak złodziejka. Na dworze panowała zimowa szaruga. Jude włączyła wszystkie światła, ale pokoje dziwnie opierały się iluminacji - jak gdyby smród psującej się żywności zagęścił powietrze. Dzielnie zapuściła się do kuchni w poszukiwaniu czegoś do picia, zanim zacznie się pakować. Na stole i blacie wszędzie piętrzyły się talerze z gnijącymi resztkami jedzenia, porcje były prawie nietknięte. Otworzyła najpierw okno, a potem lodówkę, gdzie znalazła dalsze cuchnące zapasy, ale także wodę i lód. Nalała sobie wody do czystej szklanki, wrzuciła trochę lodu i wzięła się do pracy.

Na piętrze panował taki sam bałagan. Po jej odejściu Estabrook musiał prowadzić nędzny żywot - ich niegdyś wspólne łóżko zmieniło się w kłębowisko nieświeżej pościeli, wszędzie po podłodze wałała się brudna bielizna. Jude nigdzie nie dostrzegła swoich ubrań, znalazła je dopiero w sąsiedniej garderobie, równo rozwieszzone i nietknięte. Chcąc jak najszybciej mieć to za sobą, znalazła walizki i zaczęła się pakować. Nie zajęło jej to wiele czasu. Opróżniła szuflady i spakowała drobiazgi, które w nich znalazła. Bizuterię trzymała w sejfie na parterze. Udała się tam prosto z sypialni. Przy okazji przeniosła walizki pod drzwi wejściowe. Wiedziała wprawdzie, gdzie są klucze do sejfu, ale nigdy sama go nie otwierała. W domu obowiązywał ustalony rytuał, którego Estabrook ściśle przestrzegał: kiedy miała założyć którąś z otrzymanych od niego ozdób, najpierw wypytywał ją, co to ma być, następnie przynosił żadaną sztukę biżuterii z sejfu i osobiście zakładał Jude na szyję, na rękę czy wpinał do ucha. Z perspektywy czasu lepiej pojmowała, że w ten sposób chciał okazać jej swoją władzę. Nie rozumiała, w jakim stanie otępienia musiała się znajdować, żeby tak długo znosić podobne idiotyzmy. Z pewnością nie narzekała na luksusy, z jakich przy okazji korzystała, ale dlaczego zachowywała się tak biernie? To była jakaś groteska.

Klucz znalazła w spodziewanym miejscu - ukryty w głębi szuflady biurka Estabrooka. Sam sejf znajdował się pod szkicem wiszącym na ścianie gabinetu,

przedstawiającym różne elewacje pseudoklasycznego pawilonu, który artysta nazwał Azylem. Obrazek nie zasługiwał na tak ozdobną, ciężką ramę; zdjęcie go ze ściany przysporzyło Jude nieco kłopotów, ale ostatecznie dopięła swego. Otworzyła sejf.

W środku były dwie półki: na niższej leżał stos papierów, wyższą zajmowały małe pudełka, pośród których - jak się domyślała - musiały znajdować się jej skarby. Wyjęła wszystkie szkatułki i rozstawiła na biurku. Ciekawość zwyciężyła, Jude przestała myśleć o tym, żeby zabrać, co się jej należy, i jak najszybciej zniknąć. W dwóch pudełkach znalazła swoją biżuterię, trzy pozostałe wyglądały jednak o wiele bardziej intrygująco - między innymi dlatego że owinięto je w delikatny, aksamitny materiał i rozaczały woń słodkich (prawie do przesady) przypraw, zamiast typowej dla reszty sejfu stęchlizny.

Otworzyła największe z nich. W środku spoczywał rękopis spisany na zszytych wyrefinowanym ścięciem arkuszach pergaminu. Nie miał żadnej okładki, stanowił raczej luźny zbiór kartek i na pierwszy rzut oka wyglądał na traktat poświęcony ludzkiej anatomii. Przyjrząwszy mu się bliżej, doszła do wniosku, że ma przed sobą podręcznik nie chirurgii, lecz miłości, opisujący rozmaite techniki i pozycje seksualne. Przekartkowała go, mając nadzieję, że jego autor jest gdzieś bezpiecznie zamknięty i nie ma możliwości wcielenia swoich pomysłów w czyn. Ludzkie ciało nie było wystarczająco elastyczne ani nie zmieniało kształtu dość dowolnie, żeby odtworzyć wizje przedstawione tuszem na kartach manuskryptu. Niektóre splecione pary przypominały wściekle kałamarnice, inne zostały pobłogosławione (lub przeklęte) tak licznymi i dziwacznymi organami i otworami, że trudno było rozpoznać w nich ludzi.

Kartkowała rękopis w tył i w przód, ale zawsze wracała do zajmujących dwie strony ilustracji w samym środku. Kilka kolejnych obrazków układało się w logiczny ciąg. Pierwszy z nich przedstawiał mężczyznę i kobietę, nagich i zupełnie normalnych. Kobieta leżała na wznak z głową opartą na poduszce, mężczyzna natomiast klęczał między jej nogami i lizał ją w stopę. Niewinny początek stanowił wstęp do kanibalistycznej orgii. Mężczyzna stopniowo pożerał kobietę, poczynając od nóg, ona zaś odwodziła mu się tym samym. Cały akt przeczył oczywiście fizyce i fizjologii, artyście udało się jednak uniknąć groteski, zupełnie jakby przedstawiał instrukcje, które pozwalają osiągnąć niezwykle, magiczne złudzenie rzeczywistości. Dopiero gdy zamknęła książkę i nie mogła pozbyć się rysunków z pamięci, zaczęły ją niepokoić.

Chcąc przegnać je z myśli, wpadła w słuszny gniew na Estabrooka, który nie tylko kupował takie ohydztwa, ale w dodatku je przed nią ukrywał. Tym bardziej należało się trzymać od niego z daleka.

W drugiej paczuszcze znalazła coś znacznie mniej interesującego.

Mlecznoniebieski, z delikatnymi żyłkami czerwieni i czerni, kamień wielkości jej pięści. Wyglądał na fragment jakiejś statuetki. Niezbyt artystycznie wyrzeźbiono w nim łzawiące oko, sutek, z którego ścieka mleko, lub pączek puszczający sok. Kamień przyjemnie leżał w dłoni, toteż z żalem odłożyła go na bok, żeby zajrzeć do trzeciego pudełka. W nim natrafiła na najładniejsze znalezisko ze wszystkich: pół tuzina koralików wielkości ziaren grochu, z obłądną precyzją ozdobionych płaskorzeźbami. Widywała już kawałki kości słoniowej, obrobione z podobną precyzją przez orientalnych artystów, zawsze jednak znajdowały się w muzeum, za szkłem. Wzięła jeden z koralików do ręki i podeszła z nim do okna. Wyglądał jak kłębek pajęczej nici i bardzo przyciągał uwagę. Obracała go w palcach i czuła, jak coraz silniej koncentruje się na niezwykłych splotach cieniutkiej nici, zupełnie jakby spodziewała się znaleźć jej koniec, ukryty gdzieś w głębi kłębka, a gdyby się jej to udało, odkryłaby jakąś niesamowitą tajemnicę. Siłą woli zmusiła się do oderwania wzroku od koralika; bała się, że ulegnie jego mocy i będzie się tak długo w niego wpatrywać, aż zemdleje z wyczerpania.

Odłożyła koralik na miejsce. Po tej chwili wytężonej uwagi czuła się dziwnie, kręciło się jej lekko w głowie, rozrzucone na biurku drobiazgi rozplywały się jej przed oczami. Rozgarnęła je po omacku. Jej ręce dobrze wiedziały, czego szukają, chociaż świadomość nie miała o tym pojęcia. Jedna dłoń namacała błękitny kamień, druga chwyciła koralik. Dwie pamiętki. Czemu nie? Kamień i koralik. Kto by miał pretensje, że Jude zabiera Estabrookowi takie drobiazgi, gdy on ją tak chciał skrzywdzić? Bez dalszego namysłu schowała je do kieszeni, manuskrypt i resztę skarbów Estabrooka włożyła do sejf. Zabrała też szmatkę, w którą owinięto kamień, wzięła biżuterię i wyszła do hallu. W drodze do drzwi powylała światła. Przypomniała sobie, że otwarła okno w kuchni, i wróciła je zamknąć. Nie chciała, żeby ktoś się tu włamał. Tylko jeden złodziej miał prawo tu grasować - ona.

3

Zadowolona z uczciwie przepracowanego poranka, pozwoliła sobie na kieliszek wina do skąpego lunchu, po którym zaczęła rozpakowywać łupy. Kiedy rozkładała ubrania na łóżku, przypomniał się jej znaleziony w sejfie rękopis. Zaczęła żałować, że go zostawiła. Świetnie nadawałby się na prezent dla Gentle'a, który z pewnością wyobrażał sobie, że zaznał wszelkich dostępnych człowiekowi rozkoszy. Mniejsza z tym. Przy okazji mu o nim opowie i zaskoczy go pamięcią do zbrodni.

Zadzwonił Clem, odrywając ją od pracy. Mówił tak cicho, że musiała dobrze nadstawiać ucha. Nie miał dobrych wieści. Taylor znalazł się o krok od śmierci. Dwa dni wcześniej wróciło ciężkie zapalenie płuc, ale nie chciał iść do szpitala. Powiedział, że ma jedno ostatnie życzenie: umrzeć tam, gdzie żył.

- Cały czas dopytuje się o Gentle'a - dodał Clem. - Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie odbiera telefonu. Nie wiesz przypadkiem, czy nie wyjechał?

- Raczej nie, ale od świąt z nim nie rozmawiałam.

- Mogłabyś spróbować go dla mnie znaleźć? Właściwie nie dla mnie, tylko dla Taylora. Może zajrzałabyś do pracowni, wyciągnęła go stamtąd? Sam bym poszedł, ale nie odważę się wyjść z domu. Boję się, że jak tylko przestąpię próg... - Łzy zdławiły mu głos w gardle. - Chcę tu być, gdyby coś się stało.

- Rozumiem. Zaraz się zbiorę.

- Dzięki. Zostało mu niewiele czasu, Judy.

Przed wyjściem zadzwoniła jeszcze do Gentle'a, ale nikt się nie odezwał. Po dwóch próbach dała sobie spokój z telefonem, narzuciła kurtkę i wyszła do samochodu. Sięgając do kieszeni po kluczyki, zorientowała się, że wciąż ma ze sobą kamień i koralik. Odezwało się w niej jakieś niejasne przecucie, że może powinna je zostawić w domu, nie miała jednak czasu, by się zastanawiać. Nikt nie mógł ich zobaczyć, dopóki miała je w kieszeni. A gdyby nawet, to co z tego? Śmierć była tuż-tuż; kto by się przejmował jakimiś wykradzionymi drobiazgami?

Tej nocy, kiedy zostawiła Gentle'a w pracowni, przekonała się, że z drugiej strony ulicy może zajrzeć przez okno do środka. Kiedy więc nie reagował na pukanie, wyszła i stanęła na chodniku naprzeciw domu. Nikogo nie widziała, ale goła żarówka świeciła się w pokoju. Jude odczekała dłuższą chwilę, zanim Gentle znalazł się w jej polu widzenia, półnagi i brudny. Zrobiła dobry użytek ze swoich całkiem pojemnych płuc, wykrzykując jego imię. Z początku nie zareagował, ale za drugim razem obrócił się w jej stronę i podszedł do okna.

- Wpuść mnie! - zawołała. - To pilne!

Kiedy otworzył jej drzwi, na jego twarzy malowała się niechęć. Jeżeli na przyjęciu prezentował się kiepsko, to teraz wyglądał wprost beznadziejnie.

- O co chodzi? - spytał.

- Taylor jest ciężko chory. Clem mówi, że cały czas o ciebie pyta.

Gentle zamyślił się, jakby próbował sobie przypomnieć, kim są Clem i Taylor.

- Musisz się umyć i ubrać - mówiła dalej. - Słuchasz mnie, Furie?

Kiedy się na niego złościła, zawsze nazywała go Furie. Teraz też imię to wywarło na niego cudowny wpływ. Spodziewała się usłyszeć sprzeciw, tym silniejszy, że panicznie bał się wszelkich chorób, ale Gentle bez słowa ruszył na górę. Wydawał się zbyt wycieńczony, żeby zaoponować. Miał niespokojny, pusty wzrok, jakby bezskutecznie szukał obiektu, na którym mógłby zaczepić oko. Poszła za nim do pracowni.

- Pójdę się umyć - rzekł i zniknął w łazience, zostawiając ją samą w bałaganie.

Słyszała, jak odkręcił prysznic; jak zwykle zostawił drzwi otwarte na oścież. Żadne czynności fizjologiczne nigdy nie wywoływały u niego uczucia wstydu. Z początku ją to szokowało, ale po jakimś czasie przywykła i przeprowadziwszy się do Estabrooka, musiała na nowo uczyć się przyzwoitości.

- Znajdziesz mi jakąś czystą koszulę? - zawołał Gentle. - I bieliznę?

Wyglądało na to, że dziś miała dzień grzebania w cudzych rzeczach. Zanim znalazła dżinsową koszulę i sprane bokserki, wyszedł spod prysznic i stanął przed lustrem, zaczesując do góry opadające na czoło włosy. Nie zmienił się, odkąd ostatnio widziała go nago, był smukły, miał jędrne pośladki, płaski brzuch i gładką pierś. Przykryty napletkiem członek przyciągnął jej uwagę. Był jedyną częścią ciała, która

zaprzeczając przezwisku właściciela. W stanie spoczynku nie był może zbyt imponujący, ale się jej podobał. Gentle nie dał po sobie poznać, czy wie, że jest obserwowany.

Obejrzał się z dezaprobatą w lustrze i pokręcił głową.

- Nie powinienem się ogolić? - spytał.

- Nie przesadzaj. Tu masz ubranie.

Ubrał się szybko. Z sypialni przyniósł sobie buty, zostawiając Jude na chwilę samą w pracowni. Obraz dwojga osób, który widziała w święta, zniknął; cały malarski warsztat - pędzle, sztalugi i zagruntowane płótna - leżały w kącie, bezceremonialnie zrzucone na stos. Najwięcej miejsca w pokoju zajmowały gazety, w większości otwarte na stronie z doniesieniem o tragedii, o której Jude przelotnie słyszała: dwadzieścia jeden osób - mężczyzn, kobiet i dzieci - zginęło w pożarze na południu Londynu. Przyczyną pożaru było podpalenie. Nie chciała ich czytać; tego dnia miała dość powodów do żałoby.

*

Clem był blady, ale nie płakał. Przytulił ich oboje w drzwiach i zaprosił do środka. Nie zdjął jeszcze świątecznych ozdób - czekały na święto Trzech Króli. W powietrzu unosił się zapach igliwia.

- Zanim do niego pójdziesz, powinieneś wiedzieć, że jest nafaszerowany prochami - uprzedził Gentle'a Clem. - Chwilami zupełnie odpywa. Ale bardzo chciał się z tobą widzieć.

- Powiedział dlaczego?

- Nie potrzebuje chyba specjalnego powodu, prawda? Zostaniesz ze mną, Judy? Jeżeli będziesz chciała zajrzeć do niego, kiedy Gentle wyjdzie...

- Chętnie.

Clem zaprowadził Gentle'a do sypialni, Jude zaś poszła do kuchni zaparzyć herbaty. Żałowała, że nie powiedziała Gentle'owi, co Taylor mówił o nim przed tygodniem, zwłaszcza o jego niezrozumiałym bełkotaniu. W Boże Narodzenie Taylor cały czas rozmyślał o odkrywaniu tajemnic; może teraz, na prochach czy nie, miał nadzieję znaleźć jakiś ład w zamęcie, który go otaczał. Wątpiła jednak, żeby Gentle miał jakieś gotowe odpowiedzi. Kiedy przeglądał się w lustrze, sprawiał wrażenie człowieka, dla którego własne odbicie stanowi zagadkę.

*

Tak gorąco robi się w sypialni tylko przy okazji choroby lub miłości, pomyślał Gentle, gdy Clem gestem zaprosił go do środka; tyle potu bierze się tylko z żądy lub zarazy. Nie zawsze wynika z tego coś dobrego, ale nawet kiedy człowiekowi nie układa się w miłości, ma przynajmniej jakąś satysfakcję w łóżku.

Odkąd wyjechał z pogorzelniska w Streatham, prawie nie jadł. Od zaduchu i gorąca zakręciło mu się w głowie. Musiał dwa razy obejrzeć pokój, zanim zwrócił uwagę na łóżko, w którym leżał Taylor - tak dokładnie przesłaniali je bezduszni towarzysze współczesnej śmierci: zbiornik z tlenem, rurki i maska, stół zasypany opatrunkami i ręcznikami, drugi stolik z miską na wymiociny i kaczką, i trzeci, stojący obok, z lekarstwami i maściami. Pośrodku jak magnes, który przyciągnął cały ten ekwipunek, a teraz stał się jego niewolnikiem, leżał Taylor z zamkniętymi oczami, wsparty na obleczonych w folię poduszkach. Wyglądał jak wiekowy starzec. Zostało mu niewiele włosów, schudł przeraźliwie, tak że przez skórę barwy prześcieradła boleśnie przezierały mu wszystkie kości, nerwy i żyły. Gentle ledwie powstrzymał odruch, który kazał mu uciekać z tego domu, gdy nagle Taylor otworzył oczy. Dało się wyczuć bliskość śmierci. Żar był mniejszy, sceneria zupełnie inna, ale Gentle poczuł tę samą mieszaninę strachu i bezradności co w Streatham.

Ciągle stał przy drzwiach, bo puścił Clema przodem, żeby delikatnie obudził śpiącego. Taylor drgnął i skrzywił się, wodząc wzrokiem po pokoju, aż jego oczy spoczęły na Gentle'u. Złość wywołana powrotem do świata bólu odpłynęła z jego twarzy.

- Znalazłeś go, Clem - powiedział.

- To Judy go znalazła, nie ja.

- Judy... Ona jest cudowna. - Taylor próbował usadowić się wygodniej na poduszkach, ale nie miał siły. Zaczął oddychać szybko, z wysiłkiem. Przez twarz przebiegł mu grymas bólu.

- Chcesz coś przeciwbólowego?

- Nie, dzięki. Wolę mieć jasne myśli, żeby porozmawiać z Gentle'em. Zamienisz ze mną kilka słów, John? W cztery oczy?

- Naturalnie.

Clem skinął na Gentle'a. Taylor klepnął ręką materac, więc Gentle usiadł na łóżku, nie na krześle. Zachrzęściło foliowe prześcieradło.

- Zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebował - dodał Clem pod adresem Gentle'a i wyszedł z pokoju.

- Należysz mi wody? - poprosił Taylor.

Gentle napełnił szklanę. Zorientował się, że Taylor nie ma siły utrzymać jej w rękach, więc przytknął mu ją do ust. Balsam, którym posmarowano wargi chorego, lekko je nawilżył, ale i tak były spękane i obrzmiałe od wrzodów. Po kilku łykach Taylor coś zamruczał.

- Wystarczy? - spytał Gentle.

- Tak, dzięki.

Gentle odstawił szklanę.

- Wszystkiego mi już w życiu wystarczy - powiedział Taylor. - Czas z tym skończyć.

- Jeszcze wrócą ci siły.

- Nie po to prosiłem o spotkanie z tobą, żebyśmy nawzajem się okłamywali.

Chciałbym ci powiedzieć, jak dużo o tobie myślałem, Gentle. Dniem i nocą.

- Z pewnością na to nie zasługuję.

- Moja podświadomość jest przeciwnego zdania. Nie tylko podświadomość.

Chyba źle ostatnio sypiasz, Gentle.

- Po prostu dużo pracuję.

- Malujesz?

- Trochę. Poza tym szukam natchnienia, sam rozumiesz...

- Muszę ci coś wyznać, ale najpierw obiecaj, że nie będziesz się na mnie złościł.

- A co takiego zrobiłeś?

- Opowiedziałem Jude o naszej wspólnej nocy - odparł Taylor i spojrzał

Gentle'owi w twarz, jakby oczekiwał wybuchu. Kiedy nic się nie stało, mówił dalej: -

Wiem, że dla ciebie nie było to nic wielkiego, ale mnie to wspomnienie nie dawało spokoju. Nie masz mi tego za złe, prawda?

Gentle wzruszył ramionami.

- Na pewno jej to nie zaskoczyło.

Taylor odwrócił rękę dłonią do góry i Gentle wziął ją w swoją dłoń. W palcach Taylora zostało niewiele siły, ale zacisnęły się lekko. Były zimne.

- Ty drzysz - zauważył Taylor.
- Od dawna nic nie jadłem.
- Musisz dbać o siebie. Za dużo pracujesz.
- Czasem trzeba sobie swobodnie poszybować.

Taylor uśmiechnął się. W jego wynędzniałych rysach mignął cień dawnej urody.

- Oczywiście - przytaknął. - Cały czas to robię. Szybuję w powietrzu po całym pokoju, czasem nawet wylatuję za okno i oglądam samego siebie w łóżku. Tak właśnie będzie, kiedy odejdę, Gentle. Wypłynę przez okno, ale tym razem już nie wrócę. Wiem, że Clem będzie za mną tęsknił. Pół życia przeżyliśmy razem. Zaopiekujecie się nim z Judy, prawda? Jeśli zdołacie, pomóżcie mu zrozumieć, jak to jest. Wy tłumacz mu, że poszybowałem. Nie lubi, kiedy tak do niego mówię, ale ty mnie rozumiesz.

- Świetnie cię rozumiem.
- Jesteś artystą.
- Fałszerzem.
- W moich snach jesteś artystą. Śni mi się, że chcesz mnie uleczyć. Wiesz, co ci odpowiadam? Że nie chcę wyzdrowieć. Że chcę się wyzwolić i odejść do światła.
- To musi być dobre miejsce. Może pójde z tobą.
- Tak ci źle? Powiedz mi szczerze. Tak ci źle?
- Mam przesrane życie, Tay.
- Nie dokopuj sobie. Jesteś dobrym człowiekiem.
- Mówiłeś, że mamy się nie okłamywać.
- Ja nie kłamię. To prawda. Potrzebny ci tylko ktoś, kto by ci o tym od czasu do czasu przypominał. Zresztą nie tylko tobie. Bez tego wszyscy tarzamy się w błocku.

Gentle ścisnął go mocniej za rękę. Targały nim uczucia, których nie pojmował i nie umiał wyrazić. Taylor otwiera przed nim swoje serce, mówi o miłości, o snach i o tym, co będzie, gdy umrze, a co on, Gentle, ma do dodania? Co najwyżej wstyd i zapomnienie. Złapał się na tym, że nie wie, który z nich dwóch jest bardziej chory - Taylor, który, choć kruchy i delikatny, potrafi mówić szczerze, czy on, zdrowy i milczący. Uznał, że nie może się z nim rozstać, nie podjąwszy choćby próby podzielenia się tym, co przeżył.

- Chyba kogoś znalazłem - wykrztusił, szukając właściwych słów. - Kogoś, kto

pomoże mi... przypomnieć sobie, kim jestem.

- To dobrze.

- Ale nie jestem pewien... - Jego głos załamał się i ścichł. - Przez ostatnie parę tygodni widziałem różne rzeczy, Tay... Nie chciałem w nie uwierzyć, ale nie miałem wyboru. Czasem wydaje mi się, że wariuję.

- Opowiedz mi...

- W Nowym Jorku ktoś chciał zabić Jude.

- Wiem, mówiła mi o tym. Co z nim? - Taylor wytrzeszczył oczy. - Czy to właśnie on?

- To nie mężczyzna - odparł Gentle. - I nie kobieta. W ogóle nie jest człowiekiem, Tay.

- A czym?

- Czymś cudownym. - Gentle bał się nawet w myślach użyć tego słowa, ale każde inne byłoby kłamstwem, a na kłamstwa nie było między nimi miejsca. - Mówiłem, że wariuję. Przysięgam tylko, że gdybyś zobaczył, jak się zmienia... W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

- Gdzie jest teraz?

- Obawiam się, że nie żyje. Za długo go szukałem. Z początku próbowałem o nim zapomnieć. Bałem się tego, co we mnie obudził. Potem chciałem się go pozbyć, malując jego portret. Na próżno. Oczywiście, że na próżno, stał się już częścią mnie. A kiedy wreszcie poszedłem go poszukać... spóźniłem się.

- Jesteś pewien? - Taylor zmarszczył brwi.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się Gentle.

- Nie, nie, w porządku. Chcę usłyszeć, co było dalej.

- Nie ma już czego słuchać. Może Pie gdzieś tam jeszcze istnieje, ale nie wiem gdzie.

- Czy dlatego masz ochotę poszybować? Chcesz... - Taylor zaczął nagle oddychać szybko, chrapliwie, z trudem. - Wiesz co, zawołaj Clema.

- Już się robi.

Gentle wstał, ale zanim doszedł do drzwi, Taylor odezwał się ponownie:

- Musisz zrozumieć, Gentle. Nie wiem, co to za sekret, ale musisz go przeniknąć

za nas dwóch.

Gentle, który kładł już rękę na klamce, miał dość powodów, by pospiesznie się wycofać i uniknąć odpowiedzi; mógł nie podjąć wyzwania i zostawić starca samego. Wiedział jednak, że jeśli coś mu odpowie, będzie zobowiązany dotrzymać słowa.

- Spróbuję zrozumieć. - Spojrzał Taylorowi w oczy. Malowała się w nich desperacja. - Obaj spróbujemy. Obiecuję.

Taylor uśmiechnął się z wysiłkiem. Gentle otworzył drzwi.

- On cię potrzebuje - powiedział czekającemu Clemowi.

Clem zamknął za sobą drzwi sypialni, a Gentle, który nagle poczuł się jak banita, zszedł na parter. Jude siedziała przy stole w kuchni, bawiąc się kawałkiem kamienia.

- Jak on się czuje? - zapytała.

- Kiepsko. Clem do niego poszedł.

- Chcesz herbaty?

- Nie, dzięki. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Przejdę się trochę.

Siąpił kapuśniaczek, który po zaduchu sypialni wydawał się całkiem przyjemny. Gentle prawie nie znał okolicy, postanowił więc nie oddalać się zbyt od domu Taylora. Pograżony w myślach, szybko zapomniał o tym zamiarze i zaczął błąkać się bez celu w labiryncie uliczek. Chciał stąd uciec. W Nowy Rok wszyscy będą podejmować nowe zobowiązania i planować sobie życie jak dobrze rozpisaną farsę. Nie miał na to ochoty.

Kiedy zawrócił, przypomniał sobie, że Jude prosiła, by kupił mleko i papierosy. Poszukiwanie jednego i drugiego zajęło mu sporo czasu. Gdy wreszcie z zakupami w rękę znalazł się przed domem, na ulicy zastał karetkę. Drzwi były otwarte, a na progu stała Jude. Płakała.

- On nie żyje - powiedziała.

Gentle stanął jak wryty.

- Kiedy? - zapytał, jakby to miało znaczenie.

- Zaraz po twoim wyjściu.

Nie chciał płakać; nie kiedy ona patrzyła. Było mnóstwo innych rzeczy, w których nie chciał jej mieć za świadka.

- Gdzie jest Clem? - zapytał z kamienną twarzą.

- Przy nim, na górze. Zostań tutaj. I tak jest tam za dużo ludzi.

Wypatrzyła papierosy w jego ręce i sięgnęła po nie. Kiedy ich dłonie się zetknęły, Gentle'owi łzy napłynęły do oczu. Oboje się rozszlochali, padli sobie w ramiona jak wrogowie połączeni wspólną stratą - lub kochankowie, którzy zaraz się rozstaną. Albo jak dwie dusze, które nie pamiętają, czy są wrogami, czy kochankami, i z tej niewiedzy płaczą.

ROZDZIAŁ 16

1

Od czasu spotkania, na którym poruszono sprawę biblioteki Tabula Rasa, Bloxham dwukrotnie planował spełnić zobowiązanie, czyli zagłębić się w trzewia Roxborough Tower i sprawdzić zabezpieczenia zbiorów. Za każdym razem odkładał jednak tę sprawę na później, powtarzając sobie, że czekają go pilniejsze obowiązki - organizacja zaplanowanej przez stowarzyszenie wielkiej czystki. Oględziny biblioteki byłby odwłóki i po raz trzeci, gdyby nie Charlotte Feaver, która zaproponowała, że może mu towarzyszyć. Kobiety stanowiły dla Bloxhama wielką zagadkę. Pociąg, jaki do nich czuł, równoważył się zwykle z niepokojem, jaki odczuwał w ich towarzystwie, ale ostatnio instynkt seksualny dawał mu o sobie znać tak wyraźnie, jak chyba nigdy przedtem. Nawet sam przed sobą, w odosobnieniu i modlitwie nie odważył się wyartykułować powodu, dla którego tak się działo. Czystka go podniecała. Gdy o niej myślał, krew się w nim burzyła, a jego męskość twardniała. Przypuszczał, że Charlotte zareagowała na tę właśnie żądę, chociaż starał się nic po sobie nie okazywać. Przyjął więc propozycję i umówili się w Roxborough Tower w ostatni wieczór starego roku. Bloxham przyniósł szampana.

- Możemy się przy okazji zabawić - powiedział, gdy dotarli do resztek pierwotnego domu Roxborougha zachowanych w murach wieżowca.

Od lat żadne z nich tu nie schodziło. Wnętrze było prymitywne. Zainstalowano tu wprawdzie oświetlenie elektryczne - ciągnięte po murze kable, z których zwieszały się gole żarówki - ale poza tym wszystko wyglądało tak samo jak w pierwszych latach istnienia Tabula Rasa. Piwnicę zbudowano specjalnie w tym celu, by przechowywać w niej zbiory stowarzyszenia, i to najlepiej przez tysiąc lat. Od podnóża schodów rozchodziło się promieniście kilka korytarzy. Na nagich, ceglanych ścianach od ziemi do

sufitu zawieszono półki. Jediną ozdobę wewnątrz stanowiły piękne krzyżowe sklepienia w miejscach przecięcia korytarzy.

- Może otworzymy butelkę, zanim weźmiemy się do roboty? - zasugerował Bloxham.

- Zgoda. Z czego będziemy pić?

Bloxham wyjął z kieszeni dwa smukłe kieliszki. Charlotte wzięła je, kiedy mocował się z korkiem, który wyskoczył z szyjki z dyskretnym westchnieniem. Dźwięk ten poniósł się daleko w głąb labiryntu, ale nie odbił się echem od ścian. Wypili za czystkę.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdziła Charlotte, otulając się futrem. - Czego właściwie szukamy?

- Śladów włamania lub kradzieży. Rozdzielimy się, czy będziemy chodzić razem?

- Och, wolałabym razem.

Roxborough twierdził, że na tych półkach znajdują się dosłownie wszystkie znaczące księgi na całej zachodniej półkuli. Kiedy przechadzali się wśród dziesiątków tysięcy woluminów, byli skłonni mu wierzyć.

- Jakim cudem zebrali tu taką masę książek, do cholery? - zdziwiła się Charlotte.

- Świat był wtedy mniejszy, jak miemam - zauważył Bloxham. - Poza tym oni wszyscy się znali, prawda? Casanova, Sartori, hrabia de Saint-Germain, sami kanciarze i palanty.

- Kanciarze? Naprawdę myślisz, że to oszuści?

- W większości. - Bloxham napawał się niezasłużoną rolą eksperta. - Może ze dwóch wiedziało, co robi, ale reszta...

- A ciebie nigdy nie kusiło? - spytała Charlotte, biorąc go pod ramię.

- Do czego?

- Żeby zobaczyć, co to całe gadanie jest warte. Nie chciałeś sobie przywołać Chowańca? Przenieść się do innego dominium?

Bloxham spojrzał na nią z autentycznym zdumieniem.

- To wbrew zasadom stowarzyszenia.

- Nie o to pytałam - rzuciła ostro Charlotte. - Nigdy cię nie kusiło?

- Ojciec nauczył mnie, że zadając się z Imajicą, narażę swoją duszę na

niebezpieczeństwo.

- Mój też tak mówił, ale chyba pod koniec życia żałował, że sam tego nie sprawdził. No bo jeżeli to wszystko bzdury, nie ma żadnego ryzyka.

- No nie, mnie się wydaje, że jest w tym trochę prawdy.

- Wierzysz w istnienie dominiów?

- Sama widziałaś tego potwora, którego Godolphin pochłastał na naszych oczach.

- Widziałam przedstawiciela obcego gatunku, to wszystko. - Charlotte przystanąła i na chybił trafił wybrała jedną z książek. - Po prostu zastanawiam się czasem, czy nie strzeżemy pustej twierdzy. - Z otwartej książki wypadł pukiel włosów. - Może to wszystko urojenia, narkotykowe sny i fantazje. - Odłożyła książkę na miejsce i odwróciła się do Bloxhama. - Naprawdę zabrałeś mnie tutaj, żeby sprawdzić zabezpieczenia? Bo jeśli tak, to będę diabelnie rozczarowana.

- Niezupełnie - odparł Bloxham.

- To dobrze.

Zagłębili się w labirynt korytarzy.

2

Mimo że zapraszano ją na kilka imprez sylwestrowych, Jude nikomu nie obiecywała, że przyjdzie, za co teraz, po przepełnionym smutkiem dniu, była sobie wdzięczna. Zaproponowała Clemowi, że zostanie z nim, gdy lekarze zabiorą ciało Taylora, ale podziękował jej, twierdząc, że chciałby mieć trochę czasu dla siebie. Obiecał, że zadzwoni, gdyby zaczął się za bardzo rozklejać.

Jedno z przyjęć, na które została zaproszona, odbywało się w domu naprzeciwko. Z doświadczenia ubiegłych lat wiedziała, że będzie bardzo hałaśliwe. Kilkakrotnie sama się tam bawiła, ale tym razem nie przeszkadzało jej specjalnie, że zostanie sama. Nie miała nastroju na witanie nowego roku, jeżeli miał przynieść kontynuację wydarzeń ze starego. Zasłoniła okna, licząc na to, że jej obecność w domu przejdzie niezauważona, zapaliła świece, włączyła płytę z koncertem na flet i zaczęła przygotowania do lekkiej kolacji. Myjąc ręce, zauważyła, że skóra na dłoniach zrobiła się lekko niebieska od

kamienia. Po południu kilka razy łapała się na tym, że się nim bawi. Chowwała go do kieszeni, a mimo to wkrótce potem znów miała go w rękach. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że kamień brudzi jej dłonie. Tarła je mocno pod strumieniem wody, próbując splukać drobinki pyłu, ale kiedy osuszyła ręce, kolor stał się jeszcze bardziej wyrazisty. Poszła do łazienki, by obejrzyć skórę w lepszym świetle. Myliła się: pył z kamienia nie przyłgnał jej do skóry, lecz wniknął w nią jak plama z henny. W dodatku zabarwił nie tylko dłonie, ale sięgał nadgarstków, które na pewno nie miały z kamieniem kontaktu. Zdjęła bluzkę i ze zdumieniem odkryła, że nieregularne plamy błękitu wystąpiły jej również na łokciach. Zaczęła mówić do siebie; zawsze się tak zachowywała, kiedy coś ją zaskakiwało.

- Co to ma być, do ciężkiej cholery? Cała się zrobię niebieska? To śmieszne.

Nie, wcale nie śmieszne. Żołądek zacisnął się jej ze strachu. Czy mogła złapać od kamienia jakąś chorobę? Czy dlatego Estabrook go schował w sejfie?

Odkręciła prysznic i rozebrała się do naga. Nie znalazła na swoim ciele innych plam, co troszkę ją pocieszyło. Weszła pod strumień wrzącej wody, namydliła się i zaczęła trzeć zaniebieszczona miejsca. Z gorąca i strachu kręciło się jej w głowie. Bała się, że zemdleje, i musiała na chwilę wyjść spod prysznica. Chciała otworzyć drzwi łazienki, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, ale namydlona ręka ześliznęła się jej z klamki. Zakląła i sięgnęła po ręcznik, chcąc zetrzeć mydło - i w tej chwili spojrzała w lustro. Jej szyja zrobiła się niebieska, podobnie jak skóra wokół oczu i całe czoło. Cofnęła się przed tym makabrycznym widokiem i przyłgnęła płasko do wykładanej glazurą ściany.

- To nie dzieje się naprawdę - powiedziała na głos.

Drugi raz złapała klamkę, szarpnęła mocno. Od zimnego podmuchu na całym ciele wystąpiła jej gęsia skórka, ale ucieszyła się z tego. Może chłód pozwoli otrząsnąć się z koszmaru. Wzdrygnęła się i uciekła przed swoim odbiciem do rozświetlonego blaskiem świec salonu. Na niskim stoliku leżał niebieski kamień, wpatrując się w nią swoim jedynym okiem. Nie pamiętała, żeby wyjęła go z kieszeni, nie mówiąc o układaniu go na stoliku w tak wyszukany sposób, w otoczeniu świeczek. Nagle zaczęła się go bać, jak gdyby miał moc bazyliuszka i potrafił zamienić ją w coś podobnego do siebie. Jeżeli istotnie tak było, nie mogła na to już nic poradzić; kiedy obracała go w dłoniach, zawsze

w końcu miała przed sobą jego oko. Ten fatalizm pomógł jej podjąć decyzję. Podeszła do stolika, wzięła kamień i - nie dając mu czasu, żeby znów ją zauroczył - z całej siły cisnęła nim o ścianę.

Pozwolił jej jeszcze zrozumieć, że zrobiła błąd. Pod jej nieobecność wziął we władanie cały pokój, stał się bardziej rzeczywisty od ręki, która go rzuciła, i od ściany, w którą miał uderzyć. Czas był jego igraszką, przestrzeń - jego zabawką; próbując go zniszczyć, musiała unicestwić jedno i drugie.

Było już za późno, żeby coś zmienić. Kamień uderzył w ścianę. Rozległ się głośny huk i Jude poczuła, że została wypchnięta z własnego ciała, tak jakby ktoś sięgnął jej ręką do głowy, wyszarpnął świadomość i wyrzucił przez okno. Ciało zostało w pokoju, nie mając pojęcia o podróży, którą rozpoczęła jego właścicielka. Ze wszystkich zmysłów został jej tylko wzrok - i to wystarczyło. Szybowała nad opustoszałą, mokrą od deszczu ulicą w stronę domu po drugiej stronie. Czworo gości - trzech młodych mężczyzn i podchmielona dziewczyna - stało na schodach. Jeden z chłopaków niecierpliwie dobijał się do drzwi. Najwyższy z całej trójki facet wyciskał na ustach dziewczyny pocałunki, ugniatając dyskretnie jej piersi. Dziewczyna chichotała, ale uwagi Jude nie uszedł grymas niezadowolenia, jaki od czasu do czasu malował się na jej twarzy. Zaciskała bezradnie dłonie w pięści, gdy zalotnik przyciskał język do jej warg, i otwierała niechętnie usta, bardziej z rezygnacji niż z pożądania. Kiedy drzwi się otwarty i cała czwórka chwiejnym krokiem zagłębiła się w hałaśliwy tłum, Jude wzniosła się ponad dachy i poleciała dalej. Chwilami zlatywała niżej, śledząc rozgrywające się w domach dramaty.

Wszystkie były - tak jak kamień, który wysłał ją w tę misję - fragmentami większych całości. Jakaś kobieta w pokoju na piętrze przyglądała się rozłożonej na prążkowanej pościeli sukience. Inna stała w oknie, kołysząc się do muzyki, której Jude nie była w stanie usłyszeć. Spod jej przymkniętych powiek płynęły łzy. Jeszcze inna wstawała zde gustowana od stołu, przy którym siedzieli elegancko ubrani goście. Żadnej z nich Jude nie znała, ale wszystkie wydały się jej znajome - w krótkim okresie swojego życia, jaki pamiętała, bywały chwile, w których zachowywała się tak jak one, czuła się opuszczona i bezradna, tęskniła. Zaczęła dostrzegać pewną prawidłowość. Podążała od jednej migawki do drugiej, jak gdyby przeglądała własne życie, znajdując swoje odbicie w kobietach różnych stanów i klas.

W ciemnej uliczce na tyłach King's Cross znalazła parę na przednim siedzeniu samochodu. Kobieta pochylona nad różowym członkiem brała go do ust, które miały kolor menstruacyjnej krwi. Jude też robiła podobne rzeczy, bo chciała, żeby ją kochano. Kobieta, która przejeżdżała obok, słusznie zde gustowana wystającymi na chodniku dziwkami - to też była ona. I jakaś piękność, wydzierająca się w deszczu na swojego amanta, i podpita wiedźma, która stała w oknie i biła jej brawo... Była tak samo obecna w ich życiu, jak one w jej.

Wędrowniczka dobiegała końca. Jude znalazła się nad mostem, z którego roztaczał się zapewne piękny widok na miasto, ale padało tu bardziej niż w Notting Hill i dalszy plan rozmywał się w mroku. Jej umysł nie zawahał się, lecz mknął przed siebie w ulewie - nie marzył i nie mókł - w kierunku pogrążonego w ciemności wieżowca, ledwie widocznego spoza szeregu drzew. Zwolniła, przemknęła przez listowie zygzakiem, jak pijany ptak, osiadła na ziemi i przeniknąwszy ją, zagłębiła się w wilgotną, absolutną czern.

Przestraszyła się, że zostanie żywcem pogrzebana w tym miejscu, lecz ciemność zaraz ustąpiła. Jude przeniknęła przez sufit jakiejś piwnicy, w której na półkach zamiast butelek wina stały książki. W korytarzach paliły się światła. Powietrze było ciężkie - nie od kurzu, lecz od czegoś, co tylko instynktownie wyczuwała i ledwie rozumiała. Kryła się w nich świętość i moc. Niczego podobnego dotąd nie doświadczyła - ani w katedrze Świętego Piotra, ani w Chartres, ani w Duomo. Znów zapragnęła mieć ciało, a nie tylko włączający się bez celu umysł. Chciała tu spacerować, dotykać książek i cegieł, czuć woń powietrza. Musiało być przesycone kurzem - ale jakim kurzem! Każda jego drobinka zrobiła się niewiarygodnie mądra od samego fruwanie w takim świętym miejscu.

Kątem oka dostrzegła ruch w głębi korytarza. Podleciała w tamtą stronę, zastanawiając się mimochodem, jakie książki zebrano w podziemiach. Cień, który, jak pierwotnie sądziła, należał do jednej osoby, rzucało dwoje ludzi splecionych w miłosnym uścisku. Kobieta opierała się plecami o książki, przytrzymując się półki nad głową; jej partner stał przyciśnięty do niej, ze spodniami opuszczonymi do kostek. Posapywał w rytm gwałtownych pchnięć biodrami. Oboje mieli zamknięte oczy; wygląd żadnego z nich nie mógł działać jak afrodyzjak. Czy po to tu przybyła, żeby to oglądać? Doprawdy, ani jej nie podniecali, ani nie mogła się niczego z ich prób nauczyć. Nie po to chyba niebieskie oko wysłało ją w miasto i kazało śledzić opowieści o kobiecości, żeby na

koniec stała się świadkiem tego żalosego aktu. Chodziło o coś innego. Może coś w ich rozmowie? Nie, postękiwali tylko. Książki na trzęsących się półkach za plecami kobiety? Być może.

Zerknęła z bliska na tytuły, ale jej wzrok przeniknął grzbiety książek i sięgnął ściany. Cegły wyglądały zwyczajnie, za to zaprawa miała znajomy, niebieskawy odcień. Podekscytowana, podążyła głębiej - wyminęła kochanków, książki i wcisnęła się pomiędzy cegły. Otoczyła ją ciemność jeszcze głębsza niż pod ziemią, mrok, który powstał nie tylko z braku światła, lecz przede wszystkim ze smutku i rozpacz. Instynkt kazał się jej wycofać, lecz dostrzegła w ciemności coś, co kazało jej zostać - na podłodze tej ohydnej celi leżało ledwie widoczne ciało. Związane, oplątane sznurem jak kokonem, tak że nie mogła dostrzec twarzy. Sznur był delikatny jak nitka, ale owinięto nim ciało z maniakalną dokładnością, co pozwoliło Judy stwierdzić, że ma przed sobą - znowu, tak jak podczas całej nocnej eskapady - kobietę.

Ci, którzy ją spętali, wykazali się niezwykłą starannością; nie pozostawili odsłoniętego ani jednego paznokcia, ani włosa. Judy zawisła nad ciałem i przyjrzała mu się uważnie. Mogłoby stanowić jej dopełnienie, jak zwłoki dla duszy zmarłego, wiecznie od niej oddzielone. Ale na nią czekało własne ciało, do którego mogła wrócić. Miała nadzieję, że kiedy jej niezwykła pielgrzymka dobiegnie końca, będzie mogła wrócić do swojej zaplamionej błękitem skóry. Coś jednak wciąż ją powstrzymywało - nie ciemność, nie ściany, lecz poczucie, że nie dopełniła jakiegoś obowiązku. Czy oczekiwano od niej okazania szacunku? Jak miała to zrobić? Nie mogła złożyć dłoni do modlitwy, nie mogła śpiewać hymnów, nie mogła uklęknąć ani dotknąć relikwii. Co jej pozostało? Chyba tylko - Boże, miej mnie w swojej opiece! - wejść w ciało.

W chwili, gdy ta myśl uformowała się w jej umyśle, Jude zrozumiała, że po to właśnie ją tu sprowadzono. Zostawiła własne ciało w domu, żeby wcielić się w więźnia cegieł, sznura i rozkładu, po trzykroć spętanego truchła, z którego mogła nigdy się już nie wynurzyć. To odrażające, ale czy przebyła tak długą drogę tylko po to, żeby zawrócić, ponieważ ostatni wymagany rytuał tak ją odrzucał? Nawet gdyby potrafiła oprzeć się sile, która ją tu ściągnęła, i wbrew jej woli wrócić do swojego ciała, do końca życia by się zastanawiała, co ją ominęło. Nie była tchórzliwa. Wejdzie w to ciało i poniesie konsekwencje.

Natychmiast stało się to, o czym pomyślała. Jej umysł spłynął do kokonu i precyzyjnie się przez oplot wprost do labiryntu ciała. Spodziewała się, że zostanie tam ciemność, ale pomyliła się - kontury wnętrza rysowały się mlecznobłękitną poświatą, którą nauczyła już się kojarzyć z tajemnicą kamienia. Nie było najmniejszych znaków rozkładu - zamiast w kostnicy, znalazła się w katedrze, która, jak się domyślała, była źródłem przesycającej podziemia świętości. Ale - jak prawdziwa katedra - była całkiem martwa. W żyłach nie płynęła krew, serce nie pracowało, płuca nie oddychały. Rozprzestrzeniła swoją jaźń na całe ciało, chcąc wyczuć jego rozmiary. Kobieta za życia musiała być wysoka, miała szerokie biodra i ciężkie piersi. Pętająca ją nić werżnęła się jednak w ciało i karykaturalnie je odkształciła. Jakże straszny ta kobieta musiała mieć koniec! Leżała oślepiona na brudnej posadzce i słyszała, jak cegła po cegle oprawcy murują ścianę jej grobowca. Jaką zbrodnię popełniła? Czemu skazano ją na taką śmierć? Kim byli ci, co wykonali wyrok i zbudowali ścianę? Czy podśpiewywali przy pracy, a ich głosy cichły w miarę jak mur rósł coraz wyżej? Czy raczej pracowali w milczeniu, zawstydzeni własnym okrucieństwem?

Tyłu rzeczy nie wiedziała, tyłu pragnęła odpowiedzi... zakończyła swą podróż tak samo, jak ją zaczynała: niepewna i wystraszona. Powinna wyrwać się z kokonu i wracać do domu. Zapragnęła opuścić błękitne zwłoki, ale - ku jej przerażeniu - została uwięziona w ciele więźnia. Boże, co teraz? Upominając się, że nie powinna wpadać w panikę, skoncentrowała się na swojej sytuacji. Wyobraziła sobie celę, w której spoczywał kokon, ścianę, przez którą bez wysiłku przeniknęła, parę kochanków i korytarz prowadzący na górę, na świat. Ale wyobraźnia nie wystarczyła. Jude sama pozwoliła, by ciekawość wzięła w niej górę. Rozmyła swoją świadomość w ciele kobiety, a później to ciało zaanektowało jej ducha.

Wezbrał w niej gniew. Uwolniła go. Gdyby znajdowała się we własnym ciele, serce biłoby jej szybko ze złości. Wydawało jej się, że je słyszy; był to pierwszy dźwięk, jaki dobiegł ją od opuszczenia domu. Wcale go sobie nie wyobraziła, lecz czuła w ciele, które ją otaczało. Przez dawno unieruchomiony organizm przebiegły dreszcze; jej gniew na nowo rozpalil w nim płomień życia. W sali tronowej - w czaszce - obudził się umysł, który natychmiast zrozumiał, że do jego królestwa zakradł się intruz.

Jude przez ułamek sekundy poczuła, jak jej świadomość ociera się o świadomość

skazanej kobiety i łączy się z nią, a potem została wypchnięta na zewnątrz. Usłyszała krzyk przerażenia dobiegający nie z gardła, ale wprost z umysłu tamtej kobiety. Towarzyszył jej, gdy wymykała się z celi, przenikała ścianę, mijała kochanków, których zdekoncentrowały opadające znikąd kłęby kurzu, i gdy znalazła się na deszczu w nocy nie błękitnej, lecz czarnej jak sadza. Słyszała go przez całą drogę do domu, gdzie z niesłychaną ulgą i bez wysiłku wśliznęła się w swoje stojące na środku pokoju ciało. Przez długą chwilę nie poruszała się, wstrząsana łkaniem, aż zaczęła dygotać z zimna. Znalazła szlafrok. Kiedy go wkładała, zauważyła, że z jej nadgarstków i łokci zniknęły błękitne plamy. Weszła do łazienki i stanęła przed lustrem. Twarz również miała czystą.

Nie mogła opanować dreszczy, gdy wróciła do pokoju w poszukiwaniu niebieskiego kamienia, który odłupał ze ściany pokaźny kawał tynku i leżał na dywaniku przed kominkiem. Nie wzięła go do ręki. Jak na jedną noc miała dość halucynacji. Unikając złowrogo spojrzenia, przykryła kamień poduszką. Jutro wymyśli jak się go pozbyć, a teraz musiała opowiedzieć komuś, co się stało, zanim sama zacznie w to wątpić. Potrzebowała słuchacza lekko szurniętego, człowieka, który by jej nie wyśmiał, kogoś już na wpół wierzącego. Potrzebowała Gentle'a, naturalnie.

ROZDZIAŁ 17

Przed północą ruch na ulicy pod oknami pracowni zmalował niemal do zera. Wszyscy, którzy wybierali się na przyjęcia, dotarli już na miejsce i oddawali się picciu, dyskusjom i próbom uwodzenia; zamierzali wydrzeć nowemu rokowi to wszystko, czego odmawiał im stary. Zadowolony ze swojej samotności Gentle siedział po turecku na podłodze, z butelką burbona między nogami. Otaczały go oparte o meble płótna, w większości puste, co sprzyjało jego medytacyjnym nastrojom. Przyszłość też była niezapełniona.

Od mniej więcej dwóch godzin siedział w tym kręgu pustki i pociągał z butelki, aż wreszcie jego pęcherz upomniał się o swoje prawa. Gentle poszedł do łazienki; nie zapalał lampki przy lustrze, żeby nie widzieć swojego odbicia. Kiedy strząsnął ostatnie krople do sedesu, zgasło światło w pokoju. Zapiął rozporek i wrócił do pracowni. Deszcz bił wściekle o szyby, ale przyćmiony blask latarni wystarczył, by Gentle dostrzegł uchylone drzwi na schody.

- Kto tam? - zapytał.

Z początku nic się w pokoju nie poruszyło, dopiero po chwili ujrzał przy oknie jakiś kształt. Zimna woń spalenizny zapiekła go w nozdrzach. Ten gwizdzący stwór! Boże, znalazł go!

Przerażenie wyrwało Gentle'a z otepienia. Rzucił się do drzwi. Wypadłby pewnie na schody i zbiegł na dół, gdyby nie pies, który grzecznie warował za progiem. Kundel zamerdał ogonem przyjaźnie i Gentle stanął jak wryty. Ten, który gwizdał, nie był miłośnikiem psów; kto w takim razie przyszedł go odwiedzić? Gentle odwrócił się i sięgnął do wyłącznika, gdy nagle powstrzymał go niepowtarzalny głos Pie'oh'paha:

- Nie. Wolę ciemność.

Ręka Gentle'a osunęła się po ścianie. Serce waliło mu jak młotem, ale już z innych powodów niż przed chwilą.

- Pie? To ty?

- Tak, to ja - zabrzmiała odpowiedź. - Słyszałem, że mnie szukasz. Twój przyjaciel mi powiedział.

- Myślałem, że nie żyjesz.

- Byłem wśród martwych, byłem z Theresą i dziećmi.

- Boże... mój Boże...

- Ty też kogoś straciłeś.

Gentle rozumiał już, że te słowa rzeczywiście powinny paść w ciemności: cień i mrok pasowały do rozmowy o grobach i jagniętach, które w nich złożono.

- Spotkałem się z duchami moich dzieci. Twój przyjaciel znalazł mnie w miejscu żałoby. Powiedział, że chcesz się jeszcze ze mną widzieć. Zaskoczyłeś mnie, Gentle.

- Tak jak mnie zaskoczył fakt, że rozmawiałeś z Taylorem - odparł Gentle, chociaż w duchu przyznał, że po ostatnim spotkaniu z umierającym przyjacielem nie powinien się dziwić. - Jest szczęśliwy?

Zdawał sobie sprawę, że pytanie brzmi banalnie, ale potrzebował takiego zapewnienia.

- Żaden duch nie jest szczęśliwy. Żaden nie może wydostać się na wolność ani w tym dominium, ani w pozostałych. Tłoczą się przy drzwiach, ale nie mają dokąd pójść.

- Dlaczego?

- To pytanie zadajemy sobie od pokoleń, Gentle. I od pokoleń udziela się na nie różnych odpowiedzi. W dzieciństwie uczono mnie, że zanim Niewidziany udał się do Pierwszego Dominium, było tam miejsce, do którego trafiały wszystkie duchy. Mój lud mieszkał wtedy w Pierwszym Dominium i strzegł tego obszaru. Niewidziany przepędził i nas, i wszystkie duchy.

- Tak że teraz nie mają dokąd iść?

- Właśnie. Duchów stale przybywa, ich smutek narasta.

Gentle pomyślał o Taylorze, który na łożu śmierci marzył o wyzwoleniu i połączeniu z Absolutem. Tymczasem, jeśli Pie miał rację, stał się teraz jedną z zagubionych dusz odartych i z ciał, i z objawienia. Jaką wartość miało zrozumienie, jeżeli ostatecznym końcem wszechrzeczy jest otchłań?

- Kto to jest Niewidziany? - zapytał Gentle.

- Hapexamendios, bóg Imajiki.

- Czy jest też bogiem tego świata?

- Kiedyś był, ale przed wiekami go opuścił, przemierzył pozostałe dominia, niszcząc ich bóstwa, i trafił do Domu Duchów. Wówczas przesłonił całe dominium woalem...

- I stał się Niewidzianym.

- Tak mnie uczono.

Prostota i oficjalny charakter słów Pie'oh'paha przydawały wagi jego historii, ale - mimo elegancji - wciąż była to opowieść o innych bogach i światach, nieskończenie odległa od ciemnego pokoju i deszczu za oknem.

- Mam uwierzyć, że to wszystko prawda?

- Nie uwierzysz, dopóki nie zobaczysz tego na własne oczy - odparł Pie'oh'pah ciepłym, uwodzicielskim głosem.

- Jak mam to zrobić?

- Musisz zadawać mi szczegółowe pytania, a ja spróbuje na nie odpowiedzieć.

Ogólniki nie wystarczą.

- No dobrze. Czy możesz zabrać mnie do innych dominiów?

- Mogę.

- Chciałbym podążać śladem Hapexamendiosa. Czy to możliwe?

- Spróbujmy.

- I chcę zobaczyć Niewidzianego, Pie'oh'pahu. Chcę się dowiedzieć, dlaczego Taylor i twoje dzieci trafili do czyścica. Chcę zrozumieć, dlaczego cierpią.

Gentle nie zadał pytania, toteż Pie'oh'pah milczał. Tylko jego przyspieszony oddech świadczył o tym, że słucha.

- Możemy ruszać?

- Jeśli tego chcesz.

- Właśnie tego chcę, Pie. Udowodnij, że mówisz prawdę, albo zostaw mnie w spokoju.

*

Do północy brakowało osiemnastu minut, gdy Jude wsiadła do samochodu i ruszyła w stronę domu Gentle'a. Ulice były puste i kilka razy kusiło ją, żeby przeskoczyć skrzyżowanie na czerwonym świetle. Wiedziała jednak, że w taką noc policja jest

szczególnie wyczulona na piratów drogowych i najmniejsze wykroczenie może wywabić radiowóz z ukrycia. Nie miała wprawdzie we krwi ani grama alkoholu, ale wcale nie była pewna, czy w jej organizmie nie znaleziono by innych obcych substancji. Jechała więc ostrożnie, jak w południe, i dotarcie do pracowni zajęło jej całe piętnaście minut. Okna były zaciemnione. Przyszło jej na myśl, że Gentle postanowił ruszyć się z domu i utopić świeże smutki w szampańskiej zabawie. A może po prostu poszedł spać? Jeśli tak, to dla wieści, które mu przynosiła, warto go było obudzić.

*

- Zanim wyruszymy w drogę, powinieneś wiedzieć o kilku rzeczach - mówił Pie, związując swoją lewą rękę z prawą Gentle'a. - To może być trudna przeprawa. Piąte Dominium, w którym się znajdujemy, nie jest połączone z pozostałymi; podróż do Czwartego może być ryzykowna. Trzeba mieć moc. To coś więcej niż przejście po moście. Jeżeli nam się nie uda, konsekwencje będą poważne.

- Jak poważne?

- Pomędzy Piątym Dominium a czterema Połączonymi rozciąga się kraina nazwana In Ovo, eter, w którym utkwiły istoty wyrwane z macierzystych światów. Niektóre z nich trafiły tam przez przypadek i są zupełnie nieszkodliwe; inne zesłano tam za karę - i te mogą być śmiertelnie niebezpieczne. Mam nadzieję, że przemkniemy przez In Ovo, zanim nas zauważą. Jednak gdybyśmy się rozdzielili...

- Wyobrażam sobie. Mocniej zaciśnij ten supeł, żeby na pewno nie puścił.

Pie zaczął się mocować z węzłem; Gentle próbował mu po omacku pomagać.

- Założmy, że przebrniemy przez In Ovo - powiedział. - Co dalej?

- Czwarte Dominium. Jeżeli dobrze namierzyłem, powinniśmy wylądować niedaleko miasta Patashoqua.

- A jeżeli nie?

- Nie wiem. W morzu, na bagnach...

- Cholera!

- Nie bój się, mam niezłe wycucie kierunku. Poza tym razem dysponujemy znaczną mocą. Sam nie mógłbym tego dokonać, ale z tobą...

- Czy to jedyny sposób?

- Ależ skąd! Tutaj, w Piątym Dominium, jest wiele bram, ukrytych na odludziu

kamiennych kręgów. Większość z nich prowadzi jednak w ustalone miejsca, a my chcemy podróżować jako wolni strzelcy, niezauważeni i nieoczekiwani goście.

- Dlaczego w takim razie wybrałeś Patashoqua?

- Z powodów... sentymentalnych. Wkrótce sam się przekonasz. - Pie się zawahał. -

Nadal chcesz to zrobić?

- Oczywiście.

- Mocniej nas nie zwiążę, bo utrudniłbym krążenie krwi.

- Na co czekamy?

- Zamknij oczy.

Gentle poczuł muśnięcie palców Pie na twarzy.

- Musisz mi pomóc - powiedział Pie.

- Mów, co mam robić.

- Zaciśnij pięść, lekko. Zostaw dość miejsca, żeby oddech mógł się środkiem przedostać. Dobrze, tak; dobrze. Cała magia bierze się z tchnienia, pamiętaj.

Gentle pamiętał o tym, chociaż nie wiedział skąd.

- Podnieś dłoń do ust i oprzyj kciuk na brodzie. Niewiele będzie inkantacji, żadnych pięknych słówek, tylko pneuma i siła woli.

- Woli mi nie brakuje, jeśli to właśnie masz na myśli - zapewnił Gentle.

- W takim razie wystarczy nam jedno solidne tchnienie. Zrób wydech, długi, aż będzie bolało w płucach. Ja zajmę się resztą.

- Mogę później nabrać powietrza?

- Nie w tym dominium.

Dopiero po tej odpowiedzi Gentle ogarnął powagę sytuacji. Za chwilę mieli opuścić Ziemię, przejść z jedynej rzeczywistości, jaką w życiu znał, do innej. Uśmiechnął się w ciemności i palcami spętanej ręki ucisnął dłoń swojego wyzwoliciela.

- Możemy zacząć?

W ciemności przed jego twarzą błysnęły zęby Pie'oh'paha, który odpowiedział mu uśmiechem.

- Czemu nie?

Gentle nabrał powietrza w płuca. Gdzieś z głębi domu dobiegło go trzaśnięcie drzwi i na schodach do pracowni zadudniły czyjeś kroki. Było już jednak za późno.

Zrobił wydech przez zaciśniętą pięść; Pie'oh'pah zdawał się wychwytywać jego oddech z powietrza. Coś błysnęło w zwiniętej w pięść dłoni mistyfa, jakby chciało mu się przepalić przez palce...

*

Zatrzymawszy się w drzwiach, Jude ujrzała odtworzony w rzeczywistości obraz Gentle'a: dwie postaci, otoczone nienaturalną poświatą, która rozrastała się między nimi niczym płomień spowolnionej eksplozji. Zdażyła rozpoznać obie sylwetki; widziała, jak się uśmiechali, patrząc sobie w oczy - a później z przerażeniem obserwowała, jak obaj zostają wyróceni na nice. Wilgotne, czerwone wnętrza ich ciał zwinęły się i złożyły kilkakrotnie, szybko, raz za razem. Z każdym takim złożeniem ciała kurczyły się coraz bardziej i bardziej, malały coraz szybciej i wreszcie zniknęły.

Roztrzęsiona Jude oparła się o futrynę drzwi. Warujący u szczytu schodów pies wszedł do pracowni i bez cienia lęku obwąchał miejsce, w którym przed chwilą stali dwaj mężczyźni, ale wszelka magia się ulotniła i nie mógł podążyć za nimi. Pracownia była pusta i martwa. Zniknęli, dranie!

Jude wrzasnęła wściekle, aż pies podkulił ogon. Miała szczerą nadzieję, że Gentle - gdziekolwiek jest - słyszy ją. Przecież przyszła do niego podzielić się swoim odkryciem, żeby mogli razem wyruszyć na spotkanie nieznanego! Tymczasem on cały czas kombinował, jak się jej urwać. I zniknął bez niej!

- Jak śmiesz?! - krzyknęła do pustego pokoju.

Pies zaskomlał. Na widok przerażonego zwierzaka serce Jude zmiękło. Przykucnęła.

- Przepraszam - powiedziała. - Chodź do mnie. Nie jestem zła na ciebie, tylko na tego zasańca Gentle'a.

Pies nie od razu dał się przekonać, ale po jakimś czasie zbliżył się do niej ostrożnie. Coraz śmielej machał ogonem, upewniając się, że jego nowa pani wcale nie zwariowała. Pogłaskała go po łbie; kontakt z żywą istotą przyniósł jej ulgę. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeżeli Gentle mógł to zrobić, ona też mogła. Nie miał przecież wyłączności na przygody. Znajdzie jakiś sposób, żeby za nim podążyć, choćby miała w tym celu zjeść po kawałku cały błękitny kamień.

Rozmyślała jeszcze o tym, gdy zabrzmiały kościelne dzwony, natarczywym

dzwonieniem ogłaszając nadejście północy. Zawtórowały im klaksony samochodów i wiwaty dobiegające z sąsiedniego domu.

- Hura - mruknęła pod nosem Jude.

Jej twarz przybrała ten sam nieobecny wyraz, który przez lata nieodmiennie fascynował mężczyzn. O większości z nich już zapomniała: jedni o nią walczyli, inni w pogoni za nią opuszczali żony, jeszcze inni tracili rozum. Wszyscy odeszli w zapomnienie. Historia nigdy jej specjalnie nie interesowała, za to przyszłość w tej chwili rysowała się bardziej kusząco niż kiedykolwiek przedtem.

Przeszłość tworzyli mężczyźni - ale przyszłość, brzemiennea możliwościami, była kobietą.

ROZDZIAŁ 18

1

Do czasu rozkwitu Yzordderrex (doszło do niego za sprawą autarchy, dla którego liczyły się przede wszystkim względy polityczne), Patashoqua, położone na skraju Czwartego Dominium, w pobliżu granicy połączonych światów z In Ovo, miało słuszne pretensje do miana najważniejszego miasta dominiów. Jego dumni mieszkańcy nazywali je *casje au casje*, czyli po prostu „ulem ulów”, miejscem wyteżonej i owocnej pracy. Bliskość Piątego Dominium sprawiła, że Patashoqua szczególnie mocno odczuwało jego wpływy. Nawet gdy Yzordderrex przejęło palmę pierwszeństwa w dominiach, oczy tych, którzy niecierpliwie wyczekiwali wszelkich nowinek, zwrócone były na Patashoqua. Pojazdy silnikowe zagościły na jego ulicach znacznie wcześniej niż w Yzordderrex; wyprzedziło dumne miasto Drugiego Dominium także z rock and rollem, hamburgerami, kinem, džinsami i niezliczonymi innymi oznakami nowoczesności. Zresztą z Piątego Dominium przejmowało nie tylko takie błahostki jak modę - także filozofię i systemy wierzeń. Ukuto nawet takie powiedzenie, że obywatel Yzordderrex wygląda tak, jak mieszkaniec Patashoqua dzień wcześniej, i wierzy w to, co w Patashoqua od wczoraj uchodzi za nieaktualne.

Podobnie jednak jak wiele miast rozmiłowanych w nowoczesności, Patashoqua zachowało swoje bardzo konserwatywne korzenie. Yzordderrex było grzesznym miastem (szczególnie złą sławą cieszyły się kesparaty), natomiast na ulicach Patashoqua po zmroku panował spokój; jego mieszkańcy kładli się do łóżek w towarzystwie własnych małżonków i rozmyślali o nowych trendach w modzie. Mariaż stylowej elegancji i konserwatyizmu nigdzie nie uwidaczniał się tak wyraźnie, jak w architekturze miasta. Dzięki umiarkowanemu klimatowi projekty domów nie musiały brać pod uwagę odporności na ekstremalne warunki pogodowe - inaczej niż w Yzordderrex, które leżało

w tropikach. Budynki albo były eleganckie, klasyczne i tak solidne, jakby miały przetrwać wieczność, albo odzwierciedlały bieżące szaleństwa stylistyczne i nikt nie planował, że postoją dłużej niż tydzień.

Najciekawsze widoki czekały jednak gościa na obrzeżach Patashoqua, gdzie przycupnęło drugie, pasożytnicze miasteczko. Zamieszkiwali je uchodźcy ze wszystkich czterech dominiów, którzy uciekali przed prześladowaniami i ściągali do Patashoqua jako jednego z nielicznych miejsc, gdzie nikt nie ograniczał ich wolności myśli i działania. Pytanie, jak długo stan taki miał się utrzymać, stanowiło przedmiot dysput na wszystkich spotkaniach towarzyskich. Autarcha nie darował miasteczkom, metropoliom i państwom, które on i jego doradcy uznali za tygle nastrojów rewolucyjnych. Niektóre równano z ziemią, inne przechodziły pod bezpośredni zarząd Yzordderrex i tłumiono w nich wszelkie przejawy niezależności. Hezoir, znany ośrodek uniwersytecki, został obrócony w gruzy, a wyrwane z czaszek studentów mózgi wały się po ulicach; mieszkańcy jednej z prowincji Azzimulto zostali dosłownie zdziesiątkowani za sprawą choroby, którą - jak głosiła plotka - rozsiewali wysłannicy autarchy; opowieści o jego okrucieństwach docierały z tak licznych źródeł, że ludzie przestawali na nie reagować, przynajmniej dopóki nie zadali sobie pytania, kiedy autarcha zwróci swój bezlitosny wzrok na ul ulów. Wtedy bledli i szeptem snuli plany ucieczki lub obrony. Patrzyli na swoje niezwykle miasto, które miało przetrwać do dnia sądu ostatecznego, i zastanawiali się, jak bliski jest ten dzień.

2

Mimo że Pie'oh'pah opowiedział pokrótce o istotach zamieszkujących In Ovo, Gentle ledwie zwrócił uwagę na ciemne, falujące królestwo. Całkowicie pochłaniał go inny proces, który bardziej bezpośrednio go dotyczył - przemiana, jakiej ulegli z Pie'oh'pahem, kiedy ich ciała przybrały postać obowiązującą w podróży między dominiami. Otumaniony brakiem tlenu, nie miał nawet pewności, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę. Czy ciało mogło otworzyć się jak kwiat i uwolnić jaźń jak nasiona? I czy to samo ciało można było odtworzyć na końcu podróży, tak żeby mimo przebytej traumy

wyglądało jak nowe? Najwidoczniej tak. Świat, który Pie nazywał Piątym Dominium, zwinął się przed ich oczami i pomknęli niczym sen do zupełnie innego miejsca. Widząc światło, Gentle padł na kolana na skalisty grunt, z wdzięcznością chłonąc powietrze nieznanego dominium.

- Całkiem niezłe - odezwał się Pie. - Udało nam się. Przez chwilę w to nie wierzyłem, ale się udało!

Gentle podniósł głowę. Pie szarpnął za łączący ich sznurek.

- Wstawaj! - powiedział. - No, wstawaj! Nie powinno się zaczynać wędrówki na kolanach.

W tym świecie, w środku dnia, niebo było bezchmurne, a jego barwy i połysk przywodziły na myśl opalizujący pawi ogon. Gentle nie widział słońca ani księżyca; powietrze lśniło własnym blaskiem. Dopiero teraz mógł zobaczyć Pie'oh'paha pierwszy raz od czasu przelotnego spotkania w pożarze. Może przez wzgląd na pamięć o zmarłych mistyf wciąż miał na sobie to samo ubranie co wtedy, osmalone i poplamione krwią. Zmył tylko sadzę z twarzy, skóra lśniła mu w jasnym świetle dnia.

- Miło cię znów widzieć - stwierdził Gentle.

- Ciebie również.

Pie zaczął rozplątywać łączące ich więzy, Gentle zaś rozglądał się po nowym dominium. Znajdowali się pod szczytem wzgórza, niespełna pół kilometra od miasteczka namiotów i szałasów, skąd dobiegał zwykły codzienny gwar. Miasteczko spływało ze wzgórza. Nieco dalej, na płaskiej, bezdrzewnej równinie koloru ochry przecinała je ruchliwa droga, wzdłuż której wzrok Gentle'a podążył w stronę błyszczących kopuł i wież dużego miasta.

- To Patashoqua?

- A cóż by innego?

- Trafieś w dziesiątkę.

- Poszło nam lepiej, niż się spodziewałem. Podobno na tym wzgórzu odpoczywał sam Hapexamendios po przybyciu z Piątego Dominium. Nazywa się Lipper Bayak, ale nie pytaj mnie dlaczego.

- Czy miasto jest obleżone?

- Nie sędę. Brama jest chyba otwarta.

Gentle spojrział w stronę odległych murów. Rzeczywiście, brama była otwarta na oścież.

- Co to za ludzie? Uciekinierzy?

- Zaraz się dowiemy.

Węzeł puścił. Gentle roztarł zdrętwiały nadgarstek, w który sznurek mocno się werznął. Pomiedzy prymitywnymi domostwami dostrzegł postaci, które wcale nie przypominały ludzi, ale nie brakowało też istot o zupełnie ludzkich kształtach.

Przynajmniej łatwo będzie udawać tubylca.

- Powiedz mi coś o tym świecie, Pie. Chcę się wiele nauczyć. Muszę wiedzieć, kto jest kim. Czy tu się mówi po angielsku?

- Kiedyś był to język bardzo popularny. Sam nie mogę się nadziwić, że wyszedł z mody. Zanim pójdziemy dalej, powinieneś chyba wiedzieć, z kim podróżujesz. W przeciwnym razie reakcje ludzi na mój widok będą dla ciebie niezrozumiałe.

- Mów, ale chodźmy już stąd. - Gentle nie mógł się doczekać, kiedy z bliska zobaczy obce stworzenia.

- Jak chcesz.

Zaczęli schodzić po zboczu.

- Jestem mistykiem i nazywam się Pie'oh'pah, tyle już wiesz. Nie wiesz jednak, jakiej jestem płci.

- Już się nad tym zastanawiałem.

- Tak? - uśmiechnął się Pie.

- I co?

- Jesteś obojnakiem. Mam rację?

- W pewnym sensie.

- I masz dryg do tworzenia iluzji. W Nowym Jorku widziałem, jak to robisz.

- Nie lubię słowa „iluzja”. Kojarzy się z udawaniem, a ja nie udaję.

- Kim zatem jesteś?

- W Nowym Jorku pragnąłeś Judith, więc ją właśnie zobaczyłeś. To była twoja wizja, nie moja.

- Wizja, do której się dopasowałeś.

- Bo chciałem z tobą być.

- A teraz też się dopasowujesz?
- Nie oszukuję cię, jeśli o to chodzi. Widzisz to, czym dla ciebie jestem.
- A jak widzą cię inni?
- Różnie, jedni jako mężczyznę, inni jako kobietę.
- Mógłbyś być biały?
- Przez chwilę. Gdybym przyszedł do ciebie do łóżka za dnia, zorientowałbyś się, że nie jestem Judith. Tak samo przejrzałbyś mnie, gdybyś pożądał ośmiolatki. Albo psa. Psa też nie umiałbym naśladować. Chyba że... - Mistyf obejrzał się za siebie. - Chyba że w bardzo szczególnych okolicznościach.

Gentle przez chwilę zmagał się z tą ideą oraz jej implikacjami natury biologicznej, filozoficznej i seksualnej. Zatrzymał się i spojrzał na Pie.

- Powiem ci, jak cię widzę - zaproponował. - Żebyś na przyszłość wiedział.
- Dobry pomysł.
- Gdybym minął cię na ulicy, wziąłbym cię chyba za kobietę. - Przechylił głowę. - Chociaż... może nie. Pewnie zależałoby to od oświetlenia i od tego, jak szybko byś szedł.
- Roześmiał się. - Rany, im dłużej ci się przyglądam, tym więcej widzę, a im więcej widzę...

- Tym mniej wiesz.
- Właśnie. Nie jesteś człowiekiem, to oczywiste, ale... - Gentle pokręcił głową. - Czy teraz jesteś prawdziwy? To znaczy, czy to twoja pierwotna postać?
- Oczywiście nie. I ty, i ja potrafimy przybierać dziwniejsze kształty. Dobrze o tym wiesz.

- Dotąd nie wiedziałem.
- Nie możemy chodzić po świecie zbyt nadzy, bo wypalilibyśmy sobie nawzajem wzrok.

- Ale to, co widzę, to prawdziwy ty.
- W tej chwili tak.
- Podobasz mi się. Nie wiem, jak bym cię nazwał, widząc cię na ulicy, ale obejrzałbym się za tobą. Co ty na to?
- Czegóż więcej mógłbym sobie życzyć?
- Czy spotkamy więcej takich istot jak ty?

- Nie wiem, może... Mistyfów jest mało. Kiedy rodzi się mistyf, mój lud długo to świętuje.

- Twój lud?

- Eurhetemecowie.

- A ich tu spotkamy? - Gentle skinął głową w kierunku miasta.

- Wątpię. Za to w Yzordderrex na pewno. Mają tam swój kesparat.

- Co to jest kesparat?

- Dzielnica. Mój lud ma swoje miasto w mieście, a przynajmniej kiedyś miał.

Ostatni raz byłem tam dwieście dwadzieścia jeden lat temu.

- Boże... Ile ty masz lat?

- Jeszcze o ponad sto więcej. Wiem, że to wydaje się niezwykle, ale czas wolniej oddziałuje na ciało potraktowane sztuką.

- Sztuką?

- Magicznym zaklęciem. Sztuką, figłem, influencją. Magia czyni cuda nawet w organizmie takiej dziwki jak ja.

- Rety!

- To fakt. Jest jeszcze coś, co powinienes o mnie wiedzieć. Dawno temu powiedziano mi, że mam prowadzić żywot albo zabójcy, albo kurwy. To właśnie robię.

- Robieś do tej pory, owszem, ale koniec z tym.

- A czym stanę się teraz?

- Moim przyjacielem - odparł bez wahania Gentle.

- Dziękuję ci - odparł mistyf z uśmiechem.

Gentle wyczerpał zapas pytań i ruszyli dalej.

- Nie daj po sobie poznać, że jesteś wszystkiego ciekawy - doradził mu Pie, gdy znaleźli się na granicy miasteczka. - Udawaj, że takie widoki to dla ciebie chleb powszedni.

- Nie będzie mi łatwo - zauważył Gentle.

Nie było łatwo. Kiedy szli krętymi zaułkami wśród bud i szałasów, odnosił wrażenie, że powietrze w tym świecie ma własne ambicje i próbuje wpłynąć na proces ewolucji, wystarczy się nim zaciągnąć, by zacząć mutować. Setki różnych oczu śledziły ich z okien i drzwi, setki stworzeń najróżniejszych kształtów i rozmiarów wykonywały

codzienne prace - gotowały, karmiły, wytwarzały różne przedmioty, knuły spiski, paliły ogniska, targowały się i kochały. Widoki zmieniały się tak szybko, że po paru krokach Gentle coraz częściej spuszczał wzrok i patrzył pod nogi, w błotnisty rynsztok, którym szli. Bał się, że zemdleje od nadmiaru wrażeń wzrokowych. Zapachy też były ostre i nieznanne - aromatyczne, odrażające, słodkie i kwaśne; od obcych dźwięków pękała mu czaszka i drżały wnętrzności.

Nic w dotychczasowym życiu, ani we śnie, ani na jawie, nie przygotowało go na to spotkanie. Studiował dzieła wielkich mistrzów wyobraźni (namalował kiedyś całkiem znośnego Goyę, a za jakiegoś Ensora zgarnął małą fortunę), ale różnicy między obrazem i rzeczywistością do tej pory nawet sobie nie wyobrażał - nie mógł, gdyż otaczała go tylko jedna strona tego równania. Nie znajdował się w świecie wymyślonym, zamieszkanym przez stworzenia, które byłyby wariacją na temat znanych mu istot. To, co widział, miało się nijak do jego układu odniesienia, stanowiło całkiem odrębny świat. Kiedy znów podniósł wzrok, szykując się na atak niezwykłości, ucieszył się, że wraz z Pie jest w kwartale zamieszkanym przez istoty bliższe wyglądem ludziom, chociaż i tu czekały go niespodzianki. Przez drogę przebiegło im trójnogie dziecko. Odwróciło się i spojrzało na nich przez ramię. Miało twarz zasuszoną jak mumia, a trzecia noga była w rzeczywistości ogonem. Na progu domu siedziała kobieta, mąż rozczesywał jej włosy. Kiedy Gentle spojrzał w jej stronę, zasłoniła się spódnicą, ale nie dość szybko. Drugi małżonek, o skórze śledzia i z okiem, które poruszało się dookoła głowy, klęczał przed nią i zaostrzoną nasadą dłoni kreślił jej na brzuchu jakieś hieroglify. Wokół rozbrzmiewały najróżniejsze języki. Angielski słyszało się najczęściej, chociaż z dziwną melodią i zniekształcony stosownie do anatomii obcych narządów mowy. Niektóre stworzenia śpiewały, inne wymiotowały zgłoskami.

Ale sepleniący, pompatyczny głos, który rozległ się w zaułku po prawej stronie i kazał im się zatrzymać, mógł rozbrzmiewać gdzieś w Londynie. Odwrócili się w jego stronę. Tłum rozstał się przed właścicielem głosu i towarzyszącymi mu trzema osobami.

- Udawaj niemowę - mruknął Pie do Gentle'a, gdy zbliżył się do nich opasty gargulec.

Był łysy, tylko z absurdalnym, natłuszczonym pierścieniem loczków wokół

czaszki. Miał wysokie, lśniące czarne buty i kanarkową marynarkę, obficie haftowaną, zgodnie z - jak później miał się Gentle przekonać - obowiązującą w Patashoqua modą. Za nim szedł człowiek w znacznie skromniejszym stroju. Oko miał przesłonięte przepaską, z której sterczały purpurowe ptasie pióra, prawdopodobnie pamiątka momentu okaleczenia. Na ramieniu siedziała mu kobieta w czerni, o skórze pokrytej srebrzystymi łuskami. W małych dłoniach trzymała laskę, którą postukiwała mężczyznę w głowę, kiedy chciała, żeby przyspieszył. Na samym końcu szło najdziwniejsze stworzenie z całej czwórki.

- Nullianac - szepnął Pie.

Gentle nie musiał pytać, czy pojawienie się nullianaca to dobry omen. Stwór sam stanowił dla siebie najlepszą reklamę. Wyglądał paskudnie. Jego głowa najbardziej przypominała złożone do modlitwy dłonie ze sterczącymi do przodu kciukami, na czubkach których znajdowały się oczy jak u homara. Odstęp między dłońmi był dość duży, by przeświecało niebo, ale migotał cały czas w rytm przeskakujących wyładowań. Bez wątplenia była to najbrzydsza istota, jaką Gentle w życiu widział. Gdyby Pie nie kazał mu się zatrzymać, uciekłby gdzie pieprz rośnie, byle dalej od nullianaca.

Sepleniący gargulec zatrzymał się i przemówił:

- Czego szukacie w Vanaeph?

- Jesteśmy tu przejazdem - odparł Pie.

Gentle uznał, że nie była to zbyt wyszukana odpowiedź.

- Kim jesteście?

- A kim ty jesteś? - odpowiedział pytaniem Gentle.

Wierzchowiec z opaską na oku parsknął śmiechem i dostał laską w łeb od swojej amazonki.

- Loitus Hammeryock - odparł gargulec.

- Ja się nazywam Zacharias - powiedział Gentle. - A to jest...

- Casanova - wszedł mu w słowo Pie.

Gentle spojrzał na niego pytająco.

- Mófi anglejski? - zapytała kobieta.

- Pewnie - odparł Gentle. - Mófi anglejski.

- Uważaj - szepnął ostrzegawczo Pie.

- Bene! Bene! - ucieszyła się kobieta i zaczęła im tłumaczyć (w języku w połowie

złożonym z różnych odmian angielskiego, w jednej czwartej z łaciny i w jednej czwartej z jakiegoś dialektu Czwartego Dominium, czyli cmoknięć i kłapnięć zębami), że wszyscy, którzy przybywają do Neo Vanaeph, muszą się zarejestrować, podać kraj pochodzenia i cel wizyty, zanim zostaną wpuszczeni do miasta - albo zanim będą mogli je opuścić. Z pozoru nędzne Vanaeph nie było najwyraźniej slumsem, w którym króluje bezprawie, lecz porządnym, dobrze pilnowanym miasteczkiem. Kobieta, która w swoim wielojęzycznym słowotoku przedstawiła im się jako pontyfia Farrow, zajmowała tu dość wysokie stanowisko.

Kiedy skończyła, Gentle spojrział pytająco na Pie. Czuł, że z każdą chwilą porusza się po coraz bardziej niepewnym gruncie. W przemowie pontyfii kryła się wcale nie zawołana groźba, że jeżeli nie udzielią satysfakcjonujących odpowiedzi, zostaną na miejscu straceni. A wykonawcy egzekucji nie trzeba by było długo szukać.

Pacierzogłowy nullianac czekał na instrukcje.

- No właśnie - powiedział Hammeryock. - Możecie potwierdzić swoją tożsamość?

- Ja nie - odparł Gentle.

- A ty? - Hammeryock zwrócił się do Pie'oh'paha, który pokręcił głową.

- Szpiegi - zasyczała pontyfia.

- Jesteśmy... turystami - zaprotestował Gentle.

- Turystami?

- Przybyliśmy tu podziwiać piękne widoki Patashoqua. - Gentle odwrócił się do Pie, szukając w nim oparcia. - Widoki Patashoqua.

- Grobowce Żarliwego Loki Lobba... - ciągnął Pie, najwyraźniej próbując sobie przypomnieć, jakie cuda Patashoqua ma do zaoferowania. - I Merrow Ti' Ti'.

Gentle'owi spodobało się brzmienie tego imienia.

- Merrow Ti' Ti'! - rozpromienił się. - Naturalnie! Za Chiny nie przegapiłbym Merrow Ti' Ti'!

- Za Chiny? - powtórzył Hammeryock.

- Powiedziałem „Chiny”?

- Tak powiedziałeś.

- Piąte Dominium... - mruknęła pontyfia. - Spiati z Piątego Dominium.

- Stanowczo sprzeciwiam się podobnym oskarżeniom - odezwał się Pie'oh'pah.

- Ja również - rozległ się głos za ich plecami.

Pie i Gentle odwrócili się jak na komendę. Za nimi stał krościasty, brodaty człowieczek, którego strój można by łaskawie określić mianem eklektycznego, a mniej łaskawie - mianem łachmanów. Stał na jednej nodze i patykiem czyścił obcas z psich odchodów.

- Bebechy mi się wywracają od waszej hipokryzji, Hammeryock - powiedział z nieprzeniknioną twarzą. - Perorujecie o tym, że należy usunąć niepożądany element z ulic, ale z kupą nic nie zrobicie!

- To nie twoja sprawa, Tick Raw - zaperzył się Hammeryock.

- Ależ moja, jak najbardziej. To są moi przyjaciele, a wy obrażacie ich swoimi podejrzeniami.

- Przyjaciele, mófi? - mruknęła pontyfia.

- W rzeczy samej, pani, przyjaciele. Są jeszcze wśród nas tacy, którzy odróżniają rozmowę od napastliwej krytyki. Mam przyjaciół, z którymi mogę porozmawiać i wymienić poglądy. Wiesz, co to są poglądy? To coś, dla czego warto żyć.

Po Hammeryocku widać było, że czuje się nieswojo, słysząc, jakim tonem brodac zwraca się do jego pani, ale Tick Raw widocznie miał wystarczający autorytet, by uciszyć dalsze protesty.

- Moi drodzy - zwrócił się do Gentle'a i Pie - czy pozwolicie, że udamy się do mnie do domu?

Na pożegnanie rzucił patyk w stronę patrolu. Patyk wbił się w ziemię między stopami Hammeryocka.

- Sprzątnij to, Loitusie. Nie chcielibyśmy chyba, żeby autarcha pośliznął się na psiej kupie?

Tick Raw ruszył przodem, prowadząc Gentle'a i Pie przez labirynt uliczek.

- Chcielibyśmy ci podziękować - odezwał się Gentle.

- Za co? - Tick Raw wymierzył kopniaka kozie, która weszła mu pod nogi.

- Za wyciągnięcie nas z tarapatów. Już sobie pójdziemy.

- Ależ musicie pójść ze mną!

- Nie ma potrzeby.

- Potrzeby? Jest potrzeba, i to jaka! Mam rację? - zwrócił się Tick Raw do Pie. -

Jest potrzeba czy nie ma?

- Twoja przenikliwość z pewnością będzie dla nas bezcenna - odparł Pie. - Obaj jesteśmy tu obcy. - Mistryf mówił dziwnie sztywno, jakby coś nie pozwalało mu swobodnie się wyrazić.

- Przyda się nam reedukacja.

- Naprawdę?

- Kim jest ten cały autarcha? - zapytał Gentle.

- Władcą Pojednanych Dominiów. Ma siedzibę w Yzordderrex i największą władzę w całej Imajice.

- I chce tu przyjechać?

- Chodzą takie słuchy. Czwarte Dominium wymyka mu się z rąk i on o tym wie, więc postanowił zjawić się tu osobiście. Przybędzie z oficjalną wizytą do Patashoqua, które jest źródłem wszystkich kłopotów.

- Myślisz, że faktycznie przyjedzie? - spytał Pie.

- Jeżeli tego nie zrobi, cała Imajica dowie się, że autarcha boi się pokazać.

Naturalnie, to zawsze fascynowało ludzi. Tyle lat rządzi dominiami i nikt na dobrą sprawę nie wie, jak wygląda. Ale czar prysł. Jeżeli chce uniknąć rewolucji, musi pokazać, że ma charyzmę.

- Czy po tym, jak powiedziałeś Hammeryockowi, że jesteśmy twoimi przyjaciółmi, możesz mieć kłopoty? - zainteresował się Gentle.

- Być może, ale oskarżano mnie już o gorsze rzeczy. Poza tym prawie nie kłamałem. Tu każdy obcy jest moim przyjacielem. - Tick Raw zerknął na Pie. - Nawet mistryf. Ci, którzy mieszkają w tym gnoju, nie mają w sobie za grosz poezji. Wiem, że powinienem im współczuć. To uchodźcy, potracili ziemię, domy, krewnych... Ale tacy są zapamiętali w swoich zasmarkanych smuteczkach, że nie mają dystansu do życia.

- A z dystansu ma się lepszy widok?

- O tym lepiej rozmawiać za zamkniętymi drzwiami - odparł Tick Raw i nie dał się wciągnąć w dalszą dyskusję, póki nie weszli do jego chaty.

*

Wnętrze było spartańskie aż do przesady. Przykryta kocami deska służyła za łóżko, druga za stół, obok leżało kilka pogryzionych przez mole poduszek do siedzenia.

- Tyle mi tylko zostało - powiedział Tick Raw do Pie, tak jakby mistyf rozumiał, może nawet podzielał jego upokorzenie. - Gdybym przeniósł się dalej, może wszystko wyglądałoby inaczej. No, ale tego nie mogłem zrobić.

- Dlaczego? - zdziwił się Gentle.

Tick Raw spojrział na niego z niedowierzaniem, przeniósł wzrok na Pie i znów zerknął na Gentle'a.

- Myślałem, że to oczywiste. Zachowałem posadę. Czekam, aż nadejdą lepsze dni.

- A kiedy to będzie?

- Może ty mi powiesz? - odparł z goryczą Tick Raw. - Jutro wcale nie byłoby za wcześnie. To nie jest życie, psia mać, dla mistrza influencji! Sami popatrzcie. - Powiódł wzrokiem po izbie. - Cóż, to i tak luksus w porównaniu z niektórymi ruderami, jakie mógłbym wam tu pokazać. Ludzie żyją we własnych ekskrementach i sępią jedzenie, a wszystko to pod nosem jednego z najbogatszych miast w dominiach. To nieprzyzwoite. Ja mam przynajmniej pełny brzuch. No i cieszę się jakim takim szacunkiem, ma się rozumieć. Nikt nie wchodzi mi w drogę. Wiedzą, że jestem wywoławcą i trzymają się ode mnie z dala. Nawet Hammeryock. Nienawidzi mnie, ale nie odważyłby się wystać nullianaca, żeby mnie zabił; boi się, że gdyby nullianac skrewił, ja bym go dopadł. I ma rację, zrobiłbym to z rozkoszą. Zastrany bufon.

- Może powinieneś się stąd wynieść? - zasugerował Gentle. - Do Patashoqua.

- Proszę... - jęknął Tick Raw. - Czy musimy się bawić w takie gierki? Nie wierzycie w moją uczciwość? Ocaliłem wam życie.

- Jesteśmy ci za to wdzięczni.

- No to czego chcecie? Pieniędzy? - Tick Raw wstał z poduszki. Poczzerwieniał z gniewu. - Nie zasłużyłem sobie na to.

- Na co? - zdziwił się Gentle.

- Żyję w kupie, ale niech mnie diabli, jeśli będę ją jadł! W porządku, żaden ze mnie maestro. A szkoda! Szkoda, że Uter Musky nie żyje, bo to on czekałby tu tyle lat, a nie ja. Ale jego już nie ma, zostałem sam. Albo się z tym pogodzicie, albo wynocha!

Ten wybuch kompletnie zbił Gentle'a z pantałyku. Pie zwiesił ponuro głowę.

- Może jednak już pójdziemy - powiedział Gentle.

- Oczywiście! Czemu nie? - krzyknął Tick Raw. - Spadajcie stąd! Może

wskresicie Musky'ego? Sam go pochowałem na Lipper Bayak, tymi rękoma! - Głos mu się łamał. Oprócz złości brzmiał w nim teraz smutek. - Możecie go tak samo wykopać!

Gentle zaczął się zbierać, wyczuwając, że jeśli jeszcze coś powie, Tick Raw się załamie, a tego nie miał ochoty oglądać. Mistyf złapał go jednak za ramię.

- Zaczekaj.

- On chce, żebyśmy wyszli.

- Daj mi z nim porozmawiać.

Tick spojrzał podejrzliwie na mistyfa.

- Nie jestem w nastroju do pieszczot - uprzedził.

- Ja też nie. - Pie pokręcił głową, patrząc znacząco na Gentle'a.

- Mam wyjść? - spytał Gentle.

- Na chwilę.

Gentle wzruszył ramionami, chociaż pomysł zostawienia Pie'oh'paha sam na sam z Tickiem wcale mu się nie podobał. Zaczynał podejrzewać, że coś przed nim ukrywają. A jeśli tak, to z pewnością miało to coś wspólnego z seksem, mimo że obaj temu zaprzeczali.

- Poczekam na zewnątrz - oznajmił i zostawił ich samych.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, usłyszał ze środka głosy Pie i Ticka. W chacie naprzeciwko panował spory hałas - słychać było płacz dziecka i śpiewaną na fałszywą nutę kołysankę matki - ale udało mu się wychwycić fragmenty rozmowy. Tick Raw szalał:

- Czy to ma być jakaś kara? - zapytał w pewnej chwili. I za moment: - Cierpliwości? Jak długo jeszcze mam być cierpliwy, do ciężkiej cholery?

Kołysanka zagłuszyła odpowiedź, a gdy znów przycichła, rozmowa toczyła się już zupełnie innym torem:

- Czeka nas długa droga... - mówił Pie - ...dużo nauczyć...

Gentle nie dosłyszał odpowiedzi Ticka Raw, ale Pie wyjaśnił:

- Jest tu obcy.

Tick znów coś odburknął.

- Nie mogę. Odpowiadam za niego - rzekł Pie.

Tym razem Tick Raw podniósł głos na tyle, że Gentle go usłyszał:

- Tracisz czas. Lepiej zostań ze mną. Przyda mi się ktoś, kto zagrzeje mi łóżko.

Pie zniżył głos do szeptu i Gentle zrobił pół kroku w stronę drzwi. Zdołał wyłapać kilka pojedynczych słów - coś o złamanym sercu, potem „wiara”, reszta jednak była zbyt cicha. Uznawszy, że dość im już podarował samotności, uprzedził głośno, że wchodzi, i otworzył drzwi. Pie i Tick Raw spojrzeli na niego chyba z poczuciem winy.

- Chcę już stąd iść - powiedział.

Tick Raw trzymał dłoń na karku Pie, jakby zaznaczał swoje prawa do niego.

- Jeżeli odejdziecie, nie mogę wam zagwarantować bezpieczeństwa - uprzedził mistyfa. - Hammeryock będzie chciał waszej krwi.

- Obronimy się - odparł Gentle, nieco zaskoczony swoją pewnością siebie.

- Może nie powinniśmy się tak spieszyć - wtrącił Pie.

- Czeka nas długa podróż.

- Niech ona sama zdecyduje - powiedział Tick Raw. - Nie jest twoją własnością.

Na te słowa twarz Pie'oh'paha przybrała intrygujący wyraz - poczucie winy zniknęło, ustępując miejsca zatroskaniu i rezygnacji. Mistryf sięgnął ręką i strącił z karku dłoń Ticka.

- On ma rację - powiedział do Ticka. - Czeka nas podróż.

Wywoławca wyjął wargi, jakby się zastanawiał, czy warto upierać się przy swoim.

- Dobrze - powiedział. - W takim razie idźcie. - Spojrzał spode łba na Gentle'a. - Niech wszystko będzie takie, jakie się wydaje, przybyszu.

- Dziękuję - odparł Gentle.

Wyszli z Pie'oh'pahem na zabłocone, hałaśliwe uliczki Vanaeph.

*

- Dziwne słowa - zauważył Gentle, gdy zaczęli oddalać się od chatki Ticka Raw. - Niech wszystko będzie takie, jakie się wydaje.

- W ustach mistrza influencji to najgorsza klątwa.

- Rozumiem.

- Wręcz przeciwnie, nic nie rozumiesz.

Oskarżycielski ton Pie dotknął Gentle'a do żywego.

- W każdym razie świetnie rozumiałem, coście rozważali - odciął się. - Chciałeś z

nim zostać. Trzepotałeś rzesami jak jakaś...

- Śmiało, dokończ. Jak kurwa.

- Nie to miałem na myśli.

- Proszę cię, przestań - rzeki z goryczą Pie. - Bluzgaj śmiało. Czemu nie? To potrafi być podniecające.

Gentle spojrzał na niego z niesmakiem.

- Mówiłeś, że chcesz się uczyć, Gentle. Proszę bardzo, zacznijmy od „Niech wszystko będzie takie, jakie się wydaje”. To jest klątwa, bo gdyby te słowa były prawdziwe, żylibyśmy tylko po to, żeby umrzeć, a w dominiach królowałoby bagno.

- Jasne. Ty byłbyś zwykłą kurwą.

- A ty fałszerzem, pracującym dla...

Pie nie skończył zdania, bo spomiędzy dwóch chałup wypadło stadko zwierząt. Kwiczały jak świny, chociaż z wyglądu przypominały raczej miniaturowe lamy. Gentle spojrzał w kierunku, z którego biegły. Ciarki przebiegły mu po plecach.

- Nullianac!

- Widzę!

Dłonie tworzące łeb oprawcy na przemian rozchylały się i składały, jakby rozdmuchiwały przepływający między nimi zabój czy żar. W okolicznych domach rozlegały się okrzyki przerażenia, trzaskały drzwi, stukały zamykane okiennice, ktoś porwał płaczące dziecko z progu. Gentle zdążył jeszcze ujrzeć, jak nullianac wyciąga dwa miecze, w których odbija się oślepiające światło elektrycznego łuku między dłońmi, a potem pobiegł za Pie.

Uliczka, w której dali się zaskoczyć, była niewiele szersza od rynsztoka, ale w porównaniu z zaułkiem, w który skręcili, wydawała się jasno oświetloną aleją. Pie pędził jak wiatr. Gentle nie; dwa razy zdarzyło mu się przegapić skręt mistyfa. Za drugim razem zgubił go kompletnie w półmroku. Chciał zawrócić, gdy usłyszał za plecami świst broni. Obejrzał się przez ramię. Jeden z mniejszych szafasów złożył się w chmurze kurzu jak domek z kart. Rozległ się płacz i z obłoku wyłoniła się sylwetka nullianaca z głową pełną błyskawic. Stwór utkwiał wzrok w Gentle'u i gwałtownie przyspieszył. Gentle rzucił się biegiem przed siebie, skręcił w pierwszą z brzegu uliczkę, przemknął przez bagnisty ściek, w którym cudem się nie przewrócił, i zniknął w jeszcze węższym przejściu.

Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później zapędzi się w zaułek bez wyjścia, a wtedy zabawa się skończy. Skóra na karku swędziała go, jakby już dotykały jej miecze nullianaca. To było nie fair! Godzinę temu wyrwał się z Piątego Dominium, a już tylko sekundy dzieliły go od śmierci. Obejrzał się. Oprawca go doganiał. Gentle przyspieszył, ostro skręcił i wpadł w ślepy korytarz o ścianach z zardzewiałego metalu.

- No i kupa! - krzyknął, zapożyczając od Ticka jego ulubione słówko. - Furie, właśnie popełniłeś samobójstwo!

Ściany pułapki były wysokie i śliskie od brudu. Wiedział, że nie ma szans się na nie wdrapać, pobiegł więc do końca i rozpędzony uderzył barkiem w mur, licząc na to, że pęknie. Niestety, jego budowniczy (niech ich szlag!) musieli być lepszymi rzemieślnikami niż większość okolicznych fachowców. Mur zatrzęsł się, z góry posypał się cuchnący tynk, ale Gentle uzyskał tylko tyle, że zwabiony łoskotem nullianac rzucił się prosto na niego.

Gentle jeszcze raz grzmotnął całym ciałem o ścianę, widząc w tym ostatnią szansę ocalenia, ale znów tylko się poobijał. Swędzenie na karku stało się boleśnie przykre. Dać się pokroić na plasterki w rurze ściekowej to naprawdę upokarzająca śmierć. Czym na nią zasłużył?

- Co ja zrobiłem? Co takiego zrobiłem, do kurwy nędzy?!

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, chociaż... Kiedy jego słowa ucichły, zorientował się, że podnosi rękę do ust, choć nie miał zielonego pojęcia po co. Coś kazało mu otworzyć dłoń i w nią splunąć. Albo ślina była wyjątkowo zimna, albo skórę miał rozpaloną. Nullianac znalazł się o metr od niego i brał właśnie zamach oboma ostrzami. Gentle lekko zacisnął pięść i przytknął ją do ust. Kiedy miecze osiągnęły najwyższy punkt łuku, dmuchnął.

Poczuł, jak oddech pali mu rękę. Na ułamek sekundy przed tym, jak ostrza spadły na jego głowę, pneuma wystrzeliła mu z pięści niczym kula z pistoletu. Trafiła nullianaca w gardło z wielką siłą. Oślepiająca błyskawica wystrzeliła oprawcy z głowy pod niebo niczym piorun, który pomylił kierunki. Potwór wypuścił oba ostrza z rąk, upadł, drgnął spazmatycznie i wyzionął ducha. Jego rozmodlona głowa zgasła.

Gentle pozbierał się, równie wstrząśnięty śmiercią nullianaca, jak bliskością własnej. Z niedowierzaniem spoglądał to na leżące w gnoju zwłoki, to na swoją pięść.

Otworzył ją. Ślina zniknęła, zmieniawszy się w zabójczy pocisk. Od nasady kciuka przez całą dłoń biegła ciemna smuga, jedyny ślad przejścia pneumy.

- A niech mnie... - wykrztusił.

Przy drugim końcu pułapki zebrał się już spory tłumek, nad ścianami również sterczały głowy ciekawskich. Ze wszystkich stron dobiegał szmer podekscytowanych głosów, który, jak domyślał się Gentle, musiał lada chwila ściągnąć Hammeryocka i pontyfię Farrow. A naiwnością byłoby sądzić, że rządzą w Vanaeph, mając tylko jednego kata. Znajdą się inni, i to niedługo. Przeształ nad ciałem nullianaca, nie przyglądając się dokładnie jego ranom. Kątem oka dostrzegł, że były poważne.

Gapie rozstąpili się na widok zwycięzcy, niektórzy mu się kłaniali, inni rzucili się do ucieczki, jeden zawołał „Brawo!” i próbował pocałować Gentle'a w rękę. Gentle odepchnął adoratora i rozejrzał się w poszukiwaniu Pie'oh'paha. Nie widząc go, zaczął się zastanawiać, co dalej. Dokąd mógł pójść Pie? Nie na Lipper Bayak; góra stanowiła świetny punkt kontaktowy, ale wróg od razu by ich tam znalazł. W takim razie gdzie? Do bramy Patashoqua? Pokazywał ją Gentle'owi zaraz po przybyciu na wzgórze. Tak, to najlepsze miejsce, uznał Gentle i skierował się przez tętniące życiem uliczki Vanaeph w stronę błyszczącego miasta.

Jego najgorsze przeczucia - że pontyfika dowie się o śmieci nullianaca - szybko się sprawdziły. Dobiegł do skraju miasteczka, a przed sobą miał równinę oddzielającą Patashoqua od Vanaeph, gdy za jego plecami wybuchł zgiełk, który sygnalizował, że pościg jest blisko. Gdyby ruszył ku bramie, zapewne zostałby łatwo rozpoznany po dzinsach i koszuli z Piątego Dominium; jeżeli jednak zatrzymałby się w Vanaeph, prześladowcy dopadliby go jak nic. Postanowił zaryzykować i skorzystać z faktu, że jeszcze ma nad nimi przewagę. Nawet jeśli nie dotrze do samej bramy, nie odważą się go zabić o rzut kamieniem od lśniących murów Patashoqua.

Nabrał całkiem niezłej szybkości i w niespełną minutę znalazł się poza obrębem slumsów. Hałas za jego plecami narastał. W świetlistym powietrzu trudno było ocenić odległość do bramy, ale miał do niej co najmniej półtora kilometra - może nawet dalej. Nie uciekł daleko, gdy szpica pościgu opuściła Vanaeph. Prześladowcy byli szybsi i mniej zmęczeni, dzięki czemu łatwo zmniejszyli dystans do uciekiniera. Na drodze znajdowało się mnóstwo podróżnych, zmierzających w obu kierunkach. Niektórzy szli

pieszo, w grupach, ubrani jak pielgrzymi. Inni, zamożniejsi i lepiej odziani, jechali konno; boki i łby wierzchowców zdobiły krzykliwe malunki. Jeszcze inni dosiadali kudłatych krewniaków mułów. Najrzadziej spotykało się godnych zazdrości podróżnych w pojazdach z własnym napędem, które wprawdzie przypominały z grubsza samochody z Piątego Dominium - miały nadwozie i koła - ale poza tym w każdym calu stanowiły miejscowe wynalazki. Niektóre były ozdobne jak barokowe ołtarze, rzeźbione w delikatne wzory; u innych koła miały niedorzecznie cienutkie obręcze i były dwa razy wyższe od samego pojazdu, co upodabniało je do dziwnych, egzotycznych owadów; jeszcze inne - ożywione wraki, niesymetryczne i brzydkie dziwadła ze szkła i stali - poruszały się na kilkunastu maleńkich kółeczkach, plując z rur wydechowych gęstym, gryzącym dymem.

Ryzykując śmierć pod kopytami lub kołami, Gentle włączył się do ruchu, klucząc między pojazdami. Czoło pościgu również dotarło do drogi. Widział, że goniący go ludzie są uzbrojeni i wcale się z tym nie kryją. Nagle stracił nadzieję, że nie odważą się go zabić na oczach tylu świadków. Może prawo Vanaeph obowiązywało aż do samych bram Patashoqua. Jeśli tak, był trupem. Dopadną go, zanim dobiegnie do bram azylu.

Nagle ponad harmider na drodze wzbił się inny, obcy dźwięk. Gentle zaryzykował rzut oka w lewo i ujrzał mały, całkiem zwyczajny pojazd, który skręcał w jego kierunku. Miał źle wyregulowany silnik, był bez dachu. W fotelu kierowcy siedział Pie'oh'pah, niech go Bóg błogosławi, i prowadził wóz jak człowiek - czy raczej mistyf - natchniony. Gentle skręcił, zbiegł z drogi, roztrzając grupkę pielgrzymów, i popędził w kierunku hałaśliwego rydwanu Pie'oh'paha.

Chóralne wrzaski za plecami podpowiadały mu, że ścigający także zmienili kierunek, ale na widok Pie poczuł przypływ nowych sił. Biegł, jakby u nóg wyrosły mu skrzydła. Niepotrzebnie się tak spieszył. Zamiast zwolnić i dać mu wsiąść, Pie minął go w pełnym pędzie, kierując się prosto w sforę goniących go zbrojnych. Ci na przedzie rozpierchli się, ale Pie celował w siedzącą w lektyce postać, której Gentle wcześniej nie zauważył. Hammeryock, który z podwyższenia zamierzał śledzić egzekucję, nagle z myśliwego stał się zwierzyną. Ryknął na tragarzy, ale ci w panice nie zdołali się porozumieć. Dwóch pociągnęło w prawo, dwóch w lewo. Jeden z drągów pękł, Hammeryock wyleciał z lektyki, wyrznął mocno w ziemię i już nie wstał. Tragarze

porzucili lektykę i uciekli, Pie zaś spokojnie zawrócił w stronę Gentle'a. Pozbawieni wodza prześladowcy, zmuszeni przede wszystkim do służby pontyfii, stracili ducha walki. Nie mieli dość zapалу, żeby ryzykować los, jaki spotkał Hammaryocka.

- Myślałem, że wróciłeś do Ticka Raw - wysapał Gentle.
- Nie chciałby mnie widzieć - odparł Pie. - Zadaję się z mordercą.
- To znaczy?
- Z tobą, mój przyjacielu, z tobą! Teraz obaj jesteśmy zabójcami.
- Chyba tak.
- I to niemile widzianymi w tej okolicy.
- Skąd wytrzasnąłeś wóz?
- Stało ich kilka na skraju slumsów. Niedługo zaczną nas nimi gonić.
- W takim razie im szybciej znajdziemy się w mieście, tym lepiej.
- Obawiam się, że i tam nie bylibyśmy bezpieczni.

Mistyf skierował zadarty nos pojazdu w stronę drogi. Mogli skręcić w lewo do Patashoqua albo pojechać w prawo, omijając Lipper Bayak, w kierunku rysujących się na horyzoncie gór.

- Wybieraj - powiedział Pie.

Gentle spojrzał tęsknie w stronę miasta. Iglice kusiły go, ale wiedział, że Pie ma rację.

- Kiedyś tu wrócimy, prawda? - zapytał.
- Oczywiście, jeśli tylko zechcesz, wrócimy.
- W takim razie jedźmy w przeciwnym kierunku. Wjechali na drogę, zostawili

miasto za plecami i wkrótce zaczęli nabierać szybkości.

- To tyle, jeśli idzie o Patashoqua - stwierdził Gentle, gdy mury miasta rozplynęły się jak miraż.

- Niewielka strata.
- Żałuję Merrow Ti' Ti'.
- Niepotrzebnie.
- Jak to?
- To czysty wymysł - odparł Pie'oh'pah. - Jak wszystko, co lubię. Jak ja sam.

Czysty wymysł.

ROZDZIAŁ 19

1

Mimo że Jude obiecała sobie solennie, że podąży za Gentle'em, gdziekolwiek się udał, kilka niecierpiących zwłoki spraw pokrzyżowało jej plany. Najważniejszy był Clem. W ponure, deszczowe dni, które nastąpiły po Nowym Roku, potrzebował jej rady, pocieszenia i umiejętności organizacyjnych. Nie mogła mu odmówić. Pogrzeb Taylora odbył się dziewiątego stycznia. Clem dołożył wszelkich starań, żeby nabożeństwo wypadło doskonale, i udało mu się, chociaż sukces miał melancholijny posmak. Przyjaciele i krewni Taylora zeszli się, żeby wyrazić swoje gorące uczucia dla zmarłego. Jude spotkała ludzi, których nie widziała od lat; tylko nieliczni nie komentowali rzucającej się w oczy nieobecności Gentle'a. Wszystkim powtarzała to samo, co powiedziała Clemowi - że Gentle przeżywa ostatnio trudny okres i kiedy ostatnio z nim rozmawiała, planował urlop. Clema nie udało się, naturalnie, zbyć tak ogólnikowymi wykrętami. Gentle wiedział o śmierci Taylora, toteż Clem oceniał jego zachowanie jako tchórzliwe. Jude nie próbowała go bronić, starała się po prostu jak najmniej o nim mówić przy Clemie.

Ale sprawa Gentle'a wracała jak bumerang. Po pogrzebie, przeglądając rzeczy Taylora, Clem natknął się na trzy akwarele namalowane przez Gentle'a w stylu Samuela Palmera, podpisane jednak jego własnym nazwiskiem i dedykowane Taylorowi. Przedstawiały wyidealizowane krajobrazy i w naturalny sposób skierowały myśli Clema na nieodwzajemnioną miłość Taylora do Gentle'a. Jude pod ich wpływem znów zaczęła się zastanawiać, gdzie Gentle zniknął. Clem zamierzał (z zemsty, zapewne) zniszczyć obrazy, ale Jude mu to wyperswadowała. Jeden dał więc jej, drugi zostawił sobie na pamiątkę, a trzeci oddał Kleinowi.

Chwile spędzone z Clemem nie tylko zabierały jej cenny czas, ale także utrudniały

koncentrację. Kiedy więc w połowie miesiąca oznajmił, że wybiera się na dwa tygodnie na Teneryfę, żeby poopalać się i zapomnieć o kłopotach, ucieszyła się, że zostanie zwolniona z codziennych obowiązków przyjaciółki i pocieszycielki, ale nie potrafiła rozpaść w sobie żaru postanowienia, jaki płonął w niej w pierwszych godzinach nowego roku. Zachowała niezwykłą pamiętkę tamtej chwili. Psa. Wystarczyło jedno spojrzenie na kundla i natychmiast przypominała sobie, jak stoi w drzwiach pracowni i widzi rozpływające się w powietrzu dwie osoby. Wraz z tym obrazem wracało wspomnienie nowiny, z którą przysłała do Gentle'a, opowieści o podróży jak ze snu, wywołanej przez niebieski kamień, który opatulony szmatką leżał teraz dobrze ukryty w szafie. Nie była miłośniczką psów, ale tamtej nocy wzięła kundla do domu; zdawała sobie sprawę, że bez jej opieki długo nie pożyje. Szybko wkupił się w jej łaski. Z zapalem merdał ogonem na powitanie za każdym razem, gdy wracała od Clema, a wczesnym rankiem zakradał się do sypialni i mościł sobie legowisko w jej ubraniach z poprzedniego dnia. Miał tak mało sierści, że nazwała go Skin. Musiała przyznać, że go lubi. Kilka razy złapała się na tym, że próbuje z nim rozmawiać. Nie słuchał jej chyba, liżąc się po łapach i po jądrach, ale takie monologi pomagały jej zebrać myśli i odsunąć groźbę obłędu. Trzeciego dnia po odlocie Clema do ciepłych krajów, kiedy dyskutowała ze Skinem o tym, co powinna zrobić, w monologu wypłynęło nazwisko Estabrooka.

- Nie znasz go - tłumaczyła psu - ale na pewno byś go nie polubił. Kazał mnie zabić, wiesz?

Skin przerwał toaletę i podniósł łeb.

- Poważnie. Ja też się zdziwiłam. No bo wiesz, zachował się gorzej niż zwierzę. Bez urazy, ale to prawda. W końcu byłam jego żoną... Dalej jestem, a on kazał mnie zamordować. Co byś zrobił na moim miejscu? Wiem, wiem, powinnam się z nim spotkać.

Miał w sejfie niebieskie oko. I taką książkę, że... Przypomnij mi, to ci kiedyś o niej opowiem. Chociaż... może lepiej nie. Jeszcze coś ci do łba strzeli.

Skin położył głowę na łapach, westchnął z zadowoleniem i zapadł w drzemkę.

- Bardzo mi pomagasz - ciągnęła Jude. - Potrzebuję twojej rady. Co się mówi człowiekowi, który kazał cię zabić?

Skin nie otworzył oczu, więc musiała sama udzielić sobie odpowiedzi.

- Powiem: Cześć, Charlie. Opowiedz mi historię swojego życia.

2

Następnego dnia zadzwoniła do Lewisa Leadera z pytaniem, czy Estabrook nadal jest w szpitalu. Dowiedziała się, że owszem, ale przeniesiono go do prywatnej kliniki w Hampstead. Leader podał jej adres i telefon. Jude zadzwoniła, by zapytać o stan chorego i godziny odwiedzin. Usłyszała, że pacjent nadal jest pod obserwacją, ale doszedł już trochę do siebie i można go w każdej chwili odwiedzić. Nie było sensu odwlekać spotkania, pojechała więc do Hampstead jeszcze tego samego wieczoru, mimo że rozszalała się burza. W klinice przywitał ją pielęgniarz Estabrooka, gadatliwy chłopak imieniem Maurice. Kiedy się uśmiechał - a robił to często - tak rozciągał górną wargę, że stawała się prawie niewidoczna. O stanie pacjenta wypowiadał się z entuzjazmem zakrawającym na niedyskrecję.

- Miewa dobre dni - stwierdził z ożywieniem. Z nie mniejszym zapałem ciągnął: - Chociaż rzadko. Jest w poważnej depresji. Zanim do nas przyjechał, próbował popełnić samobójstwo.

- Przyjmuje środki uspokajające?

- Pomagamy mu zwalczyć lęki, ale nie faszujemy go do nieprzytomności. Nie moglibyśmy mu wtedy pomóc.

- A na czym polega problem? - zapytała Jude, oczekując oskarżeń pod swoim adresem.

- To dość mętna sprawa - przyznał Maurice. - Wyraża się o pani bardzo ciepło i jestem przekonany, że pani wizyta dobrze mu zrobi. Ma jakieś kłopoty z bliskimi. Udało mi się wyciągnąć z niego co nieco na temat ojca i brata, ale jest strasznie zamknięty w sobie. Ojciec oczywiście już nie żyje, ale może pani wie coś o bracie?

- Nigdy go nie widziałam.

- Szkoda. Charles czuje do niego wiele złości, na razie jednak nie znam powodu. Dowiem się wszystkiego, potrzebuję tylko więcej czasu. Potrafi być skryty, prawda? No, to pani wie i beze mnie. Zaprowadzić panią do niego? Mówiłem mu, że pani dzwoniła,

więc spodziewa się tej wizyty.

Jude zirytowała się, słysząc, że straciła przewagę zaskoczenia; Estabrook zdążył pewnie przygotować sobie wymówki. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Zamiast objechać wiecznie uśmiechniętego Maurice'a, zachowała niezadowolenie dla siebie. Kto wie, może ten wesolek jeszcze się jej przyda.

Pokój Estabrooka prezentował się całkiem sympatycznie. Był przestronny, wygodny, a powieszony na ścianach reprodukcje Moneta i Renoira działały kojąco. Nawet płynący z głośników ściszony koncert fortepianowy zdawał się rozbrzmiewać po to, by łagodzić wzburzony umysł. Estabrook siedział przy oknie. Jedną zasłonkę odsunął na bok i patrzył w deszcz. Miał na sobie piżamę i elegancki szlafrok. Palił papierosa. Nie zdziwił się bynajmniej, kiedy Jude stanęła w drzwiach. Tak jak się spodziewała, miał też gotowe powitanie:

- Nareszcie jakaś znajoma twarz.

Nie próbował jej przytulić. Podeszła bliżej i pocałowała go w oba policzki.

- Napij się czegoś? - zaproponował. - Poproszę pielęgniarza.

- Kawy, jeśli można. Przemarzłam.

- Może nawet przekonam Maurice'a, żeby ci zaparzył. Muszę mu tylko obiecać, że jutro otworzę przed nim serce.

- Obiecujesz? - zapytał Maurice.

- Tak, obiecuję. Jutro o tej porze będziesz już wiedział, jak nauczyłem się siadać na nocnik.

- Z mlekiem i z cukrem? - zapytał Maurice.

- Z mlekiem - odparł Charlie. - Chyba że gust ci się zmienił.

- Nie - uspokoiła go Jude.

- Oczywiście. Judith się nie zmienia. Judith jest wieczna.

Maurice wyszedł i zostali sami. Nie zapadła pełna zakłopotania cisza, bo Estabrook miał gotową przemowę. Kiedy mówił o tym, jak się cieszy z jej odwiedzin i ma nadzieję, że może pewnego dnia jednak mu wybaczy, obserwowała go uważnie. Schudł i nie miał tupecika, przez co jego twarz zupełnie się zmieniła. Wydatny nos i obwisłe wargi - zwłaszcza dolna, nadmiernie obfita - upodabniały go do upadłego arystokraty. Wątpiła, żeby udało się jej wykrzesać z serca choćby resztki miłości do

niego, ale nie mogła go nie żałować.

- Pewnie chcesz rozvodu - powiedział.
- Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej.
- Potrzebujesz pieniędzy?
- Na razie nie.
- Gdybyś potrzebowała...
- Poproszę.

Pielęgniarka przyniosła kawę dla Jude, gorącą czekoladę dla Estabrooka i biszkopty. Kiedy zniknął za drzwiami, Jude postanowiła się wypowiedzieć z tego, co zrobiła, licząc, że natchnie Estabrooka do podobnej szczerości.

- Byłam w domu - zaczęła. - Chciałam zabrać biżuterię.
- I nie mogłaś otworzyć sejfów.
- Nie, udało mi się.

Estabrook, nie podnosząc wzroku, głośno siorbnął czekolady.

- Znalazłam w sejfie bardzo dziwne rzeczy, Charlie. Chciałabym o nich porozmawiać.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- O kawałku posążka i książce.
- Nie są moje. - Nadal nie patrzył jej w oczy. - I nic o nich nie wiem. Oscar dał mi

je na przechowanie.

Ciekawy trop, uznała Jude.

- Skąd je wziął?
- Nie pytałem - odparł z rezerwą Estabrook. - Wiesz, on dużo podróżuje.
- Chciałabym go poznać.
- Nie chciałabyś - zaprotestował pośpiesznie. - Nie spodobałby ci się.
- Globtroterzy zawsze są interesujący - zauważyła, starając się zachować beztroski

ton.

- Uwierz mi, on by ci się nie spodobał.
- Odwiedzał cię?
- Nie. Nawet gdyby przyszedł, nie chciałabym się z nim widzieć. Dlaczego mnie o

niego wypytyjesz? Nigdy przedtem się nim nie interesowałam.

- Jest twoim bratem. Powinien się tobą zaopiekować.

- Oscar? Obchodzi go tylko własny tyłek. Te prezenty to łapówka.

- Więc jednak prezenty. Myślałam, że wzięłeś je tylko na przechowanie.

- Jakże to ma znaczenie? - spytał Estabrook podniesionym głosem. - Nie ruszaj ich, są niebezpieczne. Odłożyłaś je na miejsce, prawda?

Skłamała, nie chciała bardziej go rozdrażniać.

- Widać coś z tego okna?

- Całe Heath. W słoneczny dzień jest ponoć bardzo ładne. W poniedziałek znaleźli tam zwłoki jakiejś kobiety. Ktoś ją udusił. Wczoraj i dziś przeczesywali krzaki, pewnie w poszukiwaniu śladów. W taką pogodę... To potworne moknąć w takiej ulewie i grzebać się w błocie, żeby znaleźć jakieś ubrudzone majtki czy coś w tym guście. Wyobrażasz sobie? Pomyślałem sobie: mam cholerne szczęście, że siedzę w takim ciepłym i przytulnym miejscu.

Jeżeli można było doszukać się zmian w pracy jego umysłu, to przejawiały się właśnie w tej dziwnej dygresji. Dawny Estabrook nie miał cierpliwości do rozmów, które nie prowadziły do żadnego konkretnego celu. Plotki wywoływały u niego grymas pogardy, zwłaszcza gdy sam był ich przedmiotem. Co do wyglądania przez okno i żalowania marznących policjantów - dwa miesiące temu byłoby to dosłownie nie do pomyślenia. Podobała się jej ta zmiana, tak jak podobała się jej nowo odkryta szlachetność jego profilu. Jude znów zaczęła wierzyć w swoją intuicję. Może takiego właśnie Estabrooka kochała przez cały czas.

Rozmawiali jeszcze chwilę, nie wracając już do spraw osobistych, i rozstali się jak dobrzy przyjaciele. Uścisnęli się serdecznie.

- Kiedy znowu przyjdiesz? - spytał Estabrook.
- Za kilka dni.
- Będę czekał.

*

Zatem prezenty, które znalazła w sejfie, pochodziły od Oscara Godolphina, który zachował rodowe nazwisko, gdy Charles się go zrzekł. Tajemniczy, zagadkowy Oscar. Wędrowiec. Gdzie się zapuścił, żeby zdobyć tak niewiarygodne pamiątki? Może do innego świata, tego samego, w którym zniknęli Gentle i Pie'oh'pah? Zaczynała węszyć

spisek. Skoro dwóch mężczyzn, Oscar Godolphin i John Zacharias, niezależnie od siebie dowiedziało się o tym innym świecie i potrafiło się do niego przenieść, kto jeszcze z jej znajomych również to potrafił? Czy takie informacje były zastrzeżone wyłącznie dla mężczyzn? Czy wiązały się nierozłącznie z penisem i fiksacją na punkcie matki? Czy Taylor o tym wiedział? Albo Clem? Czy też był to sekret rodzinny, a jedyny element łamigłówki, którego jej brakowało, stanowiło pokrewieństwo Godolphina i Zachariasza?

Nie знаła odpowiedzi na te pytania i wiedziała, że Gentle ich jej nie udzieli, co oznaczało, że musi odszukać braciszka Oscara. Zaczęła w najprostszy możliwy sposób - sięgnęła po książkę telefoniczną. Nie znalazła go w spisie abonentów. Zadzwoiła więc do Lewisa Leadera, który jednak twierdził, że nie zna ani jego miejsca pobytu, ani żadnych szczegółów na jego temat. Jak powiedział, bracia nie kontaktowali się ze sobą i nigdy nie musiał szukać Oscara Godolphina.

- Na dobrą sprawę facet może już nie żyć - dodał na zakończenie.

Z bezpośrednimi kanałami dostępu się jej nie poszczęściło, spróbowała więc drogi okrężnej. Pojechała do domu Estabrooka i dokładnie go przeczesała w poszukiwaniu adresu lub numeru telefonu Godolphina. Nie znalazła ich, lecz natrafiła na album ze zdjęciami, którego Charlie nigdy jej nie pokazywał. Były w nim fotografie, przedstawiające - jak podejrzewała - obu braci. Łatwo było ich odróżnić. Nawet na starych zdjęciach aparat wyłapywał zatroskany wyraz twarzy Charliego, natomiast Oscar, chociaż o sześć lat młodszy, sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie. Miał lekką nadwagę, ale było mu z nią do twarzy. Obejmował brata za ramię. Wyjęła z albumu najświeższe zdjęcie, na którym Charles był mniej więcej w wieku dojrzewania. Odkryła, że za drugim razem kradzież przychodzi człowiekowi z większą łatwością.

Nie znalazła innych informacji na temat Oscara. Jeżeli chciała się od niego dowiedzieć, z jakiego świata przywiózł pamiątki dla brata, musiała popracować nad Estabrookiem. Wiedziała, że to potrwa, a jej cierpliwość wyczerpywała się z każdym krótkim, deszczowym dniem. Mogła wprawdzie kupić sobie bilet i polecieć w dowolne miejsce na kuli ziemskiej, ale i tak dokuczała jej narastająca klaustrofobia. Musiała przedostać się do innego świata i dopóki się jej to nie uda, Ziemia będzie dla niej więzieniem.

3

Rano siedemnastego stycznia Leader zadzwonił do Oscara z wiadomością, że pytała o niego żyjąca w separacji z mężem szwagierka.

- Powiedziała, dlaczego mnie szuka?

- Nie, ale widać, że węszy. W zeszłym tygodniu trzy razy widziała się z Estabrookiem.

- Dziękuję, Lewis. Doceniam twój wysiłek.

- Docień go w gotówce, Oscarze. Miałem duże wydatki na święta.

- Czy kiedyś wyszedłeś ode mnie z pustymi rękoma? Informuj mnie na bieżąco.

Adwokat obiecał, że tak właśnie zrobi, ale Oscar miał wątpliwości, czy może liczyć na jakieś użyteczne informacje z tego źródła. Tylko ludzie wyjątkowo zrozpaczeni mogli pokładać zaufanie w prawnikach, a Jude chyba aż tak zdesperowana nie była. Nie znał jej - Charlie dopilnował, żeby nigdy się nie spotkali - ale skoro wytrzymała z nim trochę czasu, musiała mieć stalowe nerwy. Następne pytanie nasuwało się samo.

Dlaczego kobieta, która wie, że mąż próbował ją zabić (o ile Jude faktycznie o tym wiedziała), spotyka się z nim jak gdyby nigdy nic? Musi chyba mieć jakiś ukryty powód, prawda? Czy to możliwe, żeby próbowała w ten sposób namierzyć Oscara? Jeżeli tak, próby takie należało stłumić w zarodku. W grze pojawiło się wystarczająco dużo zmiennych elementów - zaczynała się zarządza przez stowarzyszenie czystka, policja deptała im po piętach, a nowy lokaj, Augustine (primo voto Dowd), robił się coraz bardziej nieznośny. Najbardziej niepewna z tych zmiennych znajdowała się w przytułku nieopodal Heath - Charlie, prawdopodobnie obłąkany, a z pewnością nieprzewidywalny, wiedział dość, żeby mu zaszkodzić. Prędzej czy później zacznie mówić, a wtedy gdzie znajdzie wierniejszego słuchacza od wścibskiej żony?

Tak więc Oscar wieczorem wysłał Dowda (nie mógł się przyzwyczaić do nowego imienia lokaja) do kliniki, z koszem owoców dla Estabrooka.

- Jeżeli ci się uda, zaprzyjaźnij się z kimś - powiedział. - Chcę wiedzieć, o czym na przykład Charlie gada w kąpieli.

- Dlaczego sam go pan o to nie spyta?

- On mnie nie cierpi. Uważa, że go ograbiłem, kiedy papa wprowadził mnie do Tabula Rasa zamiast niego.

- A czemu ojciec tak postąpił?

- Wiedział, że Charlie jest nieźrównoważony i bardziej stowarzyszeniu zaszkodzi, niż pomoże. Do tej pory trzymałem rękę na pulsie: przywoziłem mu prezenty z dominiów, ty mu się podlizywałeś, kiedy potrzebował czegoś niezwykłego... Na przykład zabójcy żony! Wszystko zaczęło się od tego cholernego mordercy! Dlaczego sam nie zabiłeś tej baby?

- Za kogo mnie pan uważa? - Dowd był wyraźnie zniesmaczony. - Nie mógłbym zranić kobiety, zwłaszcza pięknej kobiety.

- Skąd wiesz, że jest piękna?

- Tak słyszałem.

- Nieważne, nie obchodzi mnie, jak wygląda. Chcę, żeby przestała się mieszać do moich spraw. Dowiedz się, co kombinuje. Wtedy obmyślimy dalsze posunięcia.

Po kilku godzinach Dowd wrócił. Przynosił niepokojące wieści:

- Przekonała go, żeby zabrał ją do posiadłości na wsi.

- Co? Co takiego?! - Oscar zerwał się z krzesła. Papugi zaskrzeczały współczująco. - I bez tego wie więcej, niż powinna! Niech ją diabli! Tak się staramy, żeby stowarzyszenie nam nie bruździło, a tu zjawia się taka suka i siedzimy po uszy w gównie!

- Nic się jeszcze nie stało.

- Ale stanie się! Zobaczysz! Tak go omota, że głupek wszystko jej wyśpiewa.

- Co by pan chciał z nim zrobić?

- Co bym chciał? - Oscar pogłaskał papugi, żeby je uciszyć. - Byłoby najlepiej, gdyby Charlie zniknął z powierzchni ziemi.

- Tak jak on zamierzał zlikwidować żonę.

- Co masz na myśli?

- Że obaj jesteście tak samo zdolni do morderstwa.

Oscar chrząknął pogardliwie.

- Charlie tylko bawił się tym pomysłem. On nie ma jaj. Nie ma wizji! - Zatroškany

wrócił na krzesło. - Nie poradzimy sobie z nim. Czuję to. Dotąd udawało nam się utrzymać porządek, ale dłużej nie damy rady. Charliego trzeba z tego równania usunąć.

- Jest pańskim bratem.

- Jest dla mnie ciężarem.

- Miałem na myśli coś innego. Pan jest jego bratem, więc to pan powinien go zlikwidować.

Oscar wytrzeszczył oczy.

- Mój Boże...

- Proszę pomyśleć, co pomyślą o panu w Yzordderrex, jeśli im pan o tym opowie.

- O czym? O zabiciu brata? To nie jest czyn godny pochwały.

- O tym, że został pan zmuszony do tak paskudnego postępuku, by tajemnica nie wyszła na jaw. - Dowd zawiesił głos, pozwalając Oscarowi docenić ten pomysł. - To godne bohatera. Proszę tylko pomyśleć...

- Myślę.

- Przecież liczy się przede wszystkim pańska reputacja w Yzordderrex, a nie to, co się stanie w Piątym Dominium, prawda? Mówił pan, że ten świat z dnia na dzień robi się coraz nudniejszy.

Oscar się zamyślił.

- Może istotnie powinienem zniknąć. Zabić oboje, żeby nikt nie wiedział, dokąd się wybieram...

- Wybieramy.

- ...a potem usunąć się w cień i przejść do legendy. Oscar Godolphin zostawił swojego obłąkanego brata martwego oraz martwą szwagierkę i zniknął bez śladu.

Sensacja w sam raz dla Patashoqua. - Zastanowił się jeszcze chwilę. - Czym u klasyków zabija się krewnych?

- Oślą żuchwą.

- To żałosne.

- Pan wymyśli coś lepszego.

- Bez wątpienia. Nalej mi drinka, Dowdy. Sobie też. Wypijemy za udaną ucieczkę.

- Jak wszyscy - mruknął Dowd, ale planujący morderstwo Godolphin już go nie słyszał.

ROZDZIAŁ 20

1

Gentle i Pie od sześciu dni jechali Drogą Patashoquańską. Czas odmierzali nie zegarkiem na przegubie Pie, lecz okresami jasności i ciemności na pawim niebie. Piątego dnia zegarek i tak wyzionął ducha. Pie przypuszczał, że nie wytrzymał pola magnetycznego otaczającego miasto piramid, obok którego przejeżdżali. Gentle próbował jakoś śledzić bieg czasu w dominium, które opuścili, ale nie mogło być o tym mowy. Po paru dniach ich ciała dostosowały się do rytmu nowego świata, a ciekawość Gentle'a zaprzętały bieżące sprawy. Przede wszystkim otaczający ich krajobraz.

Był niezwykle zróżnicowany. Z suchej równiny zjechali na Cosacosa, obszar zajmowany przez rozległe stawy, a po dwóch dniach znaleźli się w lesie iglastym, w którym drzewa były tak wysokie, że w górnych gałęziach grzęzły chmury niczym gniazda widmowych ptaków. Za lasem rozciągały się góry, na które Gentle już wcześniej zwrócił uwagę. Pasma nosiło nazwę Jokalaylau, jak powiedział mu Pie, i wedle legendy Hapexamendios, opuściwszy Lipper Bayak, wybrał je na miejsce swojego drugiego odpoczynku w podróży przez dominia. Nieprzypadkowo okolica przypominała Piąte Dominium - właśnie dlatego Niewidziany ją wybrał. Kiedy przemierzał Imajicę, rozsiewając po drodze ludzkie ziarno aż do granic swojego azylu, chciał zapewnić ulubionemu gatunkowi możliwie najlepsze warunki rozwoju. Wybierał miejsca, których mieszkańcy łatwo było podbić lub asymilować; tereny, nieprzyjazne, gdzie przetrwać mogli tylko najsilniejsi, a zarazem wystarczająco żyzne, żeby zdołali wyżywić potomstwo; krainy dobrze nawodnione i nasłonecznione, a zarazem obfitujące w niespodzianki - jak huragany, trzęsienia ziemi, powodzie - które mogły wzmocnić gatunek.

O ile jednak krajobraz wydawał się z grubsza znajomy, o tyle żaden jego szczegół

- nawet najmniejszy kamyczek na drodze - nie wyglądał dokładnie tak samo jak w Piątym Dominium. Niektórych kontrastów nie sposób było nie zauważyć; rzucał się w oczy zielonożłocisty odcień nieba czy olbrzymie węże żerujące pod sięgającymi chmur drzewami. Inne różnice były może mniej znaczne. Widywali dzikie psy o bezwłosej, błyszczącej skórze. Groteskowo wyglądały rogate latawce o purpurowych skrzydłach, które spadały z nieba jak kamień na każde martwe lub umierające stworzenie na drodze i odrywały się od posiłku, dopiero gdy pojazd Gentle'a i Pie już, już miał je rozjechać. Absurdalny był widok białych jak śnieg jaszczurek, które tysiącami gromadziły się na brzegach stawów i falami poddawały się manii fikania koziołków.

Może stosowna reakcja na taką mnogość nowych doświadczeń nie wchodziła w grę, bo opowieści niezliczonych ziemskich podróżników praktycznie wyczerpały dostępne odkrywcy słownictwo, ale Gentle się wściekał, gdy ujmując swoje wrażenia w słowa, uciekał się do klisz. Wędrowców poruszało pierwotne piękno nowych krain, wstrząsało nimi okrucieństwo tubylców, podziwiali ich wrodzoną mądrość, a chwilami niesamowite przejawy nowoczesności zapierały im dech w piersi. Czasem traktowali miejscową ludność protekcyjnie, a czasem dawali się jej upokorzyć; niecierpliwie wypatrywali, co leży za horyzontem, i okrutnie tęsknili za domem. Gentle nie używał chyba tylko ostatniego z tych wyświechtanych zwrotów. Wracał myślami do Piątego Dominium tylko wtedy, gdy wypływało w rozmowie z Pie, to zaś zdarzało się coraz rzadziej, gdyż prawie bez reszty zaprzętały ich bieżące problemy. Z początku nie mieli kłopotów ze znalezieniem pożywienia, miejsca na nocleg i paliwa do samochodu. Wszędzie przy drodze znajdowały się małe wioski i hoteliki. W nich Pie - mimo braku gotówki - zawsze załatwiał coś do zjedzenia i dwa łóżka. Gentle zaczynał rozumieć, że mistyf zna dziesiątki sztuczek, którymi umie ugłaskać najbardziej nawet chciwych hotelarzy. Kiedy wyjechali z lasu, sprawy zaczęły wyglądać gorzej. Większość pojazdów zniknęła z drogi, która zmieniła się z szerokiego, dobrze utrzymanego szlaku w niepozorną jezdnię; tu było łatwiej o dziurę niż o samochód. Skradziony przez Pie pojazd nie nadawał się do długich podróży i zaczynał wykazywać objawy zużycia, aż zdecydowali, że zjadą do najbliższej wioski i spróbują wymienić go na inny, bardziej godny zaufania model.

- Ten już ledwie dycha - powiedział Pie.

- A właśnie... Nie zapytałeś o nullianaca.
- To znaczy?
- Jak go zabiłem.
- Domyślam się, że użyłeś pneumy.
- Nie jesteś zdziwiony?
- A jak inaczej byś to zrobił? Miałeś wolę i moc.
- Skąd się wzięły?
- Zawsze w tobie były.

Po takiej odpowiedzi Pie'oh'paha Gentle zorientował się, że pytań ma jeszcze więcej niż przed chwilą. Chciał zadać pierwsze z brzegu, ale nagle samochodem zakotłosało i zrobiło mu się niedobrze.

- Zatrzymajmy się na chwilę - poprosił. - Chyba sobie rzygnę.

Pie zatrzymał pojazd. Gentle wysiadł. Niebo ciemniało, woń kwiatów niosła się w chłodnym powietrzu. Na zboczach niedalekich wzgórz stada bladych zwierząt, spokrewnionych z jakami, tutaj nazywanych doeki, snuły się leniwie po pastwiskach, milcząc smętnie. Niebezpieczeństwa Vanaeph i zatłoczona droga u bram Patashoqua wydały się nagle nieskończenie odległe. Gentle odetchnął głęboko i mdłości - podobnie jak pytania - przestały go dręczyć. Spojrzał w niebo, na którym wschodziły pierwsze gwiazdy, niektóre czerwone jak Mars, inne złote jak kawałeczki dziennego nieba, których nie udało się zgasić.

- Czy to dominium znajduje się na innej planecie? - zapytał. - W innej galaktyce?
- Nie. Piąte Dominium oddziela od reszty nie kosmos, lecz In Ovo.
- Czy cała Ziemia jest Piątym Dominium, czy tylko jakaś jej część?
- Nie wiem - odparł mistyf. - Chyba cała... Ale są różne teorie.
- A jaką ty masz?

- Kiedy zaczniemy podróżować między dominiami, przekonasz się, jakie to łatwe. Z Czwartego do Trzeciego prowadzi całe mnóstwo przejść, z Trzeciego do Drugiego też. Wchodzi się w obłok mgły i wychodzi w innym świecie. Po prostu. Wydaje mi się jednak, że granice nie są ustalone i zmieniają się na przestrzeni wieków; zmienia się też kształt i wielkość dominiów. Może z Piątym jest tak samo. Kiedy zostanie połączone, rozszerzy się i cała planeta będzie miała dostęp do pozostałych czterech. Nikt nie wie, jak

naprawdę wygląda Imajica. Nikt nie wykreślił jej mapy.

- Czas, żeby ktoś spróbował.
- Może to twoje zadanie. Nim zostałeś podróżnikiem, byłeś artystą.
- Falszerzem, nie artystą.
- Umiesz malować.
- Umiem, ale brakuje mi natchnienia.

Natychmiast dał się ponieść melancholii i wrócił myślami do tych, którzy zostali w Piątym Dominium: do Jude, Clema, Estabrooka, Vanessy i całej reszty. Co robili w taką piękną noc? Czy któreś z nich zauważyło, że zniknął? Pewnie nie.

- Lepiej ci? - spytał Pie. - Widać jakieś światła przy drodze. To pewnie ostatnia osada przed górami.

- Możemy ruszać. - Gentle wsiadł do pojazdu.

Przejechali może z pół kilometra i wyraźnie widzieli wioskę, gdy musieli się zatrzymać i przepuścić dziewczynkę przepędzającą doeki w poprzek drogi. Wyglądałaby jak każda normalna trzynastolatka, gdyby nie pewien drobiazg: twarz i nieosłonięte sukienką części ciała miała pokryte rdzawymi, delikatnymi jak puch włoskami. Na łokciach i skroniach, gdzie włosy urosły nieco dłuższe, miała je zaplecione w warkoczyki, a na karku związane wstążką.

- Co to za wioska? - zapytał ją Pie, kiedy ostatni doeki wahał się, czy zejść z jezdni.

- Beatrix - odparta dziewczynka i niepytana dodała: - Lepszego miejsca nie znajdziecie w żadnym niebie.

Popędziła zwierzę, zeszła z drogi i rozplynęła się w zapadającym zmierzchu.

2

Ulice w Beatrix były wprawdzie szersze niż w Vanaeph, ale nie nadawały się dla pojazdów. Pie zaparkował wóz na obrzeżu wioski i razem z Gentle'em poszli dalej pieszo.

Niepozorne, zbudowane z rudobrazowego kamienia domy stały w zagajnikach

drzew przypominających skrzyżowanie brzozy z bambusem. Światła, które Pie dostrzegł z oddali, nie świeciły się w oknach, lecz na tych drzewach. Były to uliczne latarnie. Prawie każdy zagajnik miał własnego opiekuna lamp - przypominającego małą pasterkę dzieciaka o kudłatej twarzy. Dzieci siedziały przykucnięte pod drzewami lub ostrożnie wdrapywały się po gałęziach. Niemal we wszystkich domach drzwi stały otworem; z niektórych dobiegała muzyka, w takt której podrygiwały dzieciaki na ulicy. Na pierwszy rzut oka życie w Beatrix biegło całkiem znośnie. Niezbyt szybko może, ale znośnie.

- Nie możemy oszukiwać tych ludzi - powiedział Gentle. - To byłoby niegodziwe.
- Zgadzą się.
- To jak zdobędziemy pieniądze?
- Może zgodzą się wziąć samochód w zamian za solidną kolację i ze dwa konie.
- Nie widzę koni.
- Mogą być doeki.
- Nie są za powolne?

Pie wskazał Gentle'owi zbocza Jokalaylau. Lodowce pod szczytami odbijały jeszcze resztki dziennego światła, lecz potężne góry szybko kryły się w mroku.

- Dopiero tam żyje się naprawdę powoli i pewnie - rzeki Pie. - Pójdę, poszukam jakiegoś wodza. - Podeszedł do najbliższego strażnika latarni.

Zwabiony wybuchem śmiechu Gentle poszedł kawałek ulicą. Za zakrętem natknął się na liczącą ponad dwadzieścia osób grupę mieszkańców wioski, głównie chłopców i mężczyzn, którzy oglądali przedstawienie teatryku marionetek, rozstawionego przy ścianie jednego z domów. Treść sztuki kłóciła się z sielskim nastrojem wsi. Sądząc po namalowanych na płótnie iglicach, opowieść rozgrywała się w Patashoqua. Dwie postaci - olbrzymia, otyła kobieta i mężczyzna o ciele płodu i genitaliach osła - kłóciły się tak zaciekle, że trzęsły się kopyły Patashoqua. Lalkarze - trzech młodzi, szczupli mężczyźni z identycznie przyciętymi wąsami, dobrze widoczni ponad sceną - zapewniali efekty dźwiękowe i prowadzili pełen barokowo rozbudowanych obelg dialog. Nagle na scenę weszła trzecia postać, garbaty krewniak Pulcinelli, który nie namyślając się wiele, obciął głowę Oślemu Kutasowi. Głowa spadła na ziemię, a gruba kobieta uklękła nad nią i wybuchnęła płaczem. Wówczas głowie za uszami wyrosły anielskie skrzydełka i uniosły ją do nieba. Lalkarze pokrzykiwali coś falsetem, a publika klaskała zachwycona. W tej

chwili Gentle zauważył, że Pie stoi na środku ulicy obok wielkouchego chłopaka, któremu sierść sięgała połowy pleców. Podeszedł do nich.

- To jest Efreet Splendid - przedstawił tubylca Pie. - Powiedział... uważaj, powiedział, że jego matce śnią się często biali, bezwłosi mężczyźni i bardzo chciałyby cię poznać.

Uśmiech, który błysnął w gąszczu włosów na twarzy Efreeta, był koślawy, ale zachęcający.

- Spodobasz się jej - powiedział Efreet.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście!

- A da nam coś do zjedzenia?

- Dla białego bez futra zrobi wszystko.

Gentle spojrział na Pie z powątpiewaniem.

- Mam nadzieję, że wiesz, na co się decydujemy.

Efreet szedł przodem i gadał jak najęty, głównie wypytując ich o Patashoqua.

Wyznał, że w przyszłości też zamierza je odwiedzić.

Zamiast go rozczarować i przyznać, że nie przekroczyli bram Patashoqua, Gentle powiedział mu, że miasto jest niewyobrażalnie piękne i wspaniałe. - Zwłaszcza Merrow Ti' Ti' - dodał.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. Od tej pory, stwierdził, będzie wszystkim opowiadał, że poznał białego bezwłosego człowieka, który widział Merrow Ti' Ti'. Gentle'owi przyszło na myśl, że z takich właśnie niewinnych kłamstewek rodzą się legendy. W drzwiach Efreet odsunął się na bok i przepuścił go przodem.

Siedząca w środku kobieta drgnęła na widok Gentle'a, wypuściła kota, któremu rozczesywała futro, i padła na kolana. Zmieszany Gentle kazał jej wstać, ale długo musiał ją do tego przekonywać, a nawet potem siedziała ze spuszczoną głową i obserwowała go ukradkiem, kątem oka. Była niska, niewiele wyższa od syna, i miała delikatnie rzeźbioną, pokrytą puchem twarz. Nazywała się Larumday i, jak powiedziała, chętnie gościła w domu Gentle'a i jego żonę (czyli Pie). Zmusiła Emblema, młodszego syna, żeby pomógł jej przygotować kolację, Efreet zaś przez ten czas objaśnił gościom, gdzie znajdują kupca na samochód. Nikomu w wiosce taki pojazd nie jest potrzebny, powiedział, ale wśród

wzgórz mieszka człowiek, któremu może się przydać. Nazywał się Coaxial Tasko i Efreet nie ukrywał zdziwienia, gdy ani Gentle, ani Pie nie skojarzyli jego nazwiska.

- Wszyscy znają Żałosnego Tasko. Kiedyś był królem w Trzecim Dominium, ale cały jego lud wyginął.

- Przedstawisz mu nas rano? - spytał Pie.

- Nie ma sensu tyle czekać.

- No to jeszcze dziś.

Jedzenie, które podała Larumday, było mniej wyrafinowane od tego, czym karmiono ich w osiedlach wzdłuż Drogi Patashoquańskiej, ale całkiem smaczne: mięso doeki marynowane w korzennym winie, chleb, różne marynaty - między innymi jajka wielkości bochnów chleba - oraz rosół, który palił w gardło jak chili. Gentle aż się nad nim popłakał ku nieklamanej ucieście Efreeta. Przy jedzeniu i picu (wino miało swoją moc, ale chłopcy pili je jak wodę) Gentle zapytał o przedstawienie, które widział na ulicy. Efreet, jak zwykle pierwszy do popisania się wiedzą, wyjaśnił, że lalkarze zmierzają do Patashoqua, poprzedzając orszak autarchy, który za kilka dni nadciągnie zza gór. Zaczął opowiadać, jak słynni są ponoć w Yzorderrex, ale matka nie dała mu skończyć.

- Mamo...

- Powiedziała: cicho bądź. W moim domu nie mówi się o tym mieście. Wasz ojciec nigdy z niego nie wrócił, nie zapominaj.

- I tak się tam wybiorę, tylko najpierw zobaczę Merrow Ti' Ti', jak pan Gentle - postawił się Efreet i zarobił kuksańca w ucho.

- Dość tego - powiedziała Larumday. - Na dziś wystarczy gadania. Chwila spokoju dobrze nam zrobi.

Od tego momentu rozmowa się nie kleiła. Kiedy skończyli jeść, Efreet i Pie zaczęli się szykować do wycieczki na wzgórze i spotkania z Żałosnym Tasko. Gentle chciał iść z nimi, Efreet jednak wytłumaczył mu, że matka - która akurat wyszła z pokoju - prosi, żeby z nią został.

- Powinieneś zaskarbić sobie jej względy - zauważył Pie, kiedy Efreet zniknął za drzwiami. - Jeżeli Tasko nie kupi wozu, będziemy musieli sprzedać twoje ciało.

- Myślałem, że to ty jesteś w tych sprawach ekspertem.

- No, no - uśmiechnął się Pie. - Mieliśmy nie mówić o mojej podejrzanej

przeszłości.

- Idź już. Zostaw mnie na jej łasce. Powybierasz mi potem futro pomiędzy zębów.

Znalazł matkę Efreeta w kuchni, gdzie zagniatła ciasto na chleb.

- To zaszczyt dla naszego domu, że przestąpiłeś jego próg i siadłeś z nami do stołu - powiedziała, nie przerywając pracy. - Nie gniewaj się, że pytam, ale... - Wystraszona zniżyła głos do szeptu: - Czego chcecie?

- Niczego - odparł Gentle. - I tak byliście dla nas bardzo hojni. Spojrzała na niego spoode łba, jakby była zła, że tak okrutnie się z nią drażni.

- Śniło mi się, że ktoś tu przybędzie, biały i bez włosów, jak ty. Nie wiedziałam, czy to będzie mężczyzna, czy kobieta, ale kiedy widzę cię tutaj, przy stole, wiem, że to ty.

Najpierw Tick Raw, pomyślał Gentle, teraz matka Splendid. Co było w jego twarzy takiego, że ludzie go rozpoznawali? Czy po Czwartym Dominium wałęsał się jego sobowtór?

- Jak ci się wydaje, kim jestem? - zapytał.

- Nie wiem, ale we śnie wiedziałam, że kiedy przyjdiesz, wszystko się zmieni.

Łzy napłynęły jej do oczu i pociekły po owłosionych policzkach. Gentle'owi zrobiło się przykro, zwłaszcza że przyczynił się do cierpienia Larumday, chociaż nie wiedział jak. Śniła o nim - wyraz jej twarzy, gdy obaj przekroczyli próg, był tego wystarczającym dowodem - ale co to mogło oznaczać? Trafili tu przypadkiem, a rano ruszą dalej; w Beatrix nie pozostanie nawet ślad ich obecności. On sam nic nie znaczył dla domu Splendidów - tyle tylko, że gdy odjedzie, będą go wspominać.

- Mam nadzieję, że wasze życie się nie zmieni - powiedział. - To bardzo przyjemna miejscowość.

- To prawda - przyznała Larumday, ocierając łzy. - Bezpieczna. Dobrze się tu chowa dzieci. Wiem, że Efreeta niebawem wyjedzie. Chce zobaczyć Patashoqua, a ja nie zdołam go zatrzymać. Emblem zostanie. Kocha te wzgórza i lubi się opiekować doeki.

- Ty też zostaniesz, prawda?

- Tak. Ja już się dość nawędrowałam. W młodości mieszkałam w Yzordderrex, niedaleko Oke T'Noon. Tam poznałam Eloigha. Wyprowadziliśmy się zaraz po ślubie. To okropne miasto, panie Gentle.

- Jeżeli jest takie złe, to dlaczego on tam wrócił?

- Jego brat wstąpił do armii autarchy. Kiedy Eloigh się o tym dowiedział, poszedł tam, żeby namówić go do dezercji. Mówił, że to wstyd mieć w rodzinie człowieka na usługach mordercy, który osierocił tyle dzieci.

- Człowiek z zasadami.

- O tak - przytaknęła z czułością Larumday. - Dobry człowiek, cichy, tak jak Emblem, ale i ciekawy świata jak Efreet. Zbierał książki. Czytał wszystko, co mu wpadło w rękę.

- Długo go nie ma?

- Za długo. Obawiam się, że brat go zabił.

- Brat zabił brata? Niemożliwe! Nie mogę w to uwierzyć.

- Yzordderrex dziwnie działa na ludzi, panie Gentle. Nawet dobrzy mężczyźni mogą się w nim zagubić.

- Tylko mężczyźni?

- Przecież mężczyźni tworzą nasz świat. Boginie odeszły i mężczyźni robią, co chcą.

Nikogo nie oskarżała. Takie po prostu były fakty, a Gentle nie miał żadnych dowodów, że jest inaczej. Zapytała, czy ma zaparzyć herbaty, ale podziękował. Stwierdził, że wyjdzie zaczerpnąć świeżego powietrza, może poszuka Pie'oh'paha.

- Jest bardzo piękna - powiedziała Larumday. - Czy jest także mądra?

- Nawet bardzo.

- To rzadkość u takich ślicznotek, prawda? Dziwne, że mi się nie śniła.

- Może śniła, tylko nie pamiętasz.

- Nie. - Larumday pokręciła głową. - Ten sen powtarzał się wiele razy, zawsze tak samo. Ktoś o białej skórze, bez włosów, siedział przy stole ze mną i moimi synami.

- Szkoda, że taki przeciętny ze mnie gość.

- Ale przecież to dopiero początek, prawda? Kto będzie następny?

- Nie wiem. Może twój mąż, który wróci z Yzordderrex.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- To będzie coś... co zmieni nas wszystkich.

3

Efreet zapowiedział, że wspinaczka nie będzie trudna, i jeśli wziąć pod uwagę tylko nachylenie stoku, istotnie nie była. Po ciemku jednak szło się ciężko, nawet komuś tak zwinnemu jak Pie'oh'pah. Efreet zwalniał kroku, gdy słyszał, że Pie nie nadaża. Uprzedzał go też o przeszkodach na drodze. Po jakimś czasie znaleźli się wysoko ponad wioską. Za wzgórzami, wśród których leżała Beatrix, lśniły ośnieżone szczyty Jokalaylau - wysokie i majestatyczne, a jednak niepozorne przy górach, których podnóże rysowało się jeszcze dalej, a wierzchołki ginęły w chmurach. Chłopak zapowiedział, że są już blisko celu, i po kilku krokach Pie zobaczył rysujący się na tle nieba dom. Na werandzie świeciło się światło.

- Hej, Tasko! - zawołał Efreet. - Masz gościa. Masz gościa!

Nikt mu nie odpowiedział. Podeszli bliżej. Drzwi były otwarte, przed nimi paliła się latarnia. Na stole czekała kolacja, ale Żalosego Tasko nigdzie nie było widać. Efreet wyszedł go poszukać, Pie został sam na werandzie. Zwierzęta w zagrodzie za domem tupwały i prychały niespokojnie, jakby przeczuwały coś złego. Po chwili wrócił Efreet.

- Widziałem go na górze, pod samym szczytem.

- Co on tam robi?

- Może patrzy w niebo. Chodźmy do niego, nie będzie na nas zły.

Ruszyli więc dalej w górę. Człowiek stojący wyżej na stoku zwrócił na nich uwagę.

- Kto idzie?

- To ja, Efreet, panie Tasko. Przyszedłem z przyjacielem.

- Za głośno krzyczysz, chłopcze. Nie hałasuj tak.

- Mamy być cicho - wyszeptał Efreet.

- Zrozumiałem.

Zimny wiatr wiejący na tej wysokości uświadomił Pie'oh'pahowi, że nie mają z Gentle'em odpowiednich ubrań na czekającą ich podróż. Coaxial był opatulony we włochaty płaszcz i czapkę z nausznikami. Z pewnością nie pochodził z tych stron. Ważył

tyle, co ze trzech mieszkańców wioski, a skórę miał niemal tak ciemną jak Pie.

- To mój przyjaciel Pie'oh'pah - szepnął mu do ucha Efreet.

- Mistyf - zauważył Tasko.

- Zgadza się.

- Aha... Jesteś tu nowy?

- Tak.

- Z Yzordderrex?

- Nie.

- Dobre choć to. Tylu obcych w jedną noc. Co z tego wyniknie?

- Są jacyś inni? - zdziwił się Efreet.

- Słuchaj... - Tasko powiódł wzrokiem po całej dolinie i piętrzących się po drugiej stronie górach. - Nie słyszysz silników?

- Nie, tylko wiatr.

Tasko podniósł go i obrócił w kierunku, z którego dobiegał dźwięk.

- Teraz posłuchaj! - rzucił ostro.

Wiatr niósł niskie dudnienie, podobne do odległego grzmotu, ale nieprzerwane. Nie pochodziło z wioski, mało prawdopodobne było też, żeby gdzieś pośród wzgórz znajdował się czynny kamieniołom. Jednak taki dźwięk mogły wydawać tylko maszyny.

- Zbliżają się.

Efreet zaczął wiwatować, ale Tasko zasłonił mu dłonią usta i pochwycił go tak mocno, że chłopak wił się z bólu.

- Z czego się tak cieszysz, dzieciaku? Nie wiesz, co to strach? Nie, pewnie nie. Ale wkrótce się dowiesz. To maszyny z Yzordderrex. Należą do autarchy.

Tasko puścił Efreeta, który odsunął się od niego. Teraz i dla chłopca odległy łoskot brzmiał niepokojąco.

- Może ominą nas. - Tasko splunął. - Są inne doliny, nie tylko nasza jedna. - Znow splunął. - No, nie ma sensu tu sterczeć. Jeżeli przyjadą, to przyjadą i już. Przepraszam, że byłem taki nieprzyjemny, chłopcze, ale ja znam ten dźwięk. Takie same maszyny zabiły mój lud. Uwierz mi, nie ma się z czego cieszyć. Rozumiesz, co mówię?

- Tak - odparł Efreet, chociaż Pie wątpił w jego szczerość.

Perspektywa odwiedzin dudniących maszyn chłopakowi nie wydawała się

przerażająca, lecz ekscytująca.

- Powiedz mi, czego chcesz, mistyfie - rzekł Tasko, gdy ruszyli w dół zbocza. - Nie po to się tu wdrapaliście, żeby podziwiać gwiazdy. Chociaż kto cię tam wie... Jesteś zakochany?

Idący z tyłu Efreet zachichotał.

- Gdybym był, nie mówiłbym o tym.

- O co w takim razie chodzi?

- Przybyłem tu z przyjacielem z... z dość daleka. Nasz pojazd odmawia posłuszeństwa. Chcielibyśmy wymienić go na wierzchowce.

- Dokąd się wybieracie?

- W góry.

- Jesteście przygotowani na taką podróż?

- Nie, ale nie mamy wyboru.

- Im szybciej wyjedziecie z doliny, tym będziemy bezpieczniejsi. Intruzi przyciągają intruzów.

- Pomożesz nam?

- Mam propozycję. Jeżeli zgodzicie się natychmiast opuścić Beatrix, dam wam dwa doeki i zapas jedzenia. Tylko musicie się pospieszyć, mistyfie.

- Rozumiem.

- Może wtedy maszyny nas ominą.

4

Bez przewodnika Gentle szybko zgubił w ciemności drogę, ale nie chciał zawracać do Beatrix i tam czekać na Pie. Szedł więc dalej, licząc na wspaniałe widoki ze szczytu i na chłodny wiatr, który pomógłby zebrać myśli. Nie zawiódł się - lodowaty wiatr i rozległa panorama zapierały dech w piersi. Pasma gór rozmywały się w oddali; najwyższe szczyty wyglądały tak potężnie, że wątpił, by w Piątym Dominium znajdowały się podobne olbrzymy. Z tyłu, częściowo zasłonięte łagodnymi wzgórzami, rozpościerały się lasy, przez które przejechali.

Znowu zaczął żałować, że nie ma mapy - mógłby przynajmniej w przybliżeniu ogarnąć skalę czekającej ich wędrówki. Próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałby ten krajobraz na kartce papieru, na szkicu obrazu. Góry w tle, bliżej wzgórze i równina. Oszłamiający widok nie dawał się jednak przełożyć na symbole, nie pozwalał się pomniejszyć i odwzorować. Gentle porzucił więc te próby i odwrócił się w stronę Jokalaylau. Nagle uświadomił sobie, że dolina jest zdumiewająco symetryczna - oba jej zbocza tworzyły taki sam wzór i wznosiły się na tę samą wysokość. Spojrzał na przeciwległy stok. Z tej odległości nie miał szans wypatrzeć żadnych znaków życia, ale im bardziej uparcie wpatrywał się w ciemność, tym silniejsze miał wrażenie, że ma przed sobą ciemne lustro, spoza którego ktoś niewidoczny próbuje go obserwować. Z początku był zaintrygowany tym pomysłem, ale zaraz poczuł strach. Ziąb zaczął torować sobie drogę od skóry do wnętrza jego ciała. Gentle drżał z zimna, lecz bał się ruszyć, żeby tajemniczy obserwator nie dostrzegł go, bo wtedy wydarzyłaby się tragedia. Długą chwilę stał jak wrośnięty w ziemię. Lodowate podmuchy wiatru przyniosły dźwięki, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Dudnienie ciężkich maszyn, skargi głodnych zwierząt, szloch... Wiedział, że mają coś wspólnego z istotą, która wypatruje go z drugiej strony doliny. Nie przybyła sama. Miała maszyny i zwierzęta. Przynosiła łązy.

Kiedy zimno przeniknęło go do szpiku kości, usłyszał wołanie Pie'oh'paha. Gentle modlił się, żeby wiatr nie zmienił się i nie poniósł wolanta na drugą stronę doliny - mógłby w ten sposób zdradzić miejsce jego pobytu. Pie wciąż go wołał i był coraz bliżej. Gentle wytrzymał jeszcze pięć okropnych minut, targany sprzecznymi pragnieniami. Chciał, żeby Pie jak najszybciej go znalazł i przytulił, powiedział, że nie ma się czego bać; a zarazem bał się, że wtedy Pie zdradzi go przed stworzeniem ukrytym naprzeciwko. W końcu mistyf się poddał i wrócił do bezpiecznego Beatrix.

Gentle ani drgnął. Odczekał jeszcze kwadrans, ale wreszcie wypatrzył w ciemności jakiś ruch. Wyglądało na to, że strażnik na przeciwległym zboczu opuścił stanowisko i zszedł niewidoczny z doliny stokiem. Był człowiekiem, a w każdym razie wyglądał jak człowiek. Gentle poczekał jeszcze minutę i wreszcie ruszył w dół. Nogi i ręce mu zdrętwiały, zęby dzwoniły z zimna, całym ciałem wstrząsały dreszcze, ale szedł szybko. Raz pośliznął się i przejechał kawałek na tyłku, płosząc kręcące się w pobliżu doeki. Pie czekał na niego w drzwiach domu Splendidów. Na ulicy stały dwa osiodłane

zwierzęta z uzdami. Efreet karmił jedno z nich z ręki.

- Gdzie byłeś? - spytał Pie. - Szukałem cię.

- Później porozmawiamy. Muszę się rozgrzać.

- Nie mamy czasu. Dostaliśmy doeki, jedzenie i ubrania, ale musimy wyjechać od razu.

- Nagle bardzo się nas chcą pozbyć.

- To prawda.

Spomiędzy drzew po drugiej stronie uliczki wyszedł ciemnoskóry mężczyzna o bladych, hipnotyzujących oczach.

- To ty jesteś Zacharias?

- Zgadza się.

- Nazywam się Coaxial Tasko, niektórzy nazywają mnie Żałosnym. Doeki są wasze. Dałem mistyfowi zapasy na drogę. Proszę, nie mówcie nikomu, że tu byliście.

- Uważa, że przynosimy pecha - wyjaśnił Pie.

- Niewykluczone, że ma rację - przyznał Gentle. - Czy wolno mi uścisnąć pańską dłoń, panie Tasko, czy to też może przynieść pecha?

- Proszę bardzo.

- Dziękuję za wierzchowce. Przyrzekam, że nikomu nie wspomnimy o wizycie w Beatrix. Być może, napiszę o panu w moich pamiętnikach.

Ponure rysy Tasko rozjaśnił uśmiech.

- Proszę bardzo, ale dopiero po mojej śmierci, dobrze? Nie lubię wścibstwa.

- W porządku.

- Ruszajcie. Im szybciej wyjedziecie, tym prędzej zaczniemy udawać, że was tu nie było.

Płaszcz przyniesiony przez Efreeta sięgał Gentle'owi do pół łydki. Mocno pachniał zwierzęciem, które kiedyś nosiło go jako skórę.

- Matka prosiła, żebym was od niej pożegnał - powiedział chłopak. Zniżył głos do wstydlivego szeptu. - Nie wyjdzie. Bardzo płacze.

Gentle skierował się ku drzwiom, ale Tasko go powstrzymał.

- Panie Zacharias, proszę... Jedźcie, póki macie nasze błogosławieństwo.

- On mówi poważnie - dodał Pie, sadowiąc się na grzbiecie doeki. Zwierzę

odwróciło się do niego ciekawie. - Musimy ruszać.

- Nie powiesz mi dokąd?

- Tasko dał mi kompas i udzielił wskazówek. Pojedziemy tam. - Mistyf wskazał wychodzącą z wioski wąską ścieżkę.

Gentle bez entuzjazmu włożył stopę w skórzane strzemię i wskoczył na siodło. Tylko Efreet zdobył się na pożegnalny gest. Ryzykując gniew Tasko, ścisnął dłoń Gentle'a.

- Spotkamy się w Patashoqua - obiecał.

- Mam nadzieję.

Na tym pożegnaniu dobiegło końca. Gentle miał wrażenie, jakby przerwano im rozmowę, której nie będą już mieli okazji dokończyć.

*

- O co właściwie chodziło? - spytał Gentle, gdy wyjechali z Beatrix. Ścieżka skręcała i spokojne, oświetlone latarniami uliczki miały im zaraz zniknąć z oczu.

- Batalion wojsk autarchy przeprowia się tu przez góry w drodze do Patashoqua. Tasko bał się, że obecność obcych we wsi da żołnierzom pretekst, by ją złupić.

- To był ten dźwięk, który słyszałem na wzgórzu.

- Zgadza się.

- Widziałem kogoś na przeciwległym zboczu doliny. Przysiągłbym, że mnie szukał... No może nie mnie, ale kogoś na pewno. Dlatego nie odezwałem się, kiedy mnie wołałeś.

- Masz jakiś pomysł, kto to mógł być?

Gentle pokręcił głową.

- Czułem jego wzrok, a potem na zboczu mignęła mi czyjaś sylwetka. Kto wie? Teraz to brzmi absurdalnie.

- W odgłosach, które słyszałem, nie było nic absurdalnego. Najlepiej będzie jak najszybciej stąd zniknąć.

- Bez dwóch zdań.

- Tasko mówił mi, że na północny wschód stąd granica Trzeciego Dominium wrzyna się głęboko w Czwarte, na ponad półtora tysiąca kilometrów. Może pojedziemy na skróty?

- Niezły pomysł.
- Tylko że po drodze jest Wysoka Przełęcz.
- To już gorzej.
- Ale szybciej byśmy dojechali.
- Jeśli przeżyjemy. Chcę zobaczyć Yzordderrex, a nie zamarznąć na śmierć w Jokalaylau.
- W takim razie jedziemy okrężną drogą?
- Tak proponuję.
- To przedłuży naszą podróż o dwa, może nawet trzy tygodnie.
- A nasze życie o wiele lat - zauważył Gentle.
- Tak jakbyśmy nie żyli wystarczająco długo.
- Zawsze uważałem, że nie można ani żyć za długo, ani kochać zbyt wielu kobiet.

5

Doeki szły posłusznie i pewnie wąską ścieżką, nie przejmując się, czy pod nogami mają plaskające błoto, piach czy kamienie. Przepaściste wąwozy, ziejące dosłownie centymetry od ich kopyt, nie robiły na nich wielkiego wrażenia, podobnie jak huczące strumienie. Chociaż minęło kilka godzin i świt powinien już wstawać nad wzgórzami, pawie niebo kryło się w bezgwiezdnej czerni.

- Czy to możliwe, żeby noce były tu dłuższe niż na drodze? - zdziwił się Gentle.
 - Na to wygląda. Moje wnętrzości mówią, że słońce od dawna powinno być na niebie.
 - Zawsze mierzysz czas swoimi bebechami?
 - Są dokładniejsze niż zarost - odparł Pie.
 - Skąd zaświeci słońce, kiedy wreszcie wstanie? - Gentle obrócił się w siodle, oglądając cały widnokrąg. Kiedy spojrział w stronę, z której przyjechali, jęknął głośno.
 - Co się stało? - zapytał mistyf. Zatrzymał doeki i też odwrócił się do tyłu.
- Z doliny wśród wzgórz bił w niebo słup dymu, u dołu podświetlony ogniem. Gentle zeskoczył z siodła i wdrapał się na skalne zbocze, żeby więcej zobaczyć. Na górze

został dosłownie na kilka sekund, nim zdyszany i spocony zsunął się na dół.

- Zawracamy - stwierdził.

- Dlaczego?

- Beatrix się pali.

- Skąd wiesz? To daleko stąd.

- Wiem, do cholery! Beatrix płonie! Musimy tam wrócić! - Wskoczył na grzbiet swojego wierzchowca.

- Zaczekaj - powiedział Pie. - Zaczekaj, na miłość boską!

- Musimy im pomóc. Byli dla nas dobrzy.

- Bo chcieli, żebyśmy się wynieśli!

- Najgorsze już się wydarzyło. Musimy zrobić co w naszej mocy.

- Kiedyś zachowywałeś się bardziej racjonalnie.

- Nie znasz mnie, więc nie próbuj mnie oceniać! A jeśli nie chcesz jechać ze mną, to pocałuj mnie w dupę!

Gentle'owi udało się obrócić doeki i teraz wbił mu pięty w boki, żeby szybciej ruszył naprzód. Po drodze ścieżka rozwidlała się raptem trzy, może cztery razy i nie miał wątpliwości, że bez trudu wróci do wioski. Jeżeli się nie mylił, jeżeli rzeczywiście Beatrix stało w ogniu, mógł liczyć na słup dymu, który go poprowadzi. Po jakimś czasie dogonił go Pie. Nie miał wyboru. Cieszył się, że ktoś traktował go jak przyjaciela, ale w głębi duszy pozostał niewolnikiem.

Nie rozmawiali, co po ostatniej wymianie zdań nie było dziwne. Tylko raz, gdy wjechali na grań, skąd rozpościerał się widok na Beatrix - teraz nie mieli już wątpliwości, że wieś się pali - Pie wymamrotał:

- Dlaczego to za każdym razem jest ogień?

Gentle nagle zdał sobie sprawę, że zlekceważył niechęć Pie do powrotu. Ogień, który widzieli, musiał być dla mistyfa odbiciem pożaru, w którym zginęła jego przybrana rodzina. Nigdy nie rozmawiali o tamtym wydarzeniu.

- Mam dalej jechać sam? - zapytał.

Pie pokręcił głową.

- Albo ze mną, albo wcale.

Droga zrobiła się łatwiejsza. Stoki były łagodniejsze, ścieżka lepiej utrzymana, a

w dodatku zaczęło się przejaśniać i wreszcie nadciągał świt. Zanim ujrzeli Beatrix, na niebo wrócił pawi blask. Przy jego wspaniałości scena pożogi wydawała się jeszcze potworniejsza. Wieś wciąż płonęła, chociaż ogień strawił już większość domostw i brzozowo-bambusowych zagajników. Gentle zatrzymał doeki. Po podpalaczach nie było śladu.

- Dalej idziemy pieszo? - zasugerował.

- Chyba tak.

Spętali zwierzęta i zaczęli schodzić do wioski. Dobięgl ich lament mieszkańców. Rozbrzmiewający w kłębach dymu szloch przypomniał Gentle'owi odgłosy, które słyszał w nocy na wzgórzu. Nieszczęście Beatrix w jakiś sposób wiązało się z tym, co wtedy widział. Udało mu się wprawdzie uniknąć wzroku strażnika, ale nie uśmierzył jego podejrzeń. Wystarczyło przypuszczenie, że Gentle jest w wiosce, by mieszkańców spotkała tragedia.

- To moja wina - powiedział. - Boże mój... to przeze mnie.

Odwrócił się do mistyfa, który stał na środku ulicy. Twarz miał bladą i pozbawioną wyrazu.

- Zostań tutaj - polecił mu. - Poszukam Splendidów.

Pie nie zareagował, Gentle założył jednak, że zrozumiał jego słowa, i ruszył w stronę domu, w którym znaleźli goście. Nie tylko ogień przyniósł Beatrix zagładę. Niektóre domy były przewrócone, chociaż płomienie ich nie tknęły. Drzewa w zagajnikach powyrywano z korzeniami. Nigdzie nie było jednak widać ofiar i w Gentle'u obudziła się nadzieja, że Coaxial Tasko przekonał mieszkańców do ucieczki w góry, zanim intruzi zjawili się we wsi. Nadzieja ta zgasła, gdy znalazł się w miejscu, w którym stał dom Splendidów. Budynek był wypalony, a dym z żarzących się belek długo ukrywał potworny widok. Zwłoki mieszkańców Beatrix zrzucano na wysoki, krwawy stos, wyższy od dorosłego człowieka. Kilku ocalałych z rzezi, zapłakanych wieśniaków szukało swoich bliskich wśród zmasakrowanych ciał. Niektórzy kurczowo chwyтали ręce, które - jak im się wydawało - rozpoznali, inni tylko klęczeli w krwawym błocie i szlochali bezradnie.

Gentle obszedł stos dookoła, szukając wśród żałobników znajomej twarzy. Jeden z mężczyzn, których widział na przedstawieniu teatru lalek, kołysał w ramionach martwą

zonę albo siostrę. Jakaś kobieta grzebała w stosie zwłok, wykrzykując czyjeś imię. Chciał jej pomóc, ale wrzasnęła, by się nie zbliżał. Odsunął się od niej i zobaczył Efreeta. Chłopak leżał na stosie ciał, oczy miał otwarte, usta - które umiały wyrażać tak niepohamowany entuzjizm - zmiążdżone butem lub kolbą karabinu. W tej chwili Gentle oddałby wszystko, nawet życie, byle tylko dorwać skurwiela, który to zrobił.

Odwrócił się w poszukiwaniu jakiegokolwiek celu, nawet gdyby nie był nim morderca Efreeta; kogoś w mundurze albo z bronią, człowieka, którego mógłby nazwać wrogiem. Nie przypominał sobie, żeby kiedyś tak się czuł, ale też nigdy przedtem nie miał takiej mocy jak teraz (chyba że, jeśli wierzyć słowom Pie, miał ją zawsze, tylko nie zdawał sobie z tego sprawy). Wiedział, że z płuc, gardła i dłoni może uczynić śmiercionośną broń, która bez wysiłku zgładziłaby winnego. Ruszył dalej, szukając pretekstu do egzekucji.

Przeszedł kawałek krętą uliczką i za rogiem natknął się na jedną z machin bojowych. Stanął jak wryty, spodziewając się, że potwór lada chwila zwróci na niego stalowe oczy. Miał przed sobą idealnego siewcę śmierci - pojazd był opancerzony jak krab, z jego kół sterczały na boki zakrwawione kosy, wieżyczka jeżyła się lufami karabinów. Ale i jego śmierć nie oszczędziła. Z wieżyczki buchał dym, kierowca leżał we włązie, gdzie dogonił go ogień. Zwycięstwo nie było może znaczące, ale przynajmniej dowodziło, że maszyny mają swoje słabe punkty. Któregoś dnia ta wiedza mogła rozstrzygnąć o nadziei i rozpacz.

Ktoś zawołał go po imieniu i zza dymiącego wraku wyszedł Żałosny Tasko. Naprawdę wyglądał żałośnie, miał zakrwawioną twarz i utyłane w błocie ubranie.

- Za grosz wyczucia czasu, Zacharias - powiedział. - Wyjechałeś za późno i przybywasz też za późno.

- Dlaczego to zrobili?

- Autarcha nie potrzebuje powodów.

- Był tutaj? - Serce zabiło Gentle'owi mocniej, kiedy pomyślał, że rzeźnik z Yzordderrex zjawił się w Beatrix.

- Kto wie? Nikt nigdy nie widział jego twarzy. Może był tu wczoraj i nikt nie zwrócił na niego uwagi?

- Wiesz, co się stało z matką Splendid?

- Jest gdzieś na stosie.

- Jezu Chryste!

- Nie nadawała się na świadka. Ze smutku pomieszało się jej w głowie. Zostawili przy życiu tych, którzy najlepiej opowiedzą, co się stało. Okrucieństwo potrzebuje świadków, Zacharias, ludzi, którzy poniosą słowo w świat.

- To miało być ostrzeżenie?

Tasko pokręcił głową.

- Nie wiem, jak oni myślą.

- Może powinniśmy się tego dowiedzieć, żeby ich powstrzymać.

- Wolałbym umrzeć niż zrozumieć takie bagno. Jeżeli cię to pociąga, jedź do Yzordderrex. Tam wszystkiego się dowiesz.

- Chciałbym się przydać tutaj. Na pewno mogę coś dla was zrobić.

- Zostaw nas, żebyśmy mogli opłakać zmarłych.

Trudno o ostrzejsze słowa pożegnania. Gentle chciał Tasko pocieszyć, przeprosić, ale w obliczu tak potwornej tragedii wypadało zachować pełne szacunku milczenie.

Uklonił się i zostawił tego króla bez poddanych, dźwigającego brzemień świadka. Minął stos ciał, podszedł do Pie'oh'paha. Mistyf nawet nie drgnął przez ten czas. Kiedy Gentle stanął przy nim i powiedział, że pora ruszać, Pie nie od razu zareagował.

- Nie powinniśmy byli wracać - powiedział po chwili.

- Każdy stracony przez nas dzień to ryzyko takiej samej tragedii...

- A ty myślisz, że możesz temu zapobiec? - spytał Pie z nutką sarkazmu w głosie.

- Nie pojedziemy okrężną drogą, tylko skrótem przez góry. Zaoszczędzimy trzy tygodnie.

- Naprawdę tak myślisz, prawda? Wydaje ci się, że możesz ich powstrzymać.

- My nie zginiemy. - Gentle objął Pie'oh'paha. - Nie pozwolę na to. Przybyłem tu, by zrozumieć, i zrozumieć.

- Ile jeszcze zniesiesz?

- Tyle, ile będę musiał.

- Uważaj, mogę ci to kiedyś przypomnieć.

- Nie zapomnę. Od tej pory będę wszystko pamiętał.

ROZDZIAŁ 21

1

Azyl w wiejskiej posiadłości Godolphina powstał w okresie mody na pawilony. Najstarsi synowie zamożnych i potężnych rodów, z braku wojen niemający nic lepszego do roboty, zabawiali się wydawaniem nagromadzonych przez pokolenia fortun na budowie, które miały tylko jedną funkcję: zaspokoić ich wybujałe ego. Większość z tych pomylonych dzieł nie miała nic wspólnego z zasadami sztuki architektonicznej i obróciła się w proch szybciej od swoich twórców. Nieliczne cacka ocalały jednak i nawet kiedy popadały w ruinę, często o nich mówiono: albo ich właściciele cieszyli się wyjątkowo złą sławą, albo one same stały się miejscem dramatycznych wydarzeń. Azyl Godolphina należał do obu tych kategorii. Jego konstruktor, Geoffrey Light, zmarł w West Riding sześć miesięcy po zakończeniu budowy. Udławił się byczym penisem. Ta groteskowa śmierć przyciągnęła powszechną uwagę, podobnie jak wycofanie się jego mecenasa, lorda Joshuy Godolphina, z życia publicznego. Coraz wyraźniejsze szaleństwo lorda komentowane było szeroko zarówno na dworach, jak i w kawiarniach. O Godolphinie mówiło się sporo, nawet gdy był w pełni władz umysłowych - przede wszystkim dlatego że zadawał się z czarownikami. Nawet Cagliostro, hrabia de Saint-Germain i Casanova (ponoć całkiem niezły taumaturg) bywali w jego posiadłości, o mniej znacznych magach nie wspominając.

Jego lordowska mość nie krył się bynajmniej ze swymi okultystycznymi zainteresowaniami, chociaż ich szczegóły nigdy nie wyszły na jaw. Zakładano, że towarzystwo szarlatanów zwyczajnie go bawi. Ale bez względu na przyczyny nagle zniknięcie Godolphina przypomniało wszystkim o jego ostatniej ekstrawagancji - pawilonie, którego budowę zlecił Lightowi. Rok po śmierci architekta ukazał się jego domniemany dziennik, a w nim relacja z prac przy budowie. Pomijając autentyczność

zapisków, trzeba było przyznać, że dostarczały niezwyklej lektury. Fundamenty pawilonu wybudowano w noc, gdy układ gwiazd był wyjątkowo pomyślny; kamieniarze - wybrani i najęci w tuzinie różnych miast - zostali zobowiązani do zachowania tajemnicy i złożenia przysięgi groźnej jak arabskie zaklęcia. Każdy kamień z osobna ochrzczono w mieszaninie mleka i kadzidła. Przez na wpół wykończony budynek trzy razy przepędzono jagnię; ołtarz i chrzcielnicę zbudowano w miejscach, gdzie złożyło swą niewinną główkę.

Wielokrotnie powtórzone, szczegóły te rychło zmieniły treść i budowli przypisano szatańskie przeznaczenie. Kamienie chrzczono rzekomo krwią dzieci, a ołtarz stanął nad grobem wściekłego psa. Sam lord Godolphin, bezpiecznie zamknięty w swoim majątku, nie miał prawdopodobnie pojęcia o tych plotkach - do czasu gdy dwa lata po jego zniknięciu, we wrześniu, mieszkańcy Yoke zaczęli szukać kozła ofiarnego, którego można by obarczyć winą za kiepskie żniwa. Podjudzeni dodatkowo wygłoszonym z ambony cytatem z Ezechiela, w niedzielne popołudnie wyruszyli na krucjatę przeciw dziełu szatana. Przedarli się przez bramy posiadłości, zamierzając zrównać Azyl z ziemią. Nie znaleźli jednak nic z obiecywanych bluźnierstw; nie było ani odwróconego krzyża, ani splamionego krwią dziewic ołtarza. Rozwścieczeni i sfrustrowani zniszczyli pawilon, na ile mogli, a na koniec zapalili na środku mozaiki wielkie ognisko z bel siana. Płomień tylko poczercił sadzą ściany pawilonu, lecz Azyl zyskał nowe miano. Od tej pory nazywano go Czarną Kaplicą lub Grzechem Godolphina.

2

Gdyby Jude znała tę historię, może przejeżdżając przez Yoke szukałaby jej współczesnych śladów. Musiałaby się bardzo postarać, ale echa rzeczywiście pozostały. Mało który dom nie miał wyrytego krzyża w kamieniach nadproża, a przynajmniej końskiej podkowy wmurowanej w posadzkę przy wejściu. Gdyby miała więcej czasu i zajrzała na cmentarz, znalazłaby nagrobne inskrypcje z prośbą do Pana, by zachował żywych ode złego, a zmarłych przyjął na swe łono. Ogłoszenie na tablicy przy wejściu zapowiadało, że w najbliższą niedzielę kazanie będzie poświęcone „Barankowi w naszym życiu”, jak gdyby pastor chciał wypłenić z głów mieszkańców kołaczące się jeszcze myśli

o jagnięciu z piekła rodem.

Nie zwróciła uwagi na żadne z tych znaków. Uwagę dzieliła między prowadzenie samochodu i rozmowę z siedzącym obok niej mężczyzną; od czasu do czasu uspokajała kręcącego się na tylnym siedzeniu psa. Nagłe natchnienie kazało jej zmusić Estabrooka, żeby pokazał drogę, ale za tym natchnieniem kryła się żelazna logika. Dzięki niej mógł na cały dzień wyrwać się z kliniki i pooddychać świeżym powietrzem. Miała nadzieję, że w bardziej naturalnej scenerii będzie bardziej skłonny porozmawiać o rodzinie, w szczególności zaś o Oscarze. A które miejsce nadawało się lepiej na niewinne pytania o dzieje Godolphinów niż majątek należący do nich od pokoleń?

Posiadłość znajdowała się niespełna kilometr za wioską. Prywatna droga prowadziła do wjazdu, obłożonego - nawet teraz, w styczniu przez zielone wojsko bluszczu i ciemnych krzewów. Bramę dawno temu zdjęto z zawiasów. Zastąpiła ją znacznie mniej elegancka zapora z desek i zardzewiałych prętów, opleciona dodatkowo drutem kolczastym. Grudniowe burze powaliły jednak tę barykadę; gdy tylko zaparkowali samochód i podeszli bliżej - rozszczękany Skin w podskokach biegł przodem - stwierdzili, że jeżeli zaryzykują kontakt z jeźźniami i pokrzywami, bez trudu wejdą na teren posiadłości.

- Co za smutny widok - powiedziała Jude. - Kiedyś musiało tu być pięknie.
- Nie za mojej pamięci - stwierdził Estabrook.
- Mam torować drogę? - Jude podniosła z ziemi patyk i zaczęła obrywać go z liści.
- Nie, pójdę pierwszy.

Wziął od niej gałązkę i ruszył naprzód, bezlitośnie siekąc pokrzywy. Jude szła wyciętą w zielsku ścieżką. W miarę, jak zbliżała się do bramy, pałała coraz większym entuzjazmem - przypuszczalnie dlatego, pomyślała, że Estabrook tak się zaangażował. Zupełnie nie przypominał ludzkiego wraku, jaki dwa tygodnie wcześniej zastała w klinice. Podał jej rękę, kiedy gramoliła się przez powalone pnie drzew, i jak para zakochanych, którzy szukają zacisznego kąta na rendez-vous, przez powaloną zaporę weszli na teren majątku Godolphina.

Spodziewała się rozległej perspektywy, widoku podjazdu ściągającego wzrok ku rezydencji. I może kiedyś rzeczywiście tak to wyglądało, ale dwieście lat zaniedbań i szaleństwa przodków sprawiło, że chaos pochłoniął wszelką symetrię, a park rozrósł się w

dżunglę. Artystycznie rozmieszczone zagajniki, dające niegdyś cień flirtującym parom, zmieniły się w gęsty las; idealnie przystrzyżone trawniki zarosły chwastami. Angielscy ziemianie w rodzinnych posiadłościach czasem urządzali w nich parki safari i sprowadzali zwierzynę z terenów byłego imperium, żeby zajęła miejsce jeleni i saren. Zdaniem Jude wypadało to żałośnie: parki były zbyt zadbane, a lwy i pawiany nie prezentowały się najlepiej wśród dębów i platanów. Tutaj jednak mogła sobie wyobrazić, że jest w królestwie dzikich zwierząt, na skrawku obcej ziemi, zrzuconym w sam środek Anglii.

Dom znajdował się jeszcze dość daleko, ale Estabrook różnym krokiem ruszył w jego kierunku, mając Skina za zwiadowcę. Jude zastanawiała się, o czym myśli, że z taką ochotą brnie przez gąszcz. Może o przeszłości, o tym, jak przyjeżdżał tu w latach chłopięcych? Czy może cofa się jeszcze dalej w przeszłość, do czasów świetności High Yoke, kiedy tę drogę pokrywał równo zagrabiony żwir, a w domu zbierali się ludzie możni i wpływowi?

- Często tu przyjeżdżałeś w dzieciństwie? - zapytała.

Estabrook obejrzał się przez ramię i posiał jej zaskoczone spojrzenie, jakby zapomniał, że nie jest sam.

- Nie. Ale bardzo lubiłem te wizyty. To było wymarzone miejsce do zabawy. Później myślałem o tym, żeby sprzedać dom, ale Oscar nie chciał o tym słyszeć. Miał swoje powody, naturalnie...

- Jakże? - spytała niby od niechcienia.

- Szczerze mówiąc, cieszę się, że tak zapuściliśmy ogród. Jest o wiele ładniejszy.

Szedł nie zatrzymując się i wywijał gałęzią jak maczetą. Kiedy zbliżyli się do domu, Jude przekonała się na własne oczy, jak bardzo jest zaniedbany. Okna powybijano, z dachu zostały tylko drewniane krokwie, drzwi jak pijane zwieszały się z powykrzywianych zawiasów. Był to wyjątkowo smutny widok, gdy człowiek uświadomił sobie, jak pięknie wyglądała rezydencja przed laty. Niebo zaczęło się przecierać i słońce przygrzewało coraz mocniej. Kiedy weszli na werandę, przeświecało przez resztki dachu. Cienie belek tworzyły geometryczny wzór na podłodze. Schody, choć zaśmiecone gruzem, wciąż prowadziły na podest, na którym znajdowało się niegdyś okno, jakiego nie powstydziałaby się niejedna katedra. Zostało wybite przez gałęzie powalonego wiele zim

wcześniej drzewa. Ich wyschnięte kikuty sięgały miejsca, w którym pan i pani domu zatrzymywali się na chwilę przed zejściem do gości. Boazeria na ścianach hallu i odchodzących od niego korytarzy była nienaruszona, drewniane podłogi solidne jak dawniej. Mimo że dach nie wytrzymał próby czasu, sam budynek nie sprawiał wrażenia, jakby miał się lada dzień zawalić. Miał służyć Godolphinom wiecznie; żyzna ziemia i płodne lędźwie powinny zagwarantować przetrwanie rodu aż do czasów, gdy zgaśnie słońce. Ludzie zawiedli pierwsi, nie dom.

Estabrook ze Skinem skręcili do wielkiej jak restauracja jadalni. Jude poszła z początku za nimi, ale coś ciągnęło ją na schody. Cała jej wiedza o okresie, w którym dom przeżywał swoje najlepsze chwile, pochodziła z filmów i telewizji, ale wyobraźnia z niezwykłym zapalem wzięła się do pracy. Podsuwała obrazy tak żywe, że prawie zacierają zniechęcającą terażniejszość. Kiedy Jude weszła na schody, z zakłopotaniem napawając się swoją wizją arystokratycznego świata, wydawało jej się, że widzi, jak świece rozświetlają hall, słyszy dobiegający z podestu śmiech, a gdy zaczęła schodzić, usłyszała szelest jedwabnego trenu na stopniach. Zawołał ją ktoś stojący przy wejściu. Odwróciła się, spodziewając się ujrzeć Estabrooka, ale ten głos musiał być tylko złudzeniem. Nikt nigdy nie nazywał jej Mirabelką.

Nieco rozdrażniona zeszła poszukać Estabrooka, pragnąc kontaktu z rzeczywistością. Znalazła się w dawnej sali balowej. Jedną ścianę pokoju na całej długości zajmowały wysokie do sufitu okna, z których roztaczał się widok na tarasy i ozdobne ogrody, aż do zaniedbanego pawilonu. Tu zastała Estabrooka. Wzięła go pod ramię. Sączące się przez rozbite szkło promienie słońca rozświetliły wspólną mgiełkę ich oddechów.

- Tu musiało być przepięknie - odezwała się Jude.
- Z pewnością. - Estabrook pociągnął mocno nosem. - Ale te czasy już nie wrócą.
- Dom można by odnowić.
- Kosztowałoby to fortunę.
- Masz fortunę.
- Nie taką.
- A Oscar?
- Nie. Posiadłość należy do mnie. Oscarowi wolno tu przyjeżdżać, ale dom jest

mój. Taka była umowa.

- Umowa? - zdziwiła się Jude. - Opowiedz mi o tym.

Estabrook westchnął głęboko.

- Jestem starszy od Oscara. W naszej rodzinie jest taka tradycja, wywodząca się z czasów, gdy dom był jeszcze zamieszkały, że najstarszy syn, albo córka, jeżeli rodzice nie mają syna, zostaje członkiem stowarzyszenia Tabula Rasa.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Podejrzewam, że Tabula Rasa chciałaby, żeby tak zostało. Nie powinienem ci o tym mówić, ale co mi tam... Mam wszystko gdzieś, a poza tym to już historia. No więc... Miałem wstąpić do stowarzyszenia, lecz papa pominął mnie i wybrał Oscara.

- Dlaczego?

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale uznali, że jestem niezrównoważony. - Charlie uśmiechnął się lekko. - Ja! Wyobrażasz sobie? Bali się, że nie będę dość dyskretny. - Parsknął śmiechem. - Ach, pieprzyć ich, właśnie zamierzam być niedyskretny.

- Czym się to stowarzyszenie zajmuje?

- Zostało założone, aby zapobiec... Czekaj, spróbuję zacytować... zapobiec „splugawieniu angielskiej ziemi”. Joshua kochał Anglię.

- Kto?

- Joshua Godolphin, człowiek, który zbudował ten dom.

- Co to miało być za plugastwo?

- Kto go tam wie? Katolicy? Francuzi? Był wariatem i zadawał się z wariatami. A tajne stowarzyszenia były wtedy w modzie...

- I ono nadal działa?

- Tak przypuszczam. Rzadko rozmawiam z Oscarem, a już nigdy o Tabula Rasa. To dziwny człowiek, bardziej zwariowany ode mnie. Po prostu lepiej się z tym maskuje.

- Kiedyś i ty się świetnie maskowałeś, Charlie.

- Byłem głupi. Powinienem był się odsłonić, może bym cię zatrzymał. - Estabrook dotknął palcami policzka Jude. - Byłem głupcem, Judith. Nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Wybaczyłaś mi.

Poczuła wyrzuty sumienia, że jej manipulacje tak go poruszyły. Ale przynajmniej przyniosły jakiś efekt. Do układanki doszły dwa elementy: Tabula Rasa i powody jej

istnienia.

- Wierzysz w magię? - zapytała.

- Pytasz starego Charliego czy nowego?

- Nowego. Tego wariata.

- W takim razie wierzę. Kiedy Oscar przynosił mi prezenty, mówił: „Masz, oto kawałek cudu”. Zwykle je wyrzucałem; zostały mi tylko te, które znalazłaś. Nie interesowało mnie, skąd Oscar je bierze...

- Nie zapytałaś?

- W końcu zapytałem. Którejś nocy, kiedy ciebie nie było, przyniósł książkę, którą znalazłaś w sejfie. Wypiłem już trochę, więc zapytałem, skąd wytrzasnął takie gówno. Nie byłem gotowy, żeby uwierzyć. Wiesz, co mnie przygotowało?

- Nie, powiedz mi.

- Zwłoki z Heath. Opowiadałem ci o tym, prawda? Przez dwa dni patrzyłem, jak szukają ciała w błocie i przy padającym deszczu. Cały czas myślałem o tym, jakie mamy gówniane życie. Jedyne sposobem, żeby się z niego wydostać, to nogami do przodu. Miałem ochotę podciąć sobie żyły, ale przyjechałaś, a ja przypomniałem sobie, co czułem, kiedy się poznaliśmy. Wydawało mi się to niewiarygodne, ale miałem wrażenie, że odzyskałem coś, co utraciłem. I doszedłem do wniosku, że skoro mogę uwierzyć w jeden cud, mogę uwierzyć i w inne, nawet te, o których opowiadał Oscar: w dominia, w Imajicę, w zamieszkujące ją istoty, w miasta. Pomyślałem, czemu nie... Czemu nie pogodzić się z ich istnieniem, zanim stracę tę szansę? Zanim znajdą moje ciało w deszczu.

- Nie umrzesz w deszczu.

- Nic mnie nie obchodzi, gdzie umrę, Jude. Ważne jest, gdzie żyję, a żeby żyć, potrzebuję nadziei. Chcę być z tobą.

- Charlie... - szepnęła z wyrzutem. - Nie powinniśmy teraz o tym rozmawiać.

- Dlaczego nie? Będzie jakiś lepszy moment? Wiem, że przywiozłaś mnie tutaj, bo chciałaś uzyskać odpowiedzi na pewne pytania. Nie mam do ciebie pretensji. Gdybym to ja zobaczył mordercę, który dybie na moje życie, sam miałbym mnóstwo pytań. Ale zastanów się, Judy, o nic więcej nie proszę. Zastanów się, czy nowy Charlie nie jest wart odrobiny twojego czasu. Zrobisz to?

- Zrobię.

- Dziękuję. - Estabrook podniósł jej dłoń do ust i ucałował. - Znasz już większość tajemnic Oscara, więc równie dobrze możesz poznać wszystkie. Widzisz ten lasek ciągnący się w stronę muru? Tam znajduje się stacyjka kolejowa, z której zawsze wyjeżdża.

- Chciałabym ją zobaczyć.

- Przejdziemy się, madame? Gdzie się podział ten pies? - Estabrook gwizdnęła i Skin wpadł do pokoju, wznecając złocisty kurz. - Świetnie. Ruszajmy.

3

W piękne, jasne popołudnie łatwo było sobie wyobrazić, jak uroczo musi wyglądać rezydencja - mimo że bliska ruiny - wiosną czy w środku lata, gdy wieczory są długie i ciche, wszędzie uwijają się ptaki, wiatr unosi puch dmuchawców. Dlatego też Jude nie forsowała tempa, mimo że bardzo chciała zobaczyć miejsce, które Estabrook nazwał stacją kolejową. Szli niespiesznie, od czasu do czasu odwracali się, żeby obejrzeć malowniczy dom. Z tej perspektywy prezentował się jeszcze lepiej. Mimo że zagajnik nie był duży, gęste poszycie zasłaniało im miejsce, do którego zmierzali, dopóki nie znaleźli się pod drzewami, na wilgotnej ściółce. Dopiero wtedy Jude zdała sobie sprawę, jaką budowlę ogląda. Widziała ją mnóstwo razy na rysunku zasłaniającym sejf.

- Azyl - powiedziała.

- Poznajesz?

- Oczywiście.

Zmylone ciepłą zimą ptaki śpiewały wśród drzew, szykując się do zalotów. Kiedy Jude podniosła wzrok, wydało się jej, że drzewa splatają się nad Azylem w sklepienie, jakby stanowiły drugą kopułę budynku. Ten widok i ptasie trele sprawiały, że zakątek wyglądał jak świątynka.

- Oscar nazywa go Czarną Kaplicą - powiedział Charlie. - Nie wiem dlaczego.

Pawilon nie miał okien, a od strony, z której się zbliżali, nie widać było także drzwi - musieli obejść go z boku, zanim odsłoniło się wejście. Skin dyszał na progu, ale kiedy Charlie uchylił drzwi, pies nie miał ochoty wejść do środka.

- Tchórz - stwierdził Charlie, przekraczając próg pawilonu. - Tu jest bezpiecznie.

Podniosły nastrój w środku był jeszcze wyraźniejszy. Nic z tego, co przeszła, odkąd Pie'oh'pah próbował ją zamordować, nie przygotowało jej na takie tajemnice. Przeszkadzała jej własna nowoczesność; żałowała, że ze swojej okaleczonej historii nie potrafi wyłowić jakiegoś zapomnianego „ja”, które byłoby lepiej dostosowane do tego, co się dzieje. Charlie odrzucił rodowe nazwisko, ale w jego żyłach płynęła krew przodków. Drozdy, które słyszała, śpiewały tak samo jak w czasach, gdy potężne drzewa dopiero kiełkowały. A ona dryfowała samotnie, do nikogo niepodobna - nawet do kobiety, którą była sześć tygodni wcześniej.

- Nie denerwuj się, chodź. - Charlie skinął na nią.

Mówił trochę zbyt głośno ale chyba tego nie zauważył. W Azylu czuł się swobodnie. Jude pomyślała, że mógł gadać, ile chciał, o pogodzeniu się z cudami, lecz w głębi serca pozostał pragmatykiem. Ona wyczuwała działające w tym miejscu niezwykle siły, on był na nie obojętny.

Zdawało jej się dotąd, że Azyl jest zupełnie pozbawiony okien. Dopiero w środku przekonała się, że nie miała racji. W miejscu, gdzie kopuła wyrastała ze ścian, okalał ją pierścień okien, niczym aureola biegnąca wokół czaszki Czarnej Kaplicy. Były malutkie, ale przepuszczały dość światła, żeby odbite od podłogi skupiało się nad środkiem mozaiki. Jeżeli Azyl naprawdę miał być stacją, to tu znajdował się peron.

- Nic specjalnego, prawda? - spytał Charlie.

Zastanawiała się, jak zaprzeczyć i wyjaśnić, co czuje, gdy pozostawiony na zewnątrz Skin zaczął szczekać. Nie brzmiało to jak radosne ujadanie, którym witał po drodze każde nowe drzewo do obsikania, lecz rozpaczliwy jazgot. Jude rzuciła się do drzwi, ale magnetyczny wpływ Azylu spowolnił jej reakcję. Charlie wybiegł pierwszy. Krzyknął na psa i Skin nagle ucichł.

- Charlie! - zawołała.

Estabrook nie odpowiedział. Kiedy pies umilkł, zapadła niewiarygodna cisza. Ptaki przestały śpiewać. Ktoś stanął w progu.

Nie Charlie. Nie знаła tego masywnego, brodatego mężczyzny, ale na jego widok doznała szoku, jakby zobaczyła dawno zaginionego przyjaciela. Uznałaby pewnie, że wariuje, gdyby na jego twarzy nie odmalowały się podobne uczucia. Zmrużył oczy i

obrócił lekko głowę.

- Judith?

- Tak. Kim pan jest?

- Oscar Godolphin.

Do tej pory oddychała szybko i płytko, dopiero teraz pozwoliła sobie wziąć głębszy wdech.

- Dzięki Bogu. Wystraszył mnie pan. Myślałam... Sama nie wiem, co myślałam.

Pies się na pana rzucił?

- Mniejsza z tym. - Godolphin wszedł do Czarnej Kaplicy. - Czy myśmy się już kiedyś spotkali?

- Nie wydaje mi się... Gdzie Charlie? Nic mu się nie stało?

Godolphin miarowym krokiem szedł w jej kierunku.

- To wprowadza zamieszanie - powiedział.

- O czym pan mówi?

- O tym, że... że panią znam. Nie wiem, kim pani jest, ale panią znam. Stąd to zamieszanie.

- Nie rozumiem. Chciałam pana poznać i kilkakrotnie prosiłam Charliego, żeby nas sobie przedstawił, ale był oporny... - Jude mówiła bez przerwy, trochę dla podtrzymania rozmowy, a trochę po to, żeby zapomnieć o jego natarczywym spojrzeniu. Bała się, że jeśli zamilknie, zupełnie się zagubi, stanie się jego zabawką. - Bardzo mi miło, że możemy wreszcie porozmawiać. - Godolphin był już całkiem blisko. Wyciągnęła rękę. - Naprawdę, bardzo mi przyjemnie.

Pies znów zaczął czekać, ale tym razem ktoś próbował uciszyć go krzykiem.

- Boże! Ugryzł kogoś! - Judy skoczyła do drzwi.

Oscar złapał ją za rękę - lekko, ale gestem posiadacza - i zatrzymał. Odwróciła się i nagle wszystkie zabawne sceny z romansów wydały się jej prawdziwe i śmiertelnie poważne. Serce podeszło jej do gardła, policzki poczerwieniały, ziemia zatrzęsała się pod stopami. Nie było w tym nic miłego, tylko mdła bezsilność, przed którą nie umiała się bronić. Jediną pociechę - w dodatku niewielką - stanowił fakt, że jej partner w tym tańcu pożądania był chyba równie wypłoszony.

Ujadowienie psa ucichło jak nożem uciął. Charlie zawołał ją po imieniu i Oscar

odwrócił się w stronę drzwi. Jude również. Na progu stał zdyszany Estabrook, w ręce trzymał sękatą gałąź. Za jego plecami pojawił się potwór - istota o spalonej, zmiażdżonej twarzy (na gałęzi, którą trzymał Charlie, widać było strzępy spalonej skóry) wyciągała na oślep ramiona, próbując go dosięgnąć.

Jude krzyknęła. Poparzony stwór rzucił się naprzód, stracił na progu równowagę i upadł. Opaloną do gołej kości dłonią próbował się jeszcze złapać futryny, ale Charlie wyrzucił go gałęzią w głowę. Bryznęły odłamki kości. Potwór nie znalazł ręką oparcia i poleciał na ziemię. Srebrzysta krew trysnęła na posadzkę.

Oscar jęknął cicho.

- Ty popaprańcu! - krzyknął Charlie. Dyszał ciężko, jego oczy płonęły żarem. -
Puść ją!

Oscar zwolnił uścisk na ramieniu Jude, a jej zrobiło się żal. Uczucie, jakim darzyła Charliego, stanowiło zaledwie preludium do tego, co czuła w tej chwili - tak jakby kochała go przez wzgląd na pamięć mężczyzny, którego nigdy nie znała. Teraz zaś, kiedy go spotkała, kiedy usłyszała prawdziwy głos, a nie tylko jego echo, Estabrook - mimo spóźnionych przejawów bohaterstwa - wydał się jego nędzną namiastką.

Nie wiedziała, skąd biorą się w niej te uczucia, ale miały moc pierwotnego instynktu i nie zamierzała się im sprzeciwiać. Oscar był otyły, ubierał się z przesadną elegancją i wyglądał na aroganta; gdyby miała wybór, z pewnością nie takiego mężczyzny by szukała. A jednak z powodów, których na razie nie rozumiała, odmówiono jej tego wyboru; zwyciężył popęd bardziej prymitywny niż świadome pożądanie. Obawy o bezpieczeństwo Charliego i jej własne nagle straciły znaczenie, stały się zupełnie abstrakcyjne.

- Nie zwracaj na niego uwagi - dodał Charlie. - Nie zrobi ci krzywdy.

Przy bracie wyglądał jak cień człowieka, wstrząsany drgawkami i tikami nerwowymi. Jak mogła go kochać?

- Chodź - powiedział i skinął na nią.

Nie poruszyła się, dopóki Oscar się nie odezwał:

- Idź.

Bardziej z posłuszeństwa wobec Oscara niż z własnej woli ruszyła w stronę Charliego.

Na próg padł cień następnej postaci i w drzwiach stanął elegancki młody człowiek. Miał tlenione włosy i twarz tak idealną, że aż banalną.

- Nie zbliżaj się, Dowd - uprzedził go Oscar. - To tylko ja i Charlie.

Dowd spojrział na leżące przy drzwiach zwłoki i przeniósł wzrok na Oscara.

- On jest niebezpieczny - ostrzegł.

- Wiem - odparł Oscar. - Wyjdź na zewnątrz z Dowdem, Judith.

- Nie podchodź do tego skurczybyka - uprzedził ją Charlie. - To on zabił Skina. A drugi taki potwór czeka przy drzwiach.

- To są pustkowce, Charles - zauważył Oscar. - Żaden z nich nie skrzywdzi naszej ślicznej Judith. Spójrz na mnie, Judith. - Jude odwróciła się do niego. - Nic ci nie grozi. Rozumiesz? Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Wierzyła mu. Nie patrząc w stronę Charliego, podeszła do wyjścia. Morderca psa podał jej rękę, kiedy musiała przestąpić nad ciałem pustkowca, ale nie przyjęła jej. Wyszła lekkim krokiem i z lekkim sercem. Dowd szedł za nią. Czuła na sobie jego wzrok.

- Judith... - powiedział, jak gdyby zaskoczony.

- Tak, to ja - przytaknęła. Czuła, że jej imię ma w tej chwili ogromne znaczenie.

Niedaleko pawilonu dostrzegła drugiego pustkowca. Przykucnięty na ziemi bezmyślnie przyglądał się zabitemu Skinowi, wodząc palcami po jego boku. Odwróciła wzrok. Nie chciała, żeby ponury widok zepsuł jej radosny nastrój.

Wyszli z Dowdem na skraj lasu, skąd widziała szmat nieba. Słońce zachodziło, przybierając coraz bardziej ognisty kolor. Park, ogrodowe tarasy i dom malowały się w jego świetle niezwykle urokliwie.

- Czuję się tak, jakbym już tu kiedyś była - stwierdziła Jude.

Ta myśl wydała się jej dziwnie kojąca. Podobnie jak uczucia wobec Oscara, wpływała z otchłani jaźni, których istnienia sobie nie uświadamiała; pogodzenie się z nią było w tej chwili ważniejsze niż znalezienie jej źródła. I to właśnie zrobiła. Z radością. Ostatnio tak często bywała świadkiem i uczestnikiem wydarzeń, na które nie miała żadnego wpływu, że miło było doświadczyć tak głębokiego i instynktownego uczucia, którego źródeł nie musiała analizować.

- Pamięta pani coś szczególnego w związku z tym miejscem? - zainteresował się

Dowd.

- Nie - odparła po namyśle. - Po prostu wydaje mi się, jakbym tu... pasowała.

- Może to i lepiej. Wie pani, jak to jest z pamięcią. Bywa zdradliwa.

Nie podobał się jej ten człowiek, ale mówił sensownie. Z trudem sięgała pamięcią dziesięć lat wstecz; starsze wspomnienia na dobrą sprawę nie istniały. Jeżeli kiedyś - gdy nadejdzie czas - wróca, przyjmie je z wdzięcznością, ale na razie miała przed sobą pełny puchar uczuć, kto wie czy nie bardziej atrakcyjnych przez swą tajemniczość.

Z Czarnej Kaplicy dobiegały podniesione głosy, ale tak zwielokrotnione echem i stłumione odległością, że nie dało się zrozumieć słów.

- Rodzinna sprzeczka - mruknął Dowd. - Co czuje kobieta, o którą walczą mężczyźni?

- Nikt o mnie nie walczy.

- Oni chyba myślą inaczej.

Głosy wzniosły się do krzyków i nagle przycichły. Jeden z braci - Oscar, pomyślała Jude - mówił, drugi z rzadka wtrącał coś od siebie. Targowali się o nią? Przerzucali się ofertami? Przyszło jej do głowy, że mogłaby wmieszać się do rozmowy. Wrócić do Kaplicy i ujawnić, co czuje - choćby nawet miało się to wydać kompletnie irracjonalne. Lepiej od razu powiedzieć prawdę, niż pozwolić, by Charlie splukał się zupełnie, a potem przekonał, że nagrody i tak nie dostanie. Zawróciła.

- Co pani robi? - zdziwił się Dowd.

- Muszę z nimi porozmawiać.

- Pan Godolphin mówił...

- Słyszałam. Muszę z nimi porozmawiać.

Zobaczyła, jak z prawej strony ścieżki pustkowiec wstaje z ziemi. Nie patrzył na nią; wzrok miał utkwiony w drzwi pawilonu. Wciągnął w nozdrza powietrze i gwizdnął przenikliwie, żałośnie, jak gdyby wył z bólu. Długim, nieco zwierzęcym krokiem ruszył w stronę wejścia. Wyprzedził Jude, pierwszy stanął w progu i w pośpiechu podeptał ciało swojego zabitego brata. Kiedy znalazła się kilka metrów od drzwi, poczuła zapach, który napawał go takim smutkiem. Zefirek - zbyt ciepły jak na tę porę roku i niosący woń nieznaną w tym świecie perfum - powiał z Kaplicy. Jude z przerażeniem uświadomiła sobie, że oto historia się powtarza, pasażerowie właśnie wsiadają do pociągu, który

zabierze ich do dominiów. Zapach, który czuła, niósł się wzdłuż toru z miejsca, do którego się udawali.

- Oscar! - krzyknęła i skoczyła do środka, potykając się o zwłoki pustkowca.

Podróżni znikali jej właśnie z oczu jak Gentle i Pie'oh'pah. Pustkowiec rzucił się w wir, który po nich został. Miała ochotę zrobić to samo - na szczęście zorientowała się, że popełniłaby gruby błąd. Pustkowiec wpadł jeszcze w węzeł mocy, ale spóźnił się na przejażdżkę. Gwizd przeszedł w przeraźliwy skowyt, gdy jego głowa i ramiona, schwymane w pajęczynę sił, zaczęły wywracać się na nice. Dolna potowa jego ciała, nietknięta, zadygotała, kiedy próbował znaleźć na posadzce punkt oparcia i cofnąć się. Za późno. Zawieranie przestrzeni odarło mu głowę, tułów i ręce ze skóry.

Moc, która na chwilę spętała pustkowca, szybko wygasła, on jednak nie umarł tak szybko. Z zaciśniętymi ramionami, jakby próbował pochwycić w nie świat - który może udało mu się zobaczyć, zanim oczy wybuchły mu w czasie - padł na ziemię. Sinoczarne sploty wnętrzości rozpląły się po mozaice. Oślepienie i wypatroszone ciało nie chciało się poddać. Pustkowiec miotał się w konwulsjach jak ofiara epilepsji.

Dowd wyminał Jude i ostrożnie zbliżył się do centrum Kaplicy. Bał się, że wciąż pozostały tam resztki energii, kiedy jednak się przekonał, że nic mu nie grozi, sięgnął po broń. Wypatrzył jakiś czuły punkt w wijącej mu się pod stopami masie i dwa razy strzelił. Po chwili pustkowiec znieruchomiał.

- Nie powinna była pani tu przychodzić i tego oglądać - powiedział Dowd.

- Dlaczego? Wiem, dokąd się udali.

- Czyżby? - Zaciekawiony Dowd uniósł brwi. - Dokąd?

- Do Imajiki - odparła, udając, że doskonale wie, o czym mówi.

Kiedy Dowd uśmiechnął się leciutko, nie była pewna, czy zgadza się z nią, czy kpi. Nie spuścił wzroku, napawając się jej spojrzeniem. Może wydawało mu się, że go podziwia.

- Skąd pani wie o Imajice?

- Chyba każdy o niej wie.

- Pani wie więcej niż każdy. Chociaż nie jestem pewien o ile więcej.

Jude domyślała się, że stanowi dla Dowda zagadkę. Dopóki to się nie zmieni, mogła liczyć na jego uprzejmość.

- Myśli pan, że im się udało?
- Kto wie? Pustkowiec mógł im przeszkodzić, próbując się podłączyć. Mogli nie dotrzeć do Yzordderrex.
- Gdzie wtedy by się znaleźli?
- Jak to gdzie? W In Ovo, naturalnie. Gdzieś między Ziemią i Drugim Dominium.
- Jak stamtąd wrócą?
- To proste. Nie wrócą w ogóle.

4

Czekali więc. A właściwie - ona czekała. Słońce chowało się za drzewami upstrzonymi gniazdami wron; wieczorne gwiazdy zajmowały jego miejsce i rozsiewały własny blask. Dowd wywlókł zwłoki pustkowców z Kaplicy, sklecił naprędce stos i spalił je na nim. Zupełnie nie przejmował się obecnością Jude. Zakładał chyba, że wraz z nim i pustkowcami należy do tajemnego świata, w którym nie obowiązują zwykłe prawa i zwykła moralność. Po tym, co zobaczyła i jak podała się za eksperta od Imajiki, stała się jednym ze spiskowców. Nie było dla niej powrotu do ludzi, których znała, i do dawnego stylu życia. Poznała sekret i nie mogła się od niego uwolnić.

Gdyby Godolphin wrócił, pomógłby jej znaleźć drogę wśród tych tajemnic. W przeciwnym razie konsekwencje byłyby przykre. Nie mogła znieść myśli o tym, że miałyby przestawać z Dowdem tylko dlatego, że oboje nie należeli do tego świata. Z pewnością szybko zmarniałaby i umarła. Nie miałyby to wielkiego znaczenia, skoro Godolphin na zawsze by zniknął z jej życia. W ciągu godziny odbyła podróż od ekstazy do rozpacz. Czy naprawdę życzyła sobie zbyt wiele, kiedy modliła się, żeby przed końcem dnia wahadło zatoczyło łuk w drugą stronę?

Mróz wcale nie poprawiał jej nastroju. Podeszła ogrzać się przy stosie. Miała zamiar się wycofać, gdyby widok lub zapach okazały się zbyt odrażające. Dym, który powinien cuchnąć palonym mięsem, miał miłą, aromatyczną woń, a leżące w płomieniach kształty były nie do rozpoznania. Dowd poczęstował ją papierosem, którego zapaliła od wyciągniętej ze stosu rozżarzonej gałązki.

- Kim były te istoty? - zapytała, patrząc w ogień.

- Nie słyszała pani o pustkowcach? To najnędzniejsze z nędznych istot. Osobiście sprowadziłem je z In Ovo, a że żaden ze mnie maestro, widać chyba, jak bardzo są naiwne.

- Kiedy ten drugi zaczął gwizdać...

- Rzeczywiście, to była wzruszająca scena. Poczuł zapach Yzordderrex.

- Może tam się urodził.

- Bardzo możliwe. Niektórzy twierdzą, że pustkowce są materializacją wspólnych pragnień, ale to nieprawda. To dzieci zemsty. Rodzą je kobiety, które same podążają Drogą.

- To źle?

- Dla istot waszej płci ściśle zakazane.

- A kobietę, która złamie prawo, za karę się zapładnia?

- Właśnie. Widzi pani, takiej ciąży nie można usunąć. Pustkowce są głupie, ale nawet w łonie matki będą walczyć o życie. Natomiast zabicie stworzenia, które wydało się na świat, jest sprzeczne z kodeksem moralnym kobiet. Dlatego matki pustkowców płacą za to, żeby zesać je do In Ovo. A tam pustkowce radzą sobie chyba najlepiej ze wszystkich istot. Jedzą wszystko, także siebie nawzajem, a jeśli dopisze im szczęście, zostaną przywołane przez kogoś z tego dominium.

Tyle jeszcze muszę się nauczyć, pomyślała Jude. Może powinna podtrzymywać przyjaźń z Dowdem? Im więcej się od niego dowie, tym lepiej będzie przygotowana, gdy w końcu przekroczy bramę Yzordderrex. Chciała właśnie zapytać go o to miasto, gdy rozdzielił ich snop iskier wzniesiony podmuchem wiatru od strony Kaplicy.

- Wracają - stwierdziła i ruszyła w stronę pawilonu.

- Niech pani uważa - ostrzegł ją Dowd. - Nie wiadomo, czy to oni.

Kiedy dopadła drzwi budynku, aromatyczny letni wietrzyk zamarł. W środku panował półmrok, ale widziała, że na środku mozaiki stoi tylko jeden człowiek. Potykając się i rżąc, zrobił kilka kroków w stronę Judith, która rozpoznała go dopiero po dłuższej chwili. Oscar Godolphin trzymał się za rozbity, krwawiący nos.

- To drań - powiedział.

- Gdzie on jest?

- Nie żyje - odparł bez ogródek. - Musiałem to zrobić, Judith. On oszalał. Bóg jeden wie, co by powiedział albo zrobił... - Wyciągnął do niej rękę. - Pomożesz mi? Omal nie złamał mi nosa!

- Ja się nim zajmę - odezwał się władczo Dowd, który rozdzielił ich i podał Oscarowi chusteczkę. Oscar zbył go machnięciem ręki.

- Nie umrę od tego. Wracajmy do domu.

Kiedy wyszli z Kaplicy, spojrzął na stos.

- Pustkowce - wyjaśnił Dowd.

Oscar zerknął na Judith.

- Kazał ci patrzeć, jak się palą? Przepraszam. - Z wyrazem bólu na twarzy zwrócił się do Dowda: - Nie tak traktuje się damy. W przyszłości musimy bardziej się postarać.

- To znaczy?

- Judith zamieszka z nami. Prawda?

Wahała się tak krótko, że powinno jej być wstyd.

- Oczywiście.

Zadowolony Oscar odwrócił się w stronę ognia.

- Wrócisz tu jutro - polecił Dowdowi. - Rozrzuć popiół i pogrzebiesz kości.

Dostałem od Peccable'a mały modlitewnik, znajdę w nim coś stosownego.

Judith patrzyła w głąb skrytej w mroku Kaplicy, próbując sobie wyobrazić, w jaką podróż można z niej wyruszyć i jak wygląda miasto, z którego powiał tak podniecający wietrzyk. Kiedyś do niego trafi. Na razie szukając drogi straciła męża, ale z jej obecnej perspektywy strata wydawała się mało znacząca. Oscar Godolphin budził w niej emocje wyższego rzędu. Nie wiedziała jeszcze, ile będzie dla niej znaczył, ale miała nadzieję, że wkrótce go przekona, by zabrał ją ze sobą.

*

Mimo że chętnie oddawała się rozmyśleniom o cudach, które czekały na nią za zasłoną oddzielającą Piąte Dominium od reszty, nie miała szans wyobrazić sobie, jak naprawdę wygląda taka podróż. Zainspirowana słowami Dowda, wyobrażała sobie In Ovo jako rozległe pustkowienie, w którym pustkowce tkwiły jak ludzie w okopach na dnie morza, a stwory, które nigdy nie widziały słońca, pełzły ku niej, rozświetlając sobie drogę własną ohydną poświatą. Tymczasem najbardziej nawet niezwykle istoty z morskich

otchłani bladły w porównaniu z mieszkańcami In Ovo. Ich kształtów i upodobań nie opisały żadne księgi; ich gniew i złość tliły się przez setki lat.

Sceny, jakie wyobrażała sobie po drugiej stronie tego więzienia, również wyglądały w rzeczywistości zupełnie inaczej. Gdyby udała się w podróż Ekspresem Yzordderrex, nie trafiłaby do centrum letniego kurortu, lecz do zawilgoconej piwnicy, w której wszystkie półki zajmował zakazany skarb Peccable'a w postaci amuletów i skamielin. Chcąc wyjść na świeże powietrze, musiałaby wspiać się po schodach na górę i przejść przez dom. Na ulicy mogłaby uznać, że jej oczekiwania zostały przynajmniej częściowo spełnione. Powietrze było ciepłe i aromatyczne, niebo jasne i piękne. Nad głową nie świeciło jednak słońce, lecz kometa, której ogon rozświetlał całe Drugie Dominium. Gdyby Jude przyjrzała się jej przez chwilę, a potem spuściła wzrok, ujrzałaby jej odbicie w kałuży krwi. To tu zakończyła się bójka między Charliem i Oscarem i to tu, na ziemi, leżał pokonany.

Nie leżał długo. Wieść o mężczyźnie w cudzoziemskim stroju, którego porzucono w rynsztoku, rozeszła się lotem błyskawicy. Wciąż jeszcze krwawił, kiedy przyszło po niego trzech jegomościów, których nikt nigdy w tym kespacie nie widział. Sądząc po tatuażach, musieli należeć do niebytowców. Gdyby Jude stała na progu domu Peccable'a, byłaby wzruszona, widząc, jak delikatnie obchodzą się z ciałem. Uśmiechali się smutno na widok poobijanej i bezwładnie opadającej głowy, jeden z nich zapłakał. Mogłaby również zauważyć - choć niewykluczone, że w panującym na ulicy rozgardiaszu szczególnie ten uszedłby jej uwagi - że choć zabity spoczywał w ich rękach całkiem nieruchomo, miał zamknięte oczy i bezwładne ręce, które musieli złożyć mu na piersi, to ta właśnie pierś leciutko unosiła się i opadała.

Charles Estabrook, porzucony na ulicach Yzordderrex na pewną śmierć, miał szczęście. Zamiast wyzionąć ducha i stać się trupem, był po prostu półżywym przybyszem z innego świata.

ROZDZIAŁ 22

1

W miarę, jak Gentle i Pie podążali w górę, dni robiły się coraz krótsze. Potwierdzało to podejrzenie, że noce w Jokalaylau są dłuższe niż na równinach, chociaż nie mogli mieć pewności. Chronometry, jakimi dysponowali - zarost Gentle'a i organizm Pie - rozregulowały się: Gentle przestał się golić, a częstotliwość przyjmowania posiłków i wypróżnień u Pie zmieniały się wraz z wysokością. Sycili się rozrzedzonym powietrzem, które nie pobudzało apetytu, ale przynajmniej pozwalało na jakiś czas zapomnieć o fizycznych potrzebach. Naturalnie, pamiętali o tym, że posiadają jeszcze ciała. Bezcenne były pod tym względem kudłate doeki - kiedy robiły się głodne, zatrzymywały się w miejscu i za nic w świecie nie dawały się odciągnąć od znalezionej skrawka zieleni, dopóki nie zaspokoily głodu. Z początku było to trochę irytujące i jeźdźcy klęli je w żywy kamień. Czekala ich godzina nudy i beczynności. Z upływem dni nauczyli się jednak żyć w rytmie dyktowanym przez układ pokarmowy doeki. Korzystając z przymusowych przystanków, sami też coś zjadali.

Szacunki Pie odnośnie do długości podróży szybko okazały się beznadziejnie optymistyczne. Jedno tylko z jego przewidywań się sprawdzało - uciążliwość jazdy. Zanim jeszcze dotarli do wysokości, na jakiej zalegał śnieg, i jeźdźcy, i wierzchowce zaczęli wykazywać oznaki zmęczenia. Ścieżka, którą podążali, z każdą chwilą robiła się coraz mniej wyraźna. Miękka ziemia zamarzła na kamień i nie utrwały się w niej ślady ich poprzedników. Mając w perspektywie jazdę przez pola śnieżne i lodowce, dali doeki cały dzień odpoczynku, żeby ostatni raz przed przekroczeniem przełęczy najadły się do syta.

Gentle nadał swojemu zwierzęciu imię Chester - na pamiątkę Kleina, który roztaczał podobny, spokojny urok przeżuwacza. Pie jednak nie chciał chrzcic drugiego

doeki. Twierdził, że zjadanie istot, które znamy z imienia, przynosi nieszczęście, a okoliczności mogły ich zmusić do żywienia się mięsem wierzchowców, zanim znajdą się w Trzecim Dominium. Pomijając to drobne nieporozumienie, dogadywali się świetnie. Obaj świadomie unikali tematu Beatrix i nie próbowali zgadywać znaczenia wydarzeń, które tam zaszły. Zimno wkrótce zaczęło dawać im się boleśnie we znaki. Zabrane z wioski płaszcze ledwie chroniły przed wściekłymi atakami wichury i tumanami śniegu, które często ograniczały widoczność do zera. W takich chwilach Pie wyciągał kompas - jego tarcza Gentle'owi najbardziej przypominała mapę nieba - i wyznaczał kierunek dalszego marszu. Tylko raz Gentle wyraził głośno nadzieję, że mistyf wie, co robi, ale Pie zmroził go wzrokiem, na dobre zniechęcając do tego tematu.

Mimo pogarszającej się z dnia na dzień pogody (Gentle zaczynał już tęsknić za angielskim styczniem) szczęście nie opuściło ich zupełnie. Piątego dnia po przekroczeniu linii zalegania śniegu, w chwili ciszy między podmuchami wiatru, Gentle usłyszał dźwięk dzwonków. Kierując się nim, znaleźli grupę kilku mieszkańców gór, którzy opiekowali się stadem stu albo i więcej krowiaków ziemskich kóz. Zwierzaki były jednak bardziej kosmate i fioletowe, jak krokusy. Pasterze nie znali angielskiego, tylko jeden, imieniem Kuthuss, o brodzie skudłonej i fioletowej jak sierść kóz (aż Gentle zaczął się zastanawiać, do jakich mariaży dochodzi z konieczności na tym odludziu), używał paru słów, które Pie potrafił rozpoznać. A były to słowa ponure. Pasterze wcześniej niż zwykle schodzili ze stadem z gór, bo śnieg przykrył pastwiska, na których w normalnych warunkach zwierzęta pasłyby się jeszcze przez dwadzieścia dni. To jednak nie był normalny czas, co zresztą Kuthuss kilkakrotnie podkreślał. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przedtem śnieg spadł tak wcześnie i w takiej obfitości; wiatry też nigdy nie wiały tak wściekle. Odradzał dalszą podróż, która jego zdaniem równała się samobójstwu.

Pie i Gentle przedyskutowali tę kwestię. Zajechali już znacznie dalej, niż się spodziewali. Gdyby zawrócili i zeszedli poniżej linii śniegu, straciliby sporo czasu. Nikt nie wiedział, jakie potworności mogą się wydarzyć, ile wiosk zostanie zrównanych z ziemią, ile będzie ofiar.

- Pamiętasz, co mówiłem, kiedy wyjeżdżaliśmy z Beatrix? - spytał Gentle.
- Szczerze mówiąc, nie.
- Powiedziałem, że nie umrzemy. Dalej tak twierdę. Przejedziemy.

- Twój mesjanizm wcale mi się nie podoba. Ludzie pełni najlepszych chęci też umierają, Gentle. Właściwie chyba nawet szybciej niż inni.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że zostajesz tutaj?

- Powiedziałem, że pójde za tobą wszędzie, i dotrzymam słowa, ale dobre intencje na nic się nie zdadzą na mrozie.

- Ile mamy pieniędzy?

- Niewiele.

- Wystarczy, żeby kupić koźle skóry od pasterzy? I może trochę mięsa?

Rozpoczęła się skomplikowana rozmowa w trzech językach - Pie tłumaczył słowa Gentle'a na mowę zrozumiałą dla Kuthussa, który z kolei przekładał je tak, żeby zrozumieli go pozostali pasterze. Szybko dobili targu, najwidoczniej wizja gotówki podziałała na wyobraźnię ludzi gór. Zamiast jednak oddać przybyszom swoje płaszcze, dwaj z nich zabrali się do zarzynania i oprawienia czterech kóz. Ugotowanym mięsem podzieliła się cała grupa. Było tłustawe i na wpół surowe, ale Gentle i Pie nie odmówili poczęstunku. Spłukali go napojem przyrządzonym z wrzątku ze stopionego śniegu, suszonych liści i paru kropli napoju, który - według Pie - Kuthuss nazywał kozimi szczynami. Mimo wszystko postanowili go spróbować. Miał moc. Gentle wypił swoją porcję jednym haustem, jak wódkę. Nie przeszkadzało mu, że właśnie stał się amatorem koziego moczu.

Następnego dnia, zaopatrzeni w skóry, mięso i surowiec, którego wystarczyłoby na kilka garów pasterskiego napitku, a także w patelnię i dwie szklanki, pożegnali się w krótkich, niezrozumiałych słowach. Zima znów dała znać o sobie i wkrótce brnęli w zamieci. Spotkanie z pasterzami podniosło ich jednak na duchu i przez dwa i pół dnia dzielnie parli naprzód. Trzeciego dnia pod wieczór doeki Gentle'a zaczął zdradzać oznaki wyczerpania, spuścił smętnie łeb i z trudem wydeptywał sobie drogę w śniegu.

- Chyba powinien odpocząć - stwierdził Gentle.

Znaleźli niszę między dwoma wielkimi jak pagórki głazami i rozpalili ogień, żeby uwarzyć pasterskiego napoju. To właśnie on - bardziej chyba niż mięso - pozwolił im przetrwać najgorsze odcinki dotychczasowej drogi. Mimo że starali się oszczędzać surowiec, zużyli już prawie cały zapas.

Pijąc, rozmawiali o tym, co ich jeszcze czeka. Przewidywania Kuthussa się

sprawdzały. Pogoda była coraz gorsza, a szanse spotkania żywej istoty, która w razie potrzeby przysłaby z pomocą, na tej wysokości równały się zeru. Pie znów przypomniał Gentle'owi jego zapewnienia, że nie zginą, choćby przyszły zamiecie i huragany, a z gór spłynął ku nim głos samego Hapexamendiosa.

- Nadal jestem tego pewny - odparł Gentle. - Co nie przeszkadza mi się denerwować. - Przybliżył ręce do ognia. - Zostało jeszcze coś w nocniku?

- Chyba nie.

- Coś ci powiem. Kiedy będziemy tędy wracać...

Pie skrzywił się z powątpiewaniem.

- Będziemy, będziemy. Musimy wziąć od pasterzy przepis, żeby warzyć to cudo na Ziemi...

Od strony doeki dobiegło ich żałosne muczenie.

- To Chester!

Gentle poszedł sprawdzić, co się dzieje. Chester leżał na boku i ciężko dyszał. Z pyska i nozdrzy ciekła mu krew, topiąc śnieg.

- Niech cię diabli, Chester! Nie umieraj!

Pogłaskał zwierzę, które zwróciło na niego szkliste oczy, ostatni raz stęknęło i przestało oddychać.

- Właśnie straciliśmy połowę naszych środków transportu.

- Spójrz na to z innej strony. Zyskaliśmy tygodniowy zapas mięsa.

Gentle zerknął przez ramię na martwe zwierzę. Żałował, że nie posłuchał Pie i nadał doeki imię. Wysysając szpik z jego kości, będzie myślał o Kleinie.

- Ty to zrobisz czy ja? - zapytał. - Chyba ja. Skoro dałem mu imię, to muszę obdrzeć go ze skóry.

Mistyf nie oponował, zasugerował tylko, żeby drugiego wierzchowca odprowadzić kawałek dalej. Na widok oprawianego towarzysza mógłby stracić chęć do życia. Gentle odczekał, aż Pie odciągnie zaniepokojone zwierzę na bok, wziął do ręki nóż, który dostali przed wyjazdem z Beatrix, i zaczął bawić się w rzeźnika. Szybko przekonał się, że ani nóż, ani on sam nie nadają się do tej roboty. Skóra doeki była gruba, tłuszcz gumowaty, a mięso twarde. Po godzinie darcia i szarpania zdołał ściągnąć skórę z górnej połowy zadniej nogi i kawałek boku. Był cały spocony i lepki od krwi.

- Chcesz, żebym cię zastąpił? - zapytał Pie.

- Nie - odwarknął Gentle. - Dam sobie radę.

Próbował pracować dalej, chociaż osłabi i stępił nóż, ale w końcu wrócił do ogniska. Pie siedział bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w płomienie. Zirytowany porażką Gentle rzucił nóż w topniejący śnieg przy ogniu.

- Poddaję się - powiedział. - Jest twój.

Pie niechętnie sięgnął po nóż, naostrzył go na kamieniu i wziął się do pracy. Gentle nie patrzył. Krew, którą się ubrudził, napawała go odrazą, postanowił więc mimo mrozu trochę się umyć. W pobliżu ogniska znalazł miejsce, w którym ziemia nie była zdeptana, zdjął kozie futro i koszulę, i przyklęknął, żeby obmyć się śniegiem. Od razu dostał gęsiej skórki, ale ten sprawdzian ducha i ciała pozwolił mu zaspokoić jakieś dziwne pragnienie umartwienia. Kiedy wytarł krew z rąk i twarzy, zaczął wcierać lodowaty śnieg w brzuch i pierś, chociaż ich nie ubrudził. Chwilę wcześniej zelżał wiatr. Widoczne między głazami niebo było bardziej złociste niż zielone. Gentle'a nagle ogarnęła chęć znalezienia się pod nim bez zbędnego brzemienia. Wciąż rozebrany wdrapał się na głaz. Ręce mu drętwiały, a wspinaczka okazała się bardzo uciążliwa, jednak widok, jaki roztaczał się ze szczytu głazu, wynagrodził mu wszystkie trudy. Nic dziwnego, pomyślał, że Hapexamendios postanowił tutaj odpocząć. Takie piękno musiało urzekać nawet bogów. Szczyty Jokalaylau ciągnęły się przed nim w nieskończonej procesji, białe zbocza lśniły złotawą poświatą spływającą z nieba, którego próbowały osiągnąć. Większej ciszy nie sposób było sobie wyobrazić.

Punkt widokowy posłużył zarówno celom estetycznym, jak i praktycznym. Wysoką Przełęcz było widać jak na dłoni. Dalej na prawo rozciągała się sceneria tak niezwykła, że Gentle zawołał mistyfa, odrywając go od pracy. Kilometr, może dwa od miejsca, w którym się znajdowali, biegł połyskujący lodowiec. Ale to nie bezmiar lodu przyciągnął oko Gentle'a, lecz widoczne w nim ciemne kształty.

- Chcesz iść sprawdzić, co to jest? - spytał Pie, obmywając śniegiem ręce z krwi.

- Chyba należałoby. Jeżeli podążamy śladami Niewidzianego, powinniśmy próbować zobaczyć to, co on widział.

- I do czego doprowadził.

Zeszli do ogniska. Gentle włożył koszulę i futro. Nagrzały się, leżąc blisko

plamieni, i przyjemnie było je mieć na sobie, ale śmierdziały jego potem i krwią zwierząt. Gentle trochę żałował, że nie może chodzić nagi.

- Oprawiłeś go? - spytał, kiedy ruszyli.

Szli pieszo, żeby nie trwonić energii ostatniego wierzchowca, jaki im został.

- Zrobiłem, co mogłem, ale wyszło dość topornie. Żaden ze mnie rzeźnik.

- A kucharz?

- Też nieszczególny. Czemu pytasz?

- Tak sobie. Ostatnio dużo myślę o jedzeniu. Widzisz, po tej podróży może mi się do końca życia odechcieć mięsa. Ten łój! Te chrząstki! Na samą myśl niedobrze mi się robi.

- Lubisz słodczy, co?

- Nie da się ukryć. Dałbym się pokroić za talerz ptysiów polanych kremem czekoladowym. - Gentle parsknął śmiechem. - To ci dopiero! Przed nami rozciągają się przepiękne Jokalaylau, a ja rozczulam się nad ptysiami. Czy w Yzordderrex znają czekoladę? - spytał poważniejszym tonem.

- Teraz już na pewno. Mój lud odżywia się dość zwyczajnie, więc nie zdążyłem uzależnić się od cukru. Co innego ryby...

- Ryby? Nie przepadam za rybami.

- W Yzordderrex je polubisz. Niedaleko portu są takie restauracje... - Mistyf uśmiechnął się z rozmarzeniem. - Upodabnam się do ciebie. Chyba nie mam ochoty na mięso doeki.

- Mów dalej, chcę zobaczyć, jak ci ślinka cieknie.

- Niedaleko portu są restauracje, gdzie ryby jeszcze żywe trafiają do kuchni.

- To zachęta?

- Nie ma nic lepszego od świeżej ryby. Po dobrym połowie gość ma do wyboru czterdzieści, pięćdziesiąt dań, od maleńkich jep po squeffahy wielkie jak ja sam. Albo i większe.

- Są tam jakieś ryby, które znam?

- Kilka gatunków na pewno, ale chyba nie po to przebyłeś taki szmat drogi, żeby zjeść stek z dorsza, jeśli możesz dostać squeffaha? Mam lepszy pomysł. Jest takie danie, które będę musiał dla ciebie zamówić. Rybka nazywa się ugichee, niewiele większa od

jepy. Żyje w żołądku innych ryb.

- Samobójczyni?

- To jeszcze nie wszystko. Tę drugą, większą rybę często zjada w całości coliaic.

To rodzaj śledzia, paskudny jak noc, ale jego mięso dosłownie rozpływa się w ustach.

Przy odrobinie szczęścia dostaniesz trzy sztuki zapieczone razem, tak jak je złapano...

- Jedną w drugiej?

- Z głową, ogonem i całą resztą.

- Obrzydlistwo.

- A jeżeli będziesz miał wyjątkowe szczęście...

- Pie!

- ...ugichee okaże się samicą i po rozcięciu trzech warstw mięsa...

- ...będę się mógł dobrać do kawioru.

- Zgadłeś. Czy to nie kusząca perspektywa?

- Wolę mus czekoladowy i lody.

- Jak to możliwe, że się nie roztyłeś?

- Vanessa mówiła, że mam podniebienie dziecka, libido nastolatka, a... No, reszty chyba sam się domyślasz. Uwielbiam się bzykać. W każdym razie kiedyś uwielbiałem.

Doszli tymczasem niemal na krawędź lodowca. Rozmowy o rybach i czekoladzie ustąpiły miejsca ponuremu milczeniu, kiedy z bliska zobaczyli zatopione w lodzie ludzkie ciała. Obok wrosnięte w lód, tkwiły odłamki błękitnego kamienia, olbrzymie misy z kutego metalu, zakrwawione resztki ubrań. Gentle wszedł na lód i ślizgając się, dotarł do miejsca dokładnie ponad ciałami. Niektóre tkwiły głęboko, ale te bliższe powierzchni lodu, z podniesionymi głowami i rozpaczliwie rozrzuconymi rękoma, były aż nazbyt dobrze widoczne. Wszystkie zmarłe istoty były kobietami - najmłodsza ledwie wyrosła z wieku dziecięcego, najstarsza była nagą wiedźmą o wielu piersiach. Oczy miała otwarte, lód utrwalił jej spojrzenie na tysiące lat. Albo gdzieś w pobliżu, albo nieco wyżej w górach, musiało dojść do masakry, której dowody zatopiono w rzece, gdy jeszcze swobodnie płynęła. Później zamarzła, więżąc ofiary i to, co miały przy sobie.

- Kim one są? - dziwił się Gentle. Ciała zachowały się tak doskonale, że czas przeszły wydawał mu się nie na miejscu. - Masz jakiś pomysł?

- W drodze przez Dominia Niewidziany obalał wszystkie prymitywne religie.

Większość z nich czciła boginie; wyrocznie i najzagorzalsi wierni byli płci żeńskiej.

- Myślisz, że to robota Hapexamendiosa?

- Jeśli nie Jego osobiście, to Jego wysłanników. Jego Sprawiedliwych. Chociaż... podobno przybył tu sam, więc może to jednak Jego własne dzieło.

Gentle spojrział na zatopione w lodzie dziecko.

- Wobec tego jest mordercą. Nie lepszym niż ty czy ja.

- Na twoim miejscu nie mówiłbym tego głośno.

- Niby czemu? Tu go przecież nie ma.

- Jeżeli rzeczywiście On to zrobił, mógł zostawić kogoś na straży.

Gentle rozejrzał się dookoła. Powietrze było krystalicznie czyste, ale ani na polach śnieżnych w dole, ani wśród szczytów nic się nie poruszało.

- Nikogo nie widzę.

- Tacy, których nie widać, są najgorsi - odparł Pie. - Wracamy do ogniska?

2

Byli przygnębieni i droga powrotna zajęła im więcej czasu. Zanim wrócili do bezpiecznego schronienia w skalnej niszy, gdzie jedyny żywy doeki powitał ich radosnym pochrząkiwaniem, złocista poświata zaczęła spływać z nieba. Nadciągał zmierzch. Chwilę dyskutowali o tym, czy wyruszyć na noc, ale porzucili ten pomysł. Wypogodziło się wprawdzie, lecz z doświadczenia wiedzieli, że warunki atmosferyczne są na tej wysokości nieprzewidywalne. Gdyby w nocy zaskoczyła ich burza śnieżna, na pewno zgubiliby drogę. Teraz, gdy tak niewiele zostało im do Wysokiej Przełęczy, za którą podróż miała stać się znacznie łatwiejsza, nie chcieli ryzykować bez potrzeby.

Zebrane jeszcze w lesie drewno skończyło się, musieli dorzucić do ognia uprząż i siodło padłego wierzchowca. Ognisko paliło się niechętnie, wydzielało chmury gryzącego dymu, ale było lepsze niż nic. Ugotowali trochę mięsa. Gentle zauważył, że ma tylko niewielkie opory przed zjedzeniem zwierzęcia, któremu nadał imię. Zaparzył odrobinę napoju pasterzy i wrócili przy nim do rozmowy o kobietach zamrożonych w lodzie.

- Po co tak potężny bóg jak Hapexamendios miałby zabijać bezbronne kobiety? -

dziwił się Gentle.

- A kto mówi, że były bezbronne? Przypuszczam, że miały sporą moc. Wyrocznie uprzedziły je, co się wydarzy, więc zdążyły przygotować wojsko...

- Wojsko? Armię kobiet?

- Oczywiście, dziesiątki tysięcy żołnerek. Na północ od Postnej Drogi, gdzie mniej więcej co pięćdziesiąt lat drży ziemia, odsłonił się kiedyś jeden z ich zbiorowych grobów.

- Wszystkie zginęły? Żołnierki, wyrocznie...

- Jeśli nie, to musiały się ukrywać, i to tak skutecznie, że po paru pokoleniach zapomniały, kim są. Nie ma się czemu dziwić, tak się zdarza.

- Ile bogiń pokonał jeden bóg? Dziesięć? Dwadzieścia?

- Nieprzeliczone mnóstwo.

- Jak to zrobił?

- Był jednością i prostotą. Ich było wiele i różnych.

- W jedności siła...

- Przynajmniej na krótką metę. Kto ci to powiedział?

- Próbuję sobie przypomnieć... Ktoś, kogo nie lubiłem. Może Klein.

- Mniejsza z tym, najważniejsze, że miał rację. Hapexamendios głosił w dominiach kuszącą ideę: gdziekolwiek jesteś i cokolwiek się dzieje, wystarczy wypowiedzieć jedno imię, odmówić jedną modlitwę, wznieść jeden ołtarz, a On otoczy cię opieką. Sprowadził też istoty, które miały utrzymywać zaprowadzony przez Niego porządek. Was.

- Te kobiety w łodzi wyglądały całkiem jak ludzie.

- Ja też tak wyglądam, a jednak nie jestem człowiekiem.

- To prawda... Masz bardzo niejednorodną naturę, prawda?

- Kiedyś miałem...

- Co stawia cię po stronie bogiń, prawda? - szepnął Gentle.

Mistyf przytknął palec do ust.

Gentle bezgłośnie poruszył wargami:

- To herezja.

Zapadła ciemna noc. Obaj wpatrywali się w płomienie, które przygasały coraz

bardziej, pochłaniając resztki siodła.

- Może spalimy jakieś futro - podsunął Gentle.

- Nie, niech dogasa. Patrz.

- Na co?

- Na co chcesz.

- Mam tylko ciebie pod ręką.

- To patrz na mnie - powiedział Pie.

Gentle posłuchał go. Trudy ostatnich dni nie odbiły się specjalnie na mistyfie. Nie miał zarostu, który mąciłby symetrię jego rysów, od skąpej diety nie zapadły mu się oczy i policzki. Obserwując tę twarz, Gentle miał wrażenie, że ogląda ulubiony obraz w muzeum. Była idealnie spokojna, piękna i niewzruszona, lecz w przeciwieństwie do obrazu zdolna do nieskończonych przemian. Upłynęły miesiące od dnia, gdy pierwszy raz był świadkiem tego zjawiska, teraz jednak, kiedy płomienie pełgały coraz słabiej i cienie się pogłębiały, zdał sobie sprawę, że taka sama chwila jest blisko. Symetria rozplynęła się w nagłym błysku ogniska, nieruchome rysy drgnęły.

- Chcę patrzeć... - mruknął Gentle.

- Zatem patrz.

- Ale ogień gaśnie...

- Nie potrzebujemy go, żeby widzieć się nawzajem - odparł szeptem mistyf. -

Uważaj.

Gentle skupił się, nie odrywając wzroku od twarzy Pie. Wpatrywał się w nią z takim natężeniem, że oczy go rozbolały, ale coraz trudniej przychodziło mu odpierać mrok.

- Przestań patrzeć... - powiedział Pie. Jego głos zdawał się dobiegać z umierających płomieni. - Przestań patrzeć i zobacz.

Gentle próbował doszukać się sensu w tych słowach, ale poddawały się analizie nie bardziej niż ciemność, która go otaczała. Zawodziły go dwa zmysły jednocześnie - jeden fizyczny, drugi językowy, dwa sposoby uchwycenia świata, który mu się wymykał. Miał wrażenie, że zaraz umrze. Ogarnął go paniczny lęk, taki sam, jak czasem, kiedy budził się w środku nocy we własnym ciele i własnym łóżku, i ani jednego, ani drugiego nie poznawał. Jego szkielet zaciskał się jak klatka, krew w żyłach gęstniała jak owsianka.

Jedynie, czego był pewien, to że roztapia się w ciemności. W takich chwilach włączał wszystkie światła w domu. To przynosiło ulgę. Tu jednak nie było lamp - tylko ciała, które stawały się coraz zimniejsze, gdy ogień dogasał.

- Pomóż mi - powiedział Gentle.

Mistyf milczał.

- Jesteś tam, Pie? Boję się. Dotknij mnie, proszę.

Mistyf ani drgnął. Gentle wyciągnął rękę w jego kierunku. Przypomniawszy mu się Taylor. Leżał na poduszce, z której - o czym obaj wiedzieli - nie miał się już podnieść, i prosił Gentle'a, żeby wziął go za rękę. Strach zmienił się w smutek, w żal za Taylorem, za Clemem, za wszystkimi duszami, które zostały oddzielone od bliskich przez z natury niedoskonałe zmysły. Za sobą samym. Chciał jak dziecko potwierdzonej dotykem świadomości, że ktoś przy nim jest. Wiedział jednak, że to nie jest żadne rozwiązanie.

Mógł znaleźć w ciemności mistyfa, ale tak samo jak nie był w stanie odzyskać zmysłów, które już stracił, nie mógł również na wieki zatrzymać go przy sobie. Nerwy ulegały rozkładowi, palce ześlizgiwały się z palców. Zdając sobie sprawę, że nie znajdzie w ten sposób pociechy, cofnął rękę.

- Kocham cię - powiedział.

A może tylko tak pomyślał? Nie sformułował sylab tych słów, lecz samą ideę, jak poświęcić, którą zapamiętał z pierwszej przemiany Pie. Wiedział już, że blask mistyfa nie rozświetlał bezgwiazdnej nocy, lecz ciemność panującą w jego umyśle. Dostrzegł to nie dlatego, że otworzył oczy, lecz dzięki bliskości istoty, którą kochał i która jego kochała.

Uwolnił to uczucie i skierował je ku Pie, chociaż wątpił, by mogło swobodnie płynąć. Przestrzeń - tak jak i czas - należała do innej opowieści, do tragedii odosobnienia, które mieli już za sobą. Odarty ze zmysłów i ich wymagań, jakby znów znalazł się w łonie matki, poczuł ulgę mistyfa. Wiedział, że Pie go rozumie. Roztopienie się w mroku, którego tak się bał, objawiło mu się nagle jako źródło rozkoszy.

Podmuch wiatru wdarł się między głązy i na sekundę wzniecił z żaru płomień. Jego blask padł na twarz mistyfa i jej widok znów cofnął Gentle'a do czasów sprzed narodzin. Nie był to przykry powrót. Miejsce, które obaj znaleźli, istniało poza czasem i nie podlegało rozkładowi. Twarz Pie była piękna mimo swej kruchości. A może właśnie dzięki niej?

- Powinniśmy się przespać - stwierdził Gentle. - Jutro czeka nas daleka droga.

Następny podmuch przyniósł lodowate płatki śniegu, które osiadły mu na twarzy. Naciągnął na głowę kaptur i wstał zobaczyć, jak miewa się doeki. Zwierzę wygrzebało sobie w śniegu płytki dołek i zasnęło. Kiedy Gentle wrócił do ognia, który znalazł sobie jakiś łatwopalny strzęp i łączywie go pożerał, mistyf też już spał. Głowę miał otuloną kapturem. Chociaż wiatr jęczał złowieszczo wśród skał, gotowy pogrzebać ich pod śniegiem, chociaż doliną zawładnęła śmierć, a przed nimi leżało słynące z okrucieństwa miasto, Gentle był szczęśliwy. Położył się na zmarzniętej ziemi obok mistyfa. Tuż przed snem przyszedł mu jeszcze na myśl Taylor, umierający na poduszce, która zmieniała się w śnieżne pole. Jego twarz robiła się coraz bardziej przezroczysta, aż w końcu rozplynęła się całkowicie, tak że kiedy Gentle ześliznął się w otchłań snu, zamiast ciemności otuliła go biel łoża śmierci. Zewsząd otaczał go świeży śnieg.

ROZDZIAŁ 23

1

Gentle śnił, że wiatr się wzmaga i zwiewa świeży śnieg z wierzchołków gór. Wstał jednak z względnie przytulnego legowiska przy wygasłym ogniu, zdjął futro i koszulę, zzuł buty, ściągnął skarpetki, spodnie i bieliznę. Nago przecisnął się wąską szczeliną między głazami. Minął śpiącego doeki i wyszedł na otwartą przestrzeń. Nawet we śnie wiatr przenikał go do szpiku kości, ale Gentle nie miał wyjścia - musiał pokornie udać się na lodowiec, z nagimi łędźwiami i grzbietem, żeby okazać należyty szacunek tym, którzy cierpieli w lodzie. Od wieków trwali w bólu, nie pomszczeni. Przy ich mękach jego niewygody nic nie znaczyły.

Niebo było dostatecznie jasne, żeby bez trudu znalazł drogę, ale pustkowie zdawało się ciągnąć bez końca, a wiatr nasilał się coraz bardziej, kilka razy nawet przewrócił go w zaspę. Wszystkie mięśnie tężały z zimna, oddech stał się krótki i urywany, wydobywał się spomiędzy odrętwiałych warg pod postacią małych, zmrożonych obłoczków. Gentle miał ochotę płakać z bólu, ale łzy zamarzały mu na rzęsach i nie chciały płynąć.

Dwa razy zatrzymał się, wyczuwając, że burza niesie coś więcej niż śnieg. Przypomniawszy sobie słowa Pie o wysłannikach Hapexamendiosa, którzy mieli strzec miejsca zbrodni, i choć wiedział, że śni, bał się. Jeżeli te istoty naprawdę miały nie dopuszczać świadków do lodowca, nie ograniczą się do odpędzenia go na jawie. Dopadną go także we śnie. Ci, którzy tak jak on przychodzą, by okazać szacunek zabitym, muszą szczególnie je złościć. Rozglądał się, próbując przebić wzrokiem śnieg. Raz nawet wydawało mu się, że dostrzega nad głową kształt niewidzialnej istoty, wokół której śnieg się rozstępował. Przypominała węgorza z kulistym łbem, ale zniknęła tak szybko, że zaczął wątpić, czy w ogóle ją widział. Całą siłą woli zmuszał mięśnie do wysiłku, aż

stanął na skraju lodowca. Otarł śnieg z czoła i policzków, zszedł na lód. Kobiety patrzyły na niego tak samo jak wtedy, gdy znalazł się tutaj z Pie'oh'pahem, ale teraz stał nad nimi nagi i drżący, ze skurczoną z zimna męskością. Jego twarz i wargi wyrażały pytanie, na które znał tylko część odpowiedzi. Jeżeli zbrodni rzeczywiście dopuścił się sam Hapexamendios, który dysponował przecież wielkim niszczycielskim potencjałem, dlaczego nie usunął wszelkiego śladu po swoich ofiarach? Czy dlatego że były kobietami, i to obdarzonymi mocą? Czy to możliwe, że zaszkodził im, ile mógł - zdruzgotał ich ołtarze i zburzył świątynie - ale ich samych unicestwić nie zdołał? A jeśli tak, to czy lodowiec stał się dla nich grobowcem, czy tylko więzieniem?

Uklęknął i przytknął dłonie do lodu. Tym razem z całą pewnością usłyszał głos. Wiatr przyniósł chrapliwy skowyt. Niewidzialni strażnicy dość już mieli jego sennej postaci. Zrozumieli, do czego zmierza, i zaczęli zataczać w powietrzu koła, szykując się do ataku. Dmuchnął w dłoń i zacisnął pięść, zanim powietrze się z niej wydostało. Wziął zamach i uderzył w lód, w tym samym momencie otwierając dłoń.

Uwolniona pneuma zadudniła niczym grzmot. Jeszcze nie umilkło echo i ziemia nie przestała drżeć, a Gentle już wymierzył w lód drugi oddech, zaraz po nim dwa dalsze. Pneumy były w twardą jak stal powierzchnię z taką mocą, że gdyby nie amortyzowały uderzenia, potrzaskałby sobie wszystkie kości od nadgarstka po czubki palców. Jego wysiłki przyniosły pewien skutek. Z miejsca uderzenia rozchodziły się promieniście cienkie jak włos szczeliny.

Zachęcony, wymierzał kolejne ciosy w lodowiec, gdy wtem coś złapało go za włosy i wykręciło mu głowę do tyłu. Drugi chwyt unieruchomił jego podniesione ramię. Zanim Gentle został podniesiony w powietrze, poczuł, jak lód pęka mu pod stopami. Szarpał się i próbował wyrwać - gdyby dał się ponieść zbyt wysoko, zginąłby niechybnie, bo napastnik albo rozszarpałby go wysoko w chmurach, albo po prostu upuścił na ziemię.

Uchwyt na włosach był słabszy, toteż Gentle, wijąc się rozpaczliwie, zdołał się z niego uwolnić, chociaż przy okazji krew pociekła mu po twarzy. Podniósł wzrok i wtedy zobaczył swoich prześladowców. Było ich dwóch, każdy miał szczątkowy łeb skąpo obrośnięty mięśniami, długi na dwa metry kręgosłup, z którego wyrastały niezliczone żebra, i dwanaście pozbawionych kości kończyn. Tylko w ruchu tych stworów, w płynnych, węzowych splotach ciał było coś pięknego.

Gentle wyciągnął rękę i złapał bliższy z dwóch łbów. Brakowało mu wprawdzie konkretnych rysów twarzy, ale wyglądał delikatnie, a Gentle'owi dłoń wibrowała jeszcze echem ostatniej pneumy. Wbił palce w ciało bestii, która zaczęła się wić z bólu. Oplotła ciało towarzysza, szukając w nim oparcia, i na oślep młóciła kończynami. Gentle szarpnął się mocno, uwolnił i poleciał w dół. Spadł z wysokości niespełna dwóch metrów, ale boleśnie uderzył w twarde, potrzaskany lodowiec. Nie mógł złapać tchu, a co dopiero uciekać. Strażnicy rzucili się na niego. Wiedział, że to już koniec - czy we śnie, czy na jawie, te stwory umiały zadać ostateczną śmierć.

Zanim jednak dopadły go, oślepiły i wykastrowały, lodowiec zadygotał i wypiętrzył się z łoskotem. Gentle poleciał w śnieg. Obsypały go ostre odłamki, ale mrużąc oczy, ujrzał, jak odziane w lód kobiety powstają z grobu. Wstrząsy się wzmogły, a grzmot towarzyszący uwolnieniu kobiet niósł się echem daleko wśród gór.

Gentle uciekł co sił w nogach.

Burza dyskretnie osłoniła śniegiem scenę zmartwychwstania. Nie wiedział więc, czy dzieło, które zapoczątkował, dokonało się. Jedno było pewne - wysłannicy Hapexamendiosa go nie ścigali, co stanowiło jednak wątplą pociechę. Był mocno poobijany, a do obozu miał spory szmat drogi. Nie mógł długo biec, nogi mu się plątały, potykał się i zataczał, znacząc swój ślad krwią. Doszedł do wniosku, że czas przestać śnić i otworzyć oczy. Chciał przewrócić się na drugi bok, przytulić Pie'oh'paha, ucałować i podzielić się z nim tą wizją. Miał jednak zbyt wielki zamęt w głowie, żeby udało mu się uchwycić mocno jawy i przebudzić. Bał się nawet położyć w śniegu, by śmierć we śnie nie uprzedziła poranka i przebudzenia. Brnął naprzód, słabnąc z każdym krokiem, i starał się nie myśleć o tym, że mógł zabłądzić w drodze do obozowiska.

Spuścił wzrok i patrzył na swoje stopy, gdy usłyszał krzyk. Odruchowo zadarł głowę, szukając w zamieci stworów Niewidzianego, ale zanim spojrział pionowo w górę, dostrzegł ruch z lewej strony, na ziemi. Mająca w śnieżycy postać była kudłata i zakapturzona, ale rozkładała przyjaźnie ręce. Skręcił i ruszył prosto na spotkanie mistyfa. Pie poruszał się szybciej, podszedł, zrzucił na niego z ramion kozią skórę, pozwalając zatopić się w jej ciepłe. Gentle nie czuł tego ciepła, w ogóle poza ogromną ulgą mało co czuł. Niesiony przez mistyfa, zatracił wszelkie świadome myśli i resztę wędrówki zapamiętał jako rozmazaną chmurę śniegu. Dobiegał z niej chwilami głos Pie, który

zapewniał go, że są już blisko.

*

- Nie śpię? - Otworzył oczy i usiadł, chwytając się płaszcza mistyfa. - Czy ja nie śpię?

- Nie.

- Dzięki Bogu! Dzięki Bogu. Bałem się, że zamrznę na śmierć.

Opadł na posłanie. Na twarzy i całym ciele czuł ciepło podsycanego zwierzęcą skórą ogniska. Chwilę trwało, zanim zdał sobie sprawę, co to oznacza. Usiadł i stwierdził, że jest nagi. Nagi i poraniony.

- Dalej śpię! Cholera jasna! Wcale się nie obudziłem!

Pie zdjął z ognia garnek i nalał pasterskiego naparu do kubka.

- To ci się wcale nie przyśniło - rzekł, podając kubek Gentrowi. - Poszedłeś na lodowiec i ledwie udało ci się wrócić.

Gentle wziął kubek w zakrwawione dłonie.

- Musiałem chyba oszaleć. Myślałem: to mi się tylko śni. A potem zacząłem się rozbierać... Po co, do ciężkiej cholery?

Pamiętał, jak brnąc przez zasy, dotarł do lodowca. Pamiętał też ból i odłamki lodu, ale reszta wspomnień zalegała tak głęboko, że nie potrafił ich przywołać. Pie wyczytał to z jego oczu.

- Nie próbuj sobie teraz nic przypominać - powiedział. - We właściwym czasie wspomnienia same wrócą, a jak będziesz za bardzo naciskał, serce ci pęknie. Powinieneś się przespać.

- Nie mam ochoty. To zbyt podobne do umierania.

- Będę przy tobie - zapewnił Pie. - Twoje ciało potrzebuje odpoczynku. Pozwól mu o siebie zadbać.

Mistyf rozgrzał nad ogniem koszulę Gentle'a. Teraz ostrożnie pomógł mu ją włożyć. Gentle czuł, jak sztywnieją mu stawy, ale bez pomocy Pie wciągnął spodnie, chociaż nogi miał pokaleczone i pokryte siniakami.

- Nie wiem, co tam nawyrabiałem, ale sam na pewno nieźle sobie dowaliłem - stwierdził.

- Szybko zdrowiejesz - zauważył Pie. Miał rację, chociaż Gentle nie przypominał

sobie, żeby dzielił się z nim tą informacją. - Idź spać. Obudzę cię, jak zrobi się jasno.

Gentle oparł głowę na stosiku skór, które Pie przygotował mu zamiast poduszki, i pozwolił przykryć się futrem.

- Śnij o snach. - Pie pogłaskał go po twarzy. - I zbudź się w jednym kawałku.

2

Gentle'owi się wydawało, że ledwie zasnął, a Pie od razu go obudził. Widoczne w szczelinie między skałami niebo było jeszcze ciemne, ale purpurowa czerń nocy w Jokalaylau ustąpiła przed szarym półmrokiem śnieżnych chmur. Gentle usiadł. Był wyczerpany, bolały go wszystkie kości.

- Dałbym się pokroić za filiżankę kawy - mruknął. Postanowił się nie przeciągać, żeby oszczędzić sobie bólu. - I ciepłego croissanta z czekoladą.

- Jeżeli nie mają ich w Yzordderrex, wymyślimy je - obiecał Pie.

- Zaparzyłeś coś?

- Nie ma już czym palić.

- Jaka pogoda?

- Nie pytaj.

- Aż tak źle?

- Powinniśmy ruszać. Im więcej napada śniegu, tym trudniej będzie znaleźć przełęcz.

Obudzili doeki, który głośno dał wyraz swemu niezadowoleniu z faktu, że na śniadanie zamiast siana dostanie kilka zachęcających słów. Załadowali mu na grzbiet mięso, które Pie przyrządził poprzedniego dnia, i wyszli z kryjówki między głazami prosto w śnieżny bezmiar. Pie upierał się, żeby wyczerpany Gentle dosiadł wierzchowca, ale trafił mu do przekonania argument, że mogą go jeszcze obaj potrzebować, gdyby wpadli w gorsze tarapaty. Należało oszczędzać zwierzaka na czarną godzinę. Wkrótce Gentle zaczął się potykać i zapadać w śniegu po pas. Sen trochę go wzmocnił, ale trudy podróży przerastały.

- Wsiadasz - zdecydował Pie.

Tym razem nie musiał tego dwa razy powtarzać. Gentle wgramolił się na doeki tak osłabiony, że z trudem utrzymywał równowagę w siodle, a po którymś z kolei gwałtownym podmuchu przylgnął do szyi wierzchowca. Od tego momentu rzadko podnosił głowę.

- Nie powinniśmy już być na przełęczy? - wymamrotał za którymś razem, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz mistyfa. Zrozumiał, że zabłądzili.

Wyprostował się z wysiłkiem. Zmrużył oczy, żeby osłonić je przed zacinającym śniegiem, i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Dookoła jak okiem sięgnąć rozciągała się biel, tylko on, doeki i Pie tworzyli ciemniejsze plamy. Nawet oni coraz bardziej upodabniali się do otoczenia, gdyż śnieg oblepiał futra. Do tej pory, mimo przeciwności losu, ani razu nie pomyślał o tym, że może im się nie udać; sam się nawrócił na ewangelię własnej niezniszczalności. Teraz jednak coraz częściej przychodziło mu do głowy, że się oszukuje. Biały świat wyszła z nich wszelkie barwy i dosięgnie bieli ich kości.

Wychylił się, żeby złapać Pie za ramię, ale źle ocenił odległość i spadł z siodła. Pod doeki ugięły się nogi i gdyby nie refleks Pie, Gentle zostałby zmiażdżony jego ciężarem. Odrzucił na plecy kaptur, odgarnął śnieg z karku i wstał. Pie posłał mu udręczone spojrzenie.

- Myślałem, że dobrze idziemy... - mruknął.

- Oczywiście.

- Jednak jakimś cudem minęliśmy przełęcz. Idziemy teraz pod górę, Gentle, i nie mam zielonego pojęcia, gdzie, do ciężkiej cholery, jesteśmy.

- W tarapatach. W dodatku zmęczenie nie pozwala nam rozsądnie myśleć. Musimy odpocząć.

- Gdzie?

- Tutaj. Zameć nie może trwać wiecznie. W chmurach jest ograniczony zapas śniegu, którego większość już spadła, prawda? Prawda?! Jeżeli przetrzymamy śnieżycę i zobaczymy, gdzie jesteśmy...

- A jeśli przez ten czas znów zrobi się ciemno? Zamarzniemy, przyjacielu.

- Jakie mamy inne wyjście? Idąc dalej, zameczymy doeki, a przy okazji samych siebie. W tych warunkach możemy w każdej chwili spaść w jakąś przepaść, natomiast

jeśli zostaniemy tu, w tym miejscu, razem... Może nam się uda.

- Wydawało mi się, że wiem, gdzie iść.

- Może miałaś rację i kiedy niebo się przetrze, okaże się, że jesteśmy za przełęczą.

- Gentle oparł dłonie na ramionach mistyfa. Poglaskał go po karku. - Nie mamy wyboru - powiedział wolno i wyraźnie.

Pie skinął głową i razem schronili się za wątpliwą zasłoną, jaką stanowił doeki. Zwierzę oddychało jeszcze, ale podejrzewali, że niewiele życia mu zostało. Co zrobią, gdy doeki padnie, a burza nie zelżeje? - myślał Gentle. Jeżeli śmierć zajrzy im w oczy, najlepiej byłoby wspólnie stawić jej czoło. Podciąłoby sobie żyły i razem się wykrawili, zamiast zamarzać powoli i do końca udawać, że jeszcze mogą wyjść z tego cało. Miał nawet ochotę powiedzieć o tym głośno, dopóki starczało mu sił i koncentracji, ale kiedy odwrócił się w stronę mistyfa, usłyszał w ryku wiatru głos, który kazał mu wstać. Podniósł się i byłby upadł z powrotem, obalony podmuchem wichury, gdyby Pie nie wstał razem z nim i go nie podtrzymał. Nie zobaczyłby wtedy majaczących w zamieci sylwetek.

Pie nachylił się do niego.

- Jak się stamtąd wydostały, do cholery?

Kobiety stały sto metrów przed nimi. Stopami dotykały śniegu, ale nie zostawiały na nim śladów. Były opatulone szatami wydobytymi z lodu, które wydymały się wokół nich, targane wiatrem. Niektóre trzymały w rękach skarby, z którymi uwięziono je w lodowcu: fragmenty świątyni, części arki, odłamki ołtarza. Dziewczynka, której widok tak poruszył Gentle'a, niosła wykutą w błękitnym kamieniu głowę bogini. Rzeźba była bardzo zniszczona, miała popękane policzki, brakowało jej oka i kawałka nosa, ale mimo to lśniła delikatną poświatą.

- Czego one chcą? - spytał Gentle.

- Może ciebie? - podsunął Pie.

Kobieta stojąca najbliżej, której długie, szarpane wicherą włosy stały dęba, skinęła ręką.

- Chyba obaj powinniśmy do niej podejść - zasugerował Gentle.

- Na to wygląda. - Pie ani drgnął.

- No to na co czekamy?

- Myślałem, że są martwe - przyznał mistyf.

- Może były.

- Mamy kierować się wskazówkami otrzymanymi od widm? To chyba niezbyt mądre.

- Same nas znalazły, Pie.

Kobieta odwróciła się powoli na palcach, niczym mechaniczna Madonna, którą Gentle dostał kiedyś w prezencie od Clema. Figurka kręciła się, a pozytywka wygrywała „Ave Maria”.

- Jeśli się nie pośpieszymy, stracimy je z oczu. O co ci chodzi, Pie? Rozmawiałeś już z duchami.

- Ale nie z takimi. Nie wszystkie boginie miały matczyną, zdolną do wybaczenia naturę. Ich rytuały też nie nadawałyby się dla dzieci. Boginie bywały okrutne. Wierne składały im mężczyźni w ofierze.

- Myślisz, że po to właśnie jesteśmy im potrzebni?

- To nie jest wykluczone.

- Mamy więc do wyboru przyjąć tę możliwość lub zostać tu na pewną śmierć.

- Decyzja należy do ciebie.

- Nie, tę podejmiemy wspólnie. Możesz oddać jeden głos z dwóch i bierzesz na siebie połowę odpowiedzialności za wynik głosowania.

- A ty co byś chciał zrobić?

- Znowu to samo... Chociaż raz sam się na coś zdecyduj!

Pie spojrział na znikające w zamieci kobiety. Przeniósł wzrok na Gentle'a, na doekiego, znów na Gentle'a.

- Słyszałem, że one jedzą męskie jądra.

- No to czym się martwisz?

- Dobrze! - burknął mistyf. - Chodźmy za nimi.

- Decyzja zapadła jednogłośnie.

Pie próbował postawić doeki na nogi. Zwierzę nie miało ochoty się ruszać, ale mistyf w trudnych chwilach potrafił soczyście zakląć i nie żałował mu teraz ostrych słów.

- Pospiesz się, bo je zgubimy! - ponaglił go Gentle.

Zwierzę wstało wreszcie i Pie, ciągnąc je za uzdę, ruszył w ślad za Gentle'em,

który brnął przez śnieg i z trudem nadążał za przewodniczkami. Chwilami zupełnie znikają mu z oczu, ale widział, że ta, która na nich kiwała, odwraca się od czasu do czasu. Nie chciała, żeby znów się zgubili. Wreszcie z zawiei wyłonił się cel ich wędrówki - skalna ściana, szara i stroma, której szczyt ginął we mgle.

- Jeżeli myśłą, że wleziemy na górę, to niech jeszcze raz się zastanowią! - zawołał Pie, przekrzykując zawrozenie wiatru.

- Są drzwi! - odrzeknęła przez ramię Gentle. - Widzisz?

Słowo „drzwi” bardzo pochlebiało poszczerbionej szczelinie, która jak czarna błyskawica wcinąa się w ścianę urwiska. Jednak obiecywała przynajmniej jakieś schronienie.

- Widzisz, Pie? - Gentle odwrócił się do tyłu.

- Widzę, ale kobiety gdzieś zniknęły.

Faktycznie, albo weszły w szczelinę, albo pofrunęły do nieba. W każdym razie zniknęły w mgnieniu oka.

- To widma - stwierdził zaniepokojony Pie.

- Jeśli nawet, co z tego? Wskazały nam kryjówkę.

Gentle wziął od Pie uzdę i zaczął przemawiać do zwierzęcia:

- Widzisz tę dziurę w ścianie? W środku będzie ciepło. Pamiętaj, co to znaczy?

Śnieg padał coraz gęściej, gdy pokonywali ostatnie kilkaset metrów dzielących ich od skały; zalegał sięgającymi do pasa zaspami, ale całą trójką - człowiek, zwierzę i mistyf - szczęśliwie dotarli do szczeliny. W środku czekało ich coś więcej, nie tylko zaciszny ką. Światło. Czarne ściany wąskiego korytarza obrastał lód, a gdzieś w głębi jaskini płonął ogień. Gentle wypuścił uzdę z ręki i mądry doeki podreptał powoli korytarzem, a echo niosło stukot jego kopyt. Pie z Gentle'em wkrótce dotarli do dużej, płytkiej misy z kutego mosiądzu, w której wesoło płonął ogień. Intrygujące, że płomienie były błękitne, a nie złote, w dodatku nie potrzebowały paliwa, gdyż unosiły się jakieś piętnaście centymetrów ponad pustym dnem misy. Dawały jednak rozkoszne ciepło. Grudy lodu rozmarzały i wypadały Gentle'owi z brody, płatki śniegu na gładkim czole i policzkach Pie zmieniały się w kropelki wody. Gentle krzyknął z radości i rozłożył ramiona, żeby objąć Pie'oh'paha.

- Nie umrzemy! - zawołał. - A nie mówiłem? Nic się nam nie stanie!

Mistyf uścisnął Gentle'a, muskając wargami najpierw jego szyję, a potem twarz.

- Dobrze, myliłem się - przyznał. - Przyznaję bez bicia!

- To co, idziemy poszukać tych kobiet?

- Oczywiście!

Kiedy ucichło echo ich entuzjastycznych okrzyków, dosłyszeli delikatny dźwięk, jak brzęk lodowego dzwoneczka.

- Wzywają nas - stwierdził Gentle.

Doeki czuł się przy ogniu jak w raju i nie było mowy, żeby Pie zdołał zmusić go do wstania z ziemi.

- Zostaw go na razie. - Gentle uprzedził nową wiązaną wyzwisk pod adresem zwierzęcia. - Dobrze nam służył, niech odpocznie. Później po niego wrócimy.

Korytarz, którym dalej szli, nie tylko zakręcał, ale rozwidlał się, i to wielokrotnie. Wszystkie odnogi były oświetlone blaskiem płomieni w misach. Wybierali drogę, kierując się dźwiękiem dzwoneczków, który wcale się nie przybliżał. Naturalnie, każde rozwidlenie zmniejszało szansę, że uda im się wrócić do wierzchowca.

- To istny labirynt - stwierdził Pie z dawnym niepokojem w głosie. - Powinniśmy się chyba zatrzymać i zastanowić, co właściwie robimy.

- Szukamy bogini.

- A przy okazji tracimy środek transportu. Żaden z nas daleko na piechotę nie zajdzie.

- Nie czuję się wcale tak kiepsko. Tylko ręce... - Gentle podniósł dłonie. Były opuchnięte, poranione i sine. - Pewnie cały wyglądam podobnie. Słyszałeś dzwoneczki? Przysięgłbym, że brzęknęły za najbliższym zakrętem!

- Tak jak przez ostatnie trzy kwadransy. Nie zbliżamy się do nich. To jakaś sztuczka. Wracajmy, zanim ktoś zarżnie doeki.

- Nie sądzę, żeby ktoś chciał tu przelewać krew - odparł Gentle. Rozległo się dzwonenie. - Posłuchaj, naprawdę jesteśmy blisko. - Ślizgając się na lodzie, podszedł do najbliższego zakrętu. - Pie! Chodź, zobacz.

Pie podszedł do niego. Za zakrętem korytarz się zwężył i kończył drzwiami.

- Nie mówiłem?

Gentle przekroczył próg.

Sanktuarium, które się za nimi znajdowało, nie było duże - najwyżej wielkości skromnego kościółka - ale wykuto je w skale z taką maestrią, że robiło naprawdę niesamowite wrażenie. Uległo jednak znacznym zniszczeniom. Przetrwwały niezliczone kolumny, wyciosane przez mistrzów kamieniarstwa, i sklepienia z połyskliwego jak lód kamienia, ale ściany się częściowo zawaliły, a podłoga w wielu miejscach zapadła. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zorientować się, że przedmioty zamrożone w lodowcu stanowiły niegdyś część wyposażenia wnętrza. Na środku leżały resztki ołtarza, wśród nich kawałki niebieskiego kamienia - takiego samego jak ten, który trzymała w rękach dziewczynka. Bez wątplenia znajdowali się w miejscu, które odwiedził Hapexamendios.

- Podążamy Jego śladem - mruknął Gentle.

- Z pewnością. Był tutaj.

- Kobiety też. Chociaż nie wydaje mi się, żeby jadły męskie jądra. Podejrzewam, że odprawiały tu bardziej czułe obrzędy. - Gentle przykucnął i dotknął odłamka rzeźby. - Ciekawe, co tu się działo. Chciałbym być świadkiem takich rytuałów.

- Zostałbyś rozerwany na strzępy.

- Czemu?

- Te obrzędy nie były przeznaczone dla męskich oczu.

- Ale ty byś się tu prześliznął, co? Byłbyś idealnym szpiegiem. Przed tobą nie miałyby tajemnic.

- Nie chodzi o to, co mógłbym zobaczyć - odparł cicho Pie - lecz o to, co bym poczuł.

Gentle spojrział na niego z podziwem.

- Chyba ci zazdroszczę, Pie. Wiesz, co czują obie strony, prawda? Nigdy o tym nie myślałem. Powiesz mi, jak to jest?

- Będzie dla ciebie lepiej, jeżeli sam się przekonasz.

- Jak mam to zrobić?

- Nie czas teraz...

- Powiedz mi.

- Mistyfy też mają swoje obrzędy, tak jak mężczyźni i kobiety. Nie bój się, nie będziesz musiał mnie szpiegować. Zaproszę cię, jeśli chcesz.

Głęboko w duszy Gentle poczuł łagodne ukłucie lęku. Naoglądawszy się podczas

wędrowni najrozmaitszych cudów, zrobił się strasznie zblazowany, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie wie praktycznie nic o istocie, której towarzyszył. Od czasu pierwszego spotkania w Nowym Jorku nie widział jej nagiej, nie całował jej jak kochanek, nie pozwalał sobie na żadne seksualne skojarzenia na jej temat. Może dlatego że myślał o kobietach i ich tajemnych rytuałach, ale czy mu się to podobało, czy nie, był teraz podniecony.

Ból wyrwał go z zamyślenia. Gentle spojrzał na obolałe ręce. Ze zdenerwowania zacisnął je w pięści i pootwierały mu się rany na dłoniach. Wstrząsająco czerwona krew kapłała na skrzący mu się pod stopami lód.

Na jej widok przypomniał sobie coś, co skrywał w najdalszych zakamarkach pamięci.

- Co się stało? - zdziwił się Pie.

Gentle'owi zaparło dech w piersi. Słyszał trzask zamarzniętej rzeki pod stopami i skowyt wysłanników Niewidzianego, którzy kołowali nad jego głową. Czuł, jak uderza ręką w lód, uderza, uderza i uderza, a lodowe igły biją go po twarzy.

Mistyf stanął obok niego.

- Powiedz coś, Gentle - poprosił zaniepokojony. - Co się dzieje?

Położył mu ręce na ramionach. Czując jego dotyk, Gentle zdołał nabrać powietrza w płuca.

- Kobiety... - wybełkotał.

- Co kobiety?

- To ja je uwolniłem.

- Jak?

- Użyłem pneumy. Jak inaczej?

- Zniszczyłeś dzieło Niewidzianego? - wyszeptał mistyf ledwie słyszalnym głosem. - Dla naszego własnego dobra, mam nadzieję, że poza kobietami nikt tego nie widział.

- Miałeś rację. Zostawił strażników. Omal mnie nie zabili, ale się im odgryzłem.

- To niedobrze.

- Jak to? Skoro ja cierpię, niech i on trochę pokrwawi.

- Hapexamendios nie krwawi.

- Wszystko krwawi, Pie. Nawet bóg. Zwłaszcza bóg. Po co by się ukrywał, gdyby było inaczej?

Tym razem dźwięk dzwoneczków zabrzmiał naprawdę bardzo blisko.

- Pewnie specjalnie czekała na tę małą herezję. - Pie zerknął ponad ramieniem Gentle'a.

Gentle odwrócił się i ujrzał ich przewodniczkę, która stała w cieniu. Otulający jej ciało lód nie stopniał, co dowodziło, że jest równie zimna jak ściany jaskini. We włosach miała pajęczyny szronu. Kiedy leciutko poruszyła głową, zadzwoniły jak maleńkie dzwoneczki.

- Wydobyłem was z lodu - powiedział Gentle. Podszedł do kobiety, która wciąż milczała. - Rozumiesz, co mówię? Wyprowadzisz nas stąd? Chcielibyśmy przejść na drugą stronę gór.

Cofnęła się w głębszy cień.

- Nie bój się - próbował ją uspokoić. - Pie! Chodź, pomóż mi!

- W jaki sposób?

- Może ona nie zna angielskiego?

- Rozumie cię wystarczająco dobrze.

- Porozmawiaj z nią, proszę.

Jak zwykle posłuszny Pie przemówił w języku, którego Gentle nigdy nie słyszał. Nie rozumiał słów, ale łagodna melodia działała kojąco. Ani melodia, ani treść przemowy nie zrobiły jednak na kobiecie żadnego wrażenia. Cofała się w ciemność, a Gentle ostrożnie szedł za nią. Bał się ją spłoszyć. Coraz rzadziej dodawał coś od siebie do słów mistyfa:

- Przysługa za przysługę...

Pie się nie mylił. Rozumiała go. Gentle widział błakający się po jej ustach uśmiezek. Do cholery, pomyślał, dlaczego nie chce mi odpowiedzieć? Dzwoneczki dźwięczały jej we włosach i szedł ich śladem, nawet gdy niemal zupełnie rozplynęła się w mroku. Obejrzał się na mistyfa, który porzucił próby porozumienia się z kobietą i ostrzegł go:

- Nie idź dalej.

Dzieliło ich najwyżej pięćdziesiąt metrów, ale głos Pie wydał się nienaturalnie

stłumiony, jak gdyby przestrzeń pomiędzy nimi rządziła się innymi prawami.

- Tutaj jestem! - odkrzyknął Gentle. - Widzisz mnie?

Kiedy Pie odpowiedział, że tak, Gentle znowu wbił wzrok w ciemność. Kobieta zniknęła na dobre. Zaklął i rzucił się do miejsca, w którym widział ją po raz ostami. Wrażenie niezwykłości pogłębiało się. Ciemność zwodziła go niczym kiepski łgarz, który wzruszeniem ramion próbuje zbyć rozmówcę. Nie dał się odpędzić. Im bardziej mrok zdawał się drzeć, tym silniejszą czuł Gentle pokusę, żeby sprawdzić, co skrywa. Nic nie widział, ale zdawał sobie sprawę z ryzyka. Przed chwilą sam powiedział mistyfowi, że wszystko krwawi, lecz nikt, nawet Niewidziany, nie mógł zranić ciemności. Gdyby go złapała, może drzeć ją pazurami po wieczne czasy i nawet nie zadraśnie jej nagiego grzbietu.

- Gdzieś ty polazł, do cholery! - wołał Pie, zagłębiając się w cień.

- Nie idź dalej - ostrzegł go Gentle.

- Dlaczego?

- Mogę potrzebować punktu orientacyjnego, żeby wrócić.

- Wystarczy, że się odwrócisz.

- Nie zrobię tego, dopóki jej nie znajdę.

Gentle brnął przed siebie z rozłożonymi szeroko rękoma. Musiał bardzo uważać, żeby nie pośliznąć się na pokrytej lodem podłodze. Zdawał sobie sprawę, że bez przewodniczki zgubią się w labiryncie. Musiał ją odszukać.

- Słyszysz mnie jeszcze?! - krzyknął do Pie.

Głos, który mu odpowiedział, brzmiał jak międzymiastowa na kiepskiej linii telefonicznej.

- Mów do mnie! - wołał Gentle.

- Co mam mówić?

- Co chcesz. Zaśpiewaj jakąś piosenkę.

- Nie mam za grosz słuchu.

- No to opowiedz coś o jedzeniu.

- Dobrze. Mówiłem ci już o ugichee i ikrze, którą nosi w brzuchu...

- To najbardziej obrzydliwa potrawa, o jakiej słyszałem.

- Kiedy raz spróbujesz, polubisz.

- Powiedziała aktorka do biskupa.

Dobiegł go stłumiony śmiech mistyfa.

- Nienawidziłeś mnie prawie tak samo, jak teraz tej ryby, pamiętasz? Nawróciłem cię.

- Nigdy cię nie nienawidziłem.

- A w Nowym Jorku?

- Wtedy też nie. Byłem po prostu zmieszany. Nigdy wcześniej nie spałem z mistyfam.

- Jak ci się podobało?

- Lepsze od ryby, ale nie tak dobre jak czekolada.

- Co powiedziałeś?

- Że...

- Gentle? Ledwie cię słyszę.

- Jestem tutaj! - krzyknął Gentle. - Chciałbym kiedyś zrobić to jeszcze raz, Pie!

- Co zrobić?

- Pójść z tobą do łóżka.

- Będę musiał to przemyśleć.

- Czego oczekujesz? Oświadczyn?

- To byłby dobry pomysł.

- W porządku. Wyjdź za mnie! - zawołał Gentle.

Odpowiedziała mu cisza. Zatrzymał się i odwrócił. Pie był już tylko zamazaną sylwetką na tle odległej poświaty ognia w sanktuarium.

- Słyszałeś?!

- Zastanawiam się - odparł mistyf.

Gentle parsknął śmiechem.

- Nie będę czekał całą wieczność, Pie! Muszę mieć twoją odpowiedź... - Palcami wyciągniętej ręki dotknął czegoś zimnego i twardego. - Cholera jasna!

- Co się stało?

- To ślepy zaułek! - Gentle zrobił jeszcze krok do przodu i przesunął dłońmi po lodzie. - Korytarz kończy się ścianą.

Ale to nie była cała prawda. Przeczucie, że w tym miejscu jest coś niezwykłego,

jeszcze bardziej się wzmogło. Za tą ścianą znajdowało się coś, czego nie mógł dosięgnąć.

- Wracaj już! - zawołał błagalnie Pie.

- Jeszcze nie - mruknął Gentle, wiedząc, że mistyf nie dosłyszcy tych słów.

Podniósł dłoń do ust i złapał w pięść mgiełkę swojego oddechu.

- Słyszysz mnie, Gentle?!

Bez słowa grzmotnął pneumatą w ścianę - jego dłonie opanowały tę technikę do perfekcji. Odgłos uderzenia rozpląnął się w ciemności, z sufitu spadł deszcz lodowych odłamków. Gentle nie czekał, aż wibracje ustaną, lecz uderzył mocno drugi i trzeci raz. Z każdym ciosem coraz więcej ran otwierało mu się na dłoni. Krew zdawała się zwiększać siłę uderzeń. Jeżeli tchnienie i ślina miały taką moc, to czego dokona krew? Albo sperma?

Zawahał się, wziął głęboki wdech i usłyszał krzyk mistyfa. Kiedy się odwrócił, Pie brnął w jego stronę przez kałużę cienia. Pneumy wstrząsnęły nie tylko ścianami i stropem korytarza - samo powietrze oszalało i sylwetka Pie zdawała się rozpadać w nim na kawałki. Gentle próbował zmusić oczy do posłuszeństwa i unieruchomić obraz, gdy nagle ogromna bryła lodu spadła na ziemię i roztrzaskała się na kawałki. Zdążył zasłonić twarz rękoma, ale impet uderzenia pchnął go na ścianę.

- Zaraz się wszystko zawali! - krzyknął Pie.

Z góry poleciały nowe lodowe pociski.

- Za późno! Biegiem, Pie!

Szybki i zwinny mistyf popędził w stronę Gentle'a, który nie czekając na niego, ponowił atak na ścianę. Wiedział, że jeśli kamień szybko nie ustąpi, lód wkrótce pogrzebie ich żywcem. Schwycił w dłoń kolejny oddech i wymierzył go w skałę. Tym razem mrok nie zdołał pochłonąć łoskotu, który zabrzmiał jak dźwięk ogromnego dzwonu. Gdyby nie mistyf, który w porę złapał Gentle'a w ramiona, fala uderzeniowa powaliłaby go na ziemię.

- Tu jest przejście! - krzyknął Pie.

- Co to znaczy?

- Potrzebne będą dwa tchnienia, moje i twoje, złączone w jednej dłoni.

Rozumiesz?

- Rozumiem.

Niewidoczny w mroku mistyf przysunął sobie jego dłoń do ust.

- Na trzy - powiedział. - Raz! Gentle nabrał powietrza w płuca.

- Dwa!

Jeszcze trochę...

- Trzy!

Razem wydmuchnęli powietrze w dłoń Gentle'a. Ich oddechy się zmieszały.

Ludzkie ciało nie było w stanie znieść działania takiej siły. Gdyby nie Pie, który złapał go za ramię i nadgarstek, uwolniona z dłoni moc wyrwałaby mu rękę. Rzucili się razem do przodu i Gentle otworzył dłoń na ułamek sekundy przed tym, jak uderzyła o skałę.

Rozbrzmiewający nad nimi bez przerwy grzmot wzmógł się, ale zaraz zagłuszył go huk wywołany działaniem pneумы. Ze stropu runął deszcz stalaktytów, a oni mogli tylko osłonić rękoma głowy, gdy korytarz próbował ich ukamienować za zbrodnię, której się dopuścili. Padli na kolana. Chaos trwał długo, ziemia trzęsła się gwałtownie. Upadli na twarz. Wreszcie kataklizm pomału ustał, grad lodu i kamieni przeszedł w deszczyk i też ustąpił. Czuli na twarzach cudowny, ciepły powiew.

Podnieśli wzrok. Powietrze było niezbyt przejrzyste, ale płynące gdzieś z góry światło błyskało na odłamkach lodu, wśród których leżeli. Mistyf pozbierał się pierwszy i pomógł wstać Gentle'owi.

- Tu jest przejście - powtórzył.

Potykając się, ruszyli w kierunku ciepła. Mrok nie ustępował łatwo, ale widzieli ścianę przed sobą. Mimo ogromnych zniszczeń, wyłom, jakiego w niej dokonali, był niewiele większy od człowieka. Z drugiej strony szczeliny napływała mgła, ale przynajmniej po przejściu przez nią z każdym krokiem zbliżali się do światła. Ich stopy zaczęły zapadać się w miękkim piasku, który miał taki sam kolor jak mgła. Kiedy usłyszeli znajome dzwonienie, odwrócili się, spodziewając się widoku kobiet, ale mgła przesłoniła już pęknięcie w skale i leżącą za nim świątynię. Dzwoneczki umilkły.

- Przeszliśmy do Trzeciego Dominium - oznajmił Pie.

- Koniec z górami? I ze śniegiem?

- Chyba że chcesz wrócić i podziękować tym kobietom...

- Czy to jedyna droga, która prowadzi tu z Czwartego Dominium? - Gentle usiłował przeniknąć wzrokiem otaczające ich opary.

- Dobry Boże, nie! Gdybyśmy jechali dalej naszą widokową trasą, znaleźlibyśmy przy niej setki dogodnych przejść. To tutaj musiało być trzymane w tajemnicy i używane, dopóki lód go nie skuł. Świetnie się spisałeś. Bałem się, że ci odbiło.

- Trochę chyba tak... Ujawniły się we mnie niszczycielskie instynkty. Hapexamendios byłby ze mnie dumny. - Gentle zatrzymał się, by chwilę odzipnąć. - Mam nadzieję, że w Trzecim Dominium jest coś jeszcze oprócz mgły.

- Zapewniam cię, że tak. Podczas pobytu w Piątym Dominium najbardziej tęskniłem właśnie za Trzecim. Jest pełne światła i życia. Odpoczniemy, podjemy sobie, nabierzemy sił. Może pójdziemy do L'Himby i spotkamy się ze Scopique'em. To mój przyjaciel. Zasłużyliśmy na to, żeby trochę zaszaleć, nim wejdziemy na Postną Drogę i udamy się do Drugiego Dominium.

- Trafimy nią do Yzordderrex?

- Owszem - odparł Pie, leciutko popychając Gentle'a. - Postna Droga to najdłuższy szlak w Imajice. Mogłaby biec przez obie Ameryki i jeszcze by się nie skończyła.

- Mapa! - przypomniał sobie Gentle. - Muszę zacząć rysować mapę.

Mgła rzedła, przybywało światła, pojawiły się rośliny - pierwszy raz, odkąd opuścili podnóża Jokalaylau. Przyspieszyli kroku. Rośliny rosły coraz gęściej i pachniały cudownie, przyzywając ich do słońca.

- Pamiętaj, Gentle, że zostały przyjęte - odezwał się nagle Pie.

- Co zostało przyjęte?

Z mgły pozostały już tylko pojedyncze pasemka. Widzieli już, że czeka na nich nowy, ciepły świat.

- Twoje oświadczyły, przyjacielu. Zapomniałeś?

- Nie słyszałem, żebyś je przyjął.

- To nic - odparł mistyf, gdy zielony krajobraz rozpostarł się przed nimi w pełnej krasie. - Jedną rzecz na pewno musimy w tym dominium zrobić. Wziąć ślub.

ROZDZIAŁ 24

1

Tego roku wiosna wcześniej zawitała do Anglii. Pod koniec lutego zima złagodniała, a w połowie marca zrobiło się tak ciepło, że kwietniowe i majowe roślinki ciekawie wyjrzały z ziemi. Eksperci utrzymywali, że jeżeli spóźnione mrozy nie zetną kwiatów i nie wymrozą piskląt w gniazdach, w maju zaroi się na drzewach od młodych, a ptaki zaczną się szykować do drugich, czerwcowych godów. Pesymiści zapowiadali suszę, ale ich krakanie utonęło w ulewach, jakie spadły na kraj w pierwszych dniach marca.

Kiedy pierwszego deszczowego dnia Jude wspominała dni, które upłynęły, odkąd w towarzystwie Oscara i Dowda opuściła wiejską posiadłość Godolphinów, miała wrażenie, że nie traciła czasu. Szczegóły jednak rysowały się jej w myślach w najlepszym razie ogólnikowo. Od początku była mile widzianym gościem w domu, mogła wychodzić, kiedy jej się podobało, ale wychodziła rzadko. Poczucie przynależności, które tak ją uderzyło, gdy pierwszy raz ujrzała Oscara, nie osłabło, wciąż jednak nie poznała jego źródła. To fakt, że Oscar okazał się hojnym gospodarzem, ale wielu mężczyzn dobrze ją traktowało, a żadnemu nie czuła się tak oddana. Oddanie to pozostało nieodwzajemnione, co było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. Oscar traktował ją z dystansem, który narzucał oficjalną formę wszystkim ich rozmowom, ale tylko wzmagał uczucie, jakim go obdarzyła. Sam na sam z Oscarem czuła się jak dawno zagubiona kochanka, której cudem udało się powrócić do ukochanego. Miała wrażenie, że znają się tak dobrze, iż otwarte okazywanie uczuć nie jest im potrzebne. Kiedy zaś znajdowała się z nim w większym towarzystwie, na przykład w teatrze czy na kolacji z przyjaciółmi, robiła się małomówna. Bardzo ją to cieszyło - i dziwiło zarazem. Przyzwyczaiała się, że mówi dużo i swobodnie, wygłasza swoje (niekoniecznie

prawdziwe) opinie na każdy temat, nawet niepytana. Teraz jednak milczenie wcale jej nie przeszkadzało. Słuchała paplaniny o polityce, dyskusji o finansach, ploteczek towarzyskich jak dialogu w sztuce. To nie było jej przedstawienie, nie musiała grać żadnej roli, wystarczyło jej być tam, gdzie chciała się znaleźć. Skoro sama obecność w towarzystwie dawała jej tyle przyjemności, nie było sensu żądać więcej.

Godolphin był człowiekiem bardzo zajęтым i chociaż codziennie spędzali trochę czasu razem, najczęściej musiała radzić sobie sama. Ogarniało ją wtedy miłe rozleniwienie, które ostro kontrastowało z okresem gorączkowej aktywności, jaki poprzedził spotkanie z Oscarem. Starła się wręcz wyrzucić ten czas z pamięci i dopiero wracając do domu, żeby zabrać osobiste drobiazgi i przejrzeć rachunki (które na zlecenie Godolphina opłacał Dowd), przypominała sobie o przyjaciółach, z którymi chwilowo nie miała ochoty utrzymywać kontaktu. Czekają na nią wiadomości na automatycznej sekretarce - od Kleina, Clema i innych, później zaczęły pojawiać się listy (niektóre z troskliwymi pytaniami o zdrowie), a nawet wsuwane pod drzwi karteczki z prośbą o kontakt. Umówiła się z Clemem, ponieważ dręczyły ją wyrzuty sumienia, że od pogrzebu się do niego nie odezwała. Zjedli obiad niedaleko jego biura w Marylebone. Przyznała mu się, że poznała mężczyznę i tymczasowo przeprowadziła się do niego. Clem, oczywiście, był go bardzo ciekaw. Co to za szczęściarz? Ktoś, kogo zna? W łóżku jest niewiarygodny czy tylko zwyczajnie świetny? Czy to miłość? Przede wszystkim: czy to miłość? Odpowiadała najlepiej, jak potrafiła. Powiedziała, jak facet się nazywa; opisała go; wyjaśniła, że na razie związek jest platoniczny, chociaż kilka razy myślała o seksie; a co do miłości - było jeszcze za wcześnie, żaby coś wyrokować. Znając dobrze Clema, zdawała sobie sprawę, że przed wieczorem jej zeznania staną się tajemnicą poliszynela, co bardzo jej odpowiadało. Przynajmniej uspokoi znajomych, że nic jej się nie stało.

- Kiedy będziemy mieli okazję poznać ten wzór cnót wszelakich? - spytał Clem na pożegnanie.

- Niedługo...

- Zrobił na tobie spore wrażenie, co?

- Tak?

- Jesteś... Nie wiem, jak to powiedzieć... Spokojna? Nigdy cię takiej nie widziałem.

- Chyba nigdy się tak nie czułam.

- No to pilnij tylko, żebyśmy nie stracili tej Judy, którą znamy i kochamy, dobrze? Nadmiar opanowania źle robi na krążenie. Od czasu do czasu każdy musi się powściąkać.

Dopiero następnego wieczoru uderzyła ją wymowa tej pożegnalnej wymiany zdań. Siedziała w cichym domu, czekając na powrót Oscara, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo się zrobiła bierna. Zupełnie jakby słynną z gadulstwa i napadów szału dawną Jude rzuciła jak starą skórę i świeża, delikatna przeszła w stan wyczekiwania. Czekwała na instrukcje, nie mogła chyba do końca życia zachować takiego spokoju. Wiedziała też, od kogo spodziewa się je usłyszeć - od człowieka, którego głos sprawiał, że serce szybciej jej biło, a w głowie zaczynało się kręcić. Od Oscara Godolphina.

O ile jednak znajomość z Oscarem dostarczyła jej sporo radości, o tyle Kutner Dowd okazał się kompletnym niewypałem. Był dość bystry, żeby szybko się zorientować, że Jude wie o dominiach i ich sekretach znacznie mniej, niż udawała w rozmowie przed drzwiami Azylu. Nie miał najmniejszej ochoty stać się dla niej źródłem informacji, na które tak liczyła. Był małomówny, podejrzliwy, a chwilami wręcz niegrzeczny - chociaż nigdy w obecności Oscara. Ba, kiedy spotykali się we troje, przykładowie okazywał jej szacunek. Ironia, z jaką to czynił, kompletnie uchodziła uwagi Oscara, który przywykł do służalczego stylu bycia Dowda.

Jude szybko nauczyła się odpowiadać podejrzliwością na podejrzliwość i kilka razy przymierzała się do tego, żeby porozmawiać o nim z Oscarem. Powstrzymało ją tylko to, co widziała przy Azylu. Dowd pozbył się ciała spokojnie i z nonszalancją, jakby nieraz wykonywał na zlecenie pracodawcy podobne zadania. Nie dopominał się też o pochwały, a w każdym razie Jude tego nie słyszała. Kiedy pana i sługę łączą stosunki tak bliskie, że przestępstwo - pozbycie się zwłok - nie jest niczym niezwykłym, nie powinno się ich rozdzielać. To ona była tu intruzem, nową dziewczyną pana, która żyła nadzieją, że zostanie z nim na zawsze. Nie mogła marzyć o tym, żeby zbliżyć się do niego tak jak Dowd. Próby zasiania ziarna z wątplenia mogły łatwo obrócić się przeciwko niej. Milczała więc i czas płynął spokojnie. Aż do dnia, w którym spadł deszcz.

Na drugi marca zaplanowali wyjście do opery. Późne popołudnie Jude poświęciła na niespieszne przygotowania, przebierając w sukienkach i butach, pławiąc się w swoim niezdecydowaniu. Dowd zniknął gdzieś w porze lunchu, tłumacząc się pilną robotą dla Oscara; wiedziała, że nie powinna go o nic wypytywać. Gdy tylko zjawiła się w domu Godolphina, dano jej do zrozumienia, że wszelkie pytania o prywatne sprawy Oscara będą niemile widziane. Nigdy nie próbowała się temu żądaniu sprzeciwić. Nie taka była przecież rola kochanki. Tym razem jednak, kiedy Dowd poruszony wybiegł z domu, zaczęła się zastanawiać - w kąpielni i w garderobie - czym zajmuje się Godolphin. Czy właśnie przebywa w Yzordderrex? W mieście, w którym zapewne znajduje się Gentle ze swoim ukochanym, a jej niedoszłym zabójcą? Zaledwie dwa miesiące wcześniej, gdy londyńskie dzwony obwieszczały nadejście nowego roku, obiecała sobie, że podąży tam za nim. Tymczasem w obecności mężczyzny, który mógł ją tam zabrać, zupełnie nie była w stanie myśleć o tej wyprawie. Mimo że wracała myślami do tajemniczego miasta, dawna żądza poznania go ulotniła się bez śladu. Owszem, Jude ucieszyłaby wieść, że Gentle cały i zdrowy spaceruje po jego ulicach, może nawet rozbawiłby ją opis mroczniejszych zakątków Yzordderrex, ale pomysł, że miałaby tam jechać, wydał się jej absurdalny. Tutaj, w Anglii, znalazła wszystko, co było jej potrzebne do szczęścia.

Zadowolenie przytłumiło w niej nie tylko chęć zobaczenia innych dominiów, ale także zainteresowanie wydarzeniami na Ziemi. Mimo że ustawiony w kącie sypialni telewizor bełkotał bez wytchnienia, działał głównie usypiająco i praktycznie nie zwracała na niego uwagi. Nie zauważyłaby pewnie popołudniowego serwisu informacyjnego, gdyby przypadkiem zasłyszana wiadomość nie nasunęła jej skojarzeń z Charliem.

W płytkim grobie na Hampstead Heath znaleziono trzy zmasakrowane ciała. Sposób, w jaki zostały okaleczone, sugerował rytualne morderstwo. Wstępne dochodzenie wykazało, że zmarli byli dobrze znani w lokalnym środowisku spirytystów i adeptów czarnej magii. W związku z dalszymi tajemniczymi zniknięciami osób z tych kręgów podejrzewano, że rozpoczyna się planowa, krwawa wendeta. Materiał

zilustrowano zdjęciami policjantów przeszukujących zarośla Hampstead Heath. Padający deszcz podkreślał bijącą z ekranu beznadzieję.

Wiadomość zaniepokoiła Jude z dwóch powodów, z których każdy łączył się z jednym z braci. Przede wszystkim przypomniał jej się Charlie, który obserwował Heath z dusznego pokoju w klinice i rozważał samobójstwo. Zaraz potem przyszło jej na myśl, że wendeta może zagrozić Oscarowi, który po uszy siedział w okultyzmie.

Te skojarzenia nie dawały jej spokoju, a spóźnienie Oscara, który miał wrócić przed szóstą, wcale nie pomogło. Przestała się stroić, zeszła na dół i czekała dalej przy otwartych frontowych drzwiach. Deszcz chłostał rosnące przy schodach krzaki.

Oscar wrócił za dwadzieścia siódma razem z Dowdem, który z miejsca oznajmił, że z wyjścia do opery nic nie będzie. Godolphin natychmiast mu zaprzeczył - Dowd poczuł się upokorzony - i kazał Jude ubrać się i przygotować, żeby za dwadzieścia minut mogli wyjść.

Kiedy posłusznie zaczęła wchodzić po schodach, dobiegł ją głos Dowda:

- Wie pan chyba, że McGann chce się z panem spotkać?

- Zdążę - uspokoił go Oscar. - Przygotowałeś mi czarny garnitur? Nie? To coś ty robił przez cały dzień? Nie, lepiej mi nie opowiadaj. Nie na pusty żołądek.

Oscar świetnie prezentował się w czerni, o czym nie omieszkała mu powiedzieć, gdy dwadzieścia pięć minut później zszedł na dół. Uśmiechnął się, słysząc komplement, i skłonił się lekko.

- Ty też wyglądasz ślicznie jak nigdy dotąd - oparł. - Wiesz, że nie mam żadnego twojego zdjęcia? Przydałoby mi się; mógłbym je nosić w portfelu. Każę Dowdowi się tym zająć.

Dowd tymczasem zniknął. Zwykle pełnił funkcję szofera, tym razem jednak musiał mieć coś innego na głowie.

- Spóźnimy się na pierwszy akt - zauważył Oscar, prowadząc samochód. - Muszę coś załatwić w Highgate, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście. Nie mam nic przeciwko temu.

Pogłaskał ją po rękę.

- To nie potrwa długo.

Być może dlatego, że rzadko siadał za kierownicą, prowadzenie samochodu

wymagało od niego ogromnego skupienia i choć popołudniowe wiadomości nie dawały Jude spokoju, nie chciała mu przeszkadzać rozmową. Dość szybko dotarli na miejsce, wybierając boczne uliczki zamiast zalanych deszczem i zakorkowanych głównych dróg. Powitało ich istne oberwanie chmury.

- No, jesteście - oznajmił Oscar. Potoki deszczu na przedniej szybie ograniczały widoczność do dziesięciu metrów. - Zostań tu, żeby nie marznąć. Ja zaraz wrócę.

Zostawiwszy Jude w samochodzie, przebiegł przez dziedziniec niczym nie wyróżniającego się budynku. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Drzwi otworzyły się automatycznie i same za nim zamknęły. Dopiero gdy łoskot deszczu o dach nieco zelżał, Jude pochyliła się, żeby wyjrzeć przez przednią szybę. Od razu rozpoznała wieżowiec ze snu błękitnego oka. Podświadomie sięgnęła ręką do drzwi. Jej oddech przyspieszył, gdy szeptała gorączkowo:

- Nie. Och, nie...

Wysiadła w zimny deszcz i jeszcze zimniejsze wspomnienia. Ten dom - podobnie jak cała wędrówka, która ją do niego przywiodła, podglądanie kobiet i poznawanie ich smutku i gniewu - ześliznął się do obszaru pamięci, w którym rzeczywistość mieszała się ze snem. Nauczyła się wierzyć, że cała nocna przygoda w ogóle nie miała miejsca, a teraz stała przed gmachem, w którym wszystko się wydarzyło; każde okno, każda cegła w murze wyglądały identycznie jak wtedy. Skoro z zewnątrz się nie zmienił, w środku również powinien być taki sam.

Przypomniała sobie podziemny labirynt i szeregi półek zastawionych po sufit książkami i manuskryptami. Była tam ściana (a pod nią para splecionych w uścisku kochanków), za którą znajdowała się ciemna cela, ukryta przed wzrokiem wszystkich, dostępna tylko dla niej. W celi znalazła kobietę leżącą tam od wieków. Usłyszała w wyobraźni krzyk, obłąkańczy skowyt, który wypędził ją spod ziemi i przez ciemne ulice zagnał do bezpiecznego schronienia w domu i w głowie. Czy dalej krzyczy? - pomyślała Jude. Czy może wróciła do stanu śpiączki, z której tak brutalnie ją obudzono? Na myśl o bólu uwięzionej łzy napłynęły jej do oczu i zmieszały się z deszczem.

- Co ty robisz? - Oscar wyszedł z budynku i szybkim krokiem szedł w jej stronę. Marynarką osłaniał sobie głowę. - Zamarzniesz tu, kochanie. Wskakuj, proszę. Proszę cię, wsiądź do wozu.

Posłuchała go. Deszcz spływał jej po karku.

- Przepraszam... - wyjąkała. - Ja tylko... Po prostu nie wiedziałam, gdzie poszedłeś, a potem... Sama nie wiem... Ten dom wyglądał jakoś znajomo.

- Ten dom jest nieważny... Cała drżysz. Może wolisz wrócić do domu?

- A miałbyś coś przeciwko temu?

- Nic a nic. Wieczór w operze powinien być przyjemnością, a nie męką.

Przemokłaś, zmarzałaś, nie chciałbym, żebyś się zaziębiła. Jeden chory wystarczy...

Nie zapytała, co znaczyło to zdanie; zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie. Chciało jej się płakać, chociaż nie wiedziała, czy z radości, czy z żalu. Sen, który przyzwyczała się traktować jak mrzonkę, znalazł oparcie w rzeczywistym świecie, w faktach, a jeden z takich faktów - Oscar Godolphin - siedział obok niej. Wiedziała, że jest kimś niezwykłym, ale przyzwyczała się do jego niedomówień: kiedy wspominał o wycieczce do dominiów, mówił o „przejażdżce pociągiem”, a gdy jechał do Yzordderrex, miało się wrażenie, że jest to po prostu forma turystyki, na razie niedostępna zwykłym zjadaczom chleba. To pozorne lekceważenie stanowiło jednak rodzaj zasłony dymnej, którą stawiał - niekoniecznie świadomie - by ukryć prawdziwe znaczenie swojej działalności. Zaczynała dochodzić do wniosku, że jego ignorancja (a może arogancja) kiedyś go zabije. To ją zasmucało. A skąd brała się radość? Z nadziei, że go przed tym uratuje, a on z wdzięczności ją pokocha.

*

W domu przebrali się z wieczorowych strojów. Kiedy Jude wyszła ze swojego pokoju na piętrze, Oscar czekał na nią przy schodach.

- Tak sobie pomyślałem... Może porozmawiamy?

Zeszli na parter, do zagraconego bez cienia dobrego smaku salonu. Deszcz bił wściekle o szyby. Oscar zaciągnął zasłony i do dwóch szklanek nalał brandy, która miała ich rozgrzać. Usiadł naprzeciw Judith.

- Mamy problem - oznajmił.

- My?

- Tak wiele powinniśmy sobie nawzajem powiedzieć. W każdym razie ja...

Zakładam, że ty też to czujesz... Ja na pewno chciałbym ci opowiedzieć o mnóstwie rzeczy, ale niech mnie diabli, jeśli wiem, od czego zacząć. Jestem ci winien wyjaśnienia,

po tym co widziałaś w mojej posiadłości; przydałoby się wspomnieć o Dowdzie i pustkowcach, o tym, co zrobiłem z Charliem... Lista jest długa. Próbowałem, naprawdę próbowałem znaleźć jakiś sposób, żeby ci to wszystko wytłumaczyć. Sam nie jestem pewien, co jest prawdą, a co nie. Pamięć płata człowiekowi figle...

Jude mruknęła potakująco.

- Zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z takimi istotami i bywa się w takich miejscach, które wydają się w połowie należeć do świata snów - ciągnął Oscar. - Albo koszmarów.

Dopił brandy i sięgnął po butelkę.

- Nie lubię Dowda - stwierdziła nagle Jude. - Nie ufam mu.

Spojrzał na nią.

- Spozregawcza jesteś. Chcesz jeszcze brandy? - Jude podstawiła szklanekę i Oscar dolał jej trunku. - Rozumiem cię. Z kilku powodów Dowd jest niebezpieczny.

- Nie mógłbyś się go pozbyć?

- Obawiam się, że za dużo wie. Byłby jeszcze groźniejszy niż teraz.

- Ma coś wspólnego z tymi morderstwami? Widziałam dziś w wiadomościach...

Godolphin zbył ją machnięciem ręki.

- Nic nie musisz o tym wiedzieć, kochanie.

- Ale jeżeli coś ci grozi...

- Nie. Nic mi nie grozi. Tego możesz być pewna.

- Zatem wiesz o wszystkim?

- Co nieco... - przytaknął posepnie Oscar. - Dowd też, on właściwie orientuje się w tej sytuacji lepiej niż my oboje razem wzięci.

Jude przez chwilę rozważała jego słowa. Czy Dowd wiedział także o uwięzionej w podziemiach kobiecie? Czy może ona jedna znała ten sekret? Jeśli tak, to chyba nie powinna tego zmieniać. Tylu uczestników rozgrywki wiedziało więcej od niej, że dzielenie się taką informacją - nawet z Oscarem - osłabiłoby jej pozycję. Może nawet zagrażało jej życiu. Jakaś część jej istoty, nie podatna na kuszenie luksusów i potrzebę miłości, pozostała w tamtej celi, z kobietą, którą przebudziła. Jude postanowiła ją tam zostawić; w ciemnościach była bezpieczna. Resztę ujawni. Całą resztę.

- Nie jesteś jedynym, który przechodzi na drugą stronę - odezwała się. - Mój

przyjaciel też ruszył w podróż.

- Naprawdę? Kto taki?

- Gentle. To znaczy, naprawdę nazywa się Zacharias, John Furie Zacharias.

Charlie trochę go znał.

- Charlie... - Oscar pokręcił głową. - Biedny Charlie. Opowiedz mi o Gentle'u.

- To skomplikowana sprawa. Kiedy odeszłam, Charlie zapalał żądzą zemsty.

Wynajął kogoś, żeby mnie zabił...

Opowiedziała Oscarowi o zamachu w Nowym Jorku i interwencji Gentle'a, a później o wszystkim, co zaszło w Sylwestra. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Godolphin zna już przynajmniej część faktów. Podejrzenie zmieniło się w pewność, gdy opisała mu, w jaki sposób Gentle zniknął z Piątego Dominium.

- Mistyf zabrał go ze sobą? - zdziwił się Oscar. - Boże, przecież to niebezpieczne...

- Co to jest mistyf?

- Bardzo rzadka istota. Mistyfy rodzą się w plemienu Eurhetemeców raz na pokolenie. Są ponoć niezwykle kochankami. Słyszałem, że nie mają własnej tożsamości seksualnej, lecz reagują na pragnienia partnera.

- To byłby raj dla Gentle'a.

- Pod warunkiem, że wie, czego chce. Bo jeśli nie, to może się zdziwić.

- Możesz mi wierzyć, że Gentle dobrze wie, czego chce - zaśmiała się Jude.

- Wiesz to z doświadczenia?

- Gorzkiego doświadczenia.

- Być może odgryzł większy kęs, niż będzie w stanie przełknąć. Peccable, mój przyjaciel z Yzorderrex, miał przez jakiś czas burdelmamę za kochankę. Była właścicielką eleganckiego burdeliku w Patashoqua. Świetnie się rozumieliśmy. Powtarzała mi, że powinienem wziąć się za handel niewolnikami i przywozić jej dziewczyny z Piątego Dominium; mogłaby wtedy rozkręcić interes w Yzorderrex. Twierdziła, że zbilibyśmy fortunę. Oczywiście nic z tego nie wyszło, ale lubiliśmy rozmawiać na tematy... weneryczne, jeśli można tak powiedzieć. Wszyscy od razu zakładali, że chodzi nam o chorobę, a nie o Wenus... - Oscar zamyślił się, jakby zgubił wątek. - Mniejsza z tym. Opowiadała mi, że przez krótki czas pracował u niej mistyf, ale

miała z nim same kłopoty. Niewiele brakowało, a musiałaby zamknąć burdel, taką miał złą reputację. Wydawałoby się, że taka istota będzie dziwką doskonałą, prawda? Tymczasem klienci najwyraźniej nie mieli ochoty oglądać, jak spełniają się ich fantazje. - Uśmiechnął się, patrząc na Jude. - Myślę, że ich rozumiem.

- Może bali się tego, kim byli.
- Uważasz, że to głupota, tak?
- Naturalnie. Jesteś tym, kim jesteś, i już.
- Ostra filozofia. Trudno z nią żyć.
- Jeszcze trudniej od niej uciec.
- No, nie wiem... Ostatnio dużo myślałem o uciekaniu. Chciałbym zniknąć. Na

zawsze.

- Poważnie? - Jude starała się nie okazać, jak bardzo poruszyły ją te słowa. -

Dlaczego?

- Tu jest za duży tłok.
- Ale na razie postanowiłeś zostać?
- Waham się. Wiosną Anglia jest taka miła. Poza tym brakowałoby mi letnich

meczów krykieta.

- Przecież chyba wszędzie gra się w krykieta?
- W Yzordderrex nie.
- Chciałbyś tam zostać?
- A czemu nie? Nikt by mnie nie znalazł, bo nikt by nie wpadł na to, gdzie szukać.
- Ja bym się domyśliła.

- Może w takim razie zabrałbym cię ze sobą - odparł z czułością Oscar, tak jakby właśnie całkiem serio się jej oświadczył i bał się, że go odrzuci. - Co ty na to? Mam na myśli porzucenie Piątego Dominium, oczywiście.

- Jakoś bym to zniosła.

Oscar się zawahał.

- Chyba powinienem pokazać ci moje skarby - uznał wreszcie, wstając z krzesła. -

Chodź.

Z wygłaszanych przez Dowda półgębkiem uwag wiedziała, że w zamkniętym na klucz pokoju na piętrze znajduje się jakaś kolekcja. Oscar otworzył drzwi i skinął na nią.

- Wszystko wyszperałem w dominiach - powiedział. - I osobiście przywiozłem tutaj.

Oprowadził Jude po pokoju, wyjaśniając pokrótce przeznaczenie co dziwniejszych przedmiotów i wskazując drobiazgi, które mogła przeoczyć. Do pierwszej kategorii zaliczał się między innymi Puchar Bostoński i „Encyklopedia Znaków Niebieskich” Gaud Maybellome, do drugiej - bransoletka z chrząszczy, złapanych w słoik z trucizną w trakcie zbiorowego parzenia się; czternaście ogniw łańcuszka, wyjaśnił z dumą Oscar, samiec wchodził od tyłu w samiczkę, która pożerała samca znajdującego się przed nią, i tak dalej. Krąg zamykała ostatnia samiczka i pierwszy samiec, którego akrobatyczny obrót sprawił, że byli zwrócenii do siebie głowami.

Jude wypytywała go o wszystko, a Oscar z przyjemnością grał rolę nauczyciela, ale na niektóre pytania nie znał odpowiedzi. Podobnie jak u imperialnych grabieżców, których był potomkiem. w jego kolekcjonerstwie mieszały się w równych proporcjach zaangażowanie, dobry smak i ignorancja. Kiedy jednak opowiadał o okazach - nawet o tych, o których przeznaczeniu nie miał zielonego pojęcia - mówił ze wzruszającym zapałem. Znał je doskonale.

- Dawałeś też takie prezenty Charliemu, prawda?

- Czasami... Widziałas je?

- Widziałam.

Brandy kusiła, żeby opowiedzieć o historii z niebieskim kamieniem, ale Judy się powstrzymała.

- Gdyby rzeczy inaczej się ułożyły, to Charlie wędrowałby po dominiach. Byłem mu coś winien.

- Kawałek cudu - zacytowała Charliego.

- Właśnie. Pewnie nie bardzo wiedział, co o nich myśleć.

- Cały Charlie.

- To fakt. Anglik aż do bólu. Zawsze bał się ucuć. Tylko dla ciebie zrobił wyjątek. Trudno mieć o to do niego pretensje.

Jude podniosła wzrok i stwierdziła, że Oscar przygląda się jej z taką samą uwagą, z jaką ona podziwia kolejny okaz z jego kolekcji. Wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości.

- To u nas rodzinne - dodał. - Tacy właśnie jesteśmy w sprawach... sercowych. -
Zmieszał się i dotknął dłonią żeber. - Rozejrzyj się tu jeszcze, jeśli chcesz. Nie ma tu nic,
czego powinnaś się bać.

- Dziękuję.

- Zamkniesz potem drzwi?

- Naturalnie.

Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, żeby go zatrzymać.
Poczuła się samotna. Słyszała, jak Oscar wchodzi do sypialni, i wróciła do podziwiania
skarbów. Nie wystarczyły jej jednak. Pragnęła ciepła. Po chwili wahania zgasiła światło i
zamknęła drzwi. Postanowiła od razu oddać klucz Oscarowi. Jeżeli jego zachwyty nie
były czczymi pochlebstwami, jeżeli naprawdę miał na myśli łóżko, powinna się szybko
zorientować. A jeśli ją odepchnie, skończy się ciągła niepewność.

Zapukała do sypialni. Odpowiedziała jej cisza, ale spod drzwi sączyło się światło,
więc zastukała jeszcze raz i weszła. Nocna lampka oświetlała wiszący na ścianie portret.
Z połączonych ram wyglądał poważny, blady człowiek, wpatrywał się w puste łóżko. W
łazience szumiła woda. Jude przeszła przez pokój, odruchowo rejestrując dziesiątki
szczeółów prywatnego apartamentu Oscara: miękkie poduszki i pościel; karafka i
kieliszek na nocnym stoliku; papierosy i popielniczka na stosie szczytanych książek. Bez
pukania otworzyła drzwi do łazienki. Oscar siedział na krawędzi wanny w samych
bokserkach i przytykał flanelową szmatkę do częściowo zagojonej rany z boku tułowia.
Po owłosionym, wydatnym brzuchu spływała zaczerwieniona od krwi woda. Jude nie
próbowała go przeproszać, że wchodzi bez zapowiedzi, on nie dopominał się o
przeprosiny. Twarz miał wykrzywioną bólem.

- To robota Charliego - powiedział tylko.

- Powinieneś iść do lekarza.

- Nie ufam lekarzom. Poza tym już jest lepiej. - Wrzucił szmatkę do umywalki. -
Zawsze bez pytania wchodzisz do zajętej łazienki? Mogłabyś zastać mnie w jakiejś...

- Wenerycznej sytuacji?

- Nie kpij ze mnie. Wiem, że kiepski ze mnie uwodziciel. Przez lata musiałem
płacić za towarzystwo.

- Lepiej byś się czuł, płacąc mi?

- Mój Boże! - Oscar był wstrząśnięty. - Za kogo ty mnie masz?

- Za kochanka - odparła bez ogródek. - Mojego kochanka.

- Chyba nie wiesz, co mówisz.

- Ale się dowiem. Ukrywałam się przed samą sobą, Oscarze. Nie dopuszczałam do głosu uczuć. A jest ich niemało. I chcę, żebyś o tym wiedział.

- Wiem. Rozumiem cię lepiej, niż myślisz. I boję się, Judith.

- Nie ma się czego bać.

Zdziwiła się, że to właśnie ona wypowiada te uspokajające słowa, chociaż był od niej starszy, a zapewne także silniejszy i mądrzejszy. Oparła mu dłoń na piersi. Nachylił się, żeby ją pocałować. Usta miał zamknięte, dopóki nie dotknęły jej rozchylnych warg. Jedną ręką objął ją, drugą sięgnął do jej piersi. Pomruk zadowolenia rozplątał się w ich połączonych ustach. Jego dłoń zjechała po jej brzuchu na uda, wśliznęła się pod spódnicę i zaczęła przesuwając się z powrotem do góry. Jude była cała wilgotna, i to już od chwili, gdy weszła do skarbca. Włożył jej rękę pod bieliznę, oparł nasadę dłoni na wzniesieniu tonowym i długim palcem środkowym sięgnął aż do odbytu, muskając go paznokciem.

- Do łóżka - powiedziała.

Nie puścił jej. Niezdarnie wyszli z łazienki; prowadził ją, idącą tyłem, aż oparła się udami o skraj łóżka. Wtedy usiadła, złapała za gumkę jego brudnych od krwi bokserów i pociągnęła je delikatnie w dół, całując go po brzuchu. Zniecierpliwiona zawstydzony się i wyciągnął rękę, jakby chciał ją powstrzymać, ale nie ustąpiła i odsłoniła jego penis. Stanowił swoiste kuriozum - był tylko odrobinę obrzmiały, ale pozbawiona napletka, pękata, purpurowa żołądz tętniła kolorem żywszym niż rana w boku. Trzon był wyraźnie cieńszy i bledszy, poznaczony żyłkami przenoszącymi krew do korony. Jeżeli ta właśnie dysproporcja wprawiała Oscara w zakłopotanie, przy Jude nie musiał się przejmować. Z przyjemnością pocałowała żołądz członka. Oscar cofnął dłoń i jęknął cicho, a kiedy Jude podniosła wzrok, dostrzegła na jego twarzy coś w rodzaju nabożnej czci. Sięgnęła od dołu pod jądra, przysunęła go sobie bliżej i wzięła kuriozum do ust. Mając obie ręce wolne, zaczęła rozpinać sobie bluzkę. Jednak gdy tylko poczuła, że twardnieje jej w ustach, mruknął coś przepraszająco, cofnął członek i odsunął się od niej. Podciągnął bokserki.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

- Bo to lubię. - Był poruszony do żywego; kręcił z niedowierzaniem głową i zawstydzony zasłaniał się ręką.

- Ale dla kogo... Widzisz, nie musisz...

- Wiem o tym.

- Zaskoczyłaś mnie. - W jego głosie brzmiało szczere zdziwienie. - Nie chcę cię wykorzystać.

- Nie dałabym się.

- Mogłabyś się nie zorientować.

Rozzłościła się. Tak wściekła dawno nie była. Wstała z łóżka.

- Wiem, czego chcę, ale nie zamierzam o nic błagać.

- Nie o to mi chodziło.

- A o co?

- Ja też cię pragnę.

- No to zrób coś!

Jej gniew go podniecił. Podszedł bliżej i czułym, niemal bolesnym głosem powiedział:

- Chciałbym cię rozebrać. Mogę?

- Pewnie.

- Masz nic nie robić...

- Nie będę.

- ...tylko spokojnie leżeć.

Położyła się. Oscar zgasił światło w łazience i stanął przy łóżku. W świetle lampki nocnej rzucał na ścianę olbrzymi cień, przez co wydawał się jeszcze większy niż w rzeczywistości. Wielkość ciała partnera nigdy nie wydawała się jej szczególnie podniecająca, tym razem jednak pociągała ją jako dowód jego apetytów i żądz. Miała przed sobą człowieka, który nie dał się zamknąć w jednym świetle i jednym zbiorze doświadczeń, a jednak klęczał przed nią jak niewolnik. Miał twarz człowieka opętanego.

Niezmiernie delikatnie zaczął ją rozbierać. Miewała już fetyszystów; nie była dla nich istotą ludzką, lecz wieszakiem, na którym wystawiano godne uwielbienia części garderoby. Jeśli ten człowiek miał jakiś fetysz, było nim ciało, które odsłaniał. Robił to w określony sposób i w określonym tempie, które nadawały całej czynności wyższy,

zrozumiały tylko dla niego sens. Najpierw zsunął jej figi. Potem rozpiął do końca bluzkę, ale zamiast ją zdjąć, oswobodził jej piersi ze stanika, jakby chciał je pieścić. I z tym jednak postanowił zaczekać. Ściągnął jej buty i ustawił obok łóżka, a następnie podwinął spódnicę, napawając się widokiem jej sromu. Przesunął dłonią po jej udzie do krocza i z powrotem, ani przez moment nie patrząc jej w twarz. Jude obserwowała go uważnie, ciesząc się pragnieniem i czcią, jakimi pałały jego oczy. Wreszcie zaczął ją całować. W stopy, łydki i kolana, później w brzuch i piersi, a na koniec wrócił do ud i przesunął się po nich do miejsca, którego dotyku do tej pory obojgu im odmawiał. Jude była przygotowana na rozkosz - i nie zawiodła się. Pieścił ją językiem, a ogromną dłonią gładził jej piersi. Kiedy ją rozchylił, zamknęła oczy, czując każdą odrobinę wilgoci na udach i wargach sromowych.

Wstał, żeby do końca ją rozebrać - najpierw zdjął z niej spódnicę, potem bluzkę i stanik. Rzucił ubranie na podłogę, wstał i oparłszy jej dłonie na kolanach, rozchylił jej nogi. Teraz mógł ją podziwiać w całej okazałości.

- Zrób to palcami - powiedział.

Włożyła ręce między uda i pokazała mu, co potrafi. Dobrze ją naoliwił, ale palcami mogła sięgnąć głębiej niż on językiem. Chciała być gotowa na przyjęcie kuriozum. Gorączkowo chłonał widok jej obnażonego ciała; chwilami spoglądał jej w oczy, ale zaraz z powrotem spuszczał wzrok. Nie było w nim już śladu nieśmiałości czy zakłopotania. Nie szczędził jej wyrazów zachwyty i czułości. Napięte bokserki najlepiej dowodziły - gdyby potrzebowała takiego dowodu - jak bardzo jest podniecony. Uniosła biodra i zaczęła wypychać je do góry, na spotkanie palców. Złapał ją mocniej za kolana i jeszcze bardziej rozchylił, a potem poślinił palec i zaczął delikatnie gładzić jej drugą dziurkę.

- Obciągniesz mi teraz? - zapytał. - Tylko troszeczkę.

- Pokaż go.

Odsunął się i zdjął bokserki. Kuriozum wezbrało krwią i zrobiło się ciemnoczerwone. Jude usiadła i wzięła je do ust. Jedną ręką chwyciła jego drgający trzon, drugą dalej zabawiała się ze sobą. Nigdy nie umiała wyczuć, kiedy zbliża się wytrysk, więc puściła go na chwilę, żeby trochę ochłonał. Spojrzała mu w oczy.

Albo wystarczyło to spojrzenie, albo sam fakt, że przestała go całować.

- Cholera! - zaklął Oscar. - Cholera jasna! Cofnął się i ścisnął mocno swoje kuriozum w dłoni.

Przez chwilę wydawało się, że sytuacja została opanowana - na podłogę skapnęły tylko dwie kropelki - ale w chwilę potem jądra uwolniły cały, niezwykle obfity ładunek spermy. Oscar pojękiwał cicho - na wpół z rozkoszy, na wpół ze wstydu, pomyślała Jude. Nie myliła się.

- Przepraszam... - wyjąkał. - Strasznie cię przepraszam...

- Nic się nie stało.

Wstała i pocałowała go w usta, ale cały czas mamrotał onieśmielony:

- Dawno już tego nie robiłem. Zachowałem się jak dzieciak.

Milczała, wiedząc, że cokolwiek powie, wywoła tylko kolejną falę samopotępienia z jego strony. Wymknął się do łazienki po ręcznik. Kiedy wrócił, zbierała z ziemi ubranie.

- Wychodzisz? - zdziwił się.

- Tylko do swojego pokoju.

- Czy to konieczne? Wiem, że nie spisałem się najlepiej, ale... Łóżko jest spore. A ja nie chrapię.

- Łóżko rzeczywiście jest olbrzymie.

- Właśnie... To jak, zostaniesz?

- Chętnie.

Uśmiechnął się czarująco.

- To dla mnie zaszczyt. Pozwolisz, że przeproszę cię na momencik?

Włączył światło w łazience, wszedł do środka i zamknął drzwi. Jude mogła chwilę spokojnie pomyśleć. Niezwykłość ostatnich wydarzeń bynajmniej jej nie dziwiła. Cała jej wędrówka zaczęła się przecież od nieszczęśliwej miłości, potem było morderstwo, a teraz znalazła się tutaj, w łóżku mężczyzny, którego trudno nazwać pięknym, ale którego ciężar pragnęła poczuć na swoim ciele; którego dłonie, zdolne do bratobójstwa, podniecały ją jak żadne inne; który przemierzył i poznał więcej światów niż dawni poeci po opium, ale mówiąc o miłości, jąkał się; który był prawdziwym tytanem, a jednak się bał. Umościła się na poduszkach z kaczego puchu i czekała, aż wróci i opowie jej bajkę o miłości.

Po dłuższym czasie wyszedł z łazienki i wsunął się obok niej pod koc. Tak jak sobie wymarzyła, powiedział, że ją kocha, ale dopiero kiedy zgasił światło i nie mogła mu spojrzeć w oczy.

*

Mocno spała. Kiedy się obudziła, z początku wcale tego nie poczuła, tak było ciemno i miło. Przez szparę między zasłonami widziała nocne niebo. Oscar leżał za jej plecami. Był w niej. Jedną dłoń trzymał na jej piersi, drugą uniósł jej udo, żeby ułatwić sobie wejście. Zdała sobie sprawę, że wniknął w nią dyskretnie i umiejętnie - nie tylko nie obudził jej, dopóki nie zaczął się w niej poruszać, ale w dodatku wybrał drugie, dziewicze gniazdko, co zapewne próbowałyby mu odradzić, bojąc się bólu. Uczucie było jednak całkiem przyjemne, chociaż zupełnie nowe. Całował ją w szyję i w łopatki, lekko, niepewnie, jakby nie wiedział, czy się obudziła. Westchnęła, żeby pomóc mu pozbyć się wątpliwości. Zamarł bez ruchu, więc przycisnęła pośladki do jego lędźwi, dzięki czemu kuriozum wniknęło w nią po sam koniec. Przyjęła go z rozkoszą. Przycisnęła jego dłoń do piersi, żeby mocniej ją poczuć, i wolną ręką sięgnęła do miejsca, w którym byli złączeni. Grzecznie założył prezerwatywę, co w połączeniu z faktem, że raz już tej nocy wytrysnął, czyniło zeń idealnego kochanka: spokojnego i pewnego.

Nie próbowała, korzystając z ciemności, wyobrazić go sobie inaczej. Mężczyzna, który wtulał twarz w jej włosy i kąsał ją w bark, nie był - w przeciwieństwie do mistyfa, o którym jej opowiadał - odbiciem wyimaginowanych idei, lecz Oscarem Godolphinem, z jego brzuchem, kuriozum i całą resztą. Postanowiła więc sama się zmienić: stała się żywym, uproszczonym obrazem zmysłów. Wyobraziła sobie, że wyraźna linia łączy jądro jej istoty, przeszywane pchnięciami Oscara, z czubkami piersi i karkiem, by pod czaszką przejść w splątane spirale. Dodała w myślach jeszcze jedno udoskonalenie: wykreśliła krąg wokół swojej postaci i cały rysunek zapłonął jej pod powiekami jak wywołana natchnieniem wizja. Wtedy przyjemność sięgnęła zenitu. Jude była zarazem abstrakcją w ramionach mężczyzny i ciałem, którego pragnienia zaspokajał. Większa rozkosz nie mogła istnieć.

Zapytał, czy nie mogliby się inaczej ułożyć.

- Ta rana... - mruknął.

Uklękła i oparła się na rękach. Rozłączyli się na krótką, przykrą chwilę, ale

kuriozum zaraz wróciło na swoje miejsce. Przyspieszyło rytm ruchów. Oscar pieścił jej srom i szeptał do ucha, na dwa sposoby naraz wyrażając rozkosz, jaką odczuwał. W jej głowie obraz, w który się przeobraziła, cały rozpalil się ogniem. Zaczęła krzyczeć - z początku było to tylko „Tak! Tak!”, potem przyszedł czas na konkretne żądania, które zmuszały go do większego wysiłku. Światło obrazu oślepiło ją, wypaliło wszelką świadomość tego, kim jest i gdzie się znajduje, wypełniło jej wszechświat. Wspomnienia rozplynęły się w nim bez śladu.

Nie zdawała sobie sprawy, że skończył, dopóki nie spróbował się z niej wyśliznąć. Sięgnęła ręką za siebie, żeby zatrzymać go jeszcze chwilę. Posłuchał jej. Rozkoszowała się tym, jak w niej mięknie, a potem jak wysuwa się z niej, niechętnie uwolniony przez delikatne mięśnie. Przetoczył się na łóżko obok niej i włączył lampkę. Jej światło nie raziło boleśnie w oczy, ale i tak było za silne. Chciała zaprotestować, zauważyła jednak, że Oscar dotyka obolałego boku. W czasie ich zespolenia rana otworzyła się do reszty. Krew spływała w dół, w stronę ciągle otulonego prezerwatywą kuriozum, i w bok, po żebrach, na prześcieradło.

- Nic mi nie jest - uspokoił ją, gdy próbowała wstać. - Wygląda gorzej, niż boli.

- Ale trzeba jakoś zatamować krwotok.

- To dobra, godolphińska krew. Zawsze sporo jej przelewano. - Oscar skrzywił się i uśmiechnął jednocześnie. Spojrzał na portret nad łóżkiem.

- Chyba się zgorszył - zauważyła Jude.

- Wprost przeciwnie. Jestem pewien, że byłby tobą zachwycony. Joshua rozumiał, co to znaczy oddanie.

Spuściła wzrok. Krew ciekła Oscarowi pomiędzy palcami.

- Może jednak cię opatrzę? Robi mi się niedobrze.

- Dla ciebie zrobię wszystko. Zgoda.

- Masz jakieś bandaże?

- Dowd pewnie ma, ale nie chcę, żeby o nas wiedział. Jeszcze nie teraz. Niech to będzie nasza tajemnica.

- Moja, twoja i Joshuy.

- Nawet Joshua nie wie, na co nas stać - odparł Oscar bez cienia ironii w głosie. - Jak myślisz, dlaczego zgasilem światło?

Poszła do łazienki po czysty ręcznik.

- Nawiasem mówiąc, wcale nie żartowałem - usłyszała z pokoju.

- Z czym?

- Że dla ciebie zrobię wszystko. W każdym razie wszystko co w mojej mocy.

Chcę, żebyś ze mną została, Judith. Wiem, że żaden ze mnie Adonis, ale dużo się od Joshuy nauczyłem... o oddaniu i poświęceniu. Co tylko zechcesz - dodał, gdy wyszła z łazienki.

- To bardzo hojna oferta.

- Przyjemnie jest dawać.

- _ Chyba wiesz, czego najbardziej pragnę.

- Nie jestem dobry w zgadywankach. - Pokręcił głową. - Tylko w krykieta jakoś sobie radzę. Powiedz mi.

Usiadła na skraju łóżka, delikatnie odsunęła jego dłoń od rany i zaczęła wycierać ją z krwi.

- Powiedz - powtórzył.

- Dobrze. Chcę, żebyś zabrał mnie z tego dominium i pokazał mi Yzordderrex.

ROZDZIAŁ 25

1

Dwadzieścia dwa dni po opuszczeniu lodowych pustkowi Jokalaylau - dni podróży przez tereny Trzeciego Dominium, w czasie których Pie i Gentle'owi szczęście sprzyjało jak nigdy dotąd - stali na peronie stacji nieopodal małej miejsciny Mai-Ké. Czekali na pociąg, który raz w tygodniu przejeżdżał tędy w drodze z Iahmandhas na północnym wschodzie do leżącego pół dnia drogi na południe L'Himby.

Nie mogli się go już doczekać. Ze wszystkich miast i wiosek, które przez ostatnie trzy tygodnie odwiedzili, Mai-Ké okazało się najmniej gościnne. Miało swoje powody. Oblężone przez dwa słońca Trzeciego Dominium, od sześciu lat nie mogło się doczekać na deszcz, który pozwoliłby zebrać plony. Tarasowo ułożone pola, na których powinny szumieć bujne łąny, były nagie i wypalone na popiół, a zapasy żywności prawie się wyczerpały. Mieszkańcom głód zaglądał w oczy i wcale nie mieli ochoty przyjmować gości. Ubiegłej nocy wylegli na ulice i modlili się głośno, prowadzeni przez duchowych przywódców, którym chyba zaczynało brakować natchnienia. Hałasy trwały aż do brzasku, tak że nie dało się oka zmrużyć. Gentle uznał, że nawet najbardziej współczujące bóstwo taka impreza doprowadziłaby do białej gorączki. Na skutek nieprzespanej nocy stosunki między nim a Pie stały się cokolwiek napięte.

Nie czekali na stacji sami. Jakiś pasterz z Mai-Ké przyprowadził na peron stado owiec; zwierzęta były tak wychudzone, że ledwo trzymały się na nogach. W ślad za owcami przybyły chmary miejscowego robactwa - insektów zwanych zarzi, o skrzydłach ważki i ciele pękatym i owłosionym jak u pszczoły. Zarzi żywiły się żerującymi na owcach kleszczami, przynajmniej dopóki nie znalazły nic bardziej atrakcyjnego. Tym razem miały szczęście - krew Gentle'a bardzo przypadła im do gustu. Nie mógł się od nich opędzić.

Jedyna osoba z Mai-Ké, od której czegoś udało im się dowiedzieć, Hairstone Banty, twierdziła, że pociąg powinien przyjechać o czasie. Nie była godna zaufania. Pociąg sporo się już spóźniał.

Żar lał się z nieba. Gentle, opędzając się od zarzi, wyszedł z cienia stacyjki i wyjrzał na tory. Biegły prosto jak strzełił aż po horyzont i w oddali nic się na nich nie poruszało. Za to kilka metrów od jego stóp uwijało się stadko obrzydliwych szcurów, zwanych tu grobownikami. Zbierały suchą trawę na budowę gniazd, wciśniętych między szyny i żwir, na którym oparto podkłady. Ich krzątania dodatkowo go zirytowała.

- Nie wydostaniemy się stąd - powiedział do Pie, który siedział na ziemi i ostrym odłamkiem rysował kamienną krawędź peronu. - Hairstone chciała się zemścić na dwóch hoopreo.

Mnóstwo razy słyszał to słowo wypowiedane szeptem w ich obecności. Miało wiele znaczeń, równie dobrze mogło określać przybysza z egzotycznych krain, jak i odrażającego trędowatego - wszystko zależało od wyrazu twarzy, jaki mu towarzyszył. Mieszkańcy Mai-Ké byli mistrzami w strojeniu min. Kiedy mówili o Gentle'u „hoopreo”, nie miał wątpliwości, który koniec skali znaczeń jest im bliższy.

- Pociąg przyjedzie - odparł Pie. - Nie my jedni czekamy.

Parę minut wcześniej na peronie zjawiły się dwie kolejne grupki: trzypokoleniowa rodzina mieszkańców Mai-Ké, która ściągnęła na stację chyba cały swój dobytek, oraz trzy kobiety w obszernych szatach, o głowach ogolonych do gołej skóry i oblepionych błotem - mniszki z zakonu Goetic Kicaranki, znieawidzone w Mai-Ké na równi z każdym dobrze odżywionym hoopreo. Widok potencjalnych współtowarzyszy podróży nieco Gentle'a pocieszył, ale tory nadal były puste, a grobowniki, które pierwsze musiałyby wyczuć drgania szyn, nie przerywały pracy. Szybko mu się znudziły.

- Co robisz, Pie?

- Staram się policzyć, ile już tu jesteśmy.

- Dwa dni w Mai-Ké, wcześniej półtora dnia drogi z Attaboy...

- Nie. Liczę ziemskie dni, od początku. Odkąd przybyliśmy do dominiów.

- Próbowaliśmy to robić w górach i nic nam z tego nie wyszło.

- Mózgi nam pozamarzały.

- To znaczy, że teraz ci się udało?

- Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Czasu mamy aż nadto. - Gentle wrócił spojrzeniem do szczurów. - Małe skurczybyki dochowają się wnuków, zanim ten cholerny pociąg przyjedzie.

Mistyf skupił się na swoich rachunkach i Gentle wrócił do względnie przytulnej poczekalni, w której, sądząc po bobkach na podłodze, musiały ostatnio pomieszkiwać całe stada owiec. Zarzi wleciały za nim do środka i z namolnym bzyczeniem krążyły mu nad głową. Z kieszeni kurtki (kupili ją za pieniądze wygrane w Attaboy, ale źle na nim leżała) wyciągnął podniszczony egzemplarz „Fanny Hill” - jedynej oprócz „Wędrówek pielgrzyma” anglojęzycznej książki, jaką mógł nabyć - i przez jakiś czas próbował tłuc nim insekty, ale szybko dał za wygraną. Doszedł do wniosku, że albo się im znudzi, albo uodporni się na ich ukąszenia, i było mu wszystko jedno, co nastąpi wcześniej.

Oparł się o upstrzoną rysunkami ścianę i ziewnął. Nudził się. Śmiertelnie się nudził. Kto by pomyślał! Gdyby po przybyciu do Vanaeph Pie powiedział mu, że po kilku tygodniach będzie znużony cudami Pojednanych Dominiów, wyśmiałyby go. Wówczas miał nad głową złocistozielone niebo, w oddali lśniły iglice Patashoqua i wydawało mu się, że czekają go tysiące przygód. Kiedy jednak dotarli do Beatrix, którego miłych wspomnień późniejsza masakra nie zdołała całkowicie zatrzeć, przypominał już zwyczajnego podróżnika w obcym kraju: był przygotowany na trafiające się od czasu do czasu wspaniałości, ale dochodził do wniosku, że wszystkie rozumne dwunogi są takie same, bez względu na to, jakie słońce im przyświeca. Naturalnie, przez ostatnie kilka dni byli świadkami niezwykłych wydarzeń, ale nie aż tak niesamowitych, żeby nie mógł ich sobie wyobrazić, siedząc w domu i pijąc na umór.

Owszem, zdarzały się wspaniałe widoki, lecz nie brakowało też nudy, niewygód i banałów. Na przykład po drodze do Mai-Ké mieszkańcy pewnej bezimiennej wioski namawiali ich gorąco, żeby zostali na czas miejscowego święta połączonego z topieniem osła. Pochodzenie tego rytuału owiane było, jak im powiedziano, mgłą tajemnicy. Odmówili - Gentle stwierdził, że naprawdę sięgnęliby dna, godząc się udział w festiwalu - i pojechali dalej wozem, którego właściciel z dumą obwieścił, że od sześciu pokoleń służy do przewozu gnoju. Następnie ze szczegółami objaśnił im cykl rozwojowy odwiecznego wroga jego rodu, pensanu, zwanego leż gównokogulem, którego śladowa ilość odchodów mogła sprawić, że cały ładunek gnoju nie nadawał się do jedzenia. Nie

wypytywali go już, kto w okolicy gustuje w takim pożywieniu, ale przez następne dni bardzo dokładnie oglądali zawartość swoich talerzy.

Kiedy tak siedział w poczekalni, rozgniatając pod butem twarde owcze bobki, przypominał też sobie najciekawsze chwile podróży przez Trzecie Dominium: pobyt w Effatoi, które zaraz przemianował na Attaboy. Miasto nie było duże - wielkością i urokiem przypominało Amsterdam - ale stanowiło prawdziwy raj dla hazardzistów. Z całego dominium ściągali do niego ci, którzy nie potrafili żyć bez hazardu. W Attaboy mogli zagrać w każdą znaną w Imajice grę. Jeżeli nie chcieli cię już widzieć w żadnym kasynie ani na nielegalnych walkach kogutów, zawsze mogłeś znaleźć desperata, który założy się o kolor twoich szczyń. Dzięki niemal telepatycznej współpracy Gentle i Pie zbili małą fortunę (w co najmniej ośmiu walutach), która powinna zapewnić im wikt i opierunek aż do Yzordderrex. Jednak to nie perspektywa zysku zadecydowała o tym, że Gentle prawie kupił dom w Attaboy, lecz miejscowy smakołyk - strudel ze zmiękczoneymi w miodzie pestkami owocu, który wyglądał jak krzyżówka brzoskwini z granatem. Zajadał się nim przed grą, żeby dodać sobie ducha, w trakcie gry, żeby się uspokoić, i po grze, żeby uczcić zwycięstwo. Dopiero gdy Pie zapewnił go, że przysmak ten można dostać absolutnie wszędzie (albo za wygrane pieniądze wynająć cukiernika, który przyrządzi go na zawołanie), Gentle dał się przekonać do wyjazdu.

- Musimy jechać dalej - mówił mistyf. - Scopique czeka.

- Brzmi to tak, jakby się nas spodziewał.

- Zawsze jestem wyczekiwany gościem.

- Kiedy ostami raz byłeś w L'Himby?

- Co najmniej... dwieście trzydzieści lat temu.

- To on przecież dawno umarł.

- Scopique jest inny. Musimy się z nim zobaczyć, to bardzo ważne. Zwłaszcza teraz, gdy szykują się takie zmiany.

- Zrobimy to, jeśli chcesz. Jak daleko jest stąd do L'Himby?

- Dzień drogi pociągiem.

Wtedy właśnie Gentle pierwszy raz usłyszał o torach kolejowych łączących Iahmandhas z L'Himby, miasto pieców z miastem świątyni.

- Spodoba ci się w L'Himby - stwierdził Pie. - To miejsce zadumy.

Wypoczęci i znacznie bogatsi, następnego ranka opuścili Attaboy. Przez cały dzień jechali wzdłuż rzeki Fefer, przez Happi i Omootajive dotarli do prowincji Ched Lo Ched, Kwiecistego Miejsca (w którym chwilowo nic nie kwitło) i wreszcie do Mai-Ké, tkwiącego w kleszczach nędzy i purytanizmu.

- Dobrze - dobiegł go z peronu głos Pie.

Wstał i wyszedł z chłodnej poczekalni.

- Jedzie?

- Nie, skończyłem obliczenia. - Mistyf wpatrywał się w porysowaną powierzchnię peronu pod stopami. - Wynik jest oczywiście przybliżony, ale dopuszczam pomyłkę najwyżej o dzień lub dwa. No, może o trzy.

- Który dziś jest?

- Zgadnij.

- Marzec... Dziesiąty marca.

- Pudło. Z obliczeń - podkreślam: przybliżonych obliczeń - wynika, że mamy siedemnasty maja.

- Niemożliwe.

- Ale prawdziwe.

- Wiosna się kończy?

- Chciałbyś wrócić?

Gentle rozważał to przez chwilę.

- Niespecjalnie. Szkoda tylko, że pociągi nie są tu zbyt punktualne. - Zszedł na krawędź peronu i spojrzał na tory.

- Ani widu, ani słychu - stwierdził Pie. - Szybciej byśmy jechali na doeki.

- Cały czas to robisz...

- Co robię?

- Wypowiadasz słowa, które mam na końcu języka. Czytasz w moich myślach?

- Nie. - Pie zaczął zacierać obliczenia obcasem.

- Jak wobec tego wygrywaliśmy w Attaboy?

- Nie potrzebujesz się uczyć.

- Tylko mi nie wmawiaj, że to mój wrodzony geniusz. Przez całe życie nic nie wygrałem, aż nagle, odkąd jeździmy razem, zrobiłem się nieomylny. To nie może być

przypadek. Powiedz prawdę.

- To właśnie jest prawda. Nie musisz niczego się uczyć, najwyżej coś sobie przypomnieć... - Pie uśmiechnął się.

- No właśnie, następna sprawa... - Gentle machnął ręką i ku swojemu zdumieniu złapał natrętne zarzi. Otworzył dłoń. Zmiażdżył owadowi skorupkę, z której wyciekał teraz siny śluz, ale zarzi żył jeszcze. Gentle strzepnął dłonią, rzucił owada na kamienie, wyrwał garść rachitycznej trawy spomiędzy płyt peronu i zaczął wycierać sobie rękę. - O czym to ja mówiłem? A, już wiem, o tym, czego nie pamiętam. - Otworzył dłoń. -

Pneumy. Dlaczego miałbym o nich zapomnieć?

- Albo straciły dla ciebie znaczenie...

- Wątpię.

- ...albo chciałeś o nich zapomnieć.

W słowach mistyfa coś zgrzytnęło nieprzyjemnie, ale Gentle nie ustępował.

- Dlaczego miałbym chcieć zapomnieć?

Pie spojrział na tory. W oddali niebo częściowo przesłaniał obłok kurzu.

- No, słucham! - naciskał Gentle.

Mistyf nie odwrócił się do niego.

- Może pamięć za bardzo boli - odparł.

Ta odpowiedź zabrzmiała jeszcze paskudniej. Gentle musiał się nieco wysilić, żeby ogarnąć jej sens.

- Przestań!

- O co ci chodzi?

- Przestań mówić do mnie jak do głupka. Flaki się od tego wywracają.

- Ja nic nie robię. - Tym razem zmiana w głosie Pie była bardziej subtelna. -

Uwierz mi. Nic nie robię.

- Opowiedz mi o pneumach. Chcę wiedzieć, skąd mam taką moc.

Pie otworzył usta, ale słowa wydobyły się z nich tak zdeformowane, zabrzmiały tak ohydnie, że Gentle poczuł, jakby ktoś z całej siły wyrzucił go pięścią w żołądek.

- Chryste Panie! - Zaczął rozcierać sobie brzuch, żeby złagodzić mdłości. - Nie wiem, w co pogrywasz...

- W nic! - zaprotestował Pie. - To wszystko przez ciebie. Nie chcesz usłyszeć tego,

co mam do powiedzenia.

- Właśnie, że chcę! - Gentle otarł lodowaty pot z twarzy. - Chcę poznać wszystkie odpowiedzi, chcę je usłyszeć jasno i wyraźnie!

Pie z ponurą miną zaczął mówić, ale Gentle natychmiast zgiął się wpół, targany nową falą mdłości. Niech go diabli, jeśli mistyfowi uda się coś przed nim ukryć! To już była kwestia zasad. Pie po kilku pierwszych słowach umilkł.

- Powiedz mi! - Gentle zamierzał zmusić go do posłuszeństwa, nawet gdyby nie miał zrozumieć ani słowa z tego, co mówił. - Co zrobiłem, że tak bardzo chcę o tym zapomnieć? Mów!

Cała twarz Pie wyrażała opór, ale otworzył usta. Popłynęła z nich mowa tak zniekształcona, że Gentle z trudem wychwytał jej szczątkowy sens - coś o mocy, coś o śmierci...

Uznając, że zwyciężył, machnięciem ręki uciszył mistyfa. Odwrócił się w poszukiwaniu widoku, który przyniosłby mu ulgę, ale otaczająca go sceneria była jak żywcem wyjęta z taniego horroru: grobowniki wiły swoje żalosne gniazda pod szynami, tor ciągnął się w nieskończoność, na ziemi leżał martwy zarzi z rozprutym odwłokiem, z którego wysypały się jaja. Właśnie ta ostatnia scena, choć paskudna, nasunęła mu skojarzenia z jedzeniem. Ryba w brzuchu ryby wewnątrz ryby, a w tej najmniejszej pełno ikry... Ta wizja była kroplą, która przepełniła czarę. Zatoczył się na skraj peronu i zwymiotował na szyny. Brzuch miał prawie pusty, ale skurcze trwały długo. W końcu wstrząsany drgawkami odsunął się od torów. Czuł jeszcze zapach wymiocin, lecz torsje ustały. Kątem oka dostrzegł idącego w jego stronę mistyfa.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął. - Nie dotykaj mnie!

Odwrócił się plecami do wymiocin i tego, który je wywołał, wrócił do poczekalni i usiadł na twardej drewnianej ławce. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Kiedy ból z wolna zaczął ustępować, Gentle wrócił myślami do napaści Pie. W ostatnich miesiącach kilkakrotnie wypytywał go o naturę mocy, jak się ją zdobywa i jak w szczególności on, Gentle, ją posiadał. Mistryf udzielał niewiarygodnie wykrętnych odpowiedzi, ale do tej pory Gentle nie czuł potrzeby zgłębienia tej kwestii. Być może jego podświadomość wcale nie chciała znać prawdy. Taki dar miał zwykle swoje konsekwencje, lecz Gentle za bardzo cieszył się rolą obdarowanego i posiadacza, żeby psuć sobie przyjemność

rozważaniem własnej pychy. Wystarczało mu, że półsłówka i mętne wzmianki zniechęcały go do poszukiwań - i pewnie nic by się nie zmieniło, gdyby nie zarzi i spóźnienie pociągu do L'Himby, które wspólnie go zdenerwowały. Nudził się i szukał zaczepki, choć i tak była to tylko połowa prawdy. Naciskał mistyfa, bez wątpienia, ale do niczego go nie zmuszał; atak z jego strony wydawał się przesadzony i nie na miejscu. Gentle zadał niewinne pytanie, a w rewanżu Pie wyrzucił go na nice. To tyle, jeśli chodzi o czułe słówka w górach.

- Gentle...

- Spierdalaj!

- Ale pociąg...

- Co pociąg?

- Nadjeżdża.

Otworzył oczy. W drzwiach stał zasmucony mistyf.

- Gentle, przykro mi, że do tego doszło, ale tak musiało być.

- Nie musiało. To wszystko przez ciebie.

- Nie. Uwierz mi.

- Nie przez ciebie? To co się stało, strułem się czymś?

- Nie. Są jednak pytania...

- Od których robi mi się niedobrze.

- ...na które nie chcesz poznać odpowiedzi.

- Za kogo ty mnie masz? - spytał z pogardą Gentle. - Zadałem ci pytanie, a ty przelałeś mi do głowy takie szambo, że się porzygałem. I co? To wszystko moja wina, bo nie powinienem był się dopytywać. Co to za chora logika?

Pie uniósł ręce, udając, że się poddaje.

- Nie będę się z tobą kłócił.

- I bardzo dobrze.

Dalsza rozmowa i tak nie miałyby sensu, bo łoskot zbliżającego się pociągu narastał z każdą chwilą. Zebrani na peronie głośno wiwatowali i klaskali. Gentle na chwiejnych nogach wyszedł za Pie z poczekalni.

Wyglądało na to, że połowa mieszkańców Mai-Ké zgromadziła się na stacji. Większość z nich, jak się domyślał, przybyła raczej w charakterze gości niż podróżnych;

przyjazd pociągu pozwalał na chwilę zapomnieć o głodzie i niewysłuchanych modłach. Jednak kilka rodzin zamierzało wyjechać z miasta i ludzie z bagażami w rękach przeciskali się przez tłum. Wielkich wyrzeczeń wymagała od nich ta decyzja. Ze łzami żegnali seniorów, którzy najwyraźniej nie spodziewali się już więcej ujrzeć dzieci i wnuków. Dla Gentle'a i Pie wyjazd do L'Himby stanowił krótki skok w podróży; dla nich oznaczał zatonięcie w otchłani pamięci.

Należało uczciwie przyznać, że niewiele było w Imajice równie spektakularnych środków transportu jak olbrzymia lokomotywa, która powoli wyłaniała się z obłoków pary. Ktokolwiek nakreślił plany tego lśniącego, ryczącego monstrem, musiał świetnie znać jego ziemskie odpowiedniki - wycofane ze służby w świecie zachodnim, ale wciąż używane w Chinach i w Indiach. Naśladownictwo nie było tak niewolnicze, żeby zabić wszelki ślad radości życia - jaskrawe kolory upodabniały lokomotywę do samca w godowym upierzeniu, który przemierza szlaki w poszukiwaniu samicy - ale pod warstwą farby kryła się maszyna, która w czasach po pierwszej wojnie światowej nie zdziwiłaby nikogo na Marylebone czy King's Cross. Ciągnęła sześć wagonów pasażerskich i drugie tyle towarowych; do dwóch ostatnich załadowano stado owiec. Pie przeszedł już wzdłuż pociągu i właśnie wracał do Gentle'a.

- Do drugiego - powiedział. - Tam jest najluźniej.

Wsiedli do wagonu. Wnętrza kiedyś musiały być luksusowe, ale lata służby na torze zrobiły swoje. Większość foteli nie miała już ani obić, ani zagłówków, w niektórych w ogóle brakowało oparcia. Podłogę pokrywała warstwa kurzu, ściany zaś - dawniej ozdobione w równie barwnym i chaotycznym stylu co lokomotywa - aż się prosiły o świeżą warstwę farby. W przedziale zastali dwóch pasażerów, groteskowo otyłych mężczyzn w czarnych płaszczach, z których rękawów wynurzały się niewiarygodnie powyginane kończyny. Wyglądali jak księża po ciężkim wypadku, zbiegli z oddziału chirurgicznego. Oczy, nosy i usta mieli drobne, ledwie widoczne, skupione pośrodku twarzy, jakby bały się, że utoną w zwałach tłuszczu. Obaj zajadali orzechy, rozgniatali je w pulchnych dłoniach i zrzucali na podłogę deszcz skorup.

- To Bulwarowi Bracia - mruknął Pie, gdy Gentle sadowił się jak najdalej od ogromnych dziadków do orzechów.

Mistyf usiadł naprzeciw niego. Obok siebie postawił torbę zawierającą nieliczne

drobiazgi, których się dorobili. Długo trwało, zanim odporne owce dały się namówić lub zmusić do wejścia do wagonu (zupełnie jakby wiedziały, że jadą prosto do rzeźni), a pożegnania na peronie ostatecznie dobiegły końca. Otwartym oknem do przedziału wleciały zarzi, które jednak na widok Braci i ich posiłku straciły zainteresowanie Gentle'em.

Zmęczony długimi godzinami oczekiwania i udręczony kłopotami z żołądkiem, Gentle zasnął. Kiedy się ocknął, mieli za sobą już dwie godziny podróży. Za oknem niewiele się zmieniło. Widział szarobure pola, takie same jak w okolicach Mai-Ké, i rzadko rozsiane skupiska domów, trudnych do odróżnienia od ziemi, na której stały, a budowanych z błota w czasach, gdy padał deszcz. Niekiedy mignął mu kawałek ziemi - bliski źródła albo lepiej nawodniony niż okoliczne pola - na którym uchowały się ślady życia; nieco rzadziej trafiali się zniwiarze zbierający plony. Poza tym sceneria potwierdzała przewidywania Hairstone Banty. Będzicie długo jechać przez jałowe ziemie, mówiła; potem przejedzicie przez Stepy, dalej będą Trzy Rzeki i prowincja Bem, której stolicą jest L'Himby. Gentle nie dowierzał jej trochę (paliła zielsko tak ostre, że nie mogła tego robić dla czystej przyjemności, poza tym uśmiechała się, a tego nie robił nikt w mieście), ale - naćpana czy nie - miała pojęcie o geografii.

Znów zaczął się zastanawiać, skąd bierze się moc, którą Pie w nim obudził. Jeżeli, jak przypuszczał, mistyf wpłynął na bierną do tej pory część jego mózgu i wyzwolił siły, które drzemały we wszystkich ludziach, dlaczego, do cholery, nie chciał się do tego przyznać? Czy kiedy byli w górach, Gentle nie udowodnił mu, że jest więcej niż chętny, by zaakceptować ideę komunii umysłów? A może mistyf czuł się tą bliskością zawstydzony i przez swój atak na peronie chciał przywrócić dzielący ich dawniej dystans? W takim razie udało mu się. Przez pół dnia żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Popołudnie było upalne. Pociąg zatrzymał się w małej miejscinie na dłuższą chwilę, żeby wyładować przywieziony z Mai-Ké żywy inwentarz. W tym czasie przez pociąg przeszło aż czterech sprzedawców przekąsek i napojów orzeźwiających. Jeden roznosił wyłącznie słodczyce. Wśród nich Gentle wypatrzył miejscową odmianę ciasta z pestkami i miodem, przez które omal nie zamieszkał w Attaboy. Poprosił o trzy plasterki, od drugiego handlarza kupił dwie filiżanki słodkiej kawy i to połączenie szybko

pobudziło jego ospały organizm. Mistyf kupił i zjadł kawałek suszonej ryby, której zapach jeszcze bardziej zniechęcił Gentle'a do niego.

Kiedy rozległ się krzyk, zapowiadający odjazd ze stacji, Pie zerwał się z miejsca i rzucił do drzwi. Gentle'owi przeszło przez myśl, że mistyf zamierza go opuścić, ale nie - Pie wyskoczył z wagonu, na peronie kupił pośpiesznie gazetę i wrócił, gdy pociąg ruszał ze stacji. Usiadł obok resztek ryby z obiadu i ledwie zaczął czytać, gwizdnął cicho.

- Powinieneś to zobaczyć, Gentle.

Największy nagłówek był w języku, którego Gentle nie tylko nie rozumiał, ale nawet nie rozpoznał, lecz nie miało to większego znaczenia. Zdjęcia mówiły same za siebie - na szubienicy wisiało sześć ciał, a mniejsze wstawki przedstawiały portrety straconych. Rozpoznał dwoje z nich, Hammaryocka i pontyfię Farrow, prawodawców Vanaeph. Poniżej znajdował się starannie wykonany portret Ticka Raw, szalonego wywoławcy.

- No, no... dostali za swoje. To najlepsza wiadomość od kilku dni.

- Wcale nie.

- Przecież próbowali nas zabić, nie pamiętasz? - zauważył rozsądnie Gentle, obiecując sobie w duchu, że nie da się sprowokować do kłótni. - Teraz zawisli na szubienicy, a ja nie zamierzam po nich płakać! Co właściwie zrobili? Chcieli ukraść Merrow Ti' Ti?

- Merrow Ti' Ti' nie istnieje.

- To był dowcip - odparł z powagą Gentle.

- Wybacz, nie zorientowałem się. Popelnili... - Pie odebrał od Gentle'a gazetę. - Popelnili znacznie gorszą zbrodnię. - Ściszył głos i zaczął czytać szeptem: - Tydzień temu stracono ich za próbę zamachu na życie autarchy, kiedy ten wraz z orszakiem przybył do Vanaeph z misją pokojową...

- Żartujesz!

- Nie, tak jest tu napisane.

- Udało im się?

- Oczywiście że nie. - Pie w milczeniu przebiegł wzrokiem resztę artykułu. -

Trzech jego doradców zginęło od bomby, jedenastu żołnierzy zostało rannych. Bombę... Zaraz, trochę zapomniałem omootajivski... Bombę przemyciła pontyfia Farrow.

Spiskowców pojmano żywcem, ale powieszono martwych, co oznacza, że zginęli na torturach, a mimo to autarcha postanowił zrobić przedstawienie i urządził publiczną egzekucję.

- Barbarzyńca!

- To powszechny zwyczaj, zwłaszcza w wypadku procesów politycznych.

- Co ma z tym wspólnego Tick Raw? Dlaczego zamieścili jego zdjęcie?

- Piszą, że należał do spisku, ale udało mu się uciec. Dureń...

- Dlaczego?

- Nie powinien mieszać się do polityki, kiedy gra toczy się o taką stawkę. Nie pierwszy raz to zrobił, naturalnie. I nie ostatni...

- Zaraz! Nie rozumiem.

- Ludzie, którzy mają dość czekania, zniżają się do polityki. Jakie to krótkowzroczne! Palant.

- Dobrze go znasz?

- Kogo, Ticka? - Na twarzy Pie odmalowało się zmieszanie. - Powiedzmy, że jest... na swój sposób sławny. Na pewno go znajdą. W całych dominiach nie będzie jednej dziury, w której mógłby się schować.

- A co tobie do tego?

- Mów ciszej.

- Odpowiedz mi. - Gentle posłusznie zniżył głos.

- Był maestrem, Gentle. Sam siebie nazywał wywoławcą, ale to na jedno wychodzi. Miał moc.

- Czemu w takim razie mieszkał w takim rynsztoku jak Vanaeph?

- Nie wszystkim zależy na pieniądzach i kobietach, Gentle. Niektórzy mają wyższe aspiracje.

- Na przykład?

- Mądrość. Pamiętasz jeszcze, dlaczego wyruszyliśmy w podróż? Chciałeś zrozumieć. To piękny cel. - Pierwszy raz od rozmowy na peronie Pie spojrzął Gentle'owi w oczy. - Twój cel, przyjacielu. Ty i Tick Raw macie wiele wspólnego.

- Wiedział o tym?

- Oczywiście...

- Czy dlatego tak się zapienił, kiedy nie chciałem z nim dłużej porozmawiać?

- Tak sądzę.

- Jasny gwint!

- Hammeryock i Farrow wzięli nas pewnie za szpiegów, którzy chcą wyniuchać, kto dybie na życie autarchy.

- Ale Tick Raw wiedział, że to nieprawda.

- Tak. Kiedyś był niezwykłym człowiekiem, Gentle... W każdym razie tak głosiła plotka. Teraz albo nie żyje, albo wzięli go na tortury. A to bardzo dla nas niedobrze.

- Myślisz, że zdradzi nasze imiona?

- Kto wie? Maestrowie potrafią bronić się przed torturami, ale nawet najtwardszych można złamać, jeśli się wie, jak to zrobić.

- Chcesz przez to powiedzieć, że autarcha nas ściga?

- Raczej nie. Chybabyśmy się połapali, gdyby tak było. Oddaliliśmy się kawał drogi od Vanaeph. Trop wystygł.

- A może wcale nie złapali Ticka, co? Może im się wymknął.

- Na pewno dopadli Hammeryocka i pontyfię. Możemy chyba założyć, że mają nasze dokładne rysopisy.

- Cholera! - jęknął Gentle. - Niewielu zdobywamy sobie przyjaciół, co?

- Tym bardziej nie powinniśmy się rozdzielać - odparł mistyf. Na jego twarzy zamigotał cień mijanego zagajnika bambusowego, ale Pie nawet nie mrugnął. Wpatrywał się w Gentle'a. - Przepraszam cię za wszystkie krzywdy, które twoim zdaniem ci wyrządziłem, dawniej i ostatnio. Nigdy nie chciałem ci nic złego zrobić, Gentle. Proszę, uwierz mi.

- Wiem - przytaknął mrukliwie Gentle. - Ja też cię przepraszam. Serio.

- Proponuję odłożyć nasz spór do czasu, gdy jedynymi naszymi przeciwnikami w Imajice będziemy my sami. Zgoda?

- To może potrwać.

- Tym lepiej.

- Zgoda. - Gentle roześmiał się i podał Pie rękę. - Widzieliśmy razem zdumiewające rzeczy, prawda?

- Istotnie.

- W Mai-Ké zacząłem po prostu wątpić w cudowność tej podróży.
- Czeka na nas jeszcze wiele cudów.
- Ale obiecaj mi jedno, dobrze?
- Słucham.
- Nigdy więcej nie jedz przy mnie surowych ryb. Nie zniosę tego.

2

Hairstone Banty tak tęsknym głosem opowiadała im o L'Himby, że Gentle spodziewał się drugiego Katmandu, miasta świątyń, pielgrzymów i taniej trawki. Może L'Himby istotnie kiedyś tak wyglądało - w dawno minionych czasach młodości Banty ale kiedy niedługo po zapadnięciu zmroku wysiedli z Pie z pociągu, atmosfera miasta daleka była od przesyconej duchowym spokojem. Przy wyjściu stali żołnierze. Palili papierosy i rozmawiali swobodnie, ale kilku obserwowało wychodzących ze stacji pasażerów. Na szczęście chwilę wcześniej inny pociąg zajechał na sąsiedni peron i przy wyjściu tłoczyli się podróżni, z tobołkami, w których nieśli dorobek całego życia. Pie i Gentle bez większego trudu przecisnęli się przez tłum, przepchnęli przez bramkę i niezauważeni wyszli ze stacji.

Na szerokich, jasno oświetlonych ulicach kręciło się znacznie więcej żołnierzy; ich pozorna obojętność bynajmniej nie działała uspokajająco. Szeregowcy mieli ponure, szare mundury, oficerowie - białe, doskonałe na tropikalne noce. Wszyscy obnosili się z bronią. Gentle starał się nie przyglądać im zbyt ciekawie, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Nawet przelotne spojrzenia wystarczały jednak, żeby stwierdzić, iż broń i zaparkowane w bocznych uliczkach wozy pancerne do złudzenia przypominają przerażający sprzęt, który widzieli na ulicach Beatrix. Dowódcy z Yzordderrex musieli być mistrzami sztuki wojennej. Technika, jaką dysponowali, o kilka pokoleń wyprzedzała lokomotywę.

Jednak najbardziej fascynowały go nie pistolety maszynowe i nie czołgi, lecz wchodzące w skład oddziałów istoty, jakich jeszcze nigdy nie widział. Pie nazywał je oethacami. Były wzrostu człowieka, ale jedną trzecią ich ciała stanowiła głowa oparta na

groteskowo szerokim korpusie, który musiał udźwignąć jej masę. Gentle zwrócił uwagę, że muszą być łatwym celem, lecz Pie wyjaśnił mu szeptem, że mają małe mózgi i grube czaszki, a o ich odporności na ból krążą legendy. To stwierdzenie zdawało się potwierdzać rozliczne karminowe blizny, odcinające się wyraźnie od białej jak kość skóry.

Wyglądało na to, że wojsko od dawna stacjonuje w L'Himby, bo mieszkańcy spokojnie zajmowali się codziennymi sprawami, nie zwracając uwagi na żołnierzy i ich śmiercionośne maszyny. Nie bratali się z nimi, ale i nie narzekali.

- Dokąd teraz? - spytał Gentle, gdy wyszli z tłumu przed stację.

- Scopique mieszka na północnym wschodzie miasta, blisko świątyni. Jest doktorem, i to bardzo szanowanym.

- Myślisz, że ciągle jeszcze leczy?

- On nie zestawia złamanych kości, Gentle. Jest doktorem teologii. Polubił to miasto za jego niegdysiejszą senną atmosferę.

- Zmieniło się, prawda?

- Z pewnością. I wzbogaciło.

Dowody nowo nabytego bogactwa miasta widać było na każdym kroku - w błyszczących gmachach, które wyglądały, jakby farba na ich fasadach nie zdążyła wyschnąć, w ogromnej różnorodności strojów mieszkańców i wielkiej liczbie luksusowych samochodów na ulicach. Przetrwały nieliczne ślady kultury sprzed nagłego rozkwitu miasta. Między pojazdami przemykały czasem juczne zwierzęta, na które wszyscy zgodnie trąbili i klęli; ze starych budynków pozostały resztki fasad, włączone - zazwyczaj niezbyt zręcznie - w nowe konstrukcje. Tubylcy mieli na głowie krystaliczne narośle, żółte i purpurowe, czasem układające się w kształt korony lub tonsury, ale zwykle wyrastające na przykład na samym środku czoła lub nieregularnie rozrzucone wokół ust. Pie twierdził, że nie pełnią żadnej znaczącej funkcji, ale elity najwidoczniej uważały je za wstydlivy defekt i dokładały starań, żeby ukryć pokrewieństwo z pospółstwem. Jedni nosili kapelusze, woalki i makijaż, inni, którzy zdecydowali się na pomoc chirurga, chodzili z gołą głową, pokazując świadczące o zamożności blizny.

- Żalotne - rzekł Pie, kiedy Gentle zwrócił na to jego uwagę. - To właśnie jest szkodliwy wpływ mody. Waszej mody. Ci ludzie chcą wyglądać jak modele i modelki z

Patashoqua, a tamtejsi styliści od zawsze czerpią natchnienie z Piątego Dominium. Idioci! Spójrz na nich! Założę się, że gdybyśmy zaczęli rozpowiadać, że w Paryżu najmodniejsze jest ostatnio obcinanie sobie rąk, brodzilibyśmy w oderżniętych kończynach aż pod sam dom Scopique'a.

- Kiedy ostatnio byłeś w dominiach, wyglądało to inaczej?

- W L'Himby tak. To było spokojne miasto, już ci mówiłem. Patashoqua to co innego. Zawsze miało blisko do Piątego Dominium, więc jego wpływy są tam silniejsze. Nigdy nie brakowało pomniejszych maistrów, którzy podróżowali na Ziemię i z powrotem i przynosili nowe style i idee. Niektórzy nawet zrobili na tym jaki taki interes: co kilka miesięcy przemierzali In Ovo, poznawali ziemskie nowinki i sprzedawali je domom mody, architektom i tak dalej. Totalna dekadencja. Odrazające.

- Przecież zrobiłeś to samo, prawda? Stałeś się częścią Piątego Dominium.

- Nie tutaj. - Mistyf przyłożył pięść do piersi. - Nie w głębi serca. Popełniłem błąd, że zabłądziłem w In Ovo. Potem dałem się ściągnąć do Piątego Dominium. Znalazłszy się na Ziemi, udawałem człowieka, ale tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Mimo workowatych, wymiętych strojów Pie i Gentle z gołymi głowami i gładkimi czaszkami przyciągali zawistne spojrzenia spacerujących chodnikiem pozerów. Zawistne, a więc niezbyt przyjazne. Jeżeli Pie miał rację i Hammeryock lub pontyfika Farrow podali ich rysopis oprawcom, ich podobizny już się pewnie ukazały na rozkładówkach w miejscowych gazetach. A wtedy pierwszy lepszy zazdrosny dandys mógł pozbyć się konkurentów, szepnąwszy słówko któremuś z żołnierzy. Czy nie było zatem lepiej, podsunął Gentle, złapać taksówkę i poruszać się po mieście nieco bardziej dyskretnie? Mistyf nie chciał się na to zgodzić. Nie pamiętał adresu Scopique'a i tylko blakając się pieszo, mógł mieć nadzieję na odnalezienie jego domu. Starali się na wszelki wypadek unikać najruchliwszej części deptaka, gdzie ludzie przesiadywali w restauracyjnych ogródkach i gdzie spotykali się żołnierze. Zwracali na siebie uwagę, ale nikt ich nie zaczepiał, a po dwudziestu minutach skręcili z głównej arterii komunikacyjnej w bok. Po kilku przecznicach nowe budynki ustąpiły miejsca bardziej zaniedbanym kwartałom, a dandysi - paskudnym typom.

- Od razu czuję się bezpieczniej - mruknął Gentle. Jego uwaga zabrzmiała o tyle paradoksalnie, że w każdym mieście Piątego Dominium podobnych zaułków unikaliby

jak ognia.

We wszystkich oknach świeciły się lampy, a mimo późnej pory na ulicach bawiły się dzieci. Ich gry przypominały zabawy rówieśników z Ziemi, nie zostały jednak skopiowane, lecz wymyślone w oparciu o te same rekwizyty: piłka i kij, kreda i kawałek wolnego chodnika, sznurek i wyliczanka. Gentle'owi zrobiło się źle na duszy, gdy słuchał śmiechu tych ludzi; nie odróżniłby go od chichotu maluchów z Piątego Dominium.

Dalej domy mieszkalne się skończyły i znaleźli się w całkiem odludnej okolicy. Pie spochmurniał. Widać było, że nie wie, gdzie są, gdy nagle dobiegł ich słaby śmiech. Mistyf wypatrzył w oddali charakterystyczną budowlę.

- To świątynia - powiedział, wskazując oddalony o kilka kilometrów ciemny gmach. - Pamiętam, że u Scopique'a widać go z okna w toalecie. Mówił mi, że lubi w pogodne dni otworzyć okno i kontemplując, defekować. - Uśmiechnął się na wspomnienie tych słów i odwrócił plecami do świątyni. - Okno łazienki wychodziło na świątynię. Od domu Scopique'a oddzielała ją pusta przestrzeń, ziemia niczyja, na której pielgrzymi rozbijali namioty.

- W takim razie idziemy w dobrym kierunku - zauważył Gentle. - Musimy tylko znaleźć ostatnią ulicę po prawej.

- To logiczne - przytaknął Pie. - A już zaczynałem się bać, że pamięć mnie zawodzi.

Nie musieli długo iść. Dwie przecznice dalej kończyły się zasypane gruzem ulice.

- To tutaj - oznajmił Pie.

Próżno by się doszukiwać nuty triumfu w jego głosie, ale Gentle wcale mu się nie dziwił, gdy patrzył na ruiny. O ile poprzednio mijane ulice podupadły pokonane przez czas, o tyle ta, na którą teraz wyszli, została systematycznie zniszczona. Kilka domów spalono, inne wyglądały, jakby dywizja pancerna urządziła sobie w pobliżu poligon.

- Ktoś nas uprzedził - stwierdził Gentle.

- Na to wygląda. Przyznam, że nie jestem bardzo zaskoczony.

- To po co tu przyszliśmy?

- Musiałem zobaczyć to na własne oczy. Nie bój się, ślad się tu nie urywa.

Scopique na pewno zostawił wiadomość.

Gentle postanowił nie mówić, jak mało wydaje mu się to prawdopodobne, i bez słowa poszedł za mistykiem. Zatrzymali się przed budynkiem, który nie zmienił się jeszcze w kupę osmalonych gruzów, ale był bliski tego stanu. Ogień wyżarł mu okna, wspaniałe drzwi wejściowe zastąpiono spróchniałymi deskami, a za oświetlenie służyły nie uliczne latarnie, których zresztą nie było na całej ulicy, lecz gwiazdy.

- Lepiej zostać tutaj - uprzedził Gentle'a Pie. - Scopique mógł zastawić pułapki.

- Jakie pułapki?

- Nie tylko Niewidziany umie przywołać strażników. Proszę cię, Gentle...

Wolałbym wejść sam.

- Jak chcesz. - Gentle wzruszył ramionami. - Najczęściej wszystko robisz sam.

Patrzył, jak Pie wchodzi na zasypane gruzem schody, odsuwa kilka rozpadających się desek i znika mu z oczu. Zamiast czekać beczynnie na progu, przeszedł kawałek dalej, skąd miał dobry widok na świątynię. Przyszło mu do głowy, że Trzecie Dominium - podobnie jak Czwarte, nawiasem mówiąc - zaskoczyło nie tylko jego, ale również Pie. Bezpieczna przystań, jaką stanowiło Vanaeph, omal nie stała się ich grobem, za to na zabójczych górskich pustkowiach znaleźli ocalenie. A teraz L'Himby, kiedyś miasto zadumy, dziś jarmarcznie kolorowe gruzowisko. Co będzie dalej? Czy po przybyciu do Yzordderrex przekonają się, że z Babilonu Dominiów stało się Nową Jerozolimą?

Patrzył na zaciemnioną świątynię, rozważając w myślach kwestię, która już go nieraz dręczyła - jak zabrać się do wykreślenia mapy dominiów, żeby po powrocie na Ziemię potrafił chociaż w przybliżeniu wyjaśnić przyjaciołom, gdzie co leży? Podróżowali po różnych traktach, od Drogi Patashoquańskiej po bite ścieżki między Happi a Mai-Ké. Przemierzali zielone doliny i wspinali się na wysokość, na której nie przetrwały nawet najbardziej zahartowane mchy. Poznali luksusy rydwanów i wierność doeki. Pocili się, zamarzali i brnęli we mgle jak nawiedzeni poeci w gorączce, nie wierząc zmysłom i wątpiąc we własne istnienie. Wszystko to należało poukładać - trasy, miasta, góry i równiny zamknąć w dwóch wymiarach, żeby dały się spokojnie oglądać. Później, pomyślał, jak zwykle odsuwając od siebie to zadanie. Później.

Odwrócił się w stronę domu Scopique'a. Pie nie było nigdzie widać i Gentle zaczął się niepokoić, czy nic złego mu się nie przytrafiło. Wrócił, wszedł po schodach i z poczuciem winy przecisnął się między deskami. Światło gwiazd nie mogło przeniknąć do

środku. Znalazł się w całkowitej ciemności i chłodzie, który nasuwał skojarzenia z katedrą pod lodem. Wtedy był z nim mistyf, tym razem znajdował się gdzieś z przodu. Gentle odczekał chwilę przy drzwiach, aż zaczął rozróżniać kształty w mroku. Dom był wąski i ciasny. Z głębi dobiegał cichy, ledwie słyszalny głos. Gentle niepewnie ruszył w jego stronę. Po kilku krokach zdał sobie sprawę, że chrapliwy i wystraszony głos nie należy do Pie. Może w ruinach ukrywał się Scopique?

Mdła poświata, słabsza od blasku najbledszej gwiazdy, zaprowadziła go do drzwi, za którymi na środku ciemnego pokoju stał Pie. Ponad jego ramieniem Gentle widział słabnące źródło światła - w powietrzu, delikatnym wietrzyku, unosiła się pajęczyna utkana w taki kształt, jakby pająk miał zapędy portrecisty. Nie poruszała się przypadkowo, lecz otwierała i zamykała usta, dzieląc się z mistykiem swą wiedzą.

- ...lepszych dowodów niż w tych kataklizmach. Musimy wytrwać, przyjacielu... wytrwać i modlić się... Nie, lepiej się nie módlmy. Wątpię już we wszystkich bogów, a zwłaszcza w Tubylca. Jeżeli można mierzyć ojca miarą jego dzieci, z pewnością nie kocha dobra i sprawiedliwości.

- Dzieci? - powtórzył Gentle.

Pajęczne nici zatrzepotały w podmuchu powietrza wywołanym słowem Gentle'a. Twarz wydłużyła się, usta ponownie otworzyły.

Mistyf obejrzał się przez ramię i pokręcił głową, żeby uciszyć nieproszonego gościa. Scopique - bo Gentle nie miał już wątpliwości, że właśnie jego ma przed sobą - mówił dalej:

- Uwierz mi, znamy tylko dziesiątą część dziesiątej części spisków, które się tu knuje. Na długo przed Pojednaniem uaktywniły się siły, które próbowały je powstrzymać. Jestem o tym święcie przekonany. Rozsądnie będzie założyć, że siły te nie znikły. Działają w tym dominium i w dominium, z którego przybywasz. Snując swoje plany, mają w perspektywie nie dziesięciolecia, lecz wieki. Powinniśmy je naśladować. Wprowadziły swoich wysłanników bardzo głęboko. Nikomu nie ufaj, Pie'oh'pahu, nawet samemu sobie. Ich plany sięgają czasów przed naszym urodzeniem. Każdy z nas mógł zostać poczęty tylko po to, żeby nieświadomie im się przysłużyć w jakiś pokrętny sposób. Wiem, że niedługo po mnie przyjdą. Przyprawdzą pewnie pustkowce. Jeżeli zginę, zorientujesz się; jeśli zdołam ich przekonać, że jestem nieszkodliwym maniakiem, czeka

mnie Kołyska i *maison de santé*. Znajdź mnie tam, Pie'oh'pahu. A jeżeli masz pilniejsze sprawy na głowie, zapomnij o mnie. Nie będę miał do ciebie żalu. Wiedz jednak, przyjacielu, że wciąż z sympatią myślę o tobie. W dzisiejszych czasach to rzadkość.

Zanim jeszcze Scopique skończył mówić, pajęczyna zaczęła tracić moc przyjmowania jego kształtów. Zapadała się powoli, a kiedy wypowiedział ostatnie słowa, spłynęła bezwładnie na ziemię. Mistyf przykucnął i pogładził ją palcami.

- Scopique... - mruknął.

- O jakiej kołysce on mówił?

- Kołyska Chzercemit. To morze śródlądowe, które znajduje się jakieś dwa, może trzy dni drogi stąd.

- Byłeś tam?

- Nie, to miejsce zsyłki. Na Kołysce jest wyspa i tam trafiają więźniowie, głównie kryminaliści, którzy dopuścili się okrutnych zbrodni, ale byli zbyt niebezpieczni, żeby ich zlikwidować.

- Nie rozumiem...

- Zapytaj mnie o to innym razem. Wygląda jednak na to, że z wyspy zrobiono przytułek. - Pie wstał. - Biedny Scopique. Zawsze bał się obłędu...

- Znam to uczucie.

- ...a oni wsadzili go do domu wariatów.

- Musimy go stamtąd wyciągnąć - stwierdził Gentle.

Pie podniósł ręce do oczu i zaczął szlochać.

- Hej... - Gentle go przytulił. - Znajdziemy Scopique'a. Wiem, że nie powinienem cię tak szpiegować, ale bałem się, że coś ci się stało.

- Przynajmniej sam go słyszałeś. Wiesz, że to prawda.

- Dlaczego miałbym pomyśleć, że to kłamstwo?

- Bo mi nie ufasz.

- Zgodziliśmy się co do tego, że mamy tylko siebie nawzajem i tylko to daje nam nadzieję na przyszłość. Prawda?

- Tak.

- Trzymajmy się tego.

- To nie takie proste. Jeżeli Scopique miał rację, któryś z nas może być agentem

wroga, nic o tym nie wiedząc.

- Mówiąc „wroga”, masz na myśli autarchę?

- Między innymi. Sądzę, że on jest tylko ucieleśnieniem ogólnego zepsucia.

Imajica jest chora, Gentle. Cała, od końca do końca. To, co stało się z L'Himby, dobiło mnie.

- Wiesz co? Powinieneś być mnie zmusić, żebym pogadał z Tickiem Raw. Mógłby udzielić nam paru wskazówek.

- Moja rola nie polega na zmuszaniu cię do czegokolwiek. Poza tym nie wierzę, żeby wiedział więcej od Scopique'a.

- Może zanim znów go spotkamy, dowie się czegoś nowego.

- Miejmy nadzieję.

- Tym razem nie obrażę się i nie ucieknę jak idiota.

- Jeżeli przedostaniemy się na wyspę, nie będzie dokąd uciekać.

- To fakt. W każdym razie potrzebny nam jest jakiś środek transportu.

- Dyskretny.

- Szybki.

- I taki, żeby łatwo dało się go ukraść.

- Wiesz, jak trafić do Kołyski?

- Nie, ale mogę poprosić. Przez ten czas ty ukradniesz samochód.

- Świetnie. Jeszcze jedno, Pie... Kup przy okazji jakąś gorzałę i papierosy, dobrze?

- Widzę, że zrobisz jeszcze ze mnie dekadenta.

- Mój błąd. Wydawało mi się, że jest dokładnie odwrotnie.

3

Sporo przed świtem wyjechali z L'Himby samochodem, który Gentle wybrał ze względu na kolor (szary) i absolutną przeciętność. Wóz dobrze im służył. Dwa dni jechali bez żadnych przeszkód. Im bardziej oddalali się od świątyni i miasta, tym mniejszy ruch panował na drodze. Poza obrębem miasta również stacjonowali żołnierze, ale zachowywali się bardzo dyskretnie i w ogóle nie próbowali ich zatrzymać. Tylko raz

widzieli Z daleka oddział artylerii, który za pomocą ciężkiego sprzętu ustawiał działa wycelowane w L'Himby. Manewry prowadzono akurat na tyle otwarcie, żeby mieszkańcy dobrze wiedzieli, na czyją łaskę i niełaskę są zdani.

Przed południem trzeciego dnia droga opustoszała zupełnie, a równina, na której leżało miasto, przeszła w łagodne wzgórza. Wraz z krajobrazem zmieniała się też pogoda. Niebo się zachmurzyło, a ponieważ wiatr chmurom nie dokuczał, gęstniały z minuty na minutę. Sceneria, którą mogło pięknie ożywiać słońce, stała się ponura i nieprzyjazna. Sporadycznie napotykali pojedyncze gospodarstwa, dawno popadłe w ruinę, a jeszcze rzadziej zdarzało im się ujrzeć żywą istotę. Ludzie ci byli zawsze potargani, niechlujnie ubrani i samotni, jakby całe terytorium oddano we władanie zagubionym duszom.

*

W końcu dotarli do Kołyski. Pojawiła się całkiem nieoczekiwanie - droga wyprowadziła ich na wzgórze, z którego roztaczała się rozległa panorama szarej plaży i srebrzystego morza. Gentle nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo przygnębiał go widok wzgórz, ale teraz od razu poczuł się lepiej.

Niektóre elementy krajobrazu trochę go jednak dziwiły - przede wszystkim tysiące milczących ptaków. Siedziały nieruchomo na plaży - żaden nie fruwał ani nie pływał - jak gdyby oczekiwały spektaklu, który lada chwila rozegra się na morskiej arenie. Dopiero gdy Pie z Gentle'em zjechali nad wodę, zatrzymali się na obrzeżach stada i wysiedli z wozu, zrozumieli przyczynę ich bezruchu. Nie tylko one tkwiły nieruchomo - także chmury nad nimi i sama Kołyska się nie poruszały. Gentle przeszedł przez stado (dominowali w nim bliscy krewniacy mew, ale rozpoznał też gęsi, ostrygojady i kilka papug), stanął na skraju morza i dotknął go najpierw stopą, potem palcami dłoni. Nie było zamrznęte, wiedział z niedawno nabytego doświadczenia, jaki jest lód w dotyku. Po prostu stężało. Widział znieruchomiałą fale, która łamała się przy brzegu, widział wiry i prądy.

- Przynajmniej nie musimy pływać - zauważył mistyf, przesuwając wzrokiem po linii horyzontu.

Drugiego brzegu nie było widać, ale wyspa, szara ostra skała, wyrastała z morza kilka kilometrów od miejsca, w którym stali.

Maison de santé, jak powiedział Scopique, musiał zajmować przycupnięte pod jej

szczytem skupisko budynków.

- Idziemy, czy czekamy, aż się ściemni? - spytał Gentle.

- Po ciemku w życiu jej nie znajdziemy. Musimy ruszać od razu. Wrócili do samochodu i przejechali przez stado ptaków, które równie niechętnie ustępowały przed kołami, jak przedtem przed stopami Gentle'a. Kilka na chwilę wzbilo się w powietrze, ale zaraz siadały z powrotem; większość jednak wolała zachować swój stoicyzm i ginęła na miejscu.

Tak gładkiej jazdy nie mieli od czasu Drogi Patashoquańskiej. Morze musiało być spokojne jak staw, gdy znieruchomiało. Minęli zwłoki kilkunastu ptaków, które życiem zapłaciły za obecność przy tym procesie. Nie rozłożyły się jeszcze, co sugerowało, że Kołyska stężała całkiem niedawno.

- Słyszałem, że można chodzić po wodzie - przyznał Gentle. - Ale jeździć? To całkiem inny cud.

- Masz jakiś pomysł, co robić, kiedy dotrzemy na wyspę?

- Powiemy, że chcemy się widzieć ze Scopique'em, a jak nas do niego zaprowadzą, zabierzemy go i odjedziemy. Jeżeli będą stawiać opór, użyjemy siły. To proste.

- Strażnicy mogą mieć broń.

- Widzisz te dłonie? - Gentle zdjął ręce z kierownicy. - To dłonie zabójcy. - Roześmiał się na widok wyrazu twarzy mistyfa. - Nie bój się, będę uważał. - Złapał kierownicę. - Ale lubię czuć moc, naprawdę lubię. Chyba podnieca mnie myśl, że mogę jej użyć. Hej, popatrz tylko! Słońca wychodzą zza chmur.

Chmury zaczęły się rozpraszać i błysnęły zza nich pierwsze promienie światła. Padły na skałę, od której dzielił ich niespełna kilometr. Zauważono ich. Pod szczytem i na murze więzienia pojawili się strażnicy. Jacyś ludzie biegli krętymi schodami w dół urwiska, kierując się do zacumowanych w pobliżu łodzi. Na dalekiej już plaży ptaki wszczęły straszny harmider.

- Nareszcie się obudziły - mruknął Gentle.

Pie się odwrócił.

Światło słońca padło na plażę i oświetliło skrzydła wzbijających się do lotu ptaków.

- Jezu!...

- Co się stało?

- Morze...

Pie nie musiał dodawać nic więcej, gdyż to samo zjawisko, które nadciągało od brzegu, wybiegało im także na spotkanie od strony wyspy: wolno posuwająca się fala uderzeniowa zmieniała naturę materii, której dotknęła. Gentle przyspieszył, chcąc jak najszybciej zmniejszyć dystans dzielący ich od stałego lądu. Morze wokół wyspy było już całkiem płynne. Przemiana postępowała szybko.

- Stój! - ryknął Pie. - Jeśli zaraz nie wysiadziemy, pójdziemy z samochodem na dno!

Gentle zahamował z poślizgiem. Wyskoczyli i zaczęli biec. Grunt był jeszcze wystarczająco twardy, ale dały się w nim wyczuć zwiastujące przemianę drgania.

- Umiesz pływać? - spytał Gentle.

- Jeśli muszę - odparł mistyf, nie spuszczać wzroku z nadciągającej fali. Woda przypominała rtęć i burzyła się, jakby rzucały się w niej setki ryb. - Ale tu chyba nie chcielibyśmy się kąpać.

- Boję się, że nie będziemy mieli wyboru.

Przynajmniej mogli mieć nadzieję na ocalenie - łodzie odbijały od brzegu wyspy, rytmiczne pokrzykiwania wioślarzy i plusk wiosel zagłuszały szum wody. Mistryf nie upatrywał jednak szansy w łodziach. Dostrzegł wąską groblę, która jak pas mięknącego lodu łączyła miejsce, w którym się znajdowali, z wyspą. Złapał Gentle'a za rękę i wskazał mu drogę.

- Widzę! - krzyknął Gentle i zygzakiem rzucili się w jej stronę. Wioślarze w lot pojęli co się dzieje i skręcili, żeby ich przejąć.

Mimo że morze z obu stron podmywało groblę, wizja ratunku zdawała się coraz bardziej realna. Nagle Gentle'a usłyszał łoskot przewracającego się i tonącego samochodu. Zwolnił, odwrócił się i zderzył z Pie. Mistryf upadł. Gentle poderwał go na nogi, ale oszołomiony przez chwilę nie wiedział, co robić.

Od strony łodzi dobiegły okrzyki grozy; woda buzowała wściekle dosłownie o kilka metrów za ich plecami. Podtrzymując Pie, Gentle pobiegł dalej, stracili jednak bezpowrotnie cenne sekundy. Od łodzi dzieliło ich zaledwie dwadzieścia metrów, ale woda z obu stron była za blisko. Gdyby nie ruszyli się z miejsca, przyptływ szybciej by ich

zagarnął niż łodzie. Gdyby zaś Gentle zaczął biec z półprzytomnym mistyfe w ramionach, rozminąłby się z ratownikami.

Nie dane mu było zdecydować. Między stopami zabulgotały mu srebrne wody Chzercemit. Siedząca w bliższej łodzi istota - poblížniony oethac z olbrzymią głową - krzyknęła ostrzegawczo. Ułamek sekundy później stopa Gentle'a zapadła się o dobre piętnaście centymetrów, gdy pękła pod nią krucha kra. Teraz z kolei Pie go podtrzymał, ale walka była przegrana.

Zdesperowany Gentle spojrział w dół, do wody. Stworzenia, które miotając się wzburzyły morze, nie znajdowały się w wodzie, lecz były nią. Małe fale miały grzbiety i szyje, piana błyszczła tysiącami maleńkich oczek.

Łódź pędziła w ich stronę i przez chwilę wydawało się, że jednym skokiem zdołają pokonać dzielącą ich do niej odległość.

- Skacz! - krzyknął Gentle i z całej siły pchnął mistyfa.

Pie zdołał odbić się i przemienić upadek w skok. Złapał się krawędzi burty. Niestety, Gentle również stracił równowagę i wpadł do wody. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak ktoś wciąga mistyfa do rozkołysanej łódki, i pomyśleć, że jemu też wystarczy czasu, by chwycić wyciągnięte w jego kierunku ręce. Jednak morze nie zamierzało rozstać się z oboma smaczными kąskami naraz. Gentle wpadł w srebrną pianę, która otuliła go ciasno jak żywa istota. Wyrzucił ręce w górę. Miał nadzieję, że może oethac zdoła je złapać. Na próżno. Stracił przytomność i zatonął jak statek bez kapitana.

ROZDZIAŁ 26

1

Obudziły go słowa modlitwy. Nie znał języka, w którym wypowiedano jej słowa, ale bez wątpienia była to modlitwa błagalna. Głosy wznosiły się i opadały w taki sam pozbawiony harmonii sposób jak w kościołach na Ziemi. Było ich z pół tuzina, a jeden lub dwa spóźniały się o sylabę i rwały rytm, ale Gentle ucieszył się, że w ogóle coś słyszy. Kiedy tracił przytomność, nie spodziewał się jej odzyskać.

Światło musnęło jego oczy, lecz obraz był przymglony i nieostry. Miał za to jakąś ulotną fakturę, na której Gentle próbował się skoncentrować. Dopiero kiedy czoło, policzki i broda przekazały do mózgu uczucie podrażnienia, zrozumiał, dlaczego nie widzi normalnie. Leżał na plecach, a głowę miał przykrytą kawałkiem materiału. Chciał podnieść rękę i ściągnąć szmatę z twarzy, ale głupia kończyzna ani drgnęła. Skupił się, wydając jej kategoriyczny rozkaz. Ton modłów uległ zmianie i stał się bardziej natarczywy. Łoże, na którym spoczywał, zatrzęsło się nagle. Nie krzyknął, bo coś tkwiło mu w gardle i tłumilo głos. Co się z nim działo? Spokojnie, tylko spokojnie! Wszystko się wyjaśni, pomyślał. Zachowaj spokój. Szlag by to trafił, przecież łóżko się rusza! Gdzie go niosą?! Do diabła ze spokojem! Nie mógł przecież leżeć nieruchomo, kiedy ktoś obnosił go po okolicy. Jeszcze nie umarł, na miłość boską!

A może? Leżał na deskach, z twarzą przykrytą całunem, i ktoś gdzieś go niósł. Czy nie tak właśnie dzieje się po śmierci? Modlili się, żeby pomóc jego duszy wzbic się do nieba, a zarazem zamierzali pozbyć się doczesnych szczątków. Ciekawe jak. Pochowają go? Spalą na stosie? Musiał ich powstrzymać - skinąć ręką, jęknąć, coś zrobić, żeby zorientowali się, że jeszcze nie odszedł. Jak dać im znak? Nie zdążył tego przemyśleć, gdy jeden głos wzniosł się ponad chóralne mamrotanie. Modlitwy ucichły, tragarze niosący mary stanęli w miejscu. Ten sam głos - głos Pie! - zabrzmiał ponownie:

- Jeszcze nie!

Ktoś z prawej strony mruknął coś, czego Gentle nie zrozumiał, może jakieś słowa pocieszenia. Mistyf odpowiedział smutno w tym samym języku. Głos mu się łamał.

Do rozmowy włączyła się trzecia osoba, która najwidoczniej próbowała przekonać Pie, żeby zostawił zmarłego w spokoju. Co mogli mówić? Że zwłoki to tylko pusta skorupa, cień człowieka, którego duch udał się już do lepszego świata? Gentle siłą woli próbował zmusić Pie, żeby ich nie słuchał. Jego duch był na miejscu! Tutaj!

I wtedy - o radości! - ktoś ściągnął mu całun z twarzy. Pie spojrział mu w oczy. Sam wyglądał jak chodzący trup, powieki miał zaczerwienione i był przeraźliwie smutny.

Jestem uratowany, pomyślał Gentle. Pie widzi, że patrzę na niego, a w mojej czaszce zachodzą inne procesy niż proces rozkładu. Mistyf jednak rozplakał się tylko. Jakiś człowiek z gąszczem kryształków na głowie położył mu rękę na ramieniu i szepnął coś do ucha. Pie musnął palcami twarz Gentle'a i dotknął jego ust, ale tchnienie, które jeszcze niedawno było tak potężne, że strzaskało mur pomiędzy dominiami, osłabło tak bardzo, że go nie poczuł. Pocieszyciel zdjął palce mistyfa z twarzy Gentle'a i zakrył ją całunem.

Żałobnicy podjęli modlitwę, mary na ich ramionach drgnęły i ruszyły naprzód. W Gentle'u zgasła iskierka nadziei, a jej miejsce zajął strach i gniew. Pie twierdził zawsze, że jest taki wrażliwy. Jak to możliwe, że właśnie teraz, kiedy wszystko rozbijało się o empatię, nie wyczuł, co grozi jego przyjacielowi? Więcej niż przyjacielowi - ukochanemu, dla którego przekształcił własne ciało.

Lęk osłabł na chwilę. Czy w tym żalu nie było dla niego cienia nadziei? Ukochany? Przekształcone ciało? Ależ oczywiście!

Dopóki myślał, mógł pożądać, a mistyf potrafi wyczuć jego pożądanie. Odpowiedzieć na nie. Gdyby zdołał zapomnieć o śmierci i skoncentrował się na seksie, może sięgnie w ten sposób do samego serca zmiennej istoty Pie. Może wywoła w nim metamorfozę, żeby zasygnalizować, że żyje?

Nagle - jakby chcąc go zdekoncentrować - pamięć podsunęła mu pochodzące z innego świata słowa Kleina:

- Te rozmyślenia o śmierci, żeby opóźnić orgazm... Beznadziejne.

Z początku miał wrażenie, że to wspomnienie jest zupełnie nie na miejscu, po

chwili jednak zdał sobie sprawę, że w istocie stanowi idealne lustrzane odbicie jego sytuacji. Pożądanie było jego jedyną bronią w walce z przedwczesną śmiercią. Zwrócił myśli ku drobiazgom, które zawsze go podniecały: nagi kark pod zaczesanymi do góry lokami, usta zwilżone muśnięciem języka, spojrzenia, dotyk, kokieteria. Ale Tanatos trzymał Erosa za gardło. Strach wygrywał z żądzą. Jak Gentle mógł skupić się na seksie dość długo, żeby zwrócić uwagę Pie, jeśli świeżo wykopany grób albo ułożony stos czekały u jego stóp?! Nie był gotowy na spotkanie z nimi. Zbyt zimna ziemia, zbyt gorący ogień, absolutny mrok i oślepiająca jasność. Pragnął tylko kilku tygodni, dni, może nawet godzin - tak, godziny też przyjąłby z wdzięcznością - pomiędzy tymi dwoma skrajnościami; tam gdzie było miejsce na ciało i na miłość. Nie mogąc wyzbyć się lęku przed śmiercią, spróbował ostatniej sztuczki. Postanowił go oswoić, wpleść w materię swoich fantazji seksualnych.

Płomień? Niech będzie ciepłem przyciśniętego do niego ciała mistyfa. Chłód? To pot na jego plecach, kiedy się połączyli. Ciemność to noc, która skrywała ich szaleństwo, a blask stosu to jasność ich spełnienia. Czuł, że sztuczka zaczyna działać. Dlaczego właściwie śmierć miałaby być antyerotyczna? Gdyby razem umierali i gnili w ziemi, czy rozkład nie mógłby wskazać im nowych dróg miłości, odkrywać ich warstwa po warstwie, mieszać płyny ich ciał i szpik kości, aż połączyliby się ostatecznie?

Oświadczył się mistyfowi; oświadczyzny został przyjęte. Miał go na wieki, mógł przemieniać go bez końca, nadawać mu formy najśłodszych, zakazanych pragnień. Teraz też to robił. Wyobraził sobie, że Pie jest całkiem nagi, dosiada go i za każdym dotknięciem zmienia skórę jak ubranie. Raz był Jude, za chwilę Vanessą, jeszcze później Martine. Ujeżdżały go. Czuł się cudownie, jakby wszystko, co w świecie piękne, skupiło się na czubku jego członka.

Zatopiony w takich wizjach nie zauważył, że modły znów umilkły, a tragarze musieli się zatrzymać. Dookoła rozlegały się niespokojne szepty, ponad które wzbijał się cichy, zdumiony śmiech. Znów ktoś zerwał mu zasłonę z twarzy. Pie uśmiechał się, twarz mu jaśniała nadzieją.

- On żyje! Jezu Chryste, on żyje!

Odpowiedziały mu pełne powątpiewania głosy, ale uciszył je śmiechem.

- Czuję go w sobie! Przysięgam! On wciąż jest tu z nami. Połóżcie go!

Tragarze posłusznie złożyli mary na ziemi i Gentle pierwszy raz miał okazję ujrzeć nieznanym, którzy omal nie zgotowali mu ostatecznego pożegnania. Nie byli zachwyceni. Patrzyli z niedowierzaniem, ale groźba pogrzebu została zażegnana. Przynajmniej chwilowo. Mistyf pochylił się i pocałował go w usta. Promieniał radością.

- Kocham cię - szepnął. - Będę cię kochał, dopóki miłość nie umrze.

2

Był żywy, ale bynajmniej nie zdrowy. Przenieśli go do niedużego pokoiku o ścianach z szarej cegły i złożyli na łóżku niewiele wygodniejszym od drewnianych mar, na których leżał jako trup. Pokój miał jedno okno. Gentle wyjrzał przez nie, dopiero gdy Pie'oh'pah pomógł mu unieść się na łóżku. Widok za oknem nie był interesujący - pod zachmurzonym niebem rozciągało się srebrzyste, skamieniałe morze.

- Morze zmienia się, kiedy wychodzi słońce - wyjaśnił mu Pie. - Czyli rzadko. Mieliśmy zwyczajnie pecha. Wszyscy są zdumieni, że przeżyłeś. Ta sztuka nie udała się jeszcze nikomu, kto wpadł do Kołyski.

Liczba gości - strażników i więźniów - którzy go odwiedzali, potwierdzała niezwykle status Gentle'a. Odniósł wrażenie, że na wyspie panuje dość łagodny reżim. Okna miały wprawdzie kraty, a po każdej wizycie strażnicy starannie zamykali drzwi na klucz, ale oficerowie (zwłaszcza kierujący przytułkiem oethac, Vigor N'ashap, oraz jego zastępca, zarozumiały Aping, który buty i guziki przy mundurze miał bardziej błyszczące niż oczy, a rysy twarzy oklapłe jak po nasączeniu wodą) zachowywali się całkiem uprzejmie.

- Nie mają tu aktualnych wiadomości - powiedział Pie. - Po prostu przysyła się im więźniów i mają ich pilnować. N'ashap słyszał o spisku i zamachu na autarchę, ale pewnie nawet nie wie, czy zamach się powiódł. Wypytywali mnie przez kilka godzin, lecz o nas nie pytali ani razu. Powiedziałem tylko, że jesteśmy przyjaciółmi Scopique'a, który ponoć postradał rozum, i że przybyliśmy go odwiedzić. Chodząca niewinność. Chyba to łyknęli. Kłopot w tym, że co osiem, dziewięć dni - zawsze za późno, jak utyskuje Aping - dostarczają tu żywność i gazety, więc szczęście nie może nam zbyt

długo sprzyjać. Na razie robię, co mogę, żeby byli zadowoleni. Samotność bardzo im tu doskwiera.

Znaczenie ostatnich słów mistyfa umknęło uwagi Gentle'a, ale na razie mógł tylko słuchać i modlić się o szybki powrót do zdrowia. Mięśnie rozluźniły mu się nieco, mógł mrugać, przełykać i odrobinę poruszać rękoma, ale cały tułów nadal miał zupełnie sztywny.

Drugim regularnym gościem Gentle'a - i zdecydowanie najbardziej interesującym - był Scopique, który chętnie przedstawiał swoją opinię na każdy temat, także w kwestii odrętwienia pacjenta. Był niewysoki, cały czas mrużył oczy jak zegarmistrz, a nos miał tak krótki i zadarty, że pośrodku twarzy widniały po prostu dwie dziurki. Lubił się śmiać; kurze łapki i zmarszczki miał chyba dostatecznie głębokie, żeby posiać w nich trawę. Jego szare więzienne ubranie było podobnie pogniecione. Przychodził codziennie, siadał na skraju łóżka, popijał kawę i snuł głośne rozważania: o polityce, o chorobach innych więźniów; o tym, jak komercja wzięła L'Himby w posiadanie, o śmierci przyjaciół (którzy ginęli głównie, jak to nazywał, od „powolnego ostrza rozpaczy”) i, naturalnie, o aktualnym stanie Gentle'a. Twierdził, że widział już podobne przypadki paraliżu. Jego zdaniem miały podłoże nie fizjologiczne, lecz psychiczne. Ta teoria trafiała Pie do przekonania. Któregoś razu, gdy Scopique skończył swoje teoretyczne wywody i wyszedł, mistyf zaczął zalić się Gentle'owi, jakie dręczą go wyrzuty sumienia. Wszystko stało się z jego winy - powinien był od początku postawić się na miejscu Gentle'a, zrozumieć go. Oskarżał się, że był zbyt okrutny, a chodziło mu przede wszystkim o sprzeczkę na stacji w Mai-Ké. Czy Gentle mu wybaczy? Czy uwierzy, że zachował się tak tylko przez własną nieporadność, a nie złośliwość? Od dawna się zastanawiał, co zrobi, jeżeli rozpoczną taką podróż, próbował zawczasu przygotować sobie wszystkie odpowiedzi, ale w Piątym Dominium był całkiem samotny. Nie miał z kim dzielić się strachem i nadzieją, a spotkali się i wyruszyli w drogę w tak chaotycznych okolicznościach, że zapomniał o wszystkich zasadach, których obiecał sobie się trzymać.

- Wybacz mi - powtarzał. - Kocham cię. Zraniłem cię, ale błagam, wybacz mi.

Gentle starał się wyrazić wszystko oczami. Żałował, że nie ma dość siły w rękach, żeby ująć pióro i napisać „wybaczam”. Nie wracał do zdrowia, mimo że Pie karmił go, kąpał, masował i nie szczędził słów zachęty. Śmierć nie chciała Gentle'a wypuścić z

objąć. Wyciągała też rękę po Pie, który za opiekę nad przyjacielem płacił wysoką cenę. Marniał z każdym dniem, aż Gentle zastanawiał się, czy jest po prostu zmęczony, czy też po kilku wspólnie spędzonych miesiącach połączyła ich symbiotyczna więź. Bo jeśli tak, to umierając, pociągnie ich obu w otchłań zapomnienia.

*

W dzień, kiedy słońca znów zaświeciły nad wyspą, był sam w celi, ale Pie przed wyjściem posadził go na łóżku, żeby mógł wyglądać przez okno. Widział, jak chmury z wolna rozplývają się i pierwsze delikatne promienie światła padają na powierzchnię morza. Zdarzyło się to pierwszy raz, odkąd przybyli na wyspę. Z innych cel dobiegły go radosne okrzyki, a zaraz potem tupot stóp, kiedy strażnicy rzucili się na mury, żeby oglądać przemianę.

Z miejsca, w którym siedział, widział powierzchnię Kołyski i niecierpliwie wyczekiwał tego spektaklu, ale gdy słońca mocniej zajaśniały, poczuł mrowienie w stopach, które powoli pełzło w górę ciała i stawało się coraz wyraźniejsze. Gdy dosięgło czaszki, zdawało mu się, że zaraz wypali mu wszystkie zmysły. Przez chwilę miał wrażenie, że zrywa się i podbiega do okna - na razie tylko wyglądał przez kraty na morze - jednak powstrzymał go dźwięk otwierających się drzwi. Odwróciwszy się, ujrzał Scopique'a, który wraz z Apingiem weszli do celi. Kierowali się prosto do bladego, wychudłego człowieczka, który siedział na łóżku ze szklistym wzrokiem utkwionym w ścianę. On był tym człowieczkiem.

- Musisz to zobaczyć, Zacharias! - stwierdził rozentuzjasmowany Scopique. Chwycił go pod pachy i dźwignął z łóżka.

Razem z Apingiem przenieśli Gentle'a pod okno, z którego jego świadomość właśnie startowała do lotu. Zostawił ich z ich uprzejmością; uniesienie i radość, które czuł, posłużyły mu w locie za silnik. Pomknął ponurym korytarzem, obok cel, w których więźniowie głośno się dopominali, żeby ich wypuścić, bo chcą zobaczyć słońca. Nie znał rozkładu pomieszczeń i na moment zablądził w labiryncie z szarego kamienia. Natknął się jednak na dwóch strażników, którzy biegli w górę po schodach, i - niewidzialny - trafił za nimi do bardziej przestronnych, jaśniejszych pokoi. Kilku strażników wstawało właśnie od kart i wybiegało na zewnątrz.

- Gdzie jest kapitan N'ashap? - zapytał jeden z nich.

- Dam mu znać - odparł inny i podbiegł do zamkniętych drzwi.

- Jest na naradzie - powstrzymał go trzeci. - Z mistysem.

Wszyscy ryknęli rubasznym śmiechem.

Duch Gentle'a zawrócił, przeleciał przez drzwi bez wahania i bez wysiłku. Nie znajdowało się za nimi, jak zakładał, biuro N'ashapa, lecz mały przedpokój z dwoma krzesłami i pustym stołem. Na ścianie ponad blatem wisiał rysunek przedstawiający małe dziecko, ale tak niezdarnie namalowany, że trudno byłoby się domyślić płci modelu. Podpis pod nim głosił „Aping”. Obok znajdowały się następne drzwi, równie solidnie zamknięte jak te, przez które właśnie się przebił. Spoza nich dobiegały jęki rozkoszy Vigora N'ashapa.

- Jeszcze! - mówił. - Jeszcze! - Zabelkotał coś w obcym języku, a potem znowu: - Jeszcze! Tak! Tak, właśnie tak!

Gentle przeniknął przez drzwi zbyt szybko, żeby przygotować się na wstrząs. Nawet gdyby wymyślił, że zastanie N'ashapa ze spuszczoneymi spodniami i purpurowym, oethackim członkiem na wierzchu, z pewnością nie mógłby wyobrazić sobie przy nim Pie'oh'paha, zwłaszcza że odkąd wyruszyli, nie widział go nagiego. Teraz go zobaczył. Szok wywołany jego urodą ustępował tylko obrzydzeniu z powodu jego upokorzenia. Mistyf miał ciało równie spokojne jak twarz, i równie nijakie - bez włosów, brodawek, pępka. Między nogami, które rozłożył szeroko, klękawszy przed N'ashapem, Gentle ujrzał jądro jego zmiennej istoty, rdzeń, który partner mistyfa kształtował swoim pożądaniem. Nie przypominał pochwy ani fallusa, lecz zupełnie odmienny od nich organ jakiejś trzeciej płci. Trzepotał w kroczu jak spłoszona gołębica i przy każdym poruszeniu zmieniał kształt. Gentle przyglądał się jak zahipnotyzowany. Widział siebie, jak przepływa między dominiami, widział niebo nad Patashoqua i rozptywające się w słońcu morze za okratowanym oknem. Było też tam jego tchnienie, zamknięte w zaciśniętej pięści, i moc, którą ze sobą niosło. Wszystko to dostrzegł w przemianie mistyfa.

N'ashapa ten widok nie interesował; prawdopodobnie kapitan był tak podniecony, że w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Trzymał w pobliżnionych dłoniach głowę mistyfa i wpychał mu do ust nabrzmiały członek. Pie nie protestował. Ręce trzymał zwieszane po bokach, dopóki N'ashap nie kazał mu się nimi pieścić.

Gentle nie mógł tego dłużej znieść. Skoczył przez pokój w stronę oethaca. Czy

Scopique nie mówił, że myśl jest równoważna potencji? Jeśli tak, pomyślał, jestem jej wcieleniem, twardym jak diament. Usłyszał jeszcze, jak N'ashap posapuje z rozkoszy, wbijając się w usta mistyfa, i uderzył go z tyłu w głowę. Pokój zniknął; ze wszystkich stron otaczało Gentle'a gorące mięso, ale siłą rozpędu zdołał przebić się na wylot. Kiedy się odwrócił, N'ashap puścił głowę mistyfa i złapał się za swoją. Z jego bezwargich ust dobył się okrzyk bólu.

Na twarzy Pie, do tej pory zupełnie pozbawionej wyrazu, odbił się strach. N'ashapowi krew trysnęła z nozdrzy. Gentle poczuł dreszcz satysfakcji, Pie jednak wstał i zgarnawszy z podłogi jakąś część własnej garderoby, chciał pomóc oficerowi zatamować krwotok. N'ashap najpierw próbował odpędzić go gestem, ale zaraz złagodniał, opadł na fotel i pozwolił się opatrzeć. Przymilny głos i pieszczotliwy dotyk mistyfa denerwowały Gentle'a nie mniej niż scena, której przed chwilą był świadkiem. Wycofał się zmieszany i zde gustowany.

W przedpokoju zatrzymał się na chwilę, oglądając rysunek Apinga, ale gdy z pokoju znów dobiegło pojękiwanie N'ashapa, błyskawicznie przemierzył cały labirynt i wrócił do swojego pokoju. Scopique z Apingiem położyli jego ciało na łóżku. Twarz miał pozbawioną wyrazu, jedna z rąk zsunęła mu się z piersi i zwisała swobodnie. Wyglądał jak martwy. Czy należy się dziwić, że opieka ze strony Pie stała się tak mechaniczna, skoro dzień w dzień miał do czynienia z tym wychudzonym manekinem? Podleciał bliżej, chociaż kusiło go, żeby nigdy więcej nie wchodzić już w to ciało; miał ochotę dać mu umrzeć, ale bał się ryzykować. A gdyby się okazało, że jego obecny stan jest możliwy tylko pod warunkiem, że ciało będzie żyło? Myśl pozbawiona ciała mogła istnieć - na własne uszy słyszał słowa Scopique'a. Mogło się jednak okazać, że nie jest to możliwe w wypadku tak słabo rozwiniętych istot. Skóra, krew i kości tworzyły szkołę, w której duch uczył się latać, a on na razie był ledwo opierzonym pisklęciem. Wprawdzie mu się to nie podobało, ale musiał wrócić do swojej głowy.

Podfrunął do okna i spojrzął na połyskliwe morze. Widok fal łamiących się w dole na skałach przypomniał mu niedawny lęk przed utonięciem. Czuł, jak żywe fale tłoczą się wokół niego, napierają na jego wargi jak członek N'ashapa, domagając się, żeby je wchłonął. Odwrócił się przerażony, przemknął przez pokój i niczym kula wbił się we własne czoło. Mając świeżo w pamięci obrazy N'ashapa i morza, natychmiast zrozumiał

naturę dręczącej go choroby. Scopique się mylił! Jego paraliż miał jak najbardziej fizjologiczną przyczynę, czuł ją teraz w brzuchu. Nałykał się wody z morza, która do tej pory w nim tkwiła i żywiła się jego kosztem.

Zanim zdążył zareagować rozumem, ogarnęło go obrzydzenie. Ruszać się! - wrzasnął w duchu pod adresem każdej cząsteczki ciała. Ruszać! Siły w gniewie dodawało mu wyobrażenie, że to N'ashap wykorzystuje go w taki sam sposób, jak wykorzystał Pie'oh'paha; co by zrobił, gdyby miał żołądek pełen spermy oethaca? Lewą ręką z wysiłkiem namacał krawędź łóżka, zdołał się przekręcić na bok i spadł z łóżka. Uderzył mocno o ziemię. Coś poruszyło mu się w brzuchu, jakby wypuściło jelita z uchwytu i teraz próbowało złapać je ponownie. Szarpało się gwałtownie, miotając Gentle'em jak workiem żywych ryb. Każdy wstrząs odrywał jednak pasożyta coraz mocniej, uwalniając przy tym nieszczęsną ofiarę z jego władzy. Gentle'owi stawy trzaskały jak skorupy orzechów, ścięгна rozciągały się gwałtownie. Cierpiał potwornie i miał ochotę wyć z bólu, ale zdołał tylko zarzęzić cicho. Mimo wszystko brzmiało to dla niego jak muzyka - pierwszy odgłos, jaki wydal z siebie od czasu krzyku, gdy pochłonęła go Kołyska. Nadzieja nie trwała długo. Udręczony organizm próbował wypchnąć pasożyta z żołądka do góry. Gentle czuł go w piersi jak kłęb haczyków do ryb, które najchętniej by zwymiotował, gdyby nie bał się, że przy okazji wywróci się na lewą stronę. Chwilowo nastąpił impas. Pasożyt przestał się miotać i Gentle zdołał wziąć rozpaczliwy wdech, mimo że tchawicę miał na wpół zmiażdżoną uciskiem stwora. Z względnie pełnymi płucami chwycił się łóżka, podciągnął i zanim pasożyt zdążył go obezwładnić kolejnym atakiem, stanął wyprostowany.

Rzucił się na płask na ziemię. Gdy zderzył się z posadzką, pasożyt podszedł mu do gardła. Gentle włożył rękę do ust, żeby go wyrzucić. Dwoma szarpnięciami zdołał się go pozbyć z ust, chociaż stwór do samego końca walczył i próbował odpełznąć w głąb przełyku. Zaraz po nim z żołądka wylały się resztki ostatniego posiłku.

Dyszząc ciężko, Gentle wyprostował się i oparł o łóżko. Strugi śliny i żółci ściekały mu po brodzie. Leżący na ziemi stwór miotał się i rzucał. Dopóki tkwił Gentle'owi w żołądku, zdawał mu się ogromny. Teraz miał wielkość męskiej dłoni - bezkształtny strzęp mlecznego miecha był poprzecinany srebrzystymi żyłkami i miał aż dwadzieścia cienkich jak sznurek macek. Nie wydał żadnego dźwięku, plaskał tylko o ziemię w kałuży żółci.

Kiedy chwilę później Scopique zajął do pokoju w poszukiwaniu Pie, Gentle, wciąż jeszcze za słaby, żeby się poruszyć, stał oparty o łóżko. Scopique wytrzeszczył oczy, zawołał kogoś i pomógł Gentle'owi się położyć. Wypytywał go przy tym z taką szybkością, że Gentle'owi ledwie starczało siły i tchu, by nadać z odpowiedziami. Wyjaśnił jednak dość, żeby Scopique zaczął sobie wyrzucać swoją pomyłkę.

- Myślałem, że to ci siedzi w głowie, Zacharias, a siedziało w brzuchu! Cały czas w brzuchu! Co za draństwo!

Pojawił się Aping z nową serią pytań. Scopique udzielił mu niezbędnych odpowiedzi i poszedł dalej szukać Pie. Aping wezwał ludzi, którzy posprząkali, podali pacjentowi wodę i przynieśli czyste ubranie.

- Czy potrzebujesz jeszcze czegoś? - zapytał.

- Jeść - odparł Gentle. W życiu nie był taki głodny.

- Zajmę się tym. Dziwnie się czuję, słysząc twój głos i widząc, jak się poruszasz. Przyzwyczailem się już, że wyglądasz inaczej. - Aping się uśmiechnął. - Kiedy nabierzesz sił, będziemy musieli porozmawiać. Mistyf mówił mi, że jesteś malarzem.

- Kiedyś byłem, to prawda - przytaknął Gentle i dodał, próbując wysondować rozmówcę: - A czemu pytasz? Malujesz coś?

- Owszem - rozpromienił się Aping.

- Rzeczywiście, musimy porozmawiać. Co malujesz?

- Krajobrazy. Czasem ludzi.

- Akty? Portrety?

- Dzieci.

- Ach, dzieci... A masz dzieci?

- Później do tego wrócimy - odparł zaniepokojony Aping i zerknął w stronę otwartych drzwi. - Na osobności.

- Jestem do twojej dyspozycji.

Z korytarza dobiegały jakieś głosy. To Scopique przyprowadził N'ashapa, który od razu zajął do wiadra z pasożytem. Posypały się nowe pytania, a właściwie stare, tylko na nowo sformułowane - tym razem Aping ze Scopique'em odpowiadali na zmianę. N'ashap słuchał jednym uchem, obserwując Gentle'a. Później pogratulował mu w dziwnie sztywny, oficjalny sposób. Gentle z zadowoleniem odnotował widoczne w jego nosie

skrzepy krwi.

- Musimy przekazać pełny raport do Yzordderrex - stwierdził N'ashap. - Ta sprawa z pewnością zaintryguje ich tak samo jak mnie.

Wyszedł i zabrał ze sobą Apinga.

- Nasz dowódca coś kiepsko wygląda - zauważył Scopique. - Ciekawe dlaczego?

Gentle uśmiechnął się pod nosem, ale na widok ostatniego z gości natychmiast spowaźniał. W drzwiach stanął Pie'oh'pah.

- No, jesteś wreszcie! - zawołał Scopique. - Zostawię was samych.

Wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Mistyf nie podszedł do Gentle'a, nie próbował go objąć, nawet nie podał mu ręki. Stanął przy oknie i wyjrzał na morze, wciąż oświetlone promieniami słońca.

- Teraz wiemy już, dlaczego nazywają to miejsce kołyską - stwierdził.

- Co masz na myśli?

- A gdzie indziej mężczyzna mógłby powić dziecko?

- To nie był poród, nie przesadzaj.

- Dla nas może nie, ale kto wie, skąd brały się dzieci w zamierzchłych czasach? Może mężczyźni zanurzali się w morzu, pili wodę, czekali, aż taka istota podrośnie...

- Widziałem cię - przerwał mistyfowi Gentle.

- Wiem. - Pie nadal wyglądał przez okno. - Omal nie straciliśmy przez ciebie sprzymierzeńca.

- Mówisz o N'ashapie? Jest naszym sprzymierzeńcem?

- On tu rządzi.

- Jest oethakiem i gnojem. Zamierzam sprawić sobie trochę przyjemności i go zabić.

- Chcesz zostać moim rycerzem? - Pie wreszcie odwrócił się i spojrzał na Gentle'a.

- Widziałem, co ci robił.

- To nic wielkiego. Panowałem nad sytuacją. Jak sądzisz, czemu zawdzięczamy takie specjalne traktowanie? Ja mogę się widywać ze Scopique'em, kiedy zechcę, ty masz zapewnione wyżywienie, a N'ashap nie zadaje pytań. Teraz się to zmieni. N'ashap nabierze podejrzeń. I trzeba się będzie stąd szybko wynieść, zanim uzyska wszystkie odpowiedzi.

- Lepsze to, niż żebyś musiał go tak obsługiwać.

- Powtarzam, to nic wielkiego.

- Nie dla mnie. - Słowa zachrzęściły Gentle'owi w obolałym gardle. Z trudem wstał i spojrzał mistyfowi w twarz. - Na początku opowiadałeś mi, jak ci się wydawało, że mnie skrzywdziłeś, pamiętasz? Mówiłeś o stacji w Mai-Ké i prosiłeś o przebaczenie. Myślałem wtedy, że nie zajdzie między nami nic, czego nie dałoby się wybaczyć albo zapomnieć; chciałem ci to powiedzieć, kiedy tylko będę mógł mówić. Ale teraz nie jestem tego taki pewien. On cię widział nagiego, Pie. Dlaczego on mógł cię oglądać, a ja nie? Tego chyba ci nie będę umiał wybaczyć. Dopuszczałeś go do tajemnicy, której mi pożałowałeś.

- On nie ma pojęcia o żadnej tajemnicy. Patrząc na mnie, widział kobietę, którą kochał i którą stracił w Yzordderrex. I która w dodatku przypominała mu matkę. Stąd ta obsesja: odbicie matki. Dopóki dyskretnie zapewniałem mu dostęp do tej iluzji, był posłuszny. Wydawało mi się to ważniejsze niż moja godność.

- To się zmieni. Jeżeli mamy stąd odejść razem, chcę, żebyś należał do mnie. Kimkolwiek jesteś. Nie będę się tobą z nikim dzielił, Pie. Za żadną cenę - ani posłuszeństwa, ani życia.

- Nie wiedziałem, że tak stawiasz sprawę. Gdybyś mi powiedział...

- Nie miałem jak. Czułem to, zanim tu trafiliśmy, ale nie mogłem się zmusić, żeby to zrobić.

- Nie wiem, ile to dla ciebie warte, ale przepraszam...

- Nie chcę przeprosin.

- A czego?

- Obietnicy. Przysięgi. - Gentle zawiesił głos. - Małżeńskiej przysięgi.

- Naprawdę? - mistyf uśmiechnął się.

- Jak najbardziej. Oświadczyłem ci się, ty wyraziłeś zgodę. Czy muszę pytać jeszcze raz? Zrobię to, jeśli chcesz.

- Nie trzeba. To dla mnie największy zaszczyt. Ale czy tutaj? Tak, właśnie tutaj... - Mistyf się rozpromienił. - Scopique mi mówił, że trzymają tu w lochach jednego niebytowca. Mógłby dać nam ślub.

- Jakiego jest wyznania?

- Trafił tu, bo uważa się za Chrystusa.
- W takim razie ma szansę to udowodnić. Uczynić cud.
- Jaki cud?
- Zrobić porządnego człowieka z Johna Furie Zachariasa.

*

Ślub mistyfa z plemienia Eurhetemeców i ściganego Johna Furie Zachariasa, znanego jako Gentle, odbył się tej samej nocy w mrocznych wnętrzach przytułku. Na szczęście kapłan miał akurat okres wyjątkowej jasności umysłu i zgodził się, żeby zwracali się do niego tak, jak naprawdę się nazywał, per ojciec Athanasiusie. Nosił jednak inne widoczne oznaki obłądzenia. Głębokie blizny na czole znaczyły ślad po koronie cierniowej, którą regularnie plótł i zakładał na głowę; na dłoniach miał strupy po gwoździach. Równie chętnie chmurzył się, jak Scopique uśmiechał, chociaż filozoficzna zaduma nie przystawała do jego twarzy komedianta. Miał bezkształtny, wiecznie usmarkany nos, szerokie szpary między zębami, brwi jak włochate gąsienice, marszczące się co chwila jak dwa akordeony. Trzymano go w najgłębszej partii przytułku, wraz z mniej więcej dwudziestką najbardziej buntowniczych więźniów. Pozbawionej okien celi strażnicy pilnowali znacznie skrupulatniej niż tych na wyższych piętrach. Scopique musiał się trochę nabiedzić, żeby się do niego dostać, a i tak przekupiony strażnik, oethac, dał im tylko kilka minut. Krótką z konieczności ceremonię ojciec Athanasius odprawił w improwizowanej mieszance łaciny i angielskiego, wplatając w nią od czasu do czasu słowa z ksiąg własnego zakonu z Drugiego Dominium - ich melodia z nawiązką wynagradzała kompletną niezrozumiałość. Przysięga małżeńska również została ograniczona do minimum ze względu na brak czasu i powtarzalność wielu kwestii.

- Nie bierzemy na świadka Hapexamendiosa - powiedział Athanasius. - Nie widzi nas żaden inny bóg ani żaden boski wysłannik. Módlmy się jednak, by Nasza Pani zechciała pobłogosławić ten związek swą nieskończoną łaską i żebyście połączyli się także później, w sprzyjających okolicznościach. Do tego czasu mogę być jedynie zwierciadłem, w którym odbije się wasz sakrament, zawarty dla waszego dobra.

Znaczenie tych słów dotarło do Gentle'a znacznie później, gdy ceremonia dobiegła końca i leżeli z Pie w pokoju.

- Zawsze sobie powtarzałem, że nigdy się nie ożenię - szepnął.

- Już żałujesz?

- W żadnym wypadku. Po prostu dziwnie się czuję. Jestem po ślubie i nie mam żony.

- Możesz nazywać mnie żoną. W ogóle możesz mnie nazywać, jak chcesz.

Wymyśl mnie od nowa. Po to jestem.

- Nie po to się z tobą ożeniłem, żeby cię wykorzystywać.

- Ale na tym to polega! Musimy być od siebie uzależnieni; może powinniśmy być dla siebie jak lustra. - Pie dotknął twarzy Gentle'a. - Możesz mi wierzyć, że ja będę cię wykorzystywał.

- W jakim celu?

- W każdym. Będiesz mnie pocieszał, kłócił się ze mną, dawał mi rozkosz.

- Chcę się od ciebie uczyć.

- Czego?

- Jak to zrobić, żebym mógł znowu wylecieć z własnej głowy. Tak jak dzisiaj. Jak podróżować dzięki mocy samego umysłu.

- Dzięki potencji - odpowiedział Pie, powtarzając określenie, jakiego Gentle użył, przebijając głowę N'ashapa. - Potencja napędza cząstki myśli jak tańczące w świetle słońca drobinki kurzu.

- Czy można to robić tylko w świetle słońca?

- Nie, chociaż tak jest łatwiej. Właściwie wszystko łatwiej się robi przy świetle słonecznym.

- Poza tym jednym... - Gentle pocałował mistyfa. - Do tych spraw zawsze wolałem noc...

Kiedy kładli się do małżeńskiego łóżka, był zdecydowany kochać się z mistyfa w jego prawdziwej postaci. Nie chciał, żeby wyobraźnia oddzieliła go od Pie, którego widział w biurze N'ashapa. Ten pomysł sprawił, że czuł się jak prawiczek; wymagał podwójnego odsłonięcia. Tak jak powinien rozpiąć i zdjąć z mistyfa ubranie, będzie musiał zderzyć z oczu dzielącą ich wygodną zasłonę iluzji. Jak się będzie z tym czuł? Łatwo dać się podniecić istocie, którą pożądanie przekształca tak bardzo, że nie sposób ją odróżnić od rzeczywistego obiektu żądzy. Jak jednak wyglądała naga, oglądana gołym okiem?

Ukryte w ciemności ciało mistyfa mogłoby należeć do kobiety - łagodne krzywizny, gładka skóra... Cechowała je jednak zupełnie nie kobieca surowość i twardość mięśni. Nie miało też bujnych pośladków ani piersi. Mistryf nie był jego żoną, chociaż chętnie pozwalał się widzieć w takiej roli. Umysł Gentle'a pragnął poddać się temu złudzeniu, lecz oparł się pokusie. Musiał ograniczyć się do tego, co widział i czuł. Zaczynał żałować, że w celi nie jest choć trochę jaśniej; obraz byłby wtedy jednoznaczny. Kiedy wsunął mistyfowi dłoń w cień między udami, poczuł ciepło i ruch.

- Chcę cię zobaczyć - powiedział.

Pie posłusznie wstał i ustawił się w padającej z okna poświacie. Serce waliło Gentle'owi jak oszalałe, ale krew nie spływała do krocza. Cała gromadziła się w głowie. Rumieńce wystąpiły mu na policzki i teraz cieszył się, że w celi jest dość ciemno. Wiedział jednak, że mrok skrywa tylko zewnętrzne pozory, a mistyf dobrze wie, co się dzieje w jego sercu. Czuje jego strach. Odetchnął głęboko i wstał. Podeszedł do chodzącej zagadki na tyle blisko, żeby jej dotknąć.

- Dlaczego sam sobie to robisz? - zapytał Pie szeptem. - Czemu odpędzasz sny?

- Nie chcę cię śnić. Udałem się w podróż, żeby zrozumieć. Jak mogę coś zrozumieć, kiedy otaczają mnie same złudzenia?

- Może poza nimi nie ma nic.

- To nieprawda.

- Może w takim razie poczekaj do jutra. Jutro pozbędziesz się iluzji, a dziś spróbuj się dobrze bawić. Nie z mojego powodu znaleźliśmy się w Imajice. Nie jestem zagadką, którą przybyłeś rozwikłać.

- Wręcz przeciwnie - odparł Gentle. - Myślę, że możesz być tym właśnie powodem i zagadką jednocześnie. Nawet gdybyśmy zostali tutaj, w zamknięciu, moglibyśmy wyleczyć Imajicę, korzystając z tego, co jest między nami. - Uśmiechnął się.

- Dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Właśnie dlatego chcę cię zobaczyć naprawdę, Pie. Żeby nie rozdzieliły nas kłamstwa. - Położył dłoń na organach płciowych mistyfa. - Możesz tym rznąć albo dać się rznąć, prawda?

- Tak.

- Czy mógłbyś urodzić dziecko?

- Nigdy tego nie zrobiłem, ale słyszałem, że to możliwe.

- A możesz kogoś zapłodnić?
- Mogę.
- To cudownie. Potrafisz coś jeszcze?
- Na przykład?
- Wybór aktywny-pasywny to nie wszystko, prawda? Wiem, że tak. Musi być coś więcej.

- To prawda.
- Trzeci sposób.
- Tak.
- Zrób to ze mną.
- Nie mogę, Gentle. Jesteś mężczyzną; masz ustaloną płęć. To fakt fizyczny. - Pie położył dłoń na miękkim, ukrytym w spodniach członku Gentle'a. - Nie mogę ci go zabrać. Zresztą... Nie chciałbyś tego. - Zmarszczył brwi. - Mam rację?

- Nie wiem. Może...
- Nie mówisz poważnie.
- Jeżeli dzięki temu pomogę nam znaleźć jakiś sposób, to mówię poważnie.
Używałem swojego fiuta na wszelkie znane mi sposoby. Może nie jest mi już potrzebny.

Pie uśmiechnął się, ale słabo, niepewnie, jakby udzieliło mu się uprzednie zakłopotanie Gentle'a. Zmrużył połyskliwe oczy.

- O czym myślisz? - zapytał Gentle.
- O tym, że trochę mnie przerażasz.
- Czym?
- Obietnicą bólu. I straty.
- Nie stracisz mnie. - Gentle położył mistyfowi dłoń na karku i pogłaskał go kciukiem. - Mówię ci, możemy, nie ruszając się z miejsca, uleczyć Imajicę. Jesteśmy silni, Pie.

Mistyf nie dał się łatwo uspokoić, więc Gentle go pocałował - najpierw delikatnie, potem z zapalem, który Pie nie od razu odwzajemnił. Chwilę wcześniej, na łóżku, Gentle się bał - teraz wszystko się zmieniło. Wsunął mistyfowi rękę w krocze; miał nadzieję, że pieśszczoty pozwolą mu zapomnieć o lęku i smutku.

Ciało Pie poruszyło się, jakby wychodząc mu na spotkanie. Było ciepłe i

złobkowane. Sączący się z niego płyn spływał Gentle'owi na stuloną dłoń, która chłoneła go jak nektar. Przycisnął mocniej i poczuł, jak coś rośnie mu w dłoni. Nie wyczuwał śladu wahania; ciało nie przejawiało smutku ani wstydu, chętnie ujawniało swoje pragnienia - a pragnienia zawsze go podniecały. Widok wykrzywionej żądzą kobiecej twarzy działał jak najlepszy afrodyzjak; teraz było podobnie.

Jedną ręką odpiął sobie pasek u spodni, ale nie zdążył wyjąć boleśnie nabrzmiałego członka. Mistyf zrobił to za niego i wprowadził go w siebie z gwałtownością, która wcale nie odbijała się na jego twarzy. Pochłonał Gentle'a razem z jądrami, ukoił jego ból i westchnął z rozkoszy, gdy jego wyposzczone nerwy zapłonęły żywym ogniem. Zamknął oczy i stał z rozwartymi ustami.

Pocałowali się. Gentle wsunął mu język między wargi. Mistyf zareagował z nieoczekiwaną namiętnością. Oplótł Gentle'a ramionami i trzymając go w podwójnym uścisku, oparł się o ścianę. Zrobił to tak gwałtownie, że Gentle poczuł w ustach wypchnięte z płuc mistyfa powietrze. Wciągnął je do płuc i zapragnął poczuć je znowu. Pie zrozumiał go bez słów. Wziął głęboki wdech i wypełnił nim płuca Gentle'a, jakby próbował przywrócić do życia topielca. Gentle odpowiedział na ten dar mocnymi pchnięciami lędźwi; czuł, jak płyn mistyfa ścieka mu po wewnętrznej stronie ud. Pie oddawał mu swój oddech raz za razem. Gentle chłonał powietrze z jego ust łapczywie, w tym samym rytmie ofiarowując w zamian swój członek. Napawał się wyrazem rozkoszy na twarzy mistyfa. Każdy z nich zarazem wnikał w ciało drugiego i dawał mu się przenikać. Być może coś podobnego miał na myśli Pie, mówiąc o kopulacji dwóch istot nieustalonej płci, do której nie mogło dojść, dopóki Gentle nie pozbyłby się członka. Teraz, gdy wbijał się nim w ciepłe wnętrze mistyfa, pomysł ten wydawał mu się niedorzeczny. Nie istniało nic lepszego. Mogło być co najwyżej inaczej.

Zamknął oczy. Nie musiał się już bać, że wyobraźnia podsunie mu jakieś wspomnienie albo nieistniejący ideał w miejsce Pie. Obawiał się za to, że jeśli dłużej będzie świadkiem rozkoszy mistyfa, pozbędzie się hamulców. Obraz, który teraz stanął mu przed oczami, był jeszcze wspanialszy - stali spleceni ze sobą, przenikali się nawzajem, tchnienie jednego i członek drugiego nabrzmiały tak mocno, że zaczynało brakować im miejsca. Chciał ostrzec Pie, że dłużej tego nie wytrzyma, ale mistyf i bez tego wiedział, o co chodzi. Złapał Gentle'a za włosy i oderwał go od swoich ust. Ból i

szloch, który wyrwał się im obu z piersi, dodatkowo ich podniecił. Gentle otworzył oczy. Wytryskując, chciał widzieć piękną twarz Pie, ale zanim do tego doszło, mistyf zmienił się w lustro. Gentle widział w nim własną twarz, trzymał w objęciach własne ciało. Ta iluzja bynajmniej go nie speszyła, przeciwnie - zanim zwierciadło przyjęło na powrót kształt ciała, a szklana powierzchnia zmieniła się w pot połyskujący na twarzy mistyfa, Gentle uwolnił swój wzburzony strumień. Wrażenie było jak zwykle niepowtarzalne i wstrząsające; krótka chwila szaleństwa, a potem uczucie straty, z którym nigdy nie umiał się pogodzić.

Mistyf zaczął się śmiać, zanim Gentle na dobre skończył. Pierwszy świeży oddech Gentle zużył na pytanie:

- Co cię tak bawi?

- Ta cisza - odparł Pie i przestał się śmiać, żeby Gentle mógł docenić dowcip.

Przeleżał wiele godzin w tej celi, nie mogąc nawet jęknąć, ale nigdy przedtem cisza nie była tak idealna. Cały przytułek słuchał - od przepastnych lochów, w których ojciec Athanasius zakładał swoje cierniowe korony, aż po biuro N'ashapa, gdzie krew oethaca na zawsze splamiła dywan. Nie było żywej duszy, która by nie słyszała, jak się kochają.

- Co za cisza - powtórzył mistyf.

W tej samej chwili ktoś zaczął krzyczeć. Samotny, wściekły ryk niósł się po przytułku przez resztę nocy, jakby chciał oczyścić szare kamienie z radości, która na krótko je splugawiła.

ROZDZIAŁ 27

1

Gdyby Jude się postarała, wymieniłaby pewnie z tuzin mężczyzn - kochanków, adoratorów, niewolników - którzy twierdzili, że zrobią absolutnie wszystko, byle spojrzała na nich łaskawym okiem. Kilku z nich próbowała nawet trzymać za słowo, ale jej żądania, nawet najbardziej ekstrawaganckie, były niczym w porównaniu z darem, którego zażądała od Oscara Godolphina. Powiedziała: „Pokaż mi Yzordderrex” i patrzyła, jak na jego twarzy odmalowuje się strach.

Nie odmówił jej od razu. Zdawał sobie sprawę, że mógłby w ten sposób zaprzepaścić wszystko, co się między nimi działo, a takiej straty nigdy by sobie nie wybaczył. Wysłuchał jej i więcej nie wspomniał ani słowem o tej propozycji, mając najwyraźniej nadzieję, że Jude o niej zapomni. Nic z tego. Rozkwit łączącej ich fizycznej zażyłości pozwolił jej wyzbyć się dziwnej bierności, którą do tej pory wykazywała. Teraz znała jego słabe punkty, widziała go zranionego, zawstydzonego; widziała, jak się kocha - delikatnie, słodko perwersyjnie. Jej uczucia do niego były tak samo silne jak przedtem, ale z jej oczu zniknęła zasłona bezwarunkowej akceptacji. Kiedy przekonała się, jak bardzo jej pożąda - co okazywał kilkakrotnie po pierwszym zbliżeniu - wróciła dawna, pewna siebie i odważna Judith, uśmiechnięta i czujna. Patrzyła i czekała. Jej oddanie z każdym dniem dodawało jej sił. Napięcie między dwoma połówkami jej osobowości - bezwolnej kochanki, którą stała się na początku przy Oscarze, i dawnej (a także obecnej) konkretnej kobiety - na dobre wyrwało ją z letargu i znów miała ogromną ochotę na podróż przez dominia. W ciągu kilku następnych dni parokrotnie przypominała Godolphinowi, co jej obiecał, ale przy pierwszych dwóch okazjach zbywał ją grzecznie, jakby nie chciał o tym rozmawiać. Za trzecim razem westchnął ciężko i przewrócił oczami.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? - zapytał. - Yzordderrex to przeludnione, paskudne miasto. Nie znam tam ani jednego przyzwoitego człowieka, który nie wolałby mieszkać tutaj, w Anglii.

- Tydzień temu twierdziłeś, że chciałbyś się tam wyprowadzić. Brakowałoby ci tylko krykieta.

- Masz dobrą pamięć.

- Pamiętam każde słowo - przytaknęła, nie bez lekkiej goryczy w głosie.

- Cóż, sytuacja się zmieniła. W Yzordderrex szykuje się rewolucja. Gdybyśmy teraz się tam znaleźli, zostalibyśmy pewnie zlinczowani na ulicy.

- Byłeś tam wielokrotnie - zauważyła Jude. - Przybyszów takich jak ty są pewnie setki, prawda? Nie ty jeden odwiedzasz to miasto. Magia służy do przekraczania dzielących dominia barier. - Godolphin milczał. - Chcę zobaczyć Yzordderrex, Oscarze. Jeżeli mnie ze sobą nie weźmiesz, znajdę maga, który to zrobi.

- Nawet nie próbuj na ten temat żartować.

- Mówię serio - rzuciła zapalczywie Jude. - Nie możesz być jedynym, który to potrafi

- Ale prawie jedynym.

- Są inni. Znajdę ich, jeśli mnie do tego zmusisz.

- Wszyscy pozostali albo są obłąkani, albo martwi.

- Zostali zamordowani? - spytała, zanim zdała sobie sprawę, co to naprawdę oznacza.

Wyraz jego twarzy (a raczej całkowity brak wyrazu, bo nie drgnął w niej ani jeden mięsień) potwierdził jej podejrzenia. Zwłoki, które widziała w dzienniku telewizyjnym, nie należały do naćpanych hipisów i zwariowanych na punkcie seksu satanistów, lecz do ludzi, którzy posiadli prawdziwą moc. Może nawet bywali tam, dokąd tak bardzo chciała się dostać - w Imajice.

- Czyja to robota, Oscarze? Wiesz, kto to robi, prawda?

Wstał i podszedł do niej. Zrobił to płynnie i szybko, nawet przez chwilę bała się, że chce ją uderzyć, ale tylko uklękł i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Posłuchaj mnie uważnie. Mam pewne zobowiązania rodzinne, których, Bóg mi świadkiem, wolałbym nie mieć. Gdybym mógł, najchętniej bym o nich zapomniał...

- To się jakoś wiąże z tym wieżowcem, prawda?

- Wolałbym nie poruszać tego tematu.

- Właśnie go poruszyliśmy, Oscarze.

- To sprawa bardzo delikatnej, prywatnej natury. Zadaję się z osobnikami całkowicie pozbawionymi moralności. Gdyby dowiedzieli się, ile już ci powiedziałem, obojgu nam groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo. Błagam, żebyś nigdy nie wspominała o tym przy obcych. Nie powinienem był zabierać cię do tamtego budynku.

Jeśli nawet jego mieszkańcy są tylko w połowie tak groźni, jak twierdzi Oscar, pomyślała, to do czego by się posunęli, gdyby wiedzieli, jakie sekrety znam?

- Obiecuj mi, że nie będziemy wracać do tej sprawy - mówił dalej.

- Chcę zobaczyć Yzordderrex, Oscarze.

- Obiecuj mi to. Nie wspomnisz o wieżowcu, ani tutaj, ani poza tym domem.

Obiecuj mi to, Judith.

- Dobrze. Nie wrócę do sprawy wieżowca.

- Ani tu, w tym domu...

- ...ani poza nim. Ale...

- Słucham, skarbie?

- Nadal chcę zobaczyć Yzordderrex.

2

Następnego ranka poszła do Highgate. Znów padał deszcz, a ponieważ nie udało się jej złapać taksówki, postanowiła zaryzykować przejażdżkę metrem. To był błąd. Nie lubiła podziemnych kolejek, które zawsze budziły w niej klaustrofobiczne lęki, teraz zaś jadąc przypominała sobie, że dwie z zabitych ostatnio osób zginęły właśnie w tunelach metra - jedna została zepchnięta pod pociąg z peronu Piccadilly, drugą zasztyletowano w środku nocy gdzieś na trasie linii Jubilee. Ktoś, kto miał choćby mętne pojęcie o żyjących w ukryciu potworach (a Jude zaliczała się do takich ludzi), nie powinien zapuszczać się do tych tuneli. Z ogromną ulgą wyszła więc na powierzchnię ze stacji Archway i pieszo ruszyła w górę Highgate Hill. Chmury się rozproszyły. Bez trudu znalazła wieżowiec,

choć jego nijaki wygląd i oddzielający go od ulicy szpaler drzew pomagały mu unikać powszechnej uwagi.

Mimo śmiertelnie poważnych ostrzeżeń Oscara nie potrafiła do końca uwierzyć, że coś może jej tu grozić. Wiosenne słońce mocno przygrzewało, aż musiała zdjąć kurtkę. W trawie buszowały wróble, kłócąc się o wywabione deszczem na powierzchnię robaki. Spojrzała w okna domu w poszukiwaniu śladów zamieszkania, ale niczego nie zauważyła. Ominęła szerokim łukiem frontowe drzwi - pamiętała, że przy schodach zamontowano kamerę - i zaczęła okrążyć gmach, nie napotykając murów ani zwojów drutu kolczastego. Właściciele wieżowca musieli uznać, że najlepszą obroną będzie jego absolutna nijakość i że im mniej będą się oganiać od potencjalnych intruzów, tym mniej się ich zjawi. Od tyłu gmach był jeszcze zwykleszy niż od frontu. Większość okien zakrywały żaluzje, a nieliczne odsłonięte ukazywały puste pokoje. Jude obeszła wieżowiec dookoła, ale nie znalazła drugiego wejścia.

Wracając do drzwi frontowych, próbowała sobie wyobrazić ciągnącą się pod ziemią sieć korytarzy, półki z książkami, uwięzioną w ciemności kobietę. Liczyła na to, że duchem wśliznie się tam, gdzie jej ciało nie zdoła dotrzeć, ale próby te okazały się równie bezowocne jak zagłębienie przez okna do środka. Prawdziwy świat był nieubłagany i nie zamierzał poruszyć nawet najmniejszej cząsteczki ziemi, żeby wpuścić Jude do środka. Zniechęcona obeszła budynek ostatni raz dookoła i postanowiła na razie sobie odpuścić. Może powinna wrócić nocą, kiedy rzeczywistość nie będzie aż tak narzucać się zmysłom; a może ponownie wypróbować na sobie działanie niebieskiego kamienia z okiem - chociaż ten akurat pomysł przyprawiał ją o dreszcze. Nie wiedziała, jak naprawdę działa oko, bała się więc całkowicie poddawać jego mocy. Wystarczy, że poddawała się władzy Oscara.

Włożyła kurtkę i zaczęła schodzić w dół. Sądząc po braku samochodów na Hornsey Lane, całe Highgate Hill musiało stać w korkach, przez co pojazdy nie docierały tak wysoko. Uliczka, która zwykle tętniła rykiem silników, nie była jednak zupełnie pusta. Jude usłyszała kroki i kobiecy głos:

- Kim jesteś?

Odwróciła się, nie oczekując właściwie, że pytanie jest skierowane do niej, ale stwierdziła, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo poza bladą, biednie ubraną kobietą po

sześćdziesiątce, która przyglądała się jej natarczywie.

- Kim jesteś? - powtórzyła nieznajoma.

Ślady śliny wokół ust sugerowały przebyty w przeszłości wylew.

Judith, poirytowana dotychczasowym niepowodzeniem, nie miała ochoty na pogawędkę z miejscową wariatką. Odwróciła się i zamierzała odejść, gdy kobieta zapytała:

- Nie wiesz, że mogą ci zrobić krzywdę?

- Kto?

- Ludzie z wieżowca. Tabula Rasa. Czego szukałaś?

- Niczego.

- Bardzo ci zależało, żeby to nic znaleźć.

- Jest pani ich szpiegiem?

Kobieta wydała paskudny dźwięk, który Jude postanowiła uznać za śmiech.

- Nie wiedzą nawet, że żyję. Kim jesteś? - Nieznajoma trzeci raz zadała to samo pytanie.

- Nazywam się Judith.

- Ja jestem Clara Leash. - Kobieta obejrzała się przez ramię na wieżowiec. - Idź już. W połowie drogi ze wzgórza na dół jest kościół. Tam się spotkamy.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie tutaj. Porozmawiamy w kościele.

Odwróciła się i odeszła w swoją stronę. Jude nie zamierzała iść za nią, jednak dwa słowa z ich rozmowy - Tabula Rasa - przekonały ją, że powinna pójść do kościoła i wysłuchać Clary Leash.

Poprzednim razem słyszała te nazwę z ust Charliego na wsi, w majątku Godolphinów. Starszy brat został pominięty w sukcesji i członkostwo w Tabula Rasa przypadło w udziale Oscarowi. Wtedy słowa te zdawały się nie mieć wielkiej wagi, a późniejsze doświadczenia dodatkowo zatarły je w pamięci Judith. Teraz gorączkowo próbowała przywołać wspomnienia. Charlie napomknął coś o splugawionej angielskiej ziemi. Zapytała, czym splugawionej, a on odpowiedział coś pół żartem, pół serio. Teraz już wiedziała, jakie plugastwo miał na myśli: magię. W tym wieżowcu zapadały wyroki na ludzi, których ciała znajdowano później w płytkich grobach na Heath lub

zeskrobywano z torów metra przy Piccadilly. Nie dziwota, że Oscar chudł w oczach i popłakiwał przez sen. Należał do stowarzyszenia stawiającego sobie za cel unicestwienie innej, kurczącej się grupy, której również był członkiem. Służył dwóm panom: magii i jej niszczycielom.

Musiała dołożyć wszelkich starań, żeby mu pomóc. Bez niej groziło mu zmiążdzenie w imadle sprzecznych powinności. Była jego ukochaną, a on - jej bilet do Yzordderrex, bez którego nigdy nie ujrzy cudów Imajiki. Potrzebowali się nawzajem, żywi i zdrowi na umyśle.

Pół godziny czekała pod kościołem.

- Nie możemy tu zostać - stwierdziła zaniepokojona Clara, kiedy wreszcie się zjawiała. - Wejźmy do środka.

W kościele panował półmrok. Usiadły blisko ołtarza, żeby nie słyszała ich trójka rozmodlonych wiernych w tylnych rzędach, ale nie było to najlepsze miejsce na cichą pogawędkę. Echo niosło ich szepty i nawet jeśli nie dało się rozróżnić słów, głosy odbijały się wielokrotnie od nagich ścian. W dodatku nie ufały sobie nawzajem. Broniąc się przez palącym spojrzeniem Clary, Judith z początku siedziała bokiem do niej. Spojrzała jej w oczy dopiero, gdy skończyły się podchody i poczuła, że może zadać dręczące ją pytanie:

- Co pani o wie o Tabula Rasa?

- Wszystko. Przez wiele lat należałam do tego stowarzyszenia.

- Czy reszta myśli, że pani nie żyje?

- Niewiele się myślą. Zostało mi najwyżej kilka miesięcy życia. Właśnie dlatego muszę komuś przekazać swoją wiedzę...

- Mnie?

- To zależy. Przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć, czego szukałaś na wzgórzu.

- Wejścia do wieżowca.

- Byłaś kiedyś w środku?

- I tak, i nie.

- To znaczy?

- Duchem tak, ciałem nie - odparła Judith, spodziewając się dziwnego parsknięcia

śmiechem w odpowiedzi, ale Clara stwierdziła tylko:

- Nocą trzydziestego pierwszego grudnia.

- Skąd pani wie, do diabła?!

Clara położyła jej palec na ustach. Był lodowaty.

- Przede wszystkim muszę ci wyjaśnić, jak to się stało, że odeszłam z Tabula Rasa.

Mimo że opowiadała swoją historię bez zbędnych ozdobników, zabrało jej to sporo czasu - także ze względu na liczne wyjaśnienia, których musiała udzielać, żeby Jude w pełni pojęła znaczenie faktów. Podobnie jak Oscar, urodziła się w rodzinie jednego z członków założycieli Tabula Rasa. Wychowano ją w poszanowaniu głównych wartości stowarzyszenia: Anglię, splugawioną i niemal zniszczoną przez działanie magii, należy chronić przed działaniem kultów i osób, które chciałyby kształcić nowych adeptów sztuki magicznej. Na pytanie Judith o zagładę, której Anglia ponoć cudem uniknęła, Clara przytoczyła osobną historyjkę. W dniu najbliższego przesilenia letniego, wyjaśniła, minie dwieście lat od odprawienia pewnego rytuału, który kompletnie się nie powiodł. Miał na celu połączenie Ziemi z czterema pozostałymi wymiarami.

- Z dominiami. - Judith zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Powiedz to głośno. Z dominiami! Z dominiami! - Clara wypowiedziała te słowa swoim normalnym głosem, który po dłuższej chwili ciszy i tak brzmiał ogłuszająco. - Zbyt długo trzymano to w tajemnicy i wróg urósł w siłę.

- Kto jest wrogiem?

- Jest ich wielu. W tym dominium: Tabula Rasa i jej sługi. A ma ich wiele, możesz mi wierzyć. I to wysoko postawionych.

- Jakim cudem?

- Przecież jej członkowie są potomkami ludzi, którzy decydowali o obsadzeniu europejskich tronów. Gdyby nawet zabrakło im odpowiednich wpływów, zawsze można kupić demokrację. Tak jest od wieków.

- A w innych dominiumach?

- Ostatnio o informacje coraz trudniej. Słyszałam o dwóch kobietach, które regularnie podróżowały z Ziemi do Pojedynych Dominiumów i z powrotem. Jedną z nich przed tygodniem znaleziono martwą, druga zniknęła bez śladu. Też mogła zostać

zamordowana...

- ...przez Tabula Rasa.

- Ty też już swoje wiesz, prawda? Można wiedzieć skąd?

Judith wiedziała, że nie uniknie tego pytania, i zastanawiała się od dłuższej chwili, jak na nie odpowie. Przekonała się, że Clara Leash nie jest bynajmniej wariatką. Bała się jednak dzielić sekretem, od którego mogło zależeć życie Oscara, z nieznaną kobietą wyglądającą na żebraczkę.

- Nie mogę pani tego powiedzieć - odparła. - Ta osoba i tak jest w niebezpieczeństwie.

- A ty mi nie ufasz. - Clara uciszyła ją gestem. - Nie próbuj mnie oszukać, nie ufasz mi, a ja nie powinnam mieć do ciebie pretensji. Pozwól jednak, że zadam ci jedno pytanie. Czy to mężczyzna?

- Tak, a co?

- Kiedy pytałaś o wroga, wskazałam ci Tabula Rasa. Ale jest inny jeszcze nieprzyjaciel, bardziej oczywisty. Płeć przeciwna.

- Słucham?

- Mężczyźni, Judith. Niszczyciele.

- No, no, chwileczkę...

- Kiedyś w dominiach panowały boginie, potężne istoty, które w kosmicznym dramacie grały naszą rolę. Już nie żyją, Judith. I nie umarły ze starości. Zostały z premedytacją wymordowane.

- Przeciętni mężczyźni nie zabijają bogiń.

- Ale służą nieprzeciętnym, którym z kolei bogowie zsyłają wizje. Bogowie zabijają boginie.

- To zbyt proste, jak szkolna lekcja.

- Zapamiętaj ją dobrze i podważ jej prawdziwość, jeśli zdołasz. Chciałabym, żebyś miała rację; żeby się okazało, że wszystkie boginie czekają gdzieś w ukryciu...

- Tak jak ta kobieta w podziemiach wieżowca?

Pierwszy raz Clarę dosłownie zatkało.

- Mówiłam, że duchem byłam w środku - ciągnęła Judith. - To niezupełnie prawda. Byłam tylko w podziemiach, w ciągnącej się jak labirynt piwnicy. Za jedną ze

ścian, w celi, znalazłam kobietę. Z początku wydawało mi się, że nie żyje, ale się myliłam. Jest może bliska śmierci, lecz kurczowo trzyma się życia.

Widać było, że jej słowa poruszyły Clare.

- Myślałam, że tylko ja o niej wiem.

- A bardziej konkretnie? Kto to jest?

- Nie jestem pewna, ale się domyślam - odparła Clara i podjęła przerwana opowieść o tym, jak rozstała się z Tabula Rasa.

Biblioteka w podziemiach, wyjaśniła, jest największym na świecie zbiorem manuskryptów okultystycznych, w szczególności poświęconych legendom i tajemnej wiedzy Imajiki. Zgromadzili ją założyciele stowarzyszenia, z Roxboroughem i Godolphinem na czele, by nic, co ma związek z Imajicą, nie splamiło rąk i umysłów niewinnych Anglików. Zamiast jednak skatalogować kolekcję i sporządzić indeks ksiąg zakazanych, kolejne pokolenia Tabula Rasa pozwoliły im gnić w lochu.

- Podjęłam się uporządkowania zbiorów. Teraz pewnie trudno w to uwierzyć, ale kiedyś uwielbiałam porządek. Miałam to po ojcu, był żołnierzem. Z początku dwie osoby ze stowarzyszenia patrzyły mi na ręce; takie jest prawo. Żaden członek Tabula Rasa nie ma prawa sam zejść do biblioteki. Gdyby wykazał nadmierne zainteresowanie księgami lub gdyby okazało się, że jest pod ich wpływem, może zostać osądzony i stracony przez stowarzyszenie. Chociaż nie sądzę, żeby kiedyś doszło do takiej sytuacji. Wiele książek jest po łacinie, a kto dziś zna łacinę? Wiele - co sama pewnie widziałaś - gnije tak jak my wszyscy. Ja jednak chciałam je poukładać, zaprowadzić porządek, który spodobałby się tacie. Wszystko na swoim miejscu. Moi stróże szybko się znudzili i zostawili mnie samą przy tej pracy, a ja w środku nocy poczułam, że coś... albo ktoś... ciągnie mnie za myśli jak za włosy i pojedynczo wrywa mi je z głowy. Oczywiście najpierw pomyślałam, że to przez książki, że słowa w nich zawarte zdobyły nade mną jakąś władzę. Próbowałam wyjść z piwnicy, ale tak naprawdę nie miałam ochoty tego robić. Przez pięćdziesiąt lat byłam biedną córeczką tatusia i teraz coś we mnie pękło. Celestine też o tym wiedziała...

- Celestine? To ona została uwięziona za ścianą?

- Tak mi się wydaje.

- No więc, kim ona jest?

- Zaraz do tego dojdę. W miejscu, gdzie dziś stoi wieżowiec, znajdował się

dawniej dom Roxborougha. Piwnice pozostały właśnie po nim, nie zmienione. Celestine była, a właściwie dalej jest więźniem Roxborougha, który zamurował ją żywcem w lochu, bo bał się ją zabić. Widziała oblicze Hapexamendiosa, boga bogów. Postradała potem zmysły, lecz nawet Roxborough nie ważył się tknąć człowieka, który otarł się o boskość.

- Skąd pani to wszystko wie?

- Kilka dni przed śmiercią Roxborough spisał testament, w którym przyznał się do winy. Wiedział, że kobieta, którą zamurował za ścianą, przeżyje go o stulecia, i chyba domyślał się, że prędzej czy później ktoś ją znajdzie. Jego spowiedź była więc zarazem ostrzeżeniem dla wszystkich biednych, udręczonych mężczyzn, żeby jej nie dotykali. „Pogrzebicie ją ponownie”, pisał, dobrze to pamiętam. „Pogrzebicie ją w najgłębszej otchłani, jaką zdołacie znaleźć...”.

- Gdzie znalazła pani ten testament?

- W ścianie. Tej nocy, kiedy zostałam sama. Celestine chyba mnie do niego zaprowadziła, wrywając mi jedne myśli z głowy i zastępując je innymi. Ale przesadziła, mój mózg tego nie wytrzymał. Miałam wylew. Przeleżałam tam trzy dni.

- To straszne...

- Mój ból to i tak nic w porównaniu z jej cierpieniem. Roxborough znalazł Celestine w Londynie, może wytropili ją jego szpiedzy. Wiedział, że trafił na istotę obdarzoną ogromną mocą. Chyba zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż ona sama. W testamencie pisał, że sama sobie była obca. Widziała rzeczy, których nie oglądało ludzkie oko. Została porwana z Piątego Dominium, przeniesiona przez całą Imajicę i postawiona przed obliczem Hapexamendiosa.

- Dlaczego?

- Tu historia robi się coraz bardziej niezwykła. Celestine powiedziała przesłuchującemu ją Roxboroughowi, że została odesłana do Piątego Dominium brzemienna.

- Miała urodzić dziecko boga?

- Tak mówiła Roxboroughowi.

- Mogła to wszystko zmyślić, żeby jej nie skrzywdził.

- Wątpię, czyby się na coś takiego odważył. Przypuszczam raczej, że się w niej

zakochał. W testamencie napisał, że czuje się jak jego przyjaciel Godolphin: „Złamało mnie oko kobiety”, napisał.

Dziwne zdanie, uznała Jude. Przypomniała sobie niebieski posążek i jego władcze spojrzenie.

- Godolphin zmarł opętany obsesją na punkcie jakiejś dziewczyny, którą pokochał i stracił; twierdził, że go zniszczyła. Bo widzisz, mężczyźni zawsze są niewinni i padają ofiarą kobiecych knowań. Śmiem nawet twierdzić, że kiedy Roxborough zamurował Celestine w piwnicy, nazwał to aktem miłości. Chciał ją zachować dla siebie na zawsze.

- Co się stało z dzieckiem?

- Może sama nam powie.

- Czyli musimy ją stamtąd wydostać.

- Właśnie.

- Ma pani jakiś pomysł, jak to zrobić?

- Jeszcze nie. Dopóki cię nie spotkałam, byłam załamana, ale teraz wierzę, że razem coś wymyślimy.

Zrobiło się późno i Jude zaczęła się niepokoić, że Oscar zauważy jej przedłużającą się nieobecność. Dlatego też zgodziły się na bardzo ogólny zarys planów dalszych działań. Należało jeszcze raz obejrzeć z bliska wieżowiec, tym razem - jak zasugerowała Clara - pod osłoną nocy.

- Dzisiaj - dodała.

- Nie zdążę. Potrzebuję czasu, żeby wymyślić jakieś usprawiedliwienie, kiedy zniknę na całą noc.

- Co za cerber cię pilnuje?

- Zwyczajny mężczyzna.

- Podejrzliwy?

- Czasem.

- Dobrze, Celestine czeka już na tyle długo, że dwadzieścia cztery godziny jej nie zbawią. Ale proszę cię, nie więcej; nie jestem już taka młoda.

Jude przykryła dłonią jej dłoń; dotknęły się pierwszy raz, odkąd Clara ją uciszyła.

- Nie umrzesz - powiedziała.

- Owszem, umrę. To nic strasznego. Chciałabym tylko najpierw zobaczyć twarz

Celestine.

- Obie ją zobaczymy - zapewniła Judith. - Jeśli nie jutrzejszej nocy, to niedługo potem.

3

Nie wierzyła, żeby opinia Clary na temat mężczyzn mogła odnosić się także do Oscara. Nie mordował bogiń - ani osobiście, ani przez pośredników. Co innego Dowd. Zachowywał pozory, był kulturalny, żeby nie powiedzieć ugrzeczniony, ale nie potrafiła zapomnieć, z jaką obojętnością pozbył się zwłok pustkowców i grzał ręce przy ogniu, jakby paliły się w nim gałęzie drzew, a nie kości żywych stworzeń.

Miała pecha. Gdy wróciła, Dowd czekał na nią, i to sam, bez Oscara. Musiała odpowiedzieć na jego pytania, jeżeli nie chciała milczeniem ściągnąć na siebie podejrzeń. Kiedy spytał, co robiła przez cały dzień, odparła, że wybrała się na długi spacer nabrzeżem Tamizy. Zapytał, czy w metrze był tłok - odpowiedziała, że tak. Następnym razem proszę raczej wziąć taksówkę, poradził jej. Albo dać mi znać, to panią podwiozę. Pan Godolphin na pewno życzyłby sobie, żeby podróżowała pani wygodnie. Podziękowała mu za uprzejmość. Czy planuje pani w najbliższym czasie jakieś wycieczki? - zapytał. Miała już gotową historyjkę na następny wieczór, ale rozmowy z Dowdem zawsze zbijały ją z pantafyku.

Wiedząc, że kłamstwo natychmiast zwróci jego uwagę, powiedziała, że jeszcze nie wie. Dał jej spokój.

Oscar wrócił do domu około północy i dyskretnie - na ile pozwalała mu masywna sylwetka - wśliznął się do łóżka. Judith udała, że ją obudził. Wymamrotał przeprosiny, szepnął jakieś czułe słówko. Udając, że jest zasnana, powiedziała mu, że następnego wieczoru chce się spotkać z Clemem. Czy nie miałby nic przeciwko temu? Odparł, że może robić, co chce, byle tylko zachowała dla niego swoje piękne ciało. Pocałował ją w kark i w ramię, i zasnął.

*

Umówiły się z Clarą o ósmej pod kościołem, ale Jude wyszła dwie godziny

wcześniej, żeby po drodze zejść do swojego starego mieszkania. Nie wiedziała, jaką rolę miało do odegrania niebieskie oko, lecz poprzedniej nocy uznała, że musi je mieć przy sobie podczas próby uwolnienia Celestine.

W mieszkaniu panował chłód i nieporządek. Spędziła w nim zaledwie chwilę. Wyjęła rzeźbę z szafy, przejrzała pocztę, na którą w większości składały się reklamówki, i wyszła.

Tak jak jej radził Dowd, złapała taksówkę. Dotarła do Highgate dwadzieścia pięć minut przed czasem, ale Clara już na nią czekała.

- Jadłeś coś, dziecko? - zapytała. Jude skinęła głową. - To dobrze. Dziś musimy być silne.

- Zanim pójdziemy dalej, chciałabym pani coś pokazać. Nie wiem, czy się nam do czegoś przyda, ale powinna pani to zobaczyć. - Wyjęła z torebki owiniętą w kawałek materiału paczuszkę. - Pamięta pani, jak opowiadała mi o Celestine? O tym, jak wrywała pani myśli z głowy?

- Naturalnie.

- Ten kamień zrobił ze mną to samo.

Jude zaczęła rozpakowywać zawiniątko. Palce drżały jej lekko. Odkąd z przesadną starannością schowała je w szafie, minęły ponad trzy miesiące, ale wspomnienia nie osłabły. Spodziewała się, że i teraz kamień będzie próbował nią zawładnąć. Nic takiego się nie stało. Leżał w zwojach materiału i wyglądał tak niewinnie, że zrobiło się jej wstyd. Po co ta cała szopka?

Clara jednak uśmiechnęła się na jego widok.

- Skąd go masz?

- Wolałabym o tym nie mówić.

- Nie czas na sekrety - warknęła Clara. - Skąd go masz?

- Mój mąż dostał go w prezencie. Były mąż.

- Od kogo?

- Od brata.

- Kim jest jego brat?

Jude wzięła głęboki wdech, nie wiedząc jeszcze, czy zaraz powie prawdę, czy skłamię.

- Nazywa się Oscar Godolphin - odparła.

Clara cofnęła się o krok, jakby, słysząc to nazwisko, mogła się czymś zarazić.

- Znasz Oscara Godolphina? - wyszeptała wstrząśnięta.

- Znam.

- To on jest twym cerberem?

- Tak.

- Zasłoń ten kamień - powiedziała Clara. - Zawiń i schowaj. - Stała plecami do Judith. Powykrzywianymi palcami przeczesła włosy. - Ty i Godolphin? - mruknęła. - Co to oznacza? Co to oznacza?

- Nic. To, co do niego czuję, i to, co tu robimy, to dwie kompletnie odrębne sprawy.

- Nie bądź naiwna. Godolphin jest mężczyzną i członkiem Tabula Rasa. Ty i Celestine jesteście kobietami i jego więźniami...

- Nie jestem więźniem! Robię, co chcę i kiedy chcę.

- Dopóki nie próbujesz zmienić biegu historii. Bo wtedy przekonasz się, co on o tym sądzi. - Clara zniżyła głos do dramatycznego szeptu. - Zrozum, nie możesz jednocześnie ocalić Celestine i żyć z nim w zgodzie. Zamierzasz właśnie podkopać fundamenty - dosłownie! - jego rodziny i wiary. Kiedy się o tym dowie, a dowie się, gdy Tabula Rasa zatrzęsie się w posadach, wasz związek będzie bez znaczenia. To nie tylko kwestia płci, Judith. Jesteśmy innym gatunkiem istot. To, co dzieje się w naszych ciałach i umysłach, nawet w przybliżeniu nie przypomina tego, co dzieje się w nich. Mamy różne piekła, różne nieba; jesteśmy wrogami. W tej wojnie nie możesz stać po obu stronach barykady jednocześnie.

- To nie jest żadna wojna. W czasie wojny byłabym wściekła, a jestem spokojna jak nigdy.

- Zobaczymy, co już wkrótce się stanie z twoim spokojem.

Jude westchnęła głęboko.

- Przestańmy się kłócić i weźmy do pracy - zaproponowała.

Clara spiorunowała ją wzrokiem.

- Pewnie szuka pani słów w rodzaju „uparta suka”. - Jude podsunęła jej uprzejmie.

- Nie ufam tym, którzy są bierni - odparła Clara z nutą podziwu w głosie.

- Zapamiętam to sobie.

*

W wieżowcu nie paliły się żadne lampy. Światło ulicznych latarni nie mogło przedrzeć się przez listowie drzew. Na dziedzińcu panował półmrok, a ścieżka wokół budynku była ukryta w całkowitej ciemności. Clara musiała tu jednak nieraz myszkować po ciemku, gdyż szła pewnie naprzód. Jude bezlitośnie chłostały ciernie i pokrzywy, których za dnia łatwo unikała. Zanim stanęły z tyłu budynku, jej oczy przywykły trochę do ciemności. Clara stała dwadzieścia metrów od ściany gmachu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

- Co pani robi? Wiemy przecież, że do środka prowadzi tylko jedna droga.

- Zamknięta na cztery spusty. Pod ziemią może być inne wejście, chociażby kanał wentylacyjny. Powinniśmy przede wszystkim namierzyć celę, w której zamurowano Celestine.

- Jak to zrobimy?

- Użyjemy oka, które zabrało cię w podróż. Daj mi je...

- Sądziłam, że tak splugawionych przedmiotów nie można nawet dotknąć...

- Ależ skąd!

- Pani tak na nie spojrzała...

- Bo zostało ukradzione, dziecko. To właśnie napawa mnie odrazą. Oto część kobiecej historii, która trafiła w męskie ręce.

- Oscar na pewno nie wiedział, co to jest - zaperzyła się Jude, chociaż w duchu musiała przyznać, że sama w to nie wierzy.

- Kiedyś znajdowało się w pięknej świątyni...

- A już na pewno nie grabi świątyń! - Jude wyjęła kamień z kieszeni.

- Nie twierdzą, że to robi - odparła Clara. - Kiedy burzono świątynie, ród Godolphinów jeszcze nie istniał. No co, dasz mi go czy nie?

Jude poczuła, że wcale nie ma ochoty się nim dzielić. Oko nie wyglądało już tak niewinnie jak przed chwilą. Emanowało lekką błękitną poświatą, przy której mogły z Clarą widzieć swoje twarze.

Spojrzały sobie w oczy. Oko w kamieniu lśniło między nimi, jakby należało do trzeciego spiskowca, którego obecność - w stłumionym pomruku samochodów i buczeniu

mknących wśród chmur odrzutowców - dodawała powagi chwili. Ile kobiet zbierało się w tym świetle na przestrzeni wieków? Modliły się, składały ofiary, prosiły o ochronę. Na pewno było ich mnóstwo. Dawno zmarłe i zapomniane, w tej krótkiej chwili poza czasem udało się je wydobyć z otchłani anonimowości. Nie miały imion, ale przynajmniej nowe kapłanki uznały ich obecność.

Jude oderwała wzrok od Clary i skupiła się na kamieniu. Nagle otaczający ją świat materialny stracił znaczenie, stał się w najlepszym razie grą iluzji, w najgorszym zaś - pułapką, w której miotał się bezsilny duch, a miotając się, dawał moc kłamstwu. Nie było sensu słuchać praw tego świata, skoro mogła wylecieć myślą poza niego. Spojrzała na Clare, która również powinna szykować się do drogi, ale patrzyła gdzieś poza krąg światła, w stronę narożnika budynku.

- Co się stało? - Jude podążyła za jej wzrokiem. Ktoś szedł w ich stronę. Poznała ten nonszalancki krok.

- Dowd.

- Znasz go? - zdziwiła się Clara.

- Trochę - przytaknął Dowd równie niedbale, jak szedł. - Ale tylu rzeczy poza tym nie wie...

Clara puściła ręce Jude. Czar trzech kobiet został przerwany.

- Nie zbliżaj się - powiedziała.

O dziwo, Dowd stanął jak wryty kilka metrów przed nimi. Blask kamienia sięgał akurat na tyle daleko, żeby Jude dostrzegła jego twarz. Coś wiło mu się wokół ust, jakby właśnie zjadł garść mrówek i kilka próbowało wymknąć mu się spomiędzy warg.

- Z przyjemnością zabiłbym was obie - rzekł Dowd. Kilka maleńkich pajęczków wybiegło mu z ust na brodę i policzki. - Twój czas wkrótce nadejdzie, Judith. Już niedługo. A na razie zajmę się Claram... Claram, prawda? Nie mylę się chyba?

- Idź do diabła, Dowd - powiedziała Jude.

- Odsuń się od tej starej baby.

Jude złapała Clare za rękę.

- Nikomu nie zrobisz krzywdy, gnojku.

Takiego gniewu jak w tej chwili nie czuła od miesięcy. Kamień ciążył jej w dłoni. Była gotowa dzielić nim drania po łbie, gdyby zrobił jeszcze krok w ich stronę.

- Nie słyszałaś, co powiedziałem, kurwo jedna? - Dowd ruszył w jej kierunku. - Odsuń się!

Zamachnęła się i rzuciła na niego, lecz gdy puściła rękę Clary, Dowd zrobił unik i zniknął jej z oczu. Zrozumiała, że o to mu właśnie chodziło. Usłyszała okrzyk przerażenia i Clara zatoczyła się w tył. Pajęczki rozbiegły się po jej twarzy. Oślepiły ją. Jude chciała złapać Clare, zanim upadnie, ale Dowd jednym uderzeniem wytrącił jej kamień z ręki. Zamiast go szukać, rzuciła się na pomoc Clarze, która jęczała przeraźliwie, miotając się w drgawkach.

- Coś ty jej zrobił?! - ryknęła Jude.

- Odczyliłem ją, kochaniutka. Zostaw ją. Nic nie możesz na to poradzić.

Clara była lekka, ale kiedy nogi się pod nią ugięły, pociągnęła Jude za sobą. Już nie jęczała, lecz wyła z bólu. Chciała wydrapać sobie oczy, gdyż tam pajęczki sprawiały jej największy ból. Jude próbowała namacać je po ciemku, ale albo były dla niej za szybkie, albo wpełzały w miejsca, do których nie mogła sięgnąć. Mogła tylko błagać Dowda o litość.

- Zrób coś, żeby przestały! - krzyknęła. - Zabierz je!

- Żarłoczne skurczybyki, co?

Dowd klęknął przy kamieniu. Niebieskie światło padało mu na twarz, zastygła w lodowatym grymasie powagi. Zdejmował sobie pająki z twarzy i puszczał je na ziemię.

- Nie mają uszu, więc chyba nie mogę kazać im wrócić - wyjaśnił. - Potrafią tylko odczyniać. Odczyniają wszystko oprócz swego stwórcy, czyli w tym wypadku mnie. Na twoim miejscu zostawiłbym ją w spokoju. Nie są wybredne.

Jude spojrzała na Clare, która nie próbowała już wydrapywać sobie oczu. Drgawki też stawały się coraz słabsze.

- Mów do mnie... - powiedziała, sięgając do jej twarzy. Czuła wstyd, że słowa Dowda napełniły ją takim lękiem.

Clara nie zareagowała - chyba że w jej przedśmiertnych jękach kryły się jakieś słowa. Jude słuchała uważnie, szukając w nich śladu sensu, ale na próżno. Ciałem Clary wstrząsnął ostatni spazm, jakby coś trzasnęło jej w mózgu. Zwiotczała. Od chwili pojawienia się Dowda minęło najwyżej półtorej minuty. W tym czasie udało mu się unicestwić wszelką nadzieję. Jude zastanawiała się, czy Celestine słyszała, co się

wydarzyło; czy do jej nieszczęść doszła kolejna tragedia.

- Ona już nie żyje, kochaniutka - rzekł Dowd.

Jude wypuściła ciało Clary z objęć.

- Na nas już czas - dodał Dowd obojętnym tonem, jakby właśnie zostawiali za sobą nieudany piknik, a nie trupa. - Nie martw się o Clare. Zajmę się nią później.

Słyszac za plecami jego kroki, wstała. Nie chciała, żeby jej dotykał. W górze, wśród chmur, buczał następny samolot. Spojrzała na kamień, ale i on został odczyniony.

- Niszczyciel - powiedziała.

ROZDZIAŁ 28

1

Gentle zapomniał o rozmowie na temat malarstwa, Aping nie. W dzień po ślubie w celi Athanasiusa sierżant przyszedł po Gentle i zaprowadził go do przerobionego na pracownię pokoju w drugim końcu kompleksu. Dzięki mnóstwu okien światło było wprost wymarzone, a podczas długich miesięcy służby Aping zgromadził godną pozazdroszczenia kolekcję materiałów. Niestety, jego starania przynosiły mizerne efekty. Obrazy, malowane przez pozbawionego talentu dyletanta, bez wycucia koloru i kompozycji, mogły zainteresować tylko z jednego powodu. Było ich, jak z dumą poinformował Gentle'a Aping, sto pięćdziesiąt trzy, i wszystkie miały jeden temat: przedstawiały jego córeczkę Huzzah. Poprzednio na wzmiankę o niej portrecista reagował dość nerwowo, teraz jednak, na osobności, wszystko spokojnie wyjaśnił. Huzzah była jeszcze mała, a ponieważ jej matka nie żyła, musiał zabrać ją ze sobą, gdy przeniesiono go z Iahmandhas nad Kołyskę.

- Nie mogłem jej zostawić w L'Himby, to dziecko.

- Jest tutaj? Na wyspie?

- Tak. Za dnia nie wyściubia nosa z pokoju. Mówi, że boi się zarazić obłędem. Bardzo ją kocham. Sam zobacz, jaka jest śliczna - dodał Aping, wskazując obrazki.

Gentle musiał mu uwierzyć na słowo.

- Gdzie jest w tej chwili? - zapytał.

- Tam gdzie zawsze, w swoim pokoju. Ma bardzo dziwne sny.

- Wiem, jak to bywa.

- Tak? - Napięcie w głosie Apinga zdradzało, że nie po to jednak ściągnął do siebie Gentle'a, żeby rozmawiać z nim o sztuce. - Ty też śniesz?

- Jak każdy.

- Moja żona też tak mówiła. - Aping zniżył głos. - Miała prorocze sny.

Przewidziała, kiedy umrze. Co do godziny! A mnie się nic nie śni i nie wiem, co czuje Huzzah.

- Sugerujesz, że będzie mi łatwiej z nią rozmawiać?

- To bardzo delikatna sprawa... Prawo Yzordderrex zabrania głoszenia prorocत्व.

- Nie wiedziałem o tym.

- Zwłaszcza w wypadku kobiet, rzecz jasna. Przede wszystkim dlatego trzymam ją w ukryciu. Ona naprawdę boi się obłędu, ale ja bardziej obawiam się tego, co w niej siedzi.

- Dlaczego?

- Jeżeli zacznie więcej przebywać z ludźmi, może coś chlapnąć. N'ashap od razu się zorientuje, że Huzzah ma wizje, tak jak jej matka.

- A to byłaby...

- Katastrofa! Moją karierę szlag by trafił. Niepotrzebnie ją tu przywoziłem. - Aping spojrzał na Gentle'a badawczo. - Mówię ci to tylko dlatego, że obaj jesteśmy artystami, a artyści muszą sobie ufać jak bracia. Mam rację?

- Oczywiście - odparł Gentle. Widział, że Apingowi trzęsą się ręce i jest o krok od załamania. - Chcesz, żebym porozmawiał z twoją córką?

- Nie tylko...

- Mów śmiało.

- Chcę, żebyście zabrali ją ze sobą do Yzordderrex. Ty i mistyf.

- A czemu zakładasz, że się tam wybieramy... że w ogóle gdzieś się wybieramy?

- Tak jak i N'ashap, mam swoich szpiegów. Znamy wasze plany lepiej, niż się wam wydaje. Proszę, zabierzcie ją, panie Zacharias. Rodzice jej matki jeszcze żyją, zajmą się nią.

- To ogromna odpowiedzialność zabierać dziecko w tak długą drogę.

Aping wyduł wargi.

- Ułatwiłbym wam, naturalnie, opuszczenie wyspy, gdybyście zgodzili się zabrać Huzzah.

- A jeśli nie zechce z nami jechać?

- Będziesz musiał ją do tego namówić - odparł z przekonaniem Aping, jakby

wiedział, że Gentle ma wieloletnie doświadczenie w namawianiu dziewczynek, żeby robiły dokładnie to, czego on chce.

*

Natura spletała Huzzah Aping trzy paskudne figle. Po pierwsze, zesłała jej moc, która w państwie autarchy była absolutnie zakazana; po drugie, obdarowała ją ojcem, który mimo sentymentalnych odruchów, bardziej niż jej losem przejmował się swoją karierą w wojsku; po trzecie, dała jej twarz, którą tylko ojciec mógł opisać jako śliczną. Była chudym, wymizerowanym stworzeniem w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat, miała śmiesznie przystrzyżone ciemne włosy i drobne, ściągnięte usta. Kiedy po długich namowach udało się ją przekonać, żeby coś powiedziała, odezwała się słabym, żalonym głosikiem. Dopiero kiedy Aping przedstawił jej gościa jako wyratowanego z morza topielca, który cudem uszedł z życiem, ożywiła się.

- Wpadłeś do Kołyski? - zapytała.

- Tak.

Gentle podszedł do łóżka. Huzzah siedziała na nim skulona, obejmując kolana ramionami.

- A widziałeś królową Kołyski?

- Kogo?

Aping próbował córkę uciszyć, ale Gentle zbył go machnięciem ręki.

- Kogo? - powtórzył.

- Ona mieszka w morzu - wyjaśniła Huzzah. - Często mi się śni, czasem nawet ją słyszę, ale jeszcze nigdy nie widziałam.

- Czy ma jakieś imię?

- Tishalulle - odparła bez zająknięcia Huzzah. - Tak zaszumiały fale, kiedy przyszła na świat. Tishalulle.

- Śliczne imię.

- To prawda. Ładniejsze niż Huzzah.

- Huzzah też jest ładne - pocieszył ją Gentle. - Tam, skąd pochodzę, ludzie mówią „huzzah”, kiedy są szczęśliwi.

Dziewczynka spojrzała na niego tak, jakby idea szczęścia nic dla niej nie znaczyła, i Gentle był skłonny w to uwierzyć. Widząc ojca i córkę razem, lepiej rozumiał

paradoksalne zachowanie Apinga - sierżant bał się swojego dziecka. Jej nadnaturalna moc na pewno nie pozwalała mu spokojnie myśleć o karierze, ale także przypominała o istnieniu sił, na które nie ma wpływu. Malując dziesiątki razy delikatną twarzyczkę Huzzah, nie tylko dawał wyraz swojej miłości, ale także próbował odprawić egzorcyzmy. Dziewczynce zresztą również dar do niczego się nie przydał. Sny skazywały ją na pobyt w celi i dręczyły tajemniczą tęsknotą; wyrządziły jej więcej złego niż dobrego.

Gentle dwoił się i troił, żeby wydobyć z niej więcej informacji o Tishalulle, ale Huzzah albo niewiele wiedziała, albo bała się powiedzieć coś więcej przy ojcu. Gentle domyślał się, że w grę wchodzi raczej ten drugi powód. Kiedy wychodził, zapytała cichutko, czy jeszcze do niej przyjdzie. Obiecał, że tak.

*

Pod drzwiami celi stał strażnik. Pie z ponurą miną siedział w środku.

- To zemsta N'ashapa - wyjaśnił, skinieniem głowy wskazując drzwi. - Chyba nadużyliśmy jego gościnności.

Gentle opowiedział mu o rozmowie z Apingiem i spotkaniu z Huzzah.

- Prawo zakazuje głoszenia przepowiedni, tak? To dla mnie coś nowego.

- Kiedy mówiła o królowej Kołyski...

- Miała pewnie na myśli matkę.

- Skąd wiesz?

- Jest przerażona, tęskni za matką... Trudno się jej dziwić. Kim mogłaby być królowa Kołyski, jeśli nie matką małej?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Gentle. - Zakładałem raczej, że w jej słowach tkwi ziarno prawdy.

- Wątpię.

- Bierzemy ją ze sobą czy nie?

- To ty decydujesz, naturalnie, ale ja jestem zdecydowanie przeciw.

- Aping powiedział, że nam pomoże, jeśli ją zabierzemy.

- Co nam przyjdzie z jego pomocy, jeśli będziemy musieli ciągnąć ze sobą dzieciaka? Nie zapominaj, że nie jesteśmy sami. Musimy zabrać Scopique'a, który tak jak my siedzi w celi. N'ashap przykręcił śrubę. Wszystkich kazał zamknąć.

- Musi za tobą bardzo tęsknić.

Pie uśmiechnął się kwaśno.

- Nasze rysopisy pewnie już są w drodze. Kiedy N'ashap uzyska odpowiedź, na którą czeka, będzie bardzo szczęśliwym oethakiem. Ma pod kluczem parę bandytów. Jeśli się dowie, kim jesteśmy, w życiu mu się nie wyrwiemy.

- No to musimy uciec, zanim się zorientuje. Dzięki Bogu, że w tym dominium nie znają telefonu.

- Może po prostu autarcha zabronił go używać. Im mniej ludzie gadają, tym mniej mogą knuć. Wiesz co, może powinienem jednak porozmawiać z N'ashapem? Na pewno przekonałbym go, żeby trochę nam odpuścił; wystarczy mi parę minut.

- Rozmowy go nie interesują. Pie. Znajdź inne zajęcie dla twoich ust.

- No to jak masz zamiar się przebić przez strażników? Użyć pneumy?

- To nie byłoby najmądrzejsze - odparł po namyśle Gentle. - Jestem jeszcze osłabiony. Za parę dni może bym się na to porwał, ale jeszcze nie teraz.

- Nie możemy czekać.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Nawet gdybyśmy mogli, i tak powinniśmy unikać bezpośredniego starcia.

Żołnierze N'ashapa są może rozleniwieni, ale jest ich sporo.

- Może w takim razie faktycznie powinieneś trochę go ugłaskać. Ja pogadam z Apingiem; poschlebiam mu trochę, jaki świetny z niego malarz.

- Naprawdę potrafi malować?

- Powiem tak: jak na malarza, jest naprawdę świetnym ojcem. W każdym razie ufa mi, bo obaj jesteśmy artystami i tak dalej.

Mistyf wstał i krzyknął na strażnika, każąc mu przekazać prośbę o spotkanie z kapitanem N'ashapem. Strażnik mruknął coś ponuro, stuknął kolbą karabinu w zasuwę na drzwiach, żeby sprawdzić, czy dobrze trzyma, i szedł z posterunku. Gentle podszedł do okna. Chmury były podświetlone, jakby lada chwila miały się pokazać słońca. Pie stanął za nim i objął go za szyję.

- O czym myślisz?

- Pamiętasz Beatrix i matkę Efreeta?

- Pewnie.

- Śniło jej się, że przychodzę i siadam z nią do stołu. Nie wiedziała tylko, czy będę mężczyzną, czy kobietą.

- Poczujesz się głęboko urażony, kiedy ci to powiedziała.

- Kiedyś może bym się tak poczuł - przyznał Gentle - ale kiedy to mówiła, nie miało to wielkiego znaczenia. Po paru tygodniach w twoim towarzystwie gównie mnie obchodziło, jakiej jestem płci. Widzisz, jak mnie demoralizujesz?

- Cała przyjemność po mojej stronie. Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, czy może to już wszystko?

- Jest jeszcze coś. Pamiętam, że opowiadała mi o boginiach, o tym, że się ukryły...

- Myślisz, że Huzzah właśnie znalazła jedną z nich?

- Widzieliśmy w górach kapłanki, prawda? Dlaczego boginie miałyby nie przeżyć? Może Huzzah udała się we śnie na poszukiwanie matki...

- ...i zamiast niej znalazła boginię.

- Właśnie. Tishalulle, która drzemie w Kołysce i czeka, żeby wrócić na świat.

- Podoba ci się ten pomysł, co?

- Ukrywające się boginie? Nawet bardzo. Może budzi się we mnie pies na kobitki, a może tak jak Huzzah czekam na kogoś, kogo nie pamiętam, szukam jego twarzy, chcę, żeby mnie zabrał...

- Ja już tu jestem. - Pie pocałował go w kark. - I mam wszystkie twarze, których kiedykolwiek pragnęś.

- Twarz bogini też?

- Hm...

Przerwał im szczek zasuw. Strażnik przyniósł wiadomość, że kapitan N'ashap zgodził się spotkać z mistykiem.

- Gdybyś zobaczył Apinga - powiedział Gentle - powiedz mu, że chętnie z nim porozmawiam o malarstwie, dobrze?

- Nie omieszkam.

Pie wyszedł i Gentle wrócił do okna. Chmury zagęściły szyki obronne przeciw słońcom, Kołyska leżała pod nimi nieruchoma i pusta. Gentle powtórzył imię, które zdradziła mu Huzzah:

- Tishalulle.

Brzmiało jak łamiąca się fala.

Morze się nie poruszyło. Bogini nie przybyła na wezwanie. Przynajmniej nie do niego.

*

Zaczynał się właśnie zastanawiać, ile czasu minęło od wyjścia Pie - uznał, że ponad godzina - gdy Aping wszedł do celi i odesłał strażnika.

- Od kiedy siedzicie pod kluczem? - zapytał Gentle'a.

- Od rana.

- Dlaczego? Z tego, co mówił kapitan, zrozumiałem, że jesteście z mistykiem naszymi gośćmi. W pewnym sensie.

- Już nie.

Na twarzy Apinga odbił się strach.

- Skoro jesteś więźniem, to trochę zmienia sytuację.

- To znaczy, że nie możemy już rozmawiać o malarstwie?

- To znaczy, że nie wyjedziecie.

- A co z twoją córką?

- Problem stał się czysto akademicki.

- Mała zmarnieje tutaj. Pozwolisz jej umrzeć?

- Nie umrze.

- Obawiam się, że tak.

Rozdrażniony Aping odwrócił się do Gentle'a plecami.

- Prawo jest prawem.

- Rozumiem. Nawet artyści muszą się ugiąć.

- Widzę, co knujesz. Nie myśl, że się na to nabiorę.

- To jeszcze dziecko, Aping.

- Wiem o tym. Będę musiał się nią zaopiekować najlepiej, jak umiem.

- Może zapytaj ją, czy widziała zapowiedź swojej śmierci?

- Jezu! - Roztrzęsiony Aping zaczął kręcić głową. - Dlaczego właśnie mnie musiało się to przydarzyć?

- Nic się jeszcze nie przydarzyło. Możesz ją ocalić.

- To nie takie proste. - Aping spojrzał na niego zboląłym wzrokiem. - Mam swoje

obowiązki. - Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę i zaczął trzeć usta, jakby przyłgnęły mu do nich okruchy winy, które mogą go zdradzić. - Muszę się zastanowić. Wszystko wydawało się takie proste, a teraz... Muszę pomyśleć.

Kiedy otworzył drzwi, strażnik stał na posterunku. Gentle nie zdążył zagadnąć sierżanta o Scopique'a.

Powrót Pie dodatkowo go dobił. N'ashap kazał mistyfowi czekać dwie godziny, a ostatecznie uznał, że nie chce się z nim widzieć.

- Słyszałem go, chociaż nie widziałem - powiedział Pie. - Chyba był zalany w pestkę.

- Wygląda na to, że mamy pecha. Wątpię, żeby Aping chciał nam pomóc. Mając do wyboru służbę i córkę, wybierze służbę.

- Czyli utknęliśmy na dobre.

- Do czasu, aż coś wymyślimy.

- Cholera jasna!

2

Nastał wieczór; słońce przez cały dzień się nie pokazało. Kiedy roznoszono kolację do cel, zatupotały buty strażników na korytarzach, potem rozległ się łoskot zamykanych drzwi, szcęk zasuw i zapadła cisza. Obeszło się bez protestów, gdy więźniom odebrano wieczorne przywileje - możliwość gry w końkości i recytacji scen z Quexosa i z „Numbubo” Malbakera, które większość z nich znała na pamięć. Nikt nie miał ochoty przerwać milczenia, jak gdyby każdy siedzący w pojedynczej celi więzień zdecydował, że rezygnuje z luksusów - nawet z głośnej modlitwy - byle tylko nie zwrócić na siebie uwagi.

- N'ashap musi być groźny po pijanemu - stwierdził Pie, jakby próbował wyjaśnić głuchą ciszę w przytułku.

- Może lubi nocne egzekucje.

- Mógłbym się założyć, że znam czołówkę listy kandydatów.

- Szkoda, że jestem jeszcze taki słaby. Ale gdyby po nas przyszli, będziemy

walczyć, prawda?

- Oczywiście. Tymczasem może byś się przespał, co?

- Chyba żartujesz!

- No to przynajmniej przestań dreptać tam i z powrotem...

- Nigdy w życiu nie siedziałem w zamknięciu - odparł Gentle. - Dostaję klaustrofobii.

- Wystarczy jedna pneuma, żebyś stąd wyszedł - przypomniał mu Pie.

- Może właśnie to powinniśmy zrobić. Użyć pneumy.

- Zrobimy to w ostateczności. Jeszcze nie teraz. Na miłość boską, połów się wreszcie!

Chcąc nie chcąc, Gentle posłuchał go i mimo lęków, które leżały tuż obok i szeptały mu niespokojnie do ucha, szybko zasnął. Jego ciało wołało odpocząć, niż ich słuchać.

Pie go obudził.

- Masz gościa - szepnął.

Gentle usiadł. Światło w celi zostało wieczorem zdalnie zgaszone i gdyby nie zapach farby olejnej, nie wiedziałby, kogo ma przed sobą.

- Potrzebuję twojej pomocy, Zacharias.

- Co się stało?

- Huzzah... chyba wariuje. Chodź ze mną. - Głos Apinga drżał. Jego ręką, którą położył Gentle'owi na ramieniu, również. - Boję się, że ona umiera.

- Pie idzie z nami.

- Nie mogę tak ryzykować.

- Tak jak ja nie mogę ryzykować, zostawiając tu przyjaciela.

- Ja ryzykuję, że ktoś się o niej dowie. Jeżeli strażnik zajrzy tu i zobaczy, że cela jest pusta...

- On ma rację - wtrącił Pie. - Idź, pomóż dziecku.

- Czy to rozsądne?

- Współczucie zawsze jest rozsądne.

- Dobra. Tylko nie zaśnij. Nie zmówiliśmy jeszcze pacierza. Będą nam potrzebne oba nasze oddechy.

- Rozumiem.

Gentle wymknął się na korytarz w ślad za Apingiem, który krzywił się i syczał ma każdy zgrzyt klucza w zamku. Gentle świetnie go rozumiał; na myśl o tym, że zostawia mistyfa samego, ścisnęło go w dołku, ale chyba rzeczywiście nie mieli wyboru.

- Może nam być potrzebna pomoc doktora - zauważył, gdy ruszyli zaciemnionym korytarzem przed siebie. - Proponuję sprowadzić Scopique'a.

- To on jest doktorem?

- Jak najbardziej.

- Ale ona pyta o ciebie. Nie wiem, czego chce. Obudziła się z płaczem i poprosiła, żebym cię przyprowadził. Jest przemarznięta.

Aping doskonale znał rozkład wart na poszczególnych piętrach, więc bez przeszkód dotarli do pokoju Huzzah. Wbrew temu, czego spodziewał się Gentle, dziewczynka nie leżała na łóżku, lecz siedziała w kucki na podłodze z głową i dłońmi przyciśniętymi do ściany. Na środku celi stała misa, w której palił się pojedynczy knot. Huzzah zerknęła w ich stronę, gdy weszli, ale się nie poruszyła, więc Gentle podszedł do niej i ukucnął. Widział, że cała się trzęsie, chociaż grzywkę miała przyklepioną do wilgotnego czoła.

- Co tam słyszysz? - zapytał ją.

- Już jej nie ma w moich snach, panie Zacharias - odparta, bardzo starannie wymawiając nazwisko, jakby właściwe nazywanie otaczających ją bytów i sił dawało jej nad nimi władzę.

- A gdzie jest?

- Na zewnątrz. Słyszę ją. Niech pan słucha.

Przyłożył ucho do ściany. Rzeczywiście, z głębi muru niósł się jakiś pomruk, ale podejrzewał, że to nie głos królowej Kołyski, raczej warkot generatora albo buzowanie pieca w piwnicy.

- Słyszysz pan?

- Słyszę.

- Chce wejść. Próbowwała wejść przez moje sny, ale jej się nie udało. Teraz próbuje się przebić przez ścianę.

- Może... może powinniśmy się od niej odsunąć - zaproponował Gentle i położył

dziewczynce dłoń na ramieniu. Skórę miała zimną jak lód. - Chodź, wracaj do łóżka. Przemarzałaś.

- Byłam w morzu - powiedziała Huzzah, dając mu się wziąć na ręce.

Gentle spojrzał znacząco na Apinga. Bezgłośnie poruszył wargami: „Scopique”.

Sierżant spojrzał na wtuloną w niego Huzzah i wyszedł posłusznie jak pies.

Gentle położył dziewczynkę na łóżku i przykrył kocem.

- Królowa Kołyski wie, że pan tu jest.

- Naprawdę?

- Mówiła mi, że prawie pana utopiła, ale pan się jej wyrwał.

- Dlaczego chciała to zrobić?

- Nie wiem. Będzie pan ją musiał zapytać, kiedy tu przyjdzie.

- Nie boisz się jej?

- Skądże! A pan?

- Wiesz, próbowała mnie utopić...

- Nie robi tego więcej, jeżeli będzie pan blisko mnie. Ona mnie lubi. Jeżeli będzie wiedziała, że ja pana też lubię, nie zrobi panu krzywdy.

- Świetnie. A co by powiedziała, gdybyśmy stąd wyjechali?

- Nie możemy tego zrobić.

- Dlaczego?

- Nie chcę iść na górę. Nie lubię tego miejsca.

- Wszyscy śpią, moglibyśmy pójść na paluszkach: ty, ja i moi przyjaciele. Byłoby miło, prawda? Twój tata chyba chce, żebyśmy cię zabrali do Yzordderrex - ciągnął

Gentle, widząc malujące się na twarzy dziecka niezdecydowanie. - Byłaś tam kiedyś?

- Tak, ale byłam bardzo malutka.

- Moglibyśmy tam wrócić.

- Królowa Kołyski nas nie puści. - Huzzah pokręciła głową.

- Puściłaby, gdybyś jej powiedziała, że tego właśnie chcesz. Może pójdziemy na górę trochę się rozejrzeć?

Huzzah spojrzała w bok, na ścianę, jakby spodziewała się, że fala Tishalulle właśnie w tej chwili rozbije mur. Kiedy jednak nic się nie wydarzyło, powiedziała:

- Yzordderrex jest bardzo daleko stąd, prawda?

- Tak, to kawał drogi.
- Czytałam o tym w książkach.
- Ubierz się ciepłej, Huzzah.

Milczące przyzwolenie bogini uciszyło wątpliwości dziewczynki, która wstała i zaczęła przeglądać swoją skąpą garderobę rozwieszoną na ścianie naprzeciwko. Korzystając z okazji, Gentle zerknął na leżący na łóżku stosik książek. Niektóre były typowo dziecięce - przypominały pewnie Huzzah dawne, szczęśliwsze czasy. Pewien opasły tom okazał się encyklopedią, autorstwa kogoś nazwiskiem Maybellome. W innych okolicznościach stanowiłby zapewne ciekawą lekturę, ale miał zbyt gęsty druk, żeby go przejrzeć na miejscu, i był za ciężki, żeby zabrać go ze sobą. Poza tym Gentle znalazł tomik nonsensownych wierszy oraz coś, co wyglądało na powieść; Huzzah założyła kawałkiem papieru miejsce, do którego doczytała.

Kiedy dziewczynka stanęła do niego plecami, wsunął książkę do kieszeni - z myślą i o niej, i o sobie. Podszedł do drzwi, wypatrując Apinga i Scopique'a, ale jeszcze się nie pojawili. Huzzah skończyła się ubierać.

- Jestem gotowa - oznajmiła. - Idziemy? Papa nas znajdzie.
- Mam nadzieję - mruknął Gentle.

Zwlekanie byłoby stratą cennego czasu. Huzzah spytała, czy może wziąć Gentle'a za rękę - oczywiście zgodził się - i razem weszli w labirynt korytarzy, które w półmroku wyglądały identycznie. Kilka razy zatrzymywali się, słysząc stukot strażniczych buciorów, ale Huzzah nie gorzej od Gentle'a zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i dwa razy ocaliła ich oboje przed złapaniem.

Kiedy znaleźli się na ostatnim odcinku schodów, z którego wyjście prowadziło na otwartą przestrzeń, gdzie całkiem niedaleko rozległy się hałasy. Zatrzymali się i cofnęli głębiej w cień, ale szybko zrozumieli, że nie oni są przyczyną całego zamieszania. Z korytarzy dobiegał krzyk N'ashapa, któremu wtórował upiorny łoskot. Gentle od razu pomyślał o Pie. Zanim zdrowy rozsądek zdążył go powstrzymać, wyskoczył z ukrycia. Chciał przykazać Huzzah, że ma zostać na miejscu, ale mała deptała mu już po piętach.

Rozpoznał następny korytarz. Dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stanęli, znajdowały się otwarte drzwi do celi. Tam zostawił Pie, stamtąd rozlegały się ryki kapitana. Stek przekleństw i oskarżeń zdążył już zwabić strażników. Gentle odetchnął

głęboko. Wyglądało na to, że nie obejdzie się bez użycia przemocy.

- Dalej nie idź - powstrzymał Huzzah i pobiegł w stronę drzwi. Z naprzeciwnika zbliżało się trzech strażników - w tym dwa oethaki, ale tylko jeden patrzył na Gentle'a. Trzeci, człowiek, krzyknął coś, lecz wrzask N'ashapa zagłuszył jego słowa. Gentle na wszelki wypadek podniósł ręce do góry, nie chcąc prowokować go do strzału, i zwolnił. Znajdował się dziesięć kroków od drzwi. Strażnicy byli szybsi. Zamienili dwa zdania z N'ashapem - Gentle zdążył w tym czasie skrócić dzielący go od nich dystans o połowę, ale tym razem strażnik kazał mu stanąć i wymierzył w niego broń. Gentle zatrzymał się w miejscu.

Ledwie wyhamował, z celi wynurzył się N'ashap. Jedną ręką włókł mistyfa za włosy, w drugiej trzymał nagi miecz, przytknięty do brzucha Pie. Blizny na jego pękatej głowie poczerwieniały od alkoholu, poza nimi skórę miał trupio białą. Zatoczył się na progu; kłopoty z zachowaniem równowagi czyniły go jeszcze bardziej niebezpiecznym. W Nowym Jorku mistyf udowodnił, że wytrzymuje obrażenia, po których normalny człowiek ległby martwy w rynsztoku, ale ostrze broni N'ashapa mogło go w każdej chwili wypatroszyć jak rybę, a tego nie miał prawa przeżyć. Kapitan z trudem skupił na Gentle'u spojrzenie swoich maleńkich oczek.

- Twój mistyf strasznie się zrobił wierny - wysapał. - Co się stało? Najpierw sam mnie szukał, a teraz nie pozwala się do siebie zbliżyć. Potrzebuje twojego pozwolenia? O to chodzi? To mu je daj! - Przycisnął miecz do brzucha Pie. - Ale już! Albo będzie grzeczny, albo go zarżnę!

Gentle opuścił dłoń, bardzo powoli, jakby próbował uspokoić Pie.

- Chyba nie mamy wyboru - powiedział.

Przeniósł wzrok z beznamietnej twarzy mistyfa na miecz, ważąc w myślach czas, jakiego potrzebuje pneuma, żeby urwać głowę N'ashapowi, przeciw ułamkom sekund, które wystarczą kapitanowi, żeby rozciąć Pie na dwoje. Należało też pamiętać o pozostałych uczestnikach rozgrywki - trzech uzbrojonych strażników stało tuż-tuż, a następni pewnie już nadbiegali.

- Lepiej go posłuchaj - dodał i wziął głęboki wdech.

N'ashap patrzył, jak Gentle podnosi dłoń do ust. Mimo że był mocno pijany, wyczuł niebezpieczeństwo i krzyknął ostrzegawczo do stojących za jego plecami

strażników. Jednocześnie płynnym ruchem zszedł im - i Gentle'owi również - z linii strzału.

Jeden cel zniknął, ale pozostały trzy inne. Pneuma wystrzeliła w chwili, gdy strażnicy kładli właśnie palce na cynglach. Pierwszy, trafiony z takim impetem, że rozerwało mu klatkę piersiową, upadł do tyłu. Jeden jego kolega upuścił broń, drugiemu wnętrzości trupa chlapnęły na twarz. Był oślepiony przez ułamek sekundy, szybko jednak doszedł do siebie, ale Gentle już przyskoczył do zabitego, podniósł z podłogi broń i zaczął strzelać. Oethacka krew pozwoliła strażnikowi nie przejmować się zbyt kulami, dopóki jedna nie trafiła go w oko. Wtedy wypuścił karabin z ręki, złapał się za głowę i upadł.

Nie zwracając uwagi na trzeciego, który pojękiwał na podłodze, Gentle wszedł do celi. N'ashap stał twarzą w twarz z Pie, który dłonią odpychał ostrze miecza od swojego brzucha. Krew płynęła mu z rozciętej dłoni, ale kapitan nie próbował mocniej go zranić. Otepiały patrzył mistyfowi w oczy.

Gentle stanął jak wryty; zdawał sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, może wyrwać N'ashapa z transu. Nie miał pojęcia, kogo kapitan widzi w Pie. Może dziwkę, która przypominała mu matkę; byłoby to kolejne odbicie Tishalulle na tej wyspie zagubionych matek. W każdym razie wystarczyło to, żeby nie chciał odciąć mistyfowi palców.

Łzy popłynęły N'ashapowi z oczu. Mistyf się nie poruszył, nie oderwał wzroku od jego twarzy; na razie wygrywał w walce między żądzą i morderczym instynktem oethaca. Kapitan rozluźnił chwyt na mieczu, Pie puścił ostrze i broń upadła na podłogę z brzękiem. N'ashap się ocknął, pokręcił gwałtownie głową i odruchowo spojrzał na leżący mu pod nogami miecz.

Mistyf zareagował błyskawicznie - dwoma krokami znalazł się przy drzwiach. Gentle wziął wdech, ale gdy podnosił rękę do ust, usłyszał pisk Huzzah. Obejrzał się. Mała cofała się przed dwoma oethacami. Pie złapał Gentle'a za rękę, odciągnął od drzwi. N'ashap porwał z ziemi miecz i rzucił się na nich. Chwila, kiedy można było sprzątnąć go pneumą, minęła bezpowrotnie. Gentle zdołał tylko zatrzasnąć drzwi celi i przekreślić tkwiący w nich klucz, zanim potężne ciało kapitana wyrznęło w nie z drugiej strony.

Huzzah zaczęła biec w jego kierunku. Goniący ją strażnik oddzielał Gentle'a od drugiego oethaca, który próbował wycelować broń. Gentle rzucił karabin mistyfowi,

złapał dziewczynkę - dosłownie o krok wyprzedził pościg - i usunął się mistyfowi z linii strzału.

- Zabij skurwieli! - krzyknął.

Mistyf tylko przyglądał się karabinowi z obrzydzeniem.

- Pie! Na miłość boską, zastrzel ich!

Pie uniósł broń, ale nie potrafił pociągnąć za cyngiel.

- Strzelaj! - ryknął Gentle.

Mistyf pokręcił głową. Jego niezdecydowanie kosztowałoby ich obu życie, gdyby ktoś nie strzelił strażnikom w plecy.

- Tatuś! - zawołała Huzzah.

Istotnie, z chmury dymu wynurzyli się Aping ze Scopique'em. Sierżant nawet nie spojrział na córkę, którą właśnie uratował od śmierci. Patrzył na żołnierzy, których musiał zabić. Był wstrząśnięty. Nawet gdy Huzzah przytuliła się do niego, płacząc ze strachu, ledwie zwrócił na nią uwagę. Dopiero Gentle wyrwał go z oparów poczucia winy, mówiąc, że muszą uciekać, póki jeszcze jest szansa.

- To byli moi ludzie - powiedział Aping.

- A to jest twoja córka. Dokonałeś właściwego wyboru.

N'ashap bębnił w drzwi celi i wzywał pomoc. Ktoś musiał go w końcu usłyszeć.

- Którędy najszybciej się wydostaniemy? - Gentle zapytał Scopique'a.

- Jest jeszcze mnóstwo innych więźniów - zauważył Scopique. - Ojciec

Athanasius, Izaak, Squalling...

- Nie mamy czasu. Pie, wytłumacz mu to! Albo zaraz się stąd wyrwiemy, albo wcale. Pie? Słyszysz mnie?

- Tak...

- To obudź się i uciekajmy!

Scopique cały czas narzekał, że nie powinni zostawiać reszty, ale wyprowadził ich z budynku. Nie wyszli jednak na mury, lecz wprost na skały.

- Dokąd teraz? - spytał Gentle. Z dołu dobiegały głosy strażników. Najwidoczniej uwolniony N'ashap ogłosił alarm. - Musimy dotrzeć do najbliższego kawałka stałego lądu.

- Czyli na półwysep - stwierdził Scopique, wskazując mu ledwie widoczny w

ciemnościach pas ziemi.

Mrok był teraz ich najlepszym sprzymierzeńcem. Prześladowcy nie wiedzieliby nawet, gdzie ich szukać. Wąziutka ścieżka wiła się w dół urwiska, na brzeg morza. Gentle ruszył przodem, zdając sobie sprawę, że na pozostałych nie może polegać. Huzzah była jeszcze dzieckiem, jej ojcem targały wyrzuty sumienia, Scopique bezustannie oglądał się przez ramię, a Pie nie mógł się otrząsnąć po krwawej rzezi, której był świadkiem - dziwne, jak na istotę, która na Ziemi była płatnym mordercą. Cóż, wspólna podróż zmieniała ich obu.

- Przykro mi, ale nie mogę iść z wami - oznajmił Scopique, gdy zeszli na plażę. - Poradzicie sobie. Ja muszę wrócić po resztę.

Gentle nie próbował go zatrzymywać.

- Skoro tego właśnie chcesz, powodzenia. My musimy uciekać.

- Naturalnie! Pie, przyjacielu, przepraszam cię, ale nie mogłbym spojrzeć sobie w oczy w lustrze, gdybym ich zostawił. Zbyt wiele razem przeszliśmy. - Scopique złapał mistyfa za rękę. - Nic nie mów. Przeżyję. Znam swoje obowiązki i będę gotów, gdy nadejdzie czas.

- Wiem - odparł Pie.

- To stanie się już wkrótce.

- Szybciej, niżbym chciał.

Scopique zaczął wdrapywać się na górę, a Pie ruszył za Gentle'em, Apingiem i Huzzah, którzy znaleźli się przez ten czas dziesięć metrów od brzegu.

Rozmowa Pie ze Scopique'em nie uszła uwagi Gentle'a. Zwłaszcza wzmianka o utrzymanym dotąd w sekrecie wspólnym planie. Zamierzał wypytać mistyfa o wszystko - ale nie w tej chwili. Od półwyspu dzieliło ich co najmniej dziesięć kilometrów, tymczasem za plecami już słyszeli narastający zgiełk. Światło latarek przeszywało mrok; pierwsi żołnierze N'ashapa zaczęli szukać zbiegów. Z przytułku dobiegały wrzaski więźniów, którzy wreszcie odważyli się dać wyraz swojej wściekłości. To też mogło trochę zmylić pogoń, ale nie na długo.

Latarki wyłowiły z ciemności Scopique'a i coraz szerszymi zakolami zaczęły przeczesywać plażę, z której wyruszył na górę. Aping wziął Huzzah na rękę, co pozwoliło im trochę przyspieszyć i w Gentle'u obudziła się nadzieja, że wyjdą z tego z życiem, gdy

wtem zahaczył ich krąg światła. Natychmiast rozpoczęła się kanonada, ale nie stanowili łatwego celu i kule przeszły bokiem.

- Teraz im nie uciekniemy - wysapał Aping. - Powinniśmy się poddać. - Postawił córkę na ziemi i wyrzucił pistolet. Odwrócił się do Gentle'a i z pretensją w głosie zapytał:

- Dlaczego ja cię posłuchałem? Musiałem zwariować.

- Jeżeli tu zostaniemy, zastrzelą nas bez zastanowienia. Huzzah również. Tego chcesz?

- Nikogo nie zastrzelą. - Aping wziął córkę za rękę, a drugą podniósł w pojednawczym geście. - Nie strzelać! Nie strzelać! Kapitanie! Kapitanie, poddajemy się!

- Chrzań się! - rzucił Gentle i pociągnął Huzzah w swoją stronę.

Nie opierała się, ale Aping nie rezygnował tak łatwo. Odwrócił się, żeby odebrać córkę Gentle'owi. Pocisk uderzył w łód pod jego stopami. Sierżant chciał ponownie odwrócić się, żeby coś krzyknąć do strażników, lecz kolejne strzały nie dały mu dojść do słowa. Pierwszy trafił go w nogę, drugi w pierś. Huzzah pisnęła głośno i wyrwała się Gentle'owi. Uklęknęła przy ojcu.

Stracili tylko kilka sekund, ale już nie mieli szansy na ucieczkę. Zbliżało się ze dwudziestu żołnierzy, a każdy mógł ich powystrelać jak kaczki. Nawet podpity N'ashap, który nimi dowodził, nie miałby z tym kłopotu.

- Co teraz? - spytał Pie.

- Musimy się bronić. Nie mamy wyjścia.

Tymczasem łód pod ich stopami był niepewny jak krok N'ashapa. Słońca świecące w tym dominium znajdowały się wprawdzie nad drugą półkulą planety i po horyzont panowała noc, ale zamrznięte morze przenikał dreszcz, który Gentle i Pie znali z doświadczenia. Poprzednim razem niewiele brakowało, żeby zwiastował im śmierć. Huzzah też go poczuła. Podniosła głowę.

- Królowa...

- Słucham? - zdziwił się Gentle.

- Jest blisko.

Dziewczynka złapała Gentle'a za rękę, a jemu serce zaczęło walić jak młotem, gdy przypomniał sobie roztapiające się morze.

- Możesz ją powstrzymać? - zapytał.

- Nie przyszła po nas - odparła dziewczynka i spojrzała na ludzi N'ashapa.
- Bogini... - mruknął Gentle.

Od strony zbliżającego się oddziału dobiegły pierwsze okrzyki przerażenia. Jedna z latarek zaczęła błyskać na wszystkie strony jak szalona, po niej następna i jeszcze jedna. Żołnierze zaczęli rozumieć, co się dzieje. N'ashap wyrzaskiwał rozkazy. Nikt go nie słuchał.

Trudno było zobaczyć coś konkretnego, ale Gentle mógł sobie wyobrazić, co się dzieje. Lód rozmiękał i srebrzysta woda Kołyski pieniała się żołnierzom pod nogami. Któryś strzelił w powietrze, gdy skorupa pod nim się rozpekła; dwóch czy trzech próbowało wrócić na wyspę, lecz wpadli do wody jakby wciągnięci przez rekiny. Został po nich tylko srebrny pióropusz piany. N'ashap wciąż próbował zapanować nad oddziałem, ale nie miał już najmniejszych szans. Rozumiejąc to, otworzył ogień do trójki uciekinierów. Ponieważ grunt drżał mu pod stopami, a latarki nie były już nakierowane na cel, strzelał praktycznie na oślep.

- Zmykajmy stąd - zasugerował Gentle, ale Huzzah go powstrzymała.
- Nic nam nie zrobi, jeśli nie będziemy się jej bać.

Gentle miał ochotę odpowiedzieć, że już się boi, ale postanowił milczeć i nie ruszać się z miejsca. Martwił się tylko, czy bogini ma dość cierpliwości, by rozróżnić złych od błędzących, niepokornych od pobożnych. Na powierzchni morza zostało już tylko czterech żołnierzy z pościgu, wśród nich N'ashap. Niektórzy z tych, o których upomniały się fale, walczyli jeszcze o życie i próbowali dotrzeć na twardszy grunt. Jednemu udało się nawet wyczołgać z wody na lód, który roztopił się pod nim z taką szybkością, że biedak nie zdążył nawet krzyknąć. Inny krzyczał na bulgoczącą dookoła wodę, aż zakryła go całkowicie i było widać tylko uniesiony, strzelający karabin.

Wszystkie latarki zostały porzucone. Scenerię oświetlały tylko lampy z urwiska, pod przytułkiem. Szczęściarze, którzy zostali na posterunkach, kierowali snopy światła w miejsce, gdzie rozgrywała się masakra. Wyławiali z mroku sylwetki N'ashapa i ostatnich trzech żołnierzy. Jeden z nich rzucił się biegiem w kierunku kawałka lodu, na którym stali Gentle, Pie i Huzzah. Zdążył zrobić pięć kroków, gdy spieniły się przed nim srebrzyste fale. Chciał się jeszcze cofnąć, ale droga, którą pokonał, też zmieniła się w bulgoczący srebrem kocioł. Zrozpaczony odrzucił broń i skoczył. Nie udało mu się

uratować.

Jeden z pozostałej trójki, oethac, padł na kolana i zaczął się modlić, co tylko przyspieszyło przybycie kata. Został wciągnięty w głębiny w środku pacierza. Zdążył jeszcze chwycić towarzysza za nogę i obaj zniknęli pod wodą. Wzburzone fale nie uspokoiły się, lecz zaatakowały ze zdwojoną wściekłością. N'ashap, ostami wśród żywych, stał z podniesioną głową. Spiętrzona fala była wyższa od niego.

- Królowa... - wyszeptała Huzzah.

Tak, to była ona. Wyrzeźbione w wodzie ciało, piersi i migotliwa twarz. Bogini - albo jej wierna kopia - rozplynęła się w mgnieniu oka i runęła na oethaca. Zniknął tak szybko, a woda zrobiła się po nim tak spokojna, jakby matka nigdy nie wydała go na świat.

Huzzah odwróciła się powoli do Gentle'a. Nie zwracając uwagi na leżące obok ciało ojca, uśmiechnęła się - pierwszy raz, odkąd Gentle ją znał.

- Królowa Kołyski przyszła do nas.

*

Odczekali jeszcze chwilę, ale bogini więcej im się nie objawiła. Cokolwiek zrobiła - i bez względu na to, czy chciała w ten sposób ocalić Huzzah, w co dziewczynka gorąco wierzyła, czy wykorzystała fakt, że mogła osiągnąć tych, którzy okrucieństwem skazili jej wody - uczyniła to z wyrachowaniem. Nie zamierzała wszystkiego psuć, rozkoszując się własnym dziełem. Zamknęła morze równie szybko i skutecznie, jak przedtem je otworzyła.

Strażnicy z przytułku nie zamierzali rzucać się w pościg za zbiegami.

- Mamy kawał morza do przejścia przed świtem - zauważył Pie. - Źle by było, gdyby słońca wzeszło, zanim staniemy na półwyspie.

Huzzah wzięła Gentle'a za rękę.

- Czy tatuś mówił panu, dokąd mamy się udać w Yzordderrex?

- Nie, ale znajdziemy właściwy dom.

Dziewczynka nie spojrzała więcej na zwłoki ojca, lecz utkwivszy wzrok w ciemnym zarysie lądu, szła bez słowa skargi. Czasem uśmiechała się na myśl o nowo poznanym rodzicu, który nigdy jej nie opuści.

ROZDZIAŁ 29

1

Do czasu interwencji autarchy terytorium rozciągające się od brzegów Kołyski do granic Trzeciego Dominium powszechnie uważano za środek Imajiki, a to z powodu pewnego naturalnego fenomenu - znajdowała się tam kolumna z doskonale obrobionego i wypolerowanego kamienia, której przypisywano tyle nazw i mocy, ilu szamanów, poetów i gawędziarzy znalazło się pod wpływem jej uroku. W Pojednanych Dominiach nie istniała chyba społeczność, która nie włączyłaby tej kolumny do swej mitologii i nie znalazła własnego słowa na jej określenie. Jednak najprawdziwsze jej miano było zarazem najprostsze: Oś. Od stuleci trwały dysputy, czy Niewidziany umieścił ją na dymiącym pustkowiu Kwem w centrum Imajiki, czy może w dawnych czasach rósł tu cały las podobnych kolumn, z którego ktoś (być może wiedziony mądrością Hapexamendios) wyrwał wszystkie poza tą jedną.

Mimo sporów na temat jej pochodzenia nikt nie kwestionował mocy, jaką dawała kolumnie pozycja w centrum dominiów. Od setek lat krzyżowały się w Kwem myśli i idee, które Oś przyciągała i wchłaniała z nieodpartą siłą. Stała się największym ośrodkiem mocy w całej Imajice, zanim autarcha trafił do Trzeciego Dominium, odcisnąwszy uprzednio na Yzordderrex piętno dyktatury. Kilkakrotnie odwiedził Kwem, snując własne plany co do losów Osi, i za każdym razem wracał do powstającego w Yzordderrex pałacu. Przebudowywał go i udoskonalał, a cel przeróbek stał się jasny dopiero dwa lata później. Z szybkością, jaka zwykle towarzyszy zamachom stanu, autarcha kazał kolumnę obalić i przewieźć do swojej siedziby, gdzie umieścił ją w specjalnie wybudowanej wieży, i to zanim zakrzepła krew tych, którzy śmieli protestować przeciw świętokradztwu.

W jedną noc zmieniła się topografia Imajiki. Yzordderrex stało się środkiem

Pojednanych Dominiów. Od tej pory nie było władzy - świeckiej ani duchowej - która nie wywodziłaby się z tego miasta. Jego nazwa pojawiła się na wszystkich skrzyżowaniach szlaków w Imajice; zawsze na każdej drodze znajdował się chociaż jeden podróżny, który zwracał ku niemu wzrok w nadziei na ocalenie. Modlitwy kierowano w dalszym ciągu do Niewidzianego, błogosławiono, posługując się zakazanymi imionami bogiń, ale prawdziwym bogiem stało się Yzordderrex; autarcha był jego umysłem, a Oś - jego fallusem.

*

Od dnia, gdy Kwem straciło swoją cudowną kolumnę, minęło sto siedemdziesiąt dziewięć lat, ale autarcha nadal pielgrzymował na to odludzie, gdy czuł potrzebę samotności. Niedługo po przeniesieniu Osi kazał zbudować pałacyk nieopodal miejsca, w którym się znajdowała - mały i spartański w porównaniu z architektonicznym cudem, które wieńczyło Yzordderrex. Tu właśnie chronił się w trudnych chwilach, żeby pomedytować nad smutkiem władzy absolutnej. Radę Wojskową - grupę generałów rządzących w jego imieniu Połączonymi Dominiami - zostawiał pod okiem niegdyś ukochanej królowej Quaisoir. Ostatnimi czasy wykazywała narastające zamięłowanie do stosowania tortur i przemocy, które w nim już wygasło; kilkakrotnie myślał nawet o tym, żeby na dobre wycofać się do pałacu w Kwem i zostawić jej pełnię władzy, skoro sprawiało jej to tak wielką przyjemność. Wiedział jednak, że karmi się złudzeniami. Mimo że rządził Imajicą całkowicie niewidoczny - nikt spoza kręgu około dwudziestu ludzi, którzy widywali go codziennie, nie rozpoznałby go w tłumie białych, elegancko ubranych mężczyzn - to właśnie jego wizja doprowadziła do wyniesienia Yzordderrex i nikt nie mógł go w tej roli zastąpić.

W takie dni jak ten, gdy zimne wiatry znad Postnej Drogi zawodziły smutno w iglicach pałacu w Kwem, patrzył w lustro i żałował, że nie może odesłać do Yzordderrex swojego lustrzanego odbicia, by rządziło zamiast niego. Wtedy mógłby tu zostać i oddać się rozmyślaniom o dawnych czasach. Lato w Anglii. Mokre od porannego deszczu londyńskie ulice, spokojne podmiejskie pola, na których roi się od pszczół. Takie obrazy podsuwała mu wyobraźnia, gdy miał wyjątkowo ponury nastrój. Chwile te trwały jednak krótko - był realistą i nawet od swojej pamięci bezwzględnie domagał się prawdy. Owszem, deszcz padał w Londynie często, ale był tak gwałtowny, że zбивał owoce z

drzew, a te, które nie spadły, zostawiał paskudnie poobijane. A cisza pól była spokojem pola bitwy, gdzie zamiast pszczoł przylatywały muchy, by składać jaja.

Tamtego lata zaczęło się jego życie, którego najwcześniejsze dni pełne były zwiastunów nie miłości i płodności, lecz bliskiej zagłady. Wszyscy kaznodzieje w parku znali Apokalipsę na pamięć; wszystkie dziwki z Drury Lane powtarzały klientom, że nocą diabeł tańczy na okolicznych dachach. Ta atmosfera musiała i na niego wywrzeć wpływ. Bał się rychłej zagłady, tęsknił za porządkiem, za prawem... może za imperium? Był dzieckiem swoich czasów; jeśli stał się okrutny w dążeniu do ładu, czy należało za to winić jego, czy epokę, w której żył?

Tragedia nie polegała na cierpieniu, które jest nieodłącznym elementem wszelkich przemian społecznych. Najgorsze było co innego - jego dokonaniom zagrażały siły, które w razie zwycięstwa wtrąciłyby Imajicę z powrotem w chaos. Zniszczyłyby wszystko, co osiągnął, i zajęłoby im to ułamek czasu, jakiego na to potrzebował. Jeżeli chciał utrzymać je w korbach, nie miał wielkiego wyboru. Po wydarzeniach w Patashoqua, gdzie odkryto spisek na jego życie, udał się do cichego pałacu w Kwem, żeby przemyśleć dostępne mu możliwości działania.

Mógł traktować bunt, strajki i powstania jak nic nieznaczące incydenty, ograniczając się do drobnych, lecz wymownych aktów okrucieństwa, takich jak spalenie Beatrix czy proces i egzekucja w Vanaeph. Wybór tej drogi wiązał się jednak z kłopotami dwojakiej natury. Od ostatniego spisku na jego życie, mimo że nieudolnego i wykrytego w porę nie mógł zaznać spokoju; dopóki choć jeden radykał i rewolucjonista pozostanie przy życiu, on, autarcha, nie będzie się czuł bezpiecznie. Po drugie, jeżeli w całych jego włościach co rusz zdarzały się podobne incydenty, wymagające kontrolowanej reakcji, czy taka fala represji w ogóle ma sens? Czy nie nadszedł czas, żeby zrealizować jakąś bardziej ambitną wizję? Wprowadzić stan wojenny w miastach, aresztować tetrarchów i ujawnić ich zepsucie w imię sprawiedliwego, lepszego Yzordderrex, obalić rządy, a na opór odpowiedzieć pełnymi siłami armii Drugiego Dominium. Może Patashoqua będzie musiało podzielić los Beatrix. Albo L'Himby z jego żalonymi świątyniami.

Gdyby wybrał to drugie rozwiązanie i wszystko poszło po jego myśli, oczyściłby Imajicę z buntowników raz na zawsze. Gdyby jednak coś mu nie wyszło - okazało się na przykład, że jego doradcy nie docenili skali niepokojów albo zlekceważyli przywódców

rewolucji - wtedy krąg zacznie się zaciskać i apokalipsa, z którą od dziecka był za pan brat, znów przybliży się niebezpiecznie. Dopadnie go tutaj, w sercu ziemi obiecanej. Co się stanie, jeśli zamiast Patashoqua spłonie Yzordderrex? Dokąd będzie mógł się udać, by ukoić ból? Może wróci do Anglii? Ciekawe, czy dom w Clerkenwell jeszcze stoi. I czy wciąż jest tak ozdobny jak dawniej. A może odejście maestra odarło go do gołych desek? Drażniły go takie pytania. Rozmyślając nad nimi, odkrył w sobie dziwną ciekawość... Nie, coś więcej - pragnienie, by przekonać się, jak wygląda Odłączone Dominium dwieście lat po jego akcie tworzenia.

Z rozmyślań wyrwał go Rosengarten - przezwisko to miało wysoce ironiczny wydźwięk, gdyż człowiek, któremu je nadał, był zupełnie bezpłodny. Cale ciało miał w plamach po chorobie, którą złapał na bagnach Loquiot. Targany nią, w malignie pozbawił się męskości i żył już tylko po to, żeby wypełniać obowiązki. Był jedynym generałem, który nie splugawił murów pałacu swoimi ekscesami. Poruszał się i mówił cicho, nie śmierdział perfumami, nie pił i nie jadał kreauchee. Był ucieleśnieniem pustki, jedyną osobą, której autarcha bezgranicznie ufał.

Przynosił wieści, które przekazał w krótkich słowach: w przytułku na wyspie pośrodku Chzercemit wybuchł bunt. Zginęli prawie wszyscy żołnierze garnizonu. Śledztwo, które miało wyjaśnić okoliczności buntu, jeszcze się nie zakończyło, ale większość więźniów uciekła. Prowadził ich niejaki Scopique.

- Ilu ich było? - zapytał autarcha.

- Mam tu listę, panie. - Rosengarten otworzył teczkę. - Zaginęło pięćdziesiąt jeden osób, w większości dysydentów religijnych.

- Były wśród nich jakieś kobiety?

- Ani jednej.

- Powinniśmy byli ich powiesić, a nie trzymać w zamknięciu.

- Niektórym z nich męczeńska śmierć dobrze by zrobiła, panie. Mając to na uwadze, uznaliśmy, że lepiej ich wsadzić do więzienia.

- Żeby teraz wrócili do swoich trzódek i od nowa zaczęli nauczać o rewolucji? To się musi skończyć. Ilu z nich działało w Yzordderrex?

- Dziewięciu, w tym ojciec Athanasius.

- Athanasius? A kto to jest?

- Niebytowiec, który podaje się za Christosa. Nauczał w okolicach portu.
- I tam też zapewne wróci.
- To bardzo prawdopodobne.
- Prędzej czy później wszyscy wrócą do swoich wiernych. Będziemy na to przygotowani. Obejdzie się bez aresztowań i bez procesów, ale muszą zniknąć.
- Tak, panie.
- I nie chcę, żeby Quaisoir się o tym dowiedziała.
- Obawiam się, że już wie, panie.
- W takim razie należy dopilnować, by nie robiła nic na pokaz.
- Rozumiem.
- Dyskrecja przede wszystkim.
- Jest jeszcze jedna sprawa, panie.
- Tak?
- Przed wybuchem buntu na wyspie przebywały jeszcze dwie osoby...
- Co z nimi?
- Trudno powiedzieć coś pewnego na podstawie raportu. Jedna z nich była chyba mistykiem, ale rysopis drugiej jest chyba jeszcze ciekawszy...

Rosengarten podał plik papierów autarsze, który przejrzał je najpierw pobieżnie, a potem z większym zainteresowaniem.

- Czy to pewne informacje? - zapytał.
 - W tej chwili nie wiem. Rysopisy zostały potwierdzone, ale nie przesłuchiwałem tych ludzi osobiście.
 - Zrób to.
 - Tak, panie.
- Autarcha oddał raport generałowi.
- Ilu ludzi to widziało?
 - Gdy tylko przeczytałem raport, kazałem zniszczyć wszelkie kopie. Znają go tylko oficerowie śledczy, ich dowódca i ja.

- Uciszcie wszystkich żołnierzy z garnizonu, którzy przeżyli bunt; zrób sąd polowy, zamknij ich i wyrzuć klucz. Oficerom śledczym zapowiedz, że jeżeli z dowolnego źródła pojawi się jakiś przeciek, będą za niego odpowiedzialni. Czekają ich

kara śmierci.

- Tak, panie.

- Co zaś się tyczy mistyfa i tego drugiego człowieka, musimy założyć, że kierują się do Drugiego Dominium. Najpierw było Beatrix, teraz Kołyska... Z pewnością zmierzają do Yzordderrex. Kiedy doszło do buntu?

- Jedenaście dni temu, panie.

- Będą w Yzordderrex najdalej za parę dni, nawet jeśli idą pieszo. Namierzyć ich! Chcę się o nich jak najwięcej dowiedzieć. - Autarcha wyrzął przez okno, na rozciągające się za nim pustkowie Kwem. - Prawdopodobnie wybrali Postną Drogę i przechodzili niedaleko stąd - mruknął z nutą zdenerwowania w głosie. - Już drugi raz niewiele brakowało, żeby nasze ścieżki się przecięły. Teraz mamy wiarygodnych świadków. Co to oznacza, Rosengarten? Co to oznacza?

Kiedy Rosengarten nie wiedział, co odpowiedzieć - tak jak w tej chwili - po prostu milczał. Cecha godna pochwały, pomyślał autarcha.

- Ja też tego nie wiem - dodał. - Chyba pójde na spacer. Czuję się dziś bardzo stary.

*

Dziura, z której wyrwano Oś, wciąż odcinała się od równiny, chociaż wichury niemal zatarty jej ślad. Autarcha zauważył, że kiedy stoi nad jej krawędzią, dobrze mu się myśli o rzeczach, których już nie ma. Teraz też próbował się na nich skupić. Twarz miał owiniętą jedwabnym szalem dla osłony przed porywistym wiatrem, długie futro starannie zapięte, ręce w rękawiczkach wcisnął głęboko w kieszenie. Nie mógł jednak osiągnąć spokoju, jaki zawsze ogarniał go przy takich medytacjach.

O braku i pustce rozmyślało się najlepiej, gdy całe bezgraniczne bogactwo świata znajdowało się na wyciągnięcie ręki. Teraz było inaczej. Przypomniała mu się próżnia, której się obawiał, ale którą bał się też wypełnić; była niczym puste miejsce u boku bliźniaka, który stracił brata w łonie matki. Mógł budować dowolnie wysokie ściany w swojej fortecy, mógł na wszelkie sposoby odcinać się od świata, ale był ktoś, kto zawsze będzie miał do niego dostęp. Ta myśl przyprawiała go o szybsze bicie serca. Ten ktoś znał go równie dobrze jak on sam, jego słabe punkty, jego pragnienia i ambicje. Ich przeszłość - krwawa przeszłość - od dwóch śmieci pozostawała nie odkryta i nie

pomszczona, ale zawsze wiedział, że ten stan rzeczy nie może trwać wiecznie. I teraz wszystko miało się zakończyć. Już wkrótce.

Mimo że ziąb nie przenikał w głąb futrzanego kokonu, autarcha zadygotał. Długo żył jak człowiek, nad którym słońce zawsze stoi w zenicie i który nie rzuca cienia. Prorocy nie potrafili przewidzieć jego nadejścia, oskarżyciele nie umieli mu udowodnić żadnych zbrodni. Był nietykalny. Teraz się to zmieni. Kiedy spotka swój cień - a nie wątpił, że to nastąpi - na obu spadnie brzemień tysięcy prorocstw i oskarżeń.

Odsłonił twarz i wystawił ją na siekący bezlitośnie wiatr. Nie było sensu dłużej stać w tym miejscu. Wichura tylko posieka mu policzki, a przez ten czas Yzorderrex wymknie mu się z rąk. Niby niewielka strata, ale kto wie, czy za kilka godzin twarz nie okaże się jedynym skarbem, który uda mu się ocalić.

2

Gdyby boscy inżynierowie, którzy wzniesli szczyty Jokalaylau, ustawili najwyższą ze swych gór pomiędzy pustynią i oceanem, gdyby następnego dnia wrócili i co noc przez sto lat rzeźbili w jej przepaścistych zboczach - od podnóża aż po skryty w chmurach wierzchołek - skromne domostwa, cudowne place, ulice, fortyfikacje i pawilony, gdyby wreszcie rozpalili w sercu góry ogień, który nie płonąłby, lecz tlił się wiecznie, wówczas ich dzieło, wypełnione do granic możliwości wszelkimi wyobraźnymi formami życia, miałyby szansę wytrzymać porównanie z Yzorderrex. Ponieważ jednak taki twór nie istniał, miasto nie miało sobie równych w Imajice.

Pierwszy raz ukazało się podróżnym z grobli, która jak dobrze rzucony kamień przecinała skokami deltę Noy. Przybyli tu wczesnym rankiem, gdy unoszące się nad ujściem rzeki mgły, prześwietlone niepewnym blaskiem poranka, skrywały miasto. I nagle mgła się roziała. Prawie nie było widać nieba, morze i pustynia skurczyły się do mikroskopijnych rozmiarów. Yzorderrex stał się całym światem.

Zanim Postną Drogą dotarli z Trzeciego Dominium do Drugiego, Huzzah opowiedziała im wszystko, co wyczytała na temat miasta w książkach ojca. Jeden z autorów opisywał Yzorderrex jako boga. Gentle uznał pomysł za idiotyczny, dopóki nie

zobaczył miasta na własne oczy, a wtedy zrozumiał teologa, który postanowił deifikować tę olbrzymią termitierę. Yzordderrex warte było czci i miliony mieszkańców czcili je codziennie, tłocząc się zarówno na jego powierzchni, jak i we wnętrzu. Ich domy niczym miriady spanikowanych alpinistów tkwiły uczonepione urwisk ponad portem i stały na spiętrzonych pod szczyt tarasach. Niektóre z tarasów zabudowano tak gęsto, że skrajne domostwa trzeba było podierać od zewnątrz; same podpory również obrosły gniazdami, w których musiały mieszkać albo istoty skrzydlate, albo samobójcy. Cała góra tętniła życiem; niebezpiecznie strome uliczki i schody prowadziły wzrok ku górze, skacząc z jednej przepelnionej półki na drugą. Były tam bezlistne bulwary obstawione kamiennymi domostwami, były bramy prowadzące do cienistych parków i wyżej, na szczyt miasta, gdzie stał pałac autarchy Imajiki. Tam z kolei panował nadmiar innego rodzaju: pałac miał więcej cudownie rzeźbionych iglic i kopuł niż Rzym na Ziemi, a nad wszystkim wznosiła się Wieża Osi, równie gładka i zwyczajna, jak jej towarzyszyki ozdobne i niezwykle. Na niebie ponad miastem świeciła kometa, której Drugie Dominium zawdzięczało długie dni i niespieszne zmierzchy - gwiazda Yzordderrex, nazywana Giess, czyli Posucha.

Zaczęła się krzątania tych, którzy nie znaleźli mieszkania na grzbiecie ani w trzewiach miasta, a codziennie przybywali do Yzordderrex do pracy. Zanim wędrowcy dotarli do końca grobli, otoczył ich obłok kurzu i zgiełk samochodów, rowerów, rikszy i pieszych zmierzających w tym samym kierunku. Było ich troje spośród dziesiątków tysięcy: mała, chuda, szeroko uśmiechnięta dziewczynka; biały mężczyzna, kiedyś zapewne przystojny, teraz jednak wymizerowany i blady, ze skudloną brązową brodą; i mistyf z plemienia Eurhetemeców, którego oczy - jak zwykle u mistyfów - z trudem skrywały dręczący go smutek. Ludzka powódź niosła ich naprzód. Nie opierali się. Zmierzali tam, gdzie przed nimi zniknęły już nieprzeliczone tłumy: do brzucha miastaboga, do Yzordderrex.

ROZDZIAŁ 30

1

Po tragicznie zakończonym spotkaniu z Clarą Leash Judith nie była już gościem, lecz więźniem w domu Godolphina. Dowd zamknął ją w sypialni, którą zajmowała na początku. Zanim Oscar przyszedł się z nią zobaczyć, przez pół godziny naradzał się z Dowdem (słyszała, że rozmawiają, ale nie mogła rozróżnić słów). Z miejsca oznajmił jej, że nie zamierza dyskutować o tym, co się wydarzyło. Swoim zachowaniem mogła mu poważnie zaszkodzić - sobie zresztą też. Czy naprawdę o tym nie pomyślała? Teraz będzie potrzebował czasu, żeby rozważyć, jakie będą skutki jej zachowania.

- Ufałem ci - powiedział. - Żadnej kobiecie w życiu nie ufałem tak jak tobie. A ty mnie zdradziłaś. Dowd to przewidział. Wyszedłem na durnia. Zraniłaś mnie.

- Pozwól, że ci wyjaśnię...

Uciszył ją gestem.

- Nie chcę słuchać. Może za parę dni wrócimy do tej rozmowy, ale teraz nic nie mów.

Zostawił ją samą. Czy naprawdę wierzył, że darzy go tak płytkim uczuciem, iż nie pomyślała o konsekwencjach? Istniała jeszcze druga, gorsza możliwość - Dowd przekonał go, że uknuła wszystko od samego początku: uwiodła go i wymusiła wyznanie miłości, żeby go osłabić. Wydawało jej się to całkiem prawdopodobne, ale nie rozgrzeszało Oscara. Nie dał jej nawet szansy się wytłumaczyć.

Nie widziała go przez trzy dni. Dowd przynosił jej posiłki. Słyszała, jak Oscar przychodzi i wychodzi; czasem dobiegały ją strzępy rozmów. Miała wrażenie, że zorganizowana przez Tabula Rasa czystka osiągnęła punkt krytyczny. Niejeden raz przychodziło jej do głowy, że po tym, co chciały z Clarą Leash zrobić, stała się potencjalną ofiarą czystki i dzień po dniu Dowd coraz bardziej rozwiewa wątpliwości

Oscara, że należy się jej pozbyć. Może popadała w paranoję, ale jeśli coś do niej czuł, dlaczego nawet nie zajrzał? Nie tęsknił tak jak ona? Nie chciał mieć jej przy sobie w łóżku - choćby po to, żeby było mu ciepłej? Kilkakrotnie prosiła Dowda, by przekazał mu, że chciałaby się z nim zobaczyć, na co Dowd - zachowując się jak strażnik, który ma pod opieką setki więźniów - odpowiadał, że zrobi co w jego mocy, ale osobiście wątpi, żeby pan Godolphin chciał z nią rozmawiać. W każdym razie Oscar nie interesował się nią i zaczęła zdawać sobie sprawę, że jeżeli nie podejmie bardziej zdecydowanych działań, może już nigdy nie zobaczyć słońca.

Plan ucieczki miała prosty. Zatrzymanym po posiłku nożem wyłamała zamek w drzwiach sypialni - nie on ją zresztą powstrzymywał od swobodnego poruszania się po domu, lecz groźba Dowda, że poszczuje ją pajakami, które zabiły Clare - i wymknęła się na schody. Celowo odczekała, aż Oscar wróci do domu, wierząc, być może naiwnie, że nawet jeśli jego uczucia ochłodził nieco, obroni ją w razie potrzeby przed Dowdem. Ogromnie ją kusilo, żeby od razu go poszukać, ale pomyślała, że łatwiej będzie jej się z nim rozmawiało z dala od jego domu, kiedy znów poczuje się panią swego losu. Gdyby wówczas uznał, że nie chce mieć z nią nic wspólnego, jej obawy o rolę Dowda w całej sprawie się potwierdzą. Wtedy będzie musiała znaleźć inny sposób na dotarcie do Yzordderrex.

Z najwyższą ostrożnością zeszła po schodach. Słyszac głosy we frontowej części domu, postanowiła wyjść kuchennymi drzwiami. Światła - jak zwykle - paliły się wszędzie, kuchnia była pusta. Jude podeszła do zamkniętych na oba zamki drzwi. Przykucnęła i otworzyła dolny, a kiedy wstała, rozległ się głos Dowda:

- Tędy nie wyjdiesz.

Odwróciła się. Stał przy kuchennym stole z tacą brudnych naczyń po kolacji. Miał zajęte ręce, więc spróbowała go wyminąć. Rzuciła się biegiem do hallu. Był jednak szybszy, niż sądziła; błyskawicznie odstawił naczynia i złapał ją za ramię. Szarpnęła się i zrzuciła ze stołu kieliszek, który rozprysnął się dźwięcznie.

- Popatrz, co narobiłaś - powiedział Dowd z wyrzutem. Wyglądał, jakby naprawdę się zmartwił. - Ten kieliszek był w rodzinie od pokoleń. Myślałem, że czujesz z nim pewną więź.

Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o potłuczonych kieliszkach, ale musiała

wdać się w rozmowę, żeby ściągnąć do kuchni Godolphina. Był jej jedyną nadzieją.

- A co mnie obchodzi jakiś cholerny kieliszek?

Dowd przykucnął i podniósł odłamek szkła do światła.

- Wiele was łączy, kochaniutka. Oboje nic o sobie nie wiecie, oboje jesteście piękni i delikatni. - Wstał. - Zawsze byłaś piękna. Mody się zmieniają, ale Judith jest śliczna jak zawsze.

- Nic o mnie nie wiesz, do diabła!

Dowd pozbierał kawałki szkła i odłożył je na stół, obok brudnych naczyń i sztućców.

- Wprost przeciwnie. My też jesteśmy do siebie podobni, i to bardziej, niż ci się wydaje.

Zachował sobie jeden odłamek, który przyłożył do nadgarstka i ciał. Odwróciła wzrok, ale na dźwięk upuszczonego na podłogę szkła spojrzała na Dowda ponownie. Z rozwartej rany nie pociekła krew, lecz galaretowata, ohydna maź. Twarz Dowda nie wyrażała bólu, tylko zainteresowanie.

- Nie pamiętasz przeszłości - powiedział. - Ja pamiętam ją aż za dobrze. Ty masz w sobie żar, ja nie; ty kochasz, ja nigdy nie rozumiałem, co to jest miłość. Ale wcale tak bardzo się nie różnimy, Judith. Oboje jesteśmy niewolnikami.

Patrzyła mu w oczy, na ranę, w oczy, na ranę, znów w oczy - i z każdą chwilą narastał w niej strach. Nie chciała Dowda słuchać. Pogardzała nim. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak wyglądał przy stosie pogrzebowym pustkowców, a potem w cieniu wieżowca w Highgate, gdy pająki wypełzały mu z ust. A jednak wciąż go słuchała. Dawno porzuciła próby rozwiązania zagadki swojej osoby, teraz Dowd podsuwał jej strzępki, które musiała zbierać.

- Kim jesteś? - spytała.

- Ważniejsze jest, kim ty jesteś.

- Różnimy się, i to bardzo. Ja krwawię, ty nie; ja jestem człowiekiem, ty nie.

- Czy aby na pewno krwawisz swoją krwią? To pytanie powinnaś sobie zadać.

- Płyne z moich żył! Oczywiście, że jest moja!

- Kim w takim razie jesteś?

Pytał niby bez złośliwości, ale była pewna, że to podstęp. Wiedział, że Jude nie

pamięta swojej przeszłości, i próbował zmusić ją, żeby się do tego przyznała.

- Wiem, czym nie jestem - odparła, chcąc zyskać na czasie. - Nie jestem kieliszkiem i nie jestem delikatna. Poza tym wiem o sobie całkiem sporo. I nie...

Co tam jeszcze było poza urodą i delikatnością? Schylił się po stłuczone szkło i jakoś tak ją opisał...

- Co nie? - Dowd przyglądał się jej, jak zмага się z niechcianymi wspomnieniami.

Wróciła myślami do chwili, gdy wszedł do kuchni. „Popatrz, co narobiłaś”, powiedział i ukucnął (oczami wyobraźni znów widziała, jak to robi). Zaczął zbierać szkło z podłogi i wtedy to powiedział. Przypomniała sobie.

„Ten kieliszek był w rodzinie od pokoleń. Myślałem, że czujesz z nim pewną więź”.

- Nie - powiedziała zdecydowanie.

Pokręciła głową, broniąc się przed docierającym do niej sensem tych słów, ale obudziła tylko dalsze wspomnienia - wycieczka z Charliem do wiejskiej posiadłości; przyjemne uczucie, że zna ten dom; głosy, które wzywały ją słodkimi imionami z przeszłości; spotkanie z Oscarem na progu Azylu; natychmiastowa świadomość, że jej miejsce jest przy jego boku, bez cienia wątpliwości; portret nad łóżkiem, mężczyzna patrzący na nich tak władczy wzrokiem, że Oscar musiał zgasić światło, zanim mogli się kochać.

Te myśli stawały się coraz bardziej natarczywe. Potrząsała głową gwałtownie, jak w drgawkach. Łzy popłynęły jej z oczu. Wyciągnęła błagalnie ręce; nie miała siły inaczej poprosić o pomoc. Dowd stał obok stołu i trzymał się za zraniony przegub. Obserwował ją. Rozpływał się jej przed oczami. Odwróciła się od niego. Bała się, że upadnie, roztrzaska sobie głowę albo zadławi się własnym językiem; wiedziała, że nie przyszedłby jej z pomocą. Chciała zawołać Oscara, ale z jej ust dobył się tylko żalony charkot. Potykając się, próbowała wyjść z kuchni. Kręciła głową jak szalona - i nagle dostrzegła w hallu Oscara. Szedł w jej stronę. Wyciągnęła do niego ramiona. Zdążył ją złapać za ręce, ale nie mógł wyciągnąć jej z otchłani, w którą się zapadała.

Kiedy się obudziła, siedział przy niej. Nie leżała w wąskim łóżku, na które była skazana przez ostatnie kilka nocy, lecz u Oscara w sypialni, na szerokim łożu, o którym przyzwyczaiła się myśleć, że należy do niej i do niego. Nie miała, oczywiście, racji. Jego prawdziwym właścicielem był mężczyzna, którego portret podsuwała jej wyobraźnia podczas ataku drgawek. Obląkany lord Godolphin wisiał nad nią, a jego późniejsza odmiana siedziała obok, głaskała ją po ręce i powtarzała, że ją kocha. Gdy tylko oprzytomniała, odsunęła się od niego.

- Nie jestem... zwierzęciem... - wykrztusiła z wysiłkiem. - Nie możesz mnie... głaskać... kiedy ci przyjdzie... ochota.

- Przepraszam cię za wszystko - powiedział wstrząśnięty. - Nie ma dla mnie wytłumaczenia. Bardziej zajmowałem się stowarzyszeniem niż opieką nad tobą. To niewybaczalne. W dodatku Dowd, który ciągle szeptał mi do ucha... Czy był bardzo okrutny?

- To ty byłeś okrutny.

- Niczego nie zrobiłem celowo. Uwierz mi, proszę.

- Okłamywałeś mnie. - Jude próbowała usiąść na łóżku. - Wiesz o mnie rzeczy, o których ja sama nie mam pojęcia. Dlaczego nie podzieliłeś się ze mną tą wiedzą? Nie jestem dzieckiem!

- Właśnie miałaś atak - odparł Oscar. - Zdarzało ci się to już kiedyś?

- Nie.

- Sama widzisz. Są sprawy, w które nie należy wnikać.

- Za późno. Przeżyłam ten atak i jestem gotowa poznać swoją tajemnicę. -

Spojrzała w górę, na portret Joshuy. - To się jakoś z nim łączy, prawda? On ma nad tobą władzę.

- Nie nade mną...

- Kłamiesz! Kłamiesz! - Odrzuciła pościel i uklękła na łóżku, żeby znaleźć się twarzą w twarz z oszustem. - Dlaczego najpierw mówisz, że mnie kochasz, a zaraz potem

zaczynasz kłamać? Dlaczego mi nie ufasz?!

- Nikomu nie powiedziałem aż tyle, co tobie. Przekonałem się jednak, że spiskowałaś przeciw stowarzyszeniu.

- Nie tylko spiskowałam - odparła, mając na myśli swoją wizytę w podziemiach wieżowca.

Znów miała ochotę powiedzieć mu o wszystkim, co widziała, ale powstrzymała ją słowa Clary: „Nie możesz jednocześnie ocalić Celestine i żyć z nim w zgodzie.

Zamierzasz właśnie podkopać fundamenty jego rodziny i wiary". Miała rację; teraz Jude doskonale to rozumiała. Mogła mu wszystko powiedzieć - z przyjemnością pozbyłaby się brzemienia - ale nie miała pewności, czy on nie użyje swojej wiedzy przeciwko niej. Na co zdałyby się wówczas cierpienie Celestine i śmierć Clary? Pozostała ich jedyną przedstawicielką w świecie żywych. Nie miała prawa szafować ich poświęceniem.

- A co jeszcze zrobiłaś? Co zrobiłaś?!

- Ty nie byłeś ze mną szczery. Dlaczego miałabym ci teraz coś powiedzieć?

- Bo nadał mogę cię zabrać do Yzordderrex.

- Co to ma być, próba przekupstwa?

- Nie chcesz już tam jechać?

- Chcę poznać prawdę na swój temat.

Oscar posmutniał lekko.

- Ech... - westchnął. - Tak długo kłamię, że nie wiem, czy rozpoznałbym prawdę, gdyby spadła mi na głowę. Poza...

- Tak?

- Poza tym, co do siebie czujemy. A przynajmniej co ja do ciebie czuję... To chyba jest prawdziwe, co?

- Ale niewiele znaczy. Zamknąłeś mnie, kazałeś Dowdowi trzymać mnie pod kluczem...

- Już ci wyjaśniłem...

- Tak, wiem, miałeś inne sprawy na głowie, więc o mnie zapomniałeś.

- Nie zapomniałem. Ani na moment. Przysięgam!

- No to co się stało?

- Bałem się.

- Mnie?

- Wszystkich. Ciebie, Dowda, stowarzyszenia. Wszędzie widziałem spiski. Nagle wydało mi się, że dzielenie z tobą łóżka to zbyt wielkie ryzyko. Obawiałem się, że mnie udusisz albo...

- To idiotyczne.

- Czyżby? Skąd mam wiedzieć, do kogo należysz?

- Do samej siebie.

Oscar pokręcił głową i spojrzał na portret Joshuy.

- Skąd ta pewność? Skąd wiesz, że to, co do mnie czujesz, płynie z serca?

- A jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że cię kocham. Spójrz na mnie!

Oscar nie odrywał wzroku od obrazu.

- On nie żyje - przypomniała mu Jude.

- Ale jego dziedzictwo...

- W dupie mam jego dziedzictwo! - Zerwała się na nogi, złapała za ciężkie, złocone ramy i szarpnęła z całej siły.

Oscar próbował zaprotestować, ale była szybsza. Ściągnęła obraz z haków i cisnęła nim przez pokój. Usiadła na łóżku.

- On nie żyje - powtórzyła. - Nie ma go. Nie może nas osądzać, nie może mieć nad nami władzy. To, co nas łączy, a nie będę udawać, że wiem, co to jest, jest tylko nasze! - Pogłaskała go po brodzie. - Przestań się bać. Przytul mnie.

Objął ją posłusznie.

- Zabierzesz mnie do Yzordderrex, Oscarze. Nie za tydzień, nie za kilka dni, lecz jutro. Chcę tam jutro pojechać. A jeśli nie... - Opuściła rękę. - Jeśli nie, to wypuść mnie od razu. Chcę stąd wyjść. Zniknąć z twojego życia. Nie zamierzam być twoim więźniem, Oscarze. Może jego kochanki jakoś to znosiły, ale ja jestem inna. Prędzej popełnię samobójstwo, niż pozwolę ci się znowu zamknąć.

Mówiąc to, nie płakała; proste uczucia wyraziła w prostych słowach. Oscar wziął ją za rękę i przytknął do swoich policzków, jak gdyby zachęcał ją, by zagarnęła go na własność. Nie zwróciła wcześniej uwagi na setki drobniutkich zmarszczek na jego twarzy. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Dobrze - odparł.

3

Kiedy następnego dnia wyjeżdżali z Londynu, padał ciepły deszcz, zanim jednak znaleźli się na wsi, zza chmur wyjrzało słońce i cały park lśnił w jego promieniach. Nie zaglądając po drodze do domu, skierowali się wprost do zagajnika, w którym stał Azyl. Lekki wiatr poruszał migoczącymi w słońcu liśćmi. Wszędzie unosił się zapach nowego życia. Burzył Jude krew w oczekiwaniu na bliską podróż.

Oscar doradził jej, by ubrała się wygodnie i ciepło, bo w Yzordderrex zdarzały się gwałtowne skoki temperatury. Kiedy wiatr wiał z pustyni, na ulicach człowiek piekł się żywcem, jeśli zaś wiatr się odwrócił, niósł znad oceanu przenikający do szpiku kości chłód i mgłę. Nie zraziła się tym, naturalnie, i była gotowa na spotkanie z przygodą życia.

- Wiem, że dużo ci już nagadałem o niebezpieczeństwach Yzordderrex - mówił Oscar, gdy szli przez zagajnik, uchylając się przed gałęziami. - Masz tego pewnie po dziurki w nosie, ale pamiętaj, to nie jest cywilizowane miasto. Peccable jest chyba jedynym człowiekiem, któremu tam ufam. Gdybyśmy się rozdzielili albo coś mi się stało, możesz na niego liczyć.

- Rozumiem.

Oscar przystanął, podziwiając, jak precedzone przez listowie promienie słońca padają na blade ściany i kopułę Azylu.

- Wiesz, że dawniej przychodziłem tu tylko nocą? Wydawało mi się, że to święte chwile, kiedy magia jest najsilniejsza. To nieprawda. Lubię księżyc o północy, ale tutaj i w południe zdarzają się cuda, i są równie niezwykłe. - Spojrzał między drzewa. - Czasem trzeba opuścić świat, żeby świat zobaczyć. Kilka lat temu wybrałem się do Yzordderrex i zostałem tam... Sam nie wiem, dwa, może dwa i pół miesiąca; kiedy wróciłem, patrzyłem na Piąte Dominium jak dziecko. Słowo daję, jak dziecko. Nie zobaczymy po drodze innych dominiów. Jeżeli uda nam się bezpiecznie wrócić...

- Uda się.

- Skąd ta wiara? Jeżeli się nam uda, wszystko się zmieni, bo my się zmienimy.

- Niech tak będzie.

Jude wzięła go za rękę i razem zaczęli iść w stronę Azylu. Czuła jednak jakiś dziwny niepokój. Nie chodziło o jego słowa - ostrzeżenia przed zmianami zabrzmiały ekscytująco - ale o ciszę, która nagle wydała się jej niezwykle głęboka.

- Co się stało? - spytał Oscar, gdy mocniej ścisnęła jego dłoń.

- Ta cisza...

- Tu zawsze panuje dziwna atmosfera. Nieraz miałem takie wrażenie. No, zginęło tu wielu wspaniałych ludzi.

- Przy próbie Pojednania, tak?

- Słyszałaś o niej?

- Od Clary. Mówiła, że latem tego roku minie dwieście lat. Może duchy wracają, żeby zobaczyć, czy ktoś nowy nie próbuje zrobić tego znowu.

Zatrzymał się i pociągnął ją za rękę.

- Proszę cię, nie mów tak. Nawet w żartach. Do Pojednania nie dojdzie ani w tym roku, ani później. Maestrowie nie żyją. Wszystko to...

- Dobrze, uspokój się. Nie wrócę do tego tematu.

- Po letnim przesileniu nie będzie to miało żadnego znaczenia - dodał Oscar z udawaną obojętnością. - W każdym razie przez najbliższe kilka stuleci. Umrę i zostanę pochowany na długo przedtem, nim zamieszanie rozpocznie się na nowo. Mam swój kawałek ziemi, wiesz? Peccable pomógł mi go wybrać. Znajduje się na skraju pustyni. Jest stamtąd świetny widok na Yzordderrex.

Jego nerwowa gadanina dziwnie głośno brzmiała w głuchej ciszy. Wreszcie stanęli przed drzwiami Azylu. Wtedy Oscar umilkł, co Jude przyjęła z zadowoleniem. Takie miejsce wymagało większego szacunku. Z łatwością mogła sobie wyobrazić gromadzące się w pobliżu duchy - zmarli sprzed lat łączyli się z tymi, których ostatni raz widziała tu żywych. Na przykład Charlie: zapraszał ją do środka, tłumaczył z uśmiechem, że Azyl nie ma w sobie nic niezwykłego, ot, kupa kamieni. A potem pustkowce: jeden spalony, drugi obdarty ze skóry. Oba czekały na progu.

- Jeżeli nie ma przeszkód, przejdźmy do rzeczy - zaproponował Oscar.

Weszli i stanęli na środku mozaiki.

- Musimy trzymać się razem, kiedy ta chwila nadejdzie - ciągnął. - Nawet gdyby ci się wydawało, że nie masz się czego chwycić, będzie to tylko złudzenie. Nie chciałbym

cię zgubić po drodze. In Ovo nie jest najlepszym miejscem do włóczęgi.

- Nie zgubisz mnie - zapewniła go Jude.

Przykucnął i wygrzebał z mozaiki kilkanaście kamieni o kształcie piramidki i wielkości dwu złożonych pięści. Dopóki tkwiły na swoich miejscach, były praktycznie niewidoczne.

- Nie do końca rozumiem działanie mechanizmu, który nas przeniesie - tłumaczył, grzebiąc w posadzce. - Nie wiem, czy w ogóle ktoś go rozumie. Peccable w każdym razie twierdzi, że istnieje pewien wspólny język, na który można przełożyć każdego z nas. Działanie magii opiera się na tym właśnie przekładzie. - Mówiąc to, układał kamienie na krawędzi okręgu w pozornie przypadkowy wzór. - Kiedy duch i materia zostaną wyrażone w tym samym języku, jedno może na różne sposoby oddziaływać na drugie. Ciało i krew można przekształcić, odrzucić...

- Albo przenieść w inne miejsce?

- Właśnie.

Jude przypomniała sobie, jak wygląda pierwszy moment podróży. Ciało zwija się i składa, zdeformowane nie do rozpoznania...

- Czy to boli? - zapytała.

- Przez chwilę tak, ale nie bardzo.

- Kiedy się zaczniesz?

Oscar wstał z klęczek.

- Już się zaczęło - odparł.

W tej samej chwili poczuła ucisk w żołądku i w pęcherzu, zaparło jej dech w piersi.

- Oddychaj powoli - powiedział Oscar, kładąc jej dłoń na mostku. - Nie walcz z tym. Poddaj się. Nic złego ci się nie stanie.

Spojrzała na jego dłoń, przeniosła wzrok na otaczający ich krąg i kilka kroków dalej, gdzie za otwartymi drzwiami widniała rozświetlona słońcem trawa. Nie mogła już tam wrócić. Pociąg, do którego zgodziła się wsiąść, nabierał szybkości. Za późno na wątpliwości i wahanie. Znalazła się w pułapce.

- Wszystko jest w porządku - próbował uspokoić ją Oscar, ale wcale nie czuła się dobrze.

Żołądek bolał ją wściekle, jakby została otruta; głowa pękała z bólu; skóra świerbiła tak mocno, że żadne drapanie by nie pomogło. Jeśli Oscar czuł się podobnie, to mężnie znosił ból. Uśmiechał się jak anestezjolog.

- Już niedługo - mówił. - Wytrzymaj. Już niedługo... Przyciągnął ją do siebie. W całym ciele poczuła mrowienie, jakby zaczynał w niej padać deszcz, który zmywa osad bólu.

- Lepiej?

Odebrała to słowo bardziej jako kształt niż dźwięk.

- Tak - odparła i pocałowała go z uśmiechem. Przymknęła z rozkoszą oczy, gdy ich języki się spotkały.

Ciemność pod powiekami rozjaśniły nagle świetliste linie, przecinające mrok niczym meteoryty. Otworzyła oczy. Światła wyłyły jej z czaszki, malując blaskiem twarz Oscara. Tuzin jaskrawych barw podkreślał zmarszczki i bruzdy na jego skórze; tuzin innych wyławił z ciemności fakturę leżących pod nią kości; tuzin kolejnych odsłaniał ze szczegółami siateczkę nerwów i żył. A potem trzy warstwy mapy ciała uległy gwałtownemu uproszczeniu, zupełnie jakby umysł, który je interpretował, dokonał dosłownego przekładu i mógł wznieść się na wyższy poziom, w sferę poezji. Odpadły zbędne powtórzenia, pojawiły się kształty tak piękne i ponadczasowe, że materia, którą odzwierciedlały, mdła i nieciekawa w porównaniu z nimi, zniknęła. Jude przypomniała sobie rysunek, który pojawił się w jej umyśle, gdy pierwszy raz kochali się z Oscarem: spirala i krzywa rozkoszy odbijały się w aksamitnym mroku w głębi czaszki. Tutaj ten proces się powtarzał, z tą różnicą, że ich obrazy kreślił sam krąg, w którym stali, wzmocniony siłą kamieni i wolą podróżników.

Jakiś ruch przy drzwiach na ułamek sekundy przyciągnął jej uwagę. Otaczające ich powietrze było gotowe zatrzeć iluzję rzeczywistości i wszystko rozmazywało się jej przed oczami, ale rozpoznała kolor garnituru stojącego na progu mężczyzny. Kto, jeśli nie Dowd, ubierał się w tak absurdalne odcienie moreli? Chciała wypowiedzieć na głos jego imię. Nie słyszała, żeby jakiś dźwięk wydobył się z jej gardła, ale Oscar wyczuł jej lęk i odwrócił się ku drzwiom.

Dowd szybkim krokiem zmierzał w stronę kręgu. Nie było cienia wątpliwości co do jego zamiarów. Chciał zabrać się z nimi na wycieczkę do Drugiego Dominium. Jude

widziała ponure skutki podobnej ingerencji - tutaj, w tym właśnie miejscu - i złapała mocniej Oscara za rękę, szykując się na wstrząs.

Oscar, zamiast zaufać mocy kręgu, który mógłby sam odrzucić intruza, odwrócił się od niej i zamierzył na Dowda. Wir energii w kręgu dziesięciokrotnie wzmocnił cios. Rysunek ciała Oscara zmienił się w nieczytelny bohomaz, kolory pociemniały w mgnieniu oka. Wrócił ból; krew pociekła Jude z nosa i spływała do otwartych do krzyku ust. Skóra swędziała ją potwornie. Podrapałaby się do krwi, gdyby nie rwanie w kościach, które nie pozwalało jej się ruszyć.

Z majaczącej przed oczami plamy nie mogła wyłowić żadnego kształtu, dopóki nie mignęła jej rozmazana twarz Oscara. Krzyczał coś, przewracając się na ziemię. W każdej chwili mógł wypaść z kręgu. Mimo rozdzierającego bólu wyciągnęła do niego ramiona; nie obchodziło jej, czy trafią do Yzorderrex, czy zginą, wiedziała tylko, że muszą być razem. Złapał ją za rękę i wciągnął się z powrotem do pędzącego ekspresu. Kiedy z rozmazanej plamy wyłoniła się twarz, Jude zrozumiała swój błąd.

Wciągnęła do siebie Dowda.

Puściła go natychmiast, bardziej z odrazy niż ze złości. Był potwornie zdeformowany, krew płynęła mu z uszu, oczu i nosa. Moc odpowiedzialna za przeniesienie natychmiast zaczęła przekładać go na język podróży między dominiami. Jude nie mogła przerwać tego procesu, a wyjście z kręgu równałoby się w tej chwili samobójstwu. Wnętrze Azylu ciemniało i rozpływało się coraz szybciej, ale mignęła jej jeszcze sylwetka Oscara, który podnosił się właśnie z ziemi. Dziękowała wszystkim możliwym bóstwom opiekuńczym, że przynajmniej ocaliły mu życie. Wstał i zbliżył się do kręgu, jakby chciał ponownie zanurzyć się w jego wir. Cofnął się jednak i zasłonił twarz rękoma; musiał uznać, że ekspres mknie już zbyt szybko. Sekundę później zniknął Jude z oczu. Słońce igrające na progu przetrwało jedno mgnienie oka dłużej, ale i ono rozplynęło się w nicłość.

Teraz widziała jedynie macierz linii odzwierciedlających postać Dowda. Mogła go serdecznie nie znosić, ale z braku lepszego punktu odniesienia wpatrywała się w jego obraz. Poza tym wszelkie wrażenia zmysłowe ustały; nie wiedziała, czy unosi się w powietrzu, czy spada, nie była nawet pewna, czy oddycha - chociaż podejrzewała, że żaden z tych opisów nie odpowiada prawdzie. Stała się czystym symbolem zakodowanym

do podróży między dominiami. Lśniący obraz Dowda rysował się nie przed jej oczami, lecz bezpośrednio w umyśle, który pozostał jedyną ważną walutą na tej drodze. Nagle, jakby jej zdolność pojmowania poszerzała się gwałtownie, zaczęła rozróżniać szczegóły w otaczającej ją pustce. Oscar nazywał ją In Ovo. Ciemność In Ovo wypełniały miliony kształtów. Rozciągały się, stawały coraz cieńsze, aż rozpękały się na części. Wypływała z nich kleista maź, która sama pęczniała i pękała niczym owoc, który wyrósł z pestki posianej we wnętrzu innego owocu i karmił się jego gnijącą tkanką, a potem sam wysypywał nasiona. Ten widok napawał ją obrzydzeniem, ale nie był wcale najgorszy. Dalej pojawiły się inne istoty, przywodzące na myśl resztki z uczt kanibali, przeżute i pozbawione krwi; kretyńskie maskary, które nie zniosłyby przekładu na żadną materialną postać. Mimo że prymitywne, wyczuły obecność doskonałych, skończonych form życia i wyciągały się w ich stronę jak potępienicy na widok aniołów. Spóźniły się jednak, przybysze mknęli dalej, a ciemność zasklepiła się i odpływała w dal.

Wewnątrz świetlistego rysunku Jude widziała sylwetkę Dowda, wciąż jeszcze bezcielesną, ale z każdą chwilą coraz bardziej materialną. Znowu wrócił ból, chociaż nie dokuczał jej już tak jak na początku podróży. Nawet sprawiał radość, gdyż dowodził, że jej nerwy działają bez zarzutu. Zapewne oznaczał też, że podróż zbliża się do końca. Potwory z In Ovo prawie całkiem zniknęły, gdy poczuła na twarzy muśnięcie ciepłego powietrza. Ale dopiero niesiony łagodnym wiatrem zapach upewnił ją w przekonaniu, że Yzordderrex jest blisko - mieszanina słodczy i kwasku, którą pierwszy raz wyczuła kilka miesięcy wcześniej, w podmuchu bijącym z wnętrza Azylu.

Dowd wykrzywił twarz w uśmiechu, od którego popękała zakrzepła na niej krew. W chwilę później wybuchnął śmiechem, który odbił się echem od materializujących się wokół nich ścian piwnicy Peccable'a. Jude nie miała ochoty uczestniczyć w jego radości, ale nie mogła się opanować. Ulga, że przeżyła podróż, i czysta rozkosz, że wreszcie znalazła się w wymarzonym mieście, kazały i jej się roześmiać. Wciągnęła do płuc powietrze Drugiego Dominium.

ROZDZIAŁ 31

1

Osiem kilometrów w górę zbocza od domu, gdzie Jude i Dowd chłonęli pierwsze hausty powietrza Yzordderrex, autarcha Pojednanych Dominiów siedział w jednej z wież strażniczych i obserwował miasto, które za jego sprawą rozkwitło ponad miarę. Trzy dni wcześniej wrócił z pałacu w Kwem. Przez ten czas niemal co godzinę ktoś - najczęściej Rosengarten - przynosił mu wieści o nowych niepokojach społecznych. Do jednych dochodziło tak daleko od centrum Imajiki, że wiadomości pochodziły sprzed kilku tygodni; inne, bardziej niepokojące, wybuchały niemal tuż za murami pałacu. Pogrążony w zadumie, żuł kreauchee, narkotyk, od którego uzależnił się dobre siedemdziesiąt lat temu. Jego efekty uboczne były bardzo groźne i zupełnie nieprzewidywalne dla osób nieprzyzwyczajonych; okresy letargicznego spokoju przeplatały się z halucynacjami i gorączką seksualną. Niektórym ludziom palce rąk i nóg puchły do ogromnych rozmiarów. Autarcha, od dawna obcujący z kreauchee, nie odczuwał żadnego ujemnego wpływu; mógł się cieszyć ożywym oddziaływaniem narkotyku, nie bojąc się przykrych skutków.

Tak przynajmniej było do niedawna. Ostatnio narkotyk coraz rzadziej przynosił mu ulgę, jakby działał w zмовie z siłami, które dążyły do zniszczenia urzeczywistnionego snu autarchy - rozciągającego się w dole miasta. Medytując w Kwem, w miejscu, z którego kazał zabrać Oś, zażyczył sobie świeżej dostawy do pałacu. Po powrocie do Yzordderrex przekonał się jednak, że jego dostawcy z kesparatu Żużłowisko zostali zamordowani. Ich zabójcy należeli ponoć do niebytowców, renegackiego zakonu czcicieli Madonny. Od lat stanowili zarzewie rewolucji, ale dotychczas stwarzali tak nikłe zagrożenie, że pozwalał im istnieć ze względu na ich walory rozrywkowe. Pamflety niebytowców - pomieszanie fantazji na temat kastracji i wiejskiej teologii - śmieszyły go do łez. Kiedy ich przywódca Athanasius trafił do

więzienia, wielu odeszło na pustynię, by kontynuować swoje praktyki na tak zwanym Wybielu przy granicy Pierwszego Dominium, gdzie twarda rzeczywistość Drugiego rozpływała się i bladła. Athanasius uciekł jednak z miejsca odosobnienia i po powrocie do Yzordderrex wezwał wiernych, by sięgnęli po broń. Wyglądało na to, że zaczął od zlikwidowania handlarzy kreauchee - niby nic wielkiego, ale dobrze wiedział, jak dotkliwy zadaje cios. Bez wątpienia przedstawił go jako akt uzdrowicielski, którego dokonał na chwałę Madonny.

Autarcha wypluł grudę narkotyku i zszedł z wieży. Zagłębił się w rozległy labirynt pałacowy, kierując się ku komnatom Quaisoir; po cichu liczył na to, że uda mu się zwędzić coś z jej zapasów. Po lewej i prawej stronie otwierały się korytarze tak rozległe i długie, że ludzki głos ginął w nich bez echa. Z każdego wchodziło się do kilkunastu pokoi - pięknie urządzonej i zupełnie pustych, a czasem tak wysokich, że pod sufitem zbierały się rzadkie chmury. Kiedyś pałac sływał we wszystkich dominiach ze swej niewiarygodnej architektury, obecnie jednak wyglądał na kpinę z ogromu ambicji i osiągnięć autarchy. Zamiast tracić energię na budowę tego cudu, powinien był baczniej śledzić rozchodzące się po Imajice drgania wywołane powstaniem imperium. Analitycy twierdzili, że obecne kłopoty nie są bynajmniej następstwem ostatnich pogromów, lecz konsekwencją znacznie mniej gwałtownych zmian w strukturze dominiów. Jedną z nich - prawdopodobnie najbardziej znaczącą - było nagłe podniesienie rangi Yzordderrex i innych wielkich miast. Wszystkie oczy zwróciły się ku ich jarmarcznej chwale. Plemiona i społeczności, które dawno przestały wierzyć w duchy skał i drzew, przyjmowały nowy panteon. Setki tysięcy wieśniaków porzucali jałową ziemię ojców, by upomnieć się o cząstkę tej cudowności, a kończyli w zabitych dechami dziurach w rodzaju Vanaeph, hołubiąc swą rozpacz i zazdrość. Zdaniem analityków było to jedno ze źródeł rewolucyjnych nastrojów - rodziły się nie z ideologii, lecz z frustracji i gniewu. Inny problem polegał na tym, że niektórzy uznali, iż na anarchii można nieźle zarobić. Pojawiła się na przykład grupa nomadów - bezlitosnych bandytów, dumnych ze swojej złej reputacji - którzy zajmowali fragmenty Postnej Drogi i pobierali myto. Byli wreszcie nowobogacy, członkowie dynastii, które urosły w siłę dzięki gwałtownemu rozwojowi konsumpcji, gdy Yzordderrex rozkwitło. Początkowo często i chętnie uciekali się pod opiekuńcze skrzydła reżimu, chroniąc się przed zaborczą biedotą. Kiedy jednak okazało

się, że nie mogą liczyć na pomoc zajętego budową pałacu autarchy, zaczęli tworzyć prywatne armie, które strzegły ich rezydencji. Zaklinali się na wszystkie świętości, że są wierni imperium, co nie przeszkadzało im knuć, a teraz te knowania zaczynały przynosić owoce. Pod osłoną gotowych na wszystko wojsk baronowie ogłaszali niezależność od Yzordderrex i służb podatkowych autarchy.

Analitycy utrzymywali, iż nie ma żadnych dowodów na to, że baronowie ze sobą współpracują. Nic dziwnego - byli wśród nich neofeudaliści, neokomuniści i neoanarchiści, których nic nie mogło łączyć. Czysty przypadek zdecydował o tym, że w jednym okresie pomyśleli o buncie. A jeśli nie przypadek, to z pewnością niekorzystny układ gwiazd.

Autarcha słuchał tych argumentów jednym uchem. Na początku rządów polityka sprawiała mu pewną (niewielką, ale zawsze) przyjemność, z czasem jednak coraz mniej go interesowała. Nie czuł do niej powołania, szybko się nudził intrygami. Wyzaczył tetrarchów, którzy władali czterema Połączonymi Dominiami - w pierwszym tetrarcha rządził, naturalnie, *in absentia* - a sam mógł spokojnie zająć się przekształceniem Yzordderrex w miasto, które nie miałyby sobie równych, zwieńczone wspaniałą koroną pałacu. W rzeczywistości wybudował pomnik ku czci swoich bezcelowych wysiłków i ilekroć znajdował się pod wpływem kreauchee, kłął go w żywy kamień niczym najgorszego wroga.

Któregoś dnia, kiedy narkotyk wyjątkowo dał mu się we znaki, kazał powybić wszystkie szyby w oknach wychodzących na pustynię, a na wykładanej mozaiką posadzce rozłożyć tony nadpsutego mięsa. Nie minął dzień, gdy padlinożerne ptaki porzuciły szybowanie nad piaskami i zleciały się na ucztę na stołach i łóżach władców dominiów. Przy innej okazji polecił nazwozić z delty Noy ryb i wpuścić je do pałacowej łaźni. Dobrze karmione i pływające się w ciepłej wodzie, mnożyły się tak szybko, że po paru tygodniach mogłyby suchą stopą spacerować po ich grzbietach. Kiedy ryb naprawdę zrobiło się za dużo, godzinami obserwował skutki tego faktu: ojcobójstwo, bratobójstwo i dzieciobójstwo. Najokrutniejsza zemsta, jaką wywarł na swym dziele, miała zarazem najbardziej osobisty charakter. W wysokich komnatach, gdzie pod sufitem szybowały chmury, po kolei wystawiał sztuki, w których aktorzy niczego nie udawali - nawet śmierć była prawdziwa. Po zakończeniu ostatniego aktu komnatę zamuroywano szczelnie jak

królewski grób, autarcha zaś przenośli się do następnej. Wspaniały pałac w Yzordderrex z wolna zmieniał się w olbrzymie mauzoleum.

Pokoje, do których w tej chwili się kierował, zostały z tego procesu wyłączone. Sypialnie, łazienki, salony i kaplica Quaisoir stanowiły praktycznie odrębne państwo, którego suwerenności dawno temu obiecał nie naruszać. Wyposażyła swoje apartamenty we wszelkie możliwe luksusy i ozdobiła je zgodnie ze swym eklektycznym gustem. Przed obecnym okresem melancholii podzielał jej smak. Pokoje, w których obecnie gnieździły się drapieżne ptaki, zappełnił znakomitymi kopiami barokowych i rokokowych mebli; kazał wyłożyć ściany lustrami jak w Wersalu i pozłocić muszle w toaletach. Z czasem stracił jednak zapal do takich ekstrawagancji i widok pokojów Quaisoir przyprawiał go o mdłości. Gdyby nie nagła potrzeba, która go do nich przywiodła, uciekłby czym prędzej, przytłoczony przepychem.

Zawołał żonę po imieniu. Szedł przez salony, w których wałały się resztki wielu ostatnich posiłków, trafił do prywatnej bawialni Quaisoir - jeszcze bardziej ozdobnej od salonów, lecz równie pustej - wreszcie znalazł się w sypialni. W progu powitał go tupot bosych stóp na marmurowej posadzce. Zobaczył Concupiscentię, pokojówkę. Była jak zwykle naga, z grzbietu wyrastało jej mrowie wielobarwnych macek, zwinnych jak małpie ogony, ręce zaś miała słabe, zdeformowane i pozbawione kości. Z zielonych oczu nieustannie płynęły jej łzy, które ocierała jednym z dwóch pierzastych wachlarzy wyrastających po obu stronach twarzy.

- Gdzie Quaisoir? - spytał autarcha.

Zasłoniła się kokieteryjnie wachlarzem i zachichotała jak gejsza. Kiedyś po większej porcji kreauchee przespał się z nią i od tej pory nie przepuściła żadnej okazji, żeby z nim poflirtować.

- Nie teraz, na miłość boską! - warknął zde gustowany. - Chcę rozmawiać z żoną! Gdzie ona jest?

Concupiscentia pokręciła głową i odskoczyła przed jego pięścią. Odepchnął ją na bok i wszedł do sypialni. Jeżeli Quaisoir gdzieś trzymała choćby odrobinę kreauchee, to najprawdopodobniej właśnie tutaj, w buduarze, gdzie wylegiwała się całymi dniami, słuchając hymnów i kołysanek Concupiscentii. W komnacie pachniało jak w portowym burdelu - łóżko otulały muślinowe zasłony, pomiędzy którymi zalegały mdłe wonie

kilkunastu perfum.

- Chcę kreauchee! - powiedział. - Gdzie je znajdę?

Tym razem Concupiscentia nie tylko pokręciła głową, ale w dodatku jęknęła żałośnie.

- Gdzie?! - krzyknął. - Gdzie?!

Niedobrze mu się robiło od słodkich zapachów. Rozwścieczony, zaczął szarpać jedwabie i koronki. Służąca nie reagowała jednak, dopóki nie złapał leżącej na poduszkach Biblii i nie zagroził, że powyrywa z niej kartki.

- Nie, panie! Prosi! Ona bije, jak pan drze książka! Quaisoir bardzo lubi książka.

Rzadko zdarzało mu się słyszeć głos, uproszczony, zdeformowany angielski używany na wyspach. Wściekł się jeszcze bardziej. Wydarł parę kartek z Biblii, tylko po to, żeby pokojówka zaczęła krzyczeć. Nie zawiódł się.

- Chcę kreauchee! - powtórzył.

- Ma! Ma!

Zaprowadziła go do sąsiadującej z sypialnią olbrzymiej garderoby i zaczęła przeszukiwać stojące na toalecie złożone szkatułki. Jak skarcone dziecko uśmiechnęła się nieśmiało do odbicia autarchy w lustrze. Z najmniejszego pudełka wyjęła małą paczuszkę, którą wyrwał jej z ręki. Po zapachu, który uderzył go w nozdrza, poznał, że towar jest pierwszej jakości. Bez zastanowienia wepchnął sobie całą grudkę do ust.

- Dobra dziewczynka - pochwalił Concupiscentię. - Dobra dziewczynka. Wiesz, skąd pani to wzięła?

Concupiscentia pokręciła głową.

- Sama chodzi do kesarat, mnóstwo noc. Czasem przebiera się żebraczka, czasem...

- Za dziwkę.

- Nie, nie, Quaisoir nie dziwka.

- Czy dlatego jej nie ma? Kurwi się gdzieś na mieście? Chyba trochę za wcześnie... A może po południu jest tańsza?

Kreauchee było świetne. Błyskawicznie szło do głowy i melancholia ustępowała miejsca euforii. Mimo że od czterech dziesięcioleci nie sypiał z Quaisoir (i nie miał ochoty tego robić), świadomość jej niewierności potrafiła go czasem zasmucić. Na

szczęście narkotyk tłumił ból. Mogła sypiać z pięćdziesięcioma facetami dziennie i nie oddalała się od niego nawet na krok. To, czy czuli do siebie pogardę, czy targała nimi namiętność, nie miało znaczenia. Historia sprawiła, że stali się nierozłączni i dopiero apokalipsa mogła ich rozdzielić.

- Nie kurwi - zapiszczała Concupiscentia, zdecydowana bronić honoru pani. -
Idzie Żużłowisko.

- Do Żużłowiska? Po co?

- Egzekucje - odparła Concupiscentia, idealnie wymawiając trudne słowo, przyswojone bezpośrednio od Quaisoir.

- Egzekucje? - powtórzył autarcha. Delikatny niepokój zmaćił wywołaną kreauchee błogość. - Jakie egzekucje?

Concupiscentia pokręciła głową.

- Nie wie. Egzekucje. Dużo. Modli się.

- Z pewnością.

- My wszyscy modli się za dusze. One idzie czyste do Niewidziany...

Dalej nastąpiło jeszcze kilka wyuczonych po papuziemu zwrotów - chrześcijański bełkot był równie obrzydliwy jak wystrój tych wnętrz. I tak jak wystrój wnętrz, był dziełem Quaisoir. Dopiero przed kilkoma miesiącami przyjęła do serca Syna Smutku, ale od razu zaczęła się uważać za jego wybrankę.

Kolejny dowód niewierności z jej strony, mniej syfilityczny, lecz równie żałosny jak setki poprzednich.

Autarcha zostawił trajkoczącą Concupiscentię i kazał strażnikowi znaleźć Rosengartena. Potrzebował - i to pilnie - odpowiedzi na kilka ważnych pytań. W przeciwnym razie nie tylko w Żużłowisku polecą głowy.

2

Na Postnej Drodze Gentle doszedł do wniosku, że Huzzah wcale nie jest dla nich nieznośnym ciężarem, lecz prawdziwym skarbem. Gdyby nie ona, bogini Tishalulle najpewniej nie zechciałyby interweniować; podróż autostopem również przysporzyłyby

im więcej kłopotów bez milutkiej dziewczynki, która machała na przejeżdżające pojazdy. Mimo długich miesięcy spędzonych w celi przytułku (a może właśnie dzięki nim) Huzzah chętnie zagadywała każdego napotkanego wędrowca. Z odpowiedzi na jej niewinne pytania Pie i Gentle dowiedzieli się znacznie więcej, niż gdyby próbowali sami wybadać sytuację. Już na samej grobli przed miastem Huzzah zaczepiła kobietę, która wyliczyła jej wszystkie kesparaty, pokazując od razu te widoczne z miejsca, gdzie się zatrzymali. Gentle nie potrafił zapamiętać nazw i wskazówek, ale zauważył, że Pie słucha pilnie. Zanim przejdą przez rzekę, nauczy się wszystkiego na pamięć, pomyślał.

- Cudownie - mistyf pochwalił Huzzah, gdy kobieta się oddaliła. - Nie byłem pewien, czy trafię z powrotem do zajmowanego przez mój lud kesparatu, ale teraz to będzie łatwe.

- Do góry przez Oke T'Noon i Karmelową Kuchnię. Tam robi się słodycze, które trafiają na stół autarchy - powtórzyła Huzzah, jakby czytała z tablicy. - Potem wzdłuż muru Karmelowej Kuchni do ulicy Dymnej i Wiatyku. Stamtąd będzie widać bramę.

- Jak ty to wszystko spamiętałaś? - zdziwił się Gentle, na co Huzzah z wyższością spytała, jak mógł cokolwiek zapomnieć.

- Nie wolno nam zabłądzić - dodała.

- Nie zabłądzimy - zapewnił ją Pie. - Ludzie z mojego kesparatu pomogą nam znaleźć twoich dziadków.

- Nawet jeśli nie pomogą, nic się nie stanie. - Huzzah z poważnym wyrazem twarzy spojrzała na Gentle'a. - Przyszłam z wami do Pierwszego Dominium i dziadkowie mnie nie interesują. Chciałabym zobaczyć Niewidzianego.

- Skąd wiesz, że go szukamy?

- Słyszałam, jak o nim rozmawialiście. Mam rację, prawda? Nie martwcie się, wcale się nie boję. Boginię już widzieliśmy, prawda? On będzie taki sam, tylko brzydszy.

Gentle uśmieł się serdecznie z tego rzeczowego stwierdzenia.

- Jesteś prawdziwym aniołkiem, wiesz? - Ukucnęła i przytuliła małą.

Odkąd wyruszyli w drogę, przybrała parę kilo na wadze i umiała odwzajemnić się całkiem mocnym uściskiem.

- Jestem głodna - szepnęła mu do ucha.

- No to zaraz znajdziemy coś do jedzenia. Nie możemy pozwolić, żeby nasz

aniołek głodował.

Szli pod górę stromymi uliczkami Oke T'Noon, aż przeredziły się tłumy podróżnych z grobli. Właściwie w dowolnej chwili mogli zatrzymać się na śniadanie - nie brakowało ani straganów z pieczoną rybą, ani kafejek jakby żywcem przeniesionych z paryskich ulic, tyle że tak egzotyczną klientelą nie mogłoby się pochwalić nawet to słynące z egzotyki miasto. Dziwaczność niektórych gatunków nie robiła już na Gentle'u wrażenia. Rozpoznawał oethaki i heraty, odległych krewnych matki Splendid i Hammeryocka, dostrzegł kilku osobników przypominających jednookiego krupiera z Attaboy. Na każdego, którego rysy wydawały mu się znajome, przypadało jednak dwóch lub trzech, których widział pierwszy raz w życiu. Podobnie jak w Vanaeph, Pie ostrzegł go, że nie należy zbyt natrętnie przyglądać się obcym.

Wreszcie znaleźli sobie malutką knajpkę, z której dolatywały smakowite zapachy. Gentle usiadł przy oknie, skąd mógł wyglądać na ulicę, nie zwracając na siebie powszechnej uwagi.

- Miałem kiedyś przyjaciela, nazywał się Klein - powiedział, gdy zaczęli jeść. - Jeszcze w Piątym Dominium. Lubił zadawać ludziom pytanie, co by zrobili, gdyby wiedzieli, że zostały im jeszcze tylko trzy dni życia.

- Dlaczego trzy? - zainteresowała się Huzzah.

- Nie wiem. To jedna z tych liczb, których chętnie używamy.

- W każdym dziele jest miejsce tylko dla trzech postaci - zauważył mistyf. - Inne mogą być wyłącznie... - Zawahał się. - ...sługami, kimś tam i kimś tam. To cytata z Pluthero Quexosa.

- A kto to jest?

- Nieważne.

- Na czym to ja skończyłem?

- Na Kleinie - odpowiedziała Huzzah.

- Kiedy mnie o to zapytał, odpowiedziałem: pojechałbym do Nowego Jorku, bo tam człowiek ma największą szansę zrealizować najbardziej szalone marzenia. Ale teraz, gdy zobaczyłem Yzordderrex...

- Niewiele go widziałeś - zauważyła Huzzah.

- Ale mi wystarczy, aniołku. Jeżeli jeszcze kiedyś mnie o to zapyta, powiem:

chciałbym umrzeć w Yzordderrex.

- Jedząc śniadanie z Pie i Huzzah.
- Tak byłoby idealnie.
- Idealnie - powtórzyła, bezbłędnie kopiując jego intonację.
- Czy jest coś, czego bym tu nie znalazł, choćbym bardzo się starał?
- Trochę ciszy i spokoju - odparł Pie.

Rzeczywiście, nawet w restauracyjce dobiegający z zewnątrz hałas dawał się we znaki.

- W pałacu na pewno są jakieś miłe, ciche dziedzińce.
- A idziemy do pałacu? - zaciekała się dziewczynka.
- Posłuchaj - wtrącił Pie - przede wszystkim ten cholerny pan Zacharias nie ma

zielonego pojęcia, o czym mówi...

- Licz się ze słowami, Pie - upomniął go Gentle.
- ...a poza tym przyszliśmy tu, żeby znaleźć twoich dziadków. To jest

najważniejsze. Mam rację, panie Zacharias?

- Co będzie, jeśli ich nie znajdziemy? - spytała Huzzah.
- Znajdziemy. Moi pobratymcy znają to miasto na wylot.
- Czy to możliwe? - zapytał Gentle. - Bo ja jakoś w to wątpię.
- Dopij kawę. Później sami ci udowodnią, że się mylisz.

Z pełnymi brzuchami wrócili na ulicę i ruszyli zaplanowaną trasą - do Karmelowej Kuchni, potem wzdłuż muru do Dymnej.

Wskazówki okazały się trochę nieprecyzyjne. Wąska ulica Dymna nie doprowadziła ich do Wiatyku, lecz w głąb labiryntu domków tak do siebie podobnych, że przypominały koszary. W błocie bawiły się dzieci, a wśród nich dziki ragem, niefortunna krzyżówka świni z psem. W Mai-Ké podawano ragemy z różną, tu najwyraźniej traktowano je jak domowe zwierzątka. Coś - nie wiedzieli: błoto, dzieci czy ragem - śmierdziało paskudnie i odór zwabił stado zarzi.

- Chyba przegapiliśmy jakiś skręt - odezwał się mistyf. - Najlepiej będzie...

Przerwał w pół zdania, gdyż w pobliżu rozległy się krzyki. Dzieci natychmiast zerwały się z blocka i pobiegły szukać źródła hałasu. Wysoki, przenikliwy wrzask narastał i przycichał jak okrzyk bojowy. Zanim Pie lub Gentle zdążyli zareagować,

Huzzah pobiegła za dziećmi, klucząc między kałużami. Gentle spojrzął na mistyfa, który wzruszył ramionami, i obaj ruszyli za dziewczynką. Wyszli na szeroką, ruchliwą ulicę, która błyskawicznie pustoszała. Piesi i kierowcy na gwałt szukali schronienia przed czymś, co na złamanie karku pędziło z góry.

Najpierw zobaczyli krzykacza. Mężczyzna w zbroi, dwukrotnie przewyższający wzrostem Gentle'a, trzymał w obu rękach długie szkarłatne proporce, które powiewały za nim, i chociaż biegł szybko, nie przeszkadzało mu to krzyczyć pełną piersią. Po piętach deptał mu oddział opancerzonych żołnierzy, z których każdy miał przynajmniej dwa i pół metra wzrostu, a za nimi jechał dziwny pojazd, zaprojektowany chyba specjalnie po to, by pokonywanie stromizn Yzordderrex jak najmniej dawało się we znaki pasażerom. Koła miał wysokości poprzedzającego go herolda, sam zaś zwieszał się nisko pomiędzy nimi, smukły i ciemny, o jeszcze ciemniejszych oknach. W szprychy zaplątała się zbłąkana mewa, która bezradnie trzepotała zakrwawionymi skrzydłami. Jej pisk brzmiał żałośnie, ale doskonale uzupełniał kakofonię kół, silnika i wrzasków herolda.

Gdy pojazd przejeżdżał obok nich, Gentle złapał Huzzah za rękę, chociaż nie groziło jej rozjechanie.

- Kto to był? - zapytała.

- Nie wiem.

- Quaisoir - wyjaśniła kobieta stojąca w drzwiach pobliskiego domu. - Żona autarchy. W Żużłowisku aresztowano następnych niebytowców.

Przesunęła palcami od jednego oka do drugiego i opuściła dłoń do ust. Wskazującym i serdecznym palcem ścisnęła się za nos środkowym zaś sięgnęła dolnej wargi - a wszystko to z wprawą kogoś, kto czyni taki znak wiele razy dziennie. Odeszła, trzymając się blisko ściany.

- Athanasius był chyba niebytowcem? - powiedział Gentle. - Powinniśmy zobaczyć, co się tam dzieje.

- Trochę za dużo ludzi - zauważył Pie.

- Będziemy się trzymać z tyłu. Chcę zobaczyć wroga w akcji, Nie czekając na sprzeciw Pie, Gentle wziął Huzzah za rękę i ruszył za orszakiem Quaisoir. Łatwo było go śledzić, bo wszędzie twarze pojawiały się w oknach i drzwiach, niczym polipy koralu, które otwierają się po muśnięciu przez rekina - ostrożne gotowe w każdej chwili znów się

schować, gdyby cień drapieżnika mignął w pobliżu. Tylko kilkoro dzieciaków, nienawykłych jeszcze do strachu, wyszło - tak jak troje przybyszów - na sam środek ulicy, gdzie światło komety było najjaśniejsze. O dzieci szybko upomnieli się dorośli, ściągając je bliżej względnie bezpiecznych bram i schodów.

Kiedy we troje schodzili ze wzgórza, ujrzeli ocean i widniejący między budynkami port. Domy były w tej okolicy znacznie starsze niż w Oke T'Noon czy wyżej, w Karmelowej Kuchni, a powietrze czyste i orzeźwiające. Szli różnym krokiem. Dość szybko domy ustąpiły miejsca dkom, magazynom, dźwigom i silosom, ale tłok panował tu nie mniejszy niż w dzielnicach mieszkalnych. W przeciwieństwie do mieszkańców wyżej położonych kesparatów robotnicy portowi nie dali się łatwo zastraszyć i porzuciwszy pracę, pędzili na wyścigi, by zobaczyć, co się dzieje. Stanowili znacznie bardziej jednolitą grupę niż miejski tłum. Przeważały wśród nich krzyżówki homo sapiens z oethacami - barczyści mężczyźni o dzikim wyglądzie, którzy w odpowiednio liczonym oddziale z powodzeniem stawiliby czoło żołnierzom Quaisoir. Gentle wziął Huzzah na barana, żeby jej nie stratowali. Niektórzy uśmiechali się do małej, inni przepuszczali ją i jej wierzchowca, by mógł zająć lepsze miejsce. Zanim znów ujrzeli orszak Quaisoir, byli dobrze ukryci w tłumie.

Część eskorty oddelegowano do pilnowania porządku. Żołnierze bardzo się starali nie dopuszczać widzów zbyt blisko miejsca egzekucji, ale gapie mieli ogromną przewagę liczebną. Tłum spychał kordon do tyłu, zacieśniając jego pierścień wokół znajdującego się trzydzieści metrów dalej magazynu, który niedawno jeszcze musiał być oblężony. W ścianach ziały dziury po kulach, z okien na parterze buchały kłęby dymu. Armia oblężnicza (żołnierze nosili nie ozdobne stroje gwardii Quaisoir, lecz jednobarwne mundury znane Gentle'owi z L'Himby) wynosiła ze środka ciała. Z okien pierwszego piętra wyrzucali trupy - i rannych - prosto na ulicę, na krwawy stos. Gentle przypomniał sobie Beatrix. Czyżby kurhany z ciał były jednym ze znaków firmowych autarchy?

- Nie powinnaś tego oglądać, aniołku - powiedział, próbując postawić Huzzah na ziemi, dziewczynka wczepiła się jednak z całej siły w jego włosy.

- Chcę zobaczyć. Z tatą oglądałam takie sceny mnóstwo razy.

- Tylko nie zwymiotuj mi na głowę - ostrzegł ją Gentle.

- Nie martw się - odparła urażona.

Żołnierze pastwili się nad ocalałymi buntownikami. Jednego wyciągnęli z budynku i skopali, stojąc obok pojazdu Quaisoir, który miał zamknięte wszystkie okna i drzwi. Inny dzielnie bronił się przed pchnięciami bagnatów, klnąc otaczających go prześladowców. Wszyscy znieruchomieli nagle, gdy na dachu budynku pojawił się mężczyzna w samej tylko przybrudzonej bieliźnie. Rozłożył ręce, jak człowiek gotowy na męczeńską śmierć, i zaczął wykrzykiwać coś pod adresem zgromadzonych na ulicy żołnierzy.

- Athanasius! - mruknął zdumiony Pie.

Gentle miał słabszy wzrok i musiał zmrużyć oczy. Mistyf się nie mylił, rzeczywiście był to ojciec Athanasius. Włosy i brodę miał dłuższe niż na wyspie, a ręce, twarz i bok całe we krwi.

- Co on tam robi, do licha? - zdziwił się Gentle. - Kazanie wygłasza?

Athanasius nie kierował apelu wyłącznie do żołnierzy i kulących się na bruku ofiar. Kilka razy podnosił głowę i krzyczał coś do tłumu, wiatr jednak skutecznie zagłuszał jego oskarżenia, modły czy wezwania do walki. Obraz bez dźwięku wyglądał nieco absurdalnie.

Żołnierze wzięli Athanasiusa na cel, lecz zanim któryś zdążył strzelić, pierwszy z jeńców, skopany i rzucony na kolana przed powozem Quaisoir, zdołał się uwolnić. Athanasius odwrócił uwagę strażników, którzy zareagowali z opóźnieniem, gdy więzień biegł już w stronę tłumu. Nie wybrał najkrótszej drogi ucieczki, ale pozornie najbezpieczniejszą. Robotnicy zaczęli się rozstępować, żeby przyjąć go w swoje szeregi. Żołnierze już mierzyli w ich stronę. Gdy tylko Gentle zdał sobie sprawę, że zamierzają oddać salwę w tłum, przykucnął i wrzasnął na Huzzah, żeby zsiadła mu z ramion. Tym razem nie protestowała. Pierwsze strzały rozległy się, zanim jeszcze zeskoczyła na ziemię. Gentle podniósł wzrok i pomiędzy sylwetkami robotników dostrzegł Athanasiusa, który nagle upadł i zniknął za murem.

- Głupek - mruknął pod nosem. Wyciągnął rękę, żeby zgarnąć Huzzah i uciec z nią, ale druga salwa osadziła go w miejscu.

Pocisk trafił stojącego metr dalej robotnika, który padł jak ścięte drzewo. Gentle wstał z kłęczek, rozglądając się za mistyfm. Uciekający niebytowiec również dostał kulę, ale brnął naprzód. Ludzie w tłumie wpadli w panikę. Jedni uciekali na oślep, inni

dumnie stali w miejscu, kilku rzuciło się na pomoc postrzelonemu dokerowi.

Niebytowiec prawdopodobnie nic z tego nie zauważył. Niosła go jeszcze siła rozpędu, ale twarz - młodą, bez zarostu - miał całkiem bez wyrazu, oczy szkliste i niewidzące. Poruszał ustami, jakby chciał wypowiedzieć jeszcze jedno, ostatnie słowo, lecz strzelający z dołu ulicy snajper nie dał mu tej szansy. Druga kula trafiła niebytowca w kark i wyszła z przodu, rozszarpując gardło ozdobione trzema cienkimi liniami tatuażu, z których jedna biegła przez środek jabłka Adama. Kilku ludzi rozstało się i ciało uderzyło o bruk metr od Gentle'a. Drgało jeszcze. Ręce przez chwilę wyciągały się w stronę Gentle'a; lewa chybiła celu, ale prawa miała dość siły, żeby musnąć jego but.

Gdzieś blisko rozległ się głos Pie. Mistyf przekonywał, że powinni zniknąć czym prędzej, ale Gentle nie mógł tak po prostu zostawić umierającego człowieka. Chciał się pochylić i chwycić go za rękę, ale się spóźnił. Pozbawione siły ramię osunęło się po jego stopie na ziemię.

- Możemy już iść? - zapytał Pie.

Gentle oderwał wzrok od trupa. Scena, która się przy nim rozegrała, ściągnęła uwagę gapiów. Dokerzy przyglądali mu się z niepokojącym wyczekiwaniem, zdumieniem i szacunkiem, jakby spodziewali się, że zaraz wygłosi jakąś mowę. Nie miał jednak nic do powiedzenia. Rozłożył bezradnie ręce. Przyglądali mu się natarczywie, aż zaczął się bać, że go zlinczują, jeśli wciąż będzie milczał. Na szczęście padły kolejne strzały i gapie przestali się w niego wpatrywać. Potrząsali głowami, jakby huk karabinów wyrwał ich z transu. Drugiego z jeńców rozstrzelano pod ścianą magazynu, a potem żołnierze strzelali w stertę ciał na ulicy, by uciszyć rannego, który się w niej uchowal. Pojawili się też na dachu - zapewne chcieli zrzucić na dół zwłoki Athanasiusa, ale nie dana im była ta satysfakcja. Athanasius albo tylko udał, że go trafili, albo przeżył niezbyt celny strzał i korzystając z zamieszania, odczołgał się w bezpieczne miejsce. W każdym razie jego prześladowcy zeszli na dół z pustymi rękoma.

Trzej spośród żołnierzy z kordonu, którzy rozbiegli się, gdy ich kompani otworzyli ogień do tłumu, wróciło po ciało uciekiniera. Napotkali silny bierny opór - robotnicy nie chcieli usunąć się z drogi, poszturchiwali ich i popychali. Żołnierze musieli sobie torować drogę uderzeniami bagnatów i kolb. Gentle miał dość czasu, żeby zejść im z oczu.

Zdażył też spojrzeć przez ramię ponad głowy dokerów. Drzwi pojazdu Quaisoir

były otwarte. Gwardia przyboczna utworzyła przy nich żywą tarczę i królowa wyszła wreszcie na ulicę. Gentle zwlekał z ucieczką, ciekaw, jak wygląda małżonka najokrutniejszego tyrana Imajiki. Jakie piętno odcisnęło na niej obcowanie ze złem.

Kiedy wreszcie ją zobaczył, mimo że z daleka, zaparło mu dech w piersi. Była człowiekiem, piękną kobietą. Nie byle jaką piękną kobietą. Miał przed sobą Judith.

Pie złapał go za ramię i próbował odciągnąć, ale Gentle stał jak wmurowany w ziemię.

- Spójrz na nią, Pie! Tylko spójrz! Na miłość boską, Pie!

Mistyf zerknął na kobietę.

- To Judith! - dodał Gentle.

- Niemożliwe.

- Możliwe! Co ty, ślepy jesteś?! To jest Judith!

Jego podniesiony głos był dla gniewu robotników niczym iskra na suche wióry. W mgnieniu oka rozpętało się piekło, w którego środku znaleźli się trzej żołnierze wysłani po zwłoki młodego uciekiniera. Jeden upadł po ciosie w głowę, drugi próbował się wycofać, strzelając na oślep w tłum. Poszły w ruch noże i maczety. Bezbronny tłum przeobraził się w armię, która zgładziła pierwszych trzech wrogów. W zamieszaniu Gentle stracił Judith z oczu i nie pozostało mu nic innego, jak uciekać razem z Pie, bardziej przez wzgląd na Huzzah niż na własne bezpieczeństwo. Czuł się dziwnie nietykalny.

- To była Judith, Pie - powtórzył, gdy oddalili się na tyle, że strzały i krzyki nie zagłuszały normalnej rozmowy.

Podeksycytowana Huzzah, która cały czas trzymała się blisko niego, pociągnęła go za rękę.

- Kto to jest Judith? - zapytała.

- Nasza znajoma.

- Jak to możliwe? - Głos mistyfa brzmiał niepewnie i chrapliwie. - Sam pomyśl i mi odpowiedz. Jak to możliwe, żeby to była Judith? Słucham.

- Nie wiem, ale wierzę w to, co widzę.

- Została w Piątym Dominium, Gentle.

- Jeżeli mnie udało się tu dotrzeć, to czemu nie jej?

- I co, w dwa miesiące awansowała na żonę autarchy? Nie uważasz, że to byłaby naprawdę błyskawiczna kariera?

Od strony magazynu rozbrzmiała nowa kanonada. Odpowiedział jej gardłowy, niski ryk, od którego wibrował bruk pod stopami. Gentle przystanął i odwrócił się w stronę portu.

- Zanosi się na rewolucję.

- Rewolucja już się chyba zaczęła - odparł Pie.

- Zabiją Judith. - Gentle zawrócił i ruszył w dół zbocza.

- Dokąd się wybierasz, do ciężkiej cholery?!

- Idę z tobą! - pisnęła Huzzah, ale mistyf w porę złapał ją za rękę.

- Nigdzie nie idziesz. Chyba że do dziadków. Posłuchaj mnie, Gentle. To nie jest Judith.

- No to jej sobowtór - odparł Gentle, starając się myśleć rozsądnie. - Jej odbicie, częśćka jej natury, która istnieje tu, w Yzordderrex.

Pie milczał, jakby czekał na rozwinięcie tej teorii.

- Może ludzie potrafią być w dwóch miejscach naraz - dodał zmieszany Gentle i skrzywił się. - Wiem, że to była ona, i nie zmienię zdania. Idźcie we dwójkę do kesparatu i tam na mnie czekajcie. Przez ten czas ja...

Znów rozległ się okrzyk zapowiadający przejazd Quaisoir. Tym razem brzmiał piskliwie i zaraz zagłuszyły go wiwaty.

- To brzmi jak sygnał do odwrotu - zauważył Pie.

Zaraz okazało się, że miał rację. Ulicą jechał pojazd królowej w otoczeniu żałosnych resztek orszaku. Mieli dość czasu, żeby zejść mu z drogi, gdyż dudniący pojazd posuwał się pod górę znacznie wolniej niż w dół - nie tylko ze względu na stromiznę, ale także z powodu stanu towarzyszących mu żołnierzy, którzy broniąc go przed atakiem, odnieśli poważne rany.

- Będzie coraz więcej ataków odwetowych - dodał mistyf.

Gentle mruknął coś na znak zgody, patrząc w ślad za wozem.

- Muszę się z nią zobaczyć - stwierdził.

- To nie będzie łatwe.

- Ze mną się spotka. Jeżeli ja ją rozpoznałem, to i ona mnie pozna. Założę się o

każde pieniądze.

Pie nie przyjął zakładu, lecz spytał:

- Co teraz?

- Idziemy do twojego kesparatu, skąd wysyłamy ludzi na poszukiwanie rodziny Huzzah. A potem pójdziemy na górę. - Gentle ruchem głowy wskazał pałac. - Przyjrzymy się Quaisoir z bliska. Mam do niej kilka pytań.

3

Wiatr zmienił kierunek, nie niósł już ożywczego oceanicznego powietrza, lecz upał znad pustyni. Dla mieszkańców miasta jego kaprysy nie stanowiły zaskoczenia, toteż przy pierwszych oznakach zmian rozpoczęli mechaniczne, a przez to niemal komiczne przygotowania. Zabierali ze sznurków pranie i kwiaty doniczkowe z parapetów; ragemy i koty porzucały ciepłe, nasłonecznione legowiska i znikwały w domach; markizy zwijano, zatrzaśkiwały się okiennice. W kilka minut ulica opustoszała.

- Znam tutejsze burze piaskowe - stwierdził Pie. - Są paskudne. Nie powinniśmy dać się im złapać na ulicy.

Gentle poradził mu, żeby nie martwił się bez potrzeby. Wziął Huzzah na barana i dziarsko szedł dalej. Wiatr bezlitośnie smagał ulice. Na szczęście chwilę wcześniej zapytali, jak powinni dalej iść, a zagadnięty sklepikarz najwidoczniej znał okolicę. Wiatr śmierdział jak pierdnięcie i oprócz otumaniającego żaru niósł ogromne masy piasku, ale przynajmniej na ulicach panował spokój. Widywali tylko przestępców, wariatów i bezdomnych, zresztą sami się do tych kategorii zaliczali. Bez przeszkód dotarli do Wiatyku, skąd mistyf umiał już trafić dalej. Mniej więcej dwie godziny po wyjściu z portu znaleźli się w kesparacie Eurhetemeców. Wiatr słabł, oni również, ale Pie niemal śpiewał z radości, gdy oznajmił:

- To tutaj. Tu się urodziłem.

Kesparat był obwiedziony murem, lecz bramy nie zamknięto. Jej skrzydła kołysały się na wietrze.

- Prowadź - rzekł Gentle do mistyfa, stawiając Huzzah na ziemi.

Pie rozchylił skrzydła wrót i weszli na uliczki. Wiatr sypał im piaskiem pod nogi. Główna ulica biegła pod górę w kierunku pałacu, jak prawie wszystkie ulice w Yzordderrex, ale stojące przy niej domy wyglądały zupełnie inaczej niż w innych częściach miasta. Stały osobno, były wysokie i wysmagane piaskiem, każdy miał pionowe okno, które zaczynało się nad wejściem i ciągnęło aż po szczyt budynku. Miały czterospadowe dachy z okapami, co upodabniało okolicę do lasu skamieniałych drzew. Wzdłuż ulicy rosły prawdziwe drzewa. Ich gałęzie kołysały się jeszcze w zamierających podmuchach jak morszczyń na falach przypiływu. Burze nie mogły zaszkodzić potężnym konarom i małym, białym, przycupniętym na nich kwiatkom.

Niepewny wyraz twarzy Pie najlepiej świadczył o tym, ile uczuć zмага się w jego duszy, gdy po tylu latach wrócił do miejsca swych narodzin. Obdarzony krótką pamięcią Gentle nigdy nie dźwigał podobnego brzemienia. Nie pamiętał dziecięcych zabaw, Bożych Narodzeń, kołysanek, dlatego też próbując zrozumieć mistyfa, musiał zaufać swojemu intelektowi.

- Dom moich rodziców stał między chianculą... - Pie wskazał na prawo, gdzie unoszący się w powietrzu piasek wciąż zasłaniał widok - ...a hospicjum. - Tu mistyf pokazał biały budynek po lewej.

- To chyba gdzieś niedaleko - zauważył Gentle.

- Chyba tak... - Pie wyraźnie się zmartwił, że pamięć płata mu figle.

- Może kogoś zapytamy? - zaproponowała Huzzah.

Pie zapukał do drzwi najbliższego domu. Kiedy nikt mu nie odpowiedział, przeszedł do następnych, ale i ten dom musiał być pusty. Wyczuwając zaniepokojenie mistyfa, Gentle z Huzzah razem z nim stanęli przed drzwiami trzeciego budynku. Wiatr osłabł na tyle, że cisza wydawała się jeszcze głębsza niż przed chwilą.

- Tu nikogo nie ma - stwierdził Pie.

Gentle zdawał sobie sprawę, że ma na myśli nie tylko opustoszałe domy, ale całą wymarłą okolicę. Burza ustała, ludzie powinni zacząć odgarniać piach sprzed drzwi i sprawdzać, czy nie osadziło się go za dużo na dachach. Ale nikogo nie widzieli. Piękne, precyzyjnie wytyczone ulice były całkiem puste.

- Może wszyscy zebrali się w jakimś jednym miejscu? - podsunął Gentle. - Macie tu jakąś salę zgromadzeń? Nie wiem... Kościół? Senat?

- Chiancula pełni podobną rolę.

Pie wskazał cztery bladożółte kopyły stojące w zagajniku cyprysokształtnych drzew o liściach w kolorze pruskiego błękitu. Nad nimi krążyły ptaki.

- Do czego służy chiancula?

- Ach, chiancula! - zawołał Pie pozornie beztroskim tonem. - Kiedy byłem młody, występował tam cyrk.

- Nie wiedziałem, że wywodzisz się z rodu cyrkowców.

- To nie był taki cyrk jak w Piątym Dominium. Pomagał nam nie zapomnieć o dominium, z którego zostaliśmy wygnani.

- Bez kłownów i kucyków?

- Bez kłownów i kucyków - przytaknął Pie i nic więcej nie dało się z niego wyciągnąć.

Dopiero kiedy zbliżyli się do chianculi, mogli docenić jej rozmiary - i rozmiary otaczających ją drzew. Od ziemi do szczytu największej kopyły Gentle naliczył pięć kondygnacji. Ptaki zakończyły rundę honorową wokół kesparatu i znów obsiadały drzewa, trajkocząc jak gwarki, które ktoś nauczył japońskiego. Na chwilę przyciągnęły uwagę Gentle'a, ale Pie zaraz przywołał go do porządku:

- Nie wszyscy pomarli - powiedział.

Spomiędzy drzew wyszło czterech krewniaków mistyfa. Wyglądali jak Murzyni odziani w płachty niebarwionego płótna, które przytrzymywali w zębach, zasłaniając w ten sposób dół twarzy. Przypominali pustynnych nomadów. Ani strój, ani sposób poruszania się nie pozwalały domyślić się ich płci, ale widać było, że są gotowi na spotkanie z intruzami, bo każdy trzymał w rękach metrowej długości srebrny pręt.

- Pod żadnym pozorem nie odzywaj się i stój bez ruchu - ostrzegł Gentle'a mistyf, gdy Eurhetemecowie zbliżyli się na dziesięć metrów.

- Dlaczego?

- To nie jest komitet powitalny.

- A co?

- Pluton egzekucyjny.

Po tych słowach mistyf podniósł ręce na wysokość piersi, dłońmi na zewnątrz, i - łamiąc własny zakaz - zrobił krok w przód i coś powiedział. Nie mówił po angielsku, ale

w jego słowach brzmiała orientalna śpiewność jak w świergocie ptaków. Może one naprawdę znały tutejszych mieszkańców?

Jeden z Eurhetemeców wypuścił zawój z ust. Była to kobieta w średnim wieku, bardziej chyba zdumiona niż zła. Słuchając Pie, mruknęła coś do towarzysza po prawej stronie, ale on tylko pokręcił głową w odpowiedzi. Nie zatrzymali się, lecz cały czas zbliżali do mówiącego mistyfa. Dopiero gdy Gentle wyłowił w jego słowach znajome sylaby „Pie'oh'pah", kobieta kazała im stanąć. Opadły dwie dalsze zasłony. Tym razem oczom przybyszów ukazały się męskie twarze o delikatnych rysach. Jeden z Eurhetemeców miał krótki wąsik, ale nawet po nim znać było ślad płciowej dwuznaczności, która w pełni rozkwitła u mistyfa. Bez dalszego rozkazu ze strony kobiety drugi z mężczyzn puścił jedną ręką metalowy pręt, który zafalował na całej długości, jakby był zrobiony nie ze stali, lecz z jedwabiu. Mężczyzna podniósł go do ust, dotknął nim języka i srebrzysty materiał spłynął mu z ust i palców w luźnych splotach. Marszczył się i trzepotał, ale nadal lśnił jak metal.

Gentle nie wiedział, czy jest to gest przyjazny, czy wrogi, ale Pie uklękł i dał mu na migi znać, żeby zrobili z Huzzah to samo. Dziewczynka zerknęła ponuro na Gentle'a, szukając u niego potwierdzenia. Wzruszył ramionami i skinął głową. Uklęknęli, chociaż musiał przyznać, że w obliczu plutonu egzekucyjnego była to skrajna głupota.

- Uważaj - szepnął do Huzzah. - Może będzie trzeba uciekać...

Mężczyzna z wąsami przemówił do Pie w tym samym dziwnym języku. Nic w jego głosie ani sposobie mówienia nie wskazywało na to, żeby im groził, chociaż Gentle zdawał sobie sprawę, że może się mylić. Sam fakt, że rozmawiali, przynosił mu jednak ulgę. W pewnym momencie także czwarta zasłona opadła. Ukrywała się pod nią młoda, ale mniej sympatyczna kobieta, która wtrąciła się do rozmowy, przemawiając pełnym napięcia głosem i wymachując srebrzystą wstążką dosłownie centymetry od pochylonej głowy Pie. Nie można już było mieć wątpliwości, że jest to zabójcza broń. Spadała ze świstem i z buczeniem wznosiła się w górę, trzepocząc z pozoru przypadkowo, lecz kobieta w pełni nad nią panowała. Zapewne padł rozkaz wstania, bo Pie podniósł się z klęczek i spojrzał znacząco na Gentle'a i Huzzah.

- Zabiją nas? - spytała Huzzah.

- Nie. - Gentle wziął ją za rękę. - Gdyby spróbowali, mam dla nich w płucach

niespodziankę.

- Gentle, proszę cię... - odezwał się Pie. - Nawet o tym...

Przywołany do porządku przez starszą kobietę umilkł i odpowiedział na kolejne pytanie, podając imiona towarzyszy: Huzzah Aping i John Furie Zacharias. Członkowie plutonu egzekucyjnego wymienili kilka zdań między sobą. Pie skorzystał z okazji, żeby porozmawiać z Gentle 'em.

- Sytuacja jest bardzo delikatna - wyjaśnił.

- Tyle to sam zrozumiałem.

- Większości moich rodaków nie ma już w tym kesparacie.

- Dokąd poszli?

- Jedni zginęli na torturach, innych porwano jako niewolników.

- Aż tu wraca syn marnotrawny! Dlaczego ci się nie cieszą na twój widok?

- Biorą mnie za szpiega albo wariata, w każdym razie jestem dla nich

zagrożeniem. Chcą mnie zatrzymać i przesłuchać. I tak dobrze, że nie zamierzają nas zabić.

- Nie ma to jak wrócić do domu.

- Dobrze, że chociaż kilkoro przeżyło. Na początku myślałem...

- Wiem, co myślałeś. Ja też. Znają angielski?

- Naturalnie, są tylko zbyt dumni, żeby go używać.

- Ale rozumieją, kiedy im coś powiem?

- Nie rób tego, Gentle...

- Chcę, by wiedzieli, że nie jesteśmy ich wrogami. - Gentle odwrócił się do Eurhetemeców. - Wicie już, jak się nazywam. Przyszliśmy tu z Pie'oh'pahem, bo mieliśmy nadzieję znaleźć przyjaciół. Nie jesteśmy szpiegami ani płatnymi mordercami.

- Daj spokój, Gentle.

- Przybyliśmy z daleka, z Piątego Dominium. Pie od dawna marzył o spotkaniu z rodakami. Rozumiecie? Ucieleśniamy jego marzenia.

- Ich to nie obchodzi, Gentle.

- Musi ich obchodzić.

- To ich kesparat. Niech będzie, jak chcą.

- Pie ma rację - przyznał Gentle po chwili zastanowienia. - To wasz kesparat, a my

jesteśmy tu tylko gośćmi, ale chcę, żebyście coś zrozumieli. - Zwrócił się do kobiety, której srebrzysta broń śmigła niebezpiecznie blisko głowy mistyfa. - Pie jest moim przyjacielem. Będę go bronił.

- Możesz nam tylko zaszkodzić - upomniał go Pie. - Przestań.

- Myślałem, że przyjmą cię z otwartymi ramionami. - Gentle popatrzył po niewzruszonych twarzach gospodarzy. - Co się stało?

- Bronią tego, co im zostało. Autarcha przysyłał tu już swoich szpiegów, były czystki, były porwania. Znikały dzieci, odsyłano im same główki.

- Jezu Chryste!... Przykro mi - rzekł Gentle do wszystkich. - Chciałem tylko to powiedzieć.

- Powiedziałeś. Możesz teraz resztę zostawić mnie? Daj mi parę godzin, a przekonam ich, że mogą nam zaufać.

- Nie ma sprawy. Parę godzin. Poczekamy z Huzzah gdzieś w pobliżu.

- Nie tutaj. To chyba nie najlepszy pomysł.

- Jak to?

- Uwierz mi - odparł z naciskiem Pie.

- Boisz się, że nas wszystkich zabiją, tak?

- Mam pewne... wątpliwości... Tak, boję się.

- W takim razie chodźmy stąd.

- To nie wchodzi w grę. Ja zostanę, wy wyjdziecie. To propozycja nie do odrzucenia.

- Rozumiem.

- Nic mi nie będzie, Gentle. Może wróćcie do knajpki, w której jedliśmy śniadanie, co? Traficie tam?

- Ja trafię - mruknęła Huzzah. Do tej pory nie podnosiła główki, teraz jednak spojrziała na Pie. Oczy miała pełne łez.

- Czekaj tam na mnie, aniołku. - Pie pierwszy raz użył ulubionego określenia Gentle'a. - Oba moje aniołki, czekajcie tam na mnie.

- Jeżeli przed zmierzchem się nie pojawisz, wrócimy cię poszukać - uprzedził Gentle z uśmiechem i złowieszczym błyskiem w oku.

Mistyf podał mu rękę na pożegnanie. Gentle uściskał ją i przyciągnął go bliżej.

- To bardzo oficjalne pożegnanie - powiedział.
- Mniej oficjalne byłoby nietaktem. Uwierz mi.
- Zawsze ci wierzyłem. I zawsze będę wierzył.
- Szczęściarze z nas, Gentle.
- Dlaczego tak mówisz?
- Bo spędziliśmy ze sobą tyle cudownych chwil.

Gentle spojrział mu w oczy i nagle zrozumiał, że pod tą sztywną otoczką kryje się głębsze, poważniejsze pożegnanie, którego wcale nie chciał usłyszeć. Mistyf nie był pewien, czy jeszcze się spotkają.

- Zobaczymy się za parę godzin, Pie - rzekł Gentle. - Wierzę w ciebie, jasne? Łączą nas śluby.

Pie pokiwał głową i cofnął rękę, którą Huzzah od razu złapała w swoją drobną, ciepłą dłoń.

- Chodź, aniołku - powiedział Gentle i wyprowadził dziewczynkę za bramę, zostawiając Pie w rękach czteroosobowego oddziału.

Huzzah dwa razy spoglądała przez ramię, ale Gentle oparł się tej pokusie. Niepotrzebne sentymenty nie wyszłyby Pie na dobre. Lepiej było wierzyć, że za kilka godzin spotkają się przy kawie w Oke T'Noon. Przy bramie nie zdołał się jednak opanować i zerknął w ukwieconą uliczkę, żeby ostami raz spojrzeć na ukochaną istotę. Niestety, pluton egzekucyjny zniknął już w chianculi, zabierając ze sobą syna marnotrawnego.

ROZDZIAŁ 32

1

Do zapadnięcia zmierzchu w Yzordderrex pozostało jeszcze wiele godzin. Autarcha znajdował się w komnacie w pobliżu Wieży Osi, gdzie nigdy nie dochodził świt. Pocięty, jaką przynosiło kreauchee, nie mąciło światła dnia. Łatwo było uwierzyć, iż rzeczywistość jest snem, a zatem nie warto jej żałować, jeśli przeminie - czy raczej kiedy przeminie. Jednak Rosengarten jak zwykle bezbłędnie znalazł kryjówkę swego pana i przyniósł mu wieści równie niepokojące jak brzask. Próba cichego zlikwidowania kierowanej przez ojca Athanasiusa komórki niebytowców zmieniła się - za sprawą Quaisoir - w wielkie publiczne widowisko. Akty przemocy szerzyły się teraz po całym mieście. Żołnierze, którzy oblegali kryjówkę Athanasiusa, zostali ponoć wybici do nogi, chociaż trudno było to sprawdzić, bo port został odcięty od miasta improwizowanymi barykadami na ulicach.

- Buntownicy tylko czekali na taki sygnał - stwierdził Rosengarten. - Jeżeli natychmiast nie stłumimy rebelii, wierni wszystkich, nawet najmniej znaczących religii w dominiach usłyszą, że czas nadszedł.

- Dzień Sądu Ostatecznego, co?

- Tak to zinterpretują.

- I może będą mieli rację. Pozwolimy im się wyszaleć? Nie lubią się. Świetliki nienawidzą niebytowców, niebytowcy nie znoszą zenetyków... Popodrzynają sobie nawzajem gardła.

- Chodzi o miasto, panie.

- Miasto! Miasto! Cholerne miasto! Ono i tak jest stracone, Rosengarten. Nie rozumiesz? Siedziałem tutaj i myślałem. Gdybym mógł sprawić, żeby uderzyła w nie kometa, nie wahałbym się ani chwili. Powinno zginąć tak, jak żyło. Pięknie. Skąd ta

rozpacz, Rosengarten? Będą inne miasta. Mogę zbudować drugie Yzordderrex.

- W takim razie powinien pan chyba wyjechać jak najszybciej, nim zamieszki się rozprzestrzenia.

- Nic nam tu przecież nie grozi, prawda? - spytał autarcha.

Zapadła cisza.

- Nie jesteś o tym przekonany.

- Na ulicach naprawdę wszędzie leje się krew.

- Wszystko przez nią, tak?

- Od dawna wiedzieliśmy, że coś się święci.

- Ale to przez nią nastąpił wybuch? - Autarcha westchnął. - Niech ją szlag...

Sprowadź generałów.

- Wszystkich?

- Mattalusa i Racidio. Wiedzą, jak zrobić z pałacu fortecę. - Autarcha wstał. - A ja porozmawiam z moją kochaną żoną.

- Czy mamy cię szukać w jej komnatach, panie?

- Nie. Jeżeli nie chcecie być świadkami morderstwa, nie szukajcie mnie tam.

*

Tak jak poprzednio, apartamenty Quaisoir były puste. Tym razem jednak Concupiscentia - nie frywolna bynajmniej, lecz roztrzęsiona i z suchymi oczami, co u istot jej gatunku odpowiadało łzom - wiedziała, gdzie szukać pani: w prywatnej kaplicy. Kiedy autarcha wparował do środka, Quaisoir zapalała świece na ołtarzu.

- Wołałem cię.

- Słyszałam.

Jej głos, niegdyś tak melodyjny, że każde słowo brzmiało niczym pieśń, stał się całkiem bezbarwny. Tak jak i ona sama.

- Czemu się nie odezwałaś?

- Modliłam się.

Zdmuchnęła trzymaną w dłoni świeczkę i odwróciła się plecami do autarchy. Ołtarz przypominał jej komnaty; był ozdobny aż do przesady. Pomalowana figura Chrystusa wisiała na połączonym krzyżu w otoczeniu cherubinów i serafinów.

- Za kogo?

- Za siebie.

Złapał ją za ramię i odwrócił do siebie.

- A co z tymi, których rozszarpał tłum?! Za nich się nie pomodlisz?

- Za nich ma się kto modlić. Ludzie, którzy ich kochali. Ja nie mam nikogo takiego.

- Serce mi krwawi, gdy to słyszę.

- Nieprawda. Ale Syn Smutku cierpi i za mnie.

- Wątpię w to, pani. - Autarcha musiał przyznać, że jej pobożność bardziej go bawi, niż drażni.

- Widziałam Go dzisiaj. To było coś nowego.

- Gdzie? - spytał zaciekawiony.

- W porcie. Objawił nam się na dachu budynku. Żołnierze strzelali do Niego. Trafili Go, sama widziałam, ale nigdzie nie znaleźli ciała.

- Wiesz co? Powiniennem cię chyba zamknąć w Bastionie Banu razem z innymi wariatkami. Tam spokojnie doczekasz jego powtórnego przyjścia. Jeśli chcesz, służący zawiozą ci tam całe wyposażenie.

- On tu po mnie przyjdzie - odparła Quaisoir. - Nie boi się. To ty się boisz.

- Czyżbym się poccił? - Autarcha zerknął na swoją dłoń. - Nie. Błagam go na kolanach, żeby mnie oszczędził? Też nie. O wiele rzeczy można mnie oskarżyć, o większość nie bezpodstawnie, ale nie o strach. Znasz mnie.

- On jest tutaj, w Yzorderrex.

- Niech do mnie przyjdzie. Nigdzie się nie wybieram. Jeżeli naprawdę tak mu na mnie zależy, znajdzie mnie. Chociaż zapewne nie przy modlitwie... Może będę akurat sikał, kto wie... Zniesie taki widok? - Autarcha wziął rękę Quaisoir i włożył sobie między uda. - Może się poczuć upokorzony. - Roześmiał się. - Pamiętasz, jak modliłaś się do tego bożka? Pamiętasz? Powiedz, że tak.

- Przyznaję się do tego.

- To nie zbrodnia. Tacy już jesteśmy. Co innego nam pozostało, jak nie pogodzić się z tym i cierpieć? - Przynął się bliżej. - Niech ci się nie wydaje, że zostawisz mnie dla niego. Należymy do siebie. Krzywdząc mnie, krzywdzisz samą siebie. Pomyśl o tym. Kiedy nasze marzenia spłoną, razem usmażymy się w ich ogniu.

Jego słowa powoli do niej docierały. Nie szarpała się już, tylko trzęsła ze strachu.

- Nie chcę ci odbierać wszystkich przyjemności - mówił autarcha. Możesz sobie wierzyć w tego Syna Smutku, jeżeli to ci pomaga zasnąć, ale nie zapominaj, co nas łączy. To, że poznałaś w Bastionie parę influencji, nic nie zmienia.

- Modlitwy nie wystarczą... - wyszeptała Quaisoir.

- Modlitwy są bezużyteczne.

- W takim razie muszę Go znaleźć. Pójdę do Niego, pokażę Mu, jak Go wielbię.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Muszę. To jedyny sposób. Jest w mieście i czeka na mnie. - Odepchnęła go. -

Pójdę do Niego w łachmanach - powiedziała i zaczęła drzeć na sobie ubranie. - Albo nie, nago! Pójdę do Niego naga!

Autarcha nie próbował jej powstrzymać, lecz odsunął się, jakby obłąd mógł okazać się zaraźliwy. Quaisoir szarpała na sobie szaty i rozdrapywała skórę do krwi. Zaczęła się głośno modlić, obiecywać, że przyjdzie na kolanach i będzie Go błagać o przebaczenie. Kiedy odwróciła się do ołtarza, autarcha stracił cierpliwość, złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie.

- Nie słuchasz! - krzyknął. Współczucie i odraza ustąpiły miejsca wściekłości, której nawet kreauchee nie zdołałoby ugasić. - Yzordderrex ma tylko jednego władcę!

Odepchnął ją na bok i trzema krokami pokonał wiodące na ołtarz stopnie.

Zamaszystym gestem zgarnął z niego wszystkie świece i wszedł na ołtarz, żeby ściągnąć krucyfiks. Quaisoir próbowała go powstrzymać, ale ani jej prośby, ani pięści nie poskutkowały. Pierwsze poleciały złoczone anioły - zerwał je z rzeźbionych obłoków i cisnął na ziemię. Złapał Zbawiciela za głowę i mocno pociągnął. Kolce z pięknie wyrzeźbionej korony cierniowej wbiły mu się w dłonie, ale ból tylko podsycił wściekłość. Trzasnęło pękające drewno, krzyż oderwał się od ściany i grawitacja dokonała reszty. Autarcha przez chwilę miał wrażenie, że Quaisoir rzuci się pod krucyfiks, żeby go podtrzymać, ale w ostatniej chwili zrobiła krok w tył i krzyż upadł pośród szczątki serafinów. Roztrzaskał się na kamiennej posadzce.

Zamieszanie w kaplicy ściągnęło oczywiście świadków. Stojąc na ołtarzu, autarcha dostrzegł Rosengartena, który z bronią w ręku pędził nawą.

- Nic się nie stało, Rosengarten! - wydyszał autarcha. - Najgorsze już za nami.

- Ty krwawisz, panie.

Autarcha włożył palec do ust.

- Każ odprowadzić moją żonę do komnat, dobrze? - Splunął na podłogę. W jego krwi migotały złociste drobinki. - I dopilnuj, żeby nie miała pod ręką żadnych ostrych narzędzi, którymi mogłaby sobie zrobić krzywdę. Jest chyba poważnie chora. Od tej pory powinniśmy dzień i noc mieć ją na oku.

Zapłakana Quaisoir klęczała przy szczątkach krucyfiksu.

- Proszę cię, pani... - Autarcha zeskoczył z ołtarza. - Po co płakać za umarłym człowiekiem? Należy czcić tylko swoje... - Zawiesił głos, zdumiony własnymi słowami. - Tylko swoje prawdziwe „ja”.

Podniosła na niego wzrok, nasadą dłoni otarła łzy z oczu.

- Każę ci przynieść trochę kreauchee - mówił dalej autarcha. - Uspokoi cię.

- Nie chcę kreauchee - odparła bezbarwnym głosem. - Chcę przebaczenia.

- W takim razie przebaczam ci - odparł z powagą.

- Nie o twoje przebaczenie chodzi.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę.

- Mieliśmy się kochać i żyć wiecznie - rzekł cicho. - Kiedy ty się tak zestarzałaś?

Nie odezwała się, więc zostawił ją tam, klęczącą pośród odłamków drewna. W kaplicy zjawił się już Seidux, podwładny Rosengartena.

- Bądź dla niej miły - uprzedził go autarcha. - Kiedyś była wielką damą.

Nie czekał, aż ją odprowadzą, lecz udał się z Rosengartenem na spotkanie z generałami Mattalausem i Racidio. Dobrze mu zrobił mały wysiłek fizyczny. Mimo że czas nie miał się go, tak jak wszystkich wielkich maistrów, jego organizm flaczał i wymagał okresowej podniety. A nic nie sprawiało mu takiej frajdy jak niszczenie bałwanów.

Kiedy jednak mijali okno, z którego rozciągał się widok na miasto, autarcha spochmurniał. Wszędzie znać było ślady zniszczeń. Mógł zawadiacko zapowiadać, że w każdej chwili zbuduje nowe Yzordderrex, ale żał byłoby patrzeć, jak stare rozpada się kesarat po kesaracie. Kilka słupów dymu znaczyło miejsca, w których wybuchły pożary. W porcie płonęły okręty, a przy ulicy Pożądliwej - burdele. Rosengarten miał rację, spełniały się wszystkie apokaliptyczne prorocstwa. Ci, który zapowiadali, że zagłada

nadejście od strony morza, palili statki; ci, którzy przeklinali miłość fizyczną, podkładali ogień w domach publicznych. Zerknął w stronę kaplicy. Quaisoir na nowo wybuchnęła płaczem.

- Niech sobie popłacze - powiedział. - Ma powód.

2

Obrażenia, jakie odniósł Dowd, wskakując do pędzącego Ekspresu Yzorderrex, stały się w pełni oczywiste, dopiero gdy znaleźli się w pełnej skarbów piwnicy domu kupca. Udało mu się uniknąć wywrócenia na nice, ale został poważnie poraniony. Wyglądał tak, jakby ktoś przeciągnął go po świeżo wysypanej żużlem drodze. Skórę na twarzy i rękach miał zdartą do żywego, z ran leniwie sączył się płyn, który wypełniał jego żyły. Kiedy poprzednio Jude widziała go rannego, sam się okaleczył i chyba specjalnie nie cierpiał. Teraz było inaczej. Krzywił się z bólu, choć trzymał przegub jej dłoni w żelaznym uścisku i groził śmiercią, przy której męki Clary byłyby niczym.

Nie tak wyobrażała sobie początek wizyty w Yzorderrex. Tego, co zobaczyła na parterze domu, też się nie spodziewała może dlatego że widok, okazał się aż nadto przewidywalny. Przypomniała sobie, że budynek przecież należy do Peccable'a, wspólnika Oscara. Silny wpływ estetyki Piątego Dominium na dom, w którego piwnicy znajdowało się przejście na Ziemię, nie powinien nikogo dziwić. Jednak domowe zacisze w wykonaniu Peccable'a było przygnębiająco nijakie. Jedyne egzotyczne akcent stanowiła drzemiąca na żerdce przy oknie papuga, poza tym wnętrze było beznadziejnie małomiasteczkowe - od szeregu rodzinnych fotografii na kominku, po przywiedłe tulipany w wazonie na wypolerowanym do połysku stole. Z pewnością na zewnątrz czekały ich bardziej niezwykle widoki, ale Dowd nie był w stanie zwiedzać miasta. Zapowiedział, że poczekają w domu, aż poczuje się lepiej, a gdyby wrócili gospodarze, ma trzymać buzię na kłódkę. Sam będzie mówił, chyba że Jude ma ochotę wystawić na szwank życie nie tylko własne, ale całej rodziny Peccable'a.

Nie miała wątpliwości, że spełniłby swoje groźby. Zażyczył sobie ponadto, żeby się nim zaopiekowała, więc posłusznie obmyła mu twarz przyniesionym z kuchni

mokrym ręcznikiem. Zmartwiła się, widząc, że obrażenia są bardziej powierzchowne, niż początkowo sądziła. Kiedy oczyściła mu rany, zaczął szybko wracać do zdrowia. Stała przed trudnym wyborem. Dowd zdrowiał z nadnaturalną szybkością, więc jeśli chciała wykorzystać jego osłabienie, musiała się spieszyć. Gdyby jednak od razu uciekła, straciłaby jedyne przewoźnika po mieście. Co gorsza, zniknęłaby z miejsca, gdzie, jak miała nadzieję, przybędzie Oscar, gdy podąży za nią przez otchłań In Ovo. Nie mogła ryzykować, że od razu zgubią się w mieście, które - jak słyszała - było tak rozległe, że nawet przez dziesięć kolejnych wcieleń mogłyby się nie spotkać.

*

Niedługo potem zerwał się wiatr. Do domu przysła jedna z latorośli Peccable'a. Rozchichotana dwudziestoletnia dziewczyna w długim płaszczu i sukience z kwiatowym nadrukiem wesoło przywitała gości.

- Jesteście przyjaciółmi papy? - zapytała i zdjęła okulary, zza których wyjrzały zezujące oczy.

Dowd przytaknął i zaczął tłumaczyć, jak trafili do jej domu, ale poprosiła grzecznie, żeby zaczekał, aż pozamyka wszystkie okiennice. Nadciąga burza piaskowa, wyjaśniła. Poprosiła Jude o pomoc. Dowd nie oponował, słusznie zakładając, że jego podopieczna nie zamierza sama błąkać się po obcym mieście, gdy szaleje burza. Pierwsze podmuchy targały już niedomkniętymi oknami, gdy Jude i Hoi-Polloi obeszyły cały dom, wszystko pozamykały i zatrzasnęły okiennice, żeby wiatr nie wytłukł szyb. Mimo że niesiony wicherem piasek poważnie ograniczał widoczność, Jude zdążyła zerknąć na ciągnące się za oknem miasto. Miała na to tylko boleśnie krótką chwilę, ale to wystarczyło, by się upewnić, że gdy wreszcie wyjdzie na ulice, Yzordderrex sowicie wynagrodzi jej miesiące oczekiwania.

Na zboczu ponad domem ciągnęły się niezliczone, tarasowato ułożone uliczki prowadzące do monumentalnych murów i wież budowli, którą Hoi-Polloi nazwała pałacem autarchy. Ze strychu było nawet widać ocean, woda połyskiwała słabo w gęstym od piasku powietrzu. Ale ocean, dachy domów i wieże pałacu niewiele różniły się od tego, co mogła oglądać w Piątym Dominium. Tym, co odróżniało Yzordderrex od ziemskich miast, byli jego mieszkańcy - trochę ludzi i wiele nieznanych jej istot; wszyscy chowali się przed burzą. Jakiś stwór z olbrzymią głową brnął ulicą pod górę, trzymając

pod każdą pachą po jednej rozszczekanej świni z ostro zakończonym ryjem. Grupa ogolonych na łyso młodzieńców w powłóczystych szatach biegła w przeciwną stronę, wymachując nad głową dymiącymi kadzielnicami. Do domu naprzeciwko wniesiono rannego mężczyznę z kanarkową brodą, o skórze jak porcelanowa lalka. Darł się jak opętany.

- Wszędzie są zamieszki - powiedziała Hoi-Polloi. - Chciałabym, żeby tata już wrócił.

- A gdzie jest w tej chwili?

- W porcie. Przyszła dostawa z wysp.

- Możesz do niego zatelefonować?

- Zatelefonować?

- Tak! Wiesz, telefon to taki...

- Wiem, co to jest - przerwała jej Hoi-Polloi. - Wujek Oscar kiedyś mi go pokazywał. Ale prawo zabrania używania telefonów.

- Dlaczego?

Hoi-Polloi wzruszyła ramionami.

- Prawo jest prawem. - Wyjrzała przez ostatnie otwarte okno i zatrzasnęła je szczelnie. - Tata na pewno zachowa się rozsądnie. Zawsze mu powtarzam, żeby był rozsądny, a on mnie słucha.

Kiedy zeszły na parter, Dowd stał na progu otwartych na oścież drzwi. Do środka wdzierало się rozpalone, gryzące od piasku powietrze, niosące woń korzennych przypraw i dalekich podróży. Hoi-Polloi rozkazującym tonem zapędziła go do środka. Jude przez chwilę się o nią bała, ale Dowd chętnie wszedł w rolę nie zorientowanego w sytuacji gościa i posłusznie wszedł do domu. Hoi-Polloi trzasnęła drzwiami, zamknęła je na zasuwę i zaproponowała gościom herbatę. Trudno było udawać, że nic się nie dzieje, gdy wiatr kołysał lampami w pokojach i próbował wyrwać każdą obluzowaną okiennicę, Hoi-Polloi starała się jednak paplać o drobiazgach. Zaparzyła dzbanek darjeelingu i podała gościom po kawałku ciasta. Absurdalność całej sytuacji coraz bardziej bawiła Jude: oni tu siedzą przy popołudniowej herbacie, a za drzwiami niewiarygodne, niezwykle miasto drży w porywach wiatru i rewolucji. Gdyby Oscar teraz przybył, śmiałyby się do łez, pomyślała. Usiadłby z nimi i maczając ciasto w herbacie, zaczęłby rozmowę o krykicie.

Anglik w każdym calu.

- A gdzie podziała się reszta rodziny? - spytał Dowd, kiedy rozmowa znów zeszała na jej nieobecnego ojca.

- Mama i bracia wyjechali na wieś, jak najdalej od kłopotów.

- Nie chciałaś z nimi jechać?

- Nie, dopóki tata tu siedzi. Ktoś musi się nim opiekować. Zwykle jest rozsądny, ale muszę go pilnować.

Po wyjątkowo mocnym podmuchu dachówki zaterkotały jak karabin maszynowy. Hoi-Polloi aż podskoczyła.

- Gdyby tata był tu z nami, zaproponowałby pewnie coś na uspokojenie - powiedziała.

- A co macie, kochaniutka? - zainteresował się Dowd. - Odrobinę brandy? Oscar pewnie przywozi wam brandy, prawda?

Przytaknęła i wstała po butelkę i trzy małe szklaneczki.

- Przywiózł nam też Siewkę.

- Kto to jest Siewka?

- Nasza papuga. Dostałam ją w prezencie, kiedy byłam jeszcze malutka. Miałam też drugą, do pary, ale zjadł mi ją ragem z sąsiedztwa. To potwór! Siewka został sam i jest bardzo nieszczęśliwy, ale Oscar niedługo przywiezie mi nową papugę. Obiecał mi. Kiedyś przywiózł mamie perły. A tacie zawsze przynosi gazety; tata uwielbia gazety.

Hoi-Polloi gadała jak nakręcona, szklaneczki coraz to były napełniane. Alkohol zmniejszał zdolność Jude do koncentracji. Monolog gospodyni i kołyszące się światło nad głową usypiały. W końcu zapytała, czy mogłaby się na chwilę położyć. Dowd i tym razem nie protestował - rzucił tylko przeciągłe „słodkich snów, kochaniutka” - i za Hoi-Polloi poszła do sypialni dla gości.

Położyła się z prawdziwą przyjemnością. W głowie jej huczało. Uznała, że to doskonały moment na drzemkę, skoro i tak nie może wypuścić się w miasto. Kiedy burza się skończy, ona wyruszy w drogę - z Dowdem albo bez niego. Najwidoczniej Oscar nie zamierzał się po nią fatygować. Może został ranny, a może skok Dowda uszkodził Ekspres Yzordderrex - nieważne. Nie mogła dłużej odwlekać czekających ją przygód. Kiedy się obudzi, pójdzie w ślady burzy i szturmem weźmie Yzordderrex.

*

Śniła, że jest w bardzo smutnej, ciemnej komnacie, o oknach i okiennicach zamkniętych dla ochrony przed tą samą burzą, która srożyła się za oknami pokoju, gdzie kładła się spać. Zdawała sobie sprawę, że śni. Płakała jakaś kobieta. Jude chciała ją pocieszyć. Szła przez mrok w stronę, skąd dobiegał szloch. Napotykała i odgarniała kolejne zasłony, cienkie jak pajęczyna, jakby w komnacie rozwieszono welony tysiąca sukni ślubnych. Spóźniła się jednak; wyprzedziła ją jakaś ciemna sylwetka. Stała przy łóżku, w którym leżała zrozpaczona kobieta, i zaczęła coś do niej szeptać.

Jude dosłyszała jedno słowo - „kreauchee”. Istota była dziwaczna ponad wszelkie wyobrażenie, blada i naga, z pleców wyrastał jej gąszcz ogonów. Kiedy Jude podeszła bliżej, stwór zobaczył ją, a przynajmniej dostrzegł falowanie zasłon, bo rozejrzał się po komnacie. W jego - kobiecym - głosie zabrzmiał strach.

- Ktoś jest, pani.

- Nikogo nie widzę. Nawet Seiduxa.

- Nie Seidux. Nikogo nie widzi, ale czuje, że ktoś jest.

Szloch ustał i kobieta na łóżku podniosła wzrok. Oddzielały ją od Jude warstwy muślinu, a w komnacie było całkiem ciemno, ale Jude nie mogła mieć cienia wątpliwości. Ta kobieta, chociaż opuchnięta od płaczu, miała jej twarz. Nagle wstała z radością w oczach.

- Zesłał mi anioła - powiedziała, zwracając się do towarzyszącej jej istoty. - Concupiscentio... On zesłał anioła, żeby mnie do siebie wezwać.

- Tak?

- Tak, z pewnością! To znak. Przebaczy mi.

Jakiś dźwięk przy drzwiach odwrócił jej uwagę. Stał tam umundurowany mężczyzna. Ognik papierosa oświetlał mu twarz.

- Wynoś się - rozkazała mu kobieta.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy niczego ci nie brakuje, pani Quaisoir.

- Powiedziałam: wynoś się, Seidux.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, pani...

Quaisoir rzuciła się na niego. Gwałtowność ataku zaskoczyła zarówno Jude, jak i strażnika. Quaisoir, choć o głowę niższa, bez lęku doskoczyła, wymierzyła mu policzek i

wytrąciła papierosa z ust.

- Nie chcę, żebyś mi się przyglądał! Wynoś się, słyszałeś? Albo zacznę krzyczeć, że chcesz mnie zgwałcić!

Zaczęła szarpać na sobie podarte już ubranie. Odsłoniła piersi. Seidux spuścił wzrok i wycofał się zmieszany.

- Jak sobie życzysz, pani... Jak sobie życzysz.

Quaisoir zatrzasnęła za nim drzwi.

- Gdzie jesteś, duchu? - zapytała, rozgarniając zasłony. - Zniknąłeś już? Na pewno nie. Wyczuwasz jego obecność? - spytała Concupiscentii, która ze strachu nie mogła wykrztusić słowa. - Bo ja nie. Niech Seiduxa diabli wezmą! Wypłoszył mi ducha!

Nie mając jak wyprowadzić jej z błędu, Jude mogła tylko stać przy łóżku i mieć nadzieję, że skoro Seidux zniknął z komnaty, jego wpływ szybko zaniknie. Przypomniała sobie, co Clara mówiła jej o destrukcyjnych zdolnościach mężczyzn. Czy właśnie miała okazję oglądać ich próbkę? Czy obecność Seiduxa wystarczyła, żeby zakłócić kontakt między duchem ze snu i duchem z jawy? Jeśli tak, Seidux zabił to całkiem nieświadomie, co rzecz jasna nie oczyszczało go z winy. Ciekawe, jak często Seidux i inni jemu podobni - czy Clara nie powiedziała, że należy do innego gatunku? - nieświadomie niszczyli i krzywdzili subtelniejsze istoty?

Quaisoir opadła na łóżko, co pozwoliło Jude skupić się na jej twarzy. Od pierwszej chwili zdawała sobie sprawę, że trafiła do tej komnaty podobnie, jak pierwszy raz do wieżowca Tabula Rasa. Sen dawał jej wolność, mogła w niewidzialnej postaci przemierzać rzeczywisty świat. Rozwikłanie sekretu, dlaczego nie potrzebuje już do tego błękitnego kamienia, postanowiła zostawić sobie na inną okazję. Na razie znacznie bardziej intrygowało ją, jak to możliwe, że są z nieznaną podobne jak dwie krople wody. Czy to dominium mogło być zwierciadłem świata, który opuściła? A jeżeli nie, jeśli była jedyną osobą z Piątego Dominium, która ma swojego sobowtóra, co to mogło oznaczać?

Wiatr zaczynał słabnąć i Quaisoir kazała służącej otworzyć okiennice. W powietrzu unosił się jeszcze czerwony pył, ale i tak widok, który ukazał się Jude, gdy stanęła za plecami niezwyklej istoty, zaparłby jej dech w piersi - gdyby w swoim obecnym stanie mogła oddychać. Znajdowała się wysoko ponad miastem, w jednej z

wież, które mignęły jej, gdy wraz z Hoi-Polloi kręciły się po domu Peccable'a i zamykały okna. Przed nią rozpościerało się nie tylko samo Yzordderrex, ale także oznaki jego rychłej zagłady. W kilkunastu miejscach poza pałacem szalały pożary, w obrębie murów zaś, na dziedzińcach, żołnierze autarchy ćwiczyli musztrę. Odwróciła się do Quaisoir i dopiero teraz zauważyła, z jakim przepychem urządzona jest sypialnia. Ściany były obite materiałem, każdy, nawet najmniejszy element wyposażenia lśnił złoceniami. Jeżeli było to więzienie, to godne królów.

Quaisoir również podeszła do okna.

- Muszę Go znaleźć - powiedziała. - Zesłał anioła, który miał mnie do Niego zaprowadzić, ale Seidux odpędził posłańca. Muszę więc pójść sama. Jeszcze dziś...

Jude słuchała jednym uchem. Co to wspaniałe wnętrze mówi o jej bliźniaczej siostrze? Wyglądało na to, że Quaisoir to miejscowa znakomitość, dawniej obdarzona władzą, a teraz władzy pozbawiona. Chciała wydostać się na wolność. Chyba z miłości. W mieście czekał na nią mężczyzna, z którym za wszelką cenę pragnęła się połączyć; kochanek, który przysyłał anioły, żeby szeptały jej do ucha czułe słówka. Co to za człowiek? Może jakiś maestro, mistrz sztuki magicznej.

Napatrzywszy się na miasto, Quaisoir przeszła do garderoby.

- Nie mogę iść do Niego w takim stroju - mruknęła i zaczęła się rozbierać. - To dopiero byłby wstyd.

Zerknęła w lustro i usiadła przed nim, przyglądając się sobie z niesmakiem. Ciemny puder zmienił się pod wpływem łez w błoto, policzki i szyję miała całe w plamach. Wzięła z toaletki kawałek płótna, spryskała go wonnym olejkiem i zaczęła zmywać makijaż.

- Pójdę do Niego naga. - Uśmiechnęła się na myśl o tej rozkoszy. - Bardziej mu się spodoba.

Tajemniczy kochanek coraz bardziej intrygował Jude. Czy nie byłoby ciekawie zobaczyć akt spełnienia tego uczucia? Nie planowała wcześniej podglądania samej siebie kochającej się w Yzordderrex z jakimś czarownikiem, ale na tę myśl czuła erotyczny dreszczyk. Przyglądała się odbiciu swego odbicia. Różnice były kosmetyczne. Ta twarz wyglądała dokładnie tak samo jak jej własna, z dokładnością do najdrobniejszego pieprzyka. Nie chodziło o zwykłe podobieństwo - były identyczne. Dziwnie ją to

podniecało. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby jeszcze tego dnia porozmawiać z Quaisoir. Nawet jeśli zbliżył je wyłącznie kaprys natury, mogły się sporo o sobie dowiedzieć. Potrzebowała tylko wskazówki, gdzie jej odbicie zamierza szukać tajemniczego maestra.

Oczyściwszy twarz, Quaisoir wstała sprzed lustra i wróciła do sypialni. Concupiscentia siedziała przy oknie. Quaisoir podeszła do niej na kilkanaście centymetrów i dopiero wtedy odezwała się ledwie słyszalnym szeptem:

- Potrzebny nam będzie nóż.

Dziwna istota pokręciła głową.

- Oni zabiera wszystkie - odparła. - Pani widzi, jak oni szuka i szuka.

- No to musimy sobie jakiś zrobić. Seidux nas tak łatwo nie wypuści.

- Chce go zabić?

- Tak, chcę go zabić.

Jude przebiegł dreszcz. Mimo że Seidux wycofał się, gdy Quaisoir zagroziła, że oskarży go o gwałt, nie wydawało się jej możliwe, by zachował podobną bierność w obliczu fizycznego zagrożenia. Gdyby mogła, przemówiłaby teraz słowami Clary i ostrzegła Quaisoir przed mężczyzną - niszczycielem, jeśli mogłoby ją to ocalić. Byłaby to nieznośna ironia losu, gdyby po przebyciu połowy Imajiki i trafieniu do pokoju tej niezwyklej kobiety (z pewnością nie przez przypadek) miała ją tak po prostu stracić.

- Może zrobi nóż - powiedziała Concupiscentia.

- To zrób. - Quaisoir nachyliła się nad nią jeszcze bardziej.

Następna wymiana zdań umknęła uwagi Jude, gdyż ktoś zawołał ją po imieniu. Zaskoczona rozejrzała się po komnacie. Rozpoznała głos - to Hoi-Polloi próbowała ją obudzić. Burza się skończyła.

- Tata wrócił! - usłyszała Jude. - Obudź się! Tata wrócił!

Nie miała czasu pożegnać się z Quaisoir: jej pokój rozplątał się, ustępując miejsca twarzy córki Peccable'a.

- Tata...

- Dobrze, już wstaję - odparła szorstko Jude, mając nadzieję, że dziewczyna da jej spokój i pozwoli przypomnieć sobie cały sen. Wiedziała, że ma na to niewiele czasu. Senne wizje szybko odpływały w mrok i traciły szczegóły.

Miała szczęście. Hoi-Polloi wybiegła przywitać się z ojcem i Jude mogła spokojnie powtórzyć na głos wszystko, co widziała i słyszała. Quaisoir i Concupiscentia, jej służąca; Seidux, którego chcieli zabić; no i kochanek, naturalnie. Nie mogła zapomnieć o kochanku, który znajdował się gdzieś w mieście, tęsknił za swą ukochaną zamkniętą w pozłacanej celi. Utrwaliwszy sobie te kilka faktów w głowie, poszła na spotkanie z gospodarzem.

Dobrze ubrany i jeszcze lepiej odżywiony Peccable miał twarz, na której gniew kiepsko się prezentował. W furii wyglądał absurdalnie - zbyt pulchne policzki i zbyt małe usta nie pasowały do wściekłych słów. Wzajemna prezentacja trwała krótko; nie było czasu na zbędne uprzejmości. Złość Peccable'a gwałtownie potrzebowała ujścia i właściwie chyba nie interesowało go, kim są słuchacze, o ile tylko wyrażą należyte współczucie. Miał powody do wściekłości. Z jego magazynu w okolicach portu zostały zgliszcza, on sam zaś ledwie uniknął śmierci z rąk tłuszczy, która zajęła już trzy kesparaty i ogłosiła je niepodległymi państewkami, rzucając wyzwanie autarsze. Na razie autarcha zareagował ostrożnie, wysłał małe oddziały do Karmelowej Kuchni, Oke T'Noon i siedmiu kesparatów po drugiej stronie góry, żeby zdusić bunt w zarodku, nie podjął natomiast żadnych działań przeciw rebeliantom, którzy zajęli port.

- To dzicz! - powiedział kupiec. - Nic ich nie obchodzi cudza własność ani nietykalność osobista. Chcieliby tylko niszczyć. Nie przepadam za autarchą, ale w trudnych chwilach jego obowiązkiem jest reprezentować takich ludzi jak ja. Powinienem był rok temu sprzedać firmę; rozmawiałem o tym z Oscarem. Chcieliśmy się wynieść z tego paskudnego miasta, ale jakoś nie mogłem się z nim rozstać, ponieważ wierzę w ludzi. To jest moja największa wada. - Peccable wznosił oczy ku niebu jak męczennik ginący w obronie przyzwoitości. - Jestem zbyt łatwowierny. - Spojrzał na Hoi-Polloi. - Prawda?

- Oj tak, tato. Szczera prawda.

- Ale dość tego. Pakuj się, skarbie, wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj.

- A co z domem? - zainteresował się Dowd. - Co z kolekcją w piwnicy?

- Może od razu zacznij się pakować, co? - zasugerował Peccable córce. Nie czułby się chyba zbyt pewnie, gdyby musiał przy niej omawiać kulisy czarnorynkowych transakcji. Spojrzał też znacząco na Jude, ale udała, że go nie rozumie, i nie wstała z

miejsca. Zaczął mówić: - Nie wrócimy już tutaj. Nie będzie do czego. - Wściekłego mieszczanina, który przed chwilą narzekał na niepokoje społeczne, zastąpił apokaliptyczny wizjoner. - Wcześniej czy później to się musiało stać. Nie mogli w nieskończoność kontrolować wszystkich kultów.

- Kto nie mógł? - spytała Jude.

- Autarcha - odparł Peccable. - I Quaisoir.

Dźwięk tego imienia był jak cios w samo serce.

- Quaisoir? - powtórzyła.

- Jego kobieta. Małżonka. Królowa Yzordderrex, madame Quaisoir. Moim zdaniem to ona doprowadziła go do zguby. Autarcha nie pokazywał się ludziom. Bardzo rozsądnie. Jeżeli handel szedł dobrze, a ulice były nocą oświetlone, nikt się nim nie interesował. No, podatki, oczywiście... Podatki wszystkim nam doskwierały, zwłaszcza ludziom z rodzinami, takim jak ja, ale wierzcie mi, lepiej nam się tu żyje niż w Patashoqua czy w Iahmandhas. Wcale nie myślę, że źle się z nami obszedł. Wystarczy sobie przypomnieć, co się działo, gdy doszedł do władzy. Chaos na ulicach, połowa kesparatów uwikłana w wojny z drugą połową... Autarcha przywrócił porządek, nastąpiła stabilizacja, ludziom wiodło się dobrze. Nie, nie, on prowadził porządną politykę. Wszystko przez Quaisoir. Przywiodła go do zguby. Póki się do niczego nie mieszała, było w porządku. Jej się chyba wydaje, że wyświadcza nam łaskę, występując publicznie.

- Widziałeś ją? - zapytała Jude.

- Osobiście nie. Nawet kiedy uczestniczy w egzekucjach, nie pokazuje się ludziom. Chociaż słyszałem, że dziś zrobiła wyjątek. Są tacy, którzy ponoć widzieli jej twarz. Mówią, że jest brzydka. Brutalna. Wcale mnie to nie dziwi, te egzekucje to jej pomysł. Lubi je. A ludziom się to nie podoba. Podatki - dobrze. Czasem jakaś czystka, proces polityczny - niech będzie, też możemy się z nimi pogodzić. Ale nie można robić widowiska z wymierzania sprawiedliwości. To kpina! W Yzordderrex nie kpi się z prawa.

Peccable długo jeszcze perorował w podobnym stylu, ale Jude przestała go słuchać. Próbowwała ukryć targające nią sprzeczne uczucia. Quaisoir - kobieta, która miała jej twarz - nie jest w Yzordderrex jakąś płotką, lecz władczynią miasta, a zatem i całej Imajiki. Czy Jude mogła wątpić, że przybyła tutaj w jakimś konkretnym celu? Twarz

mogła jej dać iście królewską władzę. Quaisoir nie była powszechnie znana, lecz rozkazywała autarsze. Pytanie tylko - co z tego wynikało? Jude została wezwana do tego dominium z Ziemi, gdzie prowadziła nic nieznaczącą egzystencję, żeby zakosztować władzy, którą jej sobowtór zawsze się cieszył? Czy też miała jako pozorantka odwrócić uwagę mieszkańców od królowej i cierpieć za jej winy? Jeśli tak, to kto ją przywołał? Na pewno jakiś maestro, który miał swobodny dostęp do Piątego Dominium i umieścił tam swoich agentów. Czy Godolphin wiedział o spisku? Albo Dowd? Tak, to bardziej prawdopodobne. A co z Quaisoir? Czy znała te plany, czy też była nieświadoma ich istnienia?

Dziś się wszystko wyjaśni, obiecała sobie Jude. Znajdzie sposób, żeby porozmawiać z Quaisoir, zanim ona spotka się z przysyłającym jej anioły kochankiem. Dowie się, czy ściągnięto ją z Piątego Dominium, żeby grała rolę królewskiej siostry - czy kozła ofiarnego.

ROZDZIAŁ 33

Gentle dotrzymał danego Pie słowa i wrócił z Huzzah do restauracyjki, w której jedli śniadanie. Czekali tam, aż kometa skryła się za górą i światło dnia przygasło. Była to dla nich próba nie tylko cierpliwości, ale i nerwów, ponieważ rozruchy z niżej położonych dzielnic miasta szybko rozprzestrzeniały się na wyższe kesparaty i zanosilo się na to, że przed wieczorem knajpka znajdzie się na linii frontu. Odgłosy bijatyk i wystrzałów przybliżały się, klienci wstawali od stolików i wychodzili. Z zasnutego dymem nieba zaczęły padać płatki sadzy.

Kiedy na ulicy pojawili się pierwsi ranni na noszach, co wskazywało, że front musi być dosłownie za rogiem, właściciele pobliskich sklepów zebrali się w knajpce na krótką naradę - zapewne mieli ustalić najlepszy sposób obrony lokali. Dyskusja skończyła się awanturą i wzajemnymi oskarżeniami; Gentle i Huzzah nauczyli się całkiem nowych wyzwisk. Dwóch sklepikarzy wróciło po chwili z bronią, a karczmarz - przedstawił się jako Bunyan Blew - zapytał gości, czy mają gdzie się podziać. Gentle odparł, że są w tym miejscu umówieni i byliby bardzo wdzięczni, gdyby pozwolił im zostać w lokalu do czasu spotkania.

- Pamiętam cię - powiedział Blew. - Byliście tu dziś rano, prawda? Z kobietą?

- Właśnie na nią czekamy.

- Przypominała mi dawną znajomą. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało.

- My też.

- No to zostańcie. Ale pomóż mi zabarykadować drzwi i okna.

Bunyan wyjaśnił, że od dłuższego czasu spodziewał się tych wydarzeń i był przygotowany. Miał deski do zabicia okien i trochę ręcznej broni, na wypadek gdyby rabusie wdarli się do środka.

Środki ostrożności okazały się jednak zbędne. Uliczką odprowadzano i przenoszono rannych z frontu, który przemieszczał się w górę zbocza jedną przecznicę na wschód. Gentle, Huzzah i Bunyan przeżyli dwie nerwowe godziny, kiedy krzyki i strzały

dobiegały dosłownie ze wszystkich stron, a butelki na półkach za barem dzwoniły głośno za każdym razem, gdy ziemia zadrżała - co zdarzało się dość często. Jeden ze sklepikarzy, który wcześniej uniósł się dumą i jak niepyszny wyszedł z narady, załomotał rozpaczliwie do drzwi. Wpuścili go. Potknął się na progu, krew płynęła mu z rany na głowie, ale miał najnowsze wiadomości o zniszczeniach. Przed godziną, jak twierdził, wojsko ściągnęło artylerię, która zrównała z ziemią port i zniszczyła groblę, przez co miasto zostało odcięte od reszty dominium. To część planu autarchy, dodał. Bo czy w przeciwnym razie pozwalałby, żeby płonęły całe dzielnice? Czekał, aż miasto samo pochłonie mieszkańców; pożary nie mogły przenieść się na pałac.

- Tłum sam się zniszczy - ciągnął. - A jego nic nie obchodzi, co się z nami przez ten czas stanie. Drań! Spalą nas żywcem, a on palcem nie kiwnie, żeby nam pomóc!

Wyglądało na to, że taki scenariusz dobrze opisuje rzeczywistość. Za radą Gentle'a weszli na dach, żeby zorientować się w sytuacji. Ocean przesłaniała chmura dymu ze zgliszcz portu, następne prześwietlone płomieniami słupy dymu wzbijały się z ponad dwudziestu bliższych i dalszych dzielnic, przez ciemne od sadzy powietrze nad Oke T'Noon widać było zaśmiecające deltę rzeki resztki grobli. Odgradzona czarnymi chmurami od miasta kometa świeciła blado. Nadchodził zmierzch.

- Na nas już czas - powiedział Gentle do Huzzah.

- Dokąd pójdziemy?

- Poszukamy Pie'oh'paha. Póki jeszcze możemy.

*

Z dachu widzieli, że nie ma bezpiecznej drogi do rodzinnego kesaratu mistyfa. Rozruchy i uliczne bitwy przenosiły się z miejsca na miejsce w niemożliwy do przewidzenia sposób; opustoszały w jednej chwili zaułek mógł za moment zaroić się ludźmi, a po paru minutach zmienić się w gruzowisko. Musieli zaufać instynktowi i modlić się o odrobinę szczęścia, wybierając możliwie najkrótszą trasę. Zmierzch w Drugim Dominium trwał mniej więcej tyle co zimowy dzień w Anglii - czyli pięć, sześć godzin; ogon komety rozjaśniał niebo jeszcze długo po tym, jak jej ognista głowa zniknęła za horyzontem. Dym jednak gęstniał szybko, przesłaniał niebo i pograżał miasto w brudnym półmroku. Pożary, naturalnie, rozjaśniały krajobraz, ale tam, gdzie nic się nie paliło, nie było lamp, a mieszkańcy pozasłaniaли okna i dziurki od kluczy, panowała

nieprzenikniona ciemność. Wtedy Gentle brał Huzzah na barana, żeby z większej wysokości mogła wypatrywać punktów orientacyjnych.

Ich wędrówka była bardzo powolna. Na każdym skrzyżowaniu przystawali, żeby wybrać najbezpieczniejszą drogę; kryli się po bramach zarówno przed wojskiem autarchy, jak i przed buntownikami. Na każdego żołnierza przypadało jednak z pół tuzina gapiów, którzy niczym zbieracze śmieci na plaży uskakiwali przed każdą nadciągającą falą, by zaraz po jej przejściu wrócić na swoje punkty obserwacyjne. Czasem dosłownie igrali ze śmiercią, ale Gentle i Huzzah zmuszeni byli pójść w ich ślady. Raz po raz spychani z obranego kursu, musieli wierzyć, że instynkt wskaże im właściwy kierunek - ale w końcu instynkt ich opuścił.

Na chwilę zapadła niesamowita cisza pomiędzy wystrzałami.

- Aniołku, już nie wiem, gdzie jesteśmy - stwierdził Gentle.

Systematyczne bombardowanie zrównało kesarat z ziemią i niewiele zostało miejsc, w których można by się chować, lecz Huzzah uparła się, żeby zaraz znaleźć jakąś kryjówkę; nie mogła dłużej lekceważyć zewu natury. Kiedy Gentle postawił ją na ziemi, ruszyła w stronę stojącego nieopodal, na wpół zburzonego domu. Gentle stanął na straży przy drzwiach, ostrzegając dziewczynkę, żeby nie zapuszczała się za daleko w ruiny. Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy sam musiał się schować. Na ulicy pojawiła się grupka uzbrojonych mężczyzn. Gdyby nie broń - z pewnością zdobycza - trudno byłoby ich wziąć za rewolucjonistów. Najstarszy miał około sześćdziesięciu lat i beczkowaty tułów. Nie zdjął nawet kapelusza i krawata, w których zapewne rano wyszedł do pracy. Dwaj z jego współników byli niewiele starsi od Huzzah. Obok szła oethacka kobieta i przedstawiciel rasy znanej Gentle'owi z Vanaeph - nullianac, z głową jak złączone w modlitwie dłonie.

Gentle odwrócił się i spojrzał do tyłu, w ciemność. Chciał dać znać Huzzah, żeby była cicho, ale nigdzie jej nie widział. Zagłębił się w ruiny. Podłoga kleiła mu się pod stopami, ale nie wiedział od czego. W końcu dostrzegł małą; wstawała właśnie z kucków. Zaprotestowała na jego widok, więc uciszył ją najgłośniejszym syknięciem, na jakie się odważył. Gdzieś w pobliżu wybuchło kilka pocisków artyleryjskich. W błyskach eksplozji Gentle mógł wreszcie rozejrzeć się po ich kryjówce. Jadalnia, stół nakryty do kolacji, martwa kucharka pod stołem, podłoga lepka od jej krwi... Skinął na Huzzah,

przytulił ją mocno i razem wrócili pod drzwi. Kolejne eksplozje kazały grupie szabrowników szukać schronienia w bramie i oethacka kobieta zauważyła Gentle'a, zanim zdążył się usunąć w cień. Krzyknęła i jeden z chłopców strzelił na oślep w mrok. Odbity tynk i drzazgi zafurkotały w powietrzu. Gentle odciągnął Huzzah od drzwi, przez które musieli wejść napastnicy, kazał się jej schować i wziął głęboki wdech. Chłopak z karabinem stanął na progu i znów nacisnął cyngiel, nie patrząc, gdzie sieje kulami. Gentle uwolnił pneumę. Nie docenił jej siły - strzelec w mgnieniu oka zniknął, a wraz z nim futryna i znaczna część ściany po obu stronach drzwi.

Zanim opadł kurz i reszta rabusiów wpadła do pokoju, Gentle rzucił się na poszukiwanie Huzzah, ale ściana, pod którą ją zostawił, popękała i wygięła się jak kamienna fala. Zawołał dziewczynkę. Mur runął, ale Huzzah odpowiedziała mu gdzieś z lewej strony. Wpadła w ręce nullianaca i przez jedną przerażającą chwilę wydawało się, że zaraz zginie, lecz nullianac przytulił ją jak lalkę i zniknął w następnym obłoku kurzu.

Nie oglądając się za siebie, Gentle pobiegł za nim. To był błąd. Zdążył zrobić dwa kroki, gdy oethacka kobieta dźgnęła go czymś ostrym w krzyż. Padł na kolana. Rana nie była głęboka, ale zaparło mu dech przy upadku. Gdyby odruchowo nie odturlał się na bok, drugi cios rozłupałby mu czaszkę. Mokry od jego krwi nadziak, który trzymała w dłoni, wbił się w podłogę. Zanim zdążyła go wyciągnąć, Gentle pozbierał się i pobiegł za Huzzah i porywaczem. Drugi chłopak biegł za nullianakiem i darł się jak opętany. Albo się schlał, albo naćpał, uznał Gentle, podążając za jego głosem tam, gdzie dym ograniczał widoczność. Wybiegli ze zrujnowanej dzielnicy i znaleźli się w kesparacie, który niewiele ucierpiał w zamieszkach.

Nie bez powodu. To była dzielnica uciech seksualnych i interesy kwitły. Tak wąskie uliczki widział w Yzorderrex po raz pierwszy, ale w oknach i drzwiach wszędzie paliły się lampy i świece, żeby jak najlepiej oświetlić wystawiający się w niedbałej pozie towar. Nawet przelotny rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że zakres usług pozostawił daleko w tyle najbardziej rozpustne dzielnice Bangkoku i Tangerangu. Na brak klientów też nikt nie mógł narzekać. Bliskość śmierci chyba dodatkowo zwiększała popyt. Nawet jeśli alfonsi i handlarze ciał, którzy na wyścigi oferowali biegnącemu Gentle'owi najlepsze kąski w swojej kolekcji, mieli nie dożyć rana, chcieli umrzeć bogaci. Naturalnie widok nullianaca uciekającego z dziesięcioletnim dzieckiem na rękach nikogo w takim miejscu

nie gorszył, toteż okrzyki Gentle'a, żeby go zatrzymać, nie wywołały żadnej reakcji.

Im dalej biegli, tym bardziej gęstniał tłum i w końcu nie dość, że stracił z oczu porywacza, to jeszcze przestał słyszeć wydzierającego się chłopaka. Od głównej ulicy (Lubieżnej, jak głosił wymalowany na ścianie burdelu napis) odchodziły mniejsze, ciemniejsze; nullianac mógł się ukryć w każdej z nich. Gentle zawołał Huzzah, ale zagłuszyły go głosy naganiaczy i targujących się z nimi klientów. Chciał już pobiec dalej, gdy z najbliższej przecznicy wynurzył się mężczyzna z dziwnym wyrazem twarzy. Gentle złapał go za rękę, ale nieznajomy wyrwał się i uciekł.

Kilkadziesiąt kroków dalej płonęła sterta materaców, podsycana przez kobietę w masce. Owady, które załęgły się w materiale, próbowały uciekać przed ogniem; podfrwały na osmolonych skrzydłach, ale kobieta rozgniatała je na miejscu. Uchylając się przed jej wymachami, Gentle zapytał o nullianaca. Skinieniem głowy wskazała mu drugi koniec uliczki. Na ziemi roilo się od robactwa, które wypełzło z materaców. Przy każdym kroku miażdżył pod podeszwą setkę chitynowych pancerzyków, dopóki nie oddalił się od ogniska. Jasno oświetlona ulica Lubieżna została daleko z tyłu. Bombardowanie trwało bez przerwy. Eksplozje pocisków na stoku góry krótkimi, oślepiającymi błyskami rozświetlały mroczny zaułek. Drzwi i okna w domach były zabite deskami lub zamurowane, uliczka wąska i brudna, niewiele szersza niż rynsztok, dławiący się śmieciami i zgniłym jedzeniem. Odór rozkładu przyprawiał o mdłości, ale Gentle wciągał go głęboko do płuc, mając nadzieję, że zrodzona z niego pneuma będzie miała większą moc. Ci, którzy uprowadzili Huzzah, już zasłużyli na śmierć, ale jeśli zrobili jej jakąś krzywdę, przysięgał w duchu, że zrewanżuje się z nawiązką, zanim ich zabije.

Uliczka kluczyła, a miejscami zwężała tak bardzo, że tylko jeden człowiek mógł się przecisnąć. Gentle wkrótce usłyszał znajomy wrzask chłopca. Brodził w sięgającej do pół łydki warstwie odpadków, aż dostrzegł przed sobą światło. Kilka metrów dalej uliczka się kończyła. Nullianac przykucnął i oparł się plecami o ścianę naprzeciwko. Źródłem światła nie była żadna lampa ani płomień, lecz jego głowa. Między tworzącymi ją dłońmi lśnił łuk elektryczny.

W migotliwym świetle wyładowań Gentle dostrzegł swojego aniołka. Huzzah leżała na ziemi. Nie poruszała się, miała zamknięte oczy i całkiem bezwładne ciało, za co

Gentle w duchu dziękował niebiosom, widząc, co robi nullianac. Stwór rozebrał ją od pasa w dół i obmacywał długimi, bladymi palcami. Chłopak, który przez całą drogę pokrzykiwał radośnie, stał nieopodal z rozpiętym rozporkiem. W jednej ręce trzymał karabin, w drugiej na wpół stwardniały członek. Od czasu do czasu mierzył z karabinu w głowę Huzzah i wydawał swój charakterystyczny okrzyk. Gentle miał ochotę od razu, nie ruszając się z miejsca, zabić ich obu pneumą, bał się jednak, że nie ma jeszcze dość wprawy we władaniu mocą i mógłby zrobić krzywdę dziewczynce. Podszedł więc nieco bliżej. Wybuch w położonym wyżej kesparacie rozświetlił scenę brutalnym blaskiem. Mignęły mu palce nullianaca i usłyszał jęk Huzzah. Ścisnęło go w dołku. Mrok znów zgęstniał i tylko łeb nullianaca rzucał słabą poświatę na cierpiące dziecko. Chłopak umilkł i stał nieruchomo. Nie odrywał wzroku od rozgrywającej się przed nim sceny. Nullianac podniósł głowę i wypowiedział kilka słów, które zadudniły w komorze między połówkami jego czaszki. Krzykacz odsunął się jeszcze trochę - posłusznie, choć bez entuzjazmu. Zbliżał się krytyczny moment. Głowa nullianaca zapłonęła ze zdwojoną mocą, jego dłonie gmerały przy Huzzah, jakby chciał ją jak najlepiej ułożyć, zanim wystrzeli swój ładunek. Gentle wziął głęboki wdech. Jeżeli miał uratować Huzzah, musiał zaryzykować, że zrobi jej krzywdę.

Krzykacz usłyszał go i odwrócił się, patrząc w ciemny wylot uliczki. Ekspłodował następny pocisk i z góry spłynęła na nich trupio blada poświata. Chłopak zobaczył Gentle'a i strzelił serią, ale albo brak wprawy, albo podniecenie nie pozwoliły mu należycie wycelować. Nie trafił, a Gentle nie dał mu drugiej szansy. Oszczędzając pneumę na nullianaca, doskoczył, wytrącił chłopcu broń z ręki, podciął go i przewrócił. Dzieciak wciąż miał karabin na wyciągnięcie ręki, ale kiedy po niego sięgał, Gentle zmiażdżył mu palce i z gardła chłopaka dobył się zupełnie inny okrzyk niż dotychczas.

Nullianac podniósł ognisty łeb. Wyładowania brzmiały jak strzały z bata. Gentle przytknął pięść do ust i wypuścił pneumę. W tej samej chwili leżący obok krzykacz szarpnął go za nogę. Zabójczy pocisk dosięgnął nullianaca, ale zamiast w głowę, trafił go w bok i nie zadał śmiertelnej rany. Dzieciak pociągnął mocniej i Gentle przewrócił się w błoto obok niego. Uderzył zranionymi plecami o ziemię. Przed oczami zamigotały mu czarne plamy, a zanim wzrok mu wrócił, krzykacz zdążył się pozbierać i grzebał przy pasku, szukając innej broni. Gentle zerknął na nullianaca - stwór osunął się na ścianę i

siedział z odrzuconą w tył głową. Spomiędzy tworzących ją dłoni tryskały iskry. Nie dawały wiele światła, ale wystarczyły, żeby Gentle wypatrzył leżący tuż obok karabin. Sięgnął po niego i wycelował w krzykacza. Mierzył nie w głowę i nie w pierś, lecz prosto w krocze - cel był mniejszy, ale dzieciak natychmiast wypuścił broń.

- Niech pan tego nie robi! - zawył.

- Pas... - powiedział Gentle, wstając.

Chłopak posłusznie odpiął pas i pozbył się skradzionego arsenału.

Kolejny błysk eksplozji ukazał Gentle'owi roztrzęsione, żalosne i bezbronne dziecko. Jakikolwiek zbrodnie popełniło, jego śmierć nikomu nie przyniosłaby chwały.

- Wracaj do domu. Jak cię jeszcze raz zobaczę...

- Nie zobaczy mnie pan! Przysięgam! Przysięgam, że nie!

Krzykacz nie dał Gentle'owi czasu na zmianę decyzji, lecz uciekł, zanim jeszcze zgasło światło ostatniego wybuchu. Z karabinem w rękach Gentle odwrócił się do nullianaca, który opierając się o ścianę, zdołał wstać z ziemi. Obie dłonie przytknął do miejsca, w które trafiła go pneuma; palce miał czerwone od krwi. Gentle miał nadzieję, że ten stwór bardzo cierpi, ale nie mógł mieć pewności, dopóki nullianac się nie odezwał. Kiedy przemówił i słowa popłynęły z jego czaszki, ledwie można je było zrozumieć:

- Które z was... Ciebie czy ją? Jedno zabiję, zanim umrę. Kogo wybierasz?

- Ja zabiję cię wcześniej. - Gentle wycelował karabin w głowę nullianaca.

- To możliwe, zdaję sobie z tego sprawę. Pod Patashoqua zabiłeś mojego brata.

- Brata?

- Jest nas mało. Wiemy, co się z każdym dzieje.

- Jak będziesz grzeczny, to nie zrobi się was jeszcze mniej. - Gentle zrobił krok w stronę Huzzah, nie spuszczając nullianaca z oka.

- Żyje - uspokoił go porywacz. - Nie zabiłbym nic tak młodego, nie tak szybko.

Młode zasługują na powolną śmierć.

Gentle zaryzykował spojrzenie na dziewczynkę. Huzzah miała szeroko otwarte oczy. Przyglądała mu się przerażona.

- Wszystko w porządku, aniołku - uspokoił ją. - Nic ci się nie stanie. Możesz chodzić?

Przeniósł wzrok na nullianaca. Żałował, że nie rozumie, co znaczy taniec płomieni

w jego czaszce. Czy rana okazała się poważna i oszczędzał siły, żeby szybciej wrócić do zdrowia? Czy raczej czekał na dogodny moment, żeby zaatakować?

Huzzah usiadła z wysiłkiem, pojękując z bólu. Miał ochotę utulić ją i pocieszyć, ale odważył się tylko przykucnąć obok niej i po omacku znaleźć ubranie, które zdarł z niej nullianac.

- Możesz chodzić, aniołku?

- Nie wiem - odparła przez łzy.

- Spróbuj. Pomogę ci.

Wyciągnął do niej rękę, ale odsunęła się, wykrztusiła „nie” i sama wstała.

- Świetnie, malutka - ucieszył się Gentle. Płomyki w głowie nullianaca wyraźnie się ożywiły. - Teraz zacznij iść, aniołku. Nie martw się o mnie. Zaraz cię dogonię.

Powoli, nie mogąc jeszcze opanować łkania, Huzzah posłusznie ruszyła w stronę wylotu uliczki.

- Co za widok - mruknął nullianac. - Serce mi pęknie. - Wyładowania w jego głowie wydawały już znajomy trzask, na razie przypominający słyszane z daleka fajerwerki. - Co byłbyś gotów zrobić, żeby ją ocalić?

- Wszystko.

- Oszukujesz sam siebie. Kiedy zabiłeś mojego brata, rozpytywaliśmy o ciebie, ja i inni krewni. Wiemy, jaki z ciebie nędzny zbawiciel. Co znaczy moja zbrodnia w porównaniu z twoją? To nic wielkiego, popełniłem ją, ponieważ miałem na to ochotę. Ale ty... ty... zniweczyłeś nadzieje wielu pokoleń. Zniszczyłeś owoce drzew wielkich ludzi. Mimo to śmiesz twierdzić, że poświęciłbyś życie, żeby ratować jej duszyczkę?

Dziwna była nie tylko nagła elokwencja nullianaca, ale także treść jego słów. Co to za bzdury?! Łgał jak z nut, to oczywiste, ale odwrócił uwagę Gentle'a na ten jeden krytyczny moment. Zareagował natychmiast, gdy tylko zauważył niepewność przeciwnika. Mimo że dzieliły ich najwyżej dwa metry, Gentle wychwycił trwającą ułamek sekundy ciszę, która oddzielała błysk od odgłosu strzału. Ta pustka najlepiej potwierdzała, że nędzny z niego zbawiciel. Śmierć już wybiegła dziewczynce na spotkanie.

Odwrócił się i ujrzał Huzzah w głębi uliczki. Albo postanowiła na niego zaczekać, albo słuchała przemowy nullianaca - w każdym razie zwróciła się twarzą na spotkanie

śmierci. Czas jednak zwolnił bieg. Gentle zdążył zobaczyć smutne oczy dziecka i wysychające łzy na policzkach; zdążył nawet krzyknąć. Huzzah zamknęła oczy i jej twarz stała się czystą kartą, na której mógł wypisać słowa każdego oskarżenia, jakie podsuwało mu sumienie.

I wtedy trafił ją ładunek z głowy nullianaca. Uderzył z pełną mocą, ale nie zranił jej ciała. Przez ułamek sekundy Gentle łudził się nadzieją, że znalazła jakiś sposób, żeby się przed nim obronić. Strzał nullianaca był jednak bardziej zdradziecki od kuli czy noża. Z miejsca, w które trafił, światło rozlało się po ciele Huzzah, sięgnęło jej twarzy, gdzie przez wszystkie możliwe otwory wniknęło do wnętrza i spłynęło w dół, do miejsca, którego już wcześniej dotykały palce zabójcy.

Gentle krzyknął jeszcze raz, z obrzydzenia. Odwrócił się do nullianaca, uniósł zapomniany na chwilę karabin i strzelił mu w serce. Nullianac poleciał bezwładnie na ścianę, ale jego czaszka wciąż jarzyła się morderczym blaskiem. Kiedy Gentle ponownie spojrzął na Huzzah, światło pożerało ją od środka. Rozpływała się w powietrzu i śladem zabójczego promienia zdążyła prosto do komory, z której wytrysnął. Na oczach Gentle'a twarz dziewczynki rozpadła się, jej ręce, i tak chude, stały się niematerialne i Huzzah spłynęła do czaszki nullianaca. Zanim jednak stwór pochłonął ją całkowicie, odczuł skutek strzału z karabinu. Świetlisty strumień mocy zamigotał, popękał, a wreszcie zgasł. Zapadła ciemność i przez chwilę Gentle nie widział nawet zwłok nullianaca. Kiedy jednak nasilił się ostrzał wyższych dzielnic, ujrzał w błyskach eksplozji martwego stwora na ziemi.

Przyglądał mu się podejrzliwie, spodziewając się jakiegoś ostatniego aktu zemsty, ale nic się nie stało. Światło przygasło. Wycofał się tą samą uliczką, którą przyszedł. Ciążyły mu nie tylko wyrzuty sumienia z powodu śmierci Huzzah, ale też niemożność zrozumienia, co się właściwie stało. W krótkich słowach można by to ująć tak: dziecko, którym się opiekował, zostało uprowadzone i zabite, a on nie zdołał temu zapobiec. Za długo jednak wędrował po dominiach, żeby zadowalać się prostymi wyjaśnieniami. Z pewnością i tutaj chodziło o coś więcej niż niespełniona żądza i gwałtowna śmierć. Słowa, które usłyszał od nullianaca, bardziej pasowały do uniwersyteckiej katedry niż do rynsztoka. Sam nazwał Huzzah aniołkiem, prawda? Czy tuż przed śmiercią nie zmieniła się w anioła, który wie, że zginie, i godzi się ze swoim losem? Czy nullianac nie nazwał

go niedoskonałym zbawicielem? Czy zabijając dziewczynkę, nie udowodnił mu, że ma rację? Wszystko to były podniosłe słowa, ale Gentle musiał wierzyć, że są jak najbardziej na miejscu - nie po to, żeby zadośćuczynić swoim mesjanistycznym fantazjom, lecz by ukoić wzbierający w nim smutek. Musiał żyć nadzieją, że jest w tym wszystkim jakiś wyższy cel, który zrozumie, gdy czas się wypełni.

Wybuch rozjaśnił uliczkę. Cień Gentle'a padł na jakiś drgający w rynsztoku kształt. Nie od razu się zorientował, co ma przed sobą, ale gdy to do niego dotarło, zawył z rozpacz. Huzzah nie zniknęła bez śladu. Resztki jej skóry i skrawki mięśni, porzucone, gdy moc nullianaca wygasła, opadły między śmieci i poruszały się jeszcze. Nie dało się jej rozpoznać. Łzy napłynęły mu do oczu. Wyciągnął rękę, lecz zanim musnął szczątki Huzzah, życie odpłynęło z nich ostatecznie.

Wstał. Czuł narastający gniew. Miał dość brudu pod stopami i pustych domów nad rynsztokiem; brzydził się samego siebie, bo on przeżył, a aniołek musiał zginąć. Odwrócił się do najbliższej ściany, nabrał powietrza w płuca i przytknął do ust nie jedną, lecz obie pięści, zamierzając przynajmniej pogrzebać zwłoki dziecka.

Pneuma zaczerpnęła moc z jego złości i odrazy. Gdy wystrzeliła z jego dłoni, przebiła nie jedną ścianę, lecz kilka; wchodziła w nie jak pocisk z pistoletu w talię kart. Odłamki kamienia fruwały w powietrzu, domy waliły się w gruzy i każdy pociągał za sobą następny; chmura kurzu rosła w miarę, jak rozszerzało się gruzowisko.

Gentle pobiegł przed siebie zaułkiem, próbując prześcignąć pneumę. Zaczynał się bać. Pneuma kierowała się w stronę Lubieżnej, gdzie kłębił się nieświadomy niczego tłum. Naturalnie ci, którzy się tam znaleźli, zdawali sobie sprawę z otaczającego ich zepsucia i w nim uczestniczyli, ale nie zasługiwali na śmierć. Zaczął żałować, że nie może równie łatwo przywołać pneumy z powrotem, wchłonąć jej do płuc. Mógł tylko biec za nią i modlić się, żeby burząc domy, wyczerpała swą energię, zanim uderzy w tłum.

W deszczu odłamków majaczyła mu już ulica Lubieżna. Przyspieszył i zdołał minimalnie wyprzedzić pneumę, gdy ujrzał tabuny klientów. Przybyło ich od czasu, gdy skręcił w zaułek. Niektórzy odrywali się od podziwiania wystaw i obserwowali postępujące zniszczenia. Widział ich wytrzeszczone oczy i szeroko otwarte usta; uśmiechali się i kręcili z niedowierzaniem głowami, ale nikt nie rozumiał zagrożenia.

Zdając sobie sprawę, że ostrzegawcze krzyki utoną w ogólnej wrzawie, dobiegł do końca uliczki i rzucił się z impetem w tłum. Chciał roztrącić i rozproszyć ludzi, lecz jego rozpaczliwe próby przyciągnęły tylko następnych widzów, którzy w dodatku szybko zainteresowali się walącym się w gruzy zaułkiem. Dopiero teraz pojedynczy gapie zaczęli pojmować, co się za chwilę stanie; wyraz zaciekawienia na ich twarzach ustępował przerażeniu. Kiedy inni podchwycili ich niepokój i rzucili się do ucieczki, było już za późno.

Pneuma uderzyła jak piorun. Przenarła się przez ostami mur, sypnęła dookoła zabójczym deszczem kamieni i drewna, i trafiła w największe skupisko ludzi. Gdyby Hapexamendios w napadzie boskiego gniewu chciał oczyścić Lubieźną z grzechu, naprawdę trudno byłoby mu zrobić to lepiej. Tłum w mgnieniu oka zmienił się w krwawą miazgę.

Znajdujący się w samym jego środku Gentle uszedł z masakry cało. Patrzył, jak jego tajna broń sieje zniszczenie. Wyglądało na to, że przebicie kilkunastu domów wcale jej nie osłabiło. W dodatku po tym, jak wycięła w tłumie krwawy szlak, zboczyła z trajektorii, jaką wyznaczyło jego dmuchnięcie. Poczwała krew. Zamierzała unicestwić wszelkie życie.

Ta myśl nim wstrząsnęła. Nie chciał, żeby do tego doszło. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko zastąpić pneumie drogę, co też natychmiast uczynił. Kilkakrotnie już użył płynącej z płuc mocy - zabił nullianaca w Vanaeph, dwa razy przydała mu się w górach, raz na wyspie, gdy uciekali z przytułku Vigora N'ashapa - ale cały czas miał mętne pojęcie o tym, jak właściwie wygląda pneuma. Czy przypomina ogniste zionięcie smoka, czy raczej niewidzialny pocisk utworzony z energii i powietrza? Może to drugie przypuszczenie było bliższe prawdy, ale stanąwszy na drodze pneumy, przekonał się, że w locie osiadły na niej kurz i krew, dzięki którym stała się widzialna. I upodobniła się do swego stwórcy. Widział pędzącą ku niemu własną twarz, z grubą ciosaną, ale identyczną: czoło, oczy, usta otwarte w chwili wydechu, z którego pneuma wzięła swój początek. Nie zwolniła, lecz uderzyła go prosto w pierś - tak jak wielu innych przed nim. Poczwał wstrząs, ale się nie przewrócił. Wróciwszy do źródła, moc rozplynęła się w jego ciele; poczuł mrowienie w palcach, zaświerbiła go skóra czaszki. Wszystko trwało ułamki sekund. Zniknęła i został sam wśród zniszczeń i trupów. Stał z rozłożonymi ramionami.

Kurzawa wolno osiadała.

Zrobiło się cicho. Gdzieś z daleka słyszał szloch rannego człowieka i łoskot walącej się ściany, ale otaczała go pełna szacunku cisza. Ktoś nieopodal uklęknął. Gentle pomyślał, że pewnie próbuje pomóc któremuś z rannych, ale po chwili ujrzał wyciągnięte w jego stronę ręce i usłyszał głośne, pełne uwielbienia okrzyki. Następny człowiek padł na kolana, po nim dalsi, jak gdyby doczekali się wreszcie jakiegoś znaku. Długo powstrzymywane wyrazy boskiej czci płynęły wprost z ich serc.

Zdegustowany Gentle odwrócił się od pałających wdzięcznością twarzy. Miał tylko jeden cel - odszukać Pie i schronić się przed tym obłędem w jego ramionach. Wyszedł z kręgu wiernych i ruszył do góry, nie zwracając uwagi na wyciągnięte ręce i okrzyki uwielbienia. Chciał zbesztać ich za naiwność, ale na nic by się to nie zdało. Jakiegokolwiek słowa z jego ust - choćby najbardziej samokrytyczne - potraktowano by zapewne jako przyczynek do jakiejś ewangelii. Milczał więc i szedł ze spuszczoną głową, klucząc wśród trupów i kamieni. Hosanny ściagały go po całej Lubieżnej, ale udawał, że ich nie słyszy, choć ta obojętność mogła mu zostać poczytana za boską skromność.

Pobojowisko u wylotu bocznej uliczki wyglądało przerażająco. Ruszył przez nie na oślep. Nic nie mogło go już przerazić, po tym jak widział drgające w błocie szczątki Huzzah - i słyszał dobiegające zza jego pleców pochwalne hymny. Ci, którzy je śpiewali, nie wiedzieli, że wybawca Lubieżnej był zarazem jej katem, ale pieśni nie brzmiały przez to mniej kusząco.

ROZDZIAŁ 34

1

Wszelka radość, jakiej świadkami były wnętrza chianculi (cyrk obchodził się bez kłownów i kucyków, ale i tak każdy przedsiębiorca rozrywkowy z Piątego Dominium dałby się pokroić, żeby go mieć u siebie), zniknęła bez śladu. Rozległe, dudniące echem sale stały się miejscem żałoby i sądu. Dzisiaj oskarżonym był Pie'oh'pah, oskarżycielem zaś - jeden z niewielu prawników, jacy ocaleli z organizowanych na zlecenie autarchy czystek, astmatyczny, wiecznie skwaszony Thes'reh'ot. Tym razem publiczność składała się z dwóch osób - Pie'oh'paha i sędziego - ale Thes'reh'ot wygłaszał litanie przestępstw oskarżonego z taką swadą, jakby sala była wypełniona po brzegi. Win mistyfa wystarczyłoby, żeby kilkanaście razy skazać go na karę śmierci. Pie'oh'pah był z pewnością zdrajcą i tchórzem, a najprawdopodobniej także donosicielem i szpiegiem. Najgorsze, czego się dopuścił, to opuszczenie rodzimego dominium i osiedlenie się w innym bez zgody rodziny i nauczycieli. Odmówił w ten sposób swojemu ludowi przywileju obcowania ze swoją niezwykłą istotą. Czy w swej arogancji zapomniał, że kondycja mistyfa jest rzeczą świętą i że prostytuując się w innych światach (jakby tego było mało, musiał wybrać akurat Piąte Dominium - grzędawisko, gdzie żyły najgorsze męty!), grzeszył nie tylko przeciw sobie, ale i przeciw swojemu gatunkowi? Opuszczał dom w czystości, a śmiał wrócić splugawiony i zepsuty, w towarzystwie istoty z Piątego Dominium, w dodatku oświadczył, że ta istota jest jego mężem!

Pie spodziewał się niemiłego przyjęcia - jego lud szczylił się znakomitą pamięcią i hołubił tradycję jako jedyny łącznik z Pierwszym Dominium - lecz zdumiała go zaciekłość mowy oskarżycielskiej. Sędzina Culus'su'erai była kobietą wielkiej powagi i niepozornej postury. Siedziała okutana szatą równie bezbarwną jak jej skóra i słuchała litanii grzechów, nie patrząc ani na oskarżyciela, ani na podsądnego. Kiedy Thes'reh'ot

skończył, przyznała mistyfowi prawo do obrony. Pie zrobił co w jego mocy.

- Przyznaję, że popełniłem liczne błędy. Przede wszystkim porzuciłem rodzinę i mój lud, nie mówiąc im ani dokąd się wybieram, ani po co. Moje wytłumaczenie jest proste. Sam tego nie wiedziałem. Miałem szczerzy zamiar wrócić po roku, może dwóch; wydawało mi się, że wszyscy z przyjemnością usłyszą, jak opowiadam o swojej podróży. Wróciłem więc, jednak nie ma mnie kto słuchać.

- Co cię podkusiło, żeby udać się do Piątego Dominium? - spytała Culus.

- Kolejna pomyłka z mojej strony. W Patashoqua poznałem teurga, który zaproponował, że mnie tam zabierze. Zabawimy tam dzień, powiedział, i zaraz wracamy. Krótki skok. Jeden dzień. Uznałem, że to świetny pomysł. Zapłaciłem więc...

- W jaki sposób? - wtrącił Thes'reh'ot.

- Gotówką i paroma drobnymi przysługami. Nie prostytuowałem się, jeśli to chciał pan zasugerować. Chociaż może to też był błąd, może gdybym z nim poszedł, dotrzymałby słowa... A tak odprawił rytuał i znalazłem się w In Ovo.

- Jak długo tam przebywałeś? - spytała Culus'su'erai.

- Nie wiem. Cierpienie w In Ovo zdaje się nie mieć końca, ale w rzeczywistości mogło trwać tylko kilka dni.

Thes'reh'ot prychnął pogardliwie.

- Sam sobie przysporzył tych cierpień, Wysoki Sądzie. Jaki to ma związek ze sprawą?

- Może nie mieć żadnego - zgodziła się Culus'su'erai. - Z In Ovo do Piątego Dominium przywołał cię jakiś maestro, tak?

- Tak, Wysoki Sądzie. Nazywał się Sartori. Reprezentował Piąte Dominium w pracach Synodu podczas przygotowań do Pojednania.

- Służyłeś mu?

- Tak.

- W jaki sposób?

- W każdy, jakiego sobie zażyczył. Byłem jego chowańcem.

Thes'reh'ot parsknął zdegustowany. On wcale nie udaje, pomyślał Pie. Myśl, że jeden z jego pobratymców - zwłaszcza obdarzony takim darem jak mistyf - mógłby służyć homo sapiens, była szokująca.

- Czy twoim zdaniem Sartori był dobrym człowiekiem? - spytała Culus.

- To była taka sama paradoksalna natura, jak oni wszyscy. W najmniej oczekiwanych chwilach przejawiał i współczucie, i okrucieństwo. Miał nadmiernie wybujałe ego, ale wydaje mi się, że inaczej nie mógłby przyjąć na siebie odpowiedzialności związanej z Pojednaniem.

- Był wobec ciebie okrutny?

- Słucham, Wysoki Sądzie?

- Nie rozumiesz pytania?

- Rozumiem, ale nie widzę związku ze sprawą.

Culus'su'erai chrząknęła z niezadowoleniem.

- Sąd obraduje może z mniejszą pompą niż dawniej, to fakt. Jego funkcjonariusze się postarzeni, ale ich władza nie uległa umniejszeniu. Rozumiesz mnie, mistyfie? Kiedy zadaję pytanie, oczekuję szybkiej i szczerej odpowiedzi.

Pie wymamrotał przeprosiny.

- Dobrze... Powtórzę teraz moje pytanie. Czy Sartori był wobec ciebie okrutny?

- Czasem tak.

- Lecz mimo to po nieudanej próbie Pojednania postanowiłeś z nim zostać i nie wracać do rodzimego dominium?

- Przywołał mnie z In Ovo. To mnie zniewoliło. Nie miałem prawa go opuścić.

- Niemożliwe! - stwierdził Thes'reh'ot. - Mamy uwierzyć...

- Chyba nie słyszałam, żeby prosił pan o głos, prawda?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Chce pan zadać oskarżonemu pytanie?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Nie wyrażam zgody. - Culus'su'erai zwróciła się do Pie: - Chyba sporo się nauczyłeś w Piątym Dominium, mistyfie. Tym gorzej dla ciebie. Jesteś arogancki, przebiegły i pewnie nie mniej okrutny od swojego maestra. Nie wierzę jednak, byś był szpiegiem. Gorzej, jesteś głupcem. Odwróciłeś się plecami do tych, którzy cię kochali. Dałeś się zniewolić człowiekowi, który odpowiada za śmierć wielu dobrych mieszkańców Imajiki. Widzę, że chce pan coś koniecznie powiedzieć, Thes'reh'ot. Byle szybko. Zaraz wydam wyrok.

- Chciałem przypomnieć, że szpiegostwo nie jest jedynym zarzutem, jaki na nim ciąży, Wysoki Sądzie. Popełnił poważne wykroczenie przeciwko swoim bliskim, odmawiając im swojej osoby.

- Nie wątpię. Szczerze mówiąc, ta splugawiona istota, która kiedyś otarła się o doskonałość napawa mnie obrzydzeniem. Pozwoli pan jednak, że przypomnę, jak niewiele nas zostało, Thes'reh'ot. Nasze plemię prawie nie istnieje. Mistyf jest ostatnim członkiem swojego rodu.

- Ostatnim? - zdziwił się Pie.

- Tak, ostatnim! - Głos Culus'su'erai drżał. Wstała z miejsca. - Podczas gdy ty zabawiałeś się beztrosko w Piątym Dominium, nasz lud został zdziesiątkowany. W mieście została nas niespełna pięćdziesiątka, pozostali albo zginęli, albo uciekli. Twój ród nie istnieje, Pie'oh'pahu: ci, których nie wymordowano, pomarli z żalu.

Mistyf ukrył twarz w dłoniach, ale Culus'su'erai nie oszczędziła mu reszty:

- Dwa inne mistyfy wyszły cało z czystek i żyły tu aż do zeszłego roku. Jeden zginął tu, w chianculi, kiedy opiekował się chorym dzieckiem. Drugi uszedł na pustynię. Tam, na skraju Pierwszego Dominium, mieszkają niebytowcy. Żołnierze autarchy niechętnie zapuszczają się tak blisko Wybielu, ale złapali mistyfa, zanim znalazł namioty niebytowców. Przywieźli jego ciało z powrotem i powiesili na bramie. - Culus podeszła do płaczącego mistyfa. - Sam widzisz. Być może, postąpiłeś właściwie, choć kierowałeś się złymi przesłankami. Gdybyś został z nami, już byś nie żył...

- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie - przerwał jej Thes'reh'ot.

- O co panu chodzi? Chce pan przelać krew tego głupca, żeby połączyła się z morzem już przelanej? Nie. Powinniśmy wykorzystać to, że został splugawiony.

Pie spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Może jesteśmy zbyt czyści, zbyt przewidywalni; może za łatwo jest przejrzeć nasze podstępny i odkryć nasze spiski. Ale ty, mistyfie... Ty przybywasz z innego świata. Jesteś silniejszy od nas. - Culus'su'erai westchnęła. - Oto wyrok: dobierz sobie ochotników spośród nas i zabijcie naszego wroga. Jeżeli nikt do ciebie nie dołączy, idź sam. Nie wracaj tu, mistyfie, dopóki serce autarchy będzie biło.

Thes'reh'ot roześmiał się głośno.

- Znakomicie! - zawołał. - Znakomicie!

- Miło mi, że mój wyrok pana rozbawił. Może pan odejść, Thes'reh'ot. -
Oskarżyciel chciał jeszcze zaprotestować, ale kiedy sędzina krzyknęła: - Powiedziałam,
że może pan odejść! - skrzywił się, jakby go spoliczkowała.

Uklonił się sztywno, mamrocząc pod nosem jakieś chłodne pożegnanie, i wyszedł.
Culus'su'erai odprowadziła go wzrokiem.

- Wszyscy staliśmy się okrutni - powiedziała. - Ty na swój sposób, my na swój. -
Spojrzała na Pie'oh'paha. - Wiesz, dlaczego się śmiał, mistyfie?

- Ponieważ uznał, że Wysoki Sąd wydał w istocie wyrok śmierci?

- Tak, to właśnie pomyślał. Kto wie, może ma rację... Ale może właśnie dziś jest
ostatnia noc tego dominium i rzeczy ostateczne mają dziś większą moc niż kiedykolwiek
przedtem.

- A ja jestem ostatni.

- Właśnie.

- Rozumiem. - Mistryf pokiwał głową. - To sprawiedliwe.

- Świetnie. - Mimo że proces dobiegi końca, żadne z nich się nie poruszyło. -

Chcesz o coś zapytać?

- Tak.

- Zrób to teraz.

- Czy szaman Arae'ke'gei żyje?

Culus'su'erai uśmiechnęła się lekko.

- Ciekawa byłam, kiedy o niego zapytasz. Był jednym z tych, którzy przeżyli próbę
Pojednania, prawda?

- Zgadza się.

- Słabo go znałam, lecz słyszałam, jak o tobie opowiadał. Długo walczył ze
śmiercią, inni wcześniej by się poddali, ale on powtarzał, że wrócisz. Nie wiedział,
naturalnie, że twój maestro cię spętał. - Jej słowa nie brzmiały szczerze. Wbiła w Pie
przeszywające spojrzenie. - Dlaczego nie wróciłeś, mistyfie? Nie opowiadaj mi bajek o
tym, że nie miałeś prawa. Gdybyś się bardziej do tego przyłożył, zrzuciłbyś więzy,
zwłaszcza w zamieszaniu, jakie zapanowało po próbie Pojednania. Ale tego nie zrobiłeś.
Wolałeś zostać z tym żalonym Sartorim, chociaż twój lud padł ofiarą jego
niekompetencji.

- Sartori się załamał, a ja byłem dla niego kimś więcej niż chowańcem. Byłem jego przyjacielem. Nie mogłem go zostawić.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego. - Culus'su'eraï zbyt długo była sędzią, żeby nie zauważyć nadmiernego uproszczenia w jego słowach. - O co chodziło, mistyfie? Dziś jest ostatnia noc, pamiętasz? Jeśli teraz mi nie powiesz, możesz już nie mieć okazji.

- Dobrze. Zawsze miałem nadzieję, że ktoś podejmie ponowną próbę Pojednania. Nie ja jeden zresztą.

- Arae'ke'geï też o tym marzył?

- Tak.

- To dlatego o tobie pamiętał. I długo żył. Czekał, aż wrócisz. - Culus'su'eraï pokręciła głową. - Dlaczego nie porzucisz tych mrzonek? Nie ma mowy o Pojednaniu. Prędkiej o rozkładzie. Imajica rozpadnie się i odizolowane dominia będą wegetować samotnie.

- To smutna wizja.

- Ale uczciwa. I rozsądna.

- W każdym dominium są ludzie, którzy chcieliby jeszcze raz spróbować. Czekali na swą szansę dwieście lat i łatwo z niej nie zrezygnują.

- Arae'ke'geï zrezygnował. Zmarł dwa lata temu.

- Ja... Liczyłem się z tym. Był już stary, kiedy widziałem go po raz ostatni.

- Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale umierał z twoim imieniem na ustach. Wierzył do końca.

- Są tacy, którzy potrafią zastąpić go w ceremonii.

- Miałam rację. Jesteś głupcem. - Culus podeszła do drzwi. - Chcesz uczcić pamięć maestra?

Pie otworzył przed nią drzwi i wyszli. W powietrzu ostro pachniało dymem.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Ponieważ go kochałeś. - Posłała mu oskarżycielskie spojrzenie. - Właśnie dlatego do nas nie wróciłeś. Kochałeś go bardziej niż własny lud.

- Może to prawda, ale od kiedy czcimy pamięć żywych?

- Żywych?

Mistyf uśmiechnął się i ukłonił. Kiedy odsunął się od drzwi, zdawał się rozpyływać

w półmroku niczym widmo.

- Powiedziałem, że Sartori był załamany, a nie martwy. Sen jest wciąż żywy, Culus'su'eraï. Mój maestro również.

2

Quaisoir była ukryta za muślinowymi zasłonami. Przez pootwierane okna napływał ciepły powiew. Seidux usłyszał dziwnie podniecający jęk. Czyżby była naga? Na to wyglądało.

- Jestem ci winna przeprosiny - powiedziała.

- Ależ skąd...

- Wiem, co mówię. Obserwując mnie, spełniałeś tylko swój obowiązek. - Umilkła, a gdy odezwała się ponownie, głos miała melodyjny i kuszący: - Lubię być oglądana.

- Tak? - wymamrotał.

- Nawet bardzo. Pod warunkiem, że widz umie mnie docenić.

- Ja umiem.

Dyskretnie odrzucił papierosa i zgniótł go obcasem.

- Zamknij drzwi - poleciła. - Wiesz, gdybyśmy zaczęli hałasować... I powiedz strażnikom, żeby poszli się napić.

Kiedy wrócił do sypialni, przez zasłony zobaczył, że Quaisoir klęczy na łóżku. Trzymała dłoń między udami i... Tak, była naga.

Muślin falował, chwilami klejąc się do jej połyskliwej skóry. Uniosła dłońmi piersi, podstawiając je do pocałunków. Seidux wyciągnął rękę, żeby rozgarnąć zasłony, ale było ich za dużo. Zdawały się nie mieć końca.

Jej dłoń znów powędrowała między uda. Seidux nie mógł powstrzymać jęku rozkoszy. Widział, że Quaisoir trzyma coś w dłoni; pewnie dawała sobie rozkosz jakąś zabawką, czekając na jego przybycie. Teraz będzie gotowa i przyjmie go całego od razu. Zmyślna kobieta, zmyślna i uległa. Podała mu nawet ten przedmiot, jakby wyznając swój grzech. Może chciała, żeby poczuł jej ciepło i wilgoć. Wyciągnęła rękę przez zasłony, on zaś napierał coraz mocniej, szepcząc słówka, które wszystkie kobiety lubią słyszeć.

Usłyszał trzask rozdieranego materiału. Domyślił się, że to wiedzioną żądzą Quaisoir próbuje dostać się do niego. Sam zaczął szarpać oddzielający ich muślin, gdy nagle poczuł potworny ból w brzuchu. Spojrzał w dół przez oblepiające mu twarz firany. Na materiale rozplątała się ciemna plama. Krzyknął i próbował się wyplątać z zasłon. Jej zabawka tkwiła głęboko w jego ciele.

Quaisoir wyciągnęła nóż z rany, ale tylko po to, żeby pchnąć znowu, i znowu. Zostawiła ostrze w jego sercu, kiedy upadł na plecy, pociągając za sobą zwiewne zasłony.

*

Jude stała przy jednym z okien na piętrze domu Peccable'a i patrzyła na szerzące się wszędzie pożary. Wzdrygnęła się. Spojrzała na swoje dłonie. Były całe we krwi. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale nie miała cienia wątpliwości, co widziała i co to znaczyło. Quaisoir popełniła planowaną zbrodnię.

- Niezwykły widok, co? - usłyszała głos Dowda. Odwróciła się do niego zdezorientowana - czy mógł widzieć krew na jej rękach? Nie, na pewno nie. Miał na myśli pożary.

- Niezwykły - przytaknęła.

Stanął obok niej. Szyby w oknie drżały przy każdym wystrzale.

- Peccable'owie są prawie spakowani. Niedługo już ich tu nie będzie. Proponuję, żebyśmy zrobili to samo. Czuję się znacznie lepiej.

Rzeczywiście, zdrowiał w niewiarygodnym tempie. Rany na twarzy prawie mu się wygoiły.

- Dokąd pójdziemy?

- Obejdziemy miasto z drugiej strony. Tam pierwszy raz stanąłem na scenicznych deskach. Peccable twierdzi, że teatr jeszcze stoi. Nazywa się „Ipse”. Zbudował go sam Pluthero Quexos. Chciałbym go znów zobaczyć.

- W taką noc chcesz zwiedzać miasto?

- Jutro teatru może już nie być. Ba, nie wiadomo, czy o świcie całe Yzordderrex nie będzie jedną wielką ruiną. Wydawało mi się, że to ty chcesz je obejrzeć.

- Jeżeli to dla ciebie podróż sentymentalna, może powinieneś iść sam.

- Czyżbyś miała inne plany?

- Jak to sobie wyobrażasz? Pierwszy raz w życiu tu jestem.

Dowd przyglądał się jej podejrzliwie.

- Ale zawsze chciałaś tu przyjechać, prawda? Od samego początku. Godolphin często się zastanawiał, skąd u ciebie to obsesyjne pragnienie. Teraz i ja się zaczynam zastanawiać. - Odwróciła się do okna. Podążył za jej wzrokiem. - Co tam takiego jest, Judith?

- Sam widzisz. Zabijają nas, zanim dojdziemy do pierwszej przecznicy.

- Nie. Jesteśmy błogosławieni.

- Czyżby?

- Jesteśmy tacy sami, nie pamiętasz? My, wspólnicy doskonali.

- Pamiętam.

- Za dziesięć minut wychodzimy.

- Będę gotowa.

Nie odwracając się od okna, odczekała, aż drzwi zamkną się za Dowdem, i jeszcze raz obejrzała sobie ręce. Po krwi nie został żaden ślad. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Dowd na pewno wyszedł, a potem zamknęła oczy i przytknęła dłonie do szyby. Dziesięć minut na znalezienie kobiety, która ma jej twarz. Za dziesięć minut znajdzie się z Dowdem w zgiełku ulic i wszelka nadzieja kontaktu zniknie.

- Quaisoir... - szepnęła.

Poczuła, jak szkło drży jej pod palcami; usłyszała niosący się nad dachami krzyk umierających ludzi. Powtórzyła imię sobowtóra, wyobrażając sobie wieże, które powinna widzieć z tego właśnie miejsca, gdyby dym ich nie zasłaniał. W wyobraźni chmury dymu wypełniły jej myśli, chociaż nie przywołała ich świadomie. Poczuła, jak jej umysł zaczyna unosić się nad miastem w prądzie ognistego powietrza.

*

Quaisoir nie mogła znaleźć wśród swoich szat ani jednej, która nie rzucałaby się w oczy. Nic dziwnego, przecież kupowała je właśnie ze względu na ich wyjątkowość. W końcu, zerwawszy wszystkie zdobienia z najskromniej wyglądającej sukni, uznała, że prezentuje się w niej przyzwoicie. Wyszła ze swoich komnat i zaczęła się szykować do ostatniej wędrówki przez pałac. Drogę za murami zaplanowała już bardzo starannie: wróci do portu, gdzie na dachu magazynu ukazał się jej Syn Smutku. Albo Go tam zastanie, albo zapyta kogoś o miejsce Jego pobytu. Nie po to chyba przybył do

Yzordderrex, żeby teraz tak po prostu zniknąć. Z pewnością zostawi swoim akolitom ślady, po których Go odnajdą; przygotuje też próby, w których udowodnią, jak bardzo chcą z Nim obcować.

Najpierw jednak musiała wydostać się z pałacu. Wybierała schody i korytarze, których od dziesięcioleci nikt nie używał. Znała je tylko ona i autarcha; kamieniarze, którzy wybudowali je z zimnego kamienia, sami byli już zimni jak gład. Tylko maestrowie i ich kochanki mogli się cieszyć wieczną młodością, chociaż i dla nich nie była to już taka rozkosz jak dawniej. Żałowała, że kiedy stanie przed obliczem Nazarejczyka, na jej twarzy nie będzie znać upływu lat. Poznałby wtedy, ile wycierpiała, i zrozumiał, że zasługuje na przebaczenie. Musiała wierzyć, że za zasłoną doskonałości dostrzeże ból, który trawi ją od środka.

Była boso. Zimno ciągnęło od posadzek i wsączało się w jej bose stopy. Zanim wyszła na dwór, szczękała zębami. Rozejrzała się, próbując znaleźć drogę w labiryncie pałacowych dziedzińców. Oderwawszy się na chwilę od spraw praktycznych na rzecz bardziej abstrakcyjnych, poczuła, że w głębi czaszki jakaś obca myśl czeka na taki właśnie zwrot. Wiedziała, skąd pochodzi. Anioł, którego Seidux przegnał z jej komnaty, czekał na progu, wiedząc, że przyjdzie do niego jak do przewodnika. Oczy wezbrały jej łzami, gdy zrozumiała, że nie jest sama. Syn Dawida widział jej cierpienie. Jego posłaniec szeptał:

- Ipse... Ipse...

Wiedziała, co znaczy to słowo. Często bywała w „Ipse”. Zawsze wówczas nosiła maskę, podobnie jak inne kobiety z wyższych sfer, które odwiedzały podejrzane lokaliki. Widziała tam wszystkie dramaty Pluthero Quexosa, przekłady Flottera, czasem nawet rubaszne farsy Koppocoviego. Dziwne, że Syn Smutku wybrał akurat to miejsce na spotkanie - kim jednak była, żeby kwestionować Jego decyzje?

- Słyszę cię - odpowiedziała głośno.

Jej słowa jeszcze nie przebrzmiały, a już pędziła ku bramie, która prowadziła wprost do kesparatu Deliquium. Pluthero zbudował tam przybytek sztuki, który niebawem miał zostać na nowo poświęcony - tym razem w imię Prawdy.

*

Jude odjęła dłonie od szyby i otworzyła oczy. W tym kontakcie brakowało jej

klarowności, której zaznała we śnie - właściwie nie była nawet pewna, czy w ogóle doszło do kontaktu - ale nie miała czasu na ponowną próbę. Wzywał ją Dowd, wzywały ją płonące ulice Yzordderrex. Z okna widziała kałuże krwi, bitych ludzi, szturmy i odwroty wojska. Jedni cywile wdawali się we wściekłe bijatyki, inni karnie maszerowali w uzbrojonych oddziałach. Panował taki chaos, że nie była w stanie ocenić, po czyjej stronie jest słuszność. I prawdę mówiąc, niewiele ją to obchodziło. Miała znaleźć w tym rozgardiaszu swoją siostrę. Miała nadzieję, że i ona jej szuka.

Quaisoir z pewnością byłaby rozczarowana, gdyby się spotkały - Jude nie była wysłańcem Pana, na spotkanie z którym tak się spieszyła. Ale też wbrew temu, co mówiły legendy, różni boscycy i świeccy Panowie nie byli odkupicielami i zbawicielami świata. Byli rabusiami i niszczycielami. Dowody na to widniały wszędzie na ulicach, na które właśnie miała wyjść Jude. Gdyby udało się jej sprawić, żeby Quaisoir ujrzała i zrozumiała jej wizję, może siostrzane więzi nie byłyby wcale niemile widzianym darem. Nie umiała myśleć o czekającym ją spotkaniu inaczej, jak o ponownym połączeniu się z rodziną.

ROZDZIAŁ 35

1

Wypytyjąc napotkanych - głównie rannych - ludzi o drogę, Gentle w kilka godzin dotarł z rozśpiewanej hosannami Lubieżnej do kesparatu mistyfa. Obserwował przez ten czas, jak miasto coraz bardziej pogrąża się w chaosie. Nie był pewien, czy równo stojące przy ulicach domy i kwitnące drzewa nie obrócą się w popiół, zanim je zobaczy. Kiedy jednak dotarł do obwiedzonego murami miasta w mieście, zastał je nietknięte przez rabusiów i podpalaczy, którzy albo wiedzieli, że nie ma w nim nic interesującego, albo - co bardziej prawdopodobne - powstrzymały ich przesady dotyczące dawnych mieszkańców dominium Niewidzianego.

Poszedł prosto do chianculi, gotowy na wszystko - mógł grozić, błagać, schlebiać, byle tylko oddali mu Pie. Ani tam, ani w sąsiednich budynkach nie znalazł nikogo. Ulice także były puste. Coraz bardziej zrozpaczony i coraz mniej dyskretny zaczął wykrzykiwać imię mistyfa jak włączący się po nocy pijak.

Taka taktyka w końcu zaczęła przynosić skutki. Na ulicy pojawił się młody, wąsаты mężczyzna, jeden z tej czwórki, która zgotowała im takie chłodne przyjęcie. Tym razem nie przytrzymał zawoju w zębach, a kiedy przemówił, zniżył się do użycia angielskiego. Tylko zabójcza wstążka trzepotała mu jak przedtem w rękach. Tej groźby nie próbował maskować.

- Wróciłeś - powiedział.
- Gdzie Pie?
- Gdzie dziewczynka?
- Nie żyje. Gdzie Pie?
- Wyglądasz inaczej.
- Zmieniłem się. Gdzie Pie?

- Tu go nie ma.
- A gdzie jest?
- Mistyf poszedł do pałacu.
- Po co?
- Taki wydano wyrok.
- Kazaliście mu tam iść? Nic więcej? - Gentle podszedł o krok bliżej. - Z

pewnością to nie wszystko.

Eurhetemec zdawał sobie sprawę, że moc Gentle'a jest nieporównanie silniejsza od jedwabnego ostrza. Odpowiedział wprost:

- Wyrok brzmiał: zabić autarchę.
- Posłaliście go tam samego?
- Nie. Zabrał ze sobą kilku naszych. Zostawił garstkę na straży kesparatu.
- Kiedy tam poszli?
- Niedawno, ale nie mają szans dostać się do pałacu. To samobójstwo.

Gentle zawrócił ku bramie, zostawiając strażnika kwiatów i pustych ulic samego. W pobliżu wrót zobaczył jednak dwie kolejne osoby, mężczyznę i kobietę, którzy właśnie weszli za mury i przyglądali mu się ciekawie. Oboje byli nadzy od pasa w górę. Na szyjach mieli trzy poziome kreski, takie same widział u niebytowca w porcie. Kiedy się zbliżył, złożyli dłonie i ukłonili się lekko. Kobieta była półtora raza wyższa i bardziej barczysta od mężczyzny; miała wspaniałe ciało (ramiona i brzuch tak umięśnione, że przy najdrobniejszym ruchu dawała prawdziwy pokaz masy mięśniowej). Jej głowa była ogolona prawie na łyso, pozostawiono tylko włosy z tyłu zebrane w kucyk; była węższa niż potężny, żylasty kark.

- Wiedziałałam, że tu będzie! - oznajmiła olbrzymka całemu światu.
- Nie wiem, czego chcecie - odparł Gentle - ale ja tego nie mam.
- Ty jesteś John Furie Zacharias?
- Tak.
- Znany także jako Gentle?
- Tak, ale...
- Chodź z nami. Proszę. Ojciec Athanasius kazał nam cię znaleźć. Kiedy usłyszeliśmy, co się wydarzyło na Lubieżnej, od razu wiedzieliśmy, że musiałeś tam być.

Jestem Nikaetomaas, a to Floccus Dado. Czekamy na ciebie od czasu, gdy przybył Estabrook.

- Estabrook? - zdziwił się Gentle. Od miesiący o nim nie myślał. - Znacie go?

- Znaleźliśmy go na ulicy. Myśleliśmy, że może jest wybrańcem, ale on nic nie wie.

- Czego ode mnie chcecie?! - spytał zrozpaczony Gentle. - Posłuchajcie. Ja nic, kurwa, nie wiem! Nie obchodzi mnie, za kogo mnie macie, ale nie jestem tym człowiekiem!

- Tak właśnie mówił ojciec Athanasius. Żyjesz w nieświadomości...

- Miał absolutną rację.

- Ale ożeniłeś się z mistyfyem.

- I co z tego? Kocham go i nie obchodzi mnie, kto się o tym dowie.

- Naturalnie - odparła Nikaetomaas, jakby mówili o rzeczach zupełnie oczywistych. - Dzięki temu cię znaleźliśmy.

- Wiedzieliśmy, że mistyf tu przyjdzie - wyjaśnił Floccus. - A ty razem z nim.

- Nie ma go tutaj - powiedział Gentle. - Poszedł do pałacu...

- Do pałacu? - Nikaetomaas spojrzała na mury. - Chcesz iść za nim?

- Tak.

- Pójdę z tobą. Panie Dado, proszę wrócić do Athanasiusa, powiedzieć mu, kogo znaleźliśmy.

- Nie potrzebuję towarzystwa - zaprotestował Gentle. - Nawet sam sobie nie ufam.

- Jak chcesz się w pojedynkę dostać do pałacu? Ja wiem, gdzie są bramy, znam rozkład dziedzińców...

Gentle rozważył jej propozycję. Miał ochotę udać się do pałacu jak dzikus, sięjąc zagładę jak na Lubieżnej. Jednak nieznajomość pałacowych pomieszczeń rzeczywiście utrudniłaby mu zadanie, a o życiu lub śmierci Pie mogły decydować minuty.

Rozdzielili się przy bramie. Floccus Dado wrócił do ojca Athanasiusa, a Gentle i Nikaetomaas udali się do pałacu autarchy.

*

Podczas wspólnej wędrówki rozmawiali tylko o Estabrooku.

- Co z nim? - zapytał Gentle. - Czy nadal zachowuje się jak wariat?

- Kiedy go znaleźliśmy, był umierający. Brat zostawił go na pewną śmierć, ale zabraliśmy go do naszych namiotów na Wybielu. Doszedł do siebie. A właściwie ciągle dochodzi.

- Zrobiliście to, biorąc go za mnie?

- Wiedzieliśmy, że z Piątego Dominium przybędzie ktoś, kto podejmie próbę Pojednania. Zdawaliśmy sobie, oczywiście, sprawę, że zostało niewiele czasu, więc zjawi się wkrótce. Nie mieliśmy tylko pojęcia, jak wygląda.

- Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Pomyliliście się po raz drugi. Tak jak Estabrook, nie jestem tym, którego szukacie.

- Po co w takim razie przyjechałeś?

To pytanie zasługiwało na poważne przemyślenie. Pomijając ciekawość Nikaetomaas, był to winien samemu sobie.

- Chciałem poznać odpowiedzi na pewne pytania, odpowiedzi, których na Ziemi nikt nie mógł mi udzielić. Mój przyjaciel zmarł bardzo młodo. Moja przyjaciółka omal nie padła ofiarą morderstwa...

- Judith.

- Tak, Judith.

- Dużo o niej słyszeliśmy. Estabrook ma obsesję na jej punkcie.

- Cały czas?

- Dawno z nim nie rozmawiałam, ale wiem, że próbował ją ściągnąć do Yzordderrex, w czym przeszkodził mu brat.

- Przybyła tutaj?

- Na razie chyba nie, ale Athanasius uważa, że prędzej czy później się zjawi. Twierdzi, że jej historia wiąże się ściśle z Pojednaniem.

- Skąd on to wszystko wie?

- Przypuszczam, że wyciągnął wnioski ze słów i obsesji Estabrooka, który mówi o niej jak o świętej. Athanasius uwielbia takie kobiety.

- Możesz mi wierzyć, że dobrze znam Judith. Żadna z niej Święta Dziewica.

- Nasza płeć zna różne definicje świętości - zauważyła rozdrażniona Nikaetomaas.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Ale Jude nade wszystko nie znosi, kiedy się ją stawia na piedestale.

- Może w takim razie powinniśmy zająć się nie idolem, lecz jego czcicielem.
Athanasius mówi, że obsesja to ogień w naszej twierdzy.

- Co to znaczy?

- Że musimy spalić mury, które nas otaczają, ale potrzebny jest do tego bardzo jasny płomień.

- Na przykład obsesja.

- Na przykład.

- A po co właściwie palić te mury? Przecież nas chronią.

- Jeśli tego nie zrobimy, umrzemy w nich, całując własne odbicia - odparła Nikaetomaas. Ta odpowiedź brzmiała jak dobrze wyuczona lekcja.

- To też pomysł Athanasiusa?

- Nie, mojej ciotki. Od lat siedzi zamknięta w Bastionie, ale tutaj... - Nikaetomaas popukała się w skroń - jest wolna.

- A co z autarchą? - Gentle przeniósł wzrok na piętrzące się przed nimi ściany. - Czy on też całuje swoje odbicie?

- Kto wie? Może od lat nie żyje, a państwo funkcjonuje samo.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Nie. - Nikaetomaas pokręciła głową. - Żyje i mieszka za murami.

- Przed czym go chronią?

- Nikt tego nie wie. Ten, kogo boi się autarcha, oddycha innym powietrzem niż my.

Zanim opuścili zasłane gruzem uliczki Hittahitte, rozciągającego się między kesparatem Eurhetemeców i szerokimi, romańskimi alejami dzielnicy biurowej Yzordderrex, Nikaetomaas rozejrzała się w ruinach za jakimś przebraniem. Znalazła brudne łachmany i zmusiła Gentle'a, żeby je włożył, a potem znalazła równie obrzydliwy strój dla siebie. Wyjaśniła, że powinni ukryć twarze i zamaskować sylwetki, żeby bez przeszkód wtopić się w tłum biedoty przy bramie. Wkrótce znaleźli się wśród klasycystycznych - w skali i w charakterze - budowli, których nie dosięgnął jeszcze płomień pochodni, w niżej położonych kesparatach przekazywany z ręki do ręki i przenoszący się z dachu na dach. Nikaetomaas podejrzewała, że już niedługo płomień buntu ogarnie te gmachy - Sąd Podatkowy i Urząd Sprawiedliwości. Na razie jednak

poruszali się wśród ogromnych budowli, cichych jak mauzolea.

Po drugiej stronie ulicy Gentle zrozumiał, dlaczego musieli się przebrać w cuchnące, zawszystone łachmany. Nikaetomaas zaprowadziła go nie do głównej bramy pałacu, lecz do jednego z bocznych wejść, przy którym skupiła się grupka mieszkańców w takich samych szmatach. Niektórzy mieli świece. W ich niepewnym blasku Gentle mógł stwierdzić, że wszyscy są jakoś okaleczeni.

- Czekają, żeby ktoś ich wpuścił? - zapytał.

- Nie. To brama świętych Creaze i Evendown. Nie słyszałeś o nich w Piątym Dominium? Wydaje mi się, że tam właśnie zginęły męczeńską śmiercią.

- To możliwe.

- W Yzordderrex wszędzie się o nich słyszy, występują w wierszykach dla dzieci, teatrach lalkowych...

- Ale co tu się dzieje? Czy te święte mają zwyczaj objawiać się wiernym?

- W pewnym sensie.

- Na co ci ludzie czekają? - Gentle rozejrzał się po tłumie. - Na uzdrowienie?

Z pewnością każdemu z nich przydałby się taki cud. Byli chorzy, pozbawieni kończyn, zdeformowani, owrzodzeni - niektórzy wyglądali tak kiepsko, jakby mieli nie dożyć poranka.

- Nie. Na jedzenie. Mam nadzieję, że rewolucja nie zamąciła świętym w głowach i audyencja odbędzie się na czas.

Nikaetomaas nie skończyła jeszcze mówić, gdy dźwięk puszczonej w ruch maszyny wprawił ludzi pod bramą w szal. Kule stały się nagle groźną bronią, podobnie jak ślina zakaźnie chorych - inwalidzi bili się o udział w łupach, które zaraz mieli otrzymać. Nikaetomaas popchnęła Gentle'a w sam środek ciżby, gdzie musiał dosłownie walczyć o życie. Było mu wstyd, ale moment nieuwagi wystarczyłby, żeby ci, którzy mieli mniej kończyn od niego, wyrwali mu rękę albo nogę ze stawu. Ze spuszczoną głową, młóćąc na oślepkę rękoma, przedzierał się do przodu. Brama zaczęła się otwierać.

Wszystkim zapało dech w piersi - żebrakom z nabożnej czci, Gentle'owi z niedowierzania. Do bramy toczyło się blisko pięciometrowej wysokości kiczowate arcydzieło. Posąg przedstawiał święte Creaze i Evendown. Stały ramię w ramię, wyciągały ręce nad stęsknionym tłumem i przewracały oczami jak karnawałowe kukły; w

jednej chwili patrzyły na swą trzódkę, jakby przestraszone jej widokiem, w następnej wznosiły oczy ku niebu. Od stóp do głów były ubrane w dary, które niosły ludziom - w jedzenie. Płaszcz gorącego, parującego mięsa okrywały ich tułowia; dymiące pęta kiełbasy zwieszały się z szyi i przegubów dłoni; w kroku kołysały się worki z chlebem; owoce i ryby tworzyły spódnicę. Tłum rzucił się rozbierać święte, bezlitosny dla siebie i dla nich. Żebracy bili się o najlepsze kąski.

Święte nie były jednak całkowicie bezbronne. Największych żarłoków czekała kara - wśród zwałów jadła ukryto przemyślnie uformowane zadziory i ostrza, które raniły boleśnie. Wierni jednak nie przejmowali się nimi zbytnio, wspinali się po spódnicach, gardząc owocami i rybami, żeby jak najszybciej dobrać się do smakowitych steków i kiełbas. Niektórzy spadali, kalecząc się przy okazji paskudnie, inni - czołgając się po plecach ofiar - dopadali celu i z okrzykami radości ładowali zdobycz do worków. Ale i wtedy, w chwili triumfu, nie mogli czuć się bezpiecznie. Ci, którzy zostali z tyłu, ściągali ich w dół albo zabierali im wypchane torby i zrzucali współnikom.

Nikaetomaas trzymała Gentle'a za pasek, żeby nie rozdzielili się w tym zamieszaniu. Po dłuższym kluczeniu i manewrowaniu stanęli u stóp posągów. Machina automatycznie blokowała wrota, ale Nikaetomaas przykucnęła przy postumencie i - ukryta przed wzrokiem stojących nad bramą strażników - szarpnęła kawał blachy maskującej koła wehikułu. Kuty metal darł się w jej rękach jak szmata, nity pryskały na wszystkie strony. Chwilę później zanurkowała w powstałą wyrwę.

Gentle wśliznął się za nią. Gdy znaleźli się pod stopami świętych, jazgot tłumu przycichł, tylko odgłos spadających ciał miarowo wybijał się ponad ogólny harmider. Czołgali się po ciemku. Z olbrzymiej, gorącej maszyny skapywały na nich jakieś krople.

Przeleźli pod całym postumentem, a wtedy Nikaetomaas zaczęła wyrywać drugi otwór w poszyciu. Hałas nagle przybrał na sile. Żebracy odkryli wyrwę i pełzli za nimi, zapewne w poszukiwaniu skarbów ukrytych we wnętrzu rzeźby. Gentle rzucił się Nikaetomaas do pomocy. Za ich plecami wybuchały nowe kłótnie i bójki, gdy wszyscy naraz próbowali wepchnąć się do dziury. Cała ogromna rzeźba zaczęła się chwiać pod naporem ciał z zewnątrz i od środka. Kołysała się coraz wyraźniej i w pewnej chwili Gentle'owi mignął przed oczami spory dziedziniec za plecami świętych, plac pocięty śladami kół maszyny i zaśmiecony resztkami jedzenia.

Rozkołysane święte zwróciły uwagę dwóch strażników. Zerwali się od znakomitych steków i w panice podnieśli alarm. Nikaetomaas wyszła spod posągu niezauważona i pomogła wyczołgać się Gentle'owi. Olbrzymki lada moment miały runąć na ziemię. Rozległy się strzały - to strażnicy próbowali przemówić wiernym do rozsądku. Gentle poczuł czyjeś dłonie zaciskające mu się na nogach, ale skopał je i dał się pociągnąć do światła. Nikaetomaas pomogła mu wstać. W tej samej chwili głośnie, przypominające grzmot trzaski zapowiedziały rychłe obalenie świętych. Gentle i Nikaetomaas chyłkiem przebiegli przez zaśmiecony mięsem i chlebem dziedziniec. Ukryli się w cieniu budowli. Z głośnym łoskotem święte obwieszane ludźmi, którzy uczepili się ich rąk, płaszczy i spódnic, przewróciły się w tył. Cała konstrukcja rozpadła się przy zderzeniu z ziemią, siejąc na wszystkie strony kawałkami upieczonego i krwawego mięsa.

Strażnicy zbiegali z blanków, gotowi karabinami powstrzymać napór tłumu. Gentle i Nikaetomaas, nie mając ochoty oglądać dalszego ciągu tej makabry, wzięli nogi za pas. Błagania i skowoty rannych niosły się za nimi w ciemności.

2

- Co to za hałas, Rosengarten?
- Przy Bramie Świętych mamy drobne kłopoty, panie.
- Jesteśmy oblegani?
- Nie, panie. To tylko nieszczęśliwy wypadek.
- Są ofiary?
- Nic poważnego. Wrota zostały już zamknięte.
- Co z Quaisoir?
- Nie widziałem jej dziś wieczorem.
- Dowiedz się.
- Oczywiście, panie.

Rosengarten wyszedł i autarcha odwrócił się z powrotem do siedzącego nieruchomo mężczyzny.

- Te noce w Yzordderrex... - powiedział. - Tak się wloką. Bo widzisz, w Piątym Dominium są o połowę krótsze. Kiedyś narzekałem, że tak szybko się kończą, ale teraz...
- Westchnął. - Teraz zastanawiam się, czy może powinienem tam wrócić i założyć Nowe Yzordderrex. Co o tym sądzisz?

Mężczyzna na krześle nie odpowiedział. Dawno już przestał krzyżeć, chociaż echo jego wycia - cenniejsze i bardziej podniecające niż sam dźwięk - wciąż przeszywało powietrze, sięgając do samego sufitu komnaty. Czasem zbierały się tam chmury, z których padał delikatny, oczyszczający deszcz.

Autarcha przysunął się bliżej. Do piersi ofiary przywarł żywy bąbel cieczy. Miał wielkość ludzkiej głowy i cieniutkie jak nici kończyny, którymi przebił się do wnętrza ciała, sięgał serca, płuc i wątroby. Autarcha przywołał to monstrum - marną resztkę wspaniałej niegdyś bestii zwanej wyrzeczencem - z In Ovo. Wybrał je starannie, jak chirurg narzędzie do operacji, żeby wykonało pewne konkretne, delikatne zadanie. Nie bał się potworów, które przywoływał. Przez dziesięciolecia podobnych ceremonii zaznajomił się ze wszystkimi zamieszkującymi In Ovo istotami i choć były wśród nich takie, których nigdy nie odważyłby się sprowadzić, większość instynktownie rozpoznawała głos mistrza i była mu posłuszna - w granicach, które wyznaczała ich inteligencja. Tę istotę nazwał Abelove na pamiątkę poznanego kiedyś w Piątym Dominium prawnika, który był równie podobny do pijawki i podobnie śmierdział.

- Jakie to uczucie? - zapytał, wyęzając słuch w oczekiwaniu na odpowiedź. - Ból minął, prawda? Nie mówiłem?

Mężczyzna otworzył z wysiłkiem oczy i oblizał wargi. Prawie się uśmiechnął.

- Musicie być z Abelove bardzo bliscy sobie. Dotarł do każdego zakątka twojego ciała. Mów do mnie, bo ci go zabiorę. Będziesz krwawił ze wszystkich ran, jakie ci zadał, ale ten ból będzie niczym wobec cierpienia spowodowanego stratą.

- Nie...

- No to mów - poradził rozsądnym tonem autarcha. - Wiesz, jak trudno znaleźć te pijawki? Już prawie wyginęły. A jednak dałem ci taką, nieprawdaż? Proszę tylko, żebyś w zamian powiedział mi, jak się czujesz.

- Czuję się... dobrze.

- Czy to ty do mnie mówisz, czy Abelove?

- Jesteśmy jednym.
- Czy to przypomina seks?
- Nie.
- To może miłość?
- Nie. Czuję się, jakbym się nie narodził.
- Jakbyś jeszcze był w łonie?
- Tak, w łonie.
- Boże, jak ja ci zazdroszczę! Nie mam takich wspomnień. Nigdy nie pływałem w wodach płodowych.

Autarcha wstał i przysłonił dłonią usta. Zawsze czuł się podle, gdy w żyłach krążyły mu popłuczyny po kreauchee. Robił się wtedy niezdolnie wrażliwy; byle co go zasmucało lub złościło.

- Zjednoczyć się z inną istotą. Stać się jednością. Dać się jej pochłonać, a zarazem scalić. Bezgraniczna rozkosz. - Nie zauważył, że więźniowi znów zamykają się oczy. - W takich chwilach żałuję, że nie jestem poetą, że nie znajduję słów, którymi mógłbym wyrazić moją tęsknotę. Wydaje mi się, że gdybym wiedział, iż pewnego dnia... Nieważne, ile lat czy wieków musiałoby upłynąć, mniejsza o to; gdybym pewnego dnia miał na zawsze zjednoczyć się z drugą duszą, może stałbym się dobrym człowiekiem. Usiadł przy więźniu, któremu powieki całkiem opadły.

- Ale nic z tego - ciągnął ze łzami w oczach. - Nie zmieniamy się. Boimy się odrzucić to, czym jesteśmy, bo mogłoby się okazać, że jesteśmy niczym. Trzymamy się tego tak kurczowo, że tracimy wszystko inne. - Drżał ze wzruszenia i łzy kapały mu na policzki. - Słuchasz? - Potrząsnął więźniem, któremu opadła szczęka i ślina pociekła z kącika ust. - Słuchaj mnie! - krzyknął autarcha. - Zwierzam ci się z mojego cierpienia!

Nie widząc żadnej reakcji, wstał i uderzył więźnia w twarz. Cios przewrócił go razem z krzesłem na ziemię. Stwór uczepiony piersi więźnia zadygotał.

- Nie po to cię tu ściągnąłem, żebyś spał! Masz dzielić ze mną mój ból!

Zaczął wrywać pijawkę z ciała. Jej strach udzielił się żywicielowi, który wił się i szarpał. Spod krępujących go sznurów popłynęła krew. Spazmatycznymi ruchami starał się zatrzymać stwora przy sobie. Niespełna godzinę wcześniej, gdy pierwszy raz zobaczył pijawkę, błagał, żeby go oszczędzono. Teraz odzyskał mowę i dwakroć głośniejsze błagał,

żeby mu jej nie odbierać. Prośby zmieniły się w krzyk, gdy opatrzone zadziornymi macki pasożyta wysuwały się z przebitych organów. Poza ciałem miotały się dziko na wszystkie strony w poszukiwaniu nowego żywiciela. Autarcha, niewzruszony cierpieniem kochanków, rozdzielił ich niczym śmierć. Cisnął Abelove w drugi koniec komnaty i ujął twarz więźnia w lepkie od krwi pasożyta palce.

- A jak teraz się czujesz?
- Oddaj mi go... proszę, oddaj go...
- Czy to przypomina narodziny?
- Co tylko chcesz! Tak, przypomina! Tak! Tylko mi go oddaj!

Autarcha odprawił rytuał przywołania pijawki. Kluczył wśród ludzkich wnętrzności, wyłożonych na podłogę jako przynęta. Podniósł nóż, który leżał w kałuży krwi obok ludzkiej głowy z przepaską na oczach. Niespiesznym krokiem wrócił do swojej ofiary.

Rozciął więzy i odsunął się, żeby spokojnie podziwiać dalszy ciąg przedstawienia. Więzień był ciężko ranny, podziurawione płuca z trudem zasysały powietrze, ale utkwiał wzrok w ubóstwionym Abelove i czołgał się w jego kierunku. Miał twarz barwy popiołu. Autarcha obserwował go ciekawie. Odległość była zbyt wielka; ta scena musiała się skończyć tragicznie.

Więzień przebył zaledwie kilka metrów, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Nie przeszkadzać! - krzyknął autarcha, ale stukanie się powtórzyło i zza drzwi dobiegł głos Rosengartena:

- Quaisoir zniknęła, panie!

Autarcha patrzył na rozpacz pełzającego mu u stóp człowieka i sam był zrozpaczony. Żona, której tak pobbłażał, porzuciła go dla Syna Smutku.

- Wejść! - zawołał.

Rosengarten złożył mu raport. Seidux nie żył, został zasztyletowany, a ciało zrzucono z okna. Komnaty Quaisoir były puste. Jej służąca również zniknęła, a garderobę ktoś przewrócił do góry nogami. Poszukiwania porywaczy już się rozpoczęły.

- Porywaczy? Nie, Rosengarten. Nie ma żadnych porywaczy. Ona odeszła z własnej woli. - Autarcha nie spuszczał wzroku z więźnia, który słabł w oczach. - To koniec. Poszła szukać swojego odkupiciela. Biedna suka.

- Czy to znaczy, że nie powinienem wysłać żołnierzy, żeby jej szukali? Miasto jest niebezpieczne.

- Ona też. Kobiety w Bastionie nauczyły ją paru sztuk.

- Mam nadzieję, że z tej przeklętej nory zostały zgliszcza - odparł Rosengarten z niezwykłą jak na siebie zapalczywością.

- Wątpię. Takie umieją się bronić.

- Nie przede mną - zauważył chętnie Rosengarten.

- Nawet przed tobą. I przede mną. Możemy się bardzo starać, ale mocy kobiet nie da się łatwo wypłenić. Niewidziany też próbował. Na próżno. Zawsze gdzieś, w jakimś zakątku...

- Powiedz słowo, panie - przerwał autarsze Rosengarten - a zaraz tam pójde i powywieszam te suki na ulicach.

- Nic nie rozumiesz - zganił go autarcha monotonnym, jeszcze przez to smutniejszym głosem. - Ten zakątek znajduje się tutaj. - Pokazał na swoją głowę. - W naszych umysłach. Nawet jeśli zamkniemy kobiety w odosobnieniu, ich tajemnice nie dają nam spokoju. Ja też to czuję, a Bóg jeden wie, że powinienem być wolny od tego brzemienia. Nie jestem ulepiony z tej samej gliny co wy tutaj. Jak mogę tęsknić za czymś, czego nigdy nie miałem? Nie wiem, ale tęsknię. - Westchnął ciężko. - Jeszcze jak! Spójrz na niego. Pijawka dała mu posmakować i choć zostały mu ostatnie sekundy życia, chce jeszcze.

- Czego posmakował?

- Łona, Rosengarten. Powiedział, że czuje się jak w łonie. Jesteśmy wyrzutkami. Choćbyśmy budowali imperium, zostaliśmy wyrzuceni z łona matki.

Więzień wydał z siebie ostami, bolesny jęk i znieruchomiał. Autarcha przyglądał mu się przez chwilę. Ciszę mąciły tylko coraz wolniejsze podrygi leżącej na podłodze pijawki.

- Pozamykaj i zamuruj drzwi - polecił autarcha, nie odwracając się do Rosengartena. - Ja idę do Wieży Osi.

- Tak, panie.

- Znajdziesz mnie tam, kiedy wstanie dzień. Tutejsze noce są za długie. Za długie. Czasem się zastanawiam...

To, nad czym zastanawiał się autarcha, uleciało mu z myśli, zanim dotarło do ust.
W milczeniu opuścił grobowiec kochanków.

ROZDZIAŁ 36

1

Podczas podróży z Pie myśli Gentle'a rzadko krążyły wokół Taylora, kiedy jednak pod murem pałacu Nikaetomaas zapytała go o powody przybycia do Imajiki, wymienił najpierw śmierć Taylora, a dopiero później próbę zamordowania Judith. Gdy przez pogrążone w aromatycznym mroku dziedzińce szli do zamku, wspomniął Taylora. Przyjaciel leżał na łożu śmierci, mówił o swobodnym szybowaniu i prosił Gentle'a o wyjaśnienie tajemnic, z którymi nie zdążył się uporać.

- Miałem w Piątym Dominium przyjaciela, który byłby zachwycony pałacem - powiedział. - Uwielbiał samotność.

Samotność wyzierała z każdego podwóreczka. Na wielu z nich założono ogrody, które później zdziczały. Ale zdziczenie wymagało energii i natura była zmęczona walką. Rośliny po krótkim, gwałtownym wzroście dusiły się nawzajem, a potem więdły i opadały na szarą jak popiół ziemię. Dostali się do wnętrza pałacu i szli bez mapy galeriami, gdzie kurz zalegał warstwą równie grubą, jak ziemia w zapuszczonych ogrodach; trafiali do zapomnianych aneksów i komnat, przygotowanych dla gości, którzy przed dziesiątkami lat wydali ostatnie tchnienie. Ściany w komnatach i w galeriach były przyozdobione freskami i kobiercami. Pewne sceny Gentle rozpoznawał z niedawnych podróży - tak jak Patashoqua pod zielonozłotym niebem, na którym unosiły się balony, albo festiwal w świątyniach w L'Himby - ale narastało w nim przekonanie, że najpiękniejsze obrazy zaczerpnięto z Ziemi, a konkretnie z Anglii. Dominował nastrój sielankowy; pastuszkowie uwodzili nimfy w Pojednanych Dominach dokładnie tak samo, jak opiewali to poeci Piątego w swoich sonetach, ale pewne szczegóły jednoznacznie wskazywały na Anglię: jaskółki przecinające nocne niebo; bydło pijące wodę przy śpiących pasterzach; wieża katedry w Salisbury wyrastająca ponad dębowy

zagajnik; widoczne w oddali wieże i dachy Londynu, oglądane ze wzgórza, na którym dziewczęta płały wesoło z kochankami; nawet Stonehenge, dla dobra kompozycji przeniesione na wzgórze i przedstawione na tle burzowych chmur.

- Anglia - powiedział Gentle głośno. - Mają komuś przypominać Anglię.

Choć zbyt szybko mijali te arcydzieła, żeby mógł im się dokładnie przyjrzeć, był pewien, że żadne nie jest podpisane. Artyści, którzy tak pięknie odmalowali angielskie krajobrazy, pozostawali anonimowi.

- Chyba powinniśmy iść na górę - zauważyła Nikaetomaas, stając u podnóża monumentalnych schodów. - Im wyżej się znajdziemy, tym łatwiej będzie się zorientować w rozkładzie pałacu.

Pokonali pięć odcinków schodów. Na każdym piętrze witały ich nowe opustoszałe korytarze, aż wyszli na dach, skąd mogli ogarnąć skalę labiryntu, po którym się błękali. Wszędzie piętrzyły się wieże, dwu- i trzykrotnie przewyższające tę, na którą się wdrapali. W dole we wszystkich kierunkach rozciągała się sieć dziedzińców; na niektórych mignęły im oddziały wojska, ale większość była pusta. Jeszcze dalej wyrastały mury pałacu, a za nimi widniało spowite w dym miasto; odgłosy wstrząsających nim starc były z tej odległości ledwie słyszalne. Pustka i cisza działały kojąco, toteż oboje wzdrygnęli się nagle, gdy gdzieś w pobliżu wybuchło nagle zamieszanie. Niemal z wdzięcznością powitali oznaki życia w tym mauzoleum - nawet jeśli zgiełk wszczęli wrogowie - i pobiegli w kierunku, skąd dobiegał hałas. Jedno piętro w dół wpadli na zabudowany most, łączący dwie wieże.

- Kaptur! - krzyknęła Nikaetomaas. Wcisnęła kucyk pod koszulę i naciągnęła na głowę szorstki kaptur. Gentle zrobił to samo, chociaż wątpił, by ich przebranie na coś się przydało, gdyby zostali odkryci.

Przed nimi w galerii ktoś wydawał rozkazy; Gentle schował się i pociągnął za sobą Nikaetomaas, podsłuchując. Przemawiał jakiś oficer: obiecywał miesiąc płatnego urlopu każdemu, kto ustrzeli Eurhetemeca. Któryś z żołnierzy zapytał, ilu ich jest, na co oficer odparł, że podobno sześciu, ale on osobiście w to nie wierzy. Przecież wyróżnili już co najmniej dziesięć razy tyle Eurhetemeców. Nieważne, ilu ich było - sześciu, sześćdziesięciu, sześciuset - są w mniejszości i w pułapce. Nie wydostaną się z zamku żywi. Po tych słowach oficer podzielił oddział na mniejsze grupki i kazał strzelać bez

ostrzeżenia.

Trzech żołnierzy ruszyło w stronę kryjówki Gentle'a i Nikaetomaas. Gdy tylko ich minęli, Nikaetomaas wynurzyła się z cienia i dwoma uderzeniami powaliła dwóch z nich. Trzeci próbował się bronić, ale Gentle rzucił się na niego z takim impetem, że po zderzeniu obaj upadli na ziemię. Kiedy żołnierz usiłował przyłożyć Gentle'owi karabin do głowy, Nikaetomaas złapała go za rękę i dźwignęła do góry, aż znalazł się z nią twarzą w twarz. Karabin był teraz wycelowany w sufit. Zerwała hełm z głowy żołnierza.

- Gdzie autarcha? - zapytała.

Przerażony żołnierz nie próbował ich oszukiwać.

- W Wieży Osi - odparł.

- Czyli gdzie?

- To najwyższa wieża - wyjąkał z płaczem, szarpiąc się na zakrwawionej ręce, za którą trzymała go Nikaetomaas.

- Bardzo cię proszę, zaprowadź nas tam.

Żołnierz zgrzytnął zębami i pokiwał głową. Puściła go. Upadł na ziemię i wypuścił broń ze zmiażdżonej dłoni. Nikaetomaas skinęła na niego palcem.

- Jak się nazywasz?

- Yark Lazarevich - powiedział, układając obolałą rękę w zgięciu drugiego ramienia.

- Posłuchaj, Yarku Lazarevichu, jeżeli będziesz próbował wezwać pomoc albo jeżeli ja tak zinterpretuję twoje zachowanie, wycisnę ci mózg z czaszki tak szybko, że znajdziesz się w Patashoqua, zanim narobisz w gacie. Czy wyrażam się jasno?

- Tak.

- Masz dzieci?

- Tak, dwoje.

- Pomyśl, co się z nimi stanie, jeśli stracą ojca, i bądź rozsądny. Jakies pytania?

- Nie. Chciałem tylko dodać, że ta wieża jest dość daleko. Nie chcę, żebyście pomyśleli, że was zwodzę.

- W takim razie pospieszmy się.

Lazarevich ruszył z powrotem do schodów, wyjaśniając po drodze, że najkrótsza droga do Wieży Osi wiedzie przez Cesscordium, które znajduje się dwa piętra niżej.

Zeszli kilkanaście stopni, gdy za ich plecami rozległy się strzały. To jeden z dwóch ogłuszonych kompanów Lazarevicha na przemian strzelał i krzyczał na alarm. Gdyby nie zataczał się po niedawnym ciosie, trafiłby pewnie Nikaetomaas albo Gentle'a, ale zdążyli zbiec na dół, zanim stanął u szczytu schodów. Lazarevich zarzekał się, że nie ma z tym nic wspólnego, bardzo kocha swoje dzieci i jeszcze kiedyś chciałby je zobaczyć.

Z dolnej galerii dobiegł tupot kroków, hałasującemu na górze żołnierzowi odpowiedziały krzyki. Nikaetomaas bluznęła stekiem wyzwisk, które brzmiały tym paskudniej, że Gentle nic z nich nie rozumiał. Wyciągnęła rękę po Lazarevicha, który jednak zbiegł długimi susami po schodach, zanim zdążyła go złapać. U dołu spotkał się z grupką żołnierzy. Nikaetomaas w pogoni wyprzedziła Gentle'a i wpadła im prosto pod karabiny. Cztery lufy bryznęły ogniem, cztery kule dosięgły celu. Padła jak ścięta, stoczyła się kawałek po schodach i zatrzymała kilka stopni przed podłogą. Kiedy Gentle na to patrzył, trzy myśli przebiegły mu przez głowę. Po pierwsze, ci dranie muszą za to zapłacić. Po drugie, nie ma sensu dłużej się skradać. Po trzecie, gdyby udało mu się zwalić im sufit na głowy i po pałacu rozniosłaby się wieść, że poza autarchą jest w nim jeszcze ktoś, kto włada mocą, mogłoby się zrobić ciekawie. Żałował ludzi, których zabił na Lubieżnej, ale tych nie będzie mu żal. Musiał tylko sięgnąć ręką i odgarnąć kaptur z twarzy, nim zaczną strzelać. Na dole zbierało się coraz więcej żołnierzy, przybiegali ze wszystkich stron. Śmiało, pomyślał i podniósł rękę, udając, że chce się poddać. Pospieszcie się, zaraz zaczynamy.

W zbieraniu znalazł się jeden człowiek wyższy stopniem, na jego widok pozostali strzelali obcasami i salutowali sztywno. Spojrzał na schody, gdzie stał zakapturzony jeńiec.

- Generale Racidio, mamy tu dwóch buntowników - zameldował jeden z kapitanów.

- To nie są Eurhetemecowie. - Racidio spojrział na Gentle'a, na Nikaetomaas, i wrócił wzrokiem do Gentle'a. - Prędzej niebytowcy.

Wszedł na schody i ruszył na spotkanie Gentle'a, który korzystając z faktu, że materiał kaptura był rzadko utkany, dyskretnie wziął wdech. Zdawał sobie sprawę, że w najlepszym wypadku będzie miał dwie, góra trzy sekundy na reakcję. Może akurat

wystarczy mu czasu, żeby zasłonić się Racidiem jak tarczą, gdyby pneuma nie zabiła wszystkich żołnierzy.

- No, przyjrzyjmy ci się z bliska - powiedział generał i zerwał mu szmatę z twarzy.

W tej samej chwili, w której pneuma powinna wystrzelić z dłoni Gentle'a, Racidio cofnął się, oszołomiony widokiem jego twarzy. Zobaczył w niej coś, co najwyraźniej uszło uwagi żołnierzy, trzymali bowiem Gentle'a na muszce, dopóki Racidio nie kazał im opuścić broni. Gentle był równie zdumiony jak oni, ale nie zamierzał kwestionować odroczenia wyroku. Opuścił ręce, przestąpił nad ciałem Nikaetomaas i zszedł do końca schodów. Racidio cofał się przed nim, kręcąc z niedowierzaniem głową i oblizując wargi, ale najwidoczniej brakowało mu słów. Wyglądał tak, jakby spodziewał się, że ziemia zaraz rozstąpi mu się pod nogami - i prawdę mówiąc, chciał, żeby tak się stało.

Zamiast ryzykować, że odzywając się, wyprowadzi go z błędu, Gentle skinieniem palca wezwał do siebie Lazarevicha, podobnie jak chwilę wcześniej zrobiła to Nikaetomaas. Lazarevich schronił się za plecami żołnierzy i nader niechętnie porzucił ich towarzystwo. Zerknął z nadzieją na kapitana i generała, ale nie zareagowali. Kiedy Gentle wyszedł mu na spotkanie, Racidio wykrztusił pierwsze słowa od chwili, gdy ujrzał jego twarz:

- Wybacz mi. Czuję się upokorzony.

Gentle nie ulżył mu w zgryzocie i nie odpowiedział. Z Lazarevichem u boku ruszył w stronę oddziału blokującego zejście na następny odcinek schodów. Rozstąpili się bez słowa. Zwalczył pokusę przyspieszenia kroku i wszedł między nich. Żałował też, że nie zdążył się pożegnać z Nikaetomaas, ale ani niecierpliwość, ani sentymenty nie przyniosłyby mu teraz korzyści. Był błogosławiony. Może gdy nadejdzie odpowiedni moment, zrozumie dlaczego. Na razie jednak musiał znaleźć autarchę. Miał nadzieję, że mistyf już przy nim będzie.

- Nadal chcesz iść do Wieży Osi? - zapytał Lazarevich.

- Tak.

- Puścisz mnie wolno, kiedy cię tam zaprowadzę?

- Tak - powtórzył Gentle.

Lazarevich rozejrzał się po galerii.

- Kim jesteś? - zapytał.

- Chciałbyś to wiedzieć? - odpowiedział Gentle.

Sam sobie również zadawał to pytanie.

2

Na początku było ich sześcioro, teraz zostali we dwóch. Jedną z ofiar był Thes'reh'ot; zginął, kiedy zaznaczał wyrytym w kamieniu krzyżykiem kolejne przejście w labiryncie dziedzińców. To był jego pomysł, żeby oznaczać przebytą drogę. Dzięki temu mieliby ułatwioną ucieczkę po wykonaniu zadania.

- Tylko wola autarchy trzyma te mury - powiedział, gdy weszli na teren pałacu. - Kiedy autarcha zginie, runą. Będziemy musieli się spieszyć, żeby nas żywcem nie pogrzebały.

Sam fakt, że Thes'reh'ot zgłosił się na ochotnika do misji, którą wyśmiał jako samobójczą, był zdumiewający, ale jego późniejszy optymizm graniczył z histerią. Teraz Pie stracił nie tylko nieoczekiwanego sprzymierzeńca, ale także szansę, żeby dowiedzieć się, dlaczego do nich dołączył. Całemu przedsięwzięciu od początku towarzyszyły zagadki i tajemnice, z których największą było chyba poczucie nieodwracalności losu przebijające ze słów sędziny. Odnosił wrażenie, jakby wyrok zapadł na długo przed tym, jak zjawili się z Gentle'em w Yzordderrex. Próbując mu się sprzeciwić, podważałby opinię ważniejszych niż Culus urzędników. Takie myślenie musiało, naturalnie, zrodzić fatalizm i choć mistyf nie przeszkadzał Thes'reh'otowi oznaczać drogi ucieczki, nie żywił też nadziei, żeby naprawdę była im potrzebna. Starał się nie myśleć o tym, co straci, jeśli zginie, dopóki ostatni z jego towarzyszy, Lu'chur'chem - czystej krwi Eurhetemec, o czarnej, wpadającej w granat skórze i podwójnych źrenicach - nie poruszył tego tematu. Znajdowali się w galerii ozdobionej freskami miasta, w którym Pie kiedyś mieszkał. Ulice Londynu wyglądały niedzisiejszo; widział na nich sprzedawców gołębi, mimów i dandysów.

- Już nigdy, co? - zagadnął Lu'chur'chem.

- Słucham?

- Już nigdy nie wyjdziemy na ulicę, żeby podziwiać poranek.

- Nie?

- Nie. Nie wyjdziemy stąd żywi. Obaj o tym wiemy.

- Nic nie szkodzi. Dużo w życiu widziałem, jeszcze więcej czułem... Niczego nie żałuję.

- Długo żyłeś?

- Owszem.

- A twój maestro? On też był długowieczny?

- Tak - odparł Pie, podziwiając malowidła na murach.

Nie były zbyt wyrafinowane, ale działały na wyobraźnię i budziły wspomnienia. Przypomniały mu się zgiełkliwe, tłoczne zaułki, po których spacerowali z maestrem w pięknych, pełnych nadziei dniach przed Pojednaniem. Na modnych ulicach Mayfair pełno było eleganckich sklepów i jeszcze elegantszych dam, które przychodziły po wodę lawendową, mantuańskie jedwabie i śnieżnobiały muślin. Na zatłoczonej Oxford Street pół setki kramarzy nagabywało klientów, sprzedawali pantofle, dzikie ptactwo, wiśnie i pierniki, walcząc o skrawek miejsca na chodniku i odrobinę powietrza, które poniosłoby ich krzyki. A oto odpust, zapewne przy kościele Świętego Bartłomieja, gdzie więcej grzeszono za dnia niż w Babilonie w mrokach najczarniejszej nocy.

- Kto je malował? - zastanawiał się na głos Pie.

- Sądząc po tym, jak wyglądają, to chyba wielu artystów. Można rozróżnić miejsca, gdzie zmienia się styl.

- Ale ktoś musiał nimi kierować, podpowiadać szczegóły, kolory. Chyba że autarcha po prostu wykradł malarzy z Piątego Dominium.

- Co wcale nie jest wykluczone - zauważył Lu'chur'chem. - Architektów kradł. Zniewalał całe szczepy, żeby budowały mu pałac.

- Nikt mu się nigdy nie sprzeciwił?

- Ludzie cały czas próbowali wzniecać bunty, ale krwawo je tłumił. Palił uniwersytety, wieszał teologów i radykałów. Siła była po jego stronie, a poza tym miał jeszcze Oś. Ludzie wierzą, że to znak, iż Niewidziany mu sprzyja. Gdyby Hapexamendios nie chciał, żeby autarcha rządził w Yzordderrex, nie pozwoliłby mu ściągnąć tu Osi, prawda? Tak mówią. A ja nie... Co się stało? - spytał, gdy Pie stanął jak wryty.

Mistyf wpatrywał się w obraz. Ze wzruszenia zaczął szybciej oddychać.

- Coś nie tak? - zaniepokoił się Lu'chur'chem.

Pie potrzebował dłuższej chwili, żeby znaleźć właściwe słowa:

- Nie powinniśmy chyba iść dalej.

- Dlaczego?

- W każdym razie nie razem. Wyrok wydano na mnie i sam powinienem dokończyć dzieła.

- Co się z tobą dzieje? Dotarłem tu z tobą i chcę mieć z tego jakąś satysfakcję.

- A co jest ważniejsze: twoja satysfakcja czy powodzenie naszej misji?

- Znasz moją odpowiedź.

- No to mi zaufaj. Dalej muszę iść sam. Poczekaj tu na mnie, jeśli chcesz...

Lu'chur'chem odchrząknął, trochę podobnie jak Culus, tylko bardziej chrapliwie.

- Przyszedłem tutaj, żeby zabić autarchę.

- Nie. Przyszedłeś mi pomóc i już mi pomogłeś. Ja mam go zlikwidować, nie ty.

Tak brzmiał wyrok.

- Wyrok, wyrok! Czemu tak nagle zacząłeś się nim przejmować? Sram na wyrok!

Chcę zobaczyć, jak autarcha umiera; chcę patrzeć mu w oczy.

- Przyniosę ci jego oczy. Mówię serio. Niczego więcej nie mogę ci obiecać. Muszę tam iść sam.

Lu'chur'chem splunął na ziemię.

- Nie ufasz mi, prawda?

- Jeśli tak chcesz myśleć...

- Mistyfi szajs! Jeśli przeżyjesz, sam cię zabiję! Przysięgam!

Rozmowa została zakończona. Lu'chur'chem splunął jeszcze raz i odszedł. Mistyf został sam przed obrazem, którego widok wzburzył mu krew.

Dziwnie się czuł, widząc obrazy Oxford Street i odpustu u Świętego Bartłomieja w miejscu tak odległym w czasie i w dominiach od oryginałów, ale traktował to jak zbieg okoliczności, chociaż podejrzenia narastały w nim podczas całej rozmowy z Lu'chur'chemem. Nadal tak by o nich myślał, gdyby nie ostatni obraz w cyklu, całkiem inny od poprzednich. Tamte przedstawiały publiczne widowiska, powielane w nieskończoność chociażby na satyrycznych rysunkach. Ten nie. Na tamtych widniały

znane na całym świecie widoki. Na tym nie.

Obraz przedstawiał niepozorną, zapomnianą przez Boga i ludzi uliczkę w Clerkenwell. Pie wątpił, by jakiś artysta z Piątego Dominium kiedykolwiek użył pióra lub pędzla, by ją odmalować. Tu jednak przedstawiono ją ze wszystkimi szczegółami, do ostatniego listka i ostatniej cegły. Gamut Street. Na samym środku, pod numerem dwudziestym ósmym, pysznił się dom maestra Sartoriego.

Był prześlicznie namalowany. Na dachu ptaszki uganiały się w zalotach, na progu gryzły się psy, a między kochankami i wojownikami stał dom oświetlony przesianym przez liście światłem słońca, które nie padało na żaden inny budynek w sąsiedztwie. Frontowe drzwi były zamknięte, za to okna na piętrze pootwierane na oścież. W jednym z nich stał człowiek ukryty w cieniu. Nie można było mieć wątpliwości, co zwróciło jego uwagę. W oknie domu po drugiej stronie ulicy dziewczyna siedziała przed lustrem, trzymając na kolanach psa. Sięgała palcami do wstążki, która przytrzymywała gorset. Na ulicy pomiędzy piękną dziewczyną i jej tajemnym adoratorem pełno było szczegółów, które mógł namalować tylko ktoś, kto widział je na własne oczy. Chodnikiem przechodziła mała procesja sierot, którymi opiekowała się miejscowa parafia; wszystkie miały białe ubranka i trzymały w rączkach gałązki. Na przedzie szedł Willis, okrutny, prymitywny urzędnik parafialny, którego Sartori pobił kiedyś do nieprzytomności za znęcanie się nad podopiecznymi. Zza rogu wyjeżdżał powóz Roxborougha, zaprzężony w jego ulubionego gniadosza, Bellamare, nazwanego tak na cześć hrabiego de Saint Germain. Używając tego pseudonimu, hrabia kilka lat wcześniej uwiódł połowę weneckich kobiet. Z domu pod numerem trzydziestym drugim właścicielka wypędzała właśnie jakiegoś dragona; słynęła z tego, że pod nieobecność męża zabawiała oficerów regimentu księcia Walii, słynnej Dziesiątki. Z naprzeciwka obserwowała to zazdrosna wdowa.

Na obrazie rozgrywało się jeszcze kilkanaście małych dramatów. Każdy z nich Pie znał dobrze. Kto pomagał malarzom w pracy, podpowiadając im, jak wiernie oddać powóz, dziewczynę, żołnierza, wdowę, psy, ptaki, podglądacza i całą resztę?

Nie mogąc rozwikłać tej zagadki, Pie oderwał wzrok od obrazu i spojrzał w głąb galerii. Lu'chur'chem splunął jeszcze parę razy po drodze i zniknął. Mistyf został sam. Wiedział, że będzie mu brakowało Lu'chur'chema; żałował, że nie umiał go przekonać do

swoich racji, nie obrażając jednocześnie. Jednakże ostatni obraz stanowił dowód na istnienie sekretów, przy których odkrywaniu wolał nie mieć świadków. Świadkowie zbyt łatwo mogli stać się oskarżycielami, a on i bez tego miał dość wyrzutów sumienia. Jeżeli tyran Yzordderrex miał coś wspólnego z domem przy Gamut Street, być może, Pie nieświadomie stał się jego sprzymierzeńcem.

Nie mógł się lepiej przygotować na niespodzianki. Odszedł sprzed obrazu, przypominając sobie daną Lu'chur'chemowi obietnicę. Jeżeli przeżyje, musi mu przynieść oczy autarchy. Oczy, które - był tego pewien - oglądały kiedyś Gamut Street z taką samą natarczywością, z jaką mężczyzna w oknie wpatrywał się w ukochaną, która siedziała w oknie naprzeciw niego, zniewolona własnym odbiciem w lustrze.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO